



INSTYTUT REGULACJI ZEGARÓW

„To najwybitniejszy przedstawiciel współczesnej tureckiej literatury. Jego *Instytut Regulacji Zegarów* to prawdziwe arcydzieło”.

Orhan Pamuk

**AHMET
HAMDİ
TANPINAR**

INSTYTUT REGULACJI ZEGARÓW

**AHMET
HAMDİ
TANPINAR**

Przełożyła z języka tureckiego
Anna Sobczak

*Bóg swym działaniem usuwa bezprawnie Świętego Medźnuna
Zostało niewiele dzieł zajmujących się cierpieniami w mej głowie*

İzzet Mola



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Część pierwsza
Wielkie Nadzieje

1

Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że czytanie i pisanie nie jest moim żywiołem. Jeśli nie liczyć Juliusza Verne'a i Nicka Kartera, których utwory czytałem w dzieciństwie, cała moja edukacja opiera się na książkach historycznych, na *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*, na Księdze Papugi i opowieściach Abu Ali Sina*, które przeglądałem, pomijając arabskie i perskie słowa. Później, ale jeszcze przed tym, zanim powstał Instytut, z braku ciekawszych zajęć zaglądałem do podręczników dzieci, czasami całe dni spędzałem w herbaciarniach na Edirnekapy i Şehzadebaşı i czytywałem krótkie fragmenty felietonów i artykułów.

Można by też wspomnieć o opartych na psychoanalizie rozprawach doktora Ramiza – lekarza, który okazał mi wiele sympatii, zarówno kiedy przebywałem pod jego opieką w zakładzie, jak i później, kiedy stamtąd wyszedłem. Zapewniam was, że nie opuściłem nawet jednej linijki z polecanych mi tekstów, żeby tylko być godnym uwagi tak zaangażowanego w sprawę człowieka. Lektura tych dzieł, o nieznanym mi genezie, nie wywarła wpływu ani na mój gust literacki, ani na moje zrozumienie tematu. Pomagała jedynie ukryć mą ignorację podczas rozmów z doktorem Ramizem zresztą to on zawsze mówił, a ja tylko słuchałem. (Człowiek nie zapomina nauk wpojonych mu w dzieciństwie. Mój ojciec poza Emsile i Avamil oraz innymi arabskimi podręcznikami do gramatyki, a potem obowiązkowymi lekturami szkolnymi, był przeciwny czytaniu. Możliwe, że właśnie z powodu jego cenzury i ograniczeń zarzuciłem czytelnictwo w każdej postaci.

A jednak, w pewnym okresie mojego życia, udało mi się napisać niewielką książeczkę. Nie po to jednak, żeby nasycić próżność, czego nigdy nie znośiłem, by mówiono: „No, no, zobaczcie, nasz Hayri Irdal napisał książkę!”. Nie chodziło też o niedającą się nijak powstrzymać presję własnego talentu. Później opowiem wam, w jakim celu, w jakich warunkach i okolicznościach, w jaki sposób i dla czego stworzyłem tę pracę, wydaną

* Abu Ali Sina (980-1037) – filozof, encyklopedysta, znany jako Awicenna. (przyp. tłum.)

wśród innych publikacji rozwiązanego już Instytutu, który dzięki zawsze w porę podejmowanym interwencjom Halita Regulatora znajdował się w stanie ciągłej odnowy.

Na razie powiem tylko tyle: popularność, jaką cieszy się moje dzieło opowiadające o życiu i odkryciach zegarmistrza nad zegarmistrzami – szejka Ahmeda Zamaniego, zawdzięczam ogromowi cnót i zdolności Halita Regulatora, założyciela Instytutu, mojego dobroczyńcy i wielkiego przyjaciela, który z niczego stworzył ze mnie kogoś.

Wszystko co dobre, piękne i wartościowe w moim życiu pochodzi od tego wielkiego człowieka, którego trzy tygodnie temu straciliśmy w wypadku samochodowym. By udowodnić jego wielkość, sądzę, że wystarczy, bym opowiedział o odkryciu, jakiego dokonał, odkryciu na miarę stworzenia naszego Instytutu. Dzięki opowieściom o Nurim Efendim, pełniącym w meczecie funkcję regulatora czasu modlitw, u boku którego pracowałem swojego czasu, oraz kilku szczegółowym wyjaśnieniom odnośnie do zegarmistrzostwa, odkrył on, że szejek Ahmet Zamani żył, i to w czasach Mehmeda IV. Te dwie wzmianki i jego odkrycie stały się centralnym punktem hucznie obchodzonego święta zegara. Zainteresowanie i gorąca polemika w kraju i za granicą, jakie towarzyszyły książce, tłumaczonej na różne języki, wyraźnie pokazały, że mój świętej pamięci przyjaciel Halit Regulator nie mylił się ani co do konieczności istnienia szejka Ahmeda, ani co do okresu, w którym musiał on żyć. Co do mnie, nawet jeżeli pierwotny pomysł nie był mojego autorstwa, to tłumaczenia na osiemnaście języków tekstu, pod którym widniał mój podpis, i polemiki, które pojawiły się w gazetach, wydawanych we wszystkich tych językach, oraz wizyty wybitnych uczonych, takich jak Van Humbert, który jedynie by mnie poznać i odwiedzić grób szejka, przybył tu aż z Holandii; to wszystko sprawiało, że całe zajście mogę śmiało nazwać najważniejszą przygodą mojego życia.

Pojawiały się jednak i problemy. Dla zagranicznych uczonych, nawet jeśli korzystali z usług tłumacza, rozmowa na tak delikatny temat i próba odnalezienia grobu człowieka, który nigdy nie żył, stanowiła nie lada wyzwanie. Z opałów wybawiło nas, jak to nazwała jedna z gazet, „nasze derwiszowskie, rodzinne podejście do życia i wręcz nałogowa uprzejmość”. Poza tym pomógł nam zwyczaj używania pseudonimów naszych przodków.

Po kilku dniach chodzenia po cmentarzach Edirnekapy i Eyüp oraz ekspozycji KaracaAhmed w końcu znajdzie się nawet grób szejka Ahmeda.

I faktycznie został znaleziony. Nie czuję się szczególnie winny, że podkolorowałem nieco osobowość zmarłego. Przynajmniej dzięki temu jego mogiła została odnowiona, a imię rozślawione. Sława bywa jednak zgryzotą, jakiej nie wywoła najgorsza nawet katastrofa. Zdjęcia grobu, poczynając od Holandii, obiegały świat. Oczywiście pod warunkiem, że ja na nich byłem; na zdjęciach stałem obok grobu, na niektórych z palcami u skroni, z ręką położoną na kamieniu, na innych dotykałem płaszcza, czapki, trzymałem gazetę. Kiedy tak dzisiaj o tym myślę, żałuję tylko jednego. Po tym, jak Van Humbert napisał tyle dobrych rzeczy o mojej książce, rozślawił mnie na świecie i chodził ze mną krok w krok całymi dniami, nie pozwoliłem mu zrobić sobie zdjęcia przy grobie. Na wszystkie prośby odpowiadałem: „Jest pan przecież chrześcijaninem, to zakłóci spokój jego duszy!”. Pozwoliłem mu jednak stanąć po mojej prawicy. Jeśli się dobrze zastanowić, można by mi to wybaczyć. Ten facet zadręczał mnie miesiącami. A niech tam! Czemuż to ciągle przyłazą i zakłócają nam spokój. A przecież my żyjemy w naszym własnym świecie! Tu wszystko jest po naszymu. Niestety, po tym wszystkim, o czym się jeszcze przekonamy, Van Humbert postanowił się na mnie zemścić.

Tak, nie lubię ani czytania, ani pisania. Tymczasem dzisiejszego ranka siedzę nad grubym zeszytem i usiłuję spisać swoje wspomnienia. To właśnie dlatego codziennie wstaję coraz wcześniej, dzisiaj to już o piątej byłem na nogach. Nasze sprzątaczkę, nasz kucharz, którego jedyną wadą jest to, że nie pochodzi z Bolu, ale całkiem nieźle gotuje, nasza ochmistrzyni – Arabka Zeynep, którą z trudem znaleźliśmy jedynie po to, by dodać naszemu domowi klimatu starego miasta – cóż za przedziwna sytuacja, w czasach mojego dzieciństwa Stambuł pełen był czarnoskórych, którzy dzisiaj wyparowali niczym najlepszy towar eksportowy – w każdym razie w Willi Zegarowej nie zbudził się nikt z pracowników. Chcąc nie chcąc, sam zaparzyłem sobie kawę. Później, zatapiając się w fotelu, usiłowałem przemyśleć własne życie, podzielić wydarzenia z przeszłości na te, o których można zapomnieć, na te, które nie zasługują na utrwalenie, i te, które trzeba trochę pozmieniać. Wszystko to próbowałem tak poukładać, by pogłębić moje dzieło w ogóle i zachować uczciwość w szczególe. Cały czas pamiętając o wszystkich surowych regułach, które sam sobie narzuciłem.

A wszystko to dlatego, że ja, Hayri Irdal, przede wszystkim jestem szczery. Po cóż cokolwiek pisać, skoro nie mówi się wszystkiego otwarcie?

Nieskrępowana i bezwarunkowa uczciwość wymaga jednak odpowiedniego przetworzenia. Zgodzicie się chyba ze mną, że nie o wszystkim można powiedzieć wszystko. Zamiast pozostawać w pół słowa, należy wszystko przemyśleć i dobrze podobierać kropki i przecinki, tak by czytelnik zrozumiał właściwe przesłanie. Pisarz nie osiąga uczciwości od razu i w pojedynkę.

Niechaj z powyższych wynurzeń nie wyniknie dla was fakt, że do swojego życia, poglądów, osobowości i wszystkiego, co się na nią składa, przywiązuję przesadnie dużą wagę. Zawsze wierzyłem, że dobry Bóg nie daje nam życia po to, by je dobrze opisać, tylko po to, by je dobrze przeżyć. Słowo pisane to inny byt. Mówię tu o przeznaczeniu, o tym, co zostało nam zapisane.

Nie, moim zamiarem nie jest pisanie o sobie. Pragnę zachować pamięć o pewnych wydarzeniach, których byłem świadkiem, opowiedzieć o świętym człowieku, którego pochowaliśmy trzy tygodnie temu, i upamiętnić jego imię.

Mnie, najmarniejszemu, najbardziej pożałowania godnemu i cytując moją żonę z czasów przed założeniem Instytutu, najgnuśniejszemu z gnuśnych, dane było poznać naprawdę wielkiego człowieka, urodzonego geniusza. Przez lata żyłem obok niego. Poznałem sposób jego pracy. Byłem świadkiem tego, jak w jego głowie kielkują myśli niczym młode pędy, wypełniają całe jego ciało i rwą się do życia. Doświadczyłem każdego kawałeczka tego, czym jest życie codzienne i dzień wczorajszy największej i najdonioślejszej instytucji naszych czasów – Instytutu Regulacji Zegarów. Mógłbym nawet, wcale się nie pusząc i nie narażając na śmieszność, stwierdzić, że przez przypadek i dziwnym zrzędzeniem losu, mimo całej swej miernoty Hayri Irdal odegrał doniosłą rolę w dziele zakładania tego Instytutu.

Tak sobie myślę, że największą moją powinnością jest to, żeby wszystko to, co widziałem i słyszałem, przelać na papier w taki sposób, by skorzystały z tego przyszłe pokolenia. Wydaje mi się, że jedynym człowiekiem, który zrobiłby to lepiej ode mnie, byłby Halit Regulator, ale nie ma go już między nami. Nie dalej jak wczoraj wieczorem przyłapałem się na tym, że znowu wpatruję się w miejsce, które zostało po nim przy naszym stole. Nigdy nie zapomnę, jak podczas posiłku moja żona załzawionymi oczami wpatrywała się w to puste krzesło. Tak jakby wszystko wokół stało się obce. W końcu nie wytrzymała, wstała od stołu z chusteczką przy-

ciśniętą do oczu i zamknęła się w pokoju. Jestem pewien, że płakała całą noc. Prawda jest taka, że Halit Regulator, mój mentor, był także jej największym przyjacielem. Tak naprawdę to właściwie mój i jej żal zrodził pomysł spisania tych wspomnień. W nocy, leżąc w łóżku, długo mówiłem sam sobie: „Hayri Irdalu, dużo rzeczy widziałeś i przeżyłeś. Mimo że masz dopiero sześćdziesiątkę, to wiodłeś życie kilku osób naraz. Poznałeś, co to nędza, odrzucenie i wszelkiego rodzaju zgryzoty. Zgrabnie i lekko wskoczyłeś na schody wiodące ku pomyślności. Udawało się rozwiązać kwestie nigdy przez nikogo nierozwiązane. I wszystko to dzięki Halitowi Regulatorowi. To on wyciągnął cię z ciemności. Byś ty mógł żyć, myśleć i czuć się swobodnie, sprawił, że wszystko i wszyscy stali ci się przyjaźni. Ty, dla którego wszystko było brzydkie, nędzne i obskurne, nagle zrozumiałeś, że człowiekowi należy się pewna doza prawdziwej przyjemności i szczęścia, że dusza ludzka jest szlachetna. Doświadczyłeś bliskości i miłości braterskiej. To on pokazał ci, jak szlachetną jest twarz twojej własnej żony Pakize; ty, który myślałeś, że twoje dzieci to kara za grzechy zesłana przez Najwyższego, dzięki Halitowi pojąłeś nagle, że to dar Niebios. I ty nie zrobisz nic, żeby upamiętnić tego, tak dobrego, szczerego i ze wszech miar wielkiego człowieka i twojego przyjaciela? Pozwolisz, by go zapomniano, by wspomnienie o nim i o jego wielkości spoczęło pod stosem insynuacji i oszczerstw? Przypomnij sobie, jak wyglądało twoje życie, zanim poznałeś Halita Regulatora. A jakie jest teraz? Przypomnij sobie mieszkanie na Edirnekapy, wiecznie i skutecznie oblegane przez wierzycieli odcinających ci wszelkie drogi ucieczki, przypomnij sobie pogoń za kromką chleba... A potem pomyśl o dzisiejszym spokoju i dobrobycie!...”

2

Powiedziałem: „moje życie, zanim poznałem Halita Regulatora”. Ale czy tamtą egzystencję można nazwać życiem? Jeżeli słowo „żyć” oznacza cierpieć wieczny niedostatek i zgryzotę, stale się cofać, zanikać, rozpadać na kawałki i być ponizanym, jeśli oznacza miotać się w zaklętym kręgu, który stale się zaciska, jeśli tak, to ja i moi bliscy żyliśmy pełnią życia. Jeśli jednak definicję tego słowa wzbogacić o jakieś walory duchowe i intelektualne, poczucie sprawiedliwości, wewnętrzne poczucie spełnienia, zaufanie

do świata... to już zupełnie co innego. Zauważcie, że nie opowiedziałem jeszcze nic o czynieniu dobra, byciu pożytecznym. Zanim poznałem Halita Regulatora, nie znałem stanu uniesienia, który wynikał z tego rodzaju działalności. Dzisiaj moje życie ma sens. Pozostawiam po sobie coś, co w mniejszym lub większym stopniu ocali mnie od zapomnienia. Przez dziesięć lat pełniłem funkcję zastępcy dyrektora najnowocześniejszego i najważniejszego instytutu na świecie. Nie tylko dzieciom i żonie, ale również dalszej rodzinie, ich małżonkom i przyjaciółom – czyniłem dobro nawet tym, którzy mnie skrzywdzili – znajdowałem pracę i prowadziłem ich ku bogactwu. Halit Regulator, zakładając Instytut, podjął bardzo trafną decyzję – postanowił, że członkowie naszej kadry będą musieli mieć rekomendację od ważnych dla nas osób, my bez mrugnięcia okiem podporządkowaliśmy się temu nakazowi; przy czym połowę naszych pracowników stanowili w równych częściach krewni moi i Halita Regulatora. Specjalnie dla nich zbudowaliśmy osiedle obok Suadiye, przyczyniając się znacząco do rozwoju całego miasta, czyniąc tym samym dostatecznie dużo, by nas zapamiętano.

Sam nie wiem, czy należy mówić o tym, na jak długo przed podjęciem decyzji o zamknięciu Instytutu krytykowano nas w prasie i jak nas atakowano tuż po jej podjęciu. Jakie to życie jest dziwne. Te same gazety, którym dziesięć lat wcześniej podobało się wszystko, co robimy, które nas wychwalały, a naszą organizację stawiały za wzór całemu światu, których dziennikarze byli zawsze tak przyjacielscy i tak ochoczo uczestniczyli w naszych przyjęciach i konferencjach prasowych, teraz te same gazety nawet na chwilę nie chcą zaprzestać mieszania nas z błotem.

Wcześniej bez żadnej zachęty ani tym bardziej przymusu rozpływali się w zachwytach nad rozwojem i wręcz niezbędnością naszej organizacji. Później zaś bez przerwy zarzucali nam rozdmuchaną administrację, zatrudnienie trzech dyrektorów, jedenastu dyrektorów oddziałów, czterdziestu siedmiu maszynistek i dwustu siedemdziesięciu urzędników, zupełnie nie zawracając sobie głowy myślą o bezrobociu szalejącym wówczas w kraju, o powszechnych zwolnieniach i całkowitej niemożliwości znalezienia jakiegokolwiek pracy. Jeszcze później zaczęli naigrawać się z nazw naszych departamentów, zupełnie jakby w ogóle nie było małej i dużej wskazówki zegara, sprężyny, wahadła, tarczy zegara, wszystkiego tego, co nazywamy czasem: godzin, minut, sekund czy nanosekund, lub były to słowa dziwne czy wstydlive. Potem zabrali się za samych dyrektorów, którzy przepa-

cowali już dziesięć lat i na swojej pracy zjedli zęby; krytykowali ich wykształcenie, specjalizacje i kompetencje; zaczęli bezlitośnie wyśmiewać się z ich publikacji, które wcześniej cieszyły się powszechną aprobatą.

Wszystkie nasze publikacje, począwszy od mojej książki *Szejk Ahmet Zamani i jego dzieło*, zostały podziurawione bezlitosną krytyką. Każdego dnia na pierwszych stronach gazet można było oglądać okładki naszych książek: okładkę napisanej z wielką dokładnością i okupioną ogromnym wysiłkiem pracy męża mojej młodszej szwagierki, szefa działu Jednej Sześćdziesiątej Sekundy, zatytułowanej *Wpływ wiatrów południowych na kosmiczną regulację czasu*, okładki książek mojego przyjaciela, doktora Ramiza: *Czas i Psychoanaliza*, *Metoda Irdala w charakterologii czasu*, czy dzieła Halita Regulatora *Monizm socjalny a Czas*, *Sekunda i Społeczeństwo*; ich zdjęcia widniały pod nagłówkami o takiej treści, jakby dotyczyły one rzeczy albo bardzo zabawnych, albo równie groźnych jak tajne dokumenty.

I na tym nie poprzestali, przy okazji krytyki naszego tak wydajnego i wartościowego systemu nagród i kolektywnych kar pieniężnych, który to system dawał tyle możliwości rozwoju, bardzo ułatwiał działanie, zarówno w teorii, jak i w praktyce, czyli pracy samego Instytutu, oraz tak dalece wychodził naprzeciw potrzebom ludności naszego miasta, oskarżyli nas o szwindel i prostackie fałszerstwa. Był czas, kiedy oklaskiwano ten system kar, który wymyśliłem z nudów, przyglądając się niekończącym się partiom tryktraka rozgrywanym przez moją żonę Pakize i Halita Regulatora.

Pewien nasz wielki finansista oficjalnie zadeklarował, że system kar jest w historii finansów pozycją prawdziwie innowacyjną, a następnie przy każdej okazji i bez żadnego wahania zaczął wymieniać mnie obok takich postaci, jak doktor Turgot, Necker czy Schacht.

I miał rację. W kwestiach finansowych tak to już jest, i to nie od dziś, ale od zawsze, że kiedy człowiek zaczyna być płatnikiem kar, od razu traci humor. Nasz system kar pieniężnych rządził się jednak zupełnie innymi prawami. Kiedy winowajca dowiadywał się o problemie, najpierw się dziwił, potem, kiedy zrozumiał podstawę zarzutów, zaczynał się uśmiechać, a kiedy zorientował się w powadze sytuacji, zwijał się ze śmiechu. Ileż to osób przy pierwszym kontakcie z naszymi urzędnikami popadało w zachwyty: „Ojej, a to dopiero! Może wpadnie pan do nas do domu? I pozna pan moją żonę? Oto adres!”, a razem z wizytówką wręczali im zazwyczaj pieniądze na taksówkę.

Podstawą naszych wpływów z kar było naliczanie pięciu groszy od każdej pomyłki każdego zegara w mieście, o ile wskazywany czas nie zgadzał się z czasem oficjalnym. Ale jeśli zegar ten podawał czas różny od jeszcze innego zegara, mandat podwajano. W ten sposób, jeśli spieszyły się dwa zegary jednego właściciela, wysokość kary rosła w postępie geometrycznym. Ponieważ niemożliwa jest synchronizacja wszystkich zegarów – jest to kwestia indywidualnej niezależności każdego z nich, lecz teraz nie mogę zająć się dogłębnie tym zagadnieniem – każda kontrola w zatłoczonym miejscu mogła przynieść znaczące sumki.

Poza tym do tego dosyć skomplikowanego systemu dodaliśmy jeszcze różne opłaty za zegary, które się spieszą i spóźniają. Wszyscy wiedzą, że każdy zegarek albo się spieszy, albo spóźnia. Trzeciego wyjścia nie ma. To taka ogólna zasada o niemożliwości synchronizacji, no chyba że czas by się zatrzymał. Ale tu chodzi o coś więcej. Moja teoria jest taka: ponieważ człowiek został stworzony, by panować nad światem, przedmioty muszą się do niego dopasować. Podam taki przykład. Moje dzieciństwo przypadło na okres panowania Abdülhamida; nie było w nas radości. Na początku surowe oblicze władcy oddziaływało na coraz szersze kręgi, w końcu zaś nieszczęście wżarło się także w przedmioty. Te hałaśliwe, ostre i ponure gwizdy promów wryły się tak głęboko w mózgi wszystkich moich rówieśników. Posłuchajcie tylko dzisiejszych gwizdków na promie i tramwajowych dzwonek – ileż w nich radości i śmiechu. Tak samo jest z zegarami. Chcą czy nie, muszą zmieniać tempo tykania zależnie od temperamentu, cierpliwości lub popędliwości, sytuacji domowej, poglądów politycznych i religijności swojego właściciela. Polityczne wpływy istotne są zwłaszcza w społeczeństwie takim jak nasze, społeczeństwie, które przeszło głębokie przemiany, odrzuciło rody i dynastie, zmieniło formę rządów, społeczeństwie, które samo zmieniło się nie do poznania. Religijność natomiast, z różnych powodów, bywa skrywana bardzo głęboko. Przy obowiązujących sankcjach nikt nie odważyłby się wstać i głośno powiedzieć: „A oto moje zdanie”. No może gdzieś, gdzie nikt by go nie usłyszał. I oto, dla tych skrywanych głęboko, odmiennych przekonań, najlepszym miejscem, aby wyjść na świat, okazał się nasz zegarek.

Najbardziej zaufany przyjaciel swojego pana, doskonale znający puls swego właściciela, jeśli akurat jest zegarkiem na rękę. Dzielący wszystkie radości i troski, ogrzewany jego ciepłem, jednoczący się z całym organi-

zmem, jeśli jest „cebulą” noszoną na piersi, i oczywiście zegary stojące na biurkach, spędzające z nami ten czas, który nazywamy dniem – one również, czy chcą tego czy nie, dopasowują się do swojego właściciela, zaczynają żyć i myśleć tak jak on. Nie wdając się w szczegóły, powiedzmy sobie tylko, że zjawisko utożsamiania się z ludźmi występuje wśród wszystkich przedmiotów, chociaż zegarki są najbardziej wrażliwe. Czy nasze czapki, buty i całe ubranie nie stają się częścią nas samych? Czy to nie dlatego tak często chcemy je zmieniać? Człowiek, który zakłada ubranie po raz pierwszy, wygląda trochę tak, jakby nie był sobą: jakby czuł potrzebę, żeby popatrzeć na siebie z oddali, tak by mógł radośnie oświadczyć: „Już jestem kimś innym!”.

Mógłbym iść o zakład, że świętej pamięci Halit Regulator z obawy o dobro naszej organizacji tego rodzaju opinie kazałby mi zachować dla siebie; ale odkąd nie ma już nad nami jego opiekuńczej ręki, bez obaw mogę powiedzieć, że ze starych nakryć głowy i obuwia można wyczytać wiele o zwyczajach, nawykach, problemach życiowych czy cierpieniu ich właściciela. To dlatego kiedy przyjmujemy nowych ludzi na służbę do naszego domu, od razu obdarowujemy ich jakimś ubranie, jedną czy dwiema starymi koszulami, jakimiś apaszkami, czy parą starych butów. Osoba, która nas w ogóle nie знаła, jak tylko ponosi te rzeczy, pochodzi w naszych butach, w tajemniczy sposób staje się nam bliska, sama zaś, nie zdając sobie z tego sprawy, zupełnie nieświadomie zaczyna aprobować nasz sposób myślenia. Ja sam dwukrotnie doznałem tego stanu.

Pan Cemal, który wyrzucając mnie z Banku Rzeczy Różnych, wpechnął mnie tym samym w otchłań rozpacz, też kiedyś obdarował mnie starymi ubraniami. Nasze temperamenty różniły się jak dzień i noc. Był on człowiekiem popędliwym, aroganckim, lubiącym znęcać się nad ludźmi i wszystko wrzucać w tryby swoich drewnianych zasad. Było to całkowite przeciwieństwo mojej miłej i grzecznej osobowości, wiecznie zajętej łagodzeniem skutków codziennych zmagania z rzeczywistością. Nie mogłem więc przejąć wszystkich jego nawyków. Ale chyba przeszła na mnie jego jedyna słabość, uczucie, jakie żywił do swojej żony. Wystarczył tydzień noszenia jego ubrań, żebym ja, uczciwy muzułmanin, ojciec trojga dzieci i mąż takiej kobiety jak Pakize, wielbiący ją pod każdym względem, zakochał się do szaleństwa w pani Selmie. Odszedłem z banku, minęło wiele lat, ubranie się na mnie rozpadło. Ale zauroczenie nie minęło.

Drugi raz dostałem ubranie od Halita Regulatora, gdy zabieraliśmy się do organizowania Instytutu; stwierdził on, że nie mogę chodzić we własnym. Od pierwszej chwili gdy je założyłem, zauważyłem różnicę w samym sobie. Nagle okazało się, że moje horyzonty się poszerzyły. W całości przejąłem jego sposób postrzegania rzeczywistości. W moich wypowiedziach pojawiły się takie wyrażenia, jak metamorfoza, koordynacja, badania, usprawnienia pracy, różnice w mentalności, wyższe rozumowanie, umysłowość naukowa oraz, już wbrew własnej woli, zacząłem mówić o „nieuchronności”, „nie-możliwości”, bez końca porównywać Wschód z Zachodem, wydawać rozkazy, których powagi sam się nie raz zląkłem. Tak samo jak on patrzyłem na ludzi wzrokiem, który mówił, „do czego ty się przydasz?”, a życie traktowałem jak ciasto, które trzeba porządnie wygnieść w brytfance. Jednym słowem jego odwaga i cała innowacyjność zostały we mnie zainstalowane na stałe. Tak jakby to nie było ubranie, ale jakieś czary. Pani Selma, żona pana Cemala, nie wydawała mi się już tak niedostępnym bytem. Oczywiście nie wszystko szło mi tak gładko jak panu Halitowi. Moja łagodna, układna i współczująca natura często psuła mi szyki, nie pozwalała dojść do głosu i kazała zmieniać uprzednio podjęte decyzje. Mimo to spomiędzy tych dwóch żywiołów, wyszedłem jako człowiek wygadany i zdolny do podejmowania decyzji. Kiedy opowiedziałem o tym świętej pamięci Halitowi Regulatorowi, uśmiechnął się i powiedział z właściwą sobie serdecznością w głosie: „To tylko dodaje smaczku wszystkiemu, co robisz, nie przestawaj!”.

Nie można kontynuować tej opowieści bez przytoczenia słów, które wypowiedział podczas jednej z naszych dyskusji:

– Kochany Hayri – powiedział – pańskie słowa są ze wszech miar prawdziwe. Taki jest właśnie powód, dla którego wszyscy wielcy ludzie rozdają służbie swoje ubrania i inne drobiazgi. Cesarze rzymscy, królowie, wszyscy możni tego świata, wszyscy mieli zwyczaj dawać przyjaciołom swoje rzeczy, żeby obdarowani myśleli podobnie jak darczyńcy. Padyszachowie osmańscy z tego właśnie powodu musieli czynić prezenty ze swoich futer i kaftanów wielkim wezyrom. Nieświadomie odkrył pan wielką tajemnicę historii, swego rodzaju mechanizm psychologiczny!

Miał bez wątpienia rację. Nie zapominajcie, że to odkrycie nastąpiło po tym, jak założyłem jego ubranie. Tak, ten człowiek był urodzonym myślicielem, a ja dokonałem tego odkrycia wyłącznie dlatego, że chodziłem w jego ubraniu.

Wróćmy jednak do naszych zegarów. Chciałbym opowiedzieć teraz o jednej, być może najważniejszej publikacji naszego Instytutu, autorstwa doktora Ramiza, *Psychoanaliza Zegarów*. Nie powinienem jednak tego robić; boję się, że moje doświadczenia i odmienna natura sprawią, że opis będzie nieadekwatny. Zresztą książka jest dostępna. Każdy może do niej zajrzeć.

Różnica pomiędzy mną i doktorem Ramizem – przytaczam tylko jego własną opinię – polegała na tym, że ja posługiwałem się uznanymi metodami z dziedziny psychologii i socjologii, on zajmował się seksualnością, libido i wstrzemięźliwością. Nie miałem pojęcia, czym różni się psychologia społeczna od innych gałęzi psychologii, nie mówiąc już o socjologii, ale podobało mi się, że ktoś tak postawił sprawę. Doktor Ramiz na końcu swojego wywodu stwierdził, że jestem wielkim idealistą. Moja żona, z którą także omawiałem tę kwestię, stwierdziła wprost, że to nie idealizm, a abnegacja, że zaniedbuję pewne istotne aspekty życia, które są tak nierozzerwalnie związane z człowiekiem, jak czas i zegar; uważała, że powodem mojej odmienności i oziębłości muszą być przyczyny natury psychicznej.

Niezależnie od tego, jak i skąd się patrzy, widać, gdy zegar się spóźnia i o ile się spieszy. Podniesienie naszych kar o dwa grosze dla opóźniających się zegarów spotkało się ze zrozumieniem. Nawet z entuzjazmem. Stosowaliśmy znaczące kary za opóźnienia, nie zapominając o tych czasomierzach, które się spieszyły, jednakże w ich przypadku stawka była inna. Ludzie unikają symetrii. Szukają możliwości skorzystania z odstępstw. Śmiało mogę przytoczyć starą prawdę, że prawdziwe dobro może zaistnieć jedynie w konfrontacji ze złem, zwłaszcza złem ukaranym i napiętnowanym. Mój stary nauczyciel, świętej pamięci Nuri Efendi, którego imię jeszcze nieraz pojawi się w dalszej części książki, często rozprawiał o mistycyzmie i przy tej okazji zwykł był mawiać, że „wszystko jest możliwe i staje się znane dzięki grze przeciwieństw”. Właśnie dlatego Halit Regulator uznał mój postulat podniesienia kar za istotny.

Trzecią wprowadzoną przeze mnie poprawką do systemu kar pieniężnych było ograniczenie ich naliczania za kolejne przewinienia, do trzydziestu procent stawki podstawowej. Wszystkie znane nam prawa – kodeksy karne i zwyczajowe – przewidują wyższy wymiar kary za recydywę. To zaś wywołuje opór i staje się powodem specyficznej rywalizacji między winnym i prawodawcą. Nie mówię o pierwszym przewinieniu. Według wszelkiego

prawdopodobieństwa, podobnie jak u nowożeńców, kara wywoła jedynie skruchę. Ale kiedy zostaje podwojona, stawiamy się mimowolnie w pozycji licytowanego towaru. Wobec tego przewidzieliśmy, że stosowane przez nas metody zaczynać się będą od naliczania dodatkowych dziesięciu procent przy każdym kolejnym wykroczeniu, ale przy siódmym czy ósmym pozostaną na poziomie trzydziestu procent, powstrzymując ewentualne gwałtowne reakcje karanych. Dzięki temu nasz podwójny system kar kolektywnych i sam Instytut zyskały większe zainteresowanie. Okazało się, że i tu rządzi komercja. Urząd miasta pozostawił kwestię wpływów z pobieranych opłat do naszej wyłącznej dyspozycji, prowadziliśmy więc ten swoisty rodzaj handlu. Która firma handlowa nie stosuje upustów dla swoich stałych klientów? Wcale się nie myliłem, zakładając, że ludność Stambułu będzie zadowolona, kiedy zostanie wprowadzony system rabatów i wprawni kupcy zaczną, na początku nieśmiało, z czasem pełną parą, czerpać korzyści z systemu. Zakładaliśmy, że ludność miasta sama przyłączy się do tej inicjatywy.

I rzeczywiście tak się stało. Ta część naszych cichych stronników, która nie była pewna, czy nie chodzi o żart, i chciała na własne oczy zobaczyć działanie systemu redukcji kar, przychodziła do naszych biur z zegarkami w rękę albo zaczepiała naszych kontrolerów na ulicy, żądając wypisania mandatu. Całe miasto opanowała moda, by podejść z własnej woli i poddać się kontroli. Okazało się, że nie tylko dzieci potrzebują zabawek. Dorosli dali się wciągnąć do radosnej zabawy.

Dodać jeszcze, że rzecz nie dotyczyła tylko Stambułu, okoliczne wsie, a nawet pobliskie miasta również wykazywały zainteresowanie dla naszej inicjatywy. Po pierwszych miesiącach działania systemu zredukowanych kar Zarząd Kolei wprowadził karne bilety miesięczne, a następnie został zmuszony do wysłania większej liczby składów na niektóre linie. Na stacjach Haydarpaşa i Sirkeci pracownicy codziennie obserwowali, jak z kolejnych pociągów wypadają nowe tabuny ludzi: „Ach, żeby tak móc to zobaczyć...”, „To niemożliwe, a jednak to prawda...”, „Ludzie jadący z prowincji do tego stopnia się niecierpliwili, by dostąpić naszej kontroli, że zmuszeni byliśmy przenieść urzędników z Pendik po stronie anatolijskiej i z Çatalca po stronie europejskiej na stacje znajdujące się bliżej miasta i na dworce w samym Stambule. Ponieważ ciągle brakowało siły roboczej, musieliśmy uszczuplić personel naszych

Stałych Stacji Regulacji Zegarków i składających się z młodzieży Ekip Regulacyjnych”.

Można śmiało powiedzieć, że nasz Instytut zyskiwał sławę za granicą, sławę, którą zawdzięczał właśnie systemowi kar pieniężnych. Na pewno widzieliście w gazetach zdjęcia naszych pocztówek, sprzedawanych na całym mieście, kupowanych masowo przez turystów, którzy zmuszali kapitanów promów do zmiany programu podróży i choć tygodniowego pobytu w Stambule, by mogli nakupić sobie pamiątek i materiałów reklamujących Instytut. Turyści wyruszali w dalszą drogę z kilkoma mandatami za recydywę w rękę, a wielu ze wspomnieniami rozmów przeprowadzonych z Halitem Regulatorem i nawet ze mną.

Nie będę wymieniał wszystkich nieprawości, jakich ostatnimi czasy doznał nasz Instytut. W trakcie lektury czytelnik sam je dostrzeże i sam oceni, przez co musieliśmy przejść. Nie mogę nie wspomnieć jednak o jednej kwestii.

Obserwatorzy i krytycy Instytutu pomijali jedną ważną okoliczność, a mianowicie nierozzerwalne więzy, jakie łączyły organizację z moją własną osobą, nawet z moją przeszłością. Nie zamierzam tu negować wielkiego znaczenia inicjatywy i ożywczej myśli Halita Regulatora. Jest on pod każdym względem moim wielkim protektorem i przyjacielem. Ale moja rola w organizacji, wbrew temu, co niektórzy sobie wyobrażali i czasami próbowali insynuować, nie ograniczała się do roli przekaźnika i do wykonywania, jak narzędzie, powierzonych zadań. Halit Regulator był pomysłodawcą, ale ja także przez całe życie zmagalem się z problemami Instytutu i zapłaciłem za to wysoką cenę. Tak, to był owoc mojego życia!

O ile głównym celem niniejszych wspomnień jest odparcie zarzutów i oszczerstw pod adresem świętej pamięci nieodżałowanego Halita Regulatora i samego Instytutu, o tyle drugim, wcale nie mniej ważnym ani nie mniej doniosłym, jest ujawnienie kilku drobnych, aczkolwiek bardzo istotnych faktów.

3

Powyżej wspomniałem już nie raz o tarapatach, w jakie zdarzyło mi się popadać. Czytelnik zorientuje się jeszcze, jak mocno przykleiły się do mnie żądza i nieprawość, jak przez całe życie służyły mi za drugą skórę. Choć nie powiem, że nie dostąpiłem też łaski.

Urodziłem się w zubożałej rodzinie. Mimo to dzieciństwo miałem szczęśliwe. Bieda nie była aż tak uciążliwa, jak można by się spodziewać, o ile udawało się jakoś zachować pewien dystans wobec otaczającej rzeczywistości. Miało to swoje dobre strony. Najlepszą, z punktu widzenia dziecka, była wolność.

W dzisiejszych czasach słowo to ma konotacje wyłącznie polityczne. Jaka szkoda! Obawiam się, że ci, którzy słowo to potrafią odnieść wyłącznie do sytuacji całych społeczeństw, nie wiedzą, co naprawdę znaczy. W polityce termin „wolność” jest narzędziem służącym do zniewalania ludzi, drzwiami do wszelkich manipulacji otwartymi na oścież. Załóżmy, że na świecie jest tylko garstka jedzenia, zawsze znajdzie się ktoś, kto wszystko zagarnie dla siebie, innych skazując na głodówkę. Nigdy nie widziałem rzeczy równie sprzecznej i gubiącej się we własnych sprzecznościach. Podczas mojego krótkiego życia to szczęście zwane wolnością miało nasz kraj nawiedzić siedem czy osiem razy. Chociaż nikt nigdy nie powiedział, że już sobie poszła, przychodziła siedem czy osiem razy, a wówczas ze szczęścia i radości wybiegaliśmy na ulice urządzać huczne zabawy. Skąd przychodzi? Jak odchodzi? Czy darczyńca nam ją odbiera? Czy też, gdy nagle się nią znudzimy, ofiarowujemy ją innym, mówiąc: „Proszę bardzo, mój panie, ja już się nią nacieszyłem. Teraz jest pańska, może panu się na coś przyda?”. A może jest jak w bajkach, w których piękne i błyszczące leży sobie pod ścianą i czeka, żeby go dotknąć, lecz zmienia się w węgiel i garstkę ziemi, gdy tylko wyciągamy doń rękę? Nie mam pojęcia. W końcu doszedłem do wniosku, że nikt jej nie potrzebuje. Pragnienie wolności – żeby użyć jednej z ulubionych fraz Halita Regulatora, przecież już mnie z tego nie rozliczy i nie będzie ze mnie żartować za to, że używam jego języka! – to nic innego, tylko kolejny rodzaj snobizmu. Jeśli naprawdę tak bardzo byśmy jej potrzebowali, naprawdę tak ją miłowali, to raz ją zdobywszy, nigdy nie pozwolilibyśmy, by zniknęła nam z oczu i pierzchła spod nóg. A tymczasem co? Pojawia się i następnego dnia już jej nie ma. I co dziwniejsze, bardzo szybko przywykamy do jej nieobecności. Wystarczy, że pojawi się na kartach mądrej książki albo ktoś o niej wspomni w jakimś niezwykle oficjalnym przemówieniu.

O nie, wolność z mego dzieciństwa nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Zacznijmy od najważniejszego, nikt mi tej wolności nie dał. Nagle sam znalazłem w sobie jej zarzewie. Niczym śpiew ptaków w zaroślach i kryształ wody. Odkąd ją znalazłem, całe moje mizerne życie, ubogie domostwo, ludzie wokół mnie, wszystko się zmieniło. A później... później

ją straciłem. Lecz to, co mi ofiarowała, to największy skarb mojego życia. Ani ubóstwo dnia wczorajszego, ani dostatek dzisiejszego nie mogą odebrać mi lat doświadczania cudu jej istnienia. Nauczyła mnie, jak żyć, niczego nie posiadając i do niczego nie przywiązując wagi.

Nie podążałem za zbytkami. Nie goniłem za mrzonkami. Nigdy nie zależało mi na tym, by w szkole być pierwszym, drugim czy nawet dwudziestym.

Zatłoczona klasa w Fatih Rüştüyesi umożliwiła mi oglądanie tego wyścigu z ostatniej ławki, niczym z łoży królewskiej. Nauczyłem się obserwować ludzkie sprawy z pewnego dystansu. Do szkoły nie byłem odprowadzany przez bonę czy lokaja, jak większość moich kolegów. Nie miałem ani zdobnych szat, ani nieprzemakalnych butów czy ciepłego palta. Chodziłem w spodniach z łatami na kolanach i w swetrach przetartych na łokciach. Nikt nie dawał mi tysiąca buziaków na do widzenia przed szkołą i nikt wieczorem nie wyczekiwał mojego powrotu ze szkoły. Wręcz przeciwnie, im później wracałem do domu, tym szczęśliwsi byli domownicy. I ja także byłem szczęśliwy. Brak tego wszystkiego wynagrodziły mi życie i ulica. Wszystko to, tak różnorodne i rozkoszne, było moje: pory roku, ludzie, zwierzęta i rzeczy.

Dwa razy dziennie przemierzałem drogę między dzielnicami Edirnekapy i Fatih, każdym krokiem zbliżając się do innej mrzonki. W wieku lat dziesięciu moje szczęśliwe życie zmąciła pewna namiętność. Otóż w prezencie na obrzezanie otrzymałem od wujka zegarek, który solidnie zachwiał moją równowagę ducha. Każda silna pasja, nawet ta najbardziej niewinna, zawsze jest niebezpieczna. Moje łagodne usposobienie stało się przeszkodą usunięcia wszystkich śladów, jakie pozostawił w moim życiu. Wręcz przeciwnie, to on pokierował całym moim życiem. To dzięki niemu moje życie nabrało kształtu. Może to właśnie on otworzył przede mną drzwi do wolności.

4

Datę moich urodzin, 16 dzień miesiąca Radżab roku 1310*, którą ojciec zapisał na okładce pewnej starej książki, można spokojnie zignorować,

* 16. 07. 1910 (przyp. tłum.)..

ponieważ Hayri Irdal naprawdę urodził się w dniu, w którym w jego rękę znalazł się ten pierwszy zegarek. Od dnia, w którym go znalazłem, przewiązany niebieską wstążeczką – to wymysł ciotki, by zaoszczędzić na łańcuszku – leżący na mojej poduszce, moje życie nabrało sensu i nowego, głębszego wymiaru. Ten mały zegarek od razu zaczął porządkować moje życie, usuwać z niego zbędne przedmioty, które mnie otaczały, żeby zdobyć dla siebie własną przestrzeń życiową. Wszystko, co do tej pory mogłem nazwać swoją własnością, zaczęło schodzić na dalszy plan. Zrobiony z papieru minaret z dwiema galeryjkami, prezent od wujka – dla własnych dzieci wybierał prezenty inne, jeśli chcecie nazwać je dzisiejszym językiem, nowe i laickie – może gdyby mój ojciec nie był służebnym w meczecie i nasz dom nie stał niemal w obrębie meczetu Mihrimah, może wtedy dostawałbym od niego inne prezenty; ogromny latawiec, który ze wszystkimi chłopakami z sąsiedztwa zrobiliśmy z wielkim wysiłkiem, figurki do teatru Karagöz, które kupiłem za pieniądze ze sprzedarzy handlarzom leblebi* ołowianych części zbieranych w okolicach meczetu, nawet będący własnością naszego sąsiada, pana Ibrahima, bezczelny kozioł, którego pałem w każdej wolnej chwili na cmentarzu Edirnekapy i na porośniętych trawą murach, cierpliwie znosząc tysiące przeciwności losu – wszystko to straciło dla mnie znaczenie.

Teraz trochę się boję, iż czytelnik może sobie pomyśleć, że do opisanego właśnie dnia nigdy w życiu nie widziałem zegara na oczy, że nigdy żaden zegarek nie pojawił się w naszym domu. A właśnie że nie, było wręcz odwrotnie, w naszym domu zegarów było nawet kilka.

Każdy wie, że nasze życie było kiedyś wyznaczane wskazówkami zegara. Nuri Efendi powiedział mi nawet kiedyś, że najlepszymi klientami europejskich zegarmistrzów byli muzułmanie, a najwierniejszymi spośród nich – obywatele naszego państwa. Modlitwa pięć razy dziennie, iftar w ramadanie**, sahur***, wszystkie czynności religijne wykonywane o określonej porze. Zegar był najlepszym sposobem na znalezienie Boga, a ludzie w dawnych czasach żyli zgodnie z Jego nakazami.

* Specjalnie preparowany groch do „przegryzania” (przyp. tłum.).

** Dziewiąty miesiąc w kalendarzu muzułmańskim, po arabsku „palący”, nazwany tak od dokuczliwych upałów – tradycyjnie czas postu obowiązujący codziennie od rana do wieczora, kiedy zasiada się do wieczerzy, która nazywa się iftar (przyp. tłum.).

*** Pierwszy posiłek przed świtem w dniu postu w ramadanie (przyp. tłum.).

Co krok, to zegarmistrz. Nawet najbardziej zabiegani ludzie zatrzymywali się przy oknach wystawowych; z nabożeństwem wyciągali z kieszeni, zależnie od stopnia zamożności, wieku czy nawet budowy ciała, złote, srebrne, ozdobne, z paskiem, bez paska, niektóre nadęte jak poduszczyka na igły lub skorupka żółwika, niektóre płąściutkie i całkiem małe... wyciągali z kieszeni zegarki, które kiedyś, w lepszych czasach, kupili dla siebie lub swojej rodziny i odmawiając modlitwę, nastawiali je, nakręcali, potem przykładali do ucha, zupełnie jakby mieli nadzieję usłyszeć jakieś miłe wieści, które kiedyś lub całkiem niedawno sami do siebie wysłali. Dla nich odgłosy zegara brzmiały jak dźwięk wody w przedmeczetowej fontannie, jak wewnętrzny głos wielkiej i odwiecznej wiary. Ten odgłos jest inny dla każdego z nas i słyhać go w obydwu wymiarach naszego życia. Z jednej strony reguluje codzienne zajęcia i obowiązki, a z drugiej otwiera przed nami bezpieczne drogi bez skazy, drogi do wiecznej szczęśliwości, za którą bez wytchnienia gonimy.

W naszym domu na poddaszu stał wielki zegar; zawsze kiedy brakowało nam pieniędzy, ojciec próbował go sprzedać, ale nigdy mu się to nie udawało, a to z powodów, o których jeszcze opowiem. Ojciec dostał ten zegar od mojego dziadka, razem z przeróżnej wielkości tabliczkami z napisami osmańskimi, zimnymi i śmierzącymi wilgocią dywanami, grubymi zasłonami u wejścia do pokoju i na schody, które robiły z naszego domu istny meczet.

Od niektórych spośród naszych sąsiadów, tych co to lubią obgadywać, szczególnie od właściciela tej kapryśnej kozy, pana Ibrahima, dowiedziałem się, że ten zegar został przyniesiony przez mojego ojca w czasach, kiedy pracował jeszcze w meczecie. Według tych pogłosek tej nocy, gdy płonął meczet, ojciec pojawił się w domu z wieloma uratowanymi z pożaru przedmiotami, a wraz z osmańskimi tabliczkami przyniósł też ten zegar. Pomiędzy wyniesionymi przedmiotami miał znajdować się stolik z wyłobionymi strusimi jajami, miotły z Mekki zawieszane u sufitu oraz kotary.

Mój biedny ojciec musiał znosić te pomówienia i milczał całymi dniami. Czemu ludzie kłamią i rzucają oszczerstwa? Moim skromnym zdaniem kalumnie są nie tylko szpetne, lecz śmieszne i żalodne. Niech ci, których ich własna ludzka natura zmusza, by szkodzić innym, popatrzą na życie swych wrogów, to wystarczy. Ponieważ w życiu każdego człowieka jest niewyobrażalnie wiele wad i przywar, które rosną wraz z nim

i dojrzewają; tworzą one gatunek sam w sobie. Prawdę mówią słowa, że nie ma ideałów i nikt nie jest bez wad. Należy postępować zgodnie z tą prawdą; spotwarzanie innych, zamiast ich poznawania, przypomina ubieranie się w bazarowe łąchy. Ja zawsze postępowałem zgodnie z tym stwierdzeniem. Dlatego też czytelnik nie znajdzie w moich wspomnieniach ani krzty kłamstwa czy cienia pomówień, dowie się jedynie o kilku faktach, które do tej pory pozostawały w ukryciu. Może upiększyłem nieco opisywane wydarzenia. Ale to obowiązek pisarza, obowiązek, jaki sam na siebie nałożyłem. Mój biedny ojciec miał wiele wad i żadnej nich nie potrafił ukryć. Jego słabością były kolejne małżeństwa i decyzje o ślubach podejmowane w mgnieniu oka. Kiedy mieszkali razem z pierwszą żoną i z trudem wystarczało im na wykarmienie dzieci, wkroczył sąd koraniczny i za jego decyzją przydzielono nam lokatorkę, której udzieliliśmy schronienia za drobną opłatą; w dniu, w którym rozwiodła się z mężem, już myślała o kolejnym zamążpójściu.

Mój przywiązany do matki ojciec zostawił ją niestety dla tej kobiety, myśląc, że jest bogata. Wcale nie była. Żeby zapłacić ojcu za mieszkanie i sądowi za koszty procesu, wyciągała zza pazuchy srebrne monety, które stanowiły cały jej majątek. Mimo to ojciec nigdy się z nią nie rozwiodł i do śmierci był bigamistą.

Nie mówię tego wszystkiego, by go ośmieszyć i napiętnować. Instytucja małżeństwa zawsze była w naszej rodzinie problemem samym w sobie. Sam go doświadczyłem.

Ojciec, jak każdy, miał swoje wady, które życzliwi sąsiedzi mogli wykorzystać do swoich celów. Ale złodziejstwo, zwłaszcza okradanie płonącego meczetu? Nawet jeśli to wszystko było własnością fundacji i spaliłoby się tak czy inaczej! Nie, mój ojciec po prostu nie mógłby tego zrobić.

Historia zegara była inna. Dziadek ojca – Tevkiî Ahmet Efendi, urzędnik Wysokiej Porty – podczas pobytu w Egipcie z powodu pomówienia znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, obiecał wówczas, że jeśli wyjdzie cało z opresji, ufunduje meczet. Gdy sprawy potoczyły się pomyślnie i mógł odetchnąć z ulgą, zabrał się do roboty, lecz gdy kupił ziemię, przestraszył się, że nie wystarczy mu pieniędzy. Nie był w stanie rozpocząć budowy. Ostatecznie w budynkach na Edirnekapy, które w przyszłości miały być pomieszczeniami dla służebnych i stajnią, zamieszkała cała nasza rodzina.

Pozostałe pieniądze poświęcił na zakup mat, dywanów, osmańskich kaligrafii, świec i wielkiego zegara, który miał stanąć przy drzwiach wejściowych. Kiedy zgromadził te różne drobiazgi i zaczął zabierać się do meczetu, znowu stracił posadę. Tym razem nie było nadziei na poprawę sytuacji materialnej, więc budowa meczetu zatrzymała się na poziomie fundamentów.

Na pytanie, kiedy skończy swoją inwestycję, odpowiadał, że „tak około przyszłego roku, jeśli Bóg pozwoli”, i dlatego do końca swoich dni, zamiast Tevkiî Ahmet, nazywany był Takribî* Ahmedem. Na łożu śmierci powiedział swojemu synowi, Numanowi: „Zaciągnąłem dług wobec Boga, ale go nie spłaciłem. Allach nie dopuścił. Teraz dług spada na ciebie. Cokolwiek się zdarzy, musisz wybudować ten meczet” – taki zostawił testament. Życie Numana, któremu w spadku nie dostało się nic poza domem, stało się za sprawą tego testamentu godne pożałowania. By wypełnić wolę ojca, sprzedał wszystko, co miał, ale w żaden sposób nie udało mu się rozpocząć budowy. Dlatego właśnie cała nasza rodzina mieszkała w tym malutkim, umeblowanym jak meczet domku. Ojciec dostał całkiem dobrą pracę w urzędzie, ale testament dziadka i ten nieszczęsny meczet zatrzymały mu życie. Ojciec z trudem nosił to brzemień i czuł się powiernikiem tego zegara, uważał, że jest za niego odpowiedzialny i jednocześnie jest jego dłużnikiem. Miał wyrzuty sumienia, że zaniedbał meczet, potulnie godził się na te wszystkie plotki i nie próbował ich dementować. A symbolem i świadkiem tej tragedii był zegar.

Po jakimś czasie stałem się jego zaciekle wrogiem, częściowo z powodu tych plotek, a częściowo z powodu ponurego klimatu, jaki wprowadzał do przedpokoju. A zegar był naprawdę piękny. Poruszał się jakby w zamyśleniu, nikomu nie przeszkadzał i żył własnym życiem, jak luzak, który urwał się z zaprzęgu. Według jakiego chodził kalendarza, za którym to rokiem podążał, na cóż to czekał, gdy nagle zatrzymywał się na całe dni, jakież to tajne i ważne wydarzenia obwieszczał swym ciężkim, donośnym głosem, wypełniającym całą przestrzeń? Tego nie wiedział nikt z nas. Zegar w swej niezależności nie znosił żadnych regulacji, nastawiania czy napraw. Stosował podział czasu zupełnie inny niż ludzie, służący tylko jemu i jego ukrytym celom. Czasem wybijał godziny bez ustanku. Potem

* Tak około, w przybliżeniu (przyp. tłum.).

całymi miesiącami nie wykazywał oznak życia, poza przesuwanym się leniwie wahadłem. Moja mama uważała, że te jego autokratyczne zapędy nie wróżą niczego dobrego. Mawiała, że ten zegar jest albo świętym, albo coś mu się przytrafiło w złą godzinę. Zwłaszcza tej nocy, gdy umarł pan Ibrahim, a może nawet w tym właśnie momencie, przeraził nas okropnie, gdy po wielu tygodniach zastoju nagle uderzył w najgłębsze tony. Matka od tego dnia nazywała go „Świątym”. Pomimo całej swojej religijności mój ojciec patrzył na świat bardziej przyziemnie i postawił na przydomek Przekłety. Błogosławiony czy Przekłety, ten zegar zabrał mi kawał dzieciństwa.

Poza tym wielkim zegarem mieliśmy jeszcze mniejszy, który stał na stoliku w sypialni rodziców. Ten nie miał żadnych przymiotów spirytystycznych ani religijnych. Wręcz przeciwnie, ten był laicki. Kiedy nakręciło się jego sprężynę, o każdej pełnej godzinie wygrywał modną melodię. Grające zegary jakoś znikły, kiedy pojawiło się radio. Jeśli chcecie poznać prawdę, ja wolałem te pierwsze. Nigdy nie mógłbym się do tego przyznać publicznie, zwłaszcza że moja starsza szwagierka, o głosie równie strasznym jak trzask drzwi starego domiszcza, która pomimo wysiłków przeróżnych ludzi, w tym i moich, absolutnie nie była zdolna do zapamiętania więcej niż trzech dźwięków, dzięki staraniom Halita Regulatora stała się wielką i sławną śpiewaczką oraz wstąpiła do naszego wspaniałego Instytutu. Tylko co ja poradzę na to, że tak naprawdę radio jest wynalazkiem iście niedorzecznym. Przede wszystkim budziki nie grają piosenek od rana do wieczora, nie wyrzaskują głupot, jakby pożarły w całości dzina z pustyni, nie zarzucają was bez wytchnienia ulewnym deszczem tragicznych informacji i nie mają tylu kumpli w każdym domu, że kiedy jeden na chwilę zamilknie, zaraz któryś go wyręczy, i to jeszcze głośniej. Według mnie, oczywiście jeśli zebrałem i przetworzyłem wystarczającą ilość danych – a musisz, mój mądry czytelniku, pamiętać, że zapoznajesz się z koncepcjami starszego człowieka, któremu nie było dane odebrać prawdziwej edukacji, który spędził większość życia, przesiadując po kawiarniach – otóż według mnie wynalazek ten nie daje nic poza wzbudzaniem niezdrowej ciekawości. Człowiek to dziwna istota. Wszyscy uskarżamy się, że życie jest krótkie, ale cóż mamy począć, by nie tracić czasu na coś, co było powiedziane wczoraj. Nawet ja w moim wieku, zamiast zająć się swoimi sprawami, godzinami przesiaduję przed odbiornikiem, słuchając relacji

ze spotkań piłkarskich i bokserskich, chociaż nigdy w życiu na żadnym meczu nie byłem – widziałem je tylko na kronikach filmowych w kinie.

Trzeci był kieszonkowy zegarek mojego ojca, w kopercie, z kompasem wskazujący kyblę*, z kalendarzem; zadziwiający zegar, który pokazywał czas turecki i zachodni, aktualny i nieaktualny. Miał tylko jedną wadę. Tych jego przeróżnych zdolności żaden specjalista nie był w stanie opanować. Nawet Nuri Efendi nie był pewien, czy potrafi się nim zająć we właściwy sposób i wziąć pod uwagę wszystkie cechy jego osobowości. Kiedy raz się zepsuł, nie było łatwo go naprawić. Zupełnie jak dom zamieszkały tylko na drugim piętrze, zegarek ten pozostawał w połowie pusty. Od niego zaczęła się prawdziwa przyjaźń mojego ojca z Nuri Efendim.

Mój mistrz, ekspert w swojej dziedzinie, tak zaangażował się w pracę nad tym zegarkiem, że zapomniał powiedzieć ojcu, aby ten nigdy nie nakręcał go własnoręcznie.

Jak widać, prezent od wujka nie był dla mnie aż takim zaskoczeniem. Tak naprawdę, zanim go dostałem, przygotowywałem miejsce, które miało odegrać dużą rolę w moim życiu. Czy będąc w takim wieku, możliwe jest posiadać zegarek i nie być ciekawym, co jest w środku? Szczególnie jeśli ma się taką przeszłość jak ja, z dzieciństwem spędzonym w cieniu czaru rzucanego przez wielki stojący zegar? Do tej pory czasomierze były dla mnie obcymi, dziwnymi obiektami, które obserwowałem tylko z zewnątrz. Jedynie na nie patrzyłem i odczuwałem przyjemność z samej ich obecności. Prezent od wujka sprawił, że ogarnęła mnie żądza poznania ich i zrozumienia. W dniu, w którym wziąłem jeden z nich do ręki, mój umysł przeskakiwał kilka faz rozwoju. Rodziły się pytania, które łatwo się nie poddają: dlaczego, po co, jak?

Czy trzeba dodawać, że już po kilku tygodniach od otrzymania prezentu zamienił się on w kupkę pordzewiałych, błyszczących, powykręcanych kawałków metalu, która przestała działać? Po tym doświadczeniu na stałe nabawiłem się dwu przypadłości. Pragnienia rozebrania każdego zegara, jaki wpadł mi w ręce, i zajrzenia mu do wnętrza oraz całkowitej obojętności wobec wszystkiego, co zegarkiem nie było.

Tego roku nie zdałem do następnej klasy, nie z powodu zegara od wujka, a kolejnego, bardzo starego, znalezionego na drodze zegara. Co

* Strona świata, gdzie znajduje się Mekka (przyp. tłum.) .

prawda po trzecim roku udało mi się wreszcie uzyskać promocję, ale to raczej dzięki skamlaniu mojego ojca i pomocnej współpracy całej szkoły i ludzi z sąsiedztwa; pęd do nauki uleciał ze mnie bezpowrotnie, i to na zawsze. Większość czasu zacząłem spędzać w pracowni Nuri Efendiego. Najdziwniejsze, że moja przedłużająca się absencja wywarła zbawienny wpływ na moje życie szkolne. Nauczyciele widywali mnie rzadko, ale też równie rzadko przypominali sobie, jakie mają ze mną problemy. Dlatego też do końca szkoły nie miałem problemów z promocją. W końcu jednak zostałem wychowankiem szkoły boskiej. Do końca życia zbierałem żniwo szkolnego zaniedbania: żalosne potakiwania, litościwe uśmiešky, i stale byłem narażony na drwiny.

5

Od rana do wieczora siedziałem w pracowni Nuri Efendiego, gdzie nie byłem narażony ani na kiwające się z politowaniem głowy, ani na znaczące uśmiechy. Były tam tylko zegary. Naprzeciw każdego okna po dwa mniejsze, wzajemnie się sobie przyglądające, wzdłuż ścian wielkie, stojące jak strażnicy czasu, a po prawej stronie nad sofą Nuri Efendiego – inny – wi-szący. Poza tym w każdym kącie pokoju, na oknach, na podłodze, na fotelach, na półkach i półeczkach, leżały te przyniesione do naprawy, niektóre rozebrane w połowie, niektóre w częściach, niektóre bez obudowy, niektóre ze zdjętym tylko wieczkiem – to był jeden wielki zegarowy pagórek. Nuri Efendi zajmował się tymi zegarami całymi godzinami, a kiedy zmęczyły mu się oczy, mówił „Zróbcie kawę!” i wyciągał się na sofie. Odpoczywał pośród dźwięku zegarów zebranych w pokoju, myśląc o wszystkich zegarach świata, których nigdy nie widział na oczy i pewnie nigdy nie ujrzy, nie dotknie i nie usłyszy ich głosu.

Kiedy poznałem Nuri Efendiego, miał jakieś pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt lat, był średniego wzrostu, chudy i zasuszony, ale energiczny. Mawiał, że nigdy nie był chory, że nie bolał go nawet ząb, a przypisywał to swojemu rumelijskiemu pochodzeniu. „Mój ojciec był zapaśnikiem... Ja też brałem udział w zapasach” – mawiał i pokazywał swoje zadziwiająco silne bicepsy. Kiedy się na kogoś zdenerwował albo wpadł w zły nastrój, brał wielki głaz, który leżał na przedmeczetowym podwórku od czasów

Bóg wie którego z kolei remontu, i nosił go w tę i z powrotem. Swoją kwadratową twarzą, białą rzadką brodą i wielkimi kasztanowymi oczami o łagodnym wejrzeniu wywierał na ludziach dziwne wrażenie. Spojrzeniem tym sprawiał, że ci, którzy się z nim spotykali, nie potrafili oprzeć się wrażeniu, że właściciel takich oczu czynić może wyłącznie dobro, jak dziadek z bajki, który pojawia się i wręcza trzy włoski ze swojej brody, czym rozwiązuje wszystkie problemy. Od trzydziestu lat nikt nie widział go rozgniewanym ani nie słyszał jego krzyku.

Mowa Nuri Efendiego była słodka. Słowa dobierał niezwykle starannie i dopasowywał je do nastroju rozmówcy. Najbardziej lubił rozmawiać o zegarmistrzostwie. Niektórzy jego znajomi brali go za mędrca, inni za półświętego. Tak naprawdę jego wykształcenie ograniczało się do roku, a może i dwóch lat przymeczetowych lekcji. Wcale tego nie ukrywał. Mawiał tylko, że to zegary uczyniły go człowiekiem.

Był chyba najlepszym zegarmistrzem w okolicy. Nie był jednak zawodowcem, pracował raczej jak amator miłujący swoje zajęcie. Z klientami się nie targował, godził się na stawki, jakie sami oferowali, ale gdy zostawiali mu swoje zegary, przy wyjściu słyszeli: „Ani mi się waż przychodzić po odbiór bez mojego wezwania”. Czasami dodawał: „Nie życzę sobie żadnego ponaglania!”. Kiedy już otworzył powierzony mu zegar, trzymał go w specjalnym słoju, czasem przyglądał mu się całymi tygodniami, nie tykając go nawet palcem; jeśli zegarek chodził, pochylał się nad nim i nasłuchiwał jego dźwięków. Wykonując te zabiegi, przypominał bardziej lekarza niż rzemieślnika.

Nie odróżniał ludzi od zegarów. Często mawiał, że „Bóg stworzył człowieka na własne podobieństwo; człowiek stworzył zegar na swoje”. Wiele razy rozwijał swoją tezę: „Człowiek nie powinien opuszczać swego zegarka. Bo to tak, jakby Allah opuścił człowieka – wówczas wszystko zginie”. Czasami pogłębiał swe rozważania: „Zegar ma swoje miejsce, tempo, człowieka, który go nastawia... To zaś wskazuje, że jego czas i miejsce współistnieją z człowiekiem”.

Były też inne głębokie metafory: „Żelazo samo z siebie nie poddaje się formie. Tak samo człowiek. Dobro i szczęście istnieją dzięki miłosiernemu spojrzeniu Najwyższego. To samo dotyczy zegarów”. Miłość do zegarów Nuri Efendiego stanowiła specyficzną etykę i moralność. „Naucz się patrzeć na zepsuty zegar jak na chorego i potrzebującego!” – mawiał,

i faktycznie stosował tę zasadę w praktyce. Mogę otwarcie przyznać, że większość zegarów, którymi się zajmował, nadawała się tylko na złom. Kiedy brał je do ręki, twarz mu łagodniała: „Serduszko nie pracuje. Z główką też nie najlepiej”, a potem jeszcze mówił, zupełnie jak o człowieku: „Jak, na wszystkie świętości, ma chodzić biedactwo, skoro z dwóch nóg żadna mu się nie ostała”.

Miał zwyczaj kupować u przygodnie napotkanych handlarzy obwoźnych różne zepsute zegary, wymieniał w nich zużyte części, naprawiał i rozdawał swym biednym znajomym, mówiąc: „Weź i zostań panem czasu... Resztą zajmie się Allah!”. Człowiek, który dzięki Nuri Efendiemu znowu stawał się panem swojego czasu, jakby łatwiej godził się ze swą nadąsaną żoną i radził sobie z dziećmi, cieszył się, jakby tego dnia pozbył się swych długów. Nuri Efendi z pewnością wierzył, że tak postępując, spełnia dwa dobre uczynki. Po pierwsze, przywracał do życia na wpół nieżywe zegary, po drugie, obdarowywał innych świadomością istnienia czasu.

Nuri Efendi za pomocą swoich gruntownych zabiegów na zegarach wciąż na nowo uruchamiał rydwan czasu, a nawiązując do zbrojnych przewrotów, nadawał im oględną, może nawet żartobliwą nazwę „przerobiony”. Pewnie dlatego, że wszystkie sprężyny, pokrętła i trybiki wykonane były w różnych fabrykach. Wziąwszy taki zegarek do ręki, przyglądał mu się uważnie i mawiał: „Jakiż on do nas podobny... Zupełnie jak nasze życie”. Taki to był, jak nazwał go później Halit Regulator, socjolog z Nuri Efendiego. W dniu, w którym po latach powtórzyłem te słowa Halitowi, mój najdroższy pryncypał wpadł w niekłamany zachwyty, niemal rzucił mi się na szyję, wykrzykując: „Kochany, spotkał pan wielkiego filozofa!”. Na kolejnych stronach ze szczegółami opiszę dzień, a raczej noc, w którą poznałem mego dobrodzieja. W tym miejscu powiem tylko, że wszystkie slogany naszego Instytutu, które tak zadziwiały i równocześnie bawiły mieszkańców Stambułu, pochodziły z wypowiedzi Nuri Efendiego.

Jakie to dziwne, że przez całe lata słuchałem tych i temu podobnych wynurzeń mojego mentora jak cierpiętnik i uważałem te chwile za stratę czasu. Tymczasem to właśnie dzięki nim osiągnąłem pozycję społeczną i bogactwo. Cóż jednak może człowiek? Wiele wysiłku włożyłem w to, by zgłębić filozofię Nuri Efendiego. Ja, który przez lata próbowałem zdobyć jakiegokolwiek wykształcenie, starając się nie zbliżyć zanadto ani do szkoły, ani do nauczycieli. Jakże mogłem pojąć związek między człowiekiem

i czasem, czasem i społeczeństwem, i całą filozofię społeczną odkrytą przez niego. Zgodnie ze słowami Halita Regulatora, filozofię prawdziwą. W tym miejscu wspomnę jeszcze, że doktor Ramiz wiele razy słyszał ode mnie słowa Nuri Efendiego, zanim poznał mnie z Halitem, ale dopiero dzięki Regulatorowi odkrył ich głęboki sens. Doktor Ramiz zawsze był trochę nieobecny. Sam nic nigdy nie wymyślił – chyba obawiał się pomyłek. Opinia społeczna była dla niego jedynym wyznacznikiem. W stosunku do mnie zawsze był przyjacielski i uczynny. Lubił mnie słuchać, nawet jeśli narzekałem. Gdy znikalem, szukał, aż znalazł. Troszczył się o moje dzieci, mnie także nie odmawiał drobnych przysług. Dzięki niemu poznałem Halita Regulatora. Nigdy jednak nie dostrzegł mej prawdziwej wartości. Myślał o mnie to co wszyscy, że posiadam pewne zalety i cnoty, ale jestem beztalenciem. Stosunek do mnie zmienił dopiero wtedy, gdy zorientował się, że mój potencjał docenia sam Halit Regulator. Od tej pory już tylko mnie wychwalał. Do tego stopnia, że w przypisach do jego dzieł, zaraz po Freudzie, Youngu i Halicie Regulatorze, moje nazwisko pojawiało się najczęściej. Można by powiedzieć, że zająłem pozycję między moim nieodżałowanym mentorem – Nuri Efendim – i szejkiem Ahmedem Zamanim. Moim skromnym zdaniem bardzo przesadzał. Nie jestem człowiekiem, o którym powinno się pisać w naukowych rozprawach. Nie chciałem być niewdzięczny, dlatego też nigdy nie skąpiłem mu komplementów i dbałem o jego uposażenie. Bądźmy sprawiedliwi. Czytelnicy będą mieli jeszcze okazję poznać prawdę o tym, że moje życie związane było z jednej strony z doktorem Ramizem, który wiele czasu poświęcił memu leczeniu, z drugiej zaś strony z Seyitem Lutfullahem.

Halit Regulator był pierwszym, który zrozumiał i przyznał rację mnie i Nuri Efendiemu, zresztą za moim skromnym pośrednictwem, że rola czasu i zegarków w naszym życiu jest naprawdę bardzo znacząca. Posiadał zdolność odkrywania ukrytych walorów i wydobywania ich na światło dzienne.

Nuri Efendi i Halit Regulator... To były dwa bieguny, między którymi toczyło się całe moje życie. Pierwszego z nich poznałem, kiedy byłem bardzo młody, ufny i dopiero uczyłem się ludzi i świata. Drugiego wtedy, gdy pozbawiony wszelkiej nadziei sądziłem, że to koniec księgi mojego żywota. Ale ludzie ci, o tak różnych zaletach i światopoglądach, wypełnili moje istnienie niemal całkowicie. Byłem niejako produktem ich działalności.

Jestem jak jeden z tych zegarów, dołączających do rydwanu czasu, które Nuri Efendi pracowicie i starannie składał z różnorodnych części; jestem takim samym „przerobionym” zlepkiem, amalgamatem. Nuri Efendi bardziej niż naprawie zegarów oddany był ich nastawianiu. Zegar, który źle chodził, całkowicie wyprowadzał z równowagi tego najspokojniejszego na świecie człowieka. Wraz z nastaniem konstytucji bardzo wzrosła liczba zegarów miejskich, a on przestał wychodzić z pracowni z obawy, że zobaczy jakiś niewyregulowany. Według niego niedziałający, zepsuty lub połamany zegar był jak chory człowiek. Z natury był pobłażliwy, ale nie mógł znieść świadomego zaniedbania w nastawieniu zegara. Postrzegał to jako wielki cios i grzech śmiertelny. Według niego źle działający mechanizm był głównym narzędziem szatana, służącym do marnowania czasu i zwodzenia ludzi z drogi prowadzącej do prawdy.

Nuri Efendi mawiał często: „Nastawianie jest jak pogoń za sekundami!”. Halit Regulator nie mógł wyjść z podziwu dla tych słów:

– Pomyśl, Hayri Irdalu, pomyśl, drogi przyjacielu, co to oznacza? Otóż to, że dobrze nastawiony zegarek nie traci nawet jednej sekundy. A co my robimy? Co robi całe miasto i cały kraj? Z własnej woli tracimy połowę życia z powodu źle nastawionych zegarków. Niech każdy z nas straci jedną sekundę na godzinę, oznacza to, że cały naród traci osiemnaście milionów sekund. Założmy teraz, że efektywna część doby wynosi dziesięć godzin, daje to sto osiemdziesiąt milionów sekund. Oznacza to, że każdego dnia tracimy pięćdziesiąt tysięcy godzin. Policz sobie, ile losów ludzkich tracimy w ciągu jednego roku. Chociaż z drugiej strony połowa z tych osiemnastu milionów nie ma zegarków, a większość z posiadanych nie chodzi. Połowa z tych, które chodzą, spóźnia się o jakąś godzinkę. To doprawdy oszałamiająca strata... Strata naszej pracy, życia i podstaw ekonomii. Czy teraz rozumiesz wielkość i geniusz Nuri Efendiego?... Ale my dzięki filozofii mistrza to zwalczymy. Oto najważniejsza z funkcji Instytutu... Niech nasi przeciwnicy mówią, co chcą. My w tym społeczeństwie odgrywamy najważniejszą rolę. Proszę natychmiast przygotować obszerne i szczegółowe statystyki i broszury. Wydrukujemy je jeszcze w tym tygodniu... Albo nie, lepiej ja sam je przygotuję. Tak ważnego zadania nie mogę nikomu powierzyć... A pan napisze książkę o życiu Nuri Efendiego. Taką w europejskim stylu. Tylko pan może to zrobić, to pański obowiązek... Świat musi poznać tego

wielkiego człowieka. Kompetencje... Ten człowiek musi być znany na całym świecie.

Nie napisałem tej książki. Dużo bardziej korzystne dla polityki Instytutu było dzieło *Ahmet Zamani Efendi – życie i twórczość*, oparte na tym samym materiale i tych samych przesłankach. Czy zdradziłem tym swego mistrza? Nuri Efendi nie dawał mi wiele pracy, a gdy już dał, nie chciał, bym wykonywał ją byle jak. Nie było żadnego poganiania. To on był panem czasu. Wykorzystywał go wedle własnego uznania, co często rzutowało na najbliższe otoczenie. Czasem mówił: „Mój synu. Nie wiem, czy będziesz dobrym zegarmistrzem. Chociaż pragnę tego dla twego własnego dobra. Jeśli od dziecka nie poświęcisz się temu całkowicie, możesz tego żałować. Jesteś cichy i skromny... Nie umiesz dostatecznie twardo postawić się życiu i ludziom. Tylko praca może cię uratować. Niestety, nie posiadasz niezbędnej koncentracji. Dobrze jednak, że kochasz zegary i im współczujesz. To bardzo ważne. Ze swej natury masz zdolność słuchania. To pewne. Umiejętność słuchania to cenna zaleta, ukrywa braki i wynosi człowieka do poziomu innych”. Każdego roku Nuri Efendi wydawał kalendarz. Pod koniec listopada zaczynał zapisywać pierwsze strony, żeby w połowie lutego wysłać mnie do drukarni Nuruosmaniye. Ja miałem okazję przyglądać się temu wszystkiemu i nie mogłem wyjść z podziwu.

Miesiące kalendarza gregoriańskiego i arabskiego, ich rozkład w roku, przeróżne zapomniane już sposoby podziału czasu, zaćmienia Słońca i Księżyca, określane z wielką dokładnością pory modlitw, tych przed i po zachodzie Słońca, w południe, wieczorem i o świcie, opady duże i małe, znaczące wiatry, pory dnia, okresy okrutnego zimna i upałów. Wszystko to spisywał swoim staromodnym rylcem leżącym na mosiężnej podstawce. Powstawały wówczas rzędkie literki wyglądających jak pracownice poukładane ziarenka ryżu, które pojawiały się nagle, jakby wypadały z dziwnego snu, i sprawiały wrażenie, że czekają tylko na właściwą chwilę, by przejąć władzę nad światem. Ich twórca, trzymając na prawym kolanie rulon papieru, siedział na małej kanapie w kącie pokoiku, do którego nie zaglądali ani ludzie, ani światło dnia, ale w którym najlepiej słyszeć było tykanie zegarów. W te dni, gdy on pracował nad swoim kalendarzem, czułem się, jakbym zatracał się w narkotykowym odurzeniu, jakbym był świadkiem cudu. Ponieważ wiedziałem, że zeszłoroczny kalendarz w ten sam sposób opisywał wszystkie elementy naszego życia, byłem niemal pewny, że żyję

w świecie urządzonym przez Nuri Efendiego i że ogrzewa mnie światło, które ma źródło wyłącznie w jego woli, a moje przywiązanie do mistrza było mieszaniną lęku i zachwyty.

6

Nuri Efendiego najczęściej odwiedzali: Seyit Lutfullah Szalony, który mieszkał jak sowa w zrujnowanej medresie* na wzgórzu pomiędzy Vefa i Küçükpazar, pan Tunusluzade Abdüsselam, który wiódł wspaniałe życie pasażera dorożek konnych, mieszkający pod meczetem Şehzade znajdującym się niedaleko meczetu Burmalı, w kamienicy, której wymalowana na ciemnoczerwono fasada zdawała się nie mieć początku ani końca. U mistrza gościł także niejaki pan Naşit Myśliwy z Hyrkaişerif mieszkający za klasztorem Halveti i wreszcie Aristidi Efendi Aptekarz, jeden z niewielu chrześcijan w tej tak bardzo muzułmańskiej dzielnicy Vezneciler, mający tam nawet swoją aptekę.

Pan Abdüsselam mieszkał w dwudziesto-, trzydziestopokojowej kamienicy wraz z całą liczną rodziną i służącymi. Był bardzo bogatym i przy tym wrażliwym człowiekiem. Jedną ze szczególnych właściwości jego domu było to, że każdy, kto raz do niego wszedł, albo miał pecha się w nim urodzić, nigdy już z niego nie wyszedł. Zawsze w białej koszuli z wykrochmalonym kołnierzykiem, zawsze uprzejmy i elokwentny staromodny stambulski jegomość zupełnie nieświadomie ściągnął ze wszystkich zakamarków Imperium przeróżnych zięciów, synów, teściów, niezliczoną ilość dzieci oraz mnogość cioć, wujków, babć i dziadków, a do tego jeszcze osiem czy dziesięć odalisek. Moja mama, za namową ojca, odwiedzała czasami żonę pana Abdüsselama i za każdym razem wracała z tego tłoku skrajnie wyczerpana. Gdy byłem mały, raz tam z nią poszedłem. Kapelusze i kapelusiki, piękne ubrania, jasne jedwabie, dekolty aż po nadgarstki, a na nadgarstkach koronki, falujące plisy i inne ozdoby; wszystko to na blisko dwudziestu kobietach w różnym wieku i z gromadką dzieci; nie mogłem uwierzyć, że otaczający mnie tłum to mieszkańcy, a nie goście. Tego dnia nie zapomnę do końca mego życia. W budynku tym, który z zewnątrz

* Muzułmańska szkoła religijna (przyp. tłum.).

wyglądał, jakby nie miał końca, ludzie gnietli się jeden na drugim. Cały ten tłumek wykazywał się ogromnym zróżnicowaniem. Pierwsza żona pana Tunusa wywodziła się z arystokratycznego rodu. Jego druga żona, przeurocza Czerkieska, terminowała kiedyś w pałacu i była podobno na „ty” z sułtanem Abdülhamidem. Żona jego młodszego brata pochodziła z rodziny Hidiv, żona innego brata była córką sam już nie wiem którego satrapy gdzieś z Kaukazu. Każda z jego synowych była córką albo słynnego marszałka, albo wezyra, albo wnuczką beja Albanii. Rodzina o takiej strukturze w okresie panowania Abdülhamida mogła budzić różne podejrzenia, stać się przedmiotem plotek i różnych domysłów. Świadomemu tego faktu panu Abdüsselamowi udało się wydać córkę któregoś z braci za jednego z bardziej zaufanych agentów padyszacha.

Człowiek ten zasiadał był w Radzie Państwa w randze sekretarza, dlatego też znajdował się pod stałą obserwacją. Wszyscy znajomi pana Abdüsselama patrzyli, jak jeździ on z zięciem swojego brata na zebrania w bryczce na gumowych oponach. Ten dziwny zięć musiał być zadowolony z tej przymusowej przyjaźni z panem Abdüsselamem, którego naprawdę bardzo lubił i taktował jak swego dobrodzieja. Żał mu było Abdüsselama, który dla jednej godziny samotności gotów był, krzycząc „pali się”, wsiąść do pustego tramwaju i usiąść obok jedyne go tam pasażera bądź stanąć przy motorniczym. Poznałem pana Abdüsselama bliżej w czasach Rozejmu*. Pomimo swojego wieku miał świetną pamięć. Gdy opowiadał mi o dawnych czasach, na wspomnienie epizodów z tamtych lat nie mógł powstrzymać się od gromkiego śmiechu. Kiedy wyszedłem z wojska, czułem się bardzo samotny – moja matka i ojciec już nie żyli. Pan Abdüsselam pozwolił mi zamieszkać ze sobą i swoją młodszą córką w domu na Beyazyt, by następnie ożenić mnie z tą dziewczyną. Matka Zeynep i Ahmeda, moja pierwsza żona, wyrosła w tamtym dziwnym domu.

Doczekaliśmy ogłoszenia konstytucji. Gdybym chciał dać wam wyobrażenie o tłoku i kosztach utrzymania naszego przybytku, wystarczyłoby powiedzieć, że tylko z zaopatrzenia tego domu całkiem dobrze żyło dwóch sklepikarzy, jeden cukiernik i rzeźnik. Większa część przychodów apteki Aristidi Efendiego również pochodziła od nas. Po ogłoszeniu nie-

* Pakt podpisany 30 października 1918 roku pomiędzy Imperium Osmańskim i aliantami po zakończeniu I wojny światowej (przyp. tłum.).

podległości dom zaczął się wyludniać, zupełnie jak całe Imperium, chociaż z nieco innych powodów. Najpierw, razem z terytoriami Bośni i Hercegowiny, Bułgarii, Tracji Wschodniej i Afryki Północnej, odeszli bracia ze swoimi gospodyniami. Później, podczas wojny bałkańskiej, wyjechała większość synów i synowych. Pod koniec z panem Abdüsselamem pozostał już tylko zięć brata, pan Ferhat, i kilkoro jego własnych dzieci. Pan Ferhat pozostał naprawdę do końca. Tak się ze sobą zżyli, że wyglądali jak te dwa konie rasy węgiersko-angielskiej, które rano i wieczorem woziły ich do Rady Państwa w bryczce na gumowych oponach. Ostatnimi czasy konwersacja obu panów sprowadzała się do cotygodniowych raportów o stanie kamienicy, składanych Abdülhamidowi przez pana Ferhata.

Dzięki wspomnieniom, które pan Ferhat, rumieniąc się ze wstydu, opowiadał panu Abdüsselamowi, z każdym dniem poznawał on inne oblicza starej kamienicy i przeżywał na nowo te dni, gdy był młodszym, zdrowszym, zamożniejszym i pewnym siebie człowiekiem, śmiejącym się przeznaczaniu prosto w twarz, gdy wokół było pełno życia, a kamieniczym wieża Babel wypełniona była mówiącymi różnymi językami ludźmi, odnoszącymi się do siebie ze zwykłą ludzką życzliwością.

Prawie co wieczór ma moich oczach dochodziło do ożywiania przeszłości i przeżywania jej na nowo. Oczy pana Abdüsselama zachodziły wówczas mgłą, jego tęsknota za przeszłością nabierała dziwnie figlarnego charakteru, w kąciku ust pojawiał się drwiący uśmieszek. Natomiast pan Ferhat był widocznie zdziwiony i zmieszany. Im bardziej pan Abdüsselam uśmiechał się pod wąsem, tym zmieszanie Ferhata było większe.

Pewnego dnia były członek Rady Państwa wyjawiał mi cały sekret:

– Ten biedny zięciu, naprawdę mu wstyd... Lecz nie wie, że ja też co tydzień pisałem o nim raporty...

Kiedy zacząłem bywać w pracowni Nuri Efendiego, w kamienicy pana Abdüsselama zostało już tylko trzydzieści siedem osób. Poza jego własnymi dziećmi byli jeszcze najbardziej przywiązani służący, jak również przedstawiciele dalszej rodziny jego braci, jakieś stare ciotki, wujenki, siostrzeńcy i bratankowie, którzy codziennie byli przedmiotem wnikliwych dochodzeń, czyimi właściwie są krewnymi. Pan Abdüsselam w ogóle nie mógł tego zrozumieć i cierpiał z powodu tego, że wolność, której zawsze pożądał i którą po cichu wspierał, do tego stopnia wyludniła mu dom. Koszty utrzymania domu rosły i były coraz większym obciążeniem. Bliskiej rodziny zabrakło

i stary gospodarz poczuł się w końcu jak ktoś, kto czyta tekst, którego sensu nigdy nie uda mu się uchwycić, gdyż wykreślono z niego kluczowe zdania. Wprawiało go to w zdumienie i jednocześnie budziło lęk przed samotnością. Z tego też powodu trzymał się kurczowo tego przypadkowego zbiorowiska.

7

Pan Abdüsselam roztrwonił znaczną część swoich pieniędzy, co nie zmieniło jego miłości do bratanków, siostrzeńców i innych ludzi, którym spieszył z pomocą z takim zaangażowaniem, że upodabniał się do komicznej postaci operetkowej. Cechy charakterystyczne i szczególne kształtujące indywidualność stanowią podstawę silnego człowieka. Seyit Lutfullah takiej podstawy nie posiadał. Ciągący się za nim cień niejako pławił się w odmętach fałszu. Był maską bądź pożyczoną osobowością. Wyobraźmy sobie aktora, który gra w wielkiej sztuce główną rolę wyjątkowego szubrawca i w pewnym momencie, w samym środku spektaklu, porzuca scenę i w pożyczonej osobowości wychodzi na ulicę i idzie do miasta, między ludzi, ale cały czas ma na sobie teatralne ubranie i pełną charakteryzację. Seyit Lutfullah był jednym z tych, którzy potrafią zaszcześcić małej grupie instynkt stadny i pchnąć ją do działania, nawet z narażeniem życia. Nikt nie wiedział, gdzie jest początek, a gdzie koniec wszystkich jego kłamstw.

Wbrew temu, co opowiadał, nie pochodził z Medyny ani nie był potomkiem proroka Muhammada, a na pewno nie w linii prostej. Nawet imię mógł sobie pożyczyć. Według Nuri Efendiego związki Lutfullaha z prorokiem pochodzić miały od pewnej kobiety z okolic Iraku, z którą się zaręczył. Tak naprawdę pochodził z Bülüç. W bardzo młodym wieku opuścił swoją ojczyznę i zwiedziwszy cały Wschód, dotarł do Stambułu. W Mecze Arabskim zwrócił na siebie uwagę, odczytując Koran głosem pięknym i pełnym uczucia. Poślubił córkę ogrodnika pewnej bardzo bogatej rodziny z Emirgan, dochrapał się nawet pozycji duchownego. Ludzie, którzy go poznali, gdy rozpoczął sprawowanie swojej funkcji, mówili, że był zapamiętałym, fanatycznym wyznawcą szariatu*, a podczas nabo-

* Prawo koraniczne kierujące życiem wyznawców sunnickiej i szyickiej odmiany islamu (przyp. tłum.).

żeństw i w dysputach religijnych zajmował się głównie zastraszaniem ludzi. Mój ojciec opowiadał, że Seyit Lutfullah zabraniał wszystkiego poza modlitwą: od rozmów po picie i jedzenie. Okres ten trwał jednak zaledwie trzy lata, po śmierci swojej żony zostawił wszystko i znowu wyruszył w podróż, by po dziesięciu latach nieobecności na dwa przed ogłoszeniem konstytucji powrócić do miasta i zamieszkać w jednym z pokoików zrujnowanej medresy. Seyit Lutfullah, który wrócił z dalekiego świata, nie był już tym samym człowiekiem. Nie miał jednego oka, a usta nieco mu obwisły, męczyły go drobne tiki, inne w różnych członkach; rozchodząc się po całym ciele, nakładały się wzajemnie na siebie; nie utrudniały za bardzo ruchów, ale i nie ułatwiały. Bezustannie wyciągał przed siebie i chował lewe ramię tak, jakby ciągnął wózek, i skręcał głowę tak, jakby jego kark był stale zeszywniały. Lewą nogę miał chyba o wiele cięższą od prawej. Śniady niczym zamsz, ze swoją wykrzywioną twarzą i rzucającym się w oczy garbem, Seyit Lutfullah, kiedy na niego patrzyłem, przypominał raczej jakiegoś demona uganiającego się za ludźmi i skarbami niż prawdziwego człowieka. Chociaż mówiono, że za młodu był całkiem przystojny.

On sam uważał swoją przemianę za konsekwencję zmagania z niewidzialnym monstrum. Zgodnie z tym, co opowiadał, trafił kiedyś do jakiegoś małego klasztoru derwiszów na Savuç Bulak; ze wszystkich sił starał się okiełznać jakiegoś ducha, ale mu się nie udało, duch uciekł i uczynił zeń kalekę. Nuri Efendi miał na ten temat swoje zdanie: „Istoty koraniczne już takie są, i tak to się właśnie kończy, jak ktoś próbuje się nimi bawić”. Nie potrafił jednak zerwać znajomości z tym człowiekiem, którego największymi przywarami były wścibstwo i wulgarny język. Każdy inaczej postrzegał Seyita Lutfullaha. Aristidi Efendi miał go za zwykłego oszusta, a jego dolegliwości za powikłania po nieleczonym syfilisie lub chorobach dziedzicznych. Mimo to, przez wzgląd na pana Abdüsselama, próbował bez zbytniego przekonania stosować różne terapie, by ulżyć biedakowi. Pan Abdüsselam, mimo swych poczynań w laboratorium Aristidi Efendiego, zdawał sobie sprawę z podejrzanych kontaktów, jakie Seyit Lutfullah ciągle nawiązywał z niewidzialnymi bytami, i z jego przeświadczenia, że pewnego dnia spełni swą obietnicę i znajdzie ogromny skarb cesarza Andronikosa, chociaż to siebie samego uważał za skarbnicę wiedzy o przeszłości. Pan Seyit Lutfullah całkowicie się już zestambułczył, zupełnie zapomniał arabskiego, a stary Maghreb żył w nim, jak żyją legendy. W owych czasach

pan Abdüsselam zachowywał się jak opętany hazardzista, który z dwiema mocnymi kartami przystępuje do rozegrania partii skazanej na porażkę.

Pokrywał wszelkie koszty, jakie pochłaniało tajne laboratorium na tyłach apteki Aristidi Efendiego, i obydwaj naprawdę wierzyli, że pewnego dnia uda się tam wyprodukować złoto. Pan Abdüsselam nie zamierzał w żaden sposób przeszkadzać panu Seyitowi i chcąc nie chcąc, zgodził się na stosowanie jego metod z pogranicza świata bajek i alchemii. A wszyscy trzej zajmowali się wierceniem dziur w ścianie, która odgradza rzeczywistość od fikcji. Czy pan Abdüsselam naprawdę wierzył Seyitowi Lutfullahowi czy nie, tego nie potrafię ocenić. Gdybym miał zabrać głos w dyskusji, podkreśliłbym, że chodziło im o coś więcej niż tylko przekonania. To „coś więcej” było równie ważne dla każdego z nich trojga. Nie było dla nich granic. Ludzie, przedmioty – wszystko wchodziło w krąg oddziaływania nieskończonych możliwości, które w każdej chwili za pomocą procesów opartych na zaklęciach, tajemniczych formułach i modlitwach mogły zmienić rzeczywistość. Jedynym ich grzechem było negowanie rzeczywistości i brak wiary w widzialne i namacalne.

Mój biedny ojciec był realistą, lecz z powodu nieustającego braku pieniędzy nawet najodważniejsze przedsięwzięcia uważał za usprawiedliwione i całą nadzieję na zrealizowanie ostatniej woli swojego dziadka pokładał w Seyicie Lutfullahu. Nie mógł jednak liczyć na pomoc z zewnątrz, bo znajomi, chociaż widzieli, ile jest w stanie poświęcić dla sprawy, sami też mieli problemy finansowe. Dlatego też wszystkich w mniejszym bądź większym stopniu uważał za wrogów. Nie zraził się jedynie do Nuri Efendiego, który za darmo naprawiał mu zegarki, ani pana Abdüsselama, który nigdy nie uchylał się od udzielenia mu wsparcia, ani też do Naşitą Myśliwego z tych samych powodów. Ten ostatni uważał Lutfullaha za „kłamliwego i nałogowego wielbiciela haszyszu”. Nie wierzył ani w jego duchy, ani skarby, ani niewidzialne światy. Uważał, że powodem transformacji twarzy biedaka w bazar krętaczy i oszustów był po prostu haszysz, który wywołał także paraliż niektórych części ciała i kończyn. Opinia mojego ojca, według której Seyit był szachrajem, leniem i intrygantem, pokrywała się z tym, co myślał o Lutfullahu Aristidi Efendi. Tymczasem Seyit wcale nie ukrywał, że zażywa haszysz. Dla niego narkotyk ten nie był jednak środkiem do osiągnięcia lepszego samopoczucia. Cytując go: był „ścieżką” wiodącą ku magii, prawdzie i pięknu. Zawsze powtarzał, że

nie można dojść do prawdy, jeśli nie wyłączy się umysłu, w związku z powyższym chodził na wpół przytomny. W takim odmiennym stanie opowiadał o „drugiej stronie”; głądził bez końca o niewyczerpanych źródłach rozkoszy, które czekają tylko na to, by człowiek je wreszcie odnalazł.

Słuchając jego opowieści o niewidzialnym dla nas świecie, pełnym turkusowych pałaców, złota, srebra, klejnotów, drogich materiałów wyszywanych, rzecz jasna, złotą nicią i innych przejawów skończonego piękna w wielu odstonach, trudno było nie uwierzyć, że naprawdę żyje on urojeniami. W tym świecie rozkoszy miał nawet kochankę – imieniem Aselban. Wszyscy, na pamięć, na wrywki i w drobnych szczegółach, znaleźliśmy urodę tej dziewczyny, która zupełnie jak w bajkach spędzała czas pośród słodkiego śpiewu skowronków nad kryształowo czystym stawem, słuchając szumu chłodnej wody i opowieści wypełnianych dźwiękami sazu* w zapachu róż i jaśminu oraz w otoczeniu niemal tak pięknych jak ona sama odalisek. Czasem siedziała samotnie przy oknie i tkając coś na krosnach, rozmyślała o naszym przyjacielu. Aselban miała włosy czarniejsze niż noc, spojrzenie bardziej skrzące od gwiazd, ciało jaśniejsze od jaśminu, ujmującą postawę i ruchy. Szkoda tylko, że spotkanie owej zjawiskowej istoty było nieziszczalne. Najpierw trzeba było odnaleźć skarb cesarza Andronikosa. Był to warunek, który musiał być spełniony, by w dotarciu do ukochanej skłonne były dopomóc konkretne postaci z niewidzialnego świata: matka i ojciec Aselban, a w szczególności jej młodsza siostra, potężna i piękna jak sama Aselban. I ten właśnie warunek był powodem, dla którego Lutfullah, który sam nie miał większych potrzeb i wszystkie swe pragnienia zamierzał zaspokoić poprzez kontakty z niewidzialnymi, tak bardzo pożądał owego skarbu. Po wyciągnięciu Aselban z tamtej strony stanie się ona normalnym człowiekiem, Seyit Lutfullah odzyska swój wygląd, będzie jak słońce na niebie; wówczas te dwie nieskończone piękności połączą się na zawsze i będą wieść szczęśliwe życie. W chwilach załamania i rozpaczki mówił o tym, jak trudne ma przed sobą zadanie i jak smutne, żalosne i podłe jest jego życie, natomiast w chwilach radosnego otwarcia na świat – czyli kiedy był dobrze zamroczony – zwykł mawiać, że nie jest tym człowiekiem, jakiego widzimy. Nie mieliśmy szans dostrzec porażającego piękna, które biło od jego prawdziwego oblicza. Według tego, co

* Turecki instrument strunowy (przyp. tłum.).

bredził, w tajemniczym świecie, w którym żył, leżąc plackiem u stóp swej Aselban, wyglądał jak wschodni książę albo hinduski radża, widywani na filmach amerykańskich.

– Wczoraj byliśmy z Aselban na polowaniu. Sto chartów wokół nas. Takie tośmy ustrzelili lwy i gazy, że... A jeden to nawet...

W obecności polującego z chartem Naşita Myśliwego, starzec, który nie mógł ruszyć się z miejsca, bez końca snuł opowieści o łowach i polowaniach. Przy panu Abdüsselamie życie naszego przyjaciela stało się łatwiejsze, mniej było ruchu, więcej szczebiotu. W pałacu ojca Aselban przebywały tysiące dzieci, wszystkie piękne jak aniołki, i jeszcze wiele innych osób w różnym wieku. Wszyscy nawzajem się kochali i dbali o siebie, nigdy ani na chwilę się nie rozstawali i byli z tymi dziećmi jakoś spokrewnieni. Pan Abdüsselam słuchał z prawdziwą ekscytacją, jak pośrodku tego całego tłumu siedzi ojciec Aselban i raduje się bliskością czterdziestu młodych odalisek. Jedynie wyraźne wezwanie samej Aselban umożliwiało Seyitowi przedostanie się do drugiego wymiaru, i fakt ten zakłócał jego pełnię szczęścia. Jeśli zaproszenia nie było, musiał miesiącami snuć się po tym smutnym świecie, otulony w szmaty, pochylony zupełnie jak rudera, w której mieszkał. Uciekał wówczas od ludzi, a gdy na kogoś wpadł, był zgryźliwy, gburowaty i kłótniwy. Te humory Lutfullaha były dla wszystkich równie straszne i męczące jak jego paralize.

Opadało go wówczas jakieś przedziwne poczucie dumy, z pianą na ustach wygrażał swoim liczным wrogom swą rzekomą potęgą; groził, że wszystkich pozabija, a język, jakiego używał, sprawiał, że nikt go nie rozumiał, słyszeliśmy tylko zlepek przekleństw i modlitw. „Ja... No ja... Ja... A czy wie, czym ja jestem?... Albo czy wie, kim ja jestem?... Ja jestem burzą z piorunami, która spadnie mu na głowę”. W takich momentach Lutfullah postrzegał ludzi jako „to” lub „istotę”: „A czy istota wie, że ja ją zniszczę?”. Te napady złości przypominały nowy rodzaj odurzenia, pod wpływem którego starzec miał się za pana życia i śmierci. Duma i samozadowolenie zlewały się w jego biednej głowie, tworząc dość niecodzienną filozofię życiową. Kiedy atak przechodził, wpadał w stany depresyjne. Mówił wówczas: „Ostatnio moi wrogowie – oczywiście ci niewidzialni okrutnie mnie zdenerwowali. Niestety – wyjawilem wiele, wiele sekretów. Teraz będzie jeszcze trudniej... Chwilowo nie będziemy mogli pokazać swojej potęgi”.

Mimo wszystko mój ojciec wierzył w niektóre z jego mocy.

– Coś w tym facecie jest... – mawiał. – Musi być, bo inaczej piekarz Ahmet nigdy by tak źle nie skończył. W trzy dni spłonęły mu dom, sklep i wymarła cała rodzina. On sam jest teraz w przytułku Darülaceze*.

Czasami ojciec zmieniał zdanie:

– To nie człowiek, to zaraza... Panie, uchwaj nas od nieszczęścia, by nie spadł na nas deszcz kamieni. Dlaczego nie zajmie się nim państwo? Nie dalej jak wczoraj włókł się w kierunku cmentarza Edirnekapy. Kto wie, komu tym razem pomógł tam zamieszkać? Mówiono, że Seyit Lutfullah, dociskając twarz do ściany, rozmawia z duchami, wtedy też oddechem, a zwłaszcza dotykiem, potrafi uleczyć niektóre choroby nerwowe i przepowiadać przyszłość. Pewnego dnia roku 1906, kiedy powolutku zaczynał być sławny, pan Abdüsselam zauważył, że zginął mu bardzo wartościowy złoty zegarek. Za pośrednictwem Nuri Efendiego zwrócił się do Seyita Lutfullaha. Seyit Lutfullah, po długich naradach z duchami, powiedział swą dziwną turecczyzną:

– Zegarek w skrzyni niewiasty, skrzynia na promie ciasnym, prom na morzu jasnym... Już telegrafować... W przeciwnym razie...

Po trzech dniach okazało się, że było jednak trochę inaczej. Zegarek wypłynął, ale z kieszeni kamizelki, kamizelka zaś z garderoby, a garderoba należała do niewolnicy, którą druga żona Abdüsselama ściągnęła z Egiptu. Ale popatrzcie jednak, co za przypadek, że w tym samym czasie wyjechała do domu inna służąca pochodząca z Ünye, za którą wysłano telegraf i otrzymano taką oto odpowiedź:

„Kobietę odnaleziono. W kufierku rzeczonyj znajdował się poszukiwany przedmiot: podłej jakości zegar stołowy. Zegar i kobieta znajdują się na posterunku policji. Czekają na państwa instrukcje...”

Sławę, jaką cieszył się w Stambule, Seyit Lutfullah zawdzięczał temu wydarzeniu, w którym odegrał rolę doniosłą w szczególności i raczej podłą w ogóle.

Drobna nieścisłość co do istoty sprawy tylko podniosła ogólną ocenę jego potęgi, która dla wielu stała się niezaprzeczalnie wielka. Seyita Lutfullaha zaczęto postrzegać jako samotny okręt na wód odmętach, targany wrogimi wiatrami. Tymczasem należy przyznać, że Seyit Lutfullah nigdy się nie upierał, że pewne rzeczy, w tym wizje, postrzega w sposób dosłowny.

* Jeden ze stambulskich przytułków dla bezdomnych (przyp. tłum.).

Krótko mówiąc, pomyłka ta wypełniała nasze umysły pustką niczym 999 meczetowych okien. Gdyby strzał był trafny, przypisano by to przypadkowi, ponieważ nie rozpatrywano by szczegółów. Lecz efekt wywołany przez tę niewielką pomyłkę nigdy nie przeminie; w jego świetle zegarek, powrót służącej do domu, ładownia na promie, skrzynia, wszystko to stanowiło wyjaśnienie niczym kolejne etapy drogi pokonywanej z wielką dokładnością. Nie wiem, czy istnieje lepszy przykład, by ukazać, jak wielką i doniosłą rolę odgrywa w życiu zwykła pomyłka. Od tej pory Seyit Lutfullah stał się najbardziej regularnym i poważanym gościem kamienicy u pana Abdüsselama. Wierzono we wszystko, co mówił. Zaufanie do niego potęgowało kilka dodatkowych elementów, które wyniósł z medresy: szaty i dziwne przyzwyczajenia. Rady, aby choć trochę zmienić swój ubiór i sposób bycia, odrzucał, wykonując przy tym gesty odnoszące się do owej straszliwej, czarnej pustki pełnej niewidocznych wrogów: „nie pozwalają”. Trzy dni później pojawił się jednak w nowej szacie i turbanie, które na siłę ofiarował mu pan Abdüsselam, mówiąc: „Zgody nie otrzymałem. Ale by mój dobroczyńca nie poczuł się dotknięty...”. Seyit Lutfullah miał swoje sposoby na podsycanie płomienia własnej legendy.

Mawiał, że pomieszczenie w medresie wybrał zgodnie z odpowiednią instrukcją, która nadeszła z właściwego miejsca o właściwym czasie.

Rzadko widywałem miejsca, które robiły wrażenie, jakby każdy ich element był przygotowany w najdrobniejszych nawet szczegółach na potrzeby człowieka. Wspomniany budynek wraz z powstającym za czasów Mahmuta I małym meczetem zaczął popadać w ruinę, tak jakby stan obecny był starannie przygotowanym planem architekta. Kamienne płyty na podwórzu były albo popękane, albo pochowane w objęciach platanu, którego gałęzie sięgały murów. Zawaliły się prawie wszystkie cele we wszystkich trzech skrzydłach – z wyjątkiem komnaty, w której sypiał Seyit Lutfullah – z tą tylko różnicą, że jedne w połowie, inne całkowicie. Z małego meczetu, stojącego po lewej stronie podwórza, pozostały tylko cztery schodki, które prowadziły kiedyś do drzwi minaretu. Tuż obok znajdował się uroczy cmentarz, oddzielony od ulicy ledwo stojącą balustradką – zaś na cmentarzu były groby czterech czy pięciu szczególnie w swoich czasach wpływowych osób spoczywających tuż obok głównego kawiarza sułtana, dzięki któremu powstał i meczet, i ta medresa. Całe podwórze medresy, cmentarz i działka, na której powinien stać meczet, porośnięte

były trawą i drzewami. Spomiędzy chaszczy wystawały gałęzie przeplatające poprzewracane kolumny. W pochmurne dni na tle otaczającej szarości wzrok przykuwał jeden dziwny szczegół znajdujący się na dachu pokoju Seyita Lutfullaha: była to plątanina pnączy, która wyglądała jak cieniutka elegancka koronka drgającą na wietrze. Delikatny cyprys na tle szarego zachmurzonego nieba robił wrażenie, jakby w imieniu całej natury próbował objąć w posiadanie wszystko wokół.

Medresa z przedziwną, przekrzywioną czapką udającą wieżyczkę zachowywała równowagę w sposób tyle przerażający, co nonsensowny: jakby zastygła w momencie podejmowania ostatecznej decyzji: pozostać tak czy upaść. Seyit Lutfullah sypiał na pościeli rozłożonym w jednym z kilku pokoi tej ruiny. Pomieszczenie było zawsze wilgotne i ciemne. Wokół legowiska stały jakieś wielkie pojemniki, w których przechowywał przedziwne narzędzia. W tym pokoju mieszkał także całkiem oswojony żółw – prezent od Aselban, dlatego też nazywany Çeşminigar – który nieustannie się przemieszczał między nogami obecnych. Jeśli wierzyć pogłoskom, niewidzialne istoty wybrały tę medresę na własną siedzibę, a prawdziwym tego powodem był skarb znajdujący się w tej okolicy. W świecie Niewidzialnych poszukiwania nie ustawały od czasów cesarza Andronikosa.

Pomijając to wszystko, jeśli wierzyć temu, co wyjawiał mi w wielkim sekrecie, medresa wcale nie była ruiną, na jaką wyglądała. Była jasnym, przepyszным pałacem. Nie było nam dane zobaczyć prawdziwego jego kształtu, podobnie jak nie mogliśmy dostrzec piękna samego Seyita Lutfullaha. Dopiero po odnalezieniu skarbu pałac miał rozbłysnąć kolumnami ze szczerego złota, kopułami z turkusów i innych drogich kamieni. Wówczas wszystko powróci na swoje miejsce. Aselban stanie się widzialna, jej kochanek ukáže światu swe prawdziwe oblicze, zakochani będą wieść życie przepelnione wiecznym szczęściem.

– Moja władza rozpościerać się będzie na cały świat i wszystko będzie tak, jak sobie tego zażyczę... – mawiał.

Miałby wówczas unicestwić wszelką niesprawiedliwość oraz biedę na świecie i rządzić sprawiedliwie. Ten przedziwny człowiek, działający niemal całkowicie w oderwaniu od rzeczywistości, skupiał się na swoim własnym poczuciu tego, co dobre i prawe.

Właśnie dlatego Seyit Lutfullah gardził ofiarowaną mu przez różnych ludzi pomocą, jej przyjęcie nie pozwoliłoby mu osiągnąć życia wiecznego,

bezgranicznego szczęścia ani przeogromnej siły. Był idealistą i człowiekiem wielkiego ducha. By w życiu osiągnąć „wszystko”, wybrał życie na pustyni „niczego”. Doktor Ramiz, kiedy opowiadałem mu o dziwactwach naszego przyjaciela, szczególnie zainteresował się tym właśnie szczegółem i wiele razy opowiadał mi, że to poczucie sprawiedliwości i świadomość istnienia bezprawia może być kluczem, albo jednym z kluczy, do rozwiązania zagadki Seyita Lutfullaha. Mój drogi przyjaciel, którego umysł wykorzystywał metody naukowe, przez jakiś czas próbował ustalić nawet, czy Seyit Lutfullah czytał Marksa i Engelsa. Twierdził z przekonaniem, że musiał czytać, i wyraził żal, żeśmy to przeoczyli. Ja miałem gotową odpowiedź:

– Jakże ten nieszczęśnik miał ich czytać. Przecież biedak nawet tureckiego nie zna dobrze!

– Wy zawsze to samo... – zżymał się doktor. – Zagłębiacie się w szczegóły i nie potraficie zobaczyć tego, co wielkie... Przynajmniej jemu jednemu dajcie spokój. Jestem absolutnie pewien, że znał niemiecki i całą literaturę socjalistów. W przeciwnym razie nie zwalczałby tych dwóch wielkich wyzwań naszej epoki: niesprawiedliwości i bezprawia. On jest początkiem naszej socjalistycznej ojczyzny.

Tak właśnie myślał i mówił doktor Ramiz. Miał zwyczaj przyczepić się do jakiegoś szczegółu, który w kilka sekund zmieniał się w lawinę. Ja, świadomy swej niewiedzy, nigdy nie miałem odwagi otwarcie polemizować z tym wielkim uczonym. Po cóż mam kłamać, nigdy nie byłem świadkiem, by mój drogi przyjaciel wysuwał idee walki tego rodzaju. Aristidi Efendi, pan Naşit i pan Abdüsselam nie byli aż tak ambitni. Po tym, jak Aristidi dzięki pomocy swojego szwagra, popa z dzielnicy Haybeliada, odkrył, że cesarz Andronikos mógł być cesarzem Hadrianem, kwestię skarbu zaczął postrzegać jako zagadnienie naukowe. Lęki Seyita Lutfullaha i jego wieczne oczekiwanie na rozkazy od Niewidzialnych uznał za brednie. Uważał, że należy złapać kilof, łopatę i zabrać się do roboty. W uporządkowanym świecie na wszystko jest czas i sposób. Najbardziej doniosłym wydarzeniem roku 1909 była całonocna próba poszukiwania skarbu cesarza Andronikosa podjęta samotnie przez Aristidi Efendiego. Po kilku sztychach szpadla musiał zmieniać miejsce, jeśli w ogóle chciał kontynuować pierwotne poszukiwania. Zamiast naczyń pełnych złota, drogich kamieni, równie drogich materiałów oraz innych cennych przedmiotów pałacowych: mądrych ksiąg i posągów z kości słoniowej i złota, odnalazł jakieś szklane naczynie

z dwiema czy trzema kośćmi i jedną monetą z czasów sułtana Mahmuda – wzbudziło to w nim pewne wątpliwości. Po wszystkim Seyit Lutfullah oświadczył załamany, że teraz, zamiast zajmować się odnalezieniem skarbu, całe miesiące będzie musiał spędzić na sprowadzeniu go na dawne miejsce; mało co nie umarł z powodu wyrzutów sumienia. Tak jak sprawa z zegarkiem pana Abdüsselama, tak też nieudane poszukiwania przełamały w Aristidi Efendim ostatnie opory wobec Seyita Lutfullaha. W obecności starca bywał zagubiony i niepewny jak armia, której odcięto wszystkie drogi odwrotu. Aristidi uznał, że najbezpieczniej będzie przybierać wyraz twarzy charakterystyczny dla Europejczyka – uśmiech połączony z obawą.

Tak naprawdę wszystko, czego pragnął Seyit Lutfullah, to osiąść tajemnicze wszechświata i zdobyć kontrolę nad wszelką materią. Złota nie da się stworzyć rękami, tylko duszą. Czyż nie jest go pełno pod ziemią? Stworzyć, a nie zrobić – to dopiero wyzwanie. W tym czasie starzec przeprowadzał swoje eksperymenty w tajnym laboratorium na tyłach apteki Aristidi Efendiego, korzystając z przeróżnych naczyń, probówek i menzurek. Pracował zgodnie z formułami własnego pomysłu, jak również pochodzącymi ze starych manuskryptów, które pokazywał Aristidi Efendiemu. Z tego też powodu wybuchały między nimi trwające nawet kilka dni kłótnie.

Podczas tych awantur, niczym w kolbie zawieszanej nad ogniem, mieszały się ze sobą cierpliwość i tolerancja kulturalnej Europy Aristidi Efendiego z głupią dumą i przesadną wrażliwością Lutfullaha, dzierżącego władzę nad światem niewidzialnym. Kilka razy byłem świadkiem takich zajęć i jedyne, co pozostało mi w głowie, to arabskie figury gramatyczne. Nawet dzisiaj słowa, takie jak czyszczenie, rozpuszczanie, rozdrobnienie, gładzenie, wyrównanie, zagęszczenie, łączenie, wydają mi się wielkimi drzwiami potężnych możliwości, które otworzą się jedynie w obliczu ogromnej siły woli. Pewnego dnia zobaczyliśmy, jak te wrota naprawdę się otwierają. Aristidi Efendi swoje eksperymenty przeprowadzał za pieniądze pana Abdüsselama; by całą sławę móc przypisać tylko sobie, często pracował samotnie po nocach. Pewnej nocy rozbił jedną z probówek i niechcący podpalił całe laboratorium. Przybyła po godzinie straż pożarna i ochotnicze oddziały dzielnicowe znalazły spalone do połowy ciało Aristidi Efendiego. Stało się to w lutym 1912; wraz ze śmiercią aptekarza umarł również projekt produkcji złota. Dla naszej małej grupy jedyną nadzieją pozostał mityczny skarb.

Można by zapytać, dlaczego zamiast pisać o Instytucie, skupiam się na czasach znacznie odleglejszych. Czemu cień przeszłości nagle zmienił kierunek mych wspomnień. Są to takie rzeczy, których prawdziwości ani komizmu dzisiejsi ludzie już nie pojmą. Jeśli o mnie chodzi, to tak bardzo posunąłem się w latach, że nie czerpię już przyjemności z tamtych doświadczeń i wspomnień. Od chwili, gdy Halit Regulator pojawił się w moim życiu, stałem się innym człowiekiem. Przy nim przywykłem do życia realiami dnia i do zmagania z nimi. Tak, on dał mi nowe życie. Teraz oddaliłem się już od tej przeszłości. I jest we mnie pewien sprzeciw wobec minionych dni. Jaka szkoda, że nie mogę opowiedzieć o sobie bez cofania się do tamtych czasów. Latami żyłem między nimi, żyłem dla ich fantazji. Czasami przejmowałem ich stroje, czasem ich sposób bycia. Niepostrzeżenie stawałem się raz Seyitem, raz Aristidi Efendim, to znów Abdüselamem. Stanowili wzorce, które jak maski nieświadomie zakładałem na twarz. Będąc wśród obcych, zakładałem tę najbardziej odpowiednią do chwili. Nawet teraz, po latach, gdy patrzę w lustro, widzę w swoim odbiciu cień któregoś z nich. Dostrzegam zwycięski uśmiech Nuri Efendiego, za chwilę kłamliwe spojrzenie Seyita, które napawa mnie lękiem. Czasami jestem, jak mój własny ojciec, zdruzgotany beznadziejną zazdrością i niecierpliwością. Ach, widać to także po moich ubraniach. Nawet stroje od najlepszych stambulskich krawców leżą na mnie jak na panu Abdüselamie. Wczoraj postanowiłem zmienić oprawki okularów; czyż nie szukałem świadomie złotych niemodnych już ramek, tak podobnych do noszonych kiedyś przez aptekarza Aristidi Efendiego? Być może to, co nazywamy osobowością człowieka, składa się z bogactwa i przypadkowości zebranych masek, ze związków, jakie tworzą między sobą.

Może jest jeszcze coś, coś głębszego i silniejszego – wewnętrzna walka z własną spuścizną. Z pewnością jest ona we mnie. Nie mówię, że to dotyczy wszystkich. Oczywiście jest, że inni, o życiu różnym od mego, postrzegają się w sposób odmienny – naiwny.

Ale to ja spisuję ich wspomnienia. Opisuję swoje życie. Kolejne etapy mojego życia nie dały mi szans, bym uwolnił się od ich wpływów. Jak mawia mój syn, nie nauczyłem się „określonego stylu pracy”. Relikty przeszłości nadal podsycaly chaos w mojej duszy. Ahmet jest zupełnie inny niż ja

i bardzo się stara, by różnice te się nie zatarły. Wiele stracił, walcząc o swą odrębność. Zaraz po szkole średniej zdał egzamin państwowy. Ukończył medycynę, ale odrzucił możliwość odbycia stażu w Ameryce, spakował się i wyjechał w głąb Anatolii. Nie konsultował ze mną swoich decyzji i postępował odwrotnie, niż mu radziłem.

Nie twierdzę, że mój syn mnie nie kocha. Z pewnością z wieloma poglądami się nie zgadza, z niektórymi otwarcie walczy. Mimo wszystko czuję, że w nim będę żyć dalej. Raz miałem przyjemność obserwować go, jak patrzy na chorego w swej przychodni. Zupełnie jak ja, gdy biorę do ręki zegarek. Lub raczej jak Nuri Efendi. Przysięgam, że jego spojrzenie było bardziej podobne do spojrzeń Nuri Efendiego, a to dlatego, że praca pochłonęła go bardziej niż mnie kiedyś.

Cała moja przeszłość stanowi problem istotniejszy od stanu obecnego. Nie mogę się od niej uwolnić, nie mogę też całkowicie ulec jej nakazom.

9

Pograżyłem się na tak długo we wspomnieniach z powodu niedużej balustradki, którą cztery lata temu wypatrzyłem w sklepie z antykami i zamocowałem pośród sezonowych kwiatków przy drzwiach ogrodowych pomiędzy pracownią i Willą Zegarową. Balustradka zdobiona w gwiazdy i tulipany sprawiła, że czuję się, jakbym spoglądał na me dzieciństwo pełne niedoli i niedostatku, a jednocześnie nadziei i marzeń. W czasach gdy znosiłem do rozpadającego się meczetu różne sprzęty dla Seyita Lutfullaha, zatrzymywałem się przed tą balustradką, przyglądałem się jej długo, myśląc, jak to będzie, gdy pewnego dnia pan Seyit odkopie skarb lub gdy Aristidi Efendi naprawdę przemieni rtęć w złoto – nigdy nikt o tym głośno nie mówił, doszło to jednak do moich uszu – i uda się wyremontować ten mur, medresę, a może i cały meczet.

Niestety, los i przypadek zaplanowały dla mnie coś wręcz przeciwnego. Dokładnie dwanaście lat wcześniej, nim podrosłem, miałem już pieniądze i ofiarowałem meczetowi nasz wielki zegar ścienny, w czasach niezwykle trudnych, w biały dzień, licząc się z możliwością zatrzymania, zabrałem tę balustradkę podtrzymującą ostatni fragment muru, która w miejscu pęknięcia łopotała niczym skrzydła ptaków, do których strzelał pan Na-

řit, i sprzedałem ją za trzydzieści papierów pewnemu antykwariuszowi. Wówczas z tych trzydziestu papierów ucieszyłem się tak, jakbym odnalazł skarb Andronikosa, jakbym w próbkach Aristidi Efendiego zmienił w złoto wszystkie pokłady rtęci na świecie.

Za te pieniądze mogłem w końcu nakupić prezentów i prezencików; szwagierce – melomance – dać na nie wiem którą z kolei naprawę udu*, mając tym razem absolutną pewność, że odda dług; drugiej szwagierce podarować środki, których niezmiennie potrzebowała, by odpowiednio przygotować się do konkursu piękności, oraz podarować Pakize pasek, który nijak żadnej sukni nie podtrzymał, lecz był niezwykle szykowny i przyciągał uwagę, jakby zapewniał dziewięćdziesiąt procent królewskości, w co wierzyła moja żona. Za ostatnie dwie liry udało mi się odkupić zegarek naszego sąsiada – sklepikarza Hulkiego, który zastawiłem u starego znajomego straganiarza Alego trzy dni wcześniej, by zaprowadzić dzieci do kina. Jeżeli nawet tylko na chwilę, to jednak obecność balustradki wniosła do mego domu wiele spokoju i od dawna nieodczuwalnej w nim swobody. Pomimo to czułem smutek. Zdradziłem przeszłość i złamałem słowo dane w dzieciństwie samemu sobie. Wierzyłem wtedy w świętość człowieka, który spoczywał pod wielkim kamieniem, leżącym tuż za tą balustradką, a to pewnie dlatego, że wyrosło tam olbrzymie drzewo morwy. Co wieczór tam chodziłem, modliłem się i paliłem świece w intencji ozdrowienia matki. Cztery lata temu, przechadzając się po składach antykwariuszy – tym razem nie by coś sprzedać, lecz kupić, by należycie przystroić Willę Zegarową – natknąwszy się na balustradkę, czyż mogłem jej nie poznać? Gdybym nie wiedział, jak bardzo zdrożała, wziąłbym ją w objęcia i tulił jak starego przyjaciela. Ale podstępny Żyd, mimo mych wysiłków, domyślił się wszystkiego. Z pewnością zauważył lekkie drżenie rąk, choć starałem się to ukryć. Dlatego też całą swą uwagę skupiłem na indyjskim stoliczku i po zakończonym targu, jakby od niechcienia, spytałem o tę balustradkę, „Dziewięćset lir... To piękna rzecz. Z Konyi przywieziona. Muzealne cacko” – odrzekł. Trzydzieści lir, a dziewięćset. Dokładnie trzydzieści razy więcej. Jak w tabliczce mnożenia mojego syna. Już miałem rzec: „Dobrze, przyślijcie do mojego domu...”, ale w porę się pozbierałem, zaproponowałem sto pięćdziesiąt. Antykwariusz poczuł się

* Instrument muzyczny (przyp. tłum.).

urazony. Podniosłem na sto sześćdziesiąt. Stwierdził, że ja chyba żartuję. I tak zaczęliśmy się wspinać i schodzić niczym po wąskich stopniach wiodących na szczyt minaretu: ja kilka kroków w górę, on zaś powoli w dół, by spotkać się gdzieś pośrodku. W końcu Mandalin Efendi zszedł do poziomu czterysta siedemdziesiąt pięć lir, i tak zostało. Chyba po trosze po to, by zemścić się za przegraną, zapłaciwszy, pochyliłem się i ucałowałem metal pokryty stearyną świec palonych przeze mnie w dzieciństwie. Nie musiałem dłużej ukrywać wzruszenia, jakim nappełniło mnie spotkanie z przeszłością. Poszedłem nawet krok dalej i rzekłem:

– Panie Mandalin, nie był pan dziś dobrym sprzedawcą. Nie jest to cacko muzealne, choć w pewnym sensie jest, a że nie przybyło tu z Konyi, to ja ze wszystkich wiem najlepiej. I mógł mi pan ją sprzedać o wiele drożej.

Patrzył na mnie jakiś czas, potem wznosił ramiona ku niebu.

– Cóż poradzić, mój panie... cóż poradzić. Bądź zdrow i niech wszystkim nam zdrowie sprzyja, a są wszak jeszcze inni klienci!

Być może znajdą się tacy, którzy będą ze mnie szydzić i mnie zawstydzają za to, że przyniosłem do domu cmentarną balustradkę meczetu Kahvecibaşı i przywłaszczyłem ją sobie. Bez wątpienia ta myśl była przyczyną mojego niewielkiego przygnębienia. Zawsze i we wszystkim znajduje się jakiś szkopuł. Ale nie należę do tych, którzy nie potrafią znaleźć pocieszenia; wystarczy tylko pomyśleć. Wszak ani medresy, ani meczetu już nawet nie ma. Nie ma także prawowitego właściciela balustradki, któremu miałbym obowiązek ją zwrócić. Być może wyrywając ją, przyczyniłem się do ostatecznego rozpadu tamtego budynku. Już wcześniej opowiedziałem, jak bardzo był stary i zrujnowany... Wspominałem też, w jak przytłaczających okolicznościach i w jakiej potrzebie zabrałem ją z cmentarza. Tak czy inaczej człowiek znajduje ukojenie i pocieszenie w tym, że na miejscu starych medres i meczetów wyrastają nowoczesne apartamenty. Jak tak dalej pójdzie, to za kilka lat powstanie tu nowoczesne osiedle. Ja sam polubiłem w końcu nowoczesnych ludzi, nowoczesną architekturę i komfort nowoczesności. Nie smuci mnie fakt, że zniknął z powierzchni ziemi kolejny cmentarz, ani widok kamiennego zlewu, ramy lustra czy półki pod grzejnikiem. Od dawna już wiem, że Aga Kahveci Salih nie był świętym. Święty czy nie, wtedy nie mogłem mu wybaczyć, że mimo wszystkich ofiar, modlitw i świec moja mama musiała umrzeć. I nie mam teraz zamiaru w moim wieku usiąść i płakać, że oto ze środka miasta zniknął cmentarz!

Nowoczesne życie nakazuje trzymać się z dala od myśli o rzeczach takich jak śmierć. Bo czyż mamy oczekiwać przyjscia umarłych?

Wracając do balustradki, to byłem chyba pierwszym człowiekiem na ziemi, który odkrył w niej dzieło sztuki i którego tak zachwyciła. To ja doceniłem jej piękno. To ja wysledziłem ją w antykwariacie. Uchroniłem ją przed ignorantami, którzy nie doceniliby jej wartości. Właściwie to ją ocaliłem. Czyż może być coś szlachetniejszego, niż zabezpieczyć takie dobro, chroniąc je we własnym domu? Poza tym któż bardziej niż ja doceni piękno tego dzieła sztuki? I któż wśród ludzkiego tłumu byłby w stanie dojrzeć pośród delikatnych zdobień całą jej historię i skupić na niej swój wzrok?

Pisząc to, raz po raz podnoszę głowę i patrzę na moją balustradkę. Kilka kroków za nią, pod topolami i cedrem – który swego czasu przeniósłem tu ze starego ogrodu na Boğaziçi – bawią się moje wnuki wraz z Halide, którą na me stare lata, dzięki Najwyższemu, powiła moja najmłodsza córka. W rękach mają kolorowe łopatki i wiaderka, które to opróżniają z ogrodowego piasku. Wiedziałem dobrze, że prócz piastunek: bezmyślnej szwedzkiej dziewczyny sprowadzonej przeze mnie specjalnie do opieki nad dziećmi mojej córki Zehry, prócz wesołej, słodkiej, lekko przy kości pani Asiye o skórze koloru pszenicy, którą zatrudniłem specjalnie do opieki nad małą Halide, że całą tę gromadkę chronią zupełnie inne istoty, cieszące się ich radością. Tak, po cóż miałbym kłamać, wierzyłem, że zarówno Nuri Efendi, Abdüsselam oraz sam Lutfullah Efendi w podartej szacie, którą sprezentowała mu Aselban, są teraz przy moich córkach, wnukach i piastunkach. Kto wie, może nawet sam Nuri Efendi delikatnie układa powiewającą na wietrze krótką sukieneczkę Halide, spod której wystają błękitne majteczki, i sprawia, że podnosząc się i upadając, podąża w stronę zegara słonecznego umieszczonego pomiędzy klombami kwiatów i opiera się rączkami o kamienie zegara. Na życzenie Pakize nadaliśmy małej imię po świętej pamięci Halicie Regulatorze i dobrze wiedziałem, że wybór ten był niezwykle trafny. Z każdym dniem coraz bardziej upodabniała się do swego imiennika. Jej twarzyczka, jak pączek róży, nabierała niemal namacalnie wyrazu jego twarzy. Osobowość dziewczynki coraz bardziej przypominała jego charakter. Jej siła woli wymuszała wyrażenie zgody na wszystko, czego tylko chciała.

Oznacza to jedynie, że wszystko, co Seyit Lutfullah mówił o wpływie imion na nasze losy, nic a nic nie jest przesadzone. Jestem przekonany, że

gdyby Halide nosiła inne imię, nie przypominałaby mego świętej pamięci dobroczyńcy aż tak bardzo.

10

Rok 1912 był dla mnie najgorszym rokiem w życiu. Niemal na samym jego początku zmarł Nuri Efendi. Wraz z jego odejściem zwałił się na mnie cały ogrom nieszczęść. Wracając z pogrzebu, odkryłem nagle, że pomimo zaledwie siedemnastu lat jestem bezrobotny, bez siły i bez perspektyw. Dwa lata jeszcze z trudem kontynuowałem naukę. Lecz w miarę jak rozwijała się moja przyjaźń z Lutfullahem, coraz rzadziej zaglądałem do dzielnicy, w której znajdowała się medresa. Czułem się wówczas tak gdzieś pomiędzy. Dla młodych medresa jest niezwykle istotna. Opóźnia moment, gdy ostatecznie trzeba zadać sobie nieuniknione pytanie „Kim będę?”. Pytanie to podobne jest do pociągu, który zawsze zdąża na czas, gdy trzeba poczekania, a jeśli przesiąść się w odpowiednim momencie, dowiezie nas wszędzie. Ja zaś wysiadłem z niego za wcześnie, gdzieś na środku pustyni. Wokół mnie narastały przybierające na sile szmery, jakieś zamieszanie i ludzka troska o moją przyszłość. Matka nigdy nie pytała: „Na kogo to dziecko wyrośnie?”, lecz sąsiedzi przy każdej okazji tym właśnie pytaniem rozpoczynali rozmowę z ojcem. Jedni proponowali, bym się kształcił, inni bym zajął się sztuką. Każdy zgłaszał memu ojcu swe postulaty, twierdząc, że należy poczynić pewne kroki w kwestii mojej przyszłości.

Żadnej roboty się nie ima, może go ożenisz... Wiem nawet z kim. Ja także zadawałem sobie to pytanie. Choć nie myślałem kategoriami: zawód, praca, zarobki. Chodziło mi raczej o pojęcia zwane dniem czy czasem. Ten czas trzeba było dobrze wykorzystać. Wtedy nie myślałem o niczym innym, jak tylko o zegarkach. Choć nie bardzo się na nich znałem. To świętej pamięci Nuri Efendi przekazał mi wiedzę o nich. Lecz ja jakoś nie mogłem na poważnie zająć się zegarmistrzostwem. Poza tym byłem leworęczny. Moje dłonie jakoś nie chciały współpracować z oczami. Jedne i drugie żyły niejako własnym życiem. Byłem z natury amatorem. Za cokolwiek się zabrałem, bardzo szybko odczuwałem znudzenie i znużenie. Nagle otwierała się we mnie droga ucieczki, którą po cichutku się wyco-

fywałem. Tak było i w szkole, i w pracowni Nuri Efendiego, i w zakonie*, do którego, odkąd skończyłem siedem lat, chadzałem z ojcem w piątki i czwartki. Trzeba było z tym coś zrobić. Poszedłem na praktykę do starego zegarmistrza, którego zakład znajdował się na tyłach meczetu. Mistrz był biednym człowiekiem i prawie nic nie miał do roboty. Z trudem zarabiał na chleb. Mimo to zgodził się mnie przyjąć. Z marnych pieniędzy zarobionych na naprawie zegarków zawsze dawał mi po kilka groszy. Niestety, taki to już mój los, w owych czasach mało kto zaglądał do zegarmistrza. Siedzieliśmy sobie w milczeniu jeden naprzeciw drugiego – mistrz i uczeń.

W niczym nie przypominał Nuri Efendiego. Nie miał pojęcia, czym jest czas, nie pojmował jego istoty. Powtarzałem mu to, co zasłyszałem od Nuri Efendiego, ale nic z tego nie pojmował. Ja mówię, że czas jest jak człowiek, a on mi na to: „Nie interesują mnie takie wariactwa”. Z drugiej strony Seyit Lutfullah nie dawał mi spokoju. Przywykł do tego, że jestem jego łącznikiem pomiędzy światem rzeczywistym i tym niewidzialnym. Raz po raz przychodził do sklepiku.

– Wstawaj, idziemy na Etyemez – rozkazywał.

Prosił mojego mistrza o pozwolenie, a gdy ten się opierał, straszył go dżinami. Etyemez, Eyupsultan, Vanikoy – cały Stambuł był nasz. Przodem szedł on, lekko powłócząc nogą, w brudnym zawoju na głowie i szacie, która przy najdrobniejszym wietrze nadymała się jak balon, a za nim ja w połatanym i byle jakim odzieniu.

Pomimo takiego trybu życia kilka miesięcy przepracowałem u tego starego zegarmistrza. Owszem, Asim Efendi nie rozumiał, czym jest czas, ale umiał reperować zegary i mógł człowieka wiele nauczyć. Niestety, w wyniku niefortunnego splotu wypadków musiał mnie w końcu wyrzucić z pracy. Zdarzyło się, że Seyit Lutfullah odwiedził zakład i niejako przy okazji zniknął jeden z zegarów pozostawionych do naprawy. Sprawa się wydała i to ja zostałem oskarżony. Wiele godzin spędziłem na postęrkunku. W końcu przypomniano sobie, kto w ostatnich dniach odwiedzał sklep, i wezwano winnego. Biedaczysko odrzekł, że zegarek wziął, by go spieniężyć i kupić kadzidło, które spali przy skarbie cesarza Andronikosa. Wskazał nawet miejsce, gdzie sprzedał go za bezcen. Twierdził, że zrobił to za podszeptem duchów, i przekonywał, że by odnaleźć skarb o niewy-

* Zakon derwiszów (przyp. tłum.).

obraźalnej wartości, musiał ukraść rzecz prawie nic niewartą. Po wykryciu winnego zwolniono mnie z aresztu. Ale nie mogłem zostawić biedaka samego na pastwę losu. Poradziłem, żeby zawiadomić pana Abdüsselama. Dzięki jego pomocy biedaczysko uniknął sądu, oskarżenia o kradzież i nadużywanie narkotyku. Pan Abdüsselam odkupił zegarek, ale Asim Efendi już nie chciał mnie przyjąć do zakładu. I miał do tego prawo. Czeladnik, który ma takich nieodpowiednich i nieodpowiedzialnych znajomych, zawsze stanowi zagrożenie.

11

W domu zaś historia z zegarkiem bez wątpienia mogła wywołać bardziej niebezpieczne i niepokojące skutki niż pobyt na posterunku. Lecz następnego dnia po tym wydarzeniu zarówno gniew ojca, jak i nieustanne skargi matki ustąpiły pod wpływem zdarzenia, które wstrząsnęło podstawą naszego życia rodzinnego. Tak to zawsze bywa. Wydarzenia nie dają o sobie zapomnieć. Tylko kolejne zdarzenie powoduje, że to poprzednie ma na nas łagodniejszy wpływ i jest zapominane. Dzień po tym, jak ojciec wyciągał mnie z kryminału, zmarła moja ciotka. Po południu, gdy już miano ją pochować, powstała z martwych. Te dwa następujące po sobie zdarzenia przewróciły nasze życie rodzinne do góry nogami. Mój ojciec do końca swych dni nie uwolnił się spod ich wpływu.

Ciocia była jedyną żyjącą krewną mojego ojca. Pewnie dlatego różnili się między sobą jak dzień i noc, zarówno pod względem temperamentu i usposobienia, jak kondycji fizycznej i zdrowia. Mój ojciec, silny i zdrowy, był zawzięty choćby miał ziemię gryźć, umiał dopiąć swego. Miał niezaspokojony apetyt na życie, pragnął zaspokajać swe potrzeby materialne za wszelką cenę, moja ciocia zaś, zawsze delikatna, chorowita od dzieciństwa, była osobą niezwykle zamkniętą w sobie. Ojciec, choć bardzo religijny, był wesoły i radosny, cieszyły go zabawa i dobra muzyka. Ona, smutna mal-kontentka, ze wszystkiego robiła problem. Tych dwoje tak bardzo różnych ludzi miało jedną tylko cechę wspólną: los ich doświadczył niepomier- nie. Mój ojciec, fantasta żyjący w świecie marzeń, których nie mógł ziszczyć, cierpiał z powodu niedostatku. Zmarły mąż mojej ciotki, z rodu Süpürgeciler Kahyasi, zostawił jej kamienicę na Etyemez, karczmę i łaźnię oraz

udziały w kilku innych przedsięwzięciach. Ale wdowa z powodu swego niezrównanego skąpstwa wiodła życie nadzwyczaj skromne, zużywając ze swych zasobów jedynie tyle, ile niezbędne jest, by przeżyć. Nie wyszła ponownie za mąż, obawiając się, że ktoś czyha na jej pieniądze. Mieszkała sama w szesnastopokojowym apartamencie, w towarzystwie na wpół szalonej służącej oraz pobożnej i skąpej, jak ona sama, starej ochmistrzyni, która uwielbiała plotkować. Tydzień po śmierci męża zabroniła memu ojcu wstępu do domu, zarzucając mu, że za bardzo miesza się w jej interesy. Dlatego jedynie w dni świąteczne miałem okazję ucałować dłoń ciotki, gdy składaliśmy jej oficjalną wizytę. W drugim tygodniu ramadanu zwykła była składać nam wizyty, twierdząc, że blisko od nas do meczetu. My, idąc do niej, przynosiliśmy zawsze jakiś mało kosztowny drobiazg. Gdy ona przychodziła do nas, z powodu najmniejszego uchybienia potrafiła wszcząć karczemną awanturę. Myśl o tym, że wraz ze swymi służkami przybędzie do nas w gości, ogarniała cały dom strachem już na dwa miesiące przed tym wydarzeniem. Ojciec już od ósmego miesiąca zaczynał pościć, by jakoś znieść wizytę ciotki, której obecność jedynie zaostrzała mu apetyt. W czasie trwających tydzień odwiedzin musiał być odporny na jej pouczenia i napominania.

Ciotka nie cierpiała ani mego ojca, ani nas. Miałem wrażenie, że odczuwa przyjemność z okazywania nam braku sympatii. Pewne jest, że nie dostrzegła w nas myślących i czujących istot, lecz raczej spadkobierców. Byliśmy w jej oczach siłą napędową tej strasznej, czyhającej na nią maszynierii zwanej śmiercią. Gdy któregoś dnia umrze, jej cały majątek przejdzie na brata, więc niejako umrze dla nas. W każdym słowie, ruchu dopatrywała się podwójnego znaczenia, w okazywanej uprzejmości doszukiwała się cynizmu. Jej wskazówki i rady typu: „Nie czekajcie niczyjej śmierci. To największy grzech” – nie schodziły jej z ust. A naprawdę – przynajmniej na samym początku – nikt z nas o tym nie pomyślał. Ojciec szczerze jej współczuł i pragnął, by była szczęśliwa. Próbował ją ożenić z naszym owdowiałym kuzynem, myśliwym, panem Naşitem. Niestety, ciotka, przekonana o swym braku urody, nie była skłonna do małżeństwa.

– Nie szukam mężczyzny, który roztrwoni moje pieniądze – mawiała.

Pomysł z małżeństwem nie upadł całkowicie, tylko nieco się zmienił. Ojciec postanowił, mimo naszego młodego wieku, zaręczyć mnie z córką pana Naşita.

Pewnego razu, gdy ciotka była chora, ojciec przyprowadził do niej lekarza, za którego wizytę zapłacił z własnej kieszeni. Każdy z domowników pamięta, jak tego dnia krzyczała: „Nie spiesz się! I tak to wszystko będzie twoje!” i jak wyrzuciła ich obu z domu.

W końcu interesy ojca zaczęły iść tak źle, że spadek po mojej ciotce postrzegał jako ostatnią deskę ratunku. Doszło do tego, że zdrowie ciotki, przestrzeganie ścisłej diety – mało jeść, nie ruszać się, nieustannie myśleć o pieniądzach i tym podobne – doprowadziły ojca na skraj obłędu. Ciotka znęcała się nad nim psychicznie, wymagała nie lada poświęceń akonto przyszłego spadku, bezlitośnie poniżała go i dręczyła. Z czasem przestała być siostrą, a stała się wielką udręką. Pod koniec jej życia połowę ciała miała sparaliżowaną, co tylko w pewnym stopniu ograniczyło możliwość poruszania się, ale nie ucierpiała na tym umiejętność zatruwania życia bratu. Poruszała się chyba tylko dzięki złośliwości, podejrzliwości i nieżyczliwości, które pielęgnowała w sobie od najmłodszych lat. Jednym słowem: według mego ojca ciotka żyła tylko dzięki własnemu uporowi. Wieczorem, gdy wracał z apartamentu na Etyemez do domu wymęczony przez tę przykutą do łóżka kobietę, mawiał:

– Czy to możliwe? Czy człowiek w tym stanie może jeszcze dychać? Ona to robi z nienawiści do mnie.

W końcu nadszedł ten dzień. Wieść o śmierci ciotki przyniosła zalana łzami posługaczka. Ojciec popędził do kamienicy ciotki. Poczytał konieczne kroki, nabożeństwo żałobne odprawiono na Laleli. Sprawy związane z pogrzebem ojciec przekazał naszemu sąsiadowi, panu Ibrahimowi, zaś sam pobiegł na Etyemez zabezpieczyć apartament i dopilnować, by nic nie zginęło. Według mnie to było jego największym błędem. Gdyby nie spieszył się aż tak bardzo, by pojąć spadek, ciotka byłaby pochowana w odpowiednim czasie, prawdopodobieństwo jej zmartwychwstania byłoby mniejsze. Miała pełne prawo spodziewać się, że wokół niej zbierze się rodzina, brat we łzach drący szaty na sobie, a tu wszystko na odwrót. Sąsiad Ibrahim z pieniędzy, które ojciec zabezpieczył na pogrzeb, postanowił odłożyć coś niecoś dla siebie, w wyniku czego wdowa po synu z rodu Süpürgeciler Kahyasi miała nad wyraz skromny pochówek. Poza tym w całym zdarzeniu pewną rolę odegrały także inne czynniki: ponieważ nie było nikogo z rodziny, z trudem odnaleziono właściwy grób, ziemia twarda i niepoddająca się łopacie,

ogólne opóźnienie i brak organizacji. Dość że w momencie, gdy miano złożyć trumnę do grobu, uniosło się wieko, a ciotka wybudzona z letargu usiadła sztywno, powiodła oczami po zebranych i niczemu się nie dziwiąc, odezwała się władczo do imama z Etyemez, jedynej osoby, którą poznała:

– No, szybko, zabierzcie mnie do domu.

Według relacji pana Ibrahima część zebranych na pogrzebie uciekła z krzykiem, a z cmentarza na Merkezefendi do domu na Etyemez nie było blisko i był ogromny problem z odwiezieniem ciotki. Gdyby dodatkowo nie odstraszyła do reszty tych żałobników, którzy nie pierzchli w pierwszym momencie, kwestia transportu byłaby prostsza. Skończyło się tak, że imam wraz z jedynym grabarzem, jaki został, owinęli ją porzuconym przez któregoś z żałobników płaszczem, a ona, wystając do połowy z trumny, sama kierowała ruchem; targowała się, za ile zaniosą ją do apartamentu na Etyemez, instruując, że mają ją odnieść dokładnie tak, jak ją tu przynieśli, co było w sumie jedynym możliwym wyjściem w tej sytuacji. Gdy weszli do miasta, w pierwszej napotkanej cukierni kazała sobie kupić coś do zjedzenia. W ten sposób powróciwszy z czyścica, skubiąc z wolna bułeczkę, była niesiona do domu we własnej trumnie, a za nią jak za panną młodą kroczył tłumek rosnący z każdym zaułkiem. Przeszedłszy tak kilka dzielnic, ciągnęli za sobą chyba połowę ludności miasta, przybierając postać marszu zwycięstwa czy czegoś w tym rodzaju. Tymczasem mój ojciec w błogiej nieświadomości, jako jedyny spadkobierca mający do wszystkiego pełne prawo, odprawivszy sługi, przeszukiwał mieszkanie siostry, zaglądał w każdy kąt, wygrzebał nawet ukryte w piecu węglowym cenne drobiazgi, przetrząsał szuflady, wysypał wszystko na środku pokoju, napchał kieszenie co lżejszymi przedmiotami i biżuterią, zadając sobie raz po raz pytanie „Co jeszcze? Ile jeszcze zostało?”. Ja w tym czasie siedziałem w jadalni, próbując naprawić zegar ścienny, który od dzieciństwa wzbudzał moją ciekawość, a nigdy nie miałem okazji go dotknąć. To ja otworzyłem drzwi ciotce. Krótko i władczo kazała wyciągnąć się z trumny. Historia nie odnotowała chyba wodza, który osiągnąwszy zwycięstwo, zachowałby przy tym zimną krew do tego stopnia, co ta stara kobieta siedząca w trumnie na progu własnego domu. Uosobienie dostojeństwa i opanowania. Jak cesarze czy królowie, których oglądałem w książkach historycznych. Szkoda, że ciotka nie dała mi okazji, bym wyjaśnił, jakie zrobiła na mnie wówczas wrażenie. Nie pozwoliła nawet zaklaskać. Odepchnąwszy mnie od drzwi, nawet nie patrząc na mnie, spytała:

– Gdzie ten drań, twój ojciec?

Ze strachu, ekscytacji i zachwytu zdobyłem się jedynie na to, by wskazać szczęką w głąb apartamentu. Zgromadzonym zaś rozkazała:

– Zaprowadźcie mnie na górę! Szybko – i nie czekając, aż wyjdą z osłupienia, bez niczyjej pomocy zaczęła wchodzić po schodach. Nasze zdziwienie się spotęgowało. Półżywa, paralityczka, bądź co bądź moja zmarła ciotka szła, ba! biegła po schodach, i to o własnych siłach.

Nie lubiłem własnego ojca, odkąd ożenił się po raz drugi. Nie potrafiłem rozpoznać, kiedy naprawdę miał kłopoty, a kiedy udawał, dlatego nigdy nie było mi go żal. Ale do dziś pamiętam, jak wówczas wyglądał. Gdy zobaczył siostrę, która doprowadzała go do rozpacz i zatrzymywała mu życie, a którą kilka godzin temu wysłał do raju, ze strachu i zaskoczenia zupełnie stracił mowę. Pożółkł na twarzy, która wyglądała teraz jak stara cerata, zaczął drżeć na całym ciele. Milczeli, patrząc na siebie.

– Oddaj wszystko, co żeś powyciągał – rzekła w końcu.

– Witaj, sestro... – wybelkotał ojciec i trzęsącymi się rękami po kolei wyciągał zza pazuchy i z kieszeni kolejne drobiazgi. Pięć minut później był jak posypana popiołem pijawka. Oddał, co zabrał, a nawet więcej. Oddał wówczas także całą nadzieję na szczęśliwą przyszłość. Ciotka bardzo uważnie śledziła każdy ruch ojca. Pilnowała, by nie wyniósł nic poza własną duszą.

– Teraz wyjdź. I zabierz tego swojego niewydarzonego synalka. Niech ten cały tłum znika z mojego domu. Safinaz, ty zostań, pościel mi łóżko! Zaparz mi lipy... Tylko szybko, bardzo zmarzłam... Na dworze straszny ziąb.

Wyszliśmy jak rażeni piorunem.

Trzeba przyznać, że wydarzenie to nie odcisnęło się na mnie aż takim piętnem jak na moim ojcu. Niewątpliwie spotkała nas ze strony ciotki wielka niesprawiedliwość. Lecz ja nigdy nie wierzyłem, że istnieje coś takiego jak moje prawo do czegoś. Za każdym razem gdy przytrafiało mi się coś pechowego, poczytywałem sobie za czysty zysk, gdy udało mi się cało wyjść z opresji. Nie chodziło o zagadnienie „prawa do czegoś”. To było bardziej skomplikowane. Analizując własne życie – czas po temu odpowiedni – zauważam, że zawsze miałem skłonności do bycia raczej obserwatorem niż uczestnikiem. Obserwując życie innych i ich zachowanie, myśląc o nich, zapominałem o własnych stanach ducha.

Tego dnia, gdy zmartwychwstała moja ciotka, większe wrażenie wywarły na mnie sceny, które zarejestrowały moje oczy, niż straty, jakie ponieśliśmy.

Gdyby nie to, że ojciec był w strasznym stanie, do tego stopnia, że wynajął taryfę na powrót do domu, byłbym całkiem zadowolony i ubawiony całą sytuacją.

Majestatyczność ciotki siedzącej w trumnie, mina ojca, lamentujący pan Ibrahim, który w spazmach opowiadał ojcu całe zajście – to było coś, co mogło wywołać śmiech. Jediną rzeczą, jaka przypadła mojej rodzinie po latach oczekiwania na śmierć ciotki, po tym, jak na chwilę weszliśmy w posiadanie jej kamienicy, schedy po Süpürgeciler Kahyasi, jedyną rzeczą było wahadło starego zegara z jadalni. Niech ojciec mówi, co chce, ale ja swoje po ciotce dostałem.

Pan Ibrahim rzekł kiedyś, z lękiem przyglądając się ojcu:

– Wszystko to moja wina, mogłem się szybciej uwinąć.

– Nie smuć się, Ibrahimie... Taka wola boska... – wymamrotał ojciec i zaraz dodał: – To dopiero byłby problem... Daj Bóg, wyciągnie naukę, a On wypełni wolę naszych przodków. Na razie cieszy się zdrowiem...

Niewielu ludziom przytrafia się coś takiego, toteż nic dziwnego, że ojciec już nigdy nie doszedł do siebie. Nie przeszła mu ani sztywność języka, ani drżenie rąk. Zabrakło mu też sił, by dalej zmagać się z losem. W życiu każdego człowieka zdarza się coś takiego, co z całą mocą uświadamia mu istnienie losu, przeznaczenia. My wszyscy dowiedzieliśmy się, czym jest los, w najokrutniejszy i najbardziej bezlitosny sposób. Mój ojciec wiedział o tym najlepiej, tak że nie musiał nawet myśleć o udziale własnej niecierpliwości i braku rozwagi w całym tym zajściu. Opanowało go dziwne milczenie. Stał się człowiekiem bez słowa przesiadującym w kącie. Tylko czasami wpatrywał się uporczywie w wahadło, które z nieznanym mi powodów zawiesił nad sofą i któremu nigdy nie pozwalał ruszyć, po czym wybuchał dziwnym i żalonym śmiechem i podrywał się z miejsca.

Nadal nie mogę pojąć, jak to możliwe, by człowiek tak pełen życia, krzykliwy, gadatliwy, podejrzliwy i płaczliwy, zamienił się w posmutniałego milczka.

Bez względu na to, czy człowiek kocha życie czy nie, zawsze marzy o zmartwychwstaniu i powrocie. To jest jak nagroda rzucona w ciemną otchłań, czekająca na nas na samym końcu długiego pasma cierpień. To jak gra kartami, które zawsze wygrywają, to jakby móc zacząć od nowa,

pozbywając się wszystkiego, ale zachowując cząstkę świadomości, pamięci o tym, co było, by móc docenić zmianę. To marzenie każdego człowieka, z którego nie umiałby zrezygnować.

I właśnie mojej ciotce, jedynej spośród milionów, dane było doświadczyć tego szczęścia. Ale wbrew oczekiwaniom na naszych oczach nie narodziła się nowa jakość życia.

Powróciła poniekąd zza światów w najmniej oczekiwanym momencie, ale za to zachowała dawną formę. To nadal była ta sama ciotka. Jednak w głębi jej duszy nastąpiła znacząca zmiana. Wewnętrzny przewrót czy wręcz rewolucja – zważywszy, że wywróciła do góry nogami całe nasze życie, ba! życie wszystkich świadków i uczestników zdarzenia – sprowadzała się do trzech kwestii.

Po pierwsze, ciotka zdawała się jak dawniej nie zauważać, jak bardzo jest zmęczona i chora; nie gardziła już swoim ciałem, które powróciło z zaświatów. Przestała je bezpodstawnie osądzać za wady, na które nie miało wpływu – brzydotę, niezgrabność i starość. Uznała, że to właśnie ciało jest jedyną jej ostoją i gwarantem pobytu na tym świecie.

Po drugie, ciotka zmieniła zdanie na temat swego majątku. Od chwili gdy zobaczyła, jak łatwo bogactwo, do którego była tak przywiązana, i którego była strażnikiem, może choć na kilka godzin przejść w posiadanie i do kieszeni brata czy innego świętego, odczuła potrzebę zaprowadzenia nowego ładu i ustalenia nowego stanu faktycznego. Ciotka, mówiąca do tej pory: „Za wszelką cenę schowam i pomnożę”, która zmieniła składzik na węgiel w kasę banku, tego dnia podjęła decyzję „Nie, ani nie schowam, ani nie będę pomnażać. Wszystko skonsumuję”. To tak, jakby w jednej chwili nie ci wszyscy ludzie zachłannie wpatrujący się w pełne skrzynie byli wrogami, ale ona sama, dopuściwszy się nagle zdrady, stała się największym wrogiem swojego majątku.

I cokolwiek powiedzieliby rozjemcy, musieliby przyznać, że nie była to wrogość powodująca rozłąkę. Wręcz przeciwnie, te dwa byty, żyjące na dwóch biegunach – ciotka i pieniądze – zjednoczyły się, i to właśnie z powodu tej wrogości. Ciotka, która zostawiła wszystko w momencie swej chwilowej śmierci, wraz z cudownym zmartwychwstaniem stała się na powrót posiadaczką wszystkiego, ale już w inny sposób. Ciotka, którą w nadzwyczajnych okolicznościach odniesiono z cmentarza do domu, jedynie dzięki jej własnej sile woli i pokonaniu siły woli innych – temu, że zmusiła do współpracy bliź-

nich, których w takiej masie wolałaby widzieć raczej na rzeczywistym pogrzebie, nie zaś odprowadzających ją do domu – ta właśnie ciotka odkryła nagle, czym jest to coś, zwane życiem. Wolno padające drobne płatki śniegu, przez które lekko uśmiecha się marcowe słońce; ostry wiatr nieograniczony murami miejskimi; szmer tłumu, twarze ludzi spotykanych na ulicy wstrząsnęły nagle czymś, co spało głęboko zakopane na dnie jej duszy. To, co zwą życiem, faktycznie istnieje. Doświadczają go ludzie majątni i biedacy. Złością się, śmieją, płaczą i radują, kochają i cierpią, ale przede wszystkim żyją. Dlaczego ona nie miałaby żyć tak samo? I to jeszcze dysponując środkami, które to ułatwiają? W końcu dotarła do własnego domu, wydarła bratu wszystko, czym napchał kieszenie, i miała swój skarb dla siebie.

Trzecia zmiana nastąpiła w kondycji fizycznej mojej ciotki. Strach, radość ze zmartwychwstania, niepokój o własny majątek pokonały jej paraliż i niepełnosprawność. Co z tego wszystkiego wynikło, spytacie? Otóż następnego ranka po triumfalnym powrocie, w którym uczestniczyła prawie jedna trzecia miasta, po dobrze przespanej nocy ciotka zdrowiutka wyskoczyła z łóżka. Pierwsze, co zrobiła, to wezwała imama i oddała mu stroje pogrzebowe i wszelkie akcesoria zmarłej, by zachował je na pamiątkę. Następnie wsiadła do samochodu i sama pojechała do miejscowego przedsiębiorcy; zabrawszy go ze sobą, wybrała się do najlepszego krawca na Beyoglu. Dni całe zajęta była strojami i dodatkami. W tym samym czasie kamienica została gruntownie wyremontowana i od piwnic po dach na nowo i gustownie urządzona. Zakupiono nawet nowiutki czarny pojazd z gumowymi oponami. Wraz z tymi nowościami w domu pojawili się także nowi służący, kucharz i pokojówki. W dniu ich przybycia ciotka, by podkreślić przecięcie związków z poprzednią służącą Safinaz, odebrała jej dotychczasowe miano „damy do towarzystwa”. Kobięcina z dwiema skrzyniami w ręku i kilkoma groszami w kieszeni została odprawiona wynajętym samochodem. A że człowiek zawsze potrzebuje drugiego człowieka, tydzień później w apartamencie ciotki zamieszkał nowy mąż, od tej pory mój wujek, myśliwy, pan Naşit z córką i synem. Po sześciu miesiącach, by zadbać należycie o zdrowie, małżonkowie wybrali się w podróż do Wiednia. Po powrocie pan Naşit wstąpił do partii İttahat ve Terraki*, a wkrótce potem, korzystając z fortuny ciotki, zajął się handlem na szeroka skalę.

* Partia Jedność i Rozwój, 1908-1918, opozycyjna wobec panującego sułtana (przyp. tłum.).

Naszym jedynym zyskiem z tych zajęć było wahadło i pani Safinaz. Pewien czas mieszkała u krewnych na Beşiktaşu, ale gdy pieniądze się skończyły, przypomniała sobie o bracie dawnej protektorki i o tym, że mieszka on w małym, ale zgrabnym czteropokojowym domku na Edirnekapy. Z pustymi skrzyniami, wynajawszy taryfę za ostatnie grosiki, przyjechała do nas.

12

Śmierć Aristidi Efendiego położyła kres próbom pozyskania złota. Zmartwychwstanie, a potem śmierć ciotki definitywnie pozbawiła nas złudzeń o spadku. Dlatego jedyną deską ratunku był Seyit Lutfullah i skarb, którego szukał. Niestety, niefortunny zbieg okoliczności zaprzepaścił i tę możliwość.

Seyit Lutfullah chadzał w owym czasie do meczetu na Yemis Iskelesi, gdzie w pewne wyznaczone dni wygłaszał kazania. Podczas jednego z nich staruszek uznał za stosowne objaśnić ludowi jedną z prawd, która była głęboką tajemnicą.

Z każdym słowem wzbudzał coraz większe zamieszanie, aż zaczął stanowić realne zagrożenie dla społeczności islamskiej. W końcu zapowiedział nadejście Mahdiego. Stwierdził nawet:

– To ja sam jestem Mahdim, ale czas powstania jeszcze nie nadszedł. Ale nadejdzie niebawem. Wówczas wy wszyscy będziecie przy mnie.

W wydarzeniach tego feralnego dnia zapewne miała swój udział nadmierna dawka narkotyku, jaką biedaczysko zażył. Niemniej czasy były niepokojne, Mahmut Şevket Paşa zamordowany, przez Stambuł co chwila przetaczała się fala niepokojów politycznych i dodatkowe wstrząsy nie były mile widziane.

Na szczęście, gdy pierwsze odurzenie narkotykiem minęło, podczas przesłuchań zaczął mówić z mniejszym natchnieniem. Wspomniał o Aselban, o skarbie Andronikosa, o swych poczynaniach, by ten skarb odnaleźć, oraz o niegodziwych duchach, które plączą jego losy. I prawdopodobnie to one właśnie podszeptały mu myśl o Mahdim. Skoro więc winnym jest sam nieuchwytny „Abdazah”, którego żadne służby ziemskie schwytać nie mogą, to nie było sensu przetrzymywać dłużej Lutfullaha.

Wieczorem w dniu jego zatrzymania zostaliśmy wezwani na posterunek: ojciec, ja, pan Abdüsselam i następca Nuri Efendiego z Instytutu

Regulacji Czasu Sadi Efendi z Isparty. Gdy czekaliśmy w korytarzu na złożenie zeznań, pojawił się pan Naşit, którego nie wiedzieliśmy, odkąd ożenił się z siostrą mojego ojca. Wszedł na posterunek, ale jakie to było wejście...

To nie był miły Naşit, który niezmiennie przeżywał kłopoty finansowe, ale jak nikt umiał cieszyć się życiem. Teraz był uosobieniem dostojności i nobliwości. Jego opadające wąsiki były nastroszone i wyostrzone, jakby rzucały wyzwanie całemu światu; jego oczy, kiedyś przymknięte smutkiem, przeszywały wszystko na wylot. Zrzucił stary płaszcz łowczego i nałożył piękny surdut w kolorze miodu; w rękę miał laskę zakończoną złotą gałką, kroczył pewnie, dając nam niejako gwarancję bezpieczeństwa samą swoją obecnością na posterunku. Wszedł naznaczony przynależnością do partii i majątkiem wartym kilkaset tysięcy lir, po czym dumnie udał się do pomieszczenia, gdzie przebywał pan Abdüsselam.

Po pięciu czy dziesięciu minutach wyszli obaj. Ojciec skorzystał z okazji i życzył staremu przyjacielowi i nowemu szwagrowi szczęścia. Ja pocałowałem jego dłoń i podniosłem ją do czoła. Jak za dawnych czasów. Człowiek, który spotkawszy mnie na ulicach dzielnicy Büyükçekmece, mawiał: „Najdalej za dwa lata będziesz moim zięciem, chłopcze!”, teraz podawał mi rękę do pocałowania z jakimś wahaniem; zanim na powrót włożył szykowną rękawiczkę, dłoń dokładnie wytarł chusteczką. Jego obecność i poniekąd obecność pana Abdüsselama na posterunku była dla nas wielkim ułatwieniem. Po rozmowie z tak wysoko postawioną osobą spisywanie zeznań takich ludzi jak my okazało się zbyteczne, a nawet uznane za niepotrzebną stratę czasu i zbędny wysiłek.

Ze słowami: Zostaniecie wezwani, jeśli uznamy, że to konieczne – odesłano nas do domu.

Dwa dni później Seyit Lutfullah z etykietką „człowieka nie zrównoważonego, uzależnionego od środków odurzających i stanowiącego zagrożenie dla otoczenia i z tego powodu niemogącego korzystać w pełni ze swobód osobistych” został odesłany do zakładu karnego w Sinopu. Po wyjeździe Seyita przyszedł do nas do domu funkcjonariusz i wręczył kosz z żółwim Çeşminigarem, każąc nam się nim zaopiekować:

– Hodża zabrał ze sobą tylko księgi.

W ten oto sposób zostaliśmy pozbawieni udziału w skarbie Andronikosa.

Żółw nie okazał się jednak tak wierny jak pani Safinaz. Nie spodobał mu się nasz dom. Mimo że Safinaz obejrzała całe mieszkanie i nie ruszała się z miejsca pod oknem, tak małego, że trudno było oddychać, on przy każdej nadarzającej się okazji uciekał z domu. Nie było kąta w całej dzielnicy, którego by nie zwiedził. Czasami my sami, czasami sąsiedzi znajdowali go pod meczetem Mihrimah lub w czyimś ogródku, a czasami pod kopytami koni zaprzęgowych.

Zwróciłem uwagę na to, że wszystkie bajki zaczynają się od nazw i imion. Gdy na przykład z powodu starości czy urody nazwie się jakoś kurtkę czy krawat, od razu takie się stają, jakby zyskiwały nową osobowość... Wszyscy w dzielnicy zaczęli nazywać go Depozytem, jak gdyby nie mogli przywyknąć do jego własnego imienia. W efekcie wszyscy poczuli się do jego poszukiwania i nikt nie chciał, by ostatecznie zaginął. Cała dzielnica chodziła z oczami dookoła głowy. Zawsze gdzieś go złapano i biegiem odnoszono do domu, próbując nas przy tym nieco upokorzyć, nas, obarczonych obowiązkiem nieodpłatnego sprawowania pieczy nad czymś, co wymaga tyle uwagi. Gdy małymi kroczkami już dostatecznie zapoznał się z topografią dzielnicy, opuścił nas na dobre. Z wielkim strachem poinformowałem o tym Seyita Lutfullaha. Odpowiedź, napisana drobnym maczkiem szafranowym atramentem, jaka nadeszła z Sinopu, niezwykle nas zadziwiła. Okazało się, że Çeşminigar dotarł cały i bezpieczny, cieszy się dobrym zdrowiem i wcale nie powinniśmy się martwić. Ponadto Seyit donosił, iż jest pochłonięty poszukiwaniem skarbu niejakiego Ümmi Gülsüma, niebawem go odnajdzie, zaś skarb Andronikosa daje mi w prezencie. Dodał jeszcze: „Aselban, z którą spędzam całe ranki i wieczory, uczyniła Się swoim bratem na tym świecie. Ona także ofiarowuje Ci skarb Andronikosa. Powinieneś okazać należyłą wdzięczność. Niestety, skarb leży obecnie pod Wieżą Dziewic* i wydobyć go jest raczej niemożliwe. Jednakże w efekcie naszych gorących modlitw jest prawdopodobnym, iż zmieni on miejsce przebywania na nieco łatwiej dostępne. Pamiętaj też, że należy postępować nadzwyczaj ostrożnie. Pozostań w zdrowiu...”

I tak, straciwszy wszystko, na powrót wszedłem w posiadanie potęgi i majątku.

* Kiz Kulesi – Wieża Leandra na Bosforze (przyp. tłum.).

Po zesłaniu Seyit Lutfullaha powrócił temat mojego zawodu i przyszłości. Chcąc nie chcąc, znowu udałem się do zegarmistrza. Ponieważ przeszkoda została usunięta, stary rzemieślnik przyjął mnie z otwartymi rękami. Niestety, ja już nie byłem tym samym Hayrim co dawniej. Minęły już czasy, gdy u boku Nuri Efendiego z miłością i oddaniem poświęcałem się zgłębianiu istoty czasu. Przeszedłem szkołę Lutfullaha. W moim umyśle nie istniał związek pomiędzy pojęciami życie i praca. Życie to była bajka wymyślona ot, tak sobie, z rękami w kieszeniach. Nie chciałem tracić go, wysłuchując utyskiwań starego artretyka, toteż pewnego dnia odłożyłem narzędzia na blat i oddałem klucze do zakładu zegarmistrza. Wskoczyłem na ulicę z paroma groszami, które pozostały mi z wczorajszej dniówki. Najpierw pogałem do murów miejskich. Nagle wszystko wydawało mi się uporządkowane i czułem się szczęśliwy. Wieczór spędziłem w jednym z teatrów na Şehzade: gwizdy, brawa, śmiechy, głosy sprzedawców, światła na scenie, nowo wschodząca gwiazda sceny, ormiańska dziewczyna o powłóczystym spojrzeniu i pięknym głosie, otworzyły przede mną nowe horyzonty. Najbardziej podobało mi się to, że ludzie, których za dnia spotykam w kawiarniach, tu, przy akompaniamencie kiepskiej muzyki i świateł scenicznych, stawali się zupełnie kimś innym. Jak sen na jawie. I tego wieczoru podjąłem decyzję. Trzy dni później byłem członkiem trupy teatralnej.

Oczywiście nie dano mi żadnej poważnej roli. Nie sądzę także, by nasze przedstawienia były nadzwyczajne. Niemniej rok 1913 był dla mnie wspaiałym przełomem. Od wschodu do zachodu Słońca dzień należał do mnie. Wieczorami zbieraliśmy się w teatrze niczym spiskowcy przygotowujący zamach. Dźwięki zurny*, bębnów i klarnetu obwieszczały całej okolicy, że wieczór należy do nas, a na scenie zostanie odkryty zupełnie nowy świat. Zza kurtyny słyhać było, jak zbierają się widzowie, tupią, hałasują, podzwaniają, popychają się; niecierpliwe gwizdy wstrząsały barakiem, aż w końcu kurtyna się unosiła. Pierwszą część, czyli tańce brzucha, oglądaliśmy z widowni. Stara kobieta kręciła brzuchem jak filizanką, lud piszczał i klaskał uradowany: albo ucieszony maskaradą, albo zadowolony, bo tego się właśnie spodziewał. Gwizdy brzmiały jak dźwięk rozrywanego materiału. Wszystko wokół

* Instrument muzyczny (przyp. tłum).

było zgrzebne, poniszczone i stare. Lecz dla mnie, który przeszedłem szkołę Lutfullaha, było piękne, zaś widoczna nędza i bieda – czystą uludą. Moim pierwszym kostiumem scenicznym były spodnie z epoki napoleońskiej, podarte w trzech miejscach. Kobieta, w której się zakochałem, a dokładniej hrabina, spokojnie mogła być moją babcią, ale cóż to miało za znaczenie? Przede wszystkim przez te kilka magicznych chwil nie byłem Hayrim, znajdowałem się poza rzeczywistością. Był to rodzaj ucieczki. Przebywałem się na zaczarowanym promieniu kłamstwa, i to mi wystarczało. Czegośmy nie wystawiali! W naszym repertuarze znajdowały się wszystkie znane utwory sceniczne. Żaden Don Kichot nie był tak śmiały w walce z wiatrakami jak my. Niestety, po trzech miesiącach przeprowadzono reorganizację. Ja zostałem wyłączony z obsady. Przeszedłem do niewielkiego teatru na Kadyköy, który wystawiał się na tymczasowej scenie w dzielnicy Kuşdili. Zarabiałem niewiele. Ledwie na dojazd do pracy. Teatr był nowy, nie cieszył się jeszcze sławą, a wszystkie aktorki były młode i we wszystkich się podkochiwałem.

Gdy ostatnim pustym promem wracałem do Stambułu, głowę miałem pełną marzeń i robactwa przejętego od nieświeżych podróżnych. Mój los już nie był tak ponury jak wcześniej. Mogłem grać trzecio-, a nawet drugoplanowe role.

Kolejna scena, na którą wyszedłem, również mieściła się na Kadyköy. Tym razem była to operetka. Zdobyłem doświadczenie, wykonując tradycyjne utwory w stylu tureckim, jak też europejskim. Odnajdowałem w nich reminiscencje derwiszowych przyśpiewów, zasłyszanych na czwartkowych konwentach w zakonie, w których wraz z ojcem nadal uczestniczyłem. Dyrektor teatru był bardzo wrażliwy na punkcie czystości swego monokla. Kiedy był wystarczająco wypolerowany i błyszczał, wszystko, na co padł wzrok dyrektora, jakby stawało się piękniejsze.

Niebawem miejsce operetki zajęła opera, potem teatr miejski Darülbedayi*, do którego wstąpiłem za namową pana Abdüsselama, oraz lekcje dramaturgii u Antuana, z których nic a nic nie rozumiałem. Pierwsza wojna światowa uratowała mnie od tego dziwnego świata i zamieszania, którego w żaden sposób nie mogłem pojąć. Wraz z jej nadejściem chyba pierwszy raz w życiu twardo stanąłem na ziemi. Wiedziałem jednak, że to o wiele za późno.

* Darülbedayi-i Osmanî (osm.), teatr miejski założony w 1914 roku, istniał do 1934 (przyp. tłum.).

Część druga
Małe prawdy

1

Po demobilizacji i powrocie do Stambułu dostrzegłem, że ludzie się bardzo zmienili. Wszędzie panowały bieda i zniszczenie. Ojciec zginął na wojnie. Macocha mieszkała teraz zupełnie sama. Jak tylko przekroczyłem próg domu, zrozumiałem, że te cztery lata poszły na marne. W domu nic się nie zmieniło. Sofę i drzwi pokoju zakrywały te same, tyle że bardziej podarte i wyblakłe kapy, w wiecznie zasłoniętych oknach wisały te same zasłony, a na ścianach bez zmian te same tabliczki. Ostatnie wiechcie słomy wypełniające siedzisko sofy, czekające, by przy nieostrożnym ruchu wysypać się do końca, roztaczały zapach grzyba i wilgoci. Święty bardziej zakurzony, wykończony niczym chory wielbłąd na kaukaskiej pustyni, stał w swoim kącie i jak w malignie odmierzał czas niepodlegający żadnym regułom. Poczułem, że znów jestem w domu mego ojca, że powróciłem do czasów dzieciństwa i młodości. A czegoż to miałem oczekiwać od tych czterech lat? Właśnie wtedy opanowała mnie dawna niechęć do życia i dawna obojętność. Pierwsze dni pobytu w domu nie były jeszcze takie przygnębiające. Moja macocha urodziła się, by wzbudzać litość. Samiuteńka na świecie, łaknąca mojej uwagi i obecności, mało nie umarła z radości w dniu, gdy powróciłem. Przez te cztery lata cierpienia robiła i składowała różne dzemy ze wszystkich owoców, jakie rosły w wówczas całkiem sporym ogrodzie. Już podczas pierwszego śniadania zdziwiłem się, widząc ich ilość. Spróbuj tego ze śliwek... Te robiłam, gdy jeszcze ojciec żył... Ten wiśniowy, to z zeszłego roku... Specjalnie dla ciebie trzymałam... Ależ kochanie, jakże mógłby się zepsuć? Te morele to też zeszłoroczne, no spróbuj choć odrobinę.

W ten sposób zostałem zmuszony do skosztowania wszystkich przetworów, jakie natura daje w ciągu całego roku. Kobięcina co raz uderzała w szloch, rzucała mi się na szyję. Mówiła, że jestem piękny, bohaterski, utalentowany. Pragnęła słuchać historii o moich wielkich czynach. Gdy tylko wspominałem o moich obawach co do przyszłości, przerywała mi: „Ależ co ty pleciesz? Jakże to może być, żeby człowiek taki jak ty chodził bez pracy?”. Ja zaś powoli zacząłem jej wierzyć.

Szukałem pracy na okrągło. Ale prócz mnie po Stambule wałęsały się dziesiątki tysięcy takich zdemobilizowanych młodzików. Codziennie promy przywoziły tysiące powracających z niewoli. W żaden sposób nie mogłem znaleźć pracy. Pierwsze miesiące minęły we względnym spokoju, a to dzięki skromnym oszczędnościom z mojego żołdu. Wiodłem życie niebezpieczne i niestabilne niczym marsz po przerzuconej nad przepaścią kłodzie.

By nie wpaść w sidła przeszłości, nie widywałem się ze starymi znajomymi. Poza tym nie było już nikogo prócz pana Abdüsselama. By uniknąć spotkania z tym człowiekiem, którego tak bardzo lubiłem, zmieniłem drogę prowadzącą do sztabu, gdzie wówczas dość często bywałem. Wybrałem drogę koło meczetu Şehzade, opłotkami dzielnicy Direklerarası.

W końcu, po trzech miesiącach od powrotu do domu, mnie znalazł. Pewnego dnia z samego rana przed naszym domem zatrzymał się samochód. Wyjrzałem ostrożnie przez okno i ujrzałem wysiadającego pana Abdüsselama. Stanąwszy w drzwiach, zapytał:

– Gdzie ten niewdzięczny młodzian?

Nie wszedł na górę. Począł, aż się ubiorę. Kazał wsiadać i zabrał mnie do swojej nowej kamieniczki w dzielnicy Soğanağa.

Miejsce to wypełniał spokój – nie było nawet wspomnieniem starej kamienicy, wielkiego apartamentu pełnego służby, koni, wozów i służących. Nie było też starego tłumu. Mieszkał tylko w towarzystwie niejakiego pana Ferhata, któremu zmarła żona, swojej córki z mężem i dziećmi oraz najmłodszej córki Emine. Po dwóch tygodniach ci dwaj starzy emeryci obmyślili sobie, że w najbliższym czasie powinienem ożenić się z Emine, jakby to była moja najpilniejsza sprawa do załatwienia. W pierwszej kolejności udaliśmy się do pokoju pana Abdüsselama na drugim piętrze. Posadził mnie naprzeciwko hinduskiej roboty szuflady pełnej równo poukładanych kopert. Po kolei wyciągał z nich stare zdjęcia.

Zwierzyłem mu się z problemów, jakie miałem ze znalezieniem pracy. Przyznał mi rację. Postanowiliśmy poszukać razem. Ale pracy nie było. Niestety, starzy znajomi Abdüsselama albo zniknęli, albo zmienili się do tego stopnia, że lepiej było nie utrzymywać z nimi żadnych stosunków. Po kilku dniach kręcenia się to tu, to tam zapadła decyzja, że mam dokończyć edukację. Dzięki protekcji obydwu panów, Abdüsselama i Ferhata, zostałem przyjęty do Szkoły Telegraficzno-Pocztowej. Dlaczego wybrali

mi tę skromną instytucję, podczas gdy większość szkół świeciła pustkami, a za pozyskiwanie studentów wypłacano prowizje? Widać pomimo całej swej sympatii do mnie nie zmienili na mój temat zdania. Jednak pan Abdüsselam wyjawiał mi kilka istotnych powodów. Nauka trwała krótko. Uczniowie otrzymywali niewielkie stypendium pozwalające przeżyć. Poza tym telegraf podobny był do zegara. Porównanie to być może wzięło się stąd, że zarówno nadajnik, jak i odbiornik wydają tykający, zegarowy odgłos. A może tylko stąd, że zarówno jednym, jak i drugim poruszał wbudowany mechanizm.

– Ty musisz w czymś dłubać, składać, taką masz naturę... Z czasem i tę robotę polubisz – mawiał.

Po wstąpieniu do szkoły, gdy rozpoczął się dla mnie okres względnej stabilizacji pan Abdüsselam odwiedził mnie pewnego razu i powiedział, że chyba nadszedł czas, bym ożenił się z Emine. W sumie i tak nie wychodziłem z jego domu, a on wspominał o ożenku od rana do wieczora. Małżeństwo miało zacieśnić naszą znajomość.

W sumie byliśmy jak ojciec i syn. Mój związek z Emine scementowałyby tę więź jeszcze bardziej. Emine nie znalazłaby lepszego ode mnie kandydata. Choć – tak naprawdę, to mogła. Powinna była. Biedna Emine – mnie samemu bardzo ciężko byłoby znaleźć kogoś lepszego od niej. Nie było więc między nami obcości, nie istniało coś zwanego trudnością z przyzwyczajeniem się. Obawa przed założeniem rodziny, bez grosza przy duszy i z samotnością, o której bez przerwy rozmyślał pan Abdüsselam, znikły wobec faktu, że i tak od dłuższego czasu mieszkaliśmy pod jednym dachem. I tak prostym sposobem spełniłem obowiązek wobec Boga i sam zyskałem spokój. Ponadto w owym czasie, mówiąc językiem bazarowym, interesa pana Abdüsselama zaczęły się rozłazić na boki, oczywiście nikomu o tym nie powiedział. Stary człowiek miał niepowtarzalną okazję wziąć odwet na swym przeznaczeniu i ponownie napełnić dom ludźmi przez przyjęcie za jednym zamachem dwóch osób, gdyby moja macocha przyjęła jego propozycję. Ona jednak nie zgodziła się na przeprowadzkę. Nie chciała opuszczać domu, w którym czuła się szczęśliwa u boku mego ojca. Ludzie mają bardzo dziwne pojęcie o szczęściu. Poczytajcie książki, posłuchajcie ludzkich opowieści, a dowiedziecie się, że podstawową cechą człowieka jest jego umysł. To umysł odróżnia go od innych zwierząt. Rządzi światem za pomocą frazesów. Gdy przyjrzyjecie się z bliska życiu człowie-

ka, stwierdzicie, jak niewielki jest jego udział w nim. Z pewnością przyjąłbym ze spokojem, gdyby moja macocha, której wszystkie opinie i więzi osobiste zadawały kłam istnieniu rozumu, jako powód odmowy podała na przykład: „Czego mam szukać w obcym domu? Gdybym choć była twoją prawdziwą matką... Nawet opiekując się tobą, byłam traktowana jak obca...”. Po latach postrzegania jej jak pasożyta, nieuznawania jej praw, opiekowania się obłożnie chorą, jej stwierdzenie, że nie opuści tego domu przez wzgląd na szczęśliwe wspomnienia, doprowadziło mnie do szaleństwa. Było to dla mnie rzeczą niepojętą, nie do objęcia rozumem, poza wszelką logiką i równie śmieszną i głupią, co zachowanie pana Abdüsselama, który upierał się, bym został jego zięciem i z radością oddał swą córkę za żonę. Moja macocha sądziła, że w naszym domu była szczęśliwa. Całymi latami pragnęła wyjść za mąż za mojego ojca, zamieszkać w jego domu i w nim miała nadzieję odnaleźć swoje szczęście. Długo czekała w przekonaniu, że jest to marzenie nie do spełnienia, więc gdy się ziściło – w warunkach bardzo odbiegających od ogólnie przyjętych norm oraz pojmowania szczęścia – była tak oszołomiona, że teraz nie chciała porzucić domu, który był dla niej niejako synonimem szczęścia.

Tak wypaczone pojęcie szczęścia i wspomnienia o nim spowodowały, że pozostała przy swej decyzji i nawet pan Abdüsselam musiał się poddać.

Emine była słodką i naiwną, ale przede wszystkim ze wszech miar dobrą dziewczyną. Miała zadziwiającą odwagę wobec życia. Wiodła egzystującą małego ptaszka zamkniętego w klatce zwanej domem. Jej świat ograniczał się do ludzi, których w nim poznała. W dniu ślubu, gdy pierwszy raz opuściła dom, szła chwiejnym krokiem, jakby chciała wrócić do środka. Świat poza domem był obcy, ona niedoświadczona. Mimo to jakby wszystkie te rzeczy i doświadczenia były u niej wrodzone, niczego nie przyswoiła. Pozostała wesoła, pewna i odważna.

Pierwsze lata minęły nam w szczęściu. Skończyłem szkołę i zacząłem pracę na poczcie. Po jakimś czasie znajomy pana Abdüsselama załatwił mi pracę w Zarządzie Tünelu*. Jak na owe czasy to całkiem nieźle zarabiałem. Jedynym zmartwieniem było to, że nie mieliśmy dziecka. Poza tym narastał w nas smutek, że nie mamy swojego własnego życia. Dom był ostoją, ale nie był nasz, nie byliśmy w nim wolni.

* Odcinek metra łączący Taksim z wybrzeżem, koło mostu Galata (przyp. tłum.).

Miłość do ludzi nie pozwalała panu Abdüsselamowi pozostawić w spokoju ani nas, ani innych domowników. W środku nocy słyhać było jego kroki, jak siada na sofie w sąsiednim pokoju, jego przytłumiony kaszel, który słysząc, biegliśmy na pomoc starcowi, z czego ten świetnie sobie zdawał sprawę. Ani my, ani reszta domowników nie miała okazji, by porozmawiać w cztery oczy. Po powrocie z pracy pozostawałem całkowicie do jego dyspozycji. Rano wspólnie jedliśmy śniadanie. Wieczorami wyznaczał kawiarnię, w której miałem się z nim spotkać, i czekał tam na mnie nawet godzinę. W owym czasie także pan Ferhat przeszedł na emeryturę i zaczął prowadzić ten sam tryb życia. Wieczorem wracaliśmy wspólnie do domu, zawsze znajdując jakąś wymówkę dla naszego spóźnienia. Ostatecznie jego zięć, mąż najmłodszej córki, musiał chadzać po mieście, w imieniu wszystkich mężczyzn tego domu, wałęsać się, a nawet od czasu do czasu wziąć na spacer żonę. Podjęliśmy z Emine decyzję, że wyprowadzimy się przy pierwszej okazji. Żona kilka razy odwiedziła mój stary dom, by z szacunku dla wspomnień macochy w podobnym stylu urządzić nasze gniazdo. Jednym z pierwszych działań, jakie podjęła, było opróżnienie starej sofy z przegniłego siana oraz zdjęcie ze ściany wahadła od zegara mojej ciotki, o której sporo się ode mnie nasłuchiwała. Schowała je gdzieś na poddaszu.

– Nie rozumiem, czemu ci się nie podoba. Domek jak marzenie. Zobaczysz, będzie jak w raju! Bylebyśmy się uwolnili z tego słodkiego więzienia przyjaźni.

Emine, która do tej pory nie знаła języka filmu, patrząc na nasze życie w domu pana Abdüsselama, sama nadała nam nazwę „więźniowie przyjaźni”.

Nie tylko miłość pana Abdüsselama była powodem pomysłu odejścia z domu. Kolejne problemy finansowe starego człowieka były niepokojące. Większość majątku musiał sprzedać, a to, co zostało, poszło pod zastaw. Popadł w długi. Ani jego starszy zięć, ani pan Ferhat, ani ja nie byliśmy w stanie nakłonić go do ponoszenia jakichkolwiek kosztów utrzymania i dzielenia z nami wydatków. Z czasem zaczął tracić humor. Popadał w melancholię, chodził zamyślony. Mężczyzna, który nigdzie nie bywał sam, teraz w poszukiwaniu pożyczek samotnie zniknął i krążył po ulicach. Ani ja, ani Emine nie chcieliśmy być dla niego dodatkowym ciężarem.

Niestety, nie udawało nam się zrealizować zamierzeń. Właśnie gdy mieliśmy obwieścić naszą decyzję, starszy zięć otrzymał propozycję pracy na stanowisku państwowym gdzieś w Anatolii. Pan Abdüsselam protestował, zabraniał, ale w końcu musiał się pogodzić z losem. Pani Ayşe, starsza córka gospodarza, powiedziała:

– Teraz ojciec jest na waszej głowie. W sumie to także wasz ojciec...

Jej mąż w zasadzie powiedział to samo, lecz na koniec dodał:

– Niech wam Allah da cierpliwość.

– Więc musieliśmy zostać. Nie mogliśmy zostawić starego człowieka na pastwę losu. W obecnej sytuacji naprawdę potrzebował kogoś, kto otoczyłby go opieką. Ciało i umysł powoli odmawiały mu posłuszeństwa. Miał poważne problemy z pamięcią, mieszał fakty i zapominał.

Zwróciłem się o pomoc do najstarszego syna pana Abdüsselama, który mieszkał w Stambule, w dzielnicy Çamlyca; napisałem też do średniego syna żyjącego gdzieś w Anatolii, by może zabrał ojca do siebie. To było wszystko, co mogłem zrobić dla człowieka, od którego doświadczyłem tyle dobra.

Średni syn nawet nie odpowiedział. Jedynie na Święto Cukru* przysłał telegram z życzeniami i kilka zdjęć swoich dzieci. Starszy syn osobiście złożył wizytę podczas świąt i korzystając z okazji, wyjaśnił, że przeprowadzka ojca nie wchodzi w grę.

– Żona wymogła na mnie przysięgę, że do tego nie dojdzie. Nie dam rady – rzekł.

– Więc pomóżcie nam chociaż. On nie ma pieniędzy, tonie w długach... Oddałbym mu całą moją pensję, i to robię, ale w tajemnicy... Ode mnie pieniędzy przyjąć nie chce. A jak tak dalej pójdzie, to wam przydadną jego długi.

Nie uwierzył mi.

– Nie znasz mojego ojca. Na pewno ma pieniądze, kto wie, gdzie ukryte.

– No dobra... Jak się coś ojcu przytrafi, to wszystko przepadnie. A my z Emine oczywiście będziemy temu winni. Nie żal wam nas? Może wy się przeprowadzicie do ojca, przypilnujecie własnego majątku! – próbowałem przekonywać.

* Şeker Bayramı – święto na zakończenie ramadanu, trwające nieprzerwanie trzy dni (przyp. tłum.).

Tylko wzruszył ramionami. Do pokoju wszedł jego ojciec. Wycho-
dząc, zmierzył mnie od stóp do głów.

– Mam do ciebie zaufanie – rzucił, choć w jego spojrzeniu nie za-
uważyłem nic, co by o tym świadczyło, a nawet poczułem w sercu zimny
dotyk strachu.

Tego roku zaraz po Święcie Kurban pan Ferhat także się wyprowa-
dził. Ożenił się z pewną wdową mieszkającą na Kadyköy. On także, jak
zięć pana Abdüsselama, rzekł na odchodnym:

– Niech wam Allah da cierpliwość... i dopomoże. – Następnie do-
dał: – Jeżeli macie rozum, zrobicie to samo co ja.

Zostaliśmy sami – młode małżeństwo w domu starca. Człowiek, który
żył otoczony dziećmi, wnukami, krewnymi i służbą, teraz miał umrzeć na
rękach dwojga ludzi bądź co bądź obcych. Taki los mu się trafił.

Całe życie zwracałem uwagę na to, że ludziom przytrafia się zawsze to,
czego się boją najbardziej. Aristidi Efendi w dniu, gdy wybuchły alembi-
ki w pracowni i spłonął w niej żywcem, był zupełnie sam. Poszedłem tam
następnego dnia. Każdy opowiadał coś innego. Zapamiętałem szczegól-
nie opowieść, jakoby najbardziej bał się tego typu śmierci, i jakież to dziw-
ny przypadek, że tak właśnie umarł. Usłyszawszy to, do tej pory milczący
Nuri Efendi nagle odłożył zegarek i rzekł:

– Moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego. Zapewne tak właśnie
miało być. Nie ma okoliczności, jest przeszłość i przyszłość pozostająca
pod jej rozkazami. My sami, nie wiedząc o tym, tworzymy swoją przy-
szłość. Aristidi Efendi sam zgotował sobie swój los. Sam przez lata przy-
gotowywał moment śmierci. Czemuż się tedy dziwicie?

Być może faktycznie pan Abdüsselam, otaczając się bliższą i dalszą
rodziną, krewnymi i pociotkami, swoją otwartością i miłością do ludzi
zgotował sobie na koniec przejmującą samotność. Pewnym jest, że gdyby
nie ta miłość, ludzie nie uciekaliby od niego, on zaś nie cierpiałby opusz-
czony, nie byłby tak załamany.

Rok później na Święto Cukru nie odwiedził nas nikt z rodziny. Sta-
ry człowiek przygotował się jak zwykle i nakupował zwyczajowych pre-
zentów, jak zwykł czynić z okazji wszystkich innych świąt. Nikt nie miał
pojęcia, skąd na wszystko wziął pieniądze.

Jedwabne chustki, krawaty, koszule; dla córek biżuteria, może nie-
co pośledniejszej jakości, ale zawsze; dla synów zegarki, a dla emerytów

płaszcz, wszystko popakowane w pudła i pudełka poustawiał w rzędach w swoim pokoju. Następnie odziany w stary redingot, czystą koszulę, jak zwykle w błyszczących okularach i z elegancko przyciętą brodą siedział trzy dni bez przerwy w fotelu wpatrzony w zegar ścienny, nasłuchując odgłosów z ulicy, w każdej chwili spodziewając się dzwonnka do drzwi.

Wiedzieliśmy, że nie zjedzie się tłum ludzi, ale on kazał przygotowywać świąteczne dania i stół na nadejście gości. Wieczorem czwartego dnia się odezwał:

– Emine, córeczko, zanieś te paczki do pokoju dzieci. Zabiorą je sobie, gdy przyjadą.

Pomieszczenie to stało się z czasem rodzajem składziku. Przechowywane tam były okruchy dawnego życia, stare łóżka, lustra i sekretarzyki; dziecięce zabawki, skrzynie, które zabrał ze sobą ze starego apartamentu do tego ośmiopokojowego mieszkania, ponieważ nie zgadzał się, by córki i zięciowie oddali je antykwariuszowi. Wszystkie te przedmioty stały jeden na drugim pokryte coraz grubszą warstwą kurzu. Pan Abdüsselam nazywał ten pokój dziecinnym, choć nigdy żadne dziecko się w nim nie urodziło ani nie wychowało, a co dziwniejsze, nazwa się przyjęła. Może dlatego panowała w nim szczególna atmosfera. Z czasem zaczęliśmy wierzyć, że w tym jednym pomieszczeniu zamknięta jest cała zagubiona przeszłość domowników. To był pokój rozstań, śmierci, wspomnień i rzeczy niezapomnianych. Żyjący mogli tam obejrzeć śmierć swego dzieciństwa i pierwszych lat młodości. Sterta rzeczy pośrodku pokoju, niczym statek, który został wyrzucony na brzeg, przypominała o przeszłości. Pokój był niejako sercem samego pana Abdüsselama. Gdyby ktoś mógł zajrzeć do tego pokoju, zrozumiałby, dlaczego czujemy się przytłoczeni towarzystwem starego człowieka o gołęmbim sercu. Wartość, jaką miały owe zgromadzone sprzęty, zagubiła się gdzieś w ich ilości. Dlatego też, pomimo klucza wiecznie tkwiącego w drzwiach, nikt nigdy tam nie zaglądał.

Nawet zdrowa na umyśle, z natury wesoła Emine, niejako z szacunku dla cierpień, jakich doświadczył jej ojciec, nawet nie zbliżała się do tych drzwi. Moja żona wchłonęła atmosferę domu, w którym się wychowała.

Dlatego też nie ona, lecz ja wyniosłem paczki z prezentami. Wszedłem do spowitego mrokiem pokoju, krocząc powoli pomiędzy bezpiecznymi przedmiotami, gdy nagle ujrzałem swoje odbicie w lustrze, które wcale mnie nie przypominało. Raz po raz wchodziłem tam i wychodzi-

łem stamtąd. Sam nie wiem, skąd i dlaczego w mej duszy zagnieździł się dziwny lęk. Skąd przyszedł i co to za dziwactwo? Jak pojął tak nagle całe moje jestestwo? Podczas kolejnych dni owładnięty byłem szaloną radością. Moja żona była w ciąży i z niecierpliwością oczekiwaliśmy rozwiązania.

– Strasznie tam małeństwo hałasuje. Pewnie to będzie dziewczynka. Ależ kopie! Nie wytrzymam z nią! – mawiała z uśmiechem.

Nawet pan Abdüsselam pomimo wszystkich swych zgryzot z radością czekał nadejścia wnuka. Niemal codziennie pytał, ile jeszcze dni zostało, a przypomniawszy sobie wczorajszą odpowiedź, liczył na palcach, pomrukując. Od dawna w domu nie urodziło się żadne dziecko.

– Znowu będę prawdziwym dziadkiem! – powtarzał w kółko. Gdy żona zapytała o ostatnio zakupione prezenty, zmienił się na twarzy.

– Niech tak zostaną. Ich właściciele się po nie zgłoszą.

Emine zrobiła się cała czerwona i wyszła z pokoju. Zaś na twarzy Abdüsselama pojawił się dawno niewidziany uśmiech.

– Nie pytaście pana Ferhata, dlaczego się wyprowadził, zamiast sprowadzić żonę tutaj? Zawsze mieszkaliśmy razem. Nie opuszcza się domu po tylu latach.

– Jego żona nigdy nie opuszczała domu swego ojca, nie chciała i tym razem.

– Po co taką wziął? Nie mógł znaleźć jakiejś biednej sieroty?

Zadziwił mnie niepomiernie. I dziwny lęk, który jakiś czas temu zagnieździł się w moim sercu, teraz ukłuł boleśniej. Tu nie chodziło o miłość do ludzi czy lęk przed samotnością. Na powierzchnię wypłynęło coś znacznie poważniejszego, może prawdziwy powód takiego obrotu spraw: to moja słabość przywiązała mnie do tego domu i zniewoliła mnie i moją rodzinę, wrzucając w sidła starego samotnika.

Narodziny Zehry spowodowały, że ból, jaki sprawiało opuszczenie i zapomnienie, odtrącenie przez rodzinę i krewnych, nieco zelżał. Pan Abdüsselam kazał przynieść ze składziku kołyskę, w ten oto sposób ostatni wnuk z rodu Takribi Ahmeda Efendiego spał w masywnej kołysce z orzecha, ze srebrnym okuciem, inkrustowanej macicą perłową. Dziadek nie odstępował małej na krok. Wedle zwyczaju panującego od dawna w tym domu to właśnie on, nie ja, nadał dziecku imię. Przez pomyłkę zamiast nadać dziewczynce imię po matce ojca, w moim wypadku Zahide, dał jej takie, jakie nosiła jego własna matka, czyli Zehra.

Proste nieporozumienie, pozbawione na początku jakiegokolwiek znaczenia, wywołało lawinę nieszczęść. Staruszek śmiał się z tego tak jak my, ale później zaczął żałować, a nawet się obwiniać. Potem żal zamienił się w nieznośne wyrzuty sumienia. Uważał, że ukradł nam nasze własne dziecko, że zostanie z tego kiedyś rozliczony w zaświatach. Jednocześnie jeszcze bardziej przywiązał się do Zehry i z uwagi na to nieszczęsne podobieństwo imion zaczął do niej mówić „matko”. Intensywnie myślał o przyszłości dziecka. Od dachu po piwnice wypełnił cały dom kolejnymi testamentami, w których przekazywał dziewczynce cały swój majątek. Ile tego produkował dziennie? Jeden Allah raczy wiedzieć. W ciągu trzech lat wypełnił nimi cały dom, znajdowały się wszędzie: pod dywanami, kilimami, pokrowcami na meble, obrusami, w szufladach. Choć darliśmy z Emine każdy odnaleziony egzemplarz, to i tak po jego śmierci ostała się nam pokaźna ich liczba. We wszystkich dokumentach biedny starzec niezmiennie deklarował przekazanie „pozostałych przy nim dóbr doczesnych swojej matce, pani Zehrze”, a od nas oczekiwał, byśmy odpowiednio przyłożyli się do jej właściwego wychowania oraz wykształcenia. Domagał się tego bardzo zdecydowanie.

„Niech jej matka, moja kochana pani Emine, jej ojciec, a mój syn Hayri Efendi, dołożą wszelkich starań do edukacji i wychowania dziecka, dopóki nie wyjdzie za mąż...” – w każdym testamencie polecał naszej opiece naszą własną córkę.

Wojna w Anatolii właściwie już się skończyła, więc większość krewnych przebywających w Stambule na wieść o śmierci Abdüsselama przybyła do jego domu. Tego samego dnia wieczorem wszyscy mieli w ręku po kilka egzemplarzy testamentu. Był on oczywiście w świetle prawa nieważny. Wraz z Emine z wielką rozkoszą opuściliśmy dom, zabierając ze sobą tylko dziecko i rzeczy osobiste. Pan Abdüsselam poczynił przed śmiercią pewne kroki, by do mojej córeczki trafiła większość rzeczy wstawionych do lombardu za znaczną sumę pieniędzy; poza tym u dwóch czy trzech notariuszy nie omieszkał oczywiście zostawić swojego testamentu. Sprawa oparła się więc o sąd.

Spadek nie przedstawiał żadnej wartości, mimo to oskarżano nas o zatajanie prawdy o majątku, a nawet wpływanie na niespełna rozumu dziecienniałego starca i wmawianie mu: „Nasza córka jest twoją matką”,

i zabawę jego kosztem: sam przecież nie stworzyłby tych niedorzeczności, Zehra nie była wszak jego matką, lecz wnuczką. Kiedy spróbowaliśmy się bronić, tłumacząc, że pod koniec życia zmarły stracił kontakt z rzeczywistością, byliśmy oskarżani o deptanie pamięci o naszym dobrodziejstwie i szkalowanie jego imienia. „To potwarz, to niewdzięczność”. Padały ostre słowa, przeinaczano nasze zeznania, wyjmowano zdania z kontekstu.

O Stwórco, ileż to różnych udziałów i ileż dokumentów urzędowych trzeba było pozafatwiać. Okazało się, że gdy tylko pojawiła się taka możliwość, nasz szanowny nieboszczyk kupował każdy strzępek ziemi: jedną szóstą, siódmą, nawet jedną dziesiątą tego, co było do kupienia. Kto wie, może postępował tak, sądząc, że uda mu się na tym zarobić. Szuflady były pełne weksli. Do każdego weksla zaś przypisanych było po kilka pożyczek. Wszystkie te nieruchomości były niczym kolekcja znaczków. Większość sędziów, którzy zajmowali się naszymi sprawami, zaczynała od dziwnego uśmiechu na wieść o tym, że starszy pan za „swoją matkę” uważał dziecko, którego był dziadkiem. Gdy zapoznawali się z argumentacją spadkobierców, zaczynali wątpić w moje dobre intencje. Ja odpowiadałem na tyle rozsądnie, na ile tylko pozwalała moja elokwencja.

– Wysoki sędzie, nieboszczyk był żartownisiem. On w ten sposób dowcipkował z moją córką, którą kochał jak swoje własne dziecko... – próbowałem tłumaczyć, jak mogłem najlepiej.

– Co to za dowcipy z trzyletnim dzieckiem? – spotykały mnie reprimendy. – Raz mówi pan, że jak dziecko! Potem, że dla żartu zrobił z niego swoją matkę! Weź się pan zdecydować!

– Ale ja nie muszę się decydować... To był pomysł nieboszczyka...

– Ale niektóre testamenty pochodzą z czasów, kiedy dziecko miało sześć miesięcy... O co tu chodzi? Co sześciomiesięczny osesek zrozumie z takiego żartu? – mawiali ludzie.

– No nic nie zrozumie, ale wszyscy tak robią. Kiedy rozmawiamy z dziećmi, to jakiego języka używamy, jak modulujemy głos?... I nie tylko z dziećmi, nawet kiedy bawimy się z psami i kotami, to albo zniżamy się do ich poziomu, albo próbujemy je podnieść do poziomu rozmówcy.

· Sąd bywał nieugięty:

– Dziecko, czyli matka nieboszczyka, mówiło do rzonego „synu”? Świadkowie wyrażają się jasno... Po jego śmierci dziecko płakało i przez łzy pytało „gdzie mój syn”, czyż nie?

To akurat była prawda. Abdüsselamowi udało się przyzwyczaić dziewczynkę, żeby mówiła do niego „synu!”. Wypłakiwała oczy, szukając swojego dziecka. Ja ciągle jednak próbowałem to wszystko przywrócić do porządku.

– Nauczył ją, proszę pana... Spędzał z nią całe dni. Czy nie wyjaśnia to wszystkiego? Biedak pod koniec życia nie myślał już zbyt jasno...

Jak trudno było wyrazić to wszystko, nie urażając nikogo. Jakże byłbym szczęśliwy i spokojny, gdybym mógł wykrzyknąć, że człowiek, którego bezgranicznie kochałem, najzwyczajniej w świecie zapadł na demencję. Gdyby tak nie było, to czy rozpowszechniałby te swoje historie w stylu matka z synem, ojciec z córką, które mogły wydarzyć się wyłącznie w rodzinie egipskich faraonów? W końcu po raz kolejny anulowano podejrzany testament, a ja zostałem oskarżony o to, że plugawiłem pamięć swojego mentora i dobroczyńcy, ponieważ w sądzie wypowiadałem się o nim w sposób co najmniej nietaktowny. Gdy już uwierzyłem, że utonę w słowach: dobroczyńca, ojciec, spadek, sprawa została zamknięta. Ale niestety, teraz osądzała nas opinia publiczna.

3

Obalenie testamentu odbiło się głośnym echem po moim, dość skromnym w sumie, otoczeniu. Duża część znajomych uznała, że wydziedziczam własną córkę. W dzielnicy i w biurze handlowym, gdzie pracowałem po rezygnacji z pracy w Zarządzie Tunelu, wszyscy jawnie okazywali mi swoją dezaprobatę, choć każdy na swój sposób. Kilka osób współczuło mnie i mojej córce. Inni zerwali stosunki towarzyskie, nie chcąc zadawać się z żądnym pieniędzy wyrodnym zięciem, który dla „dóbr doczesnych”, ograniczających się w rzeczywistości do paru groszy, naruszył wolę zmarłego. Jeszcze inni ocenili, że „taki majątek” to ja sam przetraciłem z powodu własnego lenistwa i głupoty. Zamieszanie wokół sprawy przybierało różne formy w zależności od nastroju i poglądów mówiącego; pęczniało i rosło jak kula śniegowa, obrastało w nowe fakty i oceny, nie zawsze mające związek z istotą całego wydarzenia. Osoby, które szczególną wagę przykładają do wymiaru moralnego, nie wspominały nawet słowem, o jaki spadek chodzi i czy o spadek w ogóle, za to widziały tu jedynie świętą wolę zmarłego. Inni zaś, którzy uważali, że człowiek powinien być zachłanny i chwycić wszystko w swe

pazerno szpony, by podkreślić moją nieudolność, podliczali tylko straty, jakie poniosłem. Wszystkie te zgoła odmienne punkty widzenia posiadały jedną cechę wspólną. Nikt nie brał pod uwagę mojego zdania. Mówiłem: „Przecież stary nie miał ani grosza... Ja nic nie roztrwonilem, bo nie było czego... Miał długi. Dajcież mi spokój, ja i tak nic nie chcę!”. Nie słuchali.

Nawet mojego szefa porwała ta atmosfera. I na okrągło dawał mi małe podwyżki, by mnie pocieszyć. Ten gest współczucia płynący z góry znacząco podniósł poziom litości, jaką żywiła do mnie część otoczenia. Niektórzy uznali, że spotkał mnie cios, po którym tak słaba jednostka jak ja z pewnością się nie podniesie.

Wychodząc z biura któregoś wieczoru, natknąłem się na znajomego.

– Witaj, Hayri. Chodź na kieliszek raki*, to dobre na każde zmartwienie!

– Możemy się napić, ale nie po to, żeby zalać smutki... Ja nie mam zmartwień, napijemy się dla przyjemności. Jeśli chcesz, to chodźmy do mnie. To nie w porządku, bym teraz zostawiał żonę samą. Moja żona była w ciąży z naszym drugim dzieckiem – synem Ahmedem. Lecz niestety, kolega Sabri opacznie zrozumiał me intencje.

– Jasne, mało to zmartwień się wam przytrafiło ostatnio? Ma prawo kobiecina do odrobiny towarzystwa – odrzekł i niejako obarczył mnie całą odpowiedzialnością za smutki. Do domu przyjść nie chciał, żeby nie być ciężarem. To w knajpce chciał mnie, nie w domu. Miał siedzieć naprzeciwko i poklepywać po ramieniu. Zgodziłem się z nadzieją, że znajdę okazję do wytłumaczenia mu zawilej sytuacji ze spadkiem. Poza tym pan Sabri, pomimo bijącej w oczy brzydoty, dzięki okazałej tuszy dawał rozmówcy swoiste poczucie bezpieczeństwa.

W knajpie postanowiłem bez zwłoki przejść do rzeczy.

– Traktowałem tego człowieka jak ojca. Zaznałem od niego wiele dobrego. Nie oczekiwałem więcej, nie miałem do tego prawa. Ale pod koniec swego życia, przez ostatnie sześć lat był zupełnie bez grosza. Tonął w długach. Ten cały testament to efekt starczego dzieciennienia. Gdybym faktycznie był spadkobiercą, nie mógłbym spokojnie zasnąć, będąc świadom wszystkich długów, jakie po sobie zostawił.

Powiedziałem to i temu podobne. Pan Sabri odezwał się dość nieoczekiwanie:

* Tradycyjny napój alkoholowy w typie greckiego uzo (przyp. tłum.).

– Jak mu się udało tak zadłużyć?

– Dawał pod zastaw to i owo. Jestem pewien, że miał także długi, o których nie wiedziałem.

Ze szczerą nadzieją na znalezienie zrozumienia podawałem przykłady, opisywałem sytuacje. Pan Sabri tylko kiwał głową z niedowierzaniem i powtarzał:

– Jakim sposobem udawało mu się coś pożyczyć, w jego położeniu? Znaczy się, jak wszystkich nabierał?

– Nie mam pojęcia, może miał jakiś system czy co... – moja cierpliwość była na wyczerpaniu. Z kolei pan Sabri, gdy tylko usłyszał „system”, jakby zamienił się w słuch. Może sam potrzebował takiego systemu. Gdy usłyszał to magiczne słowo, momentalnie zamówił drugą butelkę.

– Mój drogi, nie mogło tu być nic tajemniczego, przecież on miał wielu znajomych. Może czekał na spadek... Albo miał nieruchomości w Algierii czy w Tunezji.

– Nie, nie, to za daleko, to musiało być coś innego...

– Więc może coś cennego, czego nie sprzedał, a o czym wiedzieli wierzyciele... Coś bardzo wartościowego, jak na przykład diament...

Właśnie wtedy mnie olśniło. Stała mi przed oczami wizja Lutfulaha. Starzec, opisując skarb Andronikosa, kilka razy wspomniał o wielkim diamencie wysokiej próby, zwanym „Şerbetçibaşy”*, należącym do naszego pałacu.

Ach, dlaczegóż to zażartowałem sobie z tego starego głupca, który ze współczucia na siłę zaciągnął mnie do knajpy i teraz usiłował poznać system oszukiwania innych.

– Powiedzmy, że faktycznie miał ten diament. „Nie sprzedam rodzinnej pamiątki” – mawiał. „Moje dzieci sprzedadzą i spłacą moje długi” – powtarzał każdemu. Mogło tak być? – Sabri na dobre uwierzył w istnienie diamentu.

– Racja... – powiedział. – Na pewno tak mówił.

Zamówił trzecią butelkę i oparł się na stole lepkiem od potu i wieczornego upału.

– Jaki jest ten diament Şerbetçibaşy? – spytał. Oczy błyszczały mu z podniecenia. – Widziałeś go kiedyś?

* Şerbetçibaşy – ş czytamy jako sz, a ç jako czy czy (przyp. tłum.).

– No co ty, ja to zmyśliłem. Czyż razem tego nie wymyśliliśmy? Czyż nie była to rozmowa oparta tylko na przypuszczeniach?

– No, ale ty wiesz, jak on się nazywa!

– Wyobraź sobie, że całe dzieciństwo słuchasz jakiejś bajki. Tak właśnie jest ze mną i tym diamentem. Może ktoś o nim przy mnie wspomniał. Nazwa mogła nam się obić o uszy w tym samym czasie. Ale tak naprawdę to on nie istnieje...

– Jak to nie istnieje? Jest równie prawdziwy jak diament Kaşykçı... Tej samej wielkości, tak samo drogocenny. Czyż nie?

Ponownie napełnił kieliszki. Napiliśmy się jeszcze po jednym.

– Oczywiście pokazał ci go...

– Co?

– No, diament Şerbetçibaşı.

Wtedy oprzytomniałem. Zdałem sobie sprawę z tego, w co zabrnę, strojąc sobie żarty ze starego Sabriego. Przywołałem kelnera i oddałem mu ostatnią dwudziestkępiątkę, jaką miałem w kieszeni. Sabri przyglądał mi się w milczeniu przymrużonymi oczami. Z pewnością miał jeszcze wiele pytań. Bez pożegnania wybiegłem z knajpy. Odczuwałem ból, żal, skruchę i jakiś lęk, który potrafi wyrzucić wszystko do góry nogami, jakbym sobie same-mu i własnej rodzinie wyrządził wielką krzywdę, jakbym własnymi rękami odciął sobie rękę czy nogę. W domu opowiedziałem Emine, co się stało.

– Po co z tym starym wariatem piłeś raki? – zaczęła mi robić wyrzuty. A potem zaczęła mnie uspokajać: – Daj spokój, nie przesadzajmy. Zapomnimy o wszystkim, przecież nic się nie stanie, bo niby co? Człowiek może sobie czasem pożartować, zwłaszcza po alkoholu.

Następnego dnia był dzień wolny od pracy. I chociaż od powrotu z wojska nie tknąłem żadnego zegara, siedziałem w domu i zająłem się naprawą tego, który sprezentowały nam dzieci Abdüsselama jako rekompensatę za spadek. Pod wieczór trochę się uspokoiłem. Przyszło mi do głowy, że stary na pewno zapomniał o całej rozmowie.

Niestety, następnego dnia w biurze pan Sabri podszedł do mojego biurka i szepnął mi do ucha:

– Diament. – Jego przymrużone oczy płonęły z pożądania i kto wie, co jeszcze cisnęło mu się na usta.

Następnego dnia po pracy szef wezwał mnie do siebie. Pragnął wysłuchać opowieści o diamencie Şerbetçibaşı. Wyjaśniłem niefortunne wy-

darzenie i nieporozumienie, jak mogłem najlepiej. Wyglądał na przekonanego. Ale historia diamentu zaczęła być znana. Wkrótce wszyscy znajomi już o nim słyszeli. Niemal każdy napotkany człowiek zagajał:

– A ty nic nie wspominałeś! Jak można nie opowiedzieć takiej pięknej historii? – mówili i czepiali się mego ramienia.

Z czasem nie mogłem spokojnie przejść koło kawiarni w całej dzielnicy. Ludzie wybiegali za mną na ulicę z kartami, pionkami do tawli*, czy domina.

– Wstąp na herbatę! – krzyczeli za mną i na siłę ciągnęli do środka, bym opowiadał historię diamentu. Ludzie nie zwracali uwagi na moje protesty; zarówno ci, którzy uważali mnie za prawego, oraz inni, którzy mieli mnie za nieudacznika, i ledwo się oddaliłem, szerzyli plotki za moimi plecami.

Na raz każdy przypomniawszy sobie, jakoby już wcześniej mówiło się o diamencie, opowiadał historię nieistniejącego skarbu, wzbogacając ją o nowe szczegóły i wymyślając prawdziwą bajkę. Byliśmy z żoną w strasznym położeniu.

Wierzycciele pana Abdüsselama, którzy wystawili mu niegdyś kwity dłużne, teraz jeden po drugim zakładali sprawy w sądzie. Prawie wszyscy znali już historię diamentu. Większość w oparciu o ukryty spadek domagała się spłaty długów. W końcu i ja zostałem wciągnięty w sprawy sądowe.

4

Początkowo wzywano mnie jako świadka w sprawie, bym wyraził swoją opinię. W pewnym momencie stałem się centrum uwagi. Skoro tyle lat mieszkaliśmy ze starcem pod jednym dachem, to powinniśmy byli znaleźć skarb. I tylko kilka kroków pozostało do wydania wyroku, że diament Şerbetçibaşy musi być w moim posiadaniu. Dystans skracał się z każdym „najprawdopodobniej...”, „niewykluczone, że”. W końcu tak też się stało. Po którymś kolejnym posiedzeniu sądu dla wszystkich stało się oczywiste, że to ja posiadam diament. Zwrócono uwagę na to, że w swoim testamentie pan Abdüsselam używał określenia typu „majątek, który pozostanie

* Gra towarzyska – triktrak (przyp. tłum.).

po spłacie całego zadłużenia...” lub też „wchodzący w skład mojego majątku...”. Te i podobne wyrażenia powtarzały się w listach do wierzycieli. Jeśli o mnie chodzi, to przecież otwarcie mówiłem o diamencie.

Pan Sabri ze swoją historią także stał się bohaterem jedyne go z posiedzeń sądu. Jego opowieść rozlewała się i powiększała jak plama oliwy. Przy każdym następnym zeznaniu przypominał sobie kolejną rzecz, jaką ode mnie usłyszał. Pomimo całej przyjaźni, jaką mnie darzył, wykazał nadludzki wysiłek w celu wyjaśnienia sprawy. Dowiedzieliśmy się wszyscy niesamowitych rzeczy o diamencie. Tego mianowicie, że został zakupiony przez sułtankę Salihę jako wyraz podziwu dla wytwórcy sorbetów, że po jej śmierci wrócił do skarbcza, by potem sułtan Abdulhamit I podarował go swej kochance.

Nikt spośród słuchaczy nie raczył zadać sobie pytania, kim był ów tajemniczy producent sorbetów czy choćby sułtanka Saliha. Zapamiętano tyle, że kosztowny przedmiot przez wieki zmieniał właściciela, to ginął, to się odnajdywał, by na koniec osiąść w rodzinie pana Abdüsselama. Gdy mnie pytano, odpowiadałem:

– Nie. Był pośród skarbów cesarza Andronikosa.

Nikommu się moja odpowiedź nie podobała. Uważano, że gram wariata.

Jednym z wierzycieli był mąż mojej ciotki, pan Naşit. Przedstawiając się jako najbliższy mój krewny, zlustrował mnie i poddał ocenie. Udzielał jasnych, pewnych odpowiedzi. Nie znał mnie, nie miał okazji poznać. Pan Abdüsselam nie wspominał nigdy o diamencie. Mówił jedynie, że spłaci długi, gdy wyjdzie na prostą. „Jestem bogatszy od was” – powiedział. Wówczas panowało inne prawo. Naprawdę był bogaty. Co do diamentu, stwierdził, że jest rzeczą absolutnie naturalną, że podobne precjoza znajdują się w posiadaniu tak starej rodziny. Gdyby się nie znajdowały, byłoby to bardzo dziwne.

– To ród ze stu pięćdziesięcioletnią historią – powiedział pan Naşit, a zapytany o mnie dodał: – To dobry chłopak.

Moja ciotka tak mu mówiła. Choć własny ojciec nie przyłożył się zbyt wiele do mojego wychowania. Całe życie gonił za pieniędzmi i na nic więcej nie zwracał uwagi. Był jakoby przeciwny małżeństwu ciotki i zmusił Seyita Lutfullaha do odprawiania uroków, żeby do małżeństwa nie dopuścić. Ciotka miała nawet powiedzieć: „Niech ja wyjdę za mąż, to przynajmniej Hayriego ocalę od mego brata”. Ojciec, by zapobiec temu małżeństwu, posunął się do tego, że wykorzystując jej omdlenie, z moją pomocą usi-

łował pochować ją żywcem. Dlatego ciotka znienawidziła mnie szczerze. Wówczas nie wymawiała nawet mojego imienia.

– Cała ich rodzina to istoty pazerne na pieniądze. Tylko moja żona jest bardzo hojna i pełna zrozumienia, pełna ludzkich odruchów. Wspomniano także historię meczetu Takribi Ahmeda Efendiego, tyle że kompletnie przeinaczając fakty. Okazało się na koniec, że mój ojciec zdefraudował wszystkie środki zgromadzone na budowę przybytku.

Pan Naşit co chwila wyciągał chusteczkę, przecierał pieczołowicie szkła binokli, wycierał pot z czoła i kontynuował bez pośpiechu. Nigdzie się nie spieszył, mówił bardzo powoli, mówił wszystko i na temat. Niemniej sposób wyrażania pana Naşita, to, jak mówił o mojej rodzinie, otwierało drogę nowym pytaniom i wątpliwościom. Niepostrzeżenie powrócił temat niedosłego pogrzebu ciotki. Tak jakby na wypolerowanej, polakierowanej powierzchni ślizgała się inna, równie dobrze polakierowana rzecz, i to za najmniejszym dotknięciem. Dlaczego był mi wrogiem? Czego ode mnie chciał? Dlaczego postanowił mnie zniszczyć i poświęcił się temu z taką ofiarnością i znanstwem? Nie byłem w stanie tego pojąć. On mówił, ja cierpiałem coraz bardziej. Gdy tylko otwierał usta, wszystko we mnie zaczynało wrzeć, a w głowie czułem narastające ciśnienie. Doprowadzał mnie do takiego stanu głównie fakt, że Naşit zachowywał zimną krew i działał metodycznie, miał plan i realizował go.

I nagle nastąpiła we mnie zmiana. Poczujęm się, jakbym zrzucił z ramion wielki ciężar, którego kolejne warstwy oblepiały mi ramiona. Obawiałem się tego od samego początku dziwnego i pozbawionego logiki procesu. Owey lekkości duszy, beztroski i zobojętnienia, które otworzyły drzwi zamknięte przeze mnie w dniu ślubu z Emine. Jak gdyby panu Naşitowi udało się odsunąć anioła stróża i Emine od tych drzwi, na które napierał swą wyrachowaną mową i powściągliwą wrogością. Po jego ostatnich słowach krzyknąłem donośnym głosem:

– Nie, to nieprawda! Ona naprawdę umarła i dopiero miała być pogrzebana. Ale zmartwychwstała. Tak, ożyła, by nie rozstać się ze swymi pieniędzmi. Jeśli nie wierzycie, popatrzcie na jej zdjęcia. Ostatnio opanowała ją pasja robienia sobie zdjęć. Popatrzcie na te zdjęcia lub ją wezwijcie, zobaczcie, porozmawiajcie z nią.

Wówczas zrozumiecie, że mówię prawdę. Wszyscy milczeli w osłupieniu, ale mi ulżyło. Uspokoilem się i wyciszyłem. Każdy ma swoje racje

i prawdy. Każdy w zależności od czasu i okoliczności stwarza je powoli i od nowa. Po co miałbym się męczyć. Kontynuowałem swobodnie:

– Jeśli chodzi o jej charakter, to ciotka nigdy nie chciała mnie u siebie. Nigdy nie chciała na mnie nawet spojrzeć. Nikogo nie chciała znać, nikogo nie lubiła. Była kobietą bez klasy, ofiarą swych własnych humorów i nastrojów. Bała się, że wszyscy czyhają na jej pieniądze, i spała przy kominie, w którym głęboko zagrzebała kosztowności. Tylko jednego człowieka była w stanie znieść. Tego tu, naciągacza i pazernego na pieniądze oszusta. I jeszcze jego chuderlawą córeczkę.

Dodałem jeszcze:

– Tę swoją córkę chciał za mnie wydać, ale się nie zgodziłem, nie podobała mi się. Pan Naşit był wówczas biedniejszy ode mnie. Teraz stał się bogaty. Odkąd jest bogaty, zaczął mnie nienawidzić, widzi we mnie wroga. Prawdopodobnie dlatego, że wie, iż po śmierci ciotki jej cały majątek przejdzie w moje posiadanie.

Teraz, gdy wspominam całe wydarzenie, czuję zażenowanie i rumieniec na policzkach. Z powodu pana Naşita stałem się innym człowiekiem. W tamtej chwili czułem się jak wąż gotowy do ataku. Nie rzuciłem się na niego, tylko wskazałem palcem i krzyknąłem:

– Ty pazerny spekulancie... Złodzieju mydła i cukru, czego ode mnie chcesz?

Powstało wielkie poruszenie i hałas na sali. Posiedzenie przerwano i zarządzono przerwę. Naşit, zanim się oddalił, spojrział w moją stronę i słodko się uśmiechnął. Zrobiłem to, co chciał, a nawet więcej.

Piętnaście minut później podjęto decyzję o odesłaniu mnie do szpitala.

Doktora Ramiza poznałem właśnie w tej instytucji. Gdy umieszczano mnie w sali, był w towarzystwie dyrektora szpitala. Wysłuchał uważnie mojej opowieści i sam podjął się przeprowadzenia obserwacji. Przeszliśmy z gabinetu dyrektora do jego pokoju przyjęć. W owych czasach budynek medycyny sądowej znajdował się w pawilonie w okolicy Dolmabahçe*. Gabinet doktora Ramiza mieścił się na parterze. Mały pokoik z jednym oknem wychodzącym na mur ogrodu, wąski i ubogi. Na jednej ze ścian samotny kran z umywalką, w której doktor tuż po wejściu umył ręce. Ja z boku dumałem nad moim przeznaczeniem.

* Pałac zbudowany przez sułtana Abdulhamita (przyp. tłum.).

Jadąc w stronę Dolmabahçe, widziałem morze i wiosenne słońce pławiące się w błękicie. Widok ten na moment wybił mnie z otępienia, w jakie popadłem, z wolna godząc się z losem.

Czułem się zdruzgotany. Moja żona, dzieci, dom zdawały się pozostawać gdzieś bardzo daleko, poza moim zasięgiem. Nagle dopadł mnie ten sam strach, który sparaliżował mój umysł podczas rozprawy. A jeśli wmieszają w tę sprawę moją żonę? Do tej pory sędzia kazał jej się trzymać z dala, co wydawało się nieco dziwne. W tym jedyna nadzieja. Bo to oznacza, że nie wierzył w powagę tych oskarżeń i nie wziął ich na serio. Jeśli tak, to czemu mnie tu wysłał? Ale nie, on czekał. Emine także miała wpaść w jego sieci. Mimo że od zatrzymania minęło już dziesięć dni, cały czas widzę oczami wyobraźni, jak na dziedzińcu rzuciła mi się na szyję. Miała zapadnięte policzki, słaby głos i podkrążone oczy. I ciepłe dłonie. Stałem przy samotnym oknie, patrząc na schnące kwiatki, których sezon właśnie mijał, i myślałem. Jakaś pszczoła leciała prosto na mnie, żeby mnie ukąsić, lecz usiadła zmęczona na okiennicy. Doktor Ramiz umył ręce pod wodą, po czym otworzywszy swą torbę, wyjął z niej wodę kolońską i ponownie je oczyścił. Zadudniły drzwi i wpadł przez nie goniec, krzycząc:

– Panie doktorze, pan Salim mówi, że będą otwierać trupa... Nie przyjdzie pan?

Ciarki mnie przeszły do szpiku kości. Doktor Ramiz osuszał dłonie, potrząsając nimi w powietrzu.

– Nie, jestem teraz zajęty. Niech wygotują zółądek, ja przyjdę później. Potem zwrócił się do mnie:

– Mamy tu przypadek zatrucia. To znaczy mamy podejrzenia.

Doktor ponownie wziął swą skórzaną żółtą torbę zamykaną na solidny zatrzask, w środku niezwykle pojemną i świetnie wyposażoną. Później dowiedziałem się, że mój przyjaciel nic prócz tej torby ze sobą nie nosił. Wszystko co potrzebne w niej było. Otwierał ją, znajdował co trzeba i zamykał. Tym razem wyciągnął paczkę papierosów i poczęstował mnie jednym, drugiego wziął sobie. Szukałem zapalek, ale ich nie miałem. Doktor podpalił. Oczekującego na dyspozycje pomocnika poprosił o przyniesienie kawy.

Doktor miał około trzydziestu lat, był raczej wysokim, śniadym człowiekiem o blond włosach i budowie ciała zapowiadającej otyłość w przy-

szłości. Miał wielkie czarne zamysłone oczy. Niestety, na pierwszy rzut oka nie dało się dostrzec ani tych oczu, ani dość miłej twarzy. Doktor Ramiz pozostawiał trudne do wytłumaczenia wrażenie, że coś z nim jest nie tak. Po dłuższym czasie, gdy już przywykłem do jego obecności odkryłem, że efekt ten wywołuje nieodpowiedniość zbyt wysuniętego czoła z gwałtownie zakończoną szczęką, która jakby chciała uciec regularnej budowie kości policzkowych. Ta uciekająca szczeka nie zakańczała twarzy w sposób naturalny. Jego głos też był dziwny. Zaczynał z dziwnym, wyraźnym akcentem, następnie zanikał w mamrotaniu, jakby chciał zmieszać ślady. Nie wiem czemu, ale głos doktora przypominał mi regularną spiralę. Młody mężczyzna dopiero co wrócił z Wiednia, gdzie się kształcił. Później dowiedziałem się od innych, że jest świetnym lekarzem i ma dyplomy z wyróżnieniem. Ponadto był zafascynowany psychoanalizą i rok czy dwa poświęcił się jej praktykowaniu w stosownej instytucji.

Już pierwszego dnia zrozumiałem, że doktor Ramiz postrzega tę metodę, która prowadzi do ozdrowienia chorego, jako jedyną drogę zreformowania całego świata, tak jak w religii dostrzegał jedyną drogę zbawienia. Psychoanaliza była dla niego wszystkim. Uważał, że nie ma innych przyczyn powstania zła, zbrodni, chorób, zachłanności, ubóstwa, pecha, wrodzonej ułomności, kalectwa, wrogości i innych elementów czyniących z naszego życia piekło, jak tylko nasza własna siła woli. Liczyła się tylko psychoanaliza. Wszystko od niej się zaczynało i do niej powracało. Była jedynym kluczem do zagadki ludzkiego życia.

Po powrocie do kraju był zły na wszystko i wszystkich za to, że nie udostępniono mu niezbędnych środków i przestrzeni, by mógł zbawić cały naród za pomocą tej magicznej metody. Gdy go poznałem, frustracja wylewała się z niego na każdym kroku.

Ogromne zainteresowanie doktora, a w szczególności społeczeństwa tym zagadnieniem podsycalo jedynie jego irytację. Stan jego duszy pogłębiało wszelkie zainteresowanie okazywane przez otoczenie. Po kilku godzinach rozmowy, wysłuchiwanie utyskiwań i różnych teorii doktora nie sposób było nie zatęsknić za kreślonym przez niego obrazem idealnego świata, w którym każdy zajmuje się tym, co umie i kocha najbardziej.

Tego też dnia zorientowałem się, że doktor sam był uosobieniem niezadowolenia z własnego życia. Miał bardzo bogate słownictwo. Określenia takie, jak młodość, sprawy społeczne, powszechna edukacja, produk-

cja i posiadanie czy ruch, aktywność, nie opuszczały go ani na chwilę. Był z natury człowiekiem ruchliwym, aktywnym, bez przerwy czymś zajęтым, szczęśliwym, zarówno gdy coś robił, jak i gdy narzekał. Dlatego też mimo wspaniałego zawodu i miejsca w społeczeństwie czuł się niedoceniany, przegrany i bez przyszłości.

Być może dlatego, że widział we mnie podobnego niezadowolonego, wyrzuconego poza nawias nieszczęśnika, polubił mnie i wziął pod swoją opiekę. Od powrotu z Wiednia obrażony na wszystkich żył prawie całym sam.

Podczas pierwszego spotkania rozmawialiśmy o ogólnej sytuacji społecznej. Ponieważ byłem gotów postrzegać świat jako ogród różany, byle tylko wyratować się z opresji, z początku niewiele rozumiałem z jego wywodów. Ale potem powoli nauczyłem się podążać za jego myślami. Kraj nie podobał mu się pod żadnym względem. Panowały stare schematy myślowe. Młodym, takim jak on i ja, nie pozostawiano dostatecznie dużo miejsca, nie dawano możliwości. Tylko my dwaj byliśmy w stanie to zrozumieć, zważywszy na nasze obecne położenie. Czy to miała być terapia? Już dwa lata mijały, odkąd wrócił do kraju, a jeszcze nie dano mu możliwości poddania kogokolwiek porządnej terapii wedle nowych metod. Odkąd wrócił, po raz pierwszy miał pacjenta. Na moje szczęście mój „przypadek” był dla niego ważny. To znaczy, że byłem dla niego wystarczającym pocieszeniem. A w Europie, w Wiedniu i w całych Niemczech było zupełnie inaczej. Tam metoda psychoanalizy cieszyła się należyty szacunkiem i była chlebem powszednim dla całej psychiatrii.

Gdy przyniesiono kawę, podszedł do stolika. Posadził mnie naprzeciwko. Ponownie otworzył swą torbę i wyjął papierosy. Zapaliliśmy po jednym, schował paczkę do torby, a torbę zamknął.

– Nikt mnie tu nie lubi – zaczął. – Wykorzystują tu takie stare metody, że... To nie jest miejsce dla mnie. Przechodzę okres obowiązkowej praktyki. No ale powierzyli mi pana. Dyrektor mi to obiecał na samym początku. „Jak trafi się odpowiedni przypadek...” – powiedział.

Dla nas obydwu było jasne, że jesteśmy na siebie skazani.

Po tym krótkim wyjaśnieniu powróciliśmy do tematu Wiednia i innych państw niemieckich. Obaj zatęskniliśmy za ich ładem i wygodnym spokojnym życiem. Gdy tylko skończyliśmy kawę, wstał i odsunął filiżanki.

– No, to niech pan opowiada.

Pozwolił mi mówić. Najpierw pokrótce opowiedziałem całe zdarzenie. Potem zażyczył sobie, bym opowiedział o swoim życiu. Przez cały czas notował coś na kartce. Najwięcej uwagi poświęcił dzieciństwu. Powtarzał po mnie prawie wszystko. A najbardziej spodobał mu się „Święty”. Zadał mi na jego temat mnóstwo pytań. Kilkakrotnie wspominał o tym stojącym zegarze, używając nazwy nadanej mu przez moją matkę.

– Jaki on był?

– Duży stojący zegar, po prostu... Bardzo dobrej jakości. Stara angielska robota. Kupiony w czasach Mecida*, ale popsuty. Żona trzyma go na strychu. Ale można go obejrzyć, jeśli pan chce... Wydaje naprawdę piękny dźwięk.

Patrzyłem mu prosto w oczy z nadzieją, że zechce kupić ten zegar. Nie byłoby to takie złe. Przebywając w areszcie, słyszałem o przypadku pewnego Żyda, który sprzedał Irańczykowi złomowany w Lizbonie statek. Prowizję pobrał w gotówce, jak mówili potem strażnicy. Ja też tak mogę. W końcu nie wytrzymałem:

– Oddam tanio... Jeśli pan chce, możemy iść go obejrzyć.

To mógł być niewątpliwy zysk. Serce podeszło mi do gardła, mówiłem sam do siebie: „Ach, niech tylko go to zainteresuje, poszlibyśmy do domu, napatrzyłbym się na Emine, odkręciłbym kranik na podwórzu i umyłbym twarz, pośpiewałbym z Zehrą piosenki dla dzieci...”.

– A nie mówił pan, że jest zepsuty?

– Zepsuty... no raczej powiedziałbym, bez przeglądu.

Myślał chwilę.

– Oczywiście, tak musi być.

Dlaczego tak musi być? Nic z tego nie zrozumiałem. Nuri Efendi mawiał, że zegar musi działać, czyli chodzić przez cały czas. Wzruszyłem tylko ramionami. A nie powrócimy do tej kwestii? ? Nie, nie powrócimy, ponieważ doktor Ramiz po godzinie rozmowy zainteresował się moim ojcem. Potem matką, następnie Nuri Efendim i wszystkimi znajomymi. Na samym końcu dotarliśmy do problemu nieukończonego meczetu Takribi Ahmet Efendiego.

– Czy u pana w domu dużo się rozmawiało o tym meczecie?

* Chodzi o sułtana Abdülmecida, 1868-1944 w Paryżu, na wygnaniu, obalony przez rząd republikański 1922-1924 r. (przyp. tłum.).

– Nie bardzo – powiedziałem. – Raczej rzadko. Gdy ojciec miał nadzieję na jakiś większy dochód, wspominał o meczecie, ale nic poza tym. Pamiętał o meczecie i chyba dlatego był wrogo nastawiony do zegara...

– Jakiego zegara?

– No, dużego zegara.

– „Świętego”? Niech pan nazwie rzecz po imieniu. Coś, co ma nazwę własną, powinno być nią określane – zganił mnie.

Tak zatoczyliśmy krąg i powróciliśmy do zagadnienia „Świętego”: ja zawstydzony, że zapomniałem o ważnej zasadzie, a on zadowolony, że miał okazję wygłosić maksymę. Ciągłe pytał o coś nowego, a ja opowiadałem rzeczy, które bezwiednie przychodziły mi do głowy.

– Kiedyś siedzieliśmy wszyscy w domu, a zegar ni z tego, ni z owego zaczął bić. Ojciec zerwał się ze złością i krzyknął: „Zrozumiałem! Zrozumieliśmy! Ale ty też wiesz przecież, że nie mam pieniędzy! Teraz to niemożliwe. Z trudem rodzinę utrzymuję... Nie jest tak jak dawniej, więc czemu mnie tak naciskasz?!”.

– Krzyczał na „Świętego”, prawda?

– Tak. To znaczy chyba... a bo ja wiem.

– Z pewnością tak. Bardzo ciekawe wydarzenie... Bardzo typowe i jednocześnie bardzo rzadkie. Dziękuję panu, bardzo dziękuję...

Dziękował, że jestem w takim stanie.

– Opowiada pan tak, jak było, prawda?

Spojrzał mi prosto w oczy z wytężoną uwagą i cały zamienił się w słuch.

– Na pewno napiszę o tym referat na jakiś kongres... Niech pan powtórzy tę historię.

Powtórzyłem.

– To bardzo doniosły i rzadki przypadek. Typowe zjawisko tabu. Kompleksy narastające wokół niego, z pewnością ma odpowiednik w świecie rzeczywistym.

Powiedział mi, że na wyspie Jawa, albo jakiejś innej, składano wizyty kamieniowi, a bezdzielne kobiety obwiązywały go szmateczkami. Mając nadzieję na zmianę tematu, odpowiedziałem:

– U nas też tak było. Taki był stary statek Mahmudiye. Stara fregata Mahmudiye, mówili, że o trzech ładowniach. Podobno nocą podpływał pod Sewastopol, bombardował mury twierdzy, a potem nad ranem powracał. Ojciec dobrze go pamiętał. Podobno był wielki jak koszary Selimiye.

– W waszym domu? – zapytał nieoczekiwanie.

Chyba się zamyślił. Albo uważał mnie za zupełnego wariata. Albo jeszcze gorzej...

– Ależ nie, nie u nas w domu. W naszym kraju, chciałem powiedzieć w Stambule. – By udowodnić, że nie jestem szalony, zacząłem wyjaśniać: – Czyż takie żelastwo zmieściłoby się w domu? Żeby je pomieścić, trzeba miejsca wielkiego niczym Hagia Sofia.

– Hagia Sofia?

Zrozumiałem, że popełniłem błąd.

– Mówię obrazowo, wyjaśniam na przykładzie. – Nie dając mu sposobności na wtrącenie czegokolwiek, ponownie opowiedziałem historię. Słuchał z wielką uwagą. Notował. Po raz kolejny podziękował, a na koniec wyraził swoją opinię.

– To też bardzo interesujące, ale nie to samo. Mówiłem o czymś innym...

Mówił i czyścił paznokcie scyzorykiem, który wyjął ze swej torby. Miałem wrażenie, że gdy skończy, poda mi go, żebym i ja z niego skorzystał. Dobrze by było. W położeniu, w jakim tak nagle się znalazłem, najlepiej się czymś zająć, coś robić. Niestety, nie użyzył mi narzędzia, tylko po skończonym zabiegu schował je do torby. Ale obaj skorzystaliśmy z jego wody kolońskiej, i to w dużej ilości. Potem przyszedł czas na papierosa. Wtedy nie wytrzymałem.

– Doktorze, dlaczego pan ich nie nosi przy sobie?

Przestraszyłem się własnej śmiałości. On tylko uśmiechnął się lekko.

– Nie, tak jest wygodniej.

Doktor Ramiz widocznie pojmował wygodę podobnie jak moja macocha szczęście. Och, raso ludzka...

– Jest pan bardzo miłym człowiekiem. Szkoda, żeśmy się nie spotkali w Wiedniu.

Bardzo kochał to miasto i na moment przenieśliśmy się tam w sensie duchowym, by w najmniej oczekiwanym momencie wrócić do szarej rzeczywistości.

– Pańska matka przypisywała duże znaczenie „Świątemu”, prawda?

– Chyba tak...

– Proszę sobie dobrze przypomnieć – znów spojrzał mi prosto w oczy.

– Może – rzekłem niepewnie. – To był dziwny zegar. Miał swoje humory. Działał wedle własnego uznania. Może dlatego, że był popsuty. Wszystko, co robił, wydawało nam się naprawdę dziwne.

Gdy snułem opowieść, twarz doktora niemal pojaśniała z radości. Kiwał głową zaszuchany, notował. Następnie przeczytał swoje zapiski.

– Dziwny, miał humory, wedle uznania, humorzasty, to, co robił... czyż nie tak? Bardzo ciekawe... A potem?

– No tak jakoś...

W końcu byłem już naprawdę znudzony. Co z moim badaniem? Nic na ten temat nie powiedział.

– Tak. Słucham pana, pana matka...

– No w końcu zaczęła się go bać...

Ależ to jasne, ludzie starej daty, ona była prostą niewykształconą kobietą. Nie ma znaczenia kiedy, dawno czy obecnie. Nie ma różnicy między nami a ludźmi prymitywnymi. Życie świadome i podświadome zawsze i wszędzie jest jednakie. Psychoanaliza...

I w końcu padło z jego ust jedno ze słów, które tak często miałem tu usłyszeć, siedziało naprzeciwko mnie niczym ugotowane jajko.

– Jutro będziemy kontynuować – powiedział, wstając. – Teraz zadbaamy o pana wygodę. Czy przyszło już pana łóżko?

– Żona przyśle – powiedziałem.

– To dobrze – powiedział zadowolony. – Będzie pan przebywał w tym pokoju. Na oddziale nie będzie się pan czuł dobrze, wynudzi się pan. Porozmawiam z dyrektorem.

Był przygnębiony.

– Nie lubią mnie tu. Nie słuchają. Ale skoro jest pan moim pacjentem...

– Ale ja nie jestem chory, doktorze. Przecież wszystko już panu opowiedziałem. Czy ja jestem chory?

Wyszedł bez słowa.

Stałem i patrzyłem za nim, jak odchodzi.

W końcu podbiegłem do kranu i umyłem twarz. Zmęczyła mnie ta rozmowa. Przez uchylone drzwi, których nie domknął doktor, dochodziły mnie ciche urwane głosy, dziwne i straszne. Co to było? Czy jakiś prawdziwy wariat krzyczał? Czy jakiś chory? Mówili o otwieraniu trupa. Czy faktycznie go otworzyli? Może już go zaszyli. Nie zamknął drzwi. Może i trupa nie zaszyli. Ale po co go w ogóle otwierali? Naraz szaleńczo zapragnąłem stąd uciec. Ogarnięty lękiem wyszedłem z pokoju. Korytarzem ruszyłem w stronę, z której, jak przypuszczałem – przyszedłem. W miarę

jak wchodziłem w głąb korytarza obłąkańcze wrzaski narastały. Stwierdziłem, że to chyba nie jest właściwy kierunek. Ale głosy przyciągały mnie do siebie. Zza uchylonych drzwi dochodziły strzępki rozmów. Wyciągałem szyję. Cofnąłem się, drżąc na całym ciele. Nie, jeszcze nie zamknęli. Cofnąłem się jeszcze bardziej. Biegiem wróciłem do mego pokoju. Zamknąłem drzwi. Opadłem na krzesło.

Wkrótce potem wrócił doktor Ramiz. Był rozpromieniony i radosny.

– Udało się – powiedział. – Na początku się opierał, ale wyraził zgodę, gdy zrozumiał, że pana przypadek leży całkowicie w moim obszarze zainteresowań.

– Ależ panie doktorze, ja nie jestem chory... Na miłość boską... Przecież panu wyjaśniłem.

Spojrzał na mnie surowo i uciął:

– Jest pan chory. Odkąd pojawiła się psychoanaliza, każdy jest chory w mniejszym bądź większym stopniu.

– Więc czym ja się różnię od reszty ludzi poza tym szpitalem?

– To zupełnie co innego... Ja jestem odpowiedzialny za pana.

– I co teraz będzie?

– Terapia. To nie takie straszne. Takie rozpoznanie to właściwie prawie jak terapia. Jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, za kilka lat będzie dobrze.

O mało nie padłem. „Za kilka lat?...”

– Oświadczenie lekarskie... Panie doktorze, moja żona jest chora. To widać na pierwszy rzut oka. Musi mnie pan stąd wypuścić!

– To zupełnie inna sprawa. Mówiłem już! Będzie pan spał w tym pokoju, będzie panu wygodnie, proszę się nie pałętać po obiekcie. Proszę za dużo nie myśleć. Palenie tytoniu zabronione. Obiecałem dyrektorowi szpitala, że w nocy nie będzie pan palił.

Niedługo po jego wyjściu przyszedł mój sąsiad z jedzeniem i całym ekwipunkiem. Emine nie mogła przyjść, ale o niczym nie zapomniała.

Następnego dnia i jeszcze następnego doktor Ramiz poświęcił mi cały swój czas. Tym razem interesowały go moje sny. Któż to wie, może już taki jestem, że bardzo rzadko mam sny. Ale nawet ja, jak każdy, mieszam większe i mniejsze koszmary. Opowiedziałem skrupulatnie wszystko, co zostało w mojej pamięci. Czwartego dnia metoda stosowanej terapii uległa zmianie. Położyłem się na kanapie twarzą do ściany, zasłonięto kotary. Doktor już nie zadawał pytań. Miałem opowiadać wszystko, co pamiętam. Mówiłem

godzinami. Mówiłem, co mi ślina na język przyniosła, oszukując go poniekąd. Jednak niepostrzeżenie krąg się zacieśniał. Jak gdyby moje myśli stały się ciemnym lochem. Lochem, który nie pozwalał, bym zrobił choć jeden krok. Nagle jakieś miejsce, jakieś słowo, jakieś wspomnienie błyszczało tam niczym otwarte okno. Szedłem w stronę tej jasności. Trwało to ze dwie godziny. Gdy odsłonięto w końcu zasłony, czułem się wyczerpany. Do końca mojego pobytu w tym przybytku schemat ten się powtarzał.

Szalałem ze zniecierpliwienia i smutku. Emine niczego nie zaniedbała: albo sama przychodziła, albo przysyłała umyślnego. W końcu znalazłem sobie dorywcze zajęcie, aby zabić nudę. Na początek zreperowałem zegarek dyrektora, potem zegarki innych. Dyrektor przywykł do mnie z czasem. Bywało, że wzywał mnie do swego gabinetu i ucinaliśmy sobie pogawędkę. Był zainteresowany brylantem Şerbetçibaşy.

– Ach, gdyby takie cacko wpadło mi w ręce. Musi być wielkości orzecha, czyż nie, panie Hayri? Niech pan wytrzyma jeszcze kilka dni. Niech mi Remiz zda raport i wtedy...

Dopiero w drzwiach, kiedy już wychodziłem zatrzymał mnie na chwilę, pogrzebał w kieszeniach kamizelki.

– O mało nie zapomniałem. To jest zegarek mojej żony... od dawna coś szwankuje. Gdyby mógł pan zerknąć...

Następnego dnia był zegarek przyjaciela pielęgniarza. Niektóre naprawiałem, a niektóre, z braku odpowiedniego sprzętu, jedynie diagnozowałem i oddawałem nietknięte. Równolegle trwała moja terapia.

Zachowałem dla siebie wrażenie, jakie wywarł na mnie podejrzany błysk wątpliwości, który dostrzegłem w oczach dyrektora, gdy wspomniał imię doktora Ramiza. Jakże mogłem źle oceniać tak oddanego swej pracy człowieka? Ale czas mijał. Ja popadałem w otępienie, Emine była coraz bardziej bezradna. Od czasu osadzenia byłem dla niej jak kula u nogi. Niemal na samym początku rozprawy sądowej zwolniono mnie z pracy. Niebawem miały się skończyć wszelkie środki do życia. Dziesiątego dnia terapii doktor Ramiz nieoczekiwanie mi przerwał.

– Ten okres jest zakończony. Przeszedł się kilka razy po pokoju. Zatrzymał się tuż przede mną, dotknął mego ramienia i rzekł: – Pana choroba jest nader jasna. Ma pan typowy kompleks ojca. Nie zaakceptował go pan... Ale to nie jest tak istotne. To może najkrótsza droga, by wydość. Ale pan zrobił coś o wiele bardziej doniosłego...

Załamam rękę, na skronie wystąpił mi pot.

– Panie doktorze, błagam...

– Nie trzeba. Odkryłem pańską chorobę. Stwierdzam to po wysłuchaniu opowieści pana życia. Bardziej niż z pana snów wywnioskowałem to z pana opowiadań. Dziś to widzę nad wyraz jasno. Nie ma mowy o pomyłce.

Słuchałem tego z duszą na ramieniu.

– Co mi jest, doktorze?

– To poważna choroba... Ale mogło być gorzej. Proszę się nie martwić, z łatwością uda się temu zapobiec... Typowa, ale nieszkodliwa. – Znow się oddalił. W drugim końcu pokoju wziął krzesło i niczym barykadę postawił przed sobą. Oparł się na nim i dodał: – No, mówiłem przecież... nie akceptuje pan osoby własnego ojca... nie kochał go pan.

– Litości, doktorze...

– Niech pan posłucha. Nie mogąc go zaakceptować, gdy znalazł się pan na jego miejscu, nadal nieustannie szukał pan ojca zamiast niego... innymi słowy: nie osiągnął pan stanu dojrzałości. Jest pan wiecznym dzieckiem. Czyż nie?

Podskoczyłem na równe nogi. To była gruba przesada. To była podłość, zdrada i próba odebrania mi człowieczeństwa.

– W życiu mi to przez myśl nie przeszło! To zwykłe brednie! Czemu miałbym szukać innego ojca? Co za bzdury?! Czy chcę czy nie, jestem jego synem i już... Jakże mógłbym wyprzeć się własnego ojca?

– Niestety, to prawda. I całe pana życie tak wygląda. Dlatego właśnie ma pan zaburzenia osobowości i problemy w życiu codziennym.

Rozejrzałem się nieprzytomnie wokół. Znikąd pomocy. Mogłem liczyć tylko na siebie. Zebrałem się w sobie.

– Posłuchaj no, doktorze. Nic mi nie jest. Po prostu nie mam szczęścia. Ciągłe mam jakiegoś pecha. Nie wiem, dokąd mnie to w życiu doprowadzi. I jeszcze przydarza mi się coś tak bezsensownego. Niepotrzebnie strzepiłem język. Raz powiedziałem za dużo. Wokół tego zbudowano jakąś legendę. Gadali, wymyślali, aż mnie to doprowadziło do upadku. Jestem ofiarą swojego własnego, niefrasobliwego kłamstwa. Dlaczego to powiedziałem? Jak to możliwe? Ano tak: gadulstwo. Nic poza tym. Być może cecha wszystkich ludzi na tym świecie. Wszyscy bywamy ofiarami własnych bajeczek. Ale moja sytuacja jest inna. Bo wszyscy ponoszą za to karę, ja, moja żona i dzieci. Zrozum mnie! Ludzie narzucili mi to brzemień, nic poza tym...

Gdyby to coś miało zmienić, czołgałbym się i rzucił mu do nóg. Zresztą podczas całej tej rozmowy widziałem się właśnie w tym stanie. Mogłem całować stopy, poniżać się, błagać o litość, byle tylko ktoś uwierzył w to, co mówię.

A ten powtarzał swoje: „Niech pan się uspokoi, panie Hayri”.

Nie ustępowałem.

– To było kłamstwo. Małe kłamstewko. Żarcik!

Opanowałem się nieco i starałem się wytłumaczyć:

– Niech pan pominie to kłamstwo, to nic nie zostanie i będę uratowany. Nie jestem chory. Jeśli szuka pan pacjentów, to mam dla pana gotowego: moja żona jest chora! Boję się, że bardzo poważnie. Wczoraj wyglądała naprawdę strasznie! Gdy mnie zabierali z domu, nie wyglądała aż tak źle. Ale mnie nic nie jest, jestem krzepki i zdrowy!

Ależ ja miałem wtedy głos. Nie do poznania: i głos, i wstrząsane szlochom całe ciało. W ciągu całego życia tylko kilka razy budziłem się ze zniekształconym od łez głosem, strachem w sobie i strachem samym w sobie. Strach... Strach i człowiek, strach i ludzkie przeznaczenie, człowiek czyhający na człowieka, bezsensowna wrogość. Ale co ja mogłem przeinaczyć, komu mogłem opowiedzieć? Co w ogóle może opowiedzieć człowiek? Jakie troski człowiek może opowiedzieć innym ludziom? To gwiazdy mogą ze sobą rozmawiać, nie ludzie.

Doktor Ramiz nie miał najmniejszego zamiaru ani słuchać, ani zrozumieć tego wszystkiego. Był skupiony na mojej chorobie, a ściślej – na swej praktyce. Z jakiej to przyczyny miałbym wyrzec się własnego ojca?

– Niech się pan uspokoi. Nie odpowiada panu słowo „akceptować”, niech będzie, że go pan nie lubi. Ależ pan zamieszał... Wcześniej ta opowieść o „Świętym” trochę namieszała. Zajmował on bowiem ważne miejsce w waszym życiu rodzinnym. Nastąpiło poważne zaburzenie systemu wartości... Ojciec został odsunięty na drugi plan...

– Zegar? Chodzi o takie coś bez znaczenia jak ten zegar? Biedny stary zegar... Pamiątka rodzinna i tyle...

– O, widzi pan? Bez znaczenia, biedny stary... Opowiada pan o nim jak o człowieku. Niech pan uważa na dobór słów! Najpierw mówi pan, że biedny, potem stary. Jakby od początku opowiadał pan o istocie ludzkiej. A to jest rzecz. Pana umysł nie dopuszcza takiej myśli. Myli pojęcia. Już

od pierwszych dni używa pan określeń typu „dziwny”, „miał humory”, „nastroje”, „starość”, „robił coś”.

– No i?

– No i pana całe dzieciństwo upłynęło w cieniu tego zegara. Nawet ojciec czuł się zazdrosny. Gdy matka nazwała go „Świątym”, pana ojciec używał w odniesieniu do tego przedmiotu słowa „Przeklęty”. Dziwię się, że go nie roztrzaskał w drzazgi. Ponieważ pański ojciec pierwszy odkrył zagrożenie...

– On nie chciał go zniszczyć, tylko sprzedać...

Doktor aż podskoczył z radości. Dostarczyłem mu kolejnego dowodu w sprawie.

– To znaczy, że chciał go trzymać z dala od domu.

Przytaknąłem, bo tak faktycznie było. Ojciec był niemal wrogiem tego zegara i ciągle powtarzał: „Nie daje mi spokoju i niemal objął panowanie nad tym nieszczęsnym domem”. Zebrałem siły, spróbowałem jeszcze raz coś wytłumaczyć. Bo cóż innego mi pozostało?

– Doktorze, błagam, to nie są istotne rzeczy. Biedny człowiek coś tam raz czy dwa chlapnął... Przecież nie można być zazdrosnym o zegar. Jak można zazdrościć czegoś rzeczy? Gdyby chodziło o człowieka, to rozumiem. Nikt nie jest zazdrosny o posiadaną rzecz. Może mu się ona nie podobać, może go nudzić; człowiek może ją wyrzucić, sprzedać, spalić, zniszczyć, ale...

– A potem byli Nuri Efendi, Seyit Lutfullah, pan Abdüsselam.

– Nuri był moim mistrzem, najlepszym człowiekiem na świecie. Lutfullah biednym pomyłką, którego słowa i czyny dostarczały mi tylko rozrywki. Był jak postać z bajki. Pan Abdüsselam z kolei, zaznałem od niego wiele dobrego...

– Tak, ale wszyscy oni wchodzą w obszar terapii. W różnym czasie podąża pan za każdym z nich.

Powoli zaczynałem odczuwać niepokój. Czyżby faktycznie tak było? Tak było, do każdego z wymienionych czułem przywiązanie. Doktor Ramiż bezlitośnie przerwał moje rozmyślenia.

– Jak pan wyjaśni fakt, że to Abdüsselam nadał imię pana dziecku?

Po raz kolejny wyciągnąłem ramiona w niemym błaganiu o rozsądek, logikę i ratunek.

– Litości, doktorze, litości! To przez grzeczność, przecież mieszkałem w jego domu! Był dla mnie dobry. Był moim dobroczyńcą... Po to, by dał

swoje błogosławieństwo, by uszanować wolę, by uczynić zadość tradycji... niech pan to nazwie, jak chce!

– Czyli jednym słowem był panu ojcem. Pan w głębi duszy zgodził się na taki stan rzeczy. I to do tego stopnia, że starzec nadał pańskiej córce imię swojej matki.

– I to też moja wina? On nadał, pomyłka...

– Oczywiście. W tę rolę pan go wtłoczył... typowa sugestia. Jest pan silnym człowiekiem, panie Hayri, i do tego poważnie chorym...

I w końcu mój opór został złamany. Teraz mogłem jedynie na niego patrzeć i dziwić się. Tak jak podczas kolejnych rozpraw w sądzie całymi dniami dziwiłem się wszystkim i byłem zaskoczony: „Jak to się dzieje, że oni wszyscy mogą tak myśleć...”. Prawdopodobnie właśnie to zadziwienie w obliczu niedorzeczności bliźnich ratuje nas codziennie od kompletnego szaleństwa.

Wstałem, by zgasić papierosa.

– Czy to nie przesada, doktorze? Umówmy się, że faktycznie nie bardzo lubiłem ojca. Dziwne miał usposobienie. Nie miał charakteru, za dużo gadał, nie radził sobie sam ze sobą. W ogóle nie był człowiekiem lubianym, szanowanym i poważanym. Miał pecha w życiu. Ale był moim ojcem. Nawet jeśli go nie lubiłem, litowałem się nad nim. Miał też dobre cechy. Ale żeby szukać kogoś w zamian... i to po tylu latach od jego śmierci. Nie jestem własną matką, żeby sobie szukać innego...

Gestem nakazał mi usiąść.

– No, możliwe, możliwe, ale co poradzimy... to jest przypadek chorobowy. Pana własne słowa na to wskazują. Czyż nie powiedział pan, że świętej pamięci był człowiekiem nielubianym, niezastępowalnym na szacunek? Ojca się kocha zawsze, otacza się go szacunkiem. Czy się chce czy nie, tak już jest. Proszę pomyśleć, nie zazdrości pan ojcu, ale w normalnej sytuacji ojciec jest obiektem zazdrości. Wtedy sprawa wyglądałaby inaczej. Pan nie zazdrościł ojcu.

– Czego miałem biedakowi zazdrościć?

Za każdym razem gdy otworzyłem usta, uśmiech doktora stawał się coraz bardziej znaczący.

– Nie zazdrościł mu pan, bo uważał go za bezwartościowego. Nie ma się czym niepokoić, to często spotykane. Pan może przez to przeszedł nieco później. Nie mógł pan zostać ojcem... Gdy się jest ojcem, samo często przechodzi.

– Nie mogłem zostać ojcem? Przecież ja mam dwoje dzieci! Drugiemu sam nadałem imię. Zlituj się pan! To ja nadałem imię Ahmedowi!

– Bo pan Abdüsselam już nie żył... Możliwe, że dopiero po jego śmierci osiągnął pan pewien rodzaj dojrzałości. My teraz musimy wyeliminować wszystkie skutki tego kompleksu. Ponieważ wydarzenie pozostające w podświadomości pozostawione samo sobie bywa bardzo niebezpieczne. Niebezpieczne i nieuniknione. Na przykład w naszym dzisiejszym społeczeństwie. Ponieważ ta choroba ma wymiar społeczny, zapada na nią prawie każdy z nas. Proszę się rozejrzeć, ciągle narzekamy na przeszłość i nią się zajmujemy. Chcemy ją zmienić u źródeł. Co to oznacza? Nie kompleks ojca właśnie? Mali, duzi, nie tym właśnie się zajmujemy? Skąd nasza miłość do Hetytów, Frygów, czy kogo tam jeszcze? Czy to coś innego niż kompleks ojca?

Znowu wstałem. Chciałem uciec. Niestety, przyniesiono nam kawę, więc znowu usiadłem.

– Czy na dziś nie wystarczy? – spytałem błagalnie.

– Nie. Proszę siadać i mnie wysłuchać. Sam pan wie, że psychoanaliza...

Wygiąłem szyję, uniosłem ramiona.

– Doktorze, skąd ja to mam wiedzieć? Jestem prostym człowiekiem. Dziesięć razy słyszał pan historię mego życia. Nie uczyłem się porządnie, jak trzeba. Ojciec nie był dostatecznie twardy, nie mógł mnie kształcić.

Nagle umilkłem. Znowu podałem mu siebie jak na tacy. Powiedziałem coś, co świadczyło o mojej niechęci do własnego ojca. Chciałem zmienić temat.

– Trochę się znam na zegarach, ot co.

Gdy padło słowo „zegar”, przypomniałem sobie o „Świętym” i całej tej sprawie z Nuri Efendim, to znaczy drugim ojcem, zamilkłem więc. Ten kompleks ojca to straszna rzecz, nie pozwala człowiekowi nic powiedzieć...

Na szczęście doktor nie słuchał uważnie. W ogóle rzadko słuchał.

– Tak, tak, to już wiemy. Niech się pan nie smuci. Czy gdyby pan zdobył wykształcenie, to wyszłoby z tego coś dobrego? Jeśli nie zna się psychoanalizy, to reszta...

Pomyślał chwilę. Otworzył torbę. Wyciągnął paczkę papierosów. Jednym mnie poczęstował, drugiego sam zapalił. Włożył paczkę do torby i zamknął ją starannie.

„Dlaczego nie włoży jej do kieszeni” – ponownie się zdenerwowałem. Potem ofuknąłem sam siebie. Zapadłem na najdziwniejszą chorobę na świecie, a skupiam się na dziwactwach bliźniego.

Doktor spojrzał na mnie z czułością.

– Dlatego teraz najlepsze, co możemy zrobić, to zacząć od samego początku. Nauczę pana. Otóż psychoanaliza...

Litości, zmiłowania, pożar wybuchu... nie, jest psychoanaliza...

Pierwsza lekcja trwała do wieczora. Doktor Ramiz zostawił mi jeszcze do czytania materiały konferencyjne po niemiecku. Tej nocy pościeliłem materac na podłodze i rozmyślałem nad losem, jaki mnie spotkał. Dobiegał końca drugi tydzień mojego pobytu w szpitalu. A diagnozy ani widu, ani słyhu. Niemal codziennie poruszaliśmy nowe wątki. Wziąłem do ręki broszurę po niemiecku, była jak trucizna. A gdyby była przyjemnie po turecku, to ile bym z niej zrozumiał? Włożyłem ją pod poduszkę, może przeniknie do moich snów i zrozumiem. Następnego dnia rano usłyszałem: „Ma pan gościa”. To była moja żona. Jeszcze bledsza, z jeszcze bardziej zapadniętymi policzkami. Patrzyła na mnie pytająco, z trudem powstrzymując łzy. Żeby ją pocieszyć, udawałem wesołego.

– Jeszcze nie koniec? – spytała.

– Jeszcze nie. Dopiero zaczęliśmy. Wczoraj miałem pierwszą lekcję.

– Jaką lekcję? Zwariowałeś?

– Poważną lekcję. Uczę się psychoanalizy.

Pokrótkie opowiedziałem w czym rzecz. Pomimo smutnych zamglo-nych oczu dało się zauważyć lekki uśmiech na jej wargach, i to było wręcz powalające. Rozumiała komizm sytuacji, ale nie odważyła się zaśmiać.

– Powariowali? Skąd oni takie rzeczy wytrzasnęli?

Potem próbowała mnie pocieszyć.

– Nie ma takiej choroby, nie przejmuj się. Powiedz be czy me i zdo-bądź tę opinię. Błagaj, udawaj zdrowego albo szalej, wszystko jedno, tyl-ko się stąd wydostań!

Tego dnia doktor Ramiz nawet nie zbliżył się do końcowej opinii.

Kontynuował za to swój wykład na temat psychoanalizy. Dziś sku-pił się na naśladownictwie. Wszystko skomplikowało się jeszcze bardziej. Wiedziałem, czego nie rozumiem, i sądziłem, że coś jednak rozumiałem. Wspomniał książkę, którą zostawił mi poprzedniego wieczoru.

– Zajrzał pan do niej? – spytał.

– A po co? Przecież ja nie znam niemieckiego. A nawet jakbym znał, to bardzo uczone...

– Ach tak... – odrzekł. – Zapomniałem. Ale nic nie szkodzi. Zaraz panu opowiem.

Na szczęście tym razem w streszczenie materiałów konferencyjnych wplótł wspomnienie o pewnej niemieckiej dziewczynie. Potem o swym przyjacielu pielęgniarzu. Raz po raz otwierał torbę, wyciągał paczkę papierosów, potem ją zamykał. Następnie przychodziła kolej na obrabianie paznokci angielskim szczyrykiem i znów zamykanie torby. Po zabiegu otwierał torbę, szukał wody kolońskiej, dezynfekował dłonie, chował buteleczkę i pieczołowicie zamykał torbę. Przed naszymi oczami płynęły niczym w tunelu młode dziewczęta, przedstawiające jedna drugą. Około drugiej godziny doktor nagle wstał i mówiąc: „Mam coś do zrobienia”, wyszedł.

Kolejny dzień upłynął nam na szczegółowej analizie moich snów. Tym razem doktor sprawiał wrażenie, jakby nigdy w życiu nie poznał bliżej żadnej kobiety w Niemczech. Był wyraźnie zmęczony i podenerwowany. Oczy miał podkrążone, chyba wcale nie spał. Być może właśnie dlatego nie spodobały mu się moje sny. Oskarżał mnie, że nie mam snów potwierdzających, że widzę ludzi niekochających swych ojców i w każdym przypadkowym miejscu szukających ich dla siebie.

– No jakże to tak? – mówił wzburzony. – Taka osoba jak pan nie ma ani jednego snu właściwego chorobie. Proszę się postarać.

To ostatnie zdanie stało się początkiem nowej terapii. W tym momencie moja terapia wkroczyła na nowy poziom. Do wieczora milczał i udawał, że mnie nie widzi. Chodził niespokojnie po pokoju, aż w końcu rzekł zdecydowanym głosem:

– Chcę, żeby pan śnił sny bardziej odpowiednie do pana choroby. Rozumie pan? Proszę przez wzgląd na nasz dotychczasowy wysiłek postarać się, by sny były odpowiednie. Przede wszystkim proszę się wyzbyć symbolizmu. Jeśli zobaczy pan we śnie ojca z jego własną twarzą, to wszystko będzie tak, jak trzeba...

– Ale ja zawsze widzę ojca z jego własną twarzą. Przecież gdybym go tak nie widział, nie byłby moim ojcem, byłby kimś innym.

– To nie takie łatwe. To dzieje się poza pana świadomością. Proszę użyć swej silnej woli i wyzwolić postać ojca z symboliki, w którą obrosła. Gdy to pan osiągnie, będzie łatwiej wyzwolić się spod władzy ojca. To zna-

czy z kompleksu niższości wywołanego przez pańskiego ojca... Oto lista snów, które powinny się panu przyśnić jeszcze w tym tygodniu.

I podał mi kartkę papieru.

– Ależ doktorze, sen na zamówienie? Na receptę? Przecież to niemożliwe...

– To są nauki empiryczne. Tu nie miejsca na protesty.

To oznaczało prostą i nieskomplikowaną, i w stu procentach pewną drogę do osiągnięcia pełnego szaleństwa w sposób niejako naturalny, bez konieczności podejmowania ryzyka, na wypadek gdyby mój adwokat uznał za konieczne udowodnienie mojego szaleństwa w przypadku apelacji. Cóż mogłem zrobić, dzięki temu nie musiałem znosić bezpośredniego towarzystwa przebywających w tym samym budynku morderców, wariatów, heroinistów; mogłem spędzać dni w towarzystwie tak światłego, dobrze wychowanego i mądrego człowieka jak doktor Ramiz, mogłem palić papierosy i pić tyle kawy, ile chciałem, a dokładniej, ile zechciał doktor.

Wobec całego okazywanego mi dobra nie chciałem pozostać niewdzięczny. Codziennie kładłem się spać, myśląc o ojcu, o jego roli w kolejnych etapach mojego życia. Niestety, ani razu mi się nie przyśnił, tylko ujawniał się w symbolach doktora Ramiza. Czasem bywał wąskim, walącym się mostem lub ubłoconym wyszczerbionym chodnikiem; innym razem zjawiał się pod postacią czarnego promu, który płynął wprost na mnie, kiedy byłem w małej łódeczce i otrząsałem się z wody. Nie chcąc sprawić zawodu doktorowi, budziłem się wówczas przestraszony, z całych sił przywoływałem prawdziwy obraz ojca i momentalnie zaciskałem powieki, pragnąc zachować tę wizję. Po takich doświadczeniach szybko poczułem się zmęczony, tak że w momencie, gdy zasypiałem, traciłem kontrolę nad rzeczywistością, zaczynałem śnić coś zupełnie innego. Faktycznie całą mą świadomością i snami zawładnęły przeżycia ostatnich czasów i podupadająca na zdrowiu Emine. I we śnie, i na jawie myślałem praktycznie tylko o niej. Przeżywałem bezpośrednio, nie symbolicznie, sytuację, w której się znalazłem, zamieszanie i chaos wokół, ale niemal zawsze budziłem się, widząc jej smutne, pełne troski i niemego wyrzutu oczy i wychudłą twarz. Doktor bardzo się wówczas na mnie złościł.

– Stosuję u pana zupełnie nowatorską metodę terapeutyczną. Moją własną, której nadałem miano „snu kontrolowanego”. Po zdiagnozowaniu choroby sny chorego poddaje się ścisłej kontroli za pomocą starych

snów i tym sposobem leczy się chorego. Mimo iż to pan natchnął mnie do zastosowania tej metody, teraz wcale się pan nie stara. Ależ z pana dziwny człowiek! W ogóle nie posiada pan silnej woli? Tylko dzień dzisiejszy pana zajmuje? A może by pan tak poświęcił trochę uwagi całemu swojemu życiu?

Niestety, nie posiadałem wystarczającej woli. Chyba nikt z nas jej nie posiadał. Tak jakby wola była najistotniejszą kwestią. Przynajmniej wedle doktora Ramiza ludzka wola była obok psychoanalizy jedyną rzeczą godną uwagi, jak królowa z królem dzieląca życie. Wszyscy najwięksi filozofowie się nią zajmowali. Tu natychmiast pojawiała się litania znanych nazwisk. Tak znacznych, że będących niejako uosobieniem woli jako takiej. A więc Nietzsche, Schopenhauer... Doktor Ramiz był przekonany, że czytałem wszystkie dzieła wymienionych myślicieli, toteż posługiwał się skrótami myślowymi i operował schematami, które przenosił na grunt swojego i mojego życia oraz kondycji naszego narodu po to, by zakończyć dyskusję na rozmowie o muzyce niemieckiej. Doktor Ramiz uważał, że Beethoven to niemal swojak, sąsiad mieszkający dwie ulice dalej. Później dostrzegłem tę samą cechę u innych, którzy kształcili się w Niemczech. Jeśli chodzi o Wagnera, to z pewnością jakiś krewny nas obu jednocześnie. Wiele naszych spotkań zakończonych chórem z IX symfonii bądź też marszem „Tennhëusera” dotyczyło wyłącznie osobistych wspomnień doktora. Gdy skończył, stawał przede mną jak bożek naprzeciw absolutnej pustki, by tworzyć siłą woli, wyciągając wszystko z nicości, powtarzał wielkie magiczne słowa:

– Wola. Rozumie pan, prawda? – mawiał. – W tym słowie jest wszystko.

Powierzał mi tę głęboką tajemnicę, zabierał nieodłączną torbę, przewieszał płaszcz przez ramię i nucąc marsz lub fragment chóru, oddalał się, pozostawiając mnie sam na sam z doniosłym odkryciem.

Siedziałem otępiąły, z głową między dłońmi, i powtarzałem bez składu słowa: Beethoven, Nietzsche, wola, Schopenhauer, psychoanaliza... Ach, słowa, nazwiska i szczęście tych, którzy nie wierzą w nie... Pewnej nocy śnił mi się atakujący mnie lew. Na szczęście mnie nie dosięgnął. Gdy byłem mały, w czasach gdy nikt nie oskarżał mnie o przywłaszczenie sobie legendarnego klejnotu, gdy nie byłem pacjentem doktora Ramiza, siadaliśmy przy śniadaniu i każdy opowiadał swój sen z ubiegłej nocy, tak po prostu, dla jego treści. Teraz dowiedziałem się, że lew oznacza sprawie-

dliwość. Mogłem zostać uratowany. We śnie lew mnie nie skrzywdził. Z samego rana odważnie opowiedziałem doktorowi swój sen. Z początku wyglądał na zadowolonego.

– Taaak...

– A potem przebiegł obok mnie i nic mi nie zrobił.

Nagle twarz mu się zmieniła.

– I tyle?

– Tak. Obudziłem się od razu ze strachu. I nawet się ucieszyłem.

Wiem, że zobaczyć lwa we śnie oznacza sprawiedliwość lub władzę...

Ale on mnie już nie słuchał.

– Taka szkoda. Takie marnotrawstwo... – potem zamyślił się i dodał:

– Mógł się pan dać zjeść temu lwu.

Włos mi się zjeżył na głowie.

– Ależ doktorze...

– Dokładnie tak... Lub powinien pan go zabić i wejść w jego skórę. Krótko mówiąc, powinien pan zginąć i odrodzić się. Wówczas wszystko byłoby załatwione pomyślnie. Nie zwrócił pan uwagi, jak jest w bajkach? Zawsze giną... Zginąć, znaczy umrzeć, potem się odrodzić... Nie ma lepszego sposobu na wydobycie się z kompleksu. Ale pan nie dał rady... Nie dał rady. Stracił pan taką okazję. – Wyglądał na faktycznie załamane, gdy krążył po pokoju, pocierając ręce. – Nie poradził pan sobie... cały mój wysiłek pan zmarnował. Mógł się pan odrodzić, a został taki, jak jest...

Spróbowałem być pomocny, na ile to było możliwe.

– Niech się pan nie martwi, doktorze. Dziś w nocy się postaram. W sumie to tak bardzo się nie oddalił, może tej nocy wróci...

– Na próżno, z takim brakiem talentu... W ogóle się nie trudź! – Spojrzał mi głęboko w oczy i przejmującym ze smutku głosem dodał: – Mój najdroższy, nie oszukujmy się... Ty nie chcesz być dobrym. Myślisz, że lew się jeszcze pojawi? Czy powraca ten, kto odchodzi?

Miał rację. Zarówno lew, jak i mój własny ojciec, zorientowawszy się, co mi się przytrafiło, nigdy więcej już mi się nie przyśnił.

Muszę przyznać, że za sprawą tego lwa nieco się uspokoilem. Następnego dnia spytał:

– Mówił pan, że lew to sprawiedliwość. Co to znaczy?

– Wówczas opowiedziałem mu o naszych starych sennikach i wierzeniach.

– Nasi przodkowie wiele uwagi poświęcali rozszyfrowywaniu znaczenia marzeń sennych. Ale pana sny do tego nie pasują.

– Czyli my sami posiadamy klucz do zrozumienia snów?

– Nie, nie klucz, lecz księgę, gdzie zapisane jest znaczenie każdej widzianej we śnie rzeczy. Doktor wielką sympatią darzył to, co należało „do nas”, choć przychodziło mu to z wielkim trudem, jakby był to element innego życia, a nie efekt kilkuletniego pobytu za granicą. Wspominałem stare wierzenia, a on kiwał głową, powtarzając: „Tak, dokładnie tak”, ale potem zaraz kiwał głową, mówiąc:

– Mój drogi, nasza przeszłość to prawdziwa skarbnica...

Dlaczego kiwamy głowami na wspomnienie o naszych przodkach? To zwyczaj, tradycja czy może nowa jednostka chorobowa?

Tego dnia do wieczora rozmawialiśmy o sennikach. Miał wykorzystać ten materiał podczas jakiegoś kongresu w Wiedniu. Oczekiwał mojej pomocy, jako że posiadałem sporą wiedzę w tej materii. Nagle wszystko się zmieniło, nie byłem już chorym skierowanym tu przez instytucję penitencjarną, a on lekarzem, byliśmy teraz zwykłymi kolegami przy pracy. Raz po raz klepał mnie po ramieniu, mówił o konieczności odniesienia sukcesu w tej pracy. Zapytałem, co powinienem dziś w nocy wyśnić. Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem...

– Opinia... – powiedział.

– Tak, musi pan napisać opinię. Kongres w Wiedniu się zbliża.

Oczywiście opinia nigdy nie została napisana. Ale mój nowy przyjaciel odkrył kolejne pole pracy badawczej. Stara medycyna tradycyjna, algebra, nauki przyteczne, socjologia, alchemia, astrologia, czyli używając terminologii teatralnej: cały repertuar Seyita Lutfullaha, znajdujące się w antykwariatach serty książki drukowane i pisane ręcznie, zawierające połowiczną i nijaką wiedzę, nagle stały się dla niego czymś bardzo istotnym. Najdziwniejsze było to, że pragnął tę wiedzę przyswoić sobie za moim pośrednictwem.

– Panie doktorze kochany, są na ten temat książki... Przejdzie się pan po targu książek na Beyazyt* i wszystko tam pan znajdzie, za grosze.

* Plac koło meczetu Beyazyta w Stambule, do dzisiaj znajduje się tam targowisko książek (przyp. tłum.).

– Ale najpierw niech mi pan o tym opowie... Oczywiście książki się kupi. Ale taka wiedza winna być przekazywana z ust do ust. Niech pan zwróci uwagę, że ja pana nauczyłem psychoanalizy w kilka dni.

Na moje szczęście w owym czasie sędzia wnikliwie przejrzał akta sądowe i porównał zeznania zięcia i córki pana Abdüsselama, które okazały się identyczne z moimi, przynajmniej ta część rozprawy dotycząca mnie została zakończona w zadowalającym stopniu. W tym samym czasie doktor Ramiz, który kompletnie zapomniał o wydaniu opinii na mój temat, jako że otwały się przed nim nowe horyzonty naukowe, uznał, że zostałem w cudowny sposób uleczony i mogę zostać uwolniony, a nawet powinienem być trzymany z dala od całej tej sprawy.

Złe rzeczy są też dobre. Przychodzą razem. Tego dnia, gdy ogłoszono wyrok, w nocy przyśnił mi się sen, którego wspomnienie będzie zatruwać mój umysł, a który spełniał wszystkie wymogi doktora Ramiza i niepomniernie by go uradował.

5

W moim śnie znajdowałem się w laboratorium na tyłach apteki Aristidi Efendiego. Staliśmy tam wszyscy: Seyit Lutfullah, Nuri Efendi, pan Abdüsselam, jego starszy syn i wszyscy znajomi, obok nas doktor Ramiz, i przyglądaliśmy się przeprowadzanemu przez aptekarza eksperymentowi. Czy to było laboratorium, czy pokój dziecięcy? Nie do końca byłem pewien. Jednak nie było tam starych luster, kołysek, stosów niepotrzebnych sprzętów. Jednocześnie czułem ich obecność. Był to zarazem i pokój dziecięcy, i laboratorium. Przebywałem w pomieszczeniu razem ze wszystkimi, ale jednocześnie ich tam nie było. Przy czym jestem pewien, że wszyscy byli tam razem ze mną. Wszyscy razem patrzyliśmy w wielkie lustro, w którym to pewnego wieczoru w półmroku zobaczyłem swe odbicie, które tak bardzo mnie zaskoczyło i przepełniło dziwnym lękiem. Alembik był lustrem albo wrzał on w jego wnętrzu. Ziemistoszara piana unosiła się nad naczyniem, czarna chmura kielkująca z żyłek o kolorze siarki to unosiła się wysoko nad alembikiem, to opadała. Jakiś głos z tyłu krzyknął:

– Uważaj, zaraz nastąpi rozdzielanie, uważaj...

Z narastającą uwagą wpatrywaliśmy się w ziemistą, pieniającą się chmurkę, która zebrała się nad naczyniem niczym żywa istota.

Nagle dobiegł mnie głos Seyita Lutfullaha:

– Dobrze... dobrze... stało się.

Wówczas wlot alembiku rozjaśniła zielonkawa poświata. Ciemna piana opadała jak ciężkie błoto, a pośród siarkowego poblasku zaczęła rosnać i unosić się bezkształtna postać. Pochylony wpatrywałem się w lustro, jakbym miał wejść do jego wnętrza, serce podeszło mi do gardła. Seyit Lutfullah powtarzał w kółko i szeptał dziwne modlitwy:

– Dobrze... dobrze. Teraz, teraz!

A ja, jak gdybym w ogóle wiedział, o co chodzi, z sercem ugrzęźniętym w gardle błagałem:

– Nie róbcie tego, zostawcie, proszę...

Nagle biała chmura się zmieniła, pojawiła się twarz Emine, jej włosy rozwiane na siarkowym wietrze, po których z wolna zaczynały ślizgać się płomienie, pobladłe usta, szeroko otwarte oczy. Krzyknęła do mnie: „Uratuj mnie!”. Miotalem się, by wskoczyć do lustra czy też alembiku. Nie mogłem się poruszyć, jakby trzymały mnie setki rąk. Może i nikt mnie nie trzymał, tylko nie mogłem się ruszyć z miejsca. Półprzytomny i na wpół oszalały ze strachu, bólu, miłości i poczucia bezsilności błagałem o zmiłowanie.

Emine powtarzała swoje: „Ratuj mnie, ratujcie mnie!”, na co Seyit Lutfullah odpowiadał:

– Teraz? Po tym wszystkim zmarnować tyle wysiłku? – Próbował mnie powstrzymać, krzycząc: – Stój! Stój!

Wszyscy mnie przytrzymywali. A ja patrzyłem na Emine w alembiku, na jej oczy szeroko otwarte z przerażenia, włosy w płomieniach, i słyszałem jej błagania. Chciałem iść, lecz Lutfullah mnie uchwycił, a jego ręce były niczym kleszcze. Nie wiem, ile miał dłoni, lecz czułem się jak w imadle. Nie mogłem oddychać, dusiłem się i błagałem: „Zostawcie mnie!”. Wiedziałem, że mnie nie puszcza, że w żaden sposób jej nie uratuję... Mimo to szarpałem się, powtarzając: „Zostawcie mnie, już po niej, już jej nie uratuję...”.

Obraz w lustrze zaczął się zmieniać. Po chwili widziałem już tylko jej wielkie, przerażone, zdumione i oskarżające oczy wpatrzone we mnie, które mówiły: „Wszystko to twoja wina”.

I stało się wówczas coś jeszcze bardziej przerażającego. Najpierw zerwał się straszliwy wichur, który zerwał dach nad naszymi głowami i podrywał wszystko, targał światem wokoło i nami pośród niego.

Chwilę później ciemną nocą schodziłem ze wzgórza. Obok mnie doktor Ramiz. Wziął mnie pod rękę i przyciągając do siebie, mówił coś nieustannie. W dole migotały światła jakiegoś domostwa. Wiodąca do niego droga była bardzo długa i wiedziałem, że nawet gdy dotrę do tego domu, to i tak niczego nie zmienię. Mimo to szedłem tam, niemal biegnąc. „Niechże się pan jeszcze postara, doktorze. Niech się pan bardziej stara!” – powtarzałem. Nagle obok nas zaczął się materializować jakiś cień, który przybrał postać żółwia Seyita Lutfullaha. Był straszny. Rósł w ciemności jak ciasto w dzieży, zaczął nas zewsząd otaczać jak woda czy powietrze. Nic nie mogło mu stanąć na przeszkodzie. Z każdą chwilą powiększał się przy akompaniamencie narastających dźwięków, przypominających brzęczenie miliona świerszczy. Zęby zaczęły mi dzwonić ze strachu i nie opuszczała mnie myśl, że stwór zaraz urośnie do niewyobrażalnych rozmiarów, pokryje całą ziemię, wypełni sobą niebo. To przerażenie mnie zbudziło.

Byłem zlany potem. Jeszcze przez chwilę szczykałem zębami i nie wiedziałem, gdzie jestem. W ciemności słyszałem jedynie bicie własnego serca. Ranek jeszcze nie nadszedł i panowała przejmująca cisza. Wielki budynek szpitala dryfował po niej jak gigantyczny stary statek unoszący się bezgłośnie na spokojnej wodzie. Nie bacząc na to, co mnie spotka, opuściłem nogi na podłogę. To był tylko sen. Zapaliłem papierosa. Zaciągnąłem się dwa razy i dopiero wówczas usiadłem na krześle stojącym obok stolika. Powtórzyłem dla pewności na głos: „To tylko sen”. Niestety, nie mogłem się uwolnić od widoku Emine i jej krzyku. Zamknąłem oczy, by nie widzieć jej spojrzenia. Do rzeczywistości przywrócił mnie nieznośny ból. Papieros się skończył i poparzył mi wargi. Upuściłem go na podłogę i przyduśiłem klapkiem, po czym wróciłem do łóżka.

Jakaś ręka dotknęła mego ramienia. To był pielęgniarz doktora Ramiza. Popatrzyłem na niego nieprzytomnym wzrokiem.

– Już dziesiąta.

Dyrektor chciał mnie widzieć. Nadal owładnięty strachem poszedłem do jego gabinetu. Byłem pewien, że otrzymam niepomyślne wieści, dlatego nawet nie zapytałem, po co mam iść. Nawet na niego nie spojrzełem. To już koniec, wszystko przepadło. Na piętrze dyrektor z szero-

kim uśmiechem odczytał mi decyzję. Ni mniej, ni więcej powiedział, że jestem wolny. Patrzyłem na niego pytającym wzrokiem: „Co ja będę robić po powrocie do domu? Po tym, jak stracę Emine”. Poczułem się, jakbym własnymi rękami rozdrapał dawno leczoną, lecz niezabliźnioną ranę w mej duszy. Miałem stawić czoło przerażeniu i poczuciu beznadziei malującemu się w oczach młodej kobiety.

– Co panu jest? – spytał dyrektor.

– Nic – rzekłem. – Boję się. Teraz już wszystkiego się boję.

Dyrektor był dobrym człowiekiem, pełnym zrozumienia dla bliźniego.

– Niech się pan nie przejmuj. Ma pan to wszystko już za sobą, proszę to docenić.

I opowiedział mi swoją historię.

– Wysłaliśmy opinię na pana temat już dawno temu! – dodał, gdy już staliśmy, żegnając się.

Na schodach spotkałem doktora Ramiza, który rzucił mi się w objęcia.

– Będziemy kontynuować nasze sesje poza murami szpitala. Z resztą pańska terapia jest już prawie ukończona. Jeszcze może kilka seansów i przygotujemy opinię.

Zawrzało we mnie ze złości.

– Jaką opinię? – krzyknąłem.

– No, na kongres. Materiały, opinia... Mówi się na to komunikat. No, do tych senników... Pomógł mi się spakować i uparł się, by do samego domu odwieźć mnie automobilem. Ależ z niego uczynny człowiek! Bez wątplenia w tej chwili cieszył się bardziej niż ja sam. Przez sześć tygodni nie ruszał się z miejsca, ale nie raczył przygotować tej właściwej, obiecanej mi opinii. Teraz zapomniał o wszystkim i cieszył się jak dziecko, i snuł plany o dalszej współpracy w imię naszej przyjaźni. Niestety, nie mogłem przyłączyć się do tej wesołości, nie odezwałem się ani słowem. On paplał, a ja cały czas myślałem o moim sennym koszmarze.

Nagle zacząłem się niecierpliwić. Już, teraz, zaraz, chciałem być w domu. Wszystko po drodze widziałem przez pryzmat atmosfery nocnego koszmaru, który na dobre zagościł w mej duszy. Przytłoczony, jakbym nadal śnił, mijałem uliczki mojej dzielnicy, z przerażeniem zapukałem do drzwi.

Strach opadł dopiero, gdy ujrzałem rozradowaną Emine. Właściwie dopiero, gdy ją ujrzałem, wróciła mi świadomość i sen się skończył. Odrobinę wychudła, ale jak kiedyś biło od niej ciepło, od jej rąk i szyi.

I była przy mnie. Jej śmiech zwrócił mi wszystko, co – jak mi się zdawało – utraciłem na zawsze.

Gdy byliśmy na górze, doktor Ramiz niespodziewanie krzyknął:

– „Święty”! – I zaczął biec w kierunku stojącego na swoim miejscu, wyczyszczonego i błyszczącego, prezentującego się w całej swej okazałości rodzinnego skarbu.

– A to co? – spytałem, spoglądając na żonę.

– Nie, nic, po prostu tyle przeszliśmy, że i ja zaczęłam w końcu wierzyć w różne dziwne rzeczy. Wyciągnęłam go w zeszłym tygodniu. Nie jest tak źle. W sumie jego miejsce i tak zawsze stało puste.

Ramiz zapomniał o naszej obecności. Nie zwrócił uwagi na Zehrę, która czekała, aż poda jej dłoń do ucałowania, przykucnął tylko i wpatrywał się w nasz stary zegar. Na jego twarzy malowała się nieskończona, czysta radość. Emine z niepewnym uśmiechem na ustach spoglądała raz na mnie, raz na niego i cichutko zapytała, wskazując go ruchem głowy:

– A tego skąd wytrzasnąłeś?

Wzruszyłem tylko ramionami i tłumacząc zamyślenie nowo przybyłego wujcia, po raz nie wiem który wyściskałem córeczkę. Wszystko wokół było swojskie i na swoim miejscu.

6

Radość i odwaga Emine powoli kołły moje zszargane nerwy. Zaczęłam zapominać o naszej dziwnej przygodzie. Nawet strach spowodowany nocnym koszmarem ustępował. Podobnie jak złość na doktora Ramiza za to, że uporczywie zmuszał mnie do ujawnienia mojego snu. A gdy jeszcze dodatkowo zbadał Emine i stwierdził, że jest zdrowa, poczułem dla niego niemal wdzięczność.

Pierwsze dni od powrotu do domu minęły mi na szukaniu pracy. Wspominałem już, że dostałem wymówienie, gdy tylko rozpoczęła się rozprawa. Pewnego dnia natknąłem się pod meczetem na mojego starego nauczyciela. Wysłał mnie do dyrektora urzędu pocztowego w dzielnicy Fener, twierdząc, że ponoć mają tam wakat. Miałem szczęście i jeszcze tego samego dnia rozpocząłem pracę. Nie zarabiałem tyle co dawniej, ale to nie miało znaczenia. Lekko zacisnąwszy pasa, mogliśmy powoli wychodzić na pro-

stą. Powróciłem do świata ludzi wiodących normalne życie, do żony, dzieci i wolności. Nawet dziwaczne zainteresowania i niewspółgrające ze sobą poczynania doktora Ramiza nie przeszkadzały mi tak jak dawniej. Za to nie minął nawet tydzień od mojego uwolnienia, jak postawił mnie w bardzo dziwnej sytuacji, jednocześnie nie dając powodu do robienia mu wyrzutów.

To było w dzielnicy Şehzadebaşı, w niewielkiej kawiarence, gdzie doktor zwykł spędzać swój wolny czas. Mój drogi przyjaciel podczas mojego pobytu w szpitalu tak bardzo wychwalał moje niezliczone zalety, wiedzę, jaką posiadam o dawnych czasach, zdolności w naprawianiu zegarów, tyle naopowiadał swym kolegom i znajomym o mych perypetiach, a nawet z wielkimi szczegółami tyle czasu wyjaśniał istotę mojej choroby, że gdy tylko przekroczyłem próg tego przybytku, całe pomieszczenie wypełniły okrzyki radości. Zostałem powitany jak stary przyjaciel i bohater dnia. Doktor Ramiz zatrzymywał każdego przy naszym stole i przedstawiał mnie, mówiąc: „On naprawdę przeszedł kompleks ojca, jest najważniejszym przypadkiem w mojej karierze zawodowej”, i ponownie rozpoczął swe wyjaśnienia:

– Teraz zna i swą chorobę, i terapię. Niesamowity człowiek. I z taką kulturą osobistą. Jeśli chodzi o siłę woli... Dzięki tej sile woli takie miewa sny, że... – mówił to, poklepując mnie i głaszcząc po plecach, tak że całe wyjaśnienie było naprawdę dość osobliwe. Miałem wrażenie, że zaraz zawoła: „No, wstań, pokaż wujkowi, jak chodzisz” albo: „Jakiego wierszyka się ostatnio nauczyłeś? No, powiedz”.

Z początku było mi bardzo nieswojo i obawiałem się konsekwencji. Ale nie, to naprawdę było bardzo dziwne miejsce. Tu nie wpadano w zachwyty i zadziwienie ani nie roztrząsano niczego zbyt długo. Tutaj człowieka akceptowano takim, jakim był, ze wszystkimi jego przywarami, dziwactwami i ułomnościami. A im więcej ich było, tym lepiej. Ale nie oznaczało to wybaczenia. Wręcz przeciwnie, tu niczego nie zapominano, a nawet wypominano w odpowiednim czasie. Byli oni podobni do linii nieulegających zmianom i rozróżniających, które z wielką starannością zapisywane są w paszportach i określają człowieka, tak jak jego imię, data narodzin i inne dane uniemożliwiające zaistnienie jakiegokolwiek pomyłki. Po latach w tej samej kawiarni spotkaliśmy starego znajomego zajmującego obecnie fotel parlamentarzysty. Był wówczas bardzo dobrze sytuowanym i władnym politykiem, lecz w tej dziwnej kawiarni starzy bywalcy nadal

postrzegali go jak ziomka, gdy padało imię, przypominali sobie jego dawne poczynania i powtarzali te same śpiewki.

Całą swą „charakterystykę” posiadał za sprawą właściciela lokalu, który później zbankrutował. Człowiek ów nigdy nie starał się uchodzić za osobę poważną, znał niemal połowę Stambułu. Więc by stać się jego przyjacielem, wystarczyło jedno spotkanie. Dzięki temu przekształcił kawiarnię w swoisty klub towarzyski.

Właściciel kawiarni był przystojnym, postawnym mężczyzną. Gdyby nie poświęcił się całkowicie uprawianiu groteski, być może byłby pierwszorzędnym przedsiębiorcą. Posługiwał się przedziwnym językiem będącym mieszaniną starszej i nowszej wersji języka tureckiego, odpowiednio do tego wizerunku się nosił, a brodę przycinał w szpic na modę europejską. Ze sztuczną twarzą, ubraniem i językiem od rana do wieczora opowiadał historie niemieszczące się głowie, pod warunkiem że sam nie był ich tematem. Dbał o to, by nie opowiadać się po żadnej ze stron i zachować pozory obiektywizmu. Gdy już nie było co opowiadać, dzielił się z audytorium szczegółami z własnego życia, które niekoniecznie powinien był ujawniać. I tak żył niczym w szklanym słoju, na oczach wszystkich. Wiecznie był zakochany, a że zdobywał wybranki serca w sposób, który definitywnie przekreślał ich szanse na nawiązanie kontaktu z kimkolwiek innym, musiał się z nimi żenić. Dlatego też nieustannie tkwił we własnych sprawach rozwodowych.

Do kawiarni przychodzili klienci przeróżnej maści. Szczęśliwi spadkobiercy, obrotni i nieobrotni kupcy, niedocenieni poeci, dziennikarze i malarze, wysokiej rangi urzędnicy państwowi, mistrzowie szachów i starzy zapaśnicy, nauczyciele i studenci, aktorzy, muzycy, ludzie wszystkich zawodów świata. Mimo że potworzyły się grupki, zachowywali się tak, jakby wszyscy żyli tu razem. Każdy, kto raz się pojawił tu przypadkiem, natychmiast stawał się swój i przechodził z innymi na ty. Nikt nie miał przed nikim tajemnic, wszystkie brudy prano tu publicznie. Każdy mógł więc w nich pomieszać, powąchać je i poprzerzucać, a gdy uznał za stosowne – pokazać szerokiej publiczności. Przyjmowano tu i osądzano z jednakowo zimną krwią, a nawet z pewnego rodzaju wyrozumiałością każdą cnotę, każde nieszczęście, a nawet nikczemność. Znane były przypadki pederastii, uwodzenia, małych i większych nadużyć finansowych.

Każdy z gości, poczynając od właściciela przybytku, pojawiając się w kawiarni, dostawał niepowtarzalne przezwisko. Przypisywano mu jedną

czy dwie niesamowite historie, w których miał swój udział, dzięki którym był rozpoznawany i które mu wypominano.

Większość tych osób widywałem przez całe moje życie. Niektórych poznałem w swej pracy, niektórych zaś w ich domach. Później część z nich pracowała ze mną w Instytucie Regulacji Zegarów. Każdy z nich, bez względu na to, czy zły czy dobry, był niezwykle honorowy lub zdolny do wszelkich poświęceń, by właśnie tak być postrzeganym. Między nimi, nawet w tamtych czasach, byli zajmujący się istotnymi sprawami. Toteż nikt nie uskarżał się na taki stan rzeczy, a wręcz przeciwnie: większość była z niego mniej lub bardziej zadowolona. Niektórzy w obawie przed zapomnieniem podjudzali siebie nawzajem do właśnie takiego postępowania. O czym to się nie rozmawiało w tej dziwnej kawiarni. Historia, filozofia Bergsona, logika Arystotelesa, poezja grecka, psychoanaliza, spirytyzm, codzienne plotki, nieobyczajne opowieści, straszne i ciekawe przygody, codzienne wydarzenia polityczne; wszystkie te tematy splątane ze sobą w górnolotnych rozmowach urywanych w połowie, bezużytecznych i zdumiewających, płynęły niczym wiosenna powódź zgarniająca wszystko, co tylko napotka na swej drodze. Nie o wszystkim się dało rozprawiać jednocześnie. Niektóre tematy powracały jakby obudzone po dłuższym śnie. Wydawać by się mogło, że kwestie takie, jak podboje Aleksandra Wielkiego czy Hannibala, oraz wszystkie imperatywy kategoryczne Kanta powstały po to, by przyćmić wydarzenia bieżące. Nawet najmniej gorsząca historia była opowiadana dla samego opowiadania. Wiele historii zostało wysłuchanych tyle razy, że już na początku wszyscy wiedzieli, jaki będzie finał. Opowiadacz stosował się do panujących zasad i odgrywał rodzaj monodramy, czasami z elementami dialogu, gdy opowieść przeradzała się w iskrzącą dyskusję, także podlegającą dość jasnym regułom. Jeśli wtrącanie się, przerywanie, to zawsze za pomocą niezmiennego zestawu słów i powiedzonek; podobnie też dogadywanie, wybuchy śmiechu w tych samych momentach. Jeżeli w opowiadającym zdarzeniu uczestniczyło kilka osób jednocześnie, wówczas wpadali sobie w słowo i pewne kwestie wypowiadali jednym głosem. Gdy mówca wstawił nowy szczegół, ozdobnik, natychmiast mu przerywano, zarzucając, że zmyślił to przed chwilą, że koloryzuje, aczkolwiek na wszelkie urozmaicenia stylu i treści wyczekiwano z niesłabnącą uwagą.

Powtarzanie kilka razy tego samego zdarzenia było regułą i nikogo nie męczyło. Wręcz przeciwnie, historia różna od utrwalonej formy i postaci

przyjmowana była jako obca. Gdy pojawiał się nowy opowiadacz z nową historią, słuchano go za pierwszym razem jedynie z grzeczności i z nikłym zainteresowaniem. W miarę jak treść zyskiwała ozdobniki, jak słuchacze oswajali się z nią i przepuszczali przez własne sito percepcji rzeczywistości, odkrywali w niej elementy komiczne, sprowadzali ją do swego poziomu i spływali, zostawała przyjęta. Dotyczyło to najbardziej nawet poważnych tematów. W efekcie tych zabiegów wszystko sprowadzało się do historyjek o powszechnej rozwiązłości, żartów rodem z teatru Karagöz, o pederastach lub naśladownictwie sztuk teatralnych. Opowiadacze bulwersujących historii znani byli pod szczególnym przezwiskiem, zwano ich Strażnikami Porządku Rzeczy. Była jeszcze grupa Pospólstwo Orientu o wschodniej mentalności, stojąca niżej od arystokracji, biorąca na swoje barki obowiązek naprawy świata. Czerpali oni z kultury i dokonań cywilizacji dokładnie tyle, ile było trzeba, by współtworzyć życie kawiarniane, zadowalali się nieszkodliwym komizmem, lecz nigdy nie tykali tematu tempa życia, niedostatku i beznadziei. I w końcu trzecia grupa, Obsługa Różna, składała się z ludzi nieposiadających żadnej wrażliwości, nieprzystosowanych do życia miejskiego lub niepotrafiących pokonać swych pierwotnych, zwierzęcych instynktów. Pochodzący z tej grupy mógł wszcząć awanturę, ale ci z grup wyższych, gdy złapali jednego z nich, awanturę wszczynali na pewno. Z tego też powodu grupa trzecia zyskała miano pierwotnej. I tylko w tej grupie istniały podziały, a to z powodu znacznej jej liczebności. Z początku ten tygiel rodem z teatru Karagöz i opowieści wędrownych meddahów* bardzo mnie męczył. Poza tym bałem się wkroczyć do kawiarni z bagażem oskarżeń, sądu i pobytu w szpitalu psychiatrycznym. Już trzeciego dnia znalazł się ktoś, kto wypytywał mnie o historię „Świętego”. Miałem wrażenie, że zaraz zapytają o jego stan cywilny. Seyit Lutfullah, pan Abdüsselam i Nuri Efendi mieszkali w tej dzielnicy i większość zgromadzonych znała ich osobiście, dlatego też pamięć o nich została przywołana w momencie, gdy przekroczyłem próg kawiarni.

Powszechnie znany był fakt, że zostałem obdarowany skarbem Andronikosa, a jednocześnie wszyscy znali składniki całego mojego osobistego majątku. Jednak sława, jaką zyskałem dzięki wydarzeniom ostatnich czasów, otoczyła mnie zupełnie, i to bez mojego udziału, bez starań. Grunt

* Wędrowny opowiadacz (przyp. tłum.).

został przygotowany, zanim się pojawiłem w kawiarni. Żadna inna społeczność tak szybko i bez zastrzeżeń by mnie nie przyjęła. Gdy przyszedłem po raz pierwszy w towarzystwie doktora Ramiza, w mojej obecności odbyła się dyskusja na temat mojej przynależności do którejś z kast społecznych obecnych w kawiarnianej rzeczywistości. Zakwalifikowano mnie jako Strażnika Porządku. Po śmierci Emine, gdy moje życie ostatecznie legło w gruzach, straciłem swoją pozycję i spadłem do poziomu pariasów o wschodniej mentalności. Mieli do tego prawo. Po przydzieleniu mnie do grupy społecznej rozpoczęły się dywagacje nad przezwiskiem, a to okazało się niełatwym zadaniem. Wymagało aż kilku posiedzeń. Ostatecznie ze względu na to, że stwierdzono u mnie psychozę na tle kompleksu ojca, zaczęto mnie nazywać Sierotą. Niespodziewana śmierć pana Naşita przywołała awanturę z pogrzebem mojej ciotki. Trzeba przyznać, że moja ciocia dostarczała kawiarni tyle tematów do rozmów, że nie sposób było o mnie zapomnieć. Po śmierci małżonka kobiecina wpadła w kręgi derwiszów prosto pod skrzydła pewnego szejka, szczególnie cenionego przez kobiety. Stała się jego główną faworytą, a to za sprawą swej znacznej fortuny. Jakby nie zgadzając się, bym został zapomniany w kawiarnianym tłumie, pod koniec życia zaczęła pisać poematy mistyczne. Doprawdy, wszystkie nieszczęścia mojego życia przydawały mi estymy.

W drugim tygodniu zgłosił się do mnie porządny i dobrotliwy człowiek zajmujący się złotnictwem na krytym bazarze; bardzo był ciekaw historii o Aristidi Efendim. Kupił od księgarzy jakiś manuskrypt, chodził za mną krok w krok, wypytywał o arkana tej wiedzy. A diament Şerbetçibaşy stał się początkiem rozmowy każdego dnia. Właściciel kawiarni przynosił nam na tacy czarną kawę i zaczynał opowiadać zmyślane sny: „Tej nocy z woli Wszechmogącego i za Jego sprawą przyniesiono mi na złotej tacy diament ten precudnej urody”. Po czym dokładnie opisywał szlachetny kamień. Innym razem piękna kobieta niosła go na złotej tacy. Jeszcze kiedy indziej Baba-Jaga, czyli moja ciotka.

Z czasem przywykłem do tego życia. Było lekkie i wygodne. W tym dziwnym otoczeniu człowiek na chwilę zapominał o troskach. Zaraz po wyjściu z pracy udawałem się w pośpiechu do tego świata opartego na żartach i już od pierwszego kroku byłem daleko od trosk i smutków dnia codziennego, stawałem się kimś innym. Będąc w kawiarni, patrzyłem na moje życie: to sprzed pół godziny i to późniejsze, jakbym patrzył na życie

kogoś innego. Nawet moje imię się zmieniło, tu nie byłem Hayri, tu byłem Sierotą. Mój znajomy doktor każdą wolną chwilę spędzał w kawiarni, otwierając i zamykając swoją przepastną torbę, czyszcząc paznokcie, narzekając na życie, leniwy naród i państwo, w którym przyszło mu żyć, rozprawiając o psychoanalizie lub po prostu słuchając nowych i starych plotek. Miał coś do powiedzenia na każdy temat. Każdy nowy pomysł uznawał za dobry i godny uwagi, o ile z jednej strony był powiązany z krytyką społeczną, z drugiej strony z łatwością łączył go z Freudem i Jungiem, co przecież doskonale umiał. Kiedyś zapytałem go, czy go to nie nudzi. Był szczerze oburzony.

– Czyś ty zgłupiał? Czyż może być coś ciekawszego w życiu? Radości z wykonywanego zawodu dostarcza mi właśnie ta kawiarnia, i chyba nic więcej. Gdzieżbym znalazł takie typy ludzkie jak tu? Społeczeństwo jest niezwykle ważne. Dla psychoanalizy społecznej nie masz lepszego miejsca nad to! Przypatrz się, jak tu się przeżywa przeszłość, jak się żartuje i z czego... Wszyscy tu żyją jak we śnie, żyją w innym świecie. Śnią zbiorowo.

Innym razem, gdy ponownie podjąłem ten temat, odparł:

– Gdzie indziej znalazłbyś taki barwny tłum? Każdy jest mistrzem w swoim fachu. Każdy zaangażowany w sprawy ojczyzny i tylko nią żyje. W żadnej gazecie nie znajdziesz tylu sensacji. Gdy w końcu opublikuję mój pamiętnik, to zobaczycie, czego nauczyłem się od tych ludzi, będziecie czytać dzień po dniu...

Wspomniane przez doktora kwestie dotyczące ojczyzny i światła rozmowy tak naprawdę dotyczyły plotek. Lecz cóż, jego uczone postrzeganie świata zmieniało istotę rzeczy. Znacznie później, gdy starałem się o przyjęcie do Instytutu, głównie przy wsparciu pana Asafa Efendiego – jak się potem okaże, kierownika Biura Uzpełnień Instytutu – i w rozmowie wspomniałem Halitowi o zapatrywaniach doktora Ramiza, skwitował je następująco:

– Według mnie wszystko wynikało z nieprzystosowania się do życia zawodowego. Życie takie jest, jeśli nie nada mu się formy. Słuchając opowieści o bywalcach tej kawiarni, pomyślałem sobie, że większość znanych mi osób żyje jakby w międzyczasie. Jeśli pan chce, to proszę ich nazwać tymi, którzy zostali za drzwiami. Nie weszli do środka w odpowiedniej chwili. Wiodą leniwe życie pół żartem, pół serio. Nie ma potrzeby doszukiwać się w tym jakichś związków z przeszłością czy czymś innym...

- Ale przecież każdy z nich miał jakieś zajęcie, coś robił! – próbowałem protestować.

- Nie każda praca to praca. Praca to przede wszystkim stan umysłu, mentalność i pojęcie czasu. Dziwię się, że wierzy pan, że w naszym kraju istniało pojęcie czasu pracy przed powstaniem naszego Instytutu. I to pan, taki doświadczony, pan, który włożył tyle wysiłku w tworzenie tego Instytutu, jak może pan mówić, że aktywność kawiarnianego ludu jest pracą?

Faktycznie trudno stwierdzić, czy istniało w naszym życiu coś takiego jak życie zawodowe, zanim powstał Instytut. W tej kwestii nie mogę wypowiedzieć się zdecydowanie. Wiele rzeczy uświadomiłem sobie i wiele zmian zaszło we mnie, odkąd zacząłem pisać te wspomnienia. Teraz, gdy Instytut jest w fazie likwidacji, już nie patrzę na samą ideę jego powstania tak jak na początku, gdy był zakładany. Wydaje mi się teraz, że nasza instytucja, poza ustanowieniem w kraju systemu pracy, pomogła kilku bezrobotnym w znalezieniu zatrudnienia. Mówiąc to, nie zaprzeczam, jak wiele korzyści wniósł on do życia zawodowego naszego społeczeństwa. Mam jedynie na myśli fakt, że na nasze dokonania można z perspektywy czasu spojrzeć z nieco innej perspektywy. Być może nie bez znaczenia jest fakt, że nie jestem już od Instytutu zależny finansowo. Gdy w grę nie wchodzi osobiste korzyści, zaczynamy postrzegać zdarzenia inaczej, realniej, pojmujemy je i oceniamy w odniesieniu do rzeczywistej ich formy. Tej kwestii właśnie dotyczyła moja niedawna sprzeczka z Ahmedem, moim synem. Jak tylko dowiedział się, że spisuję me wspomnienia, z obawy, że któregoś dnia mogą ukazać się drukiem, zmienił nazwisko. Możliwe, że to jego poglądy, przeciwne tej instytucji, doprowadziły mnie do tych przemyśleń. Jakkolwiek nie do końca zgadzam się z poglądami Halita Regulatora na temat pojęcia pracy i czasu pracy, to jednak jego analizę dotyczącą kawiarnianej społeczności uważam za niezwykle trafną. Istotnie, życie tutaj było życiem za zamkniętymi drzwiami. Ludzie ci nie myśleli nawet o wejściu do środka lub żyli, trzymając zawsze jedną nogę na progu. Nie przeszkadzało im to, że nie mają tak-że żadnej drogi odwrotu. Skąd mieliby uciekać i dlaczego mieliby uciekać? Czy nie mieli żadnych oporów? Czyżby naprawdę byli tak obcy i obojętni na wszystko? Nie, tam było lekarstwo, trochę snu, trochę oszołomienia.

Bez wątpienia, jeśli sprawa dotyczy zysku, wszystko ulega zmianie, a korzyści majątkowe nie były w kawiarni tematem, który schodził na drugi plan. Niemal codziennie wybuchała kłótnia o wielkie pieniądze, roztrzą-

sano wysokość zaciągniętych kredytów. Często przez tydzień i dłużej słuchaliśmy dysput dotyczących polityki finansowej państwa. By dowiedzieć się wszystkiego, nie musieliśmy widzieć ani śledzić wydarzeń.

Wystarczyła półgodzinna pogadanka z jakimś lokalnym ekspertem lub po prostu z właścicielem kawiarni. Zajadłe kłótnie o finanse, rachunki i zażarte spory ukazywały w zupełnie innym świetle nawet najbardziej potulnych i ustępliwych przyjaciół. Po raz kolejny okazywało się, że gdy chodziło o pieniądze, byli to ludzie w najwyższym stopniu skrupulatni, zachłanni i pozbawieni skrupułów.

Przyjaciele, którzy wszędzie chadzali jak bliźnięta syjamskie, którzy jedli z jednego talerza i pili z jednej szklanki, z powodu kłótni o jakiś rachunek czy interesy stawali się zaciekłymi wrogami i gotowi byli skakać sobie do gardeł lub przynajmniej zanikały braterstwo i równość. Jeden zawsze pozostawał prawy, a drugi był oszustem. Taki stan rzeczy mógł utrzymywać się przez dni lub lata i nie wymagał poważniejszych dyskusji. Czasem działo się to samoistnie, bez większego hałasu. Pieniądze natychmiast odnajdywały swego i same ustalały wzajemne relacje. Czasami po stosunkowo trudnych okresach dochodzili do nowej równowagi. Ale wówczas zawsze pojawiała się niespodziewanie coś, co ten stan zaburzało. Pewnego razu mogliśmy obserwować, jak dwóch stałych klientów całymi dniami przesiaduje w kącie i nad czymś się naradza. Następnym razem był z nimi jakiś obdartus w łachmanach. Trzy dni później dołączył do nich jakiś elegant. Od tej pory cała czwórka była nierozłączna. Spotykali się kilka razy dziennie, naradzali się nad czymś, lub też przychodzili jedynie, by zostawić pozostałym jakieś informacje. Wszyscy zaczęli nosić aktówki. Było to pod koniec zimy. Na wiosnę obdartus nagle zmienił się nie do poznania: elegancki, zawsze uśmiechnięty, zaczął tryskać dowcipem, przechadzał się, witając z każdym tak, że był niczym przyciągająca uwagę reklama radia czy lodówki. W końcu zaczął przyjeżdżać automobilem. Z jego ust miękko spływały słowa, takie jak „szofer”, „mój szofer” – czasami słodko, czasami w złości, lecz zawsze po to, by podkreślić swoją wysoką pozycję. Wyrażała się ona zazwyczaj w cylindrach, pieniądzach i prędkości, jaką osiągał jego nowy nabytek.

Człowiek oszczędza podług trybu życia, jaki prowadzi, i okoliczności, to zaś określa jego mentalność i kwestionowanie rzeczywistości. Słowo „szofer” było dla kawiarnianej społeczności przejawem najwyższego

stadium rozwoju cywilizacyjnego, było piękne, najlepsze i najbardziej towarzyskie. Czy zwróciliście uwagę na fakt, że to słówko, którego pierwsza sylaba wymyka się spomiędzy warg ułożonych jak do pocałunku, a druga sylaba wychwytuje pierwszą i nagarnia ją z powrotem, to słówko jest jedną z najdonioślejszych zdobyczy języka tureckiego? Bez względu na akcent, z jakim się je wypowie, zawsze ma znaczenie. Na początku lata owa czwórka zniknęła nam z oczu. Od tej pory zaczęły do naszych uszu docierać pierwsze echa ich poczynań. Przyjaciele z pomocą roztropnego i dobrze zorientowanego w sprawach finansowych adwokata rozwikłali niezwykle skomplikowaną sprawę spadkową. Teraz zaś starali się zabawiać bogatego kolegę, który dzięki nim stał się majątnym człowiekiem.

Od chwili gdy dowiedzieliśmy się o tym, nie nadszedł kres wiadomości codziennych, czasem rozwlekłych i długich, czasem krótkich i zwięzłych, które były niczym śledzone przez wzmacniacze astronomiczne, satelity i gwiazdy. Odkrywały przed nami swe tajemnice, jakby w naszym sąsiedztwie znajdowały się wszystkie plaże i miejsca rozrywki lub jakby między nami były przeszkłone drzwi lub okno z tiulową firanką. Piękne młode kobiety, które w poprzednim pokoleniu dostały się do klasy średniej, o poetyckich imionach wyszperanych ze starego słownika lub wierszy, oraz niedoświadczone dziewczęta wyskakiwały z butelek z ciepłą wodą gazowaną, lepiących się szklanek z syropem i zaczynały rozbierać się przed nami. Przez całe upalne lato wsłuchiwaaliśmy się w te opowieści, aż nastały jesienne deszcze.

Z powodu ciągłego drapania się po plecach swędzących od sklejonnych przepoconych koszul i lepiących się do nas oparc naszych krzesel, z drugiej zaś strony w wyniku zasłyszanych historii kąpaliśmy się przy blasku księżyca w zimnej wodzie, kochaliśmy się w pustych kabinach na plaży i trykaliśmy się jak kozły na porośniętych lasem wzgórzach. Potem zaczęła się historia barów pana Beyoğlu. Na naszych oczach pónagie dziewczęta wygnane z różnych stron Europy przez kryzys gospodarczy przy dźwięku saksofonów zdejmowały staniki i majtki lub przechadzały się w futrach i biżuterii. A raczej zakładały to kosztowne odzienie, bo najpierw się rozebrały. Pewnej nocy Emine, zapominając o sukience dla Zehry i butach dla Ahmeda, zgodziła się zobaczyć te miejsca rozrywki. Z niewinnością dziecka podziwiała dziewczęta o blond włosach i skórze koloru pszenicy. „Ojej, to nie ludzie, to anioły”.

Kobiety wpadały pomiędzy karciane stoły, jakby tańczyły fokstrota lub tango, powiewały rozpuszczonymi włosami w półobrotach i kołysały biodrami, wypełniając cały lokal radosnymi okrzykami zwycięstwa, niczym młode klacze czystej krwi arabskiej. Mieliśmy wrażenie, że przy każdym puknięciu pionków tavli słysząc dźwięk otwieranej butelki szampana.

W połowie zimy skończyły się nagle te szalone zabawy. Obiektyw uwagi znów skupił się na naszej kawiarni. Któregoś wieczoru czterej panowie powrócili zmęczeni i zdenerwowani. Siedli w kącie, spierając się o coś półszepsem, otworzyli portfele, wyjęli weksle, ponownie schowali je do portfeli. Aż nagle podniósł się krzyk. W powietrzu niczym bat woźnicy fruwały takie słowa, jak oszust, skandal, podlec. Podniosły się pięści: „Ja ci pokażę!” i padały kolejne groźby. W końcu rzucili się na siebie. Ostatecznie spadkobierca z dwoma kolegami sprzął adwokata i wyrzuciono go na zbity pysk z lokalu. Dżentelmen, który nigdy nie darzył nas sympatią, a zaczął u nas bywać w zeszłym roku, z trudem podniósł się z błota. Klnąc jak woziwoda, wytarł twarz z krwi, a że połamano mu okulary, pomogłem mu znaleźć i założyć kapelusz.

Po tygodniu podobna scena rozegrała się pomiędzy spadkobiercą i jego dwoma kolegami. Tym razem dobroczyńca został w podobny sposób wyrzucony z kawiarni. Lecz zakończenie sprawy wcale nie miało miejsca tego wieczoru. Dwaj stali bywalcy kawiarni już następnego ranka zaczęli się nam zwierzać. Po kilku dniach ich skargi sięgnęły zenitu. To prawda, że przez blisko rok bawili się setnie i używali życia, ale teraz zostali z niczym. Niewydarzony spadkobierca skutecznie pozbawił się wszelkich praw, a to za sprawą podejrzaną firmę, tak że jeden stracił dom rodzinny, a drugi dobrze prosperujący sklep, sam już nie wiem gdzie się znajdujący. Obydwaj teraz byli bez grosza. Ponadto jeden z nich, były właściciel sklepu, zakochał się do szaleństwa w jednej z dziewcząt, które ciągał do tych miejsc rozrywki, i przyczynił się do jej upadku.

Pomimo tego wszystkiego marnotrawny spadkobierca nie widział nic zdrożnego w tym, by pewnego dnia przyjść do kawiarni z uśmiechem na twarzy. Jakies dwie godziny naradzał się z właścicielem lokalu. Nasz stary przyjaciel słuchał tego z trudnym do opanowania gniewem. Kolejny wieczór spadkobierca spędził, grając tavlę z byłym właścicielem sklepu. Z niewinnym wyrazem twarzy wyrzucał kości, śledził ich ruch i klaskał za każdym razem, gdy wypadły mu szóstki. Piętnaście dni później doszły

nas słuchy, że ożenił się z ukochaną córką byłego właściciela sklepu. A po zaledwie trzech miesiącach – cud nad cudami – urodziło im się dziecko! Dużo uciechy sprawiło nam omawianie tego zdarzenia, aż w końcu większością głosów nadano dziecku imię Pomieszaniec.

Zdarzenie to zaprzątnęło naszą uwagę na długi czas. Kolejne wydarzenie zepchnęło tamto na drugi plan. Do Stambułu przybyło dwóch Bułgarów, którzy postanowili odszukać zakopane w czasie wojny bałkańskiej pieniądze na którejś wsi na terenie Tracji. Kto im dał adres naszej kawiarni? Kto ich tu skierował? Nie ma sensu się nad tym zastanawiać, bo nikt tego nie rozstrzygnie. Dość, że skompletowano ekipę, sprzęt, jak na wyprawę na biegun, rozbito namioty i przez piętnaście dni dokładnie przeszukiwano okolicę. Przyglądaliśmy się tym wszystkim zabiegom z niemałym podnieceniem. Codziennie zmieniała się szacowana wielkość skarbu. Mówiło się o dziesięciu tysiącach w złocie. W zależności od dnia wartość skarbu spadała do pięciu tysięcy, czasami wzrastała do dwudziestu, a nawet stu. Mielibyśmy zabawę na całe lato, lecz władze dzielnicy podjęły słuszną decyzję, by całą sprawę zakończyć raz na zawsze. Wówczas wybuchł spór o wydatki. Na szczęście jeden z zaprzyjaźnionych historyków rozpoczął barwną opowieść o walkach proroka Alego, zięcia Mahometa, toteż wszelkie waśnie zakończyły się powszechnym pokojem. Ten wieczór był dla nas bardzo znaczący. Pomimo choroby Emine nie wróciłem do domu i skorzystałem ze skromnego poczęstunku doktora Ramiza – przystawek i raki.

Dwaj Bułgarzy nas opuścili, lecz zastąpił ich szwajcarski Niemiec orientalista. Dzentelmen ów był zachwycony, że zaproszono go do tak znamienitego towarzystwa. Szeroki uśmiech rozdzielał jego żółtą jak ziemniak twarz na dwie połowy i wydawało się niemożliwe, by ponownie się one zeszyły. Jego łamany turecki, który nie pozwalał mu dokładnie śledzić toku rozmów, w najmniejszym stopniu nie przeszkodził mu serdecznie się ze wszystkimi zaprzyjaźnić. Po tygodniu pieniądze mu się skończyły i od tej pory żył na rachunek kawiarnianej społeczności. Po pewnym czasie postanowił zarobić na życie jako architekt, więc jego biurem stał się jeden ze stolików po prawej stronie kawiarni. Przy nim kłócił się o prowizje, planował, wykonywał modele z pustych pudełek po zapałkach, zmieniał, ulepszał. Nie było na świecie lepszej i bardziej rozsądnej pracy. Spędził tak cztery lata. Żaden architekt nie był tak cierpliwy, tak otwarty na oczekiwania klienta,

jak ów Niemiec. Na pytanie: „A jakbyś tak to pudełko postawił nie tu, tylko tu, to co by było?” doktor Mussak przymykał jedno oko, myślał, liczył, po czym przekładał pudełka i ustawiał w innym porządku. Wówczas to zrozumiałem, jak wielka jest różnica pomiędzy szkicem a modelem. Planowanie odbywało się na naszych oczach, dlatego nie tylko przyszły właściciel domu, ale też inni goście, barman i wszyscy kelnerzy mieli coś do powiedzenia. Mussak słuchał wszystkich wskazówek z równą uwagą i przemyślał każdą rzuconą propozycję. Nie wiem, kto wymyślił spółdzielnie mieszkaniowe, ale z pewnością to nasz nowy przyjaciel wynalazł spółdzielnię architektoniczną. Niestety, zupełnie niespodziewany zbieg okoliczności położył kres tej działalności. Podczas planowania i budowy trzykondygnacyjnego domu w dzielnicy Suleymaniye, niedaleko fontanny Ibrahima Paszy, architekt zapomniał o schodach. Po odstawieniu rusztowań okazało się, że dom składa się z trzech niezależnych od siebie kawałków. Nawet wielkie mieszkanie znajdujące się między składzikiem na węgiel a sufitem w porównaniu z jego projektem wydawało się rozsądniejszą budowlą, w której parter był pusty i nieukształtowany, niczym świadomość, jak mawiał doktor Ramiz, ucząc mnie psychoanalizy, kiedy przebywałem w szpitalu.

Trzeba uczciwie przyznać, że przykład obydwu tych przedziwnych wybryków architektury, których plany powstały dzięki pustym pudełkom od zapalek, a które tak mnie zdumiały i których w żaden sposób nie mogłem pojąć, bardzo mi się w przyszłości przydał. Gdy narodził się pomysł stworzenia nowej siedziby dla Instytutu, nauczony przykładem, sam podjąłem się tego zadania i dzięki tym dwóm doświadczeniom powstał podziwiany przez cały Stambuł budynek. Z pewnością będę miał jeszcze okazję wspomnieć o nowej budowlu, która zadziwiła cały świat i była na ustach wszystkich przez całe trzy lata. Zaznaczę jedynie, że była tam głównie winda i kolumny, na których opierały się schody, a całe drugie piętro stanowił taras, będący z jednej strony odzwierciedleniem domu z Suleymaniye, z drugiej zaś nawiązujący do wyjaśnień doktora Ramiza. Dom na Suleymaniye wiele razy był głównym tematem naszych rozmów i sam nie wiem jak, ale to my wzięliśmy na swoje barki wykorzystanie drugiego piętra budynku, które ze względu na brak klatki schodowej było zupełnie niefunkcjonalne.

W kawiarni zawsze tak było. Cokolwiek i jakkolwiek się działo, zawsze kończyło się w sposób najmniej oczekiwany. Zwyczajny rachunek, który za drzwiami kawiarni przedstawiał jakąś określoną wartość i był pewni-

kiem, tuż za progiem rozmywał się w różne stopnie prawdopodobieństwa i z każdym wejściem i wyjściem stawał się ironią losu. Kawiarnia była bagnetem absurdu, a ja, nie zdając sobie z tego sprawy, wpadłem w nią aż po szyję. Pogrążyłem się w świecie bez sensu, jakbym wpadł w łapy jakiegoś żarłocznego zwierzęcia o puchatych i miękkich łapskach, jego wielu ramionach i skrzydłach nieustannie łaskoczących człowieka, w urywanych uśmiechach i błogim otumanieniu. Nim się zorientowałem, żyłem w świecie, gdzie nic nie jest takie, jak powinno, wszystko łączy się ze wszystkim w zadziwiający wręcz sposób, niczym na targu stworzonym ze szczątków naniesionych przez nawałnicę, która zerwała się w nieznanym nam miejscu. A gdzie się zerwała? Jakie dziwne i pełne sprzeczności światy spustoszyła, jaką dziwną armadę rozniosła w drzazgi i strzępy, że każda z rzeczy przez nią przyniesionych ukrywała swą prawdziwą postać i nie było możliwości, by ją rozpoznać. Wszystko to, niczym wyciągnięte z kapelusza maga, podążające jedno za drugim, jedno z drugim połączone. Żyjąc w ten sposób, czułem się swobodnie, lecz gdy się nad tym zastanowić, takie życie było męczące na równi z koszmarem. Czasami czułem się, jakbym brnął po dnie morza, potykając się o pomysły, których nie jestem w stanie pojąć, i o szczątki niekompletnej wiedzy na przeróżne tematy, jakbym na każdym kroku napotkał bezpodstawną irytację, przelotne, krótkotrwałe nadzieje i przesady niczym zgniłe wodorosty oplotły me ręce i ciało, wciągając mnie coraz głębiej; gdy tylko otwierałem oczy, straszliwe procesy atakowały mnie w półmroku. Potem nagle wszystko zniknęło, jak kałamarnica w wypuszczonym przez siebie obłoku. Stawałem twarzą w twarz z doktorem Ramizem czy panem Asafem, z głową zwróconą w kierunku gromkiego śmiechu kończącego jakąś przedawnioną sprzeczkę, w uszach mi dzwoniło od ciśnienia panującego w głębinie, z którego nie zdawałem sobie sprawy, jak wybudzony ze snu patrzyłem dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

– Tak, mój drogi. Nic z tego nie będzie! Młodzi powinni się do tego zabrać. Trzeba skończyć z tym wschodnim fatalizmem!

Doktor Ramiz zasępił się jeszcze bardziej, a pan Asaf, jakby tylko czekał na ten rozkaz, zbierał się z czterech krzeseł, które zazwyczaj zajmował, jakby już dostrzegł nagrodę za to tak trudne posunięcie, chował twarz w ramionach i zasypiał, kładąc się w poprzek stołu.

Ten człowiek zawsze był śpiący, a sen miał najgłębszy i najbardziej niewinny na świecie. Wystarczyło, że przymknął oczy, a w powietrzu za-

czynwały się unosić smaczne pomruki, jakby setki aniołków zatrzepotały nieistniejącymi skrzydełkami, jakby szeptały mu do ucha słodkie kołysanki i napełniały miodem jego niewinne sny. W takich chwilach miałem wyrzuty sumienia i myśląc o Emine, zrywałem się i biegłem do domu. Moja żona była chora. Z początku lekarz mówił jedynie o przejściowej niedyspozycji. Z czasem okazało się, że stan Emine się pogarszał i nic nie wskazywało na poprawę. Wiedziałem o tym, zanim lekarz wydał diagnozę. Wiedziałem od chwili, gdy zobaczyłem we śnie ten koszmar w ostatnią noc pobytu w szpitalu. Przed moimi oczami wrzał alembik przeznaczenia, głowa Emine na drugim końcu poduszki była w mojej twarzy, w mych ustach, i dłoniach, lecz coraz bardziej oddalała się ode mnie i z oddali patrzyła na mnie wielkimi otwartymi oczami. Mogła się uśmiechać, próbować żartować, planować zamążpójście Zehry czy studia medyczne Ahmeda, a ja i tak widziałem jej oddalającą się twarz i oczy, które mówiły: „Sam dobrze wiesz, że nie ma już ratunku”. To była okrutna prawda. Na moich oczach życie, kropla po kropli, wyciekało z Emine. Ani ja, ani nikt inny nie mógł nic na to poradzić.

7

Śmierć Emine była dla mnie ciosem. Poczułem się, jakby urwała się pod mną gałąź, na której siedziałem, i jakbym spadł w absolutną pustkę. Strata była dla mnie tak wielka, że z początku nie zrozumiałem nawet, co się stało. Chodziłem z czymś wielkim, ciężkim i czarnym, co zaległo w moim wnętrzu, utrudniając mi ruchy. Potem naszła mnie myśl, która przyniosła niewiarygodną ulgę: Emine już nie umrze i nawet nie zachoruje. Zostanie w mojej świadomości na zawsze taka sama. Najdziwniejsze, że poczułem względny spokój na myśl, że raz na zawsze pozbyłem się ustawicznego strachu o nią, że już nie będę drżał i cierpiał na myśl o jej stanie.

Mój świat, mój dom się zawalił. Zostałem sam z dwójką dzieci, straciłem chęć do pracy i wiarę we wszystko. Ale już się nie bałem. Stało się najgorsze, więc byłem w pewnym sensie wolny.

Bez Emine u boku mogłem zostać porwany przez każdy nadarżający się nurt. Najbliższy zaś stanowili koledzy z kawiarni. Już tydzień po śmierci żony siedziałem z nimi przy stole, w sali na tyłach sklepów stojących przy

ulicy, z kartami do gry w jednej ręce, ze szklanką raki w drugiej. W ustach papieros, w uszach nowe historie – czułem się niemal zadowolony z życia. Udało mi się zapomnieć? Naprawdę dobrze się bawiłem? Na pewno nie.

Czułem się kompletnie rozbity i zmiądzony. Nie był to strach ani ból. To były wyrzuty sumienia odczuwane przez zdrajcę. Dziwne uczucie, które przeradza się w mdłości. Pojawiło się pewnego dnia. Pewnego dnia zobaczyłem je w swoim odbiciu w lustrze: twarz pomiędzy wiszącymi na wieszaku spodniami. Zadowolona i nieszczęsna, wzgardzona, nieodporną na wstrząsy i ze wszech miar zrezygnowana ludzka twarz. Miałem wrażenie, że kryształowe lustro wypluje zaraz ten ochłap i rzuci mi pod stopy. Nic takiego się nie stało. Za drugim, trzecim spojrzeniem przywykłem to tego odbicia. Nic się nie zmieniło.

Dziećmi zajmowała się starsza kobieta. Ja z trudem wstawałem rano i szedłem do pracy. Po pracy szedłem do kawiarni, spędzałem czas z doktorem Ramizem i innymi, wracałem do domu późno, czasami gdy dzieci już spały. Z przyjemnością kładłem się do łóżka i zasypiałem jak kamień. Wtedy udawało się uniknąć rozliczeń. Niestety, zdarzało się i tak, że dzieci jak małe kotki przytulały się do siebie, kryły się po kątach mieszkania i czekały na mój powrót. Wtedy zaczynały się najgorsze w całym dniu chwile. Powinienem je brać na kolana, przytulać, osuszać łzy i rozśmieszać.

Czemu się tak martwiły, były bardzo smutne i często płakały? Nie starczało, że przysparzają mi nie lada zgryzoty, przypominają o bólu, odbierają wolność, zamykają w czterech ścianach i sprowadzają do roli konia w kieracie. Gdy je widzę, bierze mnie taka litość, że rozpadam się na kawałki, mam ochotę zawyc nad własnym losem i nieporadnością, walić głową w ścianę. Wówczas wydaje mi się, że do pokoju wchodzi Emine, zbliża się miękkimi krokami, gładzi mnie po ramieniu, mówiąc: „Opanuj się”.

I opanowywałem się. Łzy wylewane w ciemnościach i samotności przeplatały się z przysięgami, decyzjami i postanowieniami. Nie czerpałem już radości z życia, nie mogłem znaleźć siły, by dalej żyć. Wszystko się we mnie skończyło. Z rzeczywistością łączyła mnie już tylko litość dla własnych dzieci. Wszystko, w czym uczestniczyłem, wszystkie kontakty z bliźnimi były jedynie powierzchowne i pozorne. Krocząc ulicą, czułem, że brodzę jak uwięziony w sztuczności, a rzeczywistość wszędzie tam, gdzie mnie nie ma, jest piękna i jasna. Każdy list czy pocztówka z dalekich stron doprowadzała mnie do szaleństwa. Były listy z Peru, Argentyny, Kanady,

Egiptu i jeden Stwórca wie skąd jeszcze. Dwie ulice dalej stara Żydówka mieszkająca w jednopokojowym mieszkanku pełnym korników miała brata w Meksyku. Syn greckiego sklepikarza mieszkał w Egipcie; jego kuzyn był nauczycielem w Chicago. I ja otrzymywałem listy od tych wszystkich ludzi. Gdy patrzyłem na te koperty, oczy same mi się przymykały, byłem gdzieś indziej, stawałem się kimś innym. Chciałem natychmiast wstać i biec, uciec, zostawić wszystko.

Żeby tego dokonać i wyjść poza własne przyzwyczajenia, musiałbym być zupełnie innym człowiekiem. Musiałbym umieć biec, ruszyć się, pragnąć i mieć odwagę te pragnienia gonić. A to nie dla mnie. Byłem bezwolnym cieniem. Cieniem, który podąża za człowiekiem, cieniem, który ledwie musnął jego ramię, cieniem otoczonym przez dzieci, które były niczym dwa małe, wijące się na podłodze, śmiejące i płaczące bezbronne kocięta. Śmiałem się, gdy ktoś mówił „Śmiej się”, płakałem, mówiłem, gdy ktoś nakazał, interesowałem się tym jedynie, co mi prezentowano jako godne uwagi, a gdy nie patrzono mi w twarz, przestawałem w ogóle istnieć.

W tym stanie chodziłem do kawiarni po to, by przebywać wśród ludzi, którzy żyją inaczej niż ja, nie są zależni od spojrzeń innych. Przy nich żyłem, myślałem, istniałem.

Zresztą może to nie była do końca prawda. Może chodziło o coś innego. Nawet nie bardzo lubiłem klientów kawiarni. Czułem się wśród nich jak emigrant. Jakbym zszedł z gór, targany wichrem i zmarznięty na kość, i przysiadł na chwilę pośród ludzkiego mrowia w ciepłe, pośród mocnego zapachu parującej herbaty i kawy, w lokalu przypominającym stajnię i zajazd jednocześnie. Wówczas przez chwilę czułem się szczęśliwy. Bez wątpienia mogłem zatopić się w bezpiecznym środowisku i przetrwać, ocaleć nawet mimo przytłaczającej rozpacz, mogłem z czasem dojść do wniosku, że czuję się tu dobrze, pośród tych niezrównanych ludzi, i nawet z czasem poddać się tej otaczającej mnie atmosferze. Zacząłem nawet mówić: „Ach, cóż za piękne życie. Spokojne i szczęśliwe... Cóż za wspaniali ludzie!”.

Mogłem tak żyć do czasu, aż poważna choroba przykuła Ahmeda do łóżka. Wówczas się nieco otrząsnąłem. Paraliżował mnie strach i z wolna przyzwyczajałem się do myśli, że jego także stracę.

W owym czasie doktor Ramiz kończył projekt naukowy, nad którym pracował ostatnie sześć lat, i udało mu się otworzyć Towarzystwo Psychoanalityczne. Spośród dwudziestu jeden członków tylko on jeden miał wy-

kształcenie medyczne. Najciekawsze było to, że ja sam byłem członkiem tego Towarzystwa, i to w randze dyrektora. Muszę przyznać, że do czasu objęcia funkcji wicedyrektora Instytutu Regulacji Zegarów nie byłem całkiem niedoświadczony w pracy na stanowiskach kierowniczych. Prócz tego w owym czasie byłem także księgowym w Klubie Spirytystycznym. Klucz do jednopokojowego apartamentu, który od lat wynajmował doktor, a który obecnie stał się siedzibą Towarzystwa, spoczywał od tej pory w kieszeni mojej kamizelki. Dwa razy miałem okazję otwierać podwoje przybytku podczas konferencji, a raz dla samego doktora. Podczas uroczystej konferencji doktor Ramiz przedstawił mnie jako pierwszego w Turcji zdiagnozowanego i wyleczonego za pomocą metod psychoanalitycznych pacjenta, okraszając swój wywód historiami jeżącymi włos na głowie. Właśnie dzięki temu zwróciłem na siebie uwagę mojej drugiej żony, Pakize. Podczas drugiego spotkania doktor wygłosił odczyt swojego siedemdziesięciostronicowego dzieła na temat interpretacji marzeń sennych.

Nadeszło lato. Przez otwarte okna wpadał do pomieszczenia ciepły powiew wiatru, falował i opalał twarze. Wraz ze słowami prelegenta przenosił nas do innej rzeczywistości. Nad głowami słuchaczy latała pszczoła, bucząc jak silnik na ropę, kłuła raz po raz blaszane postery. Odgłosy wydawane przez owada mieszały się ze słowami doktora.

Pan Asaf zajął miejsce w drugim rzędzie i niemal od razu zapadł w sen. Ja jako honorowy dyrektor usiadłem na krześle o stopień niżej od doktora Ramiza, grzecznie złożywszy dłonie na kolanach, próbując ukryć dziury w butach – podobno tak się to robi w Europie. Wspominam o tym, mając na myśli pełnioną przeze mnie funkcję dyrektora, nie podarte buty. Pan Asaf oparł się o poręcz dwu krzeseł, które okupował, i wbił wzrok w szyję kobiety, która siedziała w rzędzie przed nim, a na głowie miała cudaczny kapelusz. Po chwili twarz naszego przyjaciela znikła za tym kapelusikiem, a tysiące anielskich skrzydełek rozpoczęły miękkie wachlowanie, wydając smaczne pomruki. Gdy prelegent przeszedł do trzeciego rozdziału, pewien młody poeta został porwany wraz z ciepłym podmuchem w daleką podróż przez żaglowiec snu, którego łopot żagli mieszał się z trzepotem skrzydełek aniołków pana Asafa i bzyczeniem pszczoły. Słyszeliśmy, jak trzeszczą liny ożaglowania, jak kłębią się ciemne bałwany w jego ustach, rozpoczyna się śmiały atak, płoną pokłady. Z tej sytuacji skorzystała także na oko może czterdziestoletnia kobieta siedząca w ostatnim rzędzie, któ-

ra najwyraźniej przechowywała po kieszeniach tuzin małych kaczuszek, które rozbiegły się, wtapiając się ze swoim kwakaniem w rosnącą kaskadę. Jegomość obok niej przyłączył się i zmienił w opróżnianą wannę.

Na początku dziesiątej strony elaboratu, nie licząc tych, którzy opuścili salkę, by iść przespać się w lepszych warunkach, drzemali już wszyscy. Każdy znalazł dla siebie dźwiękową niszę i najlepsze ułożenie.

Doktor Ramiz jak mógł walczył z tą zbiorową zdradą. Nigdy wcześniej nie widziałem go tak zdecydowanego i bohatercko walczącego o zwycięstwo. Jego głos jak ryk lwa przebijał szemranie skrzydełek produkowane przez pana Asafa, atakował niespodziewanie to jedną, to drugą część sali, ginał w sennych oparach, przedzierał się przez nie, to znów dawał się strawić.

Twarz miał zlaną potem, machał rękami, jakby próbował rozgonić potężne chrapanie wydobywające się z ponad dwudziestu gardeł, rzucał ostre słowa, które batożyły niewdzięczników to z lewa, to z prawa, rozwijając się niczym węże strażackie. Ale cóż mógł poradzić jeden człowiek wobec tak doświadczonego, podstępного, zmiennego i uciekającego wroga? Wroga, co w jednej chwili zanika, za chwilę budzi się w pospiesznym kwakaniu kaczątek, przelewającą się w rurach wodą, syczącym węzłem, zmianą biegów w ciężarówce na stoku czy zgrzycie kolejowego wypadku. Głos doktora Ramiza, zawsze donośny i czysty, napotykał te wszystkie przeszkody, zmieniał się i przechodząc w błaganie, groźbę, obietnicę, uświadamiał nam najdziwniejsze prawdy ludowe i tworzył nieoczekiwane reguły. W tym czasie ja siedziałem z rękami ułożonymi na kolanach i własnoręcznie otwierałem opadające powieki; szczerze podziwiałem zaprawdę, odwagę i upór doktora.

– A gdy połowica ujrzy we śnie swoim szaleńca, jest to ze wszech miar omen zły i winna ona żal okazać i prosić o wybaczenie...

Młoda kobieta siedząca w trzecim rzędzie, której dotąd nie dostrzegłem, pogrążona w głębokim śnie, wydała głośnie „Och” i przeciągnęła się. Doktor Ramiz, widząc w tym nadzieję dla swego dzieła, jeszcze bardziej podniósł głos, kontynuując:

– I jeśli w widzie tym szaleńcem jest mężczyzna i jeśli jest nagi, to dopuści się zdrady, chronić ją trzeba i pilnować...

Szyja czterdziestoletniej pani zmieniła się w turkawkę i zaczęła świergotać; na moment zanikło kwakanie kaczątek. Prelegent, nic sobie z tego nie robiąc, przemawiał dalej.

– Gdy zaś mąż ujrzy siebie pośród grupy, do której pasuje, to jest to dobry znak, będzie postępować podług swojej woli i nikomu nie musi się tłumaczyć.

Wyrzekłszy te słowa, doktor Ramiz poczuł niechybnie ukojenie, bo głowa opadła mu na pierś i pogrążył się w śnie sprawiedliwego.

8

Gdy się pobieraliśmy, Pakize nie była jeszcze chora na tarczycę, więc i charakter miała znośny, i nie była przesadnie nerwowa. Nie miała pojęcia, czym jest życie, była wesoła i otwarta. Jej rodzice jeszcze żyli. Nikt by zresztą nie pomyślał nawet o ich odejściu, tak dobrze się trzymali. Rodzeństwo mojej nowej żony nie zamierzało się do nas wprowadzać. Mało tego: moja starsza szwagierka nie odkryła jeszcze w sobie talentu muzycznego, a młodsza, że ma szansę zostać królową piękności. Ja nie zrezygnowałem jeszcze z pracy na poczcie, do czego nakłonił mnie pan Cemal, którego znałem z Klubu Spirytystycznego, i nie objąłem jeszcze posady urzędnika w Banku Spraw Różnorodnych. W ręku miałem stałą posadę i jako tako zabezpieczony byt. I jeszcze nie byłem zakochany w pani Selmie. Nic z powyższych rzeczy jeszcze się nie wydarzyło. Dlatego pierwszy rok małżeństwa spędziliśmy w pełni szczęścia, pod życzliwym spojrzeniem stojącego w rogu salonu „Świętego”. To było zupełnie inne życie niż z Emine. Moja druga żona w niczym nie przypominała pierwszej. Nie było w niej tego spokoju, szczerości i wspaniałomyślności, a przede wszystkim Pakize nie była tak ładna. Ale była młoda, radosna i żyła własnym życiem. Uwielbiała kino. Biały ekran dawał jej całkowite ukojenie, zapomnienie, edukował i stanowił rozrywkę. Historie, które oglądała w kinie, nie opuszczały jej i w życiu codziennym. Rzeczywistość postrzegała przez pryzmat filmu.

Pewnego dnia ze śmiertelną powagą oświadczyła mi, że już nie jest w stanie tańczyć flamenco tak jak dawniej. Był niedzielny poranek, drugi rok naszego małżeństwa, a ona wylegiwała się w łóżku z rozrzuconymi na poduszce włosami, oczekując, że podniesie ją jakiś niewidzialny dźwig. Ja stałem w oknie, rozmyślając nad tym, jak piękne musi być życie człowieka, który trafia na żonę zainteresowaną zrobieniem rano śniadania.

– Hayri! – zawołała. – Chyba zapomniałam, jak się tańczy flamenco!

Wiedziałem, że Pakize lubi taniec. Ale nie miałem pojęcia, że tańczyła flamenco. Zresztą trudno by oczekiwać tego od osoby, która nie patrzyła pod nogi i nie umiała nawet dobrze chodzić.

– O co ci chodzi? Co to za pomysł z tym tańcem? – zapytałem zaskoczony.

– No, wczoraj spróbowałam, ale mi się nie udało. Czy to możliwe, by człowiek zapomniał tak szybko coś, czego się nauczył w trzy dni za ledwie?

– Nie wiedziałem, że tańczysz flamenco.

– Ależ kochanie, nie pamiętasz, jak wczoraj tańczyłam? Bardzo ci się podobało. W kasynie... wszyscy klaskali, a potem przyszedł ten policjant...

Od początku małżeństwa nie byliśmy nigdzie indziej niż w kinie. Zorientowałem się, że moja żona utożsamia się całkowicie z aktorką, Janette MacDonald. Kilka dni później szukała swojego czerwonego szlafroka, a nie znalazłszy ani jego, ani mojej kurtki do konnej jazdy, popadła w rozpacz. Innego dnia witała mnie w progu, rzucając mi się na szyję, i delikatnie strofowała, że wcale na siebie nie uważam.

W sobie widziała Janette lub Rosalind Russel, a we mnie czasem Charlesa Boyera, a czasem Clarka Gable'a bądź Williama Powella. Gdy zdarzyło jej się porównać córkę sąsiadów do Marty Eggerth, już następnego dnia wołała z okna:

– Marto, dokąd tak pędzisz?

Ktoś, kto nigdy nie ożenił się z tego typu kobietą, nie zrozumie, o czym mówię.

Sytuacja momentami była nie do zniesienia, choć trudno było nie dostrzec jej zabawnych stron. Pakize, całkowicie pochłonięta kinem, nie dostrzegała niedoskonałości w naszym codziennym życiu. Odprutych guzików w moich marynarkach się nie przyszywało, ponieważ miałem jeszcze ze trzydzieści garniturów, jak Adolphe Menjou. Podobnie były traktowane moje poprzecierane łokcie. Nasze były pałace, ogrody i kosztowności oraz grono szacownych przyjaciół z filmów, które oglądała. Dlatego nie miało znaczenia, co jadamy na kolację i czy w ogóle jest coś do jedzenia. Podsumowując, były to jej klucze do wolności, do ucieczki. Nie mogłem nie myśleć o tym w ten sposób. Co się w niej popsulo do tego stopnia, że stawała się coraz bardziej infantylna? Coś musiało się zdarzyć, coś musiało być powodem takiego stanu rzeczy. Pewnego razu całą noc nie mogłem spać z powodu południowych wiatrów. Rano powiedziałem żonie,

że muszę przespać się ze dwadzieścia minut. Za godzinę mieli przyjść do nas sąsiedzi, by razem wybrać się na piknik. Stwierdziła, że na pewno się nie obudzę na czas. Zapewniałem, że z pewnością mi się to uda. Zanim sąsiedzi do nas przyszli, obudziłem się po piętnastu czy dwudziestu minutach, a to z powodu włączonego na cały regulator radia. Żona bardzo się zdziwiła, a ja na to, sam nie wiem skąd taką wiedzę posiadłszy, że to normalne i Napoleon zawsze tak robił. I stało się. Dostrzegłem w jej oku niebezpieczny błysk. Od tej pory utożsamiała mnie z Napoleonem. Nie-wiele o nim wiedziała, ale za to świetnie знаła mnie. Zajadając na pikniku faszerowane papryką liście winogron pod sosnami w dzielnicy Heybeli, opowiadała o zwyczajach wielkiego wodza, jak uwielbiał filmy o kowbojach, sypiał na prawym boku, a nad ranem strasznie chrapał. To był dopiero pierwszy rozdział. W kolejnym, po trzech, czterech dniach następowały opisy mnie samego. Ze strychu został ściągnięty mój stary mundur rezerwisty, wyprasowany i odświeżony zawisł na ścianie najpierw w sypialni, potem w pokoju gościnnym. Następnego dnia kazała mi się w niego ubrać, obawiając się, że zapomnę, kim byłem. Niech się Najwyższy zmiłuje nade mną, ale wyczyniając te swoje wariactwa, była naprawdę piękna. Jej blond twarzyczka stawała się jeszcze słodsza. Na koniec przyszła kolej na ceremonię koronacji. Strasznie jej było śpieszno. To były rozdziały numer dwa i trzy. Z czasem odkryła, że jest Josephine Beauharnais, i adoptowała moje dzieci z pierwszego małżeństwa. Tak, dzieci moje i Emine stały się jej, zaś ja dla nich ojczymem. Może się to komuś wydać śmieszne, bo chyba trudno sobie nawet wyobrazić, jak bardzo komplikowało to moje życie. Z Pakize zdecydowanie było coś nie tak. Ale zdałem sobie z tego sprawę za późno, już wówczas, gdy dzieliłem z nią łóżko i życie. Nie da się ukryć, że sama Pakize była powodem, dla którego tak szaleńczo zakochałem się w pani Selmie, dlaczego poddałem się woli pana Cemala.

Sytuacja zmieniła się nieco, gdy jedno po drugim zmarli moi teściowie. Gdy siostry mojej żony wprowadziły się do nas, sama Pakize zesłała nieco na ziemię. Ale jak to z nią bywało, niczego nie dało się do końca przewidzieć. Siostry stały się teraz centrum naszego życia rodzinnego, a ja i dzieci zostaliśmy zepchnięci na drugi, a nawet trzeci plan. Pakize tak intensywnie użalała się nad losem tych dwóch sierot: trzydziestopięcioletniej i dwudziestoosmioletniej, że w efekcie ja z dziećmi zasługiwaliśmy na współczucie. Sytuacja pogarszała się w szybkim tempie aż do czasu, gdy los

zetknął mnie z Halitem Regulatorem. Czułem się, jakbym był spuszcza-
ny do bezdennej studni, z każdym metrem coraz ciemniejszej. Najpierw
jednak muszę opowiedzieć o Klubie Spirytystycznym.

9

Stowarzyszenie to w niczym nie przypominało Towarzystwa Psycho-
analitycznego. Było radosne i mniej poważne. Pozwalało nam żartować,
dyskutować bez końca i dzielić się doświadczeniami. Co trzy dni były
obwieszczane wnioski z posiedzeń, przemyślenia i odezwy o wysoce wysu-
blimowanej formie i niepoślednim poziomie intelektualnym. Ciekawostką
było to, że w spotkaniach uczestniczyły w większości kobiety. Prócz zawo-
dowych mediów siedem czy osiem pań regularnie uczęszczało na posiedze-
nia Klubu. Ja zostałem mianowany głównym księgowym, toteż codziennie
po pracy zaglądałem do siedziby Klubu, zbierałem składki i notowałem
wszystko skrupulatnie w kajecie. Wówczas to, w tych obfitujących w nie-
zwykłe wydarzenia czasach, napotkałem na swej drodze pana Cemala.

Był to ostatni człowiek, jaki powinien był wstąpić w szeregi klubo-
wiczów. Takie towarzystwa służą głównie spędzaniu czasu na udawa-
niu, umilaniu sobie spotkań niestworzonymi historiami. Pan Cemal nie
czerpał najmniejszej przyjemności z takiego nurzania się w zbiorowym
kłamstwie. Według niego poświadczanie nieprawdy było bronią w rękach
jednostki służącą do obrony bądź też wynalazkiem mającym nieco uprzy-
jemnić codzienną jej egzystencję. Nie był zainteresowany przyłączeniem
się do naszych wymysłów. Człowiek ten, który pozwalał sobie na wszyst-
ko, nie był w stanie wybaczyć bliźniemu najdrobniejszej słabości ani tym
bardziej dać przyzwolenia na uprawianie oczywistej blagi. Za każdym ra-
zem i w każdy możliwy sposób psuł nam zabawę. Dlatego też nie zrobił
kariery w polityce.

Mimo to przychodził na spotkania, przysłuchiwał się rozmowom
i seansom z uśmiechem i politowania, a następnie objaśniał wszystkim,
na czym polegają śmieszności niedoskonałości naszych działań. Niewąt-
pliwie był zainteresowany tajnikami ludzkiej duszy i czerpał z naszych
seansów przyjemność. I poza wszystkim podkochiwał się w pani Nevzat,
członkini naszego klubu.

Gdyby nie ona, być może nie zbliżyłby się do nas na krok. Kobieta, którą się zainteresował, była młoda i ładna. Po śmierci męża zamknęła na głucho wrota swojego życia seksualnego. Mieszkała w dzielnicy Şişli wraz ze starą teściową, zaczytywała się w literaturze spirytystycznej i żyła tylko seansami. Taki tryb życia fatalnie wpływał na jej zdrowie. Uskarżała się na ciągle migreny i bezsenność.

Niewyspanie było rzeczą dość oczywistą w sytuacji, gdy całe noce przesiadywała przy stole spirytystycznym; drugim powodem był niejaki Murat. Był to duch, który przyzwyczał się do stołu, przy którym odprawiała seanse. Gdziekolwiek stanęła bądź położyła dłoń, natychmiast się zjawiał, mył okna i czyścił dywany, zmieniał miejsce przedmiotów i układał książki na półkach. Jeżeli uznał, że którejś nie powinna czytać, wówczas ją niszczył. O tym, że podarł na strzępy romansik, który pożyczył pani Nevzat nasz znajomy Cemal, dowiedzieliśmy się wszyscy już następnego dnia. A robiąc to wszystko, niezwykle przy tym hałasował. Pewną trudność sprawiało nam rozpoznanie prawdziwej tożsamości Murata. Przyciśnięty podczas seansu okazywał się zmarłym przed dziesięciu laty nauczycielem matematyki z Adany. Innym razem przedstawiał się jako żołnierz poległy podczas wojny krymskiej lub inżynier, stary znajomy zmarłego męża pani Nevzat, oficera Sezai. Tylko imię mu się nie zmieniało i jakkolwiek postać obecnie przybierał, ten wierny, fachowy i w najwyższym stopniu oddany zasadom moralnym duch zawsze był bardzo autorytarny i pewny siebie. „Przestańcie myśleć o takich rzeczach!” – strofował.

W okresie, gdy pani Nevzat nie posiadała żadnej służącej, Murat ją chronił, pomagał w życiu codziennym, wszyscy wiedzieliśmy, że otwierał przed nią drzwi, zanim zdążyła wyciągnąć klucze z torebki. Mówiło się, że czynił tak również, gdy przychodzili goście. Dlatego bałem się niezmiernie, gdy zanosilem jej kompasy i inne małe prezenciki od pana Cemala. Pani Nevzat wyglądała na zadowoloną i chyba chwaliła sobie taki stan rzeczy. Czasem wychodziła z domu, nie zabierając klucza. Pewnego wieczoru po balu zastała podwoje zamknięte na głucho. Nie wiele myśląc, kobiecina stwierdziła: „Jakim prawem jest tak zazdrosny? Dlaczego nie daje mi prawa do wolności, i to po tylu latach?”. Wśród przyjaciół mówiło się, że rozmawia z Muratem przez telefon. Podawano nawet dokładną treść rozmowy, która ulegała zmianie w zależności od osoby opowiadacza.

– To był taki przytłumiony głos... jakby z bardzo daleka. Jakby przebijął się przez gęstą mgłę. Słowa były niewyraźne, ale słyszalne. Właściwie nie tyle słyszałam, co odnajdowałam je w sobie. I był taki smutny. Tylko zmarli mówią w tak nieczuły sposób.

Była to relacja przyniesiona do naszej kawiarni przez pewnego młodego poetę, który wiódł prym w naszym Klubie.

– To coś między jasnym sposobem myślenia a słyszeniem... – dodał.

Gdy spytałem: „Czy pani Nevzat jest w domu?“, usłyszałem odpowiedź: „W domu, ale proszę nie przychodzić, bardzo źle się czuje”.

Bogaty kupiec, pan Şuayıp, przekazał nam nieco inną historię:

– Gdy podniosłem słuchawkę, to pierwszy raz w życiu usłyszałem to, co nazywają głuchą ciszą. Ale to nie taka cisza, jaką znamy, to było zupełnie coś innego. Potem ktoś głucho zapytał: „Kim jesteeees?”. Podałem swoje imię, a potem chciałem zapytać o książkę, którą miała mi pożyczyć pani Nevzat. Tajemniczy głos kazał mi natychmiast przestać i wracać do domu. Powiedział, że moja żona uległa wypadkowi i mam niezwłocznie biec do niej. Spytałem o imię, powiedział „Murat”. Głos miał karcący.

Z relacji pana Şuayıpa wynikało, że w tym właśnie czasie jego żona spadła ze schodów.

Duch Murata był stale obecny w naszym życiu, wszystko o nas wiedział, napominał i ostrzegał. Trzy tygodnie później adwokat, pan Nail, dodał do kolekcji kolejną twarz Murata.

– To było naprawdę dziwne. Najpierw usłyszałem straszny hałas. Dzwony, dzwonki i gwizdki, jakby nastąpił dzień Sądu Ostatecznego. Potem głos: „To nie tu!”. Rzuciłem słuchawkę, ale za chwilę znów podniosłem, tak po prostu, i wszystko się powtórzyło. I ten głos: „Nie rozumiesz, mój drogi? Pani nie podejdzie. Jest zajęta”. A ja na to: „Dobrze, ale ja muszę porozmawiać o mieszkaniu, to bardzo ważne”, a on w odpowiedzi: „Nie znasz jej? Wszak nie podejdzie, gdy jest zajęta. Teraz rozmawia z duchami. Proszę się nie upierać!”. W jego głosie można było wyczuć rozdrażnienie. „A ty kim jesteś?” – ja mu na to. „Nie poznajesz? Murat...” – słyszę w odpowiedzi. Podczas całej tej wymiany zdań dzwonki, dzwony i gwizdki ani na chwilę nie ustawały.

Jedynie pan Cemal i ja nigdy nie mieliśmy przyjemności rozmawiać z Muratem przez telefon czy też natknąć się na jego obecność w aparta-

mencie w dzielnicy Şişli. Szczerze powiedziawszy, wcale się z tego powodu nie uskarżam.

Gdyby nie spotkanie z panem Cemalem Klub Spirytystyczny bez przeszkód dostarczałby mi nie lada rozrywki i pewnie nigdy bym z niego nie odszedł. Któż nie lubi poczuć czasami dreszczyku wzdłuż kręgosłupa?

Niestety, pojawił się pan Cemal i, to drugie niestety, ja byłem człowiekiem bardzo uległym. Przede wszystkim nie byłem w tak dobrej sytuacji materialnej, by odrzucić najdrobniejsze nawet propozycje pracy dorywczej. Przy tym pan Cemal polubił mnie od pierwszych dni. Na początku zadziwił go mój nadzwyczaj skromny ubiór. W dalszej kolejności ocenił moją osobowość jako bardzo komiczną i kuriozalną. Potrafił powiedzieć mi w twarz: „Czyli taki to człowiek się trafił” i zaraz potem wykorzystywał mnie do swych osobistych celów. I tak już było do końca. Gdy tylko wchodził i jego wzrok spoczął na mnie, przypominał sobie o bardzo ważnej sprawie do załatwienia. Zaczynał niezwykle uprzejmie: „Czy nie byłoby możliwe, bym...”, a kończył, niemal deptając mi po twarzy. Rozmowa z nim, sama w sobie, była dość dziwaczna. To, co ludzie powtarzają, w jego ustach było obelgą.

– Jutro o jedenastej... Nie zapomnicie, prawda? O jedenastej, tak, dokładnie o jedenastej, czy pan zrozumiał? O jedenastej...

A każde wypowiedziane przez niego słowo było jak scyzoryk wrzynający się w drewnianą belkę, ostre, dobitne i kłujące, powodujące ból i zawrót głowy. Sam nie zauważałem, jak zaciskałem dłonie w pięści, gdy oczy przesłaniała mi mgła wściekłości. Rozbić tę szczękę i okrągłe policzki wysmarowane kremami, zmierzwić wyregulowane brwi, roztrzaskać jak popsutą płytę gramofonu! Pół życia bym oddał, by się na to zdobyć. I wtedy pojawiała się pani Selma: piękna i gibka, o figurze składającej się ze zgrabnych łuków i załamań; o spojrzeniu pełnym ekspresji i klasy; rotaczała w powietrzu słodki, dźwięczny śmiech, który pobrzmiwał w mych uszach jak słodka zapowiedź niewysłowionego szczęścia – nagrody za cierpliwość. Wtedy mogłem się opanować.

– Tak jest, do usług szanownego pana.

Z najdrobniejszymi szczegółami podawał mi adresy krawców, szewców i innych sklepów, do których mam wstąpić, oraz towarów, które pomogę przeladować w porcie bądź które sam poprzenoszę. Wtedy byłem na skraju wyczerpania i dławiłem się wręcz złością. I nie wystarczyło za-

pisać mi tych wszystkich imion, nazw i adresów. Trzeba było mnie jeszcze przekonać, po setce powtórzeń, że się dokładnie zrozumiało słyszane słowa. Zgadzałem się na to wszystko, żyjąc nadzieją, że uda mi się jeszcze raz zobaczyć piękną Selmę. Mogłem rzucać jej porozumiewawcze spojrzenia, chwytając błyski rozbawienia w jej oku, gdy robiłem miny, mówiąc wzrokiem mniej więcej: „Proszę spojrzeć, ile ja znoszę od tego typka. Ale proszę się nie przejmować. Ja czerpię z tego tyle przyjemności, że...”. Czy ktoś mógł dostrzec mój strach kryjący się za uśmiechem? Nerwowe spojrzenia w bok? Nawet gdyby oświetlić mnie całego latarnią, nikt nie miał najmniejszych szans dostrzec zmian na mojej twarzy w obecności pewnego siebie i autorytarnego szanownego pana, od którego bił blask nieuprzejmości, nieprzystępności, okrucieństwa i mocy, który na wszystko patrzył z wysokości wieży strażackiej.

Pan Cemal był wyjątkowo antypatycznym człowiekiem. Nie było w nim nic, co pozwalałoby go polubić lub choć przez chwilę pomyśleć o nim cieplej. Jego przyjaźń była gorsza niż pozostanie niezauważonym. Ilekroć brał mnie pod rękę, by szepnąć mi do ucha słowa, które tylko ja miałem usłyszeć, całego mnie przechodził nieprzyjemny dreszcz. Wszyscy z naszego otoczenia podzielali moje odczucia wobec tego człowieka. Gdy się pojawiał, pan Şuayıp zabierał rękę z kanapy, na której siadał Cemal. Adwokat, pan Nail, wręcz odskakiwał. Mimo to wszyscy z nim siedzieli i gwarzyli, obserwowali go i poważali, czuli się przy nim onieśmieleni i starali się jak najlepiej wypaść. W tym człowieku było coś, co spotyka się u zimnych, niebezpiecznych zwierząt, które polując, potrafią zahipnotyzować ofiarę i uniemożliwić jej zerwanie się do ucieczki. Posiadając tę dziwną moc, z pewnością mógł wyrządzić wiele złego. Ale jak się później okazało, także on miał pewną słabość. Natura, jakby chroniąc otoczenie tego człowieka przed ewentualnymi szkodami, jakie mógł on wyrządzić, nie dopuszczała, by trafnie wybrał cel i miał okazję zebrać siły do ataku.

Im dłużej przebywałem w towarzystwie tego człowieka, tym lepiej poznawałem tę magiczną aurę, jaką roztaczał wokół siebie. Był jak wąż paralizujący wzrokiem i czyniący ofiarę niezdolną do ruchu czy protestu. Pewnego dnia krawiec, któremu zanosilem ubrania Cemala, spojrzął na mnie, pokazał palcem pozycję na rachunku i rzekł z ledwo skrywaną złością:

– Te dwieście lir oddałem nie dalej jak wczoraj!

– Potem wyrwał mi rachunek z ręki i jak opętany chwilowym szaleństwem podarł karteczkę na strzępy. Wracalem do domu szefa z dodatkowymi garniturami i koszulami, nie mogąc się nadziwić jak niejeden poważny rzemieślnik dał się tak zawstydzić czy zastraszyć, że kulił ramiona, prosząc o przekazanie przeprosin. Biedny właściciel kamienicy, który postanowił w końcu odzyskać należności z ostatnich bodaj dwóch lat, został zmuszony do oszklenia balkonu oraz wymiany płytek fajansowych, które nie pasują do wystroju garderoby szanownej pani. Nie był w stanie oprzeć się sile twardego charakteru pana Cemala.

Jedyną osobą, która nic sobie nie robiła z autorytetu pana Cemala, była niejaka mademoiselle Afrodyta, członkini naszego Klubu. Kobietka o napiętej twarzy, która za każdym razem gdy tylko otwierała usta, by wyrzec słowo, iskrzyła porażającą bielą trzydziestu dwóch zębów, rzucała głębokie spojrzenia spod długich rzęs, przemawiała twardym, przywodzącym na myśl ostrą musztardę, a odziedziczonym po swym ojcu Włochu, ale jednak słodkim głosem, który powodował ścisk gardła u słuchaczy. Jej ruchy były dość sztywne, a dłonie oplatały człowieka niczym sieć pajęcza, a przy tym wszystkim była przyjazna i nad wyraz atrakcyjna, była uosobieniem gotowej do ataku kobiecości. Wszystko w jej ciele, ruchach, sposobie bycia było mieszaniną rozkazu i natchnienia; było też prezentem, którego nie mogąc ofiarować, uschłaby z żalu. Gdy pojawiał się pan Cemal, przeciągała dłonią po jego policzku i udając, że się sparzyła, uciekała, krzycząc wniebogłosy, zamykała się w moim gabinecie. Zza zamkniętych drzwi dochodził nas jej dźwięczny, musztardowy śmiech. Nikt nie dał się nabrać na ten niewyszukany żart. Wszyscy doskonale wiedzieliśmy, co próbowała ukryć i że na widok tego mężczyzny wzdragala się, z trudem znosząc jego przykrą obecność. Będąc między nami, wcale tego nie kryła.

– Co ja poradzę, nie jestem w stanie go znieść. Jest coś bardzo niedobrego w tym człowieku. Ale nie wiem co.

Pan Cemal udawał, że nie rozumie prawdziwej przyczyny leżącej u podstaw tych scen. Zawsze uprzejmy, zawsze patrzący z góry mawiał:

– Cóż, nie ma takiej rzeczy, której nie można by wybaczyć młodości i urodzie. Nic nie poradzi, biedaczka, że po prostu brak jej ogłady.

Prawdą było jednak to, że dziwne zachowanie Afrodyty wybijało go nieco z rytmu i potrafiło zachwiać na moment pewnością siebie, której na

co dzień używał jak tarczy. A pan Cemal był poważanym człowiekiem. Pielęgnował to poważanie i miał je zawsze pod ręką, jak bogacz automobil, jak policjant broń, jak dozorca gwizdek, gotów zrobić z niego użytek, gdy tylko zachodziła taka potrzeba. Nie zauważywszy owego poważania, nie natknąwszy się na nie bądź nie doznawszy z jego strony przykrości, nie było sposobu na nawiązanie kontaktu z panem Cemalem.

Mademoiselle Afrodyta w wieku dwudziestu lat przesiedziała wiele wieczorów przy łóżku chorej matki. Wzięła do ręki ołówek i bezmyślnie zaczęła coś pisać, łamane zdania, urwane słowa, zawijasy, wzory bez znaczenia. Kolejnego wieczoru o tej samej porze co poprzednio poczuła silną potrzebę wzięcia ołówka do ręki. Po raz kolejny zaczęła wypisywać mało gramatyczne, chaotyczne zdania, jednak pewne zdanie zwróciło jej uwagę. „Zmieńcie lekarza” – napisane było pośród plątaniny słów. Zwierzyła się przyjaciółce i za jej namową faktycznie zawezwała innego lekarza. To uratowało matce życie.

Od tego czasu częściej brała ołówek do ręki i oddawała się bezwolnemu pisaniu. Z początku były to urywane zdania i wieloznaczne słowa. Z czasem nabierały one więcej sensu i łatwiej było odczytać znaczenie. Doszło do tego, że potrafiła podać szczegółowe informacje na temat osoby, miejsca, zdarzenia, coś przewidzieć i ostrzec, kogo trzeba. Najczęściej efekty pisma bezwolnego w wykonaniu Afrodyty były kompletnie nieczytelne. Z czasem wieść o jej nadnaturalnych zdolnościach rozeszła się wśród znajomych i po kilku udanych sesjach mademoiselle Afrodyta przedstawiała się wszędzie jako medium. W środku nocy wstawiała z łóżka, jakby ściągana przez niewidzialną siłę, której nie mogła się oprzeć, siadała przy stoliku i całymi godzinami pisała niezrozumiałe zdania i zbitki słów. Zappełniała całe strony słowami i liczbami, z których najczęściej powtarzały się 17 i 153. Słowa pochodziły z języka greckiego, włoskiego, francuskiego i tureckiego. Ojciec kobiety był genueńczykiem, który w młodości, ratując własną skórę, uciekł do Izmiru, potem przeniósł się do Stambułu i ożeniwszy się z grecką dziewczyną, osiadł tu na stałe. Był zdolnym tenorem i złotnikiem. Otworzył mały sklepik na Tünelu i w niedługim czasie zgromadził pokaźny majątek. Pomimo upływu czasu i zmiany nazwiska nie czuł się bezpiecznie, lecz zawsze jak zaszczuty uciekinier, i być może dlatego zerwał wszystkie związki z rodziną. Gdy więc zmarł w 1915 roku, wiadano o nim tyle, że pochodził z Genui, miał tam gdzieś matkę, ojca

i młodszą siostrę. Po jego śmierci wspólnik i szwagier jednocześnie przejął i rozwinął interes tak, że z małego stoiska stał się on okazałym sklepem, ale nic nie zostało z jakości wyrobów włoskiego rzemieślnika. Wielkie przedsiębiorstwo sprowadzało najlepszych fachowców, którzy – jak wieść głosiła – bezustannie poszukiwali stylu prekursora.

Afrodyta wraz z matką pogrzały się w rozmyśleniach na temat krewnych zmarłego, jeśli jeszcze gdzieś żyją. Kobieta skupiła swe zdolności medium na poszukiwaniach odpowiedzi na nurtujące je pytania, godzinami zapisywała kartki papieru drobnym maczkiem, aż w końcu za sprawą tajemniczych mocy udało jej się dotrzeć do informacji, że w 1923 roku zmarła jej ostatnia ciotka, całe życie wyczekująca powrotu brata i jego rodziny. Gdy prawda została odkryta, ciotka na dobre zagościła w życiu mademoiselle.

– Dlaczego nie wracacie do ojczyzny? Dlaczego nie szukacie spadku? Dlaczego nie mieszkanie we własnym domu? Ja nie wyszłam za mąż, nie jadłam, nie piłam, wszystko chowałam dla was. Czemu nie wracacie? – pytała zmarła kuzynka przy każdym objawieniu.

Matka Afrodyty nie wiedziała o swoim mężu nic poza tym, jak się nazywał i że pochodził z Genui; nie mając w ręku żadnego dokumentu, zaczęła poddawać się naciskom z zaświatów i poważnie rozważać przyjęcie osobliwego zaproszenia. Otoczenie mademoiselle także zaczęło doradzać i nakłaniać, aż w końcu matka z córką pod pretekstem odbycia podróży krajoznawczej ruszyły do Włoch. Pozostawała jeszcze kwestia spadku, która miała niejaki wpływ na podjęcie decyzji.

Okazało się, że kuzynka niewiele po sobie zostawiła. Co ciekawe, część pieniędzy i kosztowności znajdowała się w domu pod numerem 17, zaś druga pod numerem 153. Niemal całą sumę Afrodyta z matką wydały na podróż i powrót. Jakkolwiek historia nie zakończyła się zdobyciem oszałamiających bogactw, to na wszystkich zrobiła wrażenie daleka i odważna wyprawa dwu kobiet, która odbyła się w tak niespotykanych okolicznościach. Stara ciotka, pragnąc zachować resztki mająteczku, składającego się głównie z mebli, prowadziła małe pensjonaty oraz dorabiała dzierganiem koronek. Tak więc w skład legatu wchodziła także okazała ilość koronek. Ciotczyne pragnienie zbierania i zachowania majątku ruchomego spowodowało, że nieruchomości pozostawały w opłakanym stanie.

Afrodyta i jej matka postanowiły uszanować wolę zmarłej i nie sprzedały majątku. Nie zostały we Włoszech, bo interesy wymagały pobytu

w Stambule, więc zdecydowały się opuścić ziemię ojca po przeprowadzeniu drobnych napraw w obu budynkach.

Od tej pory duch zmarłej ciotki zniknął. Przestał nawiedzać Afrodytę, nie dał się wywołać przy stole podczas seansów i nie komunikował się już nigdy więcej z Afrodytą, która niestrudzenie zapisywała całe stopy kartek pismem automatycznym. Najprawdopodobniej dusza starej Włoszki wypełniła już swą powinność, przekazała, co miała przekazać młodemu pokoleniu, i z lekkością przypisaną swemu gatunkowi uleciała, oddaliła się, znikła. Trzeba przyznać, że miała do tego pełne prawo. Poświęciła całe życie, by pilnować majątku dla dzieci swego brata, o których nie wiedziała, gdzie mieszkają i ile ich w istocie jest, o ile w ogóle żyją. Zatraciła się w tym poświęceniu, wypatrując ich nadejścia. Swojego życia nie przeżyła.

Po śmierci nie zapomniwała o narzuconym sobie obowiązku, tylko latała to tu, to tam, przeszukując pustkę w nadziei, że gdzieś odnajdzie rodzinę. W końcu trafiła na młodą dziewczynę siedzącą przy łóżku umierającej matki. Udało jej się nawiązać kontakt z Afrodytą. Takie wyjaśnienie i matce, i córce musiało wystarczyć.

Jednak młoda kobieta nie dawała za wygraną i nie porzuciła zwyczaju zapisywania całych stroniec drobnym maczkiem. Przystąpiła do Klubu Spirytystycznego z wielką ochotą i niemal cały czas trwała na posterunku, gotowa na kontakt z duchem ciotki, o ile ta zechce się pojawić. Czuła się przywiązana do swego daru, który wyzwoliła tajemnicza w o l a – w Klubie zmarła ciotka funkcjonowała pod imieniem Wola – której Afrodyta starała się jeszcze raz poddać, i cierpiała niezwykle, nie mogąc wznowić kontaktu z ciotką. Nie zdążyła jej bowiem podziękować i wyrazić, jak przykro było jej i matce, gdy odkryły, jak smutne życie wiodła ich zmarła krewna. Z czasem ten niespełniony, w jej mniemaniu, obowiązek wzbudzał w Afrodycie uczucie będące mieszaniną bólu, żalu, współczucia i gniewu.

– Co mi z tego spadku? Ja mam pieniądze. W imię czego tak się poświęcała i nie wyszła nawet za mąż? Któż wyprawia takie rzeczy? Dobrze, zdecydowała, postąpiła, jak chciała. Ale dlaczego teraz się nie pojawia?

Afrodyta najbardziej pragnęła choć raz mieć okazję podziękować ciotce, powiedzieć, jak bardzo żal jej jest zmarnowanego życia kobiety. Cisza napawała ją niepokojem i rodziła podejrzenia.

– Coś jest nie tak. Albo się na nas obraziła, albo może jej się co przytrafiło złego... – mawiała mademoiselle i roztaczała przed nami wizję za-

gubionej w bezkresnej przestrzeni duszy, która pozbawiona opieki ulega wypadkowi, doznaje szkody i cierpi w samotności.

– Może chciała, byśmy zostały we Włoszech? Ale przecież my pochodzimy stąd. Naszym domem jest Stambuł. Nawet ojciec nie chciał się stąd ruszać. Nasi krewni i przyjaciele tu są, wszyscy... – żaliło się medium.

Ja byłem stałym bywalcem Klubu Spirytystycznego, niemal środkiem trwałym jego siedziby, jako że moja żona i jej siostry stały się w owym czasie zupełnie nie do wytrzymania. Miałem więc okazję obserwować przemiany zachodzące w Afrodycie, dzielić z nią jej duchowe cierpienia i być świadkiem rozwiązania, jakie znalazła dla swojego problemu. Kobieta zaczęła stroić się niemal wyłącznie w koronki po cioci. Brała w palce koniuszek i mawiała:

– Czyż człowiek może być tak obrażony na ukochaną osobę? Czy to możliwe? Z pewnością miała ciężko. Z naszego powodu nigdy nie wyszła za mąż. Zrobiła to dopiero w zaświatach.

Wydawało się, że powoli zaczyna wierzyć w taki stan rzeczy i momentami wydawała się naprawdę szczęśliwa. Wtedy śmiała się w głos, śpiewała i rzucała się w ramiona mężczyzn, którzy się jej spodobali. Afrodyta czuła się winna temu, że jej zmarła krewna nie zakosztowała życia rodzinnego w życiu doczesnym; nie potrafiła inaczej poradzić sobie z tym ciężarem. Według niej bowiem każda kobieta powinna wyjść za mąż, w przeciwnym wypadku dane jest jej jedynie przeżywać tragedię i rozpacz. Dlatego bardzo jej się spodobał przykład mojej ciotki, która wydała się ponownie w jesieni życia.

– Ależ to oczywiste! – mówiła. – Oczywiste, że wyjdzie za mąż... Każdy powinien przeżyć jak najlepiej swoje życie.

Sam fakt, że się na to zdecydowała, miał przyćmić to, że zrobiła to wbrew nam, że jej najbliższa rodzina cierpiała z jej powodu. Afrodyta widziała same podobieństwa między swoją zmarłą kuzynką i moją ciotką, która jak wieść niosła, po śmierci pana Naşita szykowała się właśnie do ponownego zamążpójścia. Dziewczyna obwiniła się bezustannie i przeszła nad swą porażką, jak śródmiejski chłopak, którego kogut został pokonany w walce.

Odkąd skończyła osiemnaście lat, była najbardziej pożądaną w dzielnicy Beyoglu kobietą. Niemal cały Stambuł ją znał. Zapraszano ją na każde przyjęcie i dokądkolwiek poszła, zyskiwała kolejnych adoratorów.

Mimo to, chyba nade wszystko ceniąc swą wolność, nigdy nie wyszła za mąż. Jak ktoś, kto tuż po przebudzeniu nie jest w stanie ruszyć się z łóżka pod wpływem snu, jaki właśnie przeżywał, tak Afrodyta nie umiała porzucić głośnego stylu życia, który wiodła przez wszystkie lata młodości, pomimo tego, że w ciągu ostatnich pięciu lat zaszły w nim zasadnicze zmiany.

W każdym wieku miała na pęczki mężczyzn i każdego z nich obdzielała taką samą szczerą przyjaźnią. Ci, co wpadli w jej sidła, byli jak zaczarowani i niezdolni wydobyć się spod jej uroku. Z czasem jednak ją opuszczali, kobietę niezdającą sobie sprawy z tego, jak silną bronią jest uroda i młodość i że sama nią dysponuje, lub stawali się od niej całkowicie zależni.

Przygody Afrodyty były stałym elementem rozmów w naszym towarzystwie. Jak Murat pani Nevzat, tak też historie związane z dziewczyną towarzyszyły nam zawsze i wszędzie. Gdy wstępowałem do Klubu, widząc w nim okazję do dorobienia kilku dodatkowych lir, byłem przekonany, że całe przedsięwzięcie ma służyć omawianiu spraw związanych z Muratem, rozwiewaniu wątpliwości lub znajdowaniu dowodów na jego obecność.

Pani Sabriye, nasze główne medium, twierdziła, że zna Afrodytę jeszcze z czasów licealnych, choć to rzecz wątpliwa, ponieważ była między nimi różnica około dziesięciu lat. Sabriye, która ewidentnie nie znosiła młodej kobiety, ale uparcie twierdziła, że za nią przepada, opowiadała, jakoby Afrodyta nigdy nie zdradzała zdolności medium i nigdy nim naprawdę nie była. Pewne było jedynie to, że przez kilka lat romansowała z młodym sekretarzem włoskiej ambasady. Ponoć gorący romans wiązał się z nie lada skandalem w tej dzielnicy Stambułu. Cały stambulski korpus dyplomatyczny i powiązani z nim zawodowo i towarzysko obywatele tureccy uznawali młodego sekretarza za wyjątkowo atrakcyjnego, toteż śledzili jego przygodę z zapartym tchem. Sprawy skomplikowały się, gdy młodzieniec został odwołany z placówki. Wówczas to Afrodyta miała podjąć próbę usidlenia dyplomaty, a nawet wydania się za niego. Musiała przekonać matkę do dalekiej podróży, dlatego zrodził się pomysł ze zmarłą krewną i jej zaproszeniem do Włoch. Gdyby nie pałaca potrzeba, to czyż możliwe byłoby tak szybkie załatwienie całej sprawy?

Pani Sabriye wszystkim ze szczegółami wyjaśniała tę historię, poddając w ten sposób w wątpliwość prawdziwość przekazów odebranych z zaświatów przez młodą kobietę. Nikt nie wiedział, jaka w istocie jest prawda. Ale wprowadzone zamieszanie nie podobało się większości członków Klubu. Ponieważ zarówno Murat pani Nevzat, jak i ciotka Afrodyty były istotnymi spoiwami naszej niewielkiej społeczności. Nie było ważne, czy opisane zdarzenia były bajką, ważna była ich żywa obecność. Dzięki nim ożywały pytania na temat istoty śmierci.

Niech ta historia pozostanie taka, jaka była: pełna obietnic, przestróg i rad – opowieść zawężająca ścieżki życia. Pozaziemskie byty przekazujące nam, czasami w bardzo autorytarny sposób, swoje stanowisko, dotykały niemal wyłącznie kwestii metafizycznych. Były obecne niemal cały czas, uczestniczyły aktywnie w naszym życiu, zarówno ciotka Afrodyty, jak i Murat. Można było odnieść wrażenie, że są stałymi członkami naszej społeczności i żyją pośród nas w niemal doczesny sposób.

Nasz duchowy mentor nie był zainteresowany odkrywaniem prawdy, lecz samymi wydarzeniami i objawieniami. Jednym z nich była ciotka Afrodyty. Te przyjazne dusze przychodziły do nas jak goście pukający do drzwi w ciemną noc, którzy wchodzą i zasiadają przy piecu. Wybierały jednego z nas i odkrywały przed nim swoją obecność i całą moc świata istniejącego poza tym, który znamy.

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę pisarka, pani Atiye. Dlatego nawet nie słuchała wersji pani Sabriye. Przypadek Afrodyty był dowodem na prawidłowość poglądów pisarki. Biedna dziewczyna, odkąd jej zmarła ciotka zajęła się swoimi sprawami i nie dawała się przywołać, Afrodyta chodziła jak struta, jak królowa zrzuciona z tronu i pozbawiona korony. Wspominała dawne czasy świetności, gdy dotknęła pozaziemskiego świata, i cierpiała jak nikt. Taki obraz Afrodyty powstał jedynie w głowie pani Atiye, skądinąd refleksyjnej pisarki, bo nam, pozostałym, dziewczyna wydawała się, jak zwykle, całkiem wesoła i rześka.

Literatka, nie dając nam okazji do zgłoszenia sprzeciwu, przywołała wspomnienie oglądanego w młodości filmu „Królowa Krystyna”. Ponoć zrobił on na kobiecie takie wrażenie, że stanowił rodzaj punktu zwrotnego w jej karierze literackiej. Od dawna bowiem nosiła się z zamiarem spisania dziejów sułtanki Kösem. Przypadek Afrodyty był dla pisarki żywym przykładem gotowym do opisanie.

Niestety, trzeba było jeszcze trochę poczekać na powstanie tego dzieła, ponieważ pani Atiye nie uporała się z podstawowymi kwestiami dotyczącymi własnej egzystencji. Wydała do tej pory siedemnaście powieści, w których była w stanie przywołać niestrudzonego kochanka sprzed dziesięciu lat. Od tamtego czasu przeżyła mnóstwo przygód, cierpiała, kochała, myślała. Życie według niej polegało na kochaniu, kochaniu się, porzucaniu i byciu porzucaną, zmianie partnerów i cierpieniach duchowych. Dlatego miała gotowy materiał na kolejne szesnaście tomów. Stąd projekt dotyczący sułtanka Köşem musiał jeszcze się odleżeć.

Ostatecznie nie dała wiary w rewelacje pani Sabriye i była święcie przekonana, że zmarli istotnie przebywają wśród nas, a zwłaszcza ciotka Afrodyty. Jako pisarka doceniała romantyczny wątek dotyczący młodego przystojnego dyplomaty, przy czym nie przeszkadzało jej to obstawać przy swojej wersji wydarzeń. W głębi duszy wiedziała jednak, że nawet wszystkie zmarłe ciotki świata zebrane do kupy nie mogłyby wpłynąć na podjęcie decyzji o szalonej podróży do dalekich Włoch, że musiał tu zadziałać czynnik ludzki. Była także przekonana, że Sabriye jest najzwyczajniej zazdrosna, i taka już pozostanie do końca życia. Zupełnie odmienne zdanie na temat wersji pani Sabriye miała wnuczka polskiego Żyda, który przywędrował do Stambułu w czasach monarchii konstytucyjnej*. Madame Plotkin nie lubiła plotkować, a wypowiadała się na ten temat tylko wówczas, gdy ktoś inny go rozpoczął, i tylko wobec osób z najbliższego otoczenia. Poza tym madame Plotkin kochała prawdę, dlatego nie mogła zbyt długo ukrywać cennych, acz prawdziwych informacji. Na przykład tego, że ów przystojny dyplomata ożenił się z brazylijską wdową i zeszłego roku małżeństwo Plotkin spotkało nowożeńców w Czechosłowacji, a dokładnie w Pradze. Młodzian bardzo kochał Afrodytę, jednak Brazylijkę uznał za nieco ładniejszą i o wiele zamożniejszą. Madame Plotkin skierowała wówczas rozmowę na osobę członkini naszego Klubu:

– Biedna dziewczyna w ogóle nie ma szczęścia, nic a nic. A teraz kocha się w panu Semihu. Ten z kolei jak wariat zakochany jest w pani Nevzat...

Wówczas pani Sabriye, wzdychając, wyjaśniła całą sytuację:

* Przełom XVIII i XIX wieku; reformy sułtańskie wprowadzające monarchię konstytucyjną zamiast absolutnej były próbą odbudowy Imperium Osmańskiego (przyp. tłum.).

– Biedny pan Semih... – powiedziała. – Na próżno wiośtuje pod prąd. Pani Nevzat nikogo na tym świecie nie pokocha. Ani jego, ani nikogo innego... Ale cóż, męska logika, co na to można poradzić!

Kontynuowała, patrząc z ukosa i posyłając znaczące uśmiešky w stronę pana Cemala. W takich chwilach popielata twarz pani Sabriye nabierała kolorów, a w oczach zaczynały tańczyć dziwne błyski. Przygryzała wąskie wargi, jakby zamykała szkatułkę na drobiazgi. Z pewnością nie po to, by jej się co nie wymknęło. Z pewnością w takich chwilach jej dusza krzyczała: „Kochany mój, wybac mi! Nie chciałam się na tobie mścić w ten sposób!”. Przyczyna była jasna – Sabriye bez pamięci kochała Cemala.

Ale nie z jego powodu wstąpiła do Klubu Spirytystycznego i nie dla niego została medium. Powody były zgoła inne, a dotyczyły szczerego zainteresowania tajnikami duszy ludzkiej i wszystkim, co ich dotyczyło. Odkąd skończyła pięć lat, jeszcze jako małe stworzenie z twarzą szarej myszki otwierała oczy i uszy jak umiała najszerzej i chłonęła wszystko, co się wokół niej mówiło. Być może spowodowane to było stałym napięciem, zazdrością o macochę, a może taka po prostu była. Ta cecha pogłębiała się z wiekiem, rosła wraz z dziewczynką i nie odstępowała jej na krok. Jako dorosła osoba wiedziała wszystko o wszystkich w swojej dzielnicy. Gdy dotarła do trzydziestki, wiedziała już niemal wszystko o doczesnym życiu bliźnich, posiadała w ręku metody i narzędzia do pozyskiwania wiedzy na ich temat, aż z czasem zaczęła się interesować nowym wymiarem ludzkiej egzystencji – życiem pozagrobowym.

Tak jak kiedyś zajęta była sprawami ziemskimi, tak teraz całą energię skupiła na poznaniu świata po drugiej stronie. Klub Spirytystyczny i stół były oknami do tego świata. Pani Sabriye bardzo lubiła okna. Dbała o to, by wszystkie były otwarte, gdy przebywała w domu. Teraz pojawiło się nowe, które jeszcze bardziej przybliżało ją do linii upragnionego horyzontu.

Przy tym wszystkim w najmniejszym stopniu nie straciła łączności z rzeczywistością. Świat pozaziemski postrzegała jako kontynuację doczesnego. Po drugiej stronie miała wielu znajomych. Czymkolwiek aktualnie się zajmowała, zawsze miała kilku duchowych obserwatorów śledzących jej ruchy. Mogła się do nich zwracać z pytaniami, jak na przykład wtedy, gdy jej sąsiadka, Zeynep, popełniła samobójstwo. Duchy miały pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pytanie, dlaczego tak się stało.

Targnięcie się na własne życie przez przyjaciółkę wstrząsnęło panią Sabriye. Samobójczyni była miłą, cichą i bezradną kobietą, której nikt by nie podejrzewał o zdolność do popełnienia takiego czynu. Choć nie chodziła, tak jak ona, do szkoły i żyła w zamknięciu, była inteligentną kobietą. Miała bogatego męża, który ją kochał. Nie miała żadnych widocznych problemów. Mimo to pewnego dnia zastrzeliła się z pistoletu. Policja zamknęła sprawę stwierdzeniem, że zdarzenie było wynikiem załamania nerwowego. Pani Sabriye nie dawała temu wiary, jako że nerwy postrzegała jedynie jako coś, na czym można komuś zagrać. Mąż Zeynep dwa lata pozostawał wdowcem. Choć pani Sabriye niechętnie natrudziła, by dotrzeć do jakichś sensacyjnych wieści, to jednak na nic nie natrafiła. Mężczyzna żył w głębokim smutku po utracie żony, nie nawiązywał żadnych nowych znajomości nie podtrzymywał starych. Nie był – niech Bóg wybaczy – takim zimnym typem jak Cemal, który z pewnością by się ucieszył. Z powodu samobójstwa pani Zeynep żaden mężczyzna nie rozpaczał, żadna kobieta w okolicy nie rwała szat i nie miała wyrzutów sumienia, żadna nie okazywała nadmiernej radości. Pani Nevzat, mieszkająca w tej samej kamienicy, trwała w swym zdziwieniu jak naiwne dziecko, a pisarka Atiye umieściła przypadek samobójstwa w jednej ze swoich książek, ograniczając się do kilku zdań. Rozpacz pani Selmy także była trochę na pokaz i nie do końca głęboka, skoro w najmniejszym stopniu nie naruszyła makijażu. Bardzo dbała o nienaganny wygląd, odkąd zauważyła pogłębiające się kurze łapki przy oczach. Niejaka pani Seher z kolei dowiedziała się o wszystkim dopiero po miesiącu. Była zbyt zajęta przejmowaniem towarów z czeskiej fabryki należącej do monsieur Plotkina, by zauważyć niewielką zmianę w otoczeniu. Skoro tak, to czemu biedna Zeynep zrobiła tę straszną rzecz? Co było powodem samobójstwa?

Było wiele spraw tego typu: nierozwiązanych, niezłaławionych i mrocznych tajemnic, które przeszły z tego do tamtego świata i zalegały w nim cicho i zazdrośnie jak w wielkim magazynie, czekając na swoją kolej.

Pani Sabriye pragnęła zmusić zmarłych do mówienia. Dlatego zainteresowała się spirytyzmem. By uzupełnić materiał zgromadzony w umyśle, chciała wyjaśnić nieznanne.

Niestety, nie miała zbyt dużo szczęścia. Gdy tylko zaczęły się seanse, została uznana za medium. Nawet we własnym łóżku starała się zachować

wać pełną czujność, zawsze gotowa do działania. Nie podobało jej się, że ktoś chce ją uspić, odebrać lub podważyć dar, co do którego miała pewność, że go posiada.

Dobre medium jest bezwolne, milczy i nie zadaje pytań. Jest tylko przekąźnikiem zależnym od czyjejś decyzji. Usta medium są jak kran, przez który wylewają się czyjeś myśli. Kierujący zadaje pytania, a odpowiada duch. A pani Sabriye sama chciała te pytania zadawać. Po to przecież zaangażowała się w działalność spirytystyczną. A teraz wszystko obróciło się przeciwko niej. Postanowiła jednak zrobić wyjątek od tej reguły i dusze zmarłych, które kontaktowały się przez jej usta z żyjącymi, częściej niż na tematy mistyczne czy egzystencjalne mówiły na tematy całkowicie związane z życiem codziennym bliskiego otoczenia. Gdy prowadzący próbował wyciągnąć od innego medium będącego w stanie hipnozy informacje na temat pana Hüsnü, syna szejka Kadiri, były one zgoła inne niż to, co w kwestii oczyszczenia jego duszy, pozbycia się elementów będących przeszkodą na drodze do osiągnięcia spokoju wiecznego, miała do powiedzenia pani Sabriye. W jej ustach słowo „pozbycie się” okraszone słownictwem typowym dla spirytualistów nabierało kompletnie innego znaczenia.

– Co to za pomysły? Czyż można pozbywać się firmy? Czyż to rozsądne oczyszczać konto teraz, gdy interes tak świetnie prosperuje, a akcje idą w górę?

– Żeby dochrapać się takiej pozycji, musiałbym dziesięć tysięcy lat cierpieć. A wtedy nie uda mi się z wami nawiązać kontaktu. – Takie i podobne odpowiedzi padały z ust pani Sabriye.

– Nie! Nie planowałem, nie podejmowałem żadnych starań! Jestem teraz zajęta ostatnim romansiem Rudolfa Valentino. Jeśli chcecie, to wam opowiem – padało innym razem.

Czasami sama z siebie przerywała seans.

– Nie mogę jej znaleźć. Nie wiem, gdzie jest Zeynep. Być może jest oddzielne miejsce, do którego trafiają samobójcy. O, przepraszam.

Czasami jakaś głęboko religijna, ze wszech miar czysta dusza odpowiadała na pytanie, jak osiągnąć doskonałość.

– Poszaleliście? Jesteście tu i teraz. Nie zajmujcie się rzeczami, które do was nie należą, lecz tym i tymi, którzy są wokół was. Szykuje się nie lada wydarzenie!

Panią Sabriye najbardziej satysfakcjonował stan wyjścia poza ograniczenia własnego ciała.

Gdy przytrafiał się jej ciekawy temat, porzucała doczesną powłokę jak wylinkę, wspinała się uwolniona po ścianie do najbliższego okna i opowiadała kwiecicie, co za nim widzi. To było najbliższe jej naturze i dawało spełnienie. Gdy nadarzała się okazja, będąc w transie, próbowała skorzystać i spojrzeć przez jeszcze jedno dodatkowe okno.

– Wybaczcie, ale muszę! To chyba pani Suatt, nie... to nie ona. To jakaś blondynka... wysoka... nie, nie znam...

Mówiła jak urzeczona, a jej skądinąd brzydka twarz rozjaśniała się w uśmiechu szczęścia i spokoju i mogła się nawet wydawać dość ładna. Wszelako był jeden warunek: pani Sabriye sama dla siebie musiała być hipnotyzerem i budziła się z transu chwilę wcześniej, niż oczekiwano, by przytomnym wzrokiem obrzucić jeszcze mieszkanie pani Nevzat, gdzie zdarzenie miało miejsce. Po wszystkim z zaskoczeniem na twarzy pytała wszystkich wokoło:

– I jak? Co powiedziałam? Widziałam coś? Ktoś się komunikował?

Nasze medium podejrzewało, że przyczyną samobójstwa biednej Zeynep był potajemny romans jej męża z panią Nevzat. W głębi duszy uważała, że zarówno ciotka Afrodyty, wszechobecny Murat, jak i historia z samobójstwem są kłamstwem lub wierzchołkiem góry lodowej, która kryje historię nieszczęśliwej miłości osoby, którą ona sama darzyła głębokim uczuciem.

Klubowa społeczność w żadnym razie nie chciała się zgodzić na taki stan rzeczy. Murat zupełnie nie przypominał ciotki Afrodyty. Nie dałby się powalić jednym ciosem. Połowa członków Klubu uważała go za choleryka, ale przyjaciela, i nie robiła sobie wiele z jego nieprzyjemnego czasami sposobu bycia. Ogólnie uznano go za dobrą duszę. Nikt nie mógł wymazać z pamięci radosnego podniecenia tego wieczoru, gdy przy zgaszonym świetle go przywoływaliśmy. Podjęto więc gremialnie decyzję o zakazie przyjmowania nowych członków do Klubu. Nie mogliśmy przecież poświęcić naszych dotychczasowych doświadczeń i osiągnięć dla uciechy sceptyków.

Z tego właśnie powodu hipnotyzer dbał o to, by trzymać panią Sabriye z dala od domu pani Nevzat. Przekonywanie tej ostatniej do swoich racji nie musiało się wiązać z poważniejszymi konsekwencjami, ale nikt

z nas nie chciałby rozżłościć Murata. Poza tym nie podobało się nam zasiewanie wątpliwości tam, gdzie mieliśmy pewność. Mała wątpliwość mogła być nieszkodliwa, lecz należało unikać prawdopodobieństwa, że zatoczy szersze kręgi.

Sabriye zdawała sobie sprawę z całej sytuacji i tym bardziej nalegała na uczestnictwo we wszystkich seansach. Urządzała je u siebie w domu lub w siedzibie Klubu i już bez skrępowania zapraszała duchy, wypytywała o przyczynę ich cierpienia w zaświatach oraz starała się uzyskać wskazówki dla żyjących. Preferowała duchy będące po myśli przywódcy duchowego lub hipnotyzera. Wysłuchawszy mojej opowieści o Seyicie Lutfullahu, zapragnęła natychmiast się z nim skontaktować i planowała dłuższą ze mną współpracę. Już po tygodniu od pierwszego wywołania urządziła konferencję dla wszystkich członków Klubu Spirytystycznego pod tytułem: „Spirytyzm i społeczne oczyszczenie”. Podczas wykładu przedstawiła sposoby wykorzystania bytów pozaziemskich w działalności wywiadowczej oraz metody pozyskiwania za ich pomocą wszelkich użytecznych informacji. W całym przedsięwzięciu bardzo pomógł jej niejaki pan Taflan Deva, człowiek bogaty, uprzejmy, niezwykle odcytany i głęboko zainteresowany procesem oczyszczenia, również za pomocą ognia. Myślę sobie czasami, że gdyby należycie wykorzystał wszystkie talenty, które wydał nasz kraj, żylibyśmy w pięknym i szczęśliwym państwie. Nie było wśród nas nikogo chyba, kto nie dałby się porwać przemawiającemu panu Devie, kto nie porzuciłby wszystkiego, by iść za nim jak w dym, gdyby został merem Stambułu czy jakiegokolwiek innego miasta. Jego szlachetność, błyskotliwość i ujmująca osobowość mogły porwać ludzi do niesłychanych czynów. Na nasze nieszczęście pan Deva rozpatrywał kwestie oczyszczenia jedynie w kategoriach socjologicznych i moralnych. Dla niego ulica, dom, miasto były kwestiami drugo-, jeśli nie trzeciorzędny.

Tak więc rozważając kwestie oczyszczenia, podczas jednego z seansów z udziałem pani Sabriye spotkałem się z Seyitem Lutfullahem. Poczułem, że zaczynam się zbliżać do niego, odkąd wstąpiłem do Klubu Spirytystycznego. Wszystko jedno, czy miało to podstawy naukowe i jakich zagadnień dotyczyło, Klub był zdecydowanie domeną Lutfullahu. Od pierwszych dni miałem wrażenie, że kilka razy mi się objawił. Podczas wielu seansów spirytystycznych jego obecność była wręcz namacalna.

Życie nadal mogłoby iść tym torem, lecz niespodziewane zachowanie pana Cemala odsunęło mnie od działalności Klubu Spirytystycznego. Zapropo- nował mi ciekawą posadę w swojej firmie. Miałem dużo zarabiać, a nade wszystko mieć stałą pracę. „Czyż nie jesteśmy przyjaciółmi?” – mawiał i wymagał pełnej dyspozycyjności. Miałem rzucić pracę na poczcie i zre- zygnować z członkostwa w Klubie. Propozycja była na tyle atrakcyjna, że właściwie nie miałem nad czym się zastanawiać. Mogłem przejść na wyż- szy poziom egzystencji. Byłem pojętnym człowiekiem, więc czemu mia- łem marnować swój potencjał na sprawy nijakie?

Ileż czasu można zajmować pozycję równą służącemu?

Poza tym czułem się zmęczony całym tym spirytystycznym towarzy- stwem. Niemożliwe też było, bym zjadł kolację w domu. Byłem wiecznie niewyspany. Klub pochłaniał niemal całą moją energię. Czas, gdy mogłem jako tako wypocząć, ograniczony był tylko do chwil, gdy załatwiałem pry- watne sprawy pana Cemala. Gdy się zegnałem z członkostwem, pan Nail wysłuchał uważnie mojej opowieści i rzekł na koniec:

– Seyit Lutfullah...

Wbiłem w niego nierozumiejący wzrok, a po chwili udając, że ode- brałem to jako żart, powiedziałem:

– Jego pozostawiam w dobrych rękach. Pani Sabriye się nim zajmie...

Pan Nail, zamiast odpowiedzieć, podał mi wydane poprzedniego dnia oświadczenie zgromadzenia, w którym jasno stwierdzono, że ostatnimi czasy zaczęły naszą społeczność nawiedzać złe duchy. Zalecano także za- przestanie wywoływania ducha Seyita Lutfullaha.

– Seyit posiadał ogromną wiedzę, niemal jak pani Sabriye. Ty zada- wałeś mu podczas seansów różne pytania... W każdym razie uważaj na siebie – rzekł enigmatycznie.

Słowa pana Naila zrozumiałem dużo później. Odchodząc z Klubu Spirytystycznego, byłem przekonany, że zabieram ze sobą najlepszego przyjaciela.

U pana Cemala miałem łatwą pracę. Już o piątej po południu by- łem wolny. Nie było tu długich blatów, przy których ustawiały się kolejki i w oparach papierosowego dymu ludzie pchali się do aparatów telefo- nicznych, ani ich mieszających się ze sobą rozmów. Wszystko było do-

brze ułożone, wygodne. Miałem telefon do swojej dyspozycji. Nie podrywałem się na dźwięk dzwonka. Wręcz przeciwnie, to gdy ja nacisnąłem przycisk, ktoś spieszył do mnie. Pierwszego dnia z osiem razy wzywałem tego samego pomocnika. Za pierwszym razem zapytałem go o pogodę, za drugim o godzinę, potem prosiłem o pomoc w założeniu palta, za czwartym razem o pomoc przy wyjściu, za piątym dowiedziałem się, jak ma na imię. Za szóstym razem przyszedł sam, proponując mi papierosa, potem poprosiłem, by wyszedł, a za siódmym razem, by wrócił.

Możecie nie wierzyć, ale sprawiało mi to niewymowną przyjemność. Nareszcie nadeszła moja kolej.

Wieczorami chadzałem do kawiarni Sehzadebaşy, gdzie spotykałem doktora Ramiza. Atmosfera w tym przybytku uległa niejakiej zmianie. Przez ostatnie cztery lata stara klientela nieco się wykruszyła. Ale najważniejsze, że pozostaliśmy my: Ramiz, pan Asaf, dwóch czy trzech malarzy, dziennikarz... i ja. Zyskałem nowe doświadczenia ostatnimi czasy, więc stałem się pożądaną w towarzystwie osobą. Czasami zjawiał się poeta Ethem i relacjonował nam ostatnie wydarzenia z życia Klubu Spirytystycznego. Pani Nevzat była ostatnimi czasy bardzo przygnębiona, a Sabriye już prawie nie odwiedzała siedziby Klubu.

Któregoś dnia zadzwonił telefon. To była pani Sabriye. Zapraszała na spotkanie, ja próbowałem się wymówić, ale kobieta bardzo nalegała. Zgodziłem się w końcu, lecz powiedziawszy o tym panu Cemalowi, spotkałem się z bardzo żywiołową reakcją:

– Nigdy w życiu! Nigdzie nie pójdziesz.

Oczywiście zastosowałem się do zakazu.

Nasza współpraca zaczynała się układać jak za dawnych czasów: wzywał, gdy tylko zachodziła jakaś potrzeba. Byłem wzywany do wszystkiego: kawiarnia, dom, na wszystkie strony... Ale pan Cemal się zmienił. Z czasem stał się coraz bardziej opryskliwy i natarczywy. Jakkolwiek poprawnie wykonałem polecenie, zawsze mnie poniżał i beształ. Wiedziałem, że przeżywa pewne problemy, dlatego nie protestowałem. Zaczynało mu poważnie brakować pieniędzy. Codziennie rachował, kalkulował, wyciągał z kieszeni gotówkę i dzielił na kupki, a czasami biadolił:

– Nie wyrobię w tym miesiącu.

A to, co wyciągał z kieszeni, starczyłoby na podróż do Mekki dla całej dzielnicy Karagümruk. Cała zima minęła nam na robieniu rachunków. Wio-

sna przyniosła pozytywne zmiany. Ja nadal biegałem od krawca do szewca, od rzeźnika na Karaköy do właściciela podnajmowanego lokalu. Ja się po- ciłem, tłumaczyłem, ale przynajmniej nie było już rozmów o rachunkach.

Pewnego wieczoru zdarzyła się rzecz niecodzienna: pani Sabriye za- jechała przed mój dom czarnym automobilem. Powspominaliśmy trochę stare czasy, udało jej się wyciągnąć kilka informacji o życiu pana Cemala, po czym ucałowała moją żonę i jej siostry i pojechała.

Jej krótka wizyta wstrząsnęła naszym życiem. Żona i szwagierki były zachwycone szykiem i elegancją gościa. Do tej pory nieszczególnie zwracały uwagę na konieczność zakupu nowych strojów. Teraz postawiły sobie za punkt honoru naśladować panią Sabriye. Wszystkie trzy naraz postanowiły natychmiast zabrać się do rzeczy. Jednego dnia wydały trzy moje pensje. To nie wystarczyło, bo ciągle im czegoś brakowało. Pani Sariye podczas wizyty bardzo pochlebnie wyrażała się o urodzie młodszej szwagierki. Ta wzięła sobie do serca komplementy i postanowiła jeszcze w tym roku wziąć udział w wyborach królowej piękności.

Po dwóch miesiącach pani Nevzat w końcu zdobyła mój adres i zło- żyła nam wizytę. Koniecznie chciała się dowiedzieć, o co dokładnie pytała pani Sabriye i co myśli pan Cemal na temat samej pani Nevzat.

Wówczas trzy siostry gremialnie podjęły decyzję, że wzorem elegan- cji będzie dla nich od teraz pani Nevzat. Trzeba było całkowicie wymienić garderobę. Sprzedały wszystko, co miały, za bezcen. Ja znowu poświęci- łem ze dwie pensje. Tym razem pojawił się też nowy element: Pakize po- czuła się zazdrosna. Mąż, którego nigdy szczególnie nie považała, stał się niezwykle cennym nabytkiem. Skoro taka kobieta jak pani Nevzat miała ze mną jakieś ważne sprawy do omówienia, to znaczy, że na pewno coś między nami było.

Ciekawe, skąd pan Cemal dowiedział się o wizycie pani Nevzat. Już następnego dnia zachowywał się wobec mnie jak góra lodowa. Sprawy oso- biste przeniosły się na grunt zawodowy. Nie podobało mu się nic, co robię. Ciskał mi w twarz papierami, krzyczał na mnie w obecności podwładnych. Zrobił z mojego życia piekło. Czuję się, jakbym co chwila musiał poły- kać rozżarzone węgle. Z powodu rewolucji garderobianej zostały sprze- dane moje własne garnitury. Chodziłem w rozłazącej się kapocie. Ani to, ani dwumiesięczny zarost nie przeszkadzał Pakize robić mi scen i kazać się opowiadać z każdej minuty spędzonej poza domem.

Wspominałem już, że nie jestem człowiekiem wykształconym. Całe życie minęło mi na nauce nowych słów. Na każdym etapie musiałem poznawać nowe słownictwo, tak w pracy, jak i w życiu. Historia z diamentem nauczyła mnie słowa „absurd”. Do tej pory pojęcie to pozostawało w sferze czysto teoretycznej. Teraz stało się treścią mojego życia codziennego. Nerozpoznany strach zagnieździł się w mojej duszy. Zacząłem się w końcu bać chwili, która nastąpi. Bałem się, że nagle pojawią się żona z siostrami robiące mi ostre wymówki lub pan Cemal, by poniżyć mnie publicznie.

Każdy kolejny dzień pogłębiał poczucie beznadziei, ukazując jej nowe oblicza. A nie było przecież jasnego powodu takiego stanu rzeczy. To, co mi się przytrafiało, nie było konsekwencją moich czynów, lecz zdarzało się całkowicie niezależnie od mojej woli czy działania.

Młoda kobieta wyszła za mnie za mąż, wiedząc, co sobą reprezentuję, i być może właśnie dlatego. Sam nie wiem, jak i kiedy los zetknął mnie z różnymi ludźmi i jeden z nich szczególnie mnie sobie upodobał i zatrudnił. W efekcie zbiegu okoliczności dotarłem tam, gdzie byłem, i nie mogłem się w żaden sposób wyzwolić. Zewnętrzny mechanizm wydawał wewnętrzne polecenia. Czasami przyspieszał, czasami zwalniał lub się zatrzymywał. Wówczas wszystko przestawało działać, i piły, i noże. Wówczas, w chwilowym bezruchu, gdy ustał pośpiech, do głosu dochodził strach. Być może przed tym, co niebawem miało nastąpić.

Latem pan Cemal udał się na trzy dni do Ankarę. Przeżyłem te trzy dni jak w raju. Moje lęki nie ustały, ale nie czułem ciężaru szefa na barkach. Nie byłem na dnie; moje kości, nie czując obciążenia, przestały drżeć. Reszta to tylko zmęczenie. W tych dniach dotarło do mnie, jakie znaczenie może mieć jeden człowiek w życiu drugiego.

Trzy dni spokoju spędziłem na rozmyśleniach o panu Cemalu. Nic poza tym się nie zmieniło. Wszyscy naokoło naśladowali szefa, więc napotykałem te same zachowania co zwykle i nic mnie nie dziwiło, nawet w domu. Mimo to byłem zadowolony i spokojny. A jednak szef cały czas był obecny w moim życiu, uświadamiając mi, jaka naprawdę jest rzeczywistość.

Pan Cemal był obecny nie tylko w moim życiu, lecz był wszędzie wokół mnie.

Nauczył mnie życia i pokazał, czym może być piekło zgotowane przez człowieka drugiemu człowiekowi. Są tysiące chorób i przypadków,

które mogą zabić człowieka, ale żaden z nich nie może się równać z naszym bliźnim.

Niebawem zorientowałem się, że ta prawda dotyczy również mnie samego.

Pan Cemal przed swoim wyjazdem pozostawił mi kilka spraw do załatwienia. Jedną z nich była rozmowa z jego żoną. Pani Selma nie rzuciła mi się na szyję, nie okazała szaleńczej radości na mój widok. Wszystko po dawnemu z niewielką różnicą. Była pogodniejsza niż dawniej, spokojna i rozpromieniona. Ona także pozbyła się na trzy dni balastu.

Zaprosiła mnie na kawę. Przeszliśmy do salonu. Usiadła naprzeciwko mnie i mogłem dokładnie obserwować, jak bawi się koniuszkiem spódnicy. Była jak dziecko, które na moment wyrwało się spod władzy guwernantki. Czy było tak w istocie? Może przypominała raczej dziewczyny w bajkach uratowane od złej czarownicy.

Pomyślałem, że pani Nevzat nie zaszkodziłoby takie, choćby chwilowe, rozluźnienie.

Pani Selma spytała mnie, czy widziałem się ostatnio z panią Nevzat.

Ja, chcąc podkreślić świadomość zajmowanej pozycji społecznej poprzez mianowanie szefa odpowiednim tytułem, odpowiedziałem grzecznie:

– Szanowny pan zabronił mi kontaktowania się z tym środowiskiem. Pani Selma wyglądała, jakby nie zrozumiała mojej odpowiedzi.

– Podobno z nią nie najlepiej. Ja sama nie mogłam się do niej udać.

Po chwili otworzyła szeroko oczy, gdy prawdziwa treść moich słów do niej dotarła. Chciała o coś zapytać, ale zrezygnowała. Zrozumiała.

I co z tego mogłoby wyniknąć? Czy jakiś problem zostałby rozwiązany? Mogło się stać tylko tyle, że coś innego zatrułoby te trzy słodkie dni wolności. Najlepiej było nie myśleć. Uciec. Uciec od siebie. Ale czyż miałem wówczas jakieś swoje ja? Czy ja w ogóle istniałem, czy byłem tylko kupę cierpienia, potrzeb i strachu?

Być może dlatego, gdy po trzech dniach pan Cemal wrócił i wyrzucił mnie z pracy, wcale nie cierpiałem bardziej niż wcześniej. Tyle dobrego, że uwolniłem się od znienawidzonego szefa. Miałem go więcej nie widzieć, nie słyszeć, nie reagować na władcze gesty, nie śnić po nocach o zmarszczkach na jego wąskim czole. Wewnętrzne rozedrganie miało się zatrzymać. A złość i mściwość mnie nie skalają.

Zastanawiałem się tylko, jak ja to powiem w domu. Będą przybite, nie ma wątpliwości. Ponadto stwierdzą, że to moja wina. Nie zastanawiałem się nad tym, jak przeżyjemy bez mojej pensji. Domowników zastałem w czarnych nastrojach, kobiety niemal płakały. Mogły się dowiedzieć. Kto im powiedział? Skąd zasięgnęły wieści?

– Kto wam powiedział? – spytałem Pakize.

Na to żona podstawiała mi pod nos gazetę.

Przecież nie mogło tam być nic o moim zwolnieniu. Aż tak ważną osobą to nie byłem. Byłem zwykłym sekretarzem. Przeczytałem wskazywany mi palcem fragment. Z jury tegorocznego konkursu piękności trzy osoby podały się do dymisji, wśród nich była pani Sabriye. Młodsza szwagierka wybuchła płaczem:

– Obiecała! Obiecała, że mi pomoże!

Tłumaczyłem, że to nie takie ważne, że właśnie wyrzucili mnie z pracy i nie wiem, co będziemy jeść, i że są poważniejsze nieszczęścia na świecie. Na próżno. Kobiety były pogrążone w czarnej rozpacz.

Część trzecia
Nad ranem

1

Tego wieczoru po zacieklej kłótni z Pakize i jej siostrami w kawiarni przy stole Chromy Ismail grał w domino, które zgodził się oddać mojej córce Zehrze. Ja z jednej strony przyglądałem się jego poszarzałej, obwisłej i pucołowatej twarzy z oszpeconym przez ospę perkatym nosem i zezowatymi oczami, z drugiej zaś strony rozmyślałem o tym pięknym wiosennym dniu i o moim przeznaczeniu, które przypominało truciznę. Gdyby moja Zehra wychowywała się w innym domu, gdyby okazywano jej trochę więcej uwagi, z pewnością Chromy Ismail nie byłby jej jedynym konkurentem. Pomimo podartych sukien odznaczała się urodą przypominającą ten wiosenny poranek. Niestety, obydwie szwagierki: jedna melomanka, druga królowa piękności, dzięki dwunastoletnim wysiłkom osiągnęły sukces i przekonały dziewczynę, że jest brzydka i antypatyczna. Pakize z początku się nieco opierała, lecz ostatecznie także ona zmieniła na gorsze swój stosunek do mojej córeczki. W najtrudniejszych dla nas czasach obarczyła ją całkowitą odpowiedzialnością za całe zło, jakie spotkało rodzinę.

Nie dalej jak wczoraj wieczorem moja szwagierka obsztorcowała Zehrę, a Pakize, chcąc to ukryć, doprowadziła Ahmeda do płaczu. Tym razem tolerująca wyrządzoną jej niesprawiedliwość Zehra, nie zgadzając się na złe traktowanie brata, wszczęła kłótnię z macochą. Cechą, którą podziwiałem w niej najbardziej, była zdolność do pobudzania w sobie tego, co zalegało w niej bardzo głęboko. Moja córka potrafiła zdobyć się na to, czego ja nie umiałem dokonać. Potrafiła zbuntować się przeciwko niesprawiedliwości. Szkoda tylko, że ten bunt odbił się także na mnie. W takich sytuacjach Pakize miała jedną ustaloną taktykę. Czegokolwiek i kogokolwiek dotyczył konflikt, uważała go za wprowadzający w błąd patrol wojskowy i nie widząc potrzeby przedłużania sprawy, atakowała mnie z całą siłą, jaką dostrzegała we wrogu. Tym razem nie było inaczej. Kłótnia trwała do północy. Ostatecznie moja poduszka i kołdra wylądowały na sofie. Zostałem wyrzucony z własnej sypialni.

Bardzo się myliła, sądząc, że jest to dla mnie dotkliwa kara. Pomimo swoich trzydziestu pięciu lat nie nauczyła się dzielić z kimś łoża. Wolałem już, w spokoju i bez walki o miejsce, wyciągnąć się wygodnie na sofie. Od lat zresztą proponowałem, by każde z nas miało swoje oddzielne łóżko, ale na moje skromne propozycje odpowiadała:

– Ależ co ty gadasz, niech ci Bóg wybaczy! Miałby mój mąż spać oddzielnie? Jakże ja mogę spokojnie zasnąć, gdy małżonek gniecie się na niewygodnej sofie?

A mnie było z nią niewygodnie. Moja żona była dość spokojną osobą, zwłaszcza w kinie czy spędzając czas na relaksie – nie mówiąc o czasie, który spędzała na urządzaniu karczemnych awantur. Natomiast w łóżku zamieniała się w prawdziwą akrobatkę: jej ręce, ramiona, kolana były wszędzie. Miałem wrażenie, że leżąc na brzuchu, ma tyle odnóży co wielki pająk wstrząsany epileptycznymi skurczami. Jej członki atakowały mnie ze wszystkich stron, oplatały i przylegały do mojego ciała, pchały i szturchały energicznie.

Dodajmy jeszcze do tego potężne chrapanie, rżenie i głośne mówienie przez sen – spowodowane ponoć przez rozwijającą się nadczynność tarczycy – można sobie łatwo wyobrazić rozkosz, jaką stanowiło dzielenie łoża z tą kobietą. Poza tym uwielbiała budzić mnie w środku nocy, by na gorąco opowiedzieć swoje sny. Wówczas dowiadywałem się, jak we śnie przeżywa to, czego pozbawił ją zwykły powszechny dzień. Tak więc, bez względu na kłótnię, byłem naprawdę szczęśliwy, że nie musimy spać razem.

Owej nocy spałem na sofie. Gdy cały dom pogrążony był ju z we śnie, moja córka podeszła na paluszkach.

– Postanowiłam wyjść za mąż za Chromy’ego Ismaila. Już dłużej nie wytrzymam. Zabiorę ze sobą Ahmeda. Może się nim zaopiekuje. Jutro przyjdzie jego matka... Codziennie tu zachodzi, pytając, czy się zgodzę. Powiem, że tak... – powiedziała szeptem i cichutko wycofała się z salonu, usiłując ukryć szloch.

Chromy Ismail mieszkał dwa kroki od nas. Był brzydki, a jego brzydota sięgała głęboko, zatruwając duszę stekiem wad i złych nawyków. Posiadał wszystkie wady, jakie kiedykolwiek zdefiniowano u człowieka. Czoło miał tak wąskie, że prawie niezauważalne ponad linią brwi. Najważniejsze, że sam się sobie podobał. Miał długie pajęcze ramiona i krótkie, bulwiaste, czerwone jak otwarta rana paluchy. Dolna warga była nad wyraz pełna i obwisła, zaś oczy, rozbiegane na boki, sprawiały, że wyglądał jak rasowy

kłamca, i zdradzały jego podłą naturę. Głos jak szczotka informował, że właściciel nigdy nie przeszedł nawet obok głównego nurtu ludzkiej cywilizacji. Otwarte usta ukazywały żółte zęby zachodzące jeden na drugi. To zdradzało jego raptowność i podłość. Poza tym posiadał inne rozliczne wady. Cóż miała z nim począc moja biedna Zehra?

Zacząłem się poważnie martwić. Gdy pojawiałem się w kawiarni, czekając na okazję, by porozmawiać z doktorem Ramizem, mój przyszły zięć lustrował mnie z końca sali złym okiem.

Podczas gry jego dolna szczeka wydawała dźwięki jak mechanizm zegara. Ale najgorsze były paluchy: obmierzłe twory, jakby żyjące własnym życiem, zdolne do najgorszego okrucieństwa, stworzone wprost do wykonywania najobrzydliwszych czynności.

„Zabiorę ze sobą Ahmeda...” – powiedziała Zehra, a teraz jej słowa, które wczorajszej nocy wydawały się pocieszeniem, dotarły do mnie i przeraziły nie na żarty. Zamiast jednej miały być dwie ofiary. Potarłem dłonią czoło. „Weź się w garść! Nie dajesz rady opiekować się własnym dzieckiem. Nie masz szans!” I co? Nie zmienisz przeznaczenia. Miało być jeszcze gorzej.

Zerwałem się na równe nogi i dopiero dziwny wrzask mojego przyszłego zięcia usadził mnie na powrót. Ależ on był nie do wytrzymania. Cham i brzydal. Nie mogłem mu oddać córki. Jego grę cechowała straszliwa zachłanność. Grał całym sobą, wchodził w grę, angażując ciało, podrygując i belkocząc. Prawą nogą, obutą w rozklapane łapcie, które odkrywały podartą skarpetę, machał rytmicznie, jakby trzymał ją na pedale maszyny do szycia. Z gardła co chwila wydobywał się odgłos, który atakował otoczenie, paluchy zagrabiały wszystko, czego tknęły, wszędobylskie brzydkie paluchy; wargi wykrzywiały się niemiłosiernie, a szczeka, jakby nie będąc w stanie tego znieść, wykonywała odruch wymiotny; nos, wydając okropne rżenia, wyrzucał z siebie cały smród życia Ismaila.

– Brzydal, mówię, brzydal straszny! Brzydki i prosty, cham i zwierzę...

Poczułem dotyk czyjejś ręki na ramieniu. Doktor Ramiz stał nade mną.

– Znowu zamysłony? – spytał. Obok niego znajdował się na oko czterdziestotrzyletni, dobrze ubrany, wysoki mężczyzna o kolorze skóry przypominającym pszenicę. Był atrakcyjny i przystojny.

– Oto mój przyjaciel, pan Hayri – rzekł, patrząc na przybysza. – Proszę nie zwracać uwagi na jego strój. To bardzo interesujący człowiek.

Potem zwrócił się do mnie.

– Mój kolega ze szkolnej ławy, Halit Regulator – rzekł doktor i zaczął zadawać pytania, sam na nie odpowiadać, a robiąc to, patrzył w stronę pustego stołu dwa rzędy za nami.

Człowiek to zaiste dziwna istota. W pierwszym momencie pomyślałem, że ten Halit Regulator to kolejny pech na mojej drodze. Przede wszystkim przeszkodził mi w pożyczeniu od Ramiza dwóch lir. Skąd mogłem wiedzieć, że tego dnia do kawiarni doktor Ramiz przyprowadził mój szczęśliwy los. Spokój moich dzieci i dostatek dla żony i szwagierek.

„A jaki zuchwały. Wpatruje się w ludzi, jakby miał ich kupić” – pomyślałem sobie, lustrując przybysza. Z każdą chwilą rosła moja złość na tego człowieka, a prawdę powiedziawszy, nie było w jego spojrzeniu nic obraźliwego czy poniżającego. Patrzył na mnie, jak się patrzy na cokolwiek, kogokolwiek, tylko po to, by zobaczyć i zrozumieć, z kim się ma do czynienia. Już mieli zostawić mnie w spokoju, pójść do odległego stolika; już doktor Ramiz zęgnął się za mną, poklepując mnie po ramionach, policzkach, poszturchując i głaszcząc, jak miał w zwyczaju – a ostatnio wszystkim w moim towarzystwie weszło to w nawyk i za każdym razem mnie głaskano i poklepywano, strząsano niewidoczne paprochy ze sfatygowanej marynarki – gdy spojrział na przybysza i rzekł:

– Czekaj, narzekałeś, że ci się zegarek zepsuł. Może niech nasz drogi Hayri zerknie na niego. On się świetnie zna na zegarach. – Doktor na tym nie skończył, tylko paplał dalej. – Nie patrz tak, nie wygląda na to, ale jest wielkoduszny i uczciwy. Świetnie się zna na robocie, choć nie ma sklepu ani nic. – Potem zwrócił się do mnie nadzwyczaj uprzejmym tonem: – Proszę, panie Hayri, niechże napije się pan z nami kawy.

I żeby udowodnić Halitowi, jak bardzo mnie lubi pomimo różnicy poziomów, wychowania, wykształcenia i zasobności kiesy, objął mnie, ścisnąc niemiłosiernie żebra. Przez ostatnie pięć lat utrzymywała się pewna tendencja: moi starzy znajomi czuli się w obowiązku okazywać mi swą głęboką i szczerą przyjaźń, i robili to mimo wszystko. Zachowanie Ramiza było najbardziej niewinne ze wszystkich.

Gdy tylko usiedliśmy wspólnie przy stole, zaczął mnie wychwalać, jednocześnie oczyszczając przestrzeń międzyzębowe, zasysając i pomlaskując.

– Czegóż nie wie ten nasz Hayri... Alchemia, chiromancja, kryptografia, magia, nawet starodawna medycyna... Wszystko w zasięgu jego umysłu. Nie dalej jak wczoraj postawił trafną diagnozę. Aż sam się zdziwiłem.

Słusznie prawil. Pięć ostatnich lat spędziłem na oszukiwaniu ludzi mądrościami z repertuaru Lutfullaha.

Halit Regulator, słuchając opowieści doktora, patrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Jak będę miał środki, na pewno go wezmę. Wiem, gdzie go szukać. Tylko do czego on mi się może przydać?”

Pan Halit był typem człowieka, który przeprowadzał operację na człowieku z udziałem obserwowanego obiektu. Jego spojrzenia nie deprimowały. Jedynie sprowadzały do pozycji przedmiotu. Nagle zwrócił się do mnie:

– Faktycznie zna się pan na zegarach?

Tak samo jak słaby był ze mnie alchemik czy chiromanta, tak miernym byłem zegarmistrzem. Ale przywykłem do kłamstw. Inaczej nie byłbym w stanie toczyć tego złamanego grosza, zwanego moim życiem. Ludzie spodziewali się tego po mnie. Byłem kłamcą. Teraz miałem potwierdzić, że znam się na zegarach? To zostało powiedziane co najmniej trzydzieści razy. Wszyscy już usłyszeli, że tak jest: pan Cemal, Selma, doktor Ramiz, Sabriye i pan Asaf. Spojrzałem uważnie na Halita Regulatora. Tu należało postępować niezwykle ostrożnie.

– Niech no spojrzę na ten zegarek, zobaczymy... – powiedziałem powoli.

Wyjął z kieszeni mały złoty zegarek bez łańcuszka. Był tak piękny, precyzyjnie wykonany i błyszczący czystym kruszcem, że odniosłem wrażenie, jakbym trzymał w dłoni odprysk słońca. Jeszcze nie całkiem straciłem radość życia. Było coś, co potrafiło mnie uradować, co naprawdę kochałem.

– Od dwóch miesięcy nie chodzi... To pamiątka po ojcu. Dlatego jest mi tak bliski. Co mu jest? – pytał Halit.

– Błąd, i to poważny. Oczywiście, że nie działa. Taki zegarek bez łańcuszka to jak zwierzę bez obroży i kobieta bez ślubu. Ktoś, kto kocha zegarek, najpierw przywiązuje się do niego łańcuszkiem.

Powiedziałem to trochę po to, by wybadać rozmówcę, a trochę, by zyskać na czasie.

Halit spojrzał na mnie uważniej.

– Chyba ma pan rację. Dwa razy go upuściłem.

– Szkoda – odpowiedziałem szybko. – To naprawdę ładna robota. Bardzo rzadka. To angielski towar. Połowa dziewiętnastego wieku. Pan wie, że jest wspaniały.

Naprawdę był piękny. Prawie zapomniałem o Ismailu i córce. Odkąd miałem w ręku przepiękny zegarek żony pana Cemala, czegoś takiego nie widziałem – byłem szczerze podniecony.

– No i nie mam tu narzędzi. Gdyby choć scyzoryk...

Sięgnąłem do kieszeni po scyzoryk i poczułem uderzenie gorąca. Teraz był na stoisku pana Alego, na bazarze maltańskim. Ostatnimi czasy wszystkie przedmioty, jakich potrzebowaliśmy – prócz rzeczy należących do moich szwagierek – pochodziły z pchlich targów i stoisk ze starzyzną, na które ponownie trafiały, a kupcy przyjmowali je, zawsze kręcąc nosem z niezadowolenia. Przy stole, ubierając się czy rozbierając, w łóżku i podczas rozmowy przeżywaliśmy świadomie istnienie tego zjawiska. Niemal każdy przedmiot miał historię odejścia lub powrotu.

Doktor Ramiz otworzył swoją nieodłączną torbę. Wyciągnął scyzoryk. Przyjrzał się zachłannie swoim paznokciom, a następnie nieco się ociągając, podał mi nożyk. Przez twarz Halita przemknął ledwie zauważalny uśmieszek. Umiał patrzeć wymownie.

Otworzyłem zegarek. Nie potrzebowałem ani lupy, ani żadnych innych narzędzi. Był namagnesowany.

Halit zaglądał mi przez ramię, jakbym operował jego dziecko.

– Nic poważnego. Niech pan w żadnym wypadku w nim nie grzebie. Jest namagnesowany, potrzebna jest tylko taka mała część, do kupienia u większości zegarmistrzów. Robota najwyżej na pół godziny.

Halit pokiwał głową i rzekł:

– Więc czemu nikt tego wcześniej nie zauważył?

– Nie mogli, a raczej nie byli w stanie. Zegar jest jak ciało człowieka. Rozpoznaje się w nim tylko znane choroby. Jest jednakowoż mała różnica. Lekarze leczą narząd, nie mogąc go wymienić. Przytrafia się to i zegarom. Ale to już sprawa części zamiennych... Doktor Ramiz mało nie oszalał z radości. Niespodziewanie pobiłem jakiś rekord. Mówiłem szczerze i okazywano mi sympatię.

– Myśli pan, że czegoś mu nie wymienili? Wszak to ludzie, których znam od lat!

I wtedy obudziło się we mnie coś, o czym bez przerwy dyskutowaliśmy w Klubie Spirytystycznym. Niektórzy nazywali to szóstym zmysłem. A może miałem już dość tej kawiarni? Może chciałem zaczerpnąć

trochę więcej z ciepła, które roztaczał wokół siebie człowiek, którego dopiero poznałem?

– Niech pan pójdzie jeszcze raz do tego człowieka – zacząłem podniekscytowanym głosem. – Niech pan mu każe włożyć z powrotem kamień, który najwidoczniej wcześniej wyjął, albo kamień o tej samej wadze. Może to nie jest najważniejsza część mechanizmu, ale zawsze... po prostu musi być zachowana dokładna waga. Producent tego zegarka nie bez powodu nie wciskał ziarna soczewicy pomiędzy dwa rubiny. I niech jeszcze zmieni ten włos. Potem niech rozmagnesuje.

Halit patrzył na mnie dłuższą chwilę. Ja, jakbym dzierżył klucz do bramy krainy szczęścia, ścisnąłem w dłoni zegarek. Nawet na niego nie patrzyłem.

Za naszymi plecami, kilka stolików dalej, gra toczyła się w najlepsze, emocje rosły, aż poszły w ruch pięści i łokcie, potem krzesła i rozpętała się prawdziwa bitwa. Mój przyszły zięć z poźółkłą gębą, nastroszonymi włosami, rzucając naokoło najplugawsze przekleństwa, szarpał się z próbującymi go powstrzymać mężczyznami.

– No ładnie, bardzo ładnie. Dzisiaj to już na pewno kogoś zamorduje – rzekłem do siebie. – Z gęby zresztą na zabójcę wygląda. I te zęby. Stryczek, a najmniej dożywocie są mu przeznaczone. Przynajmniej tyle, że córkę odzyskam. Tylko co potem...

Podtoczyli się nam pod nogi i jeszcze raz pożałowałem, że takie typy chodzą po ziemi.

– Tobie się nie podoba? I tak Allah pozbawia ludzi... Facet jeszcze dzisiaj będzie w więzieniu. Jutro wyrok. Twoja córka będzie wdową, zanim porządnie wyjdzie na męża. Biedne jagniątko moje... Kto wie, jak zareaguje, gdy o wszystkim usłyszy.

Podobne ciemne myśli wypełniały mi umysł i czułem, że za nie niebawem zapłacę. My, biedacy, tak już mamy. Biuro przeznaczenia nigdy się nie myli i niczego nie zaniedbuje. Każe płacić za najcichszą myśl, najbardziej nieśmiałe pragnienie, by coś się nie wydarzyło, za najskrytszą złość trzeba będzie niechybnie zapłacić.

Nie stało się tak, jak przewidywałem, a mój przyszły zięć nikogo nie zabił, zadając tym samym kłam szóstym zmysłom i jasnowidztwu. Nawet nie wykonał poważniejszego ciosu, natomiast przyjął kilka silnych na swój zakazany pysk. Górna warga przyjęła pięść adwersarza, a potylicą roztrzaskała najbardziej stabilne krzesło w kawiarni. Wywinął tęgiego fi-

kołka, zebrał kilka kopniaków i machając nogami w powietrzu, zwał się na ziemię tuż przy drzwiach wejściowych. O Stwórco, co to za rozkosz. Cieszyłem się niezmiernie. Po pierwsze nikogo nie zabił. Ani go nie powieszają, ani nawet do więzienia nie zabiorą. Radość moja byłaby pełna, gdyby nie myśl o córce. Bo skoro nie będzie siedział, to nie było powodu, by nie zgodzić się na ślub.

Na moich oczach został sprany na kwaśne jabłko, więc już nie będzie zgrywał chojraka. Jakby podszedł do mnie i zapytał, jak ma w zwyczaju: „E, dziadu, co słychać?”, to ja mu na to: „A nic, powoli. Byłem w kawiarni, w tej, co cię wczoraj tak sponiewierali, wiesz”. Choć pewnie wystarczyłoby słowo kawiarnia, krzesło, Sabri restaurator, żeby się obmierzły typ stropił. Albo jeszcze inaczej bym mu powiedział: „Ismail, mój drogi, a zapłaciłeś już za to krzesło, coś je łbem roztrzaskał? Kochany, musisz trochę bardziej uważać. To krzesło to na twoim łbie się roztrzaskało. Toż to nie była wina właściciela, więc czemuż on miałby ponosić koszt?” Poza tym cieszyła mnie jeszcze jedna rzecz: po takim zajściu ze trzy dni z domu nie wyjdzie i może nawet zapomni o ślubie. Miałem czas, żeby kilka rzeczy przemyśleć. Niektórym ludziom całe życie mija na próbach zyskania na czasie. Moje mijało na jego obalaniu.

Dlaczego więc siedziałem na miejscu? Czemu nie zerwałem się i nie zacząłem klaskać typom, którzy kopią leżącego Ismaila? Łobuz śmiał spojrzeć na moją perełkę, moją córeczkę, a do mnie zawsze bez szacunku. Niech Bóg błogosławi te ręce, co go piorą!

Halit Regulator przerwał moje rozmyślenia.

– Czy to się da szybko naprawić?

– To rzadki przedmiot. Zanim znajdą odpowiedni kamień, zanim go włożą odpowiednio...

Mężczyzna zwrócił się do doktora:

– Chodźmy, Ramiz, pójdziemy razem, najlepiej teraz. Najlepiej załatwić to od razu. A pan, jeśli może wyświadczyć mi tę grzeczność... Jeżeli to nie kłopot. Potem siądziemy gdzieś, porozmawiamy, rozerwiemy się...

– Ależ szanowny panie, gdzie ja w takich łachach...

Wymówka nie przyszła mi do głowy tylko dlatego, że istotnie wstydzilem się swojego wyglądu. Już dawno się z nim pogodziłem i nie zaprzętałem sobie głowy. Człowiek, którego córka ma się wydać za takie zwierzę jak Ismail Chromy, raczej nie ma głowy do rozmyślań na temat

własnego wyglądu, estymy, szacunku bliźnich. Pomyślałem raczej, że zostawią mi kilka lir i pójdą sobie. Zresztą nieraz już wracałem pieszo i jeszcze bardziej goły z różnych innych miejsc rozrywki. Ale skąd Halit miał znać moje motywacje.

– Strój nie ma znaczenia. Po twarzy widać, z kim się ma do czynienia.

Czyli i to rozumiał. Wiedziałem, że mój podły los mam wypisany na czole. Halit naprawdę nie patrzył na łachy, które miałem na grzbiecie, lecz na twarz.

Zatrzymali pierwszą wolną taksówkę. Chciałem sięść koło kierowcy, bo było dla mnie oczywiste, że raczej nie ja powinienem siedzieć z tyłu. Halit złapał mnie za ramię, przytrzymał. Drugą ręką otworzył drzwi auta i wepchnął mnie do środka. Następnie tak samo potraktował Ramiza. Na końcu wsiadł sam. Dziwny to był człowiek. Jego uprzejmy gest był rozkazem. Nie wahał się przy tym używać rąk i był bardzo przekonujący. Kiedyż ja ostatnio siedziałem w samochodzie. Chyba tego zimowego wieczoru, gdy wiozłem suknię balową pani Selmie, nie wypuszczając pakunku z rąk, gładząc go, jakby był relikwią, a nawet całując delikatnie plastikowe opakowanie, zanim wzięła je w swoje cudne dłonie. To był chyba najszczęśliwszy wieczór w moim życiu. Zaprosiła mnie na górę, poczęstowała kawą i pozwoliła czekać od czwartej do dziewiątej wieczorem, gdy się ubierała w nową toaletę. Potem przyszła do salonu, gdzie czekałem. Pan Cemal był w podróży, więc kobieta oczekiwała przyjścia przyjaciół, z którymi wybierze się na bal. Była tak swobodna, szczerą, że aż wyrwało jej się:

– Hayri, mój drogi, niechże pan też się z nami wybierze. Założy pan coś z garderoby Cemala, ogoli się pan trochę, no co się stanie?

Wpadłem w panikę, co z pewnością zauważyła, bo rzekła:

– Nieważne, nieważne, ale jeśli przyjaciele istotnie się nie zjawią, to jednak pójdzie pan ze mną, dobrze?

Ja tymczasem modliłem się jednocześnie o to, by przyjaciele mocno się spóźnili albo wcale nie przychodzili, albo przyszli natychmiast, ratując mnie tym samym z opresji. Tego wieczoru zauważyłem w niej nie tylko urzekający uśmiech, uprzejmość, słodką delikatność i dobrze dobrane stroje, ale także piękne, zgrabne ciało. Niewiarygodnie piękną kobietę. Poczułem, że tym statkiem mógłbym się udać w najupojniejszą podróż mojego życia. Jej zgrabne plecy przyćmiewały urodą lustra najświetniejszych pałaców, a ręce były jak dwie rzeki skąpane w blasku księżyca.

Przypomniał mi się ten czarowny moment dokładnie wtedy, gdy mój przysły zięć otrzymywał tęgie razy, bo i wówczas, i teraz czułem cudowną lekkość na duszy.

Nie mogłem zapomnieć sceny walki w kawiarni i co chwila przypominał mi się nowy szczegół. Za każdym razem gdy padał kolejny cios, bity śmiesznie pociągał nosem, co zapamiętam do końca życia. Ohydny nochal był stworzony do takiego traktowania. Jakkolwiek słodkie były wspomnienia związane z panią Selmą, to proszę o wybaczenie, poniewieranie Ismaila bardziej zapadło mi w pamięć. Niech mi Bóg wybaczy, ale gdyby mnie wtedy nie było w kawiarni, to co bym począł? Ktoś by mi opowiedział o bójce. Może rozwaliłby sobie czerep o krzesło i o śmierci Ismaila dowiedziałbym się z gazety. Jakiś znajomy przybiegłby do mnie z wieścią, nie kryjąc zadowolenia, a mnie wypadałoby tylko westchnąć krótkim „och” nad losem łobuza. A teraz będę miał w pamięci dwa wspaniałe wspomnienia, tak żywe, że w każdej chwili gotowe, by je przywołać: wieczór u Selmy i baty Ismaila. Mogłem sobie teraz usiąść i spokojnie kontemplować kolejne razy, krew na twarzy, kolejne kopniaki, upadek i krew na koszuli. I ten moment, gdy zwlókł się z ziemi i spojrzał mi w twarz, sercem w serce, ten obleśny typ, prostak i podlec. Nie sądzę, żeby szczególnie cierpiał, gdy go tłukli. Przyszedł na świat po to, by go poniżano i bito. Deprymował go solidnie fakt, że ja na to patrzyłem. Zły, zepsuty do szpiku, wredny stworze, spojrzysz tylko na moją córkę!

Gdy dojechaliśmy do dzielnicy Beyazyt, z przyzwyczajenia zacząłem przetrząsać kieszenie. Zegarka oczywiście nie miałem przy sobie. Mięło osiem miesięcy, odkąd musiałem go sprzedać. Spojrzałem na zegary wiszące na wieży. Jeden zatrzymał się wpół do czwartej, a drugi gonił od wczoraj jedenastą, jak spóźniony pociąg. Chciałem coś powiedzieć, by przerwać ciszę.

– Te zegary też nie są w porządku. Żaden dobrze nie chodzi. – Poczuję, że udaje mi się wyrzucić z umysłu obrazy przedstawiające niedoszętego zięcia, i dawało mi to ulgę, jakbym wyrzucał truchło martwego węża.

– Czy panowie wiedzą, że żaden miejski zegar nie jest zsynchronizowany z innymi? Jeśli chcecie, możemy sprawdzić, jak jest na Eminönü, a potem na Karaköy.

Nikt się nie odezwał. Każdy z nas pogrążył się w swoich myślach. Wzruszyłem ramionami: co mi z tego? Nie oddam Zehry łobuzowi i już!

Reszta nieważna. Ale jak mam ją utrzymać, wykarmić? Chciałem przywołać obraz zakrwawionego Ismaila, ale nie pomogło. Pomyślałem o Selmie, ale ona także nie odsunęła lęku. Na Eminönü dotarł do mnie głos Ramiza.

– To prawda: jest czterdzieści pięć minut różnicy!

Na Karaköy odezwał się Halit:

– A tu mamy pół godziny do przodu!

Zegarmistrz był bardzo kulturalnym, życzliwym Ormianinem. Musiał mieć najwyborniejszych krawców i fryzjerów. Buty miał tak wypolerowane, że chyba z nimi sypiał. Przywitał się z Halitem po francusku. Ten nie odpowiedział, tylko zwrócił się do mnie:

– Proszę wyjaśnić, panie Hayri, o co chodzi.

Agop Zegarian zlustrował mnie od stóp do głów z lekkim uśmiechem politowania. Najdłużej przyglądał się moim butom, jakby były najciekawszym elementem mojej powierzchowności. Gdybym pojawił się u niego w zakładzie kiedy indziej i sam, z pewnością westchnąłby na mój widok: „Niech się pan ulituje”. Postarałem się zdobyć na najtwardszy i najbardziej zdecydowany głos, na jaki było mnie stać.

– Nieco swobodnie pan sobie poczynasz, otwierając taki zegarek trzy razy. Niechże pan spojrzy, tu z tyłu, to nie jest wyrób fabryczny, tylko rękodzieło. To jak list jednego mistrza do drugiego, z tym że nie pan jesteś jego adresatem. – Obróciłem zegarek i pokazałem mu znaki. Wykrzywiłem usta. – Cacko musiało cierpieć, że trafiło w ręce kupca, a nie rzemieślnika.

Ach, Nuri Efendi, spoczywaj w pokoju wiecznym, gdybyś mógł wiedzieć, jaki wyraz twarzy miał Ormianin, gdy do niego mówiłem! To było twoje zwycięstwo, świętej pamięci mistrzu. Zegarian oderwał wzrok od moich butów, a właściwie jego wzrok, idąc w górę, rozpoczął poszukiwania właściciela dziwnego obuwia gdzieś na wysokości głowy mniej więcej.

O nie, nie oddam mojej córki temu psu!

Z uśmiezkim politowania kontynuowałem mój wywód:

– Najprawdopodobniej reperując zegarek, kamień ze środka był wypadł, a pan żeś tego nie zauważył. Proszę tu spojrzeć.

Zegarian zaczął coś niezrozumiale bąkać pod nosem, ale nie dałem mu okazji.

– Zrób pan, co mówię, a właściwie wszystko, co powiedziałem weź pod uwagę, ale najpierw rozmagnesuj urządzenie – rzekłem i zwróciłem się do Halita Regulatora: – Dawniej taką działalność prowadzili rzemieśln-

nicy kochający swoją pracę, a nie tylko ci, których stać na założenie takiej działalności.

Słyszałem w głowie głos Nuri Efendiego: „Brawo, chłopcze”.

Oczywiście gdybym nie miał na głowie tylu trosk, w kieszeni miałbym kilka groszy na kolację, to pewnie nie zrobiłbym zegarmistrzowi takiej sceny. Spojrzałem mężczyźnie prosto w oczy i wstyd mi było, że zachowuję się tak podle. Ale zaraz pomyślałem, że ten człowiek nie musi się przecież martwić, czym nakarmi rodzinę dziś wieczorem. Stała praca daje niewiarygodne poczucie bezpieczeństwa. Posiadając ją, można i całemu światu stawić czoło. Zegarmistrz zebrał się w sobie. Mógł w tej chwili oddać nam zegarek i wyrzucić z zakładu.

Ostatecznie spędziłem półtorej godziny w sklepie. W tym czasie udzieliłem kupcowi bardzo cennej lekcji zegarmistrzostwa. Sam włożyłem brakujący element, dokładnie, precyzyjnie, mierząc powoli tak, że patrzący mi na ręce Zegarian sam się spocił. Na koniec pouczyłem go jeszcze, by nie przesadzał z olejem w tego typu zegarkach.

– Nie robi pan tutaj potrawki z bakłażanów! Pan naprawia zegary. Nie można lać oleju ile wlezie, i to takiego. Teraz się używa takich leków, syntetycznych:

Przez cały czas Halit Regulator nie spuszczał ze mnie oczu. Gdy wychodziliśmy, właściciel zakładu zapomniał, że mówi tylko po francusku, i zwrócił się do mnie.

– Pan ze Szwajcarii? A może tam się pan kształcił?

– A skąd taki pomysł? – spytałem zdziwiony.

– Tak dobrze zna się pan na zegarkach...

– Ja po prostu kocham zegary. I to bardzo... – rzekłem krótko.

Może gdybym nie zachowywał się tak protekcyjnie, toby mnie wziął na czeladnika, kto wie...

Po wyjściu z zakładu Halit i doktor Ramiz zaczęli rozważać, gdzie spędzimy tak miło rozpoczęty wieczór. Zdecydował Halit:

– Jedziemy nad Bosfor. Panu, szanowny Hayri, jestem winny wdzięczność i mam nadzieję, że zechce nam pan towarzyszyć i napić się szklanceczkę raki.

Policzyłem w pamięci: czwarty raz. W ciągu ostatniej godziny cztery razy zostałem nazwany szanownym. W mojej obecności Chromy Ismail dostał potężne lanie. Może dzięki temu nie dostanie mojej córki. Przez

ponad godzinę besztalem najlepszego zegarmistrza w Stambule. To było życie moich marzeń. W domu rodzina głodna, a ja mam wsiąść do auta, którego marki nawet nie znam. A do tego jechać do dzielnicy Büyükde-
repić w doborowym towarzystwie. Ostatnio byłem tam z okazji pogrze-
bu żony jakiegoś kuzyna pani Selmy. Do dziś nie zapomnę, jak się wtedy
zmęczyłem. Z powodu mojego przywiązania do pani Selmy zgodziłem się
przez całą drogę nieść trumnę ze zmarłą. Byłem gotów dać się pochować
dla jednego jej uśmiechu. Co też miłość potrafi zrobić z człowiekiem...

Najgorszy owego dnia był moment, gdy spotkałem wzrokiem roz-
drażnionego, nachmurzonego pana Cemala, który pomimo powagi naj-
wyraźniej śmiał się ze mnie, patrząc, jak się męczę. Miałem ochotę zrzucić
trumnę do pierwszego rowu, jego również tam wepchnąć i uciec stamtąd
czym prędzej. Po zakończeniu chciałem pognać na wzgórze miasta targa-
ne wiatrem i zaśpiewać na głos którąś z ludowych piosenek, na przykład
„Na okrętach jest szkolenie”. Dlaczego tę? Przecież nawet jej dobrze nie
znam... Tak więc nie zaśpiewałem. Mało tego: kiedyśmy wracali z cmen-
tarza, zaszczyił mnie, podając mi ramię, więc w drodze powrotnej jeszcze
jego musiałem niemal nieść.

– Dlaczego tylko bezradni biedacy otrzymują razy? Takiego Cemala
nikt nigdy nie ruszy. – Ostatnimi czasy często mówiłem głośno do siebie.

– Znowu cię to gryzie? – zaśmiał się Ramiz. – Czego ty chcesz od
człowieka? – zapytał, po czym zwrócił się do Halita: – Nasz Hayri wyjąt-
kowo nie cierpi pana Cemala.

Poczułem się, jakby wywleczono na wierzch najgłębszą moją tajem-
nicę, i czerwony jak burak odwróciłem się do okna.

– I ma rację – rzekł dalej. A do mnie: – Ja też kilka razy o tym my-
ślałem. Wyobraź sobie tę gębę, w którą ktoś solidnie wali...

Spojrzałem na ręce doktora i pożałowałem, że nigdy nie dokonały
tak wspaniałego czynu.

Wsiedliśmy na prom i Halit nawet na chwilę mnie nie odstępował.
I co chwila powtarzał, że nie zapomni przysługi, którą mu wyświadczyłem,
że to było tyle zachodu, że tak się namęczyłem. Te słowa po raz kolejny
przywołały obraz pogrzebu kuzynki Cemalów.

– Zmarła to było niezłe ziółko. Chyba jeszcze lepsza niż twoja słynna
ciotka. Też darła koty ze wszystkimi, ale to w końcu rodzina. Nie mogli-
śmy jej odmówić ostatniej posługi.

Cemal nigdy wprost nie nazwał mnie głupcem, ale potrafił tak ująć sprawę, że czułem się nim bez przerwy, a w takich momentach jak pogrzeb kuzynki – szczególnie.

– Selma nigdy nie lubiła tej baby i często na nią narzekała. Ale pewnie jest ci wdzięczna za przysługę.

Za każdym razem gdy otwierał usta, miałem wrażenie, że śliska ziemia usuwa mi się spod stóp. Przypomniałem sobie zmęczenie i jeszcze to, jak bez dokonania ablucji, nieczysty i w niegodnym stanie, odmawiałem modlitwę nad grobem zmarłej...

Snułem marzenia, że następnego dnia Selma podchodzi do mnie i obdarowuje mnie najśłodszym ze swych uśmiechów. Potem powie: „Panie Hayri, najdroższy, jestem panu dozgonnie wdzięczna za poświęcenie, na jakie pan się zdobył dla mojej krewnej. Cemal opowiedział mi wszystko i doprawdy nie wiem, jak się odwdzięczę. Teraz już wiem, że jest pan moim najlepszym przyjacielem ze wszystkich”. Pewnie powiedziałyby jeszcze słodsze rzeczy, a ja, nie wiedząc, co począć, padłbym jej do kolan. „Ależ co pan, niech pan tego nie robi! – zakrzyknęłyby i spłoniła się lekko. – Niech pan nie robi tego kobiecie bezbronnej, targanej sprzecznymi uczuciami”. Wytrzymałbym tę scenę jak z filmu – choć pani Selma nie mówiłaby przez nos jak nasze słynne artystki. Cemal był w stanie w pięć minut zniszczyć tę wizję i podeptać marzenie.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos Halita Regulatora.

– Poznać Cemala i w krótkim czasie nie chcieć go ukatrupić, to doprawdy rzadkość. Ja sam myślałem o tym kilka razy w liceum na Galatasaray.

Nie zapamiętałem nawet nazwy lokalu na Büyükdere. Rakı była mocna i inna niż zawsze. Ale od tej pory to miejsce kojarzyło mi się z Cemalem. Źle dla niego, nie dla mnie. Wspominałem pewien wieczór, gdy pił u siebie w domu i zaprosił mnie do towarzystwa. Pierwszy łyk wcale nie sprawił mi przyjemności. Twarz Cemala miała tak nieprzyjemny, kwaśny wyraz, że natychmiast przeszła mi ochota na rozrywkę. Piłem, bo po to przyszedłem. Wychyliłem siedem kieliszków i ledwo doszedłem do domu. Teraz zastanawiam się, czy na pewno miałem rację w ocenie naszych stosunków z Cemalem. Byłem przecież po uszy zakochany w jego żonie...

Innym razem, gdy straciłem pracę, faktycznie zacząłem mocno pić. Miałem długi we wszystkich spelunach śmierdzących starym olejem i gotowanymi flakami, od Şehzadebaşı po Edirnekapı. Miałem kredyt w skle-

pie spożywczym, który przytulił się do naszej podupadającej kamienicy, i codziennie wieczorem błagałem, płaszcząc się, o czterdziestkępiątkę. Nie odważyłem się pójść z butelką do domu, więc wychylałem zawartość przy ladzie. Nie zwracałem uwagi na pogardliwe spojrzenia i zaczepki klientów, na poniżające złośliwości. Byłem w pustce, czasami mówiłem sam do siebie lub nie wiadomo kogo, bo nikt mnie nie słuchał.

Znałem dobrze i rakı, i dzielnicę Büyükdere. I jedno, i drugie wiązało się z masą wspomnień. I często jedno zahaczało o drugie. Tu, w tej eleganckiej dzielnicy, pije określony gatunek ludzi. Gdzie tu ja? Ja pijący tutaj?

Panie Hayri, szanowny Hayri, synu drogi, zegarmistrzu Hayri, jasnowidzu Hayri, sieroto, czarodzieju, cudotwórcu Hayri... Mąż Pakize – Hayri, szwagier Hayri, a teraz jeszcze szanowny pan Hayri po raz kolejny.

– Szanowny Hayri, może papierosa, proszę.

– Bardzo dziękuję, szanowny panie.

Tak się powinno zwracać do bliźniego. Sześć lat temu tak robiłem. Ostatnio nieco zapomniałem. Stęsknione za papierosem usta i podniebienie płonęły żywym ogniem. Przy piątym „szanownym panu” o mało nie uciekłem. Automobil sunął po drodze z prędkością i miękkością strzały. Çemberlikuyu tonęło w zieleni, w lekkiej mgiełce zapachu świeżych traw, pod piękniejącym z każdą minutą niebem; pod zasłoną polnych kwiatków mieniących się kolorami wina i czystego złota, a my podążaliśmy przed siebie, chłonąc świetliste refleksy stworzone specjalnie dla nas, dla tej chwili. Ja, szanowny pan Hayri, rakı i piękne Büyükdere. Auto sunie siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wróciło szczęśliwe dzieciństwo, i to w krasie świątecznego dnia.

– Trochę się pan zamyślił, szanowny Hayri.

Na szczęście doktor Ramiz czuwał. Dzięki jego obecności nie musiałem wspominać o osobistych problemach. To on odpowiadał na pytania.

– On zawsze taki.

Szanowny Hayri, nasz Hayri, wasz Hayri, zamyślony Hayri... ależ ich mnogość. A gdyby się dodało jeszcze kilku po drodze. Ach, gdybym tak mógł, jak każdy, być jedną osobą, być po prostu sobą. Widzę w szybach, jakby auto, pędząc, wyrzywało drzewa na poboczu i przerzucało je nad naszymi głowami. Wszystko miękkie jak włosy dziecka. Jak włosy mojej małej córeczki, która sześć lat temu zmarła z powodu niedostatecznej opieki. O! Tego starego jakby przejechać! Brawo, szofer, jak pięknie wymija, na-

wet go nie musnął. Będzie miał stary koszmary senne, jak zrozumie, czego uniknął. Czemu myślę o Cemalu i Selmie? Chyba przez ten samochód.

– Mój drogi panie Hayri, niech pan do nas wstąpi na chwilę. Selma czeka. Tak, teraz jest szósta. To, powiedzmy, o siódmej...

Głos Cemala drży w telefonie jak nogi dziecka, któremu chce się siusiu. Ja odpowiadam:

– Tak jest, szanowny panie...

– Szybko odkładam słuchawkę, jakbym miał się od niej pobrudzić. Wiem, że zielenieje teraz ze złości, bo to on zawsze pierwszy odkłada słuchawkę. Czekam na siódmą. Wpół do siódmej stoję przy drzwiach. Służąca się ze mnie wyśmiewa, a sama zlaną jest najpodlejszą tanią wodą kolońską. Oczy jej złowrogo błyszczą, tak że widać je w ciemnym korytarzu. Wyciąga ręce i prawie wieszka się na mojej marynarce. Czemu się złościsz? Przecież służymy tym samym ludziom. Nie, ja się nie denerwuję, tylko bardzo śpieszę.

Sypialnia pani Selmy, ukryta za ciężką zasłoną, wygląda jak podwodna jaskinia. Łoże, jakby z masy perłowej, rośnie w oczach w tym półmroku. Selma jest w pokoju. Może chora? Moja mała córeczka też jest chora. Od dziesięciu dni. Wczoraj wstąpił do nas doktor Ramiz. Ale choroba małej musi być innego rodzaju. Ta tutaj powoduje, że zapominam o całym świecie. O płucach Ahmeda, o zatokach Zehry, tarczycy Pakize i wysokiej gorączce małej. Na szeszlunku porzucona jedwabna bielizna. Pan Cemal wchodzi w szlafroku.

– Życzę powrotu do zdrowia – mówię na wstępie.

Czuję tętnienie w skroniach. Coś jeszcze powinienem powiedzieć, ale nie wiem co. Dziś rano moja córeczka miała trzydzieści osiem stopni gorączki i bardzo zmienioną twarz. Ale co to ma wspólnego z panią Selmą? Powinienem teraz siedzieć we własnym domu, a jestem cały szczęśliwy, stojąc tu, w korytarzu.

– Przykro mi, mój panie Hayri, ale nikt poza panem tego dobrze nie załatwi.

Znów jest piękna i słodka. Przypomina sklep z cukierkami, który pamiętam z dzieciństwa, lub kolorową witrynę kwiaciarni.

W głowie odzywa się głos Nuri Efendiego:

– Cierpliwość to jedyna twierdza człowieka.

Siedzę więc wewnątrz tej twierdzy i słucham. A ściany takie cieniutkie...

– Trzeba dostarczyć prezent. Jak pan widzi, jestem chora. Nie mogę się pozbyć kataru. Cemal chciał iść, ale i on od rana gorączkuje. Boję się, że może się to rozwinąć w jakąś poważniejszą chorobę.

Cios prosto w serce. Troska o zdrowie męża nie czyni mnie szczęśliwszym. Ale nie mogę mieć do niej żalu, ma prawo tak mówić. Nie jej wina, że jest taka piękna.

– Poza tym ma na wieczór inne zobowiązania, dlatego muszę pana prosić. Na Şişli, na oddziale porodowym... Żona mojego kuzyna. Bardzo się lubimy... i nie mam nikogo innego poza panem.

Służy jej choroba. Ale co jest ładnego w katarze? Jeśli o mnie chodzi, mógłbym jej chusteczki zabrać do domu i powiesić na żyrandolu. Czegoś szuka...

– Tutaj były takie chusteczki...

– Zmarznie pani...

– Nie, w pokoju jest dość ciepło.

Może i tak, ale niech pani usiądzie, otuli ramiona i ręce. Niech pani zniknie pod kołdrami i kapami. I pozostawi mi tylko psie oddanie, bo jak nie... to... Ale dlaczego miałaaby się przede mną kryć? Patrzą na nią z nizin społecznych, więc nie może we mnie zauważyć mężczyzny.

– Prezent już kupiony, tam, na krześle leży. Mam jeszcze tylko jedną prośbę. Ayşe poda panu coś z garniturów Cemala, jeszcze pan przy tym wszystkim wypięknieje. Rozumie pan, to bogaci ludzie. Musimy przesłać prezent przez zaufanego człowieka rodziny. Kto wie, jak pan wyprzystojnieje.

Wybuchła śmiechem. Ten śmiech też bym chętnie zabrał ze sobą. Ale gdzie bym go sobie zawiesił? Nie jestem tylko sługą, lecz mam występować jako niemal członek rodziny, mam sprawić wrażenie bujanego w tej samej kołysce co oni. Powinienem być czysty i dobrze odziany. Tak, żeby postronni mogli powiedzieć: „Patrzcie, jak o niego dbają! Czyż to nie garnitur, który sam Cemal nosił wczoraj wieczorem? Widać, że mężczyzna postawny i przystojny”.

– Chyba się pan na mnie nie gniewa... Myślałam, że pan mnie lubi. Nie może się pan gniewać.

Czyli wie, że mi się podoba. Świadomość tego faktu w zupełności mi wystarcza. Znowu złożyła głowę na poduszce. Łóżko jest miękkie jak piaszczysta plaża. Odciska się w niej twarz i kształt ciała kobiety. Kołdra

lekko faluje. Chcę zabrać już paczuszkę i uciec. Ale jeszcze nie mogę, jeszcze jeden uśmiech, jeszcze jedno spojrzenie... W tej chwili mam pewność, że dla niej istnieję tylko ja. To pewne, że szykuje dla mnie kolejną obrazę.

– Ayşe przygotowuje dla pana pieniądze. Proszę wziąć samochód.

Służąca przygotowała dla mnie kawowy garnitur, który widziałem na grzbiecie Cemala trzy dni temu. Przebierałem się w składziku za kuchnią. Weszła Ayşe. I nagle pojawiają się tu wszyscy: Emine z dziećmi, Pakize z siostrami. Czemu w takich chwilach to one wpychają się w moje myśli, a nie Selma. Ona leży teraz w swoim pokoju i pociąga nosem. Gdyby teraz weszła. Gdybym o niej zapomniał. Czy los może mnie zetknąć tylko z takimi kobietami jak Ayşe? Obydwoje mamy ściśnięte gardła. Ręce służki w niczym nie przypominają ramion Selmy. Czuję niesmak. Ayşe mi się nie podobała, a Selma mogła mi co najwyżej dać napiwek, odziać w używany garnitur i wysłać dokądś ze zleceniem. A ja unosiłem się pomiędzy nimi dwiema w kompletnej pustce. Powinienem się po którejś stronie czegoś złapać, by nie upaść. Ale jak tego dokonać?

Z mieszkania państwa wyszedł już inny Hayri z dwiema paczkami pod pachą. Jedną zostawię u sprzedawcy papierosów. Potem odbiorę. Ale jak ja wrócę z Şişli bez samochodu? Tramwajem. Nie mam innego wyjścia. Ayşe, inaczej niż ja, pracuje jedynie dla pieniędzy. W sumie ja też pracuję dla pieniędzy. Dostaję je kolejno od wszystkich. Najpierw od księgowego, potem od przyjaciela, na końcu od wszystkich.

Dlatego chciałem, żeby służąca dała mi w końcu pieniądze. Dlaczego jej tak nie lubiłem? Ayşe, Pakize, Selma. Emine już prawie niewidoczna. Nie jestem jej wart. Czuję narastające uczucie mdłości. Zdradzić tamtą piękną, ukochaną kobietę z jej służącą, której się nawet nie lubi? W głowie rozbrzmiał mi złośliwy śmiech Cemala. „No, Hayri chyba też ma trochę gorączki!”

Samochód nagle się zatrzymał. Widoczne przez witrynę żywe kielbie mieniły się różnymi kolorami, które zdały się zebrać z rozświetlonej ulicy.

– Proszę bardzo, szanowny panie.

– Ależ nie, pan przodem.

Na schodach wita nas właściciel restauracji. Halit Regulator ściska jego dłoń. Czyli taki tu zwyczaj panuje. Jakbym miał pieniądze, też bym się tak pięknie witał. Nie potrafię w sobie znaleźć tyle pewności. To nie jest tylko wejście do restauracji, to marsz zdobywców. Z pewnością Alek-

sander Wielki postępował podobnie, gdy najeżdżał Egipt, a Dariusz, gdy wkraczał do Grecji. Z każdym krokiem restauracja się powiększa, wydłuża, pęcznieje. Oczy wszystkich klientów kierują się na nas. W rogu piękna kobieta chowa głowę w talerz. Szkoda, że nie zerknąłem na twarz mojego nowego znajomego, by się przekonać, czy się znają. Usiadł tyłem do morza i do niej, by nie burzyć jej spokoju. Kobieta podniosła w końcu głowę znad talerza, ale wesołość na dobre zniknęła z jej twarzy.

Jest morze, wieczór, dziwna cisza zapada głęboko w serce człowieka, wieczór podryguje w jego duszy jak błękitna rybka z marzeń sennych.

– Niedługo wszędzie księżyc – rzekł Halit.

– Rakı... Klubową! Ale dokładnie taką, jak przyniosłem poprzednio – zakomenderował, jakby był na weselu i raz po raz oddawał z niego strzały.

Czyli klubowa rakı ma kilka rodzajów. W sumie, czemu nie? Wszystko dzieli się na klasy. Kobiety także, czyż nie? Pani Selma, pani Nevzat, Pakize, potem jej starsza siostra... Każda inna. I jeszcze wiele podobnych. Jak kapusta: kolejne warstwy liści. Podchodzi kelner, pokazuje listę.

– Proszę, panie Hayri. Niech pan wybiera przystawki.

Wyrwałem się z zamyślenia.

– Nie, pan lepiej zna to miejsce, proszę coś polecić. Ja znam tylko faszzerowane małże... Kiedyś, gdy sprzedawałem ryby na targu...

Chciałem mówić dalej, że jestem biedakiem, że gdybyście mnie tu nie przyprowadzili, to mógłbym co najwyżej przejść sobie obok miejsca takiego jak to. Ja jestem Hayri İrdal. Człowiek, którego zmarłą przed pięcioma laty małą córeczkę składał do grobu cieć. Najbardziej bezradny typ, jakiego widzieliście. Który jutro ma oddać swoją starszą córkę Chromy'emu Ismailowi, tak, tej szmacie, którą wczoraj skopano w podłej kawiarence. Ale co bym osiągnął, mówiąc to wszystko? Po co psuć tak uroczony wieczór? Los sprawił, że dziś byłem szanownym panem. Trzeba się tym nacieszyć. Zakładam więc nogę na nogę i rozglądam się niezobowiązująco. A może mi się tylko tak wydawało, może miałem wymalowane zmieszanie na twarzy. Zdążyliście się chyba zorientować, że byłem wówczas nieporadnym biedakiem noszącym swoje życie jak wielki garb na plecach.

Kelner nie opuszcza nas nawet na moment. Zwraca się do Halita z takim szacunkiem i sympatią! Wygląda, jakby mu Gabriel dodał skrzydeł. Gdy jego wzrok spotykał się ze wzrokiem Halita, miało się wrażenie, że kelner ze szczęścia zacznie się unosić w powietrzu, wyleci przez okno

restauracji i zacznie krążyć nad morzem, wzleci ponad kopułę Hagi Sofii i wraz z aniołami spojrzy w dół, przez szybkę, i zakrzyknie: „Krwi moja, radości oczu moich!”.

– Doktorze, podsuń kieliszek. Pan też, Hayri, proszę.

Świetnie się znał na rzeczy. Wiedział, jak wydawać polecenia. Ciekawe, czy uczył się aktorstwa. Nie, to nie gra. On po prostu nigdy nie przegrał. Jego życie należało do niego.

– Może lodu? Może jeszcze trochę? Trochę szybciej wypijemy pierwsze kolejki, a potem zwolnimy. W ten sposób będziemy mogli siedzieć tu i bawić się do woli.

Ten stół w niczym nie przypominał lady naszego sklepika. Tutaj trunk miał swój własny czas. Po dodaniu wody raki zabieliła się jak mleko i miałem wrażenie, że w mojej szklance upada marmurowy pałac. Drugiego dnia, gdy Bóg stworzył światło, musiało się to odbywać w podobny sposób. Potem pierwszy czarowny łyk. Rozcieram smak na podniebieniu. Lekkie dotknięcie żywicy. To na pewno nie jest czterdziestkapiątka, do której przywykłem. Po ciele rozlało się nieznane mi dotąd ciepło. Drugi łyk i trzeci. W uszach przytłumione pulsowanie, jak po wejściu do łaźni. Czwarły łyk i kieliszek pusty. Czy to nie za szybko? Może wypadaloby trochę podelektować się smakiem. To, co tu dziś wypiję i zjem, już więcej mi się nie przytrafi.

Halit znowu napelnia kieliszki. Ach, gdyby tak wszyscy jak on kochali zegary i wszyscy byli przyjaciółmi doktora Ramiza... Lód, pękając, narysował marmurowe żyłki na ściankach kieliszka.

– Nic pan nie je, Hayri.

Nie dam rady. Taki już jestem, że gdy stoi przede mną tyle smakołyków naraz, to nie mogę przełknąć nawet kawałka. Doktor Ramiz sobie świetnie radził: porzucił dystyngowaną pozę i objadał się w najlepsze. Talerze paradowały przed nim w równym tempie. Ja przyglądałem się temu spomiędzy kieliszków.

– Psychoanaliza to największy wynalazek naszych czasów.

Halit wyprostował się na te słowa.

– Dajże spokój, doktorze. Do diabła z tą całą psychoanalizą. Teraz czas na raki.

Ramiz bez żalu porzuca swoją ulubioną dziedzinę nauki i bierze się za ostrygi. A właśnie zostało powiedziane dokładnie to, co ja miałem zamiar

wyrzucić z siebie od samego początku, gdy go poznałem, przez ostatnie dziesięć lat. Niestety, w miejscach, do których mnie zapraszał, nie dało się rozmawiać o niczym innym niż ta jego psychoanaliza.

– Wracając do lekcji, której udzielił pan dzisiaj naszemu zegarmistrzowi...

– Może trochę za bardzo, ale on naprawdę zasłużył.

– Tak jest! Pewnie, że zasłużył. I to na więcej.

Halit spojrział mi prosto w oczy, jakby podjął decyzję, że chce mnie całego kupić.

– Gdzie się pan szkolił, Hayri?

– W młodości praktykowałem trochę u mistrza Nuri Efendiego, przyjaciela mojego ojca...

Nie mogłem dokończyć, bo przez lokal przetoczyła się dziesięcioosobowa procesja. Wszystkie oczy skierowały się w ich stronę. Na czele pochodu szedł opasły elegant, taki sam, jakich się widuje na pierwszych stronach gazet. Z daleka pozdrowił dłonią Halita. On zaś uniósł się nieco i odwzajemnił pozdrowienie. Zaczęło się ustawianie stołów, donoszenie krzesel. Kelnerzy zaczęli się przemieszczać jak kule bilardowe. Elegant podszedł do naszego stolika. Połowa przybyłych patrzyła na nas, połowa ustawiła się wokół pustego krzesła, na którym za chwilę usiądzie przewodnik. Nie okazując zdziwienia ani zmieszania, widać przywykli do takich sytuacji, stali sobie swobodnie, czekając, rozmawiając i żartując wesoło.

Mężczyzna podszedł do nas blisko i gestem dłoni powstrzymał Halita od powstania od stołu.

– No i co tam słyhać, panie Halit?

To był głos co się zowie. Jeszcze bardziej władczy i donośny niż samego Halita. Ton, głos, który odpycha i przyciąga, obejmuje i odtrąca jednocześnie. A wszystko za pośrednictwem zaledwie kilku słów. Wtedy stało się dla wszystkich jasne, że Halit jest naprawdę ważnym człowiekiem, ale ten, który go zagadał, jest po stokroć mocniejszy i posiada wielką władzę. Wniosek można było wysnuć nie tyle z tonu rozmowy, ile z postawy obu panów.

– Wszystko w porządku, zdrowie dopisuje...

– A kim są pańscy towarzysze?

Jednym gestem ten ważny człowiek stworzył nas od nowa. Doktor Ramiz i ja zostaliśmy w jednej chwili powołani do życia, jak w Starym Te-

stamencie, tchnięto w nas życie, radość, napojono i odziano zarazem. Najpierw został przedstawiony doktor Ramiz. Potem przyszła kolej na mnie.

– To nasz drogi przyjaciel, pan Hayri Irdal. Najlepszy zegarmistrz pod słońcem, lepszego ze świecą szukać.

Halit był najwyraźniej człowiekiem, który potrafi w chwili obecnej dojrzeć przeszłość i przyszłość jednocześnie. Przedstawił mnie, jakbyśmy znali się od czterdziestu lat. Dzięki takiemu obrotowi sprawy elegant sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego, że mnie poznał. Na twarz wypłynął mu lekki uśmiech. Na chwilę zapatrzył się na kielbki leżące na talerzu. Ja mogłem trochę poczekać, kielbki nie. Bo stygną. Elegant zdjął rękę z ramienia Halita i z niemal dziecinnym wyrazem twarzy sięgnął do talerza i bez skrępowania wziął jedną rybkę i włożył ją sobie do ust. Nie zapomniał jednak o mnie, i nie mógł zapomnieć. Wolną rękę położył mi na ramieniu i spojrzał przyjaźnie prosto w oczy. Miałem wrażenie, że podłoga zapada się pode mną co najmniej na trzy centymetry. Patrzył tak i patrzył. Nie musieliśmy rozmawiać. Rozumieliśmy się bez słów. Polubiliśmy się od razu. Wysunął prawą rękę gestem, jakby chciał pogłaskać włosy kobiety. Kolejna rybka zamieniła się w stos ości. Proces został powtórzony jeszcze kilka razy. Widelec nie był mu potrzebny. Skoro swą bliskość mógł okazywać mi, to czemu nie tym rybkom. Żaden pośrednik nie był mu potrzebny. Widelce są po to, żeby jeść nimi jedzenie, nie takie przekąski, czyż nie?

Po piątej rybce nadal patrzył mi prosto w oczy, jakbym to ja je stworzył, złapał i przyrządził.

– Pyszne... wyborne. Rewelacyjnie przyrządzone. W sumie teraz sezon na nie – rzekł, a na koniec mocno oparłszy się o moje ramię, rozkazał: – Jedzcie koniecznie, to najlepszy czas na kielbki!

W końcu mnie zostawił w spokoju i skierował ponownie swój wzrok na stół. Więcej nie spojrzał w moją stronę. Byliśmy bratnimi duszami od talerza z kielbkami, czyż potrzeba nam było czegoś więcej? Po chwili jego uwagę przykuł talerz z mrożonymi migdałami. Popróbował, wziął więcej, jednocześnie rozmawiając z Halitem. Dziwna to była dyskusja, bo nie słuchał, niewiele mówił, tylko pochłaniał kolejne migdały. Najwidoczniej nie lubił bezczynności, dlatego preferował wykonywanie kilku czynności naraz.

– W najbliższych dniach będę pana musiał nieco pomęczyć – odezwał się Halit.

– A proszę bardzo, choćby jutro przy obiedzie. Niech pan tu wpadnie.

W końcu został zmuszony zabrać rękę z mojego ramienia, ale uczynwszy to, osłodził mi ciężką stratę kolejnym ciepłym spojrzeniem. Wszystkich nas pozostawił z wrażeniem, że jest najlepszym naszym druhem, gotowym rzucić wszystko i biec na pomoc, wiernym i oddanym na wieki, po czym oddalił się do swoich kompanów.

Usiedliśmy na swoich miejscach, Ramiz był cały czerwony z przejęcia. Ja czułem się jak co najmniej w czwartym niebie w objęciach Chrystusa. Czemu nie? Ta bliskość, te komplementy; nawet gdybym był kamieniem, to i tak nie pozostałbym niewzruszony. Spojrzałem na swoje lewe ramię. Miałem wrażenie, że błyszczą jeszcze blaskiem świętości w miejscu, w którym dotknął go znamienity człowiek, jak w książkach ze szkoły podstawowej opowiadających o asyryjskich bóstwach. Co za dzień! Mnie, Hayri Irdala, który wiodę marne życie, spotyka tyle zaszczytów.

Tylko Halit był spokojny, jakby w innym świecie. Siadając, miał taki wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć „Załatwione”. Spojrzał na mnie i rzekł:

– No tak...

Chciał chyba, bym kontynuował swą myśl przerwana nadejściem tamtego, lecz nie byłem w stanie pojąć jego intencji. Moje myśli były daleko od Nuri Efendiego. Ramiz odezwał się niemal natychmiast:

– O tak, to wielki człowiek. Taki przyjacielski i ciepły. Nie sądziłem, że jest właśnie taki.

Halit zamyślił się głęboko.

– O tak, zawsze taki jest. Zawsze przyjazny i z dużym apetytem.

Wzruszył lekko ramionami. Spojrzał na mnie porozumiewawczo i lekko się uśmiechnął – wyprowadziło mnie to z równowagi, ponieważ po krótkiej chwili spędzonej z tamtym człowiekiem czułem się z nim zżyty, zaprzyjaźniony i ogrzany jego wewnętrznym ciepłem. Mówcie, co chcecie, ale czułem się dotknięty, że Halit Regulator pomniejsza jego wartość i nie okazuje należytej sympatii, ale wtedy niewiele znałem, obecnie już świętej pamięci, dobroczyńcę Halita.

– Oczywiście, gdy nie sprawuje władzy. Gdy ją dzierży, nieco się zmienia. I nie mam na myśli apetytu, bo ten jest stały i nieograniczony. To nie jest stan przejściowy przypisany jednostce. Tacy byli wszyscy jego przodkowie i są niemal wszyscy członkowie rodziny. Mówię o komplementach

i okazywaniu przyjaźni. Zresztą gdy jest zajęty rządzeniem – raczej trudno go spotkać. Wtedy bywa raczej na stronach gazet i w wiadomościach, również wtedy, gdy traci urząd...

– Tu przerwał i wyciągnął z kieszeni gazetę. Otworzył ją i pokazał nam zdjęcia jakiegoś człowieka.

– O, to jest ten, który zasiada teraz na miejscu naszego dobrodzieja. Nie dalej jak miesiąc temu spotkali się tu, w tym lokalu. Siedzieliśmy wówczas z dobrodziejem sami przy stoliku, a tamten zjawił się i spędził całe godziny na rozmowie z nami. Wtedy w gazetach były zdjęcia dobrodzieja. Dziwne, prawda?

Słuchałem tego z otwartymi ustami.

– Raczej nie wygląda na kogoś, kto został obalony... – rzekłem po chwili namysłu.

– I nie będzie tak wyglądać. Przywykł do siły, a raczej ona do niego. Chadzają razem ramię w ramię.

Spojrzałem na fotografię w gazecie.

– Faktycznie dziwne. Poza tym są do siebie bardzo podobni – powiedziałem, lekko się jękając z przejęcia.

– Tak, podobni. Mają jedną, silną cechę wspólną: władzę. To jest coś, co staje się częścią osobowości człowieka do tego stopnia, że ani jedno, ani drugie samotnie nie może już funkcjonować – powiedział, wykonując na koniec gest, który miał oznaczać, że trudno to zjawisko jasno wytłumaczyć.

Doktor Ramiz zezował to na byłego prominenta, to na Halita.

– Ale ma klasę, trzeba przyznać. Faktycznie, aż bije od niego siła.

Halit wzruszył ramionami. Podniósł kieliszek.

– Napijmy się!

– Napijmy się.

Więc piliśmy dalej. We mnie zaszła niezwykła zmiana, odkąd mojego ramienia tak poufale dotknęła prawdziwa władza. Czuję się lekki i spokojny. Piłem, śmiałem się i rozmawiałem. Alkohol pootwierał wszystkie zamknięte drzwi w mojej duszy. Z każdym kolejnym kieliszkiem troski, które przygniatały mnie do ziemi, podrywały się stadem czarnych wron, które z wrzaskiem umykają przed meczetowego podwórza. Zdało się, że już nigdy mnie nie obsiadą.

Lekkość, uczucie wygodnej pustki i pełność zarazem – bo puste miejsce po nieszczęściach zajęła czysta radość – oraz niespotykana pewność

siebie, które opanowały mój umysł, musiały spłynąć na mnie, namagne-
sować mnie wraz ze spojrzeniem dobrodzieja i z dotknięciem jego sza-
cownej, ciężkiej ręki.

W dzieciństwie czytano mi dzieje świętych i proroków, prowadzano
do ich grobów, przy których modliłem się, błagałem, płakałem, zabierałem
z pobliza grobowca kamyki na pamiątkę, gdy nie miałem świecy, wiązałem
na balustradkach okalających święte miejsce wyrwany kawałek podszewki
z własnej marynarki. Znałem miejsca pochówku błogosławionych i bo-
haterów: od Eyüpsultan po wzgórze Yuşa, Selamefendi na Kısıklı, Fatih,
Aksaray, Hırkaışerif, Edirnekapı, Ayvansaray, Topkapı, Yedikule, Koca-
mustafapaşa, Türbe, Sirkeci, Eminönü i wszystkie inne dzielnice i zakątki
Stambułu, gdzie mogły spoczywać święte szczątki. Obcowanie z nimi było
niczym wobec jednego spojrzenia wielkiego człowieka władzy w restauracji.

Zwiedzanie świętych miejsc zawsze owocowało jeszcze większą me-
lancholią, poczuciem beznadziei i smutkiem. Żaden z nich nie zrobił dla
mnie nic, nie ruszył palcem, by poprawić mój los. Ani Bukağılı Dede, Ele-
kçi Baba, Uyan Dede, Tezveren Sultan, ani nawet żaden chrześcijański
błogosławiony, śpiący na targanych wichrami wzgórzach Wysp Książęcych.
Inna rzecz, że niemal wszyscy oni wiedli żywot dużo bardziej podły lub
niebezpieczny niż ja; pozostawali daleko od spraw doczesnych i niewielki
mieli wpływ na kształt naszych losów.

Seyit Lutfullah mieszkał sobie w zrujnowanym budynku szkoły przy
meczecie. Yılanlı Dede, który był ponoć mentorem Seyita, choć nigdy ich
razem nie widziałem, spoczywał w piwnicach pod Çukurbostan. Karpuz
Hoca w rozwalonym domu spoczynku na Sütlüce, a Yekçeşim Ali Efendi
miło spędza czas na cmentarzyku w dzielnicy Edirnekapı. Şeyh Mustafa,
Deli Hafiz i Şeyh Virani byli ludźmi tego samego pokroju. Gdy ja zamar-
twiałem się, czy znajdę jedną całą koszulę, by ją włożyć na grzbiet, i mo-
dliłem się o wstawiennictwo i poprawę sytuacji materialnej do Dede Bez-
-Koszuli, on zajmował się darcieciem na strzępy koszul, które otrzymywał
w prezencie. Z pewnością nie ci ludzie, oderwani od przyziemnych spraw
tego świata, mogli cokolwiek poradzić na moje zgryzoty. Zmarli w ogóle
nie zwracali na mnie uwagi, a żywi uczyli cierpliwości i skromności. Była
jeszcze nasza sąsiadka, natchniona pani Emine Yedigelin, którą przez trzy
lata błagałem, aż w końcu zgodziła się potrzymać w ręku los na loterię,
który sobie kupiłem. Po wszystkim powiedziała:

– Uparłeś się, wyprosiłeś, to masz. Pomodliłam się za ciebie i odzyskasz pieniądze, które na to wydałeś, ale więcej mnie o takie rzeczy nie proś, bo to grzech.

Nie mogłem zrozumieć, co jej szkodzi pomodlić się za takiego nieudacznika jak ja, który chce zyskać kilka groszy za ledwie. Prosiłem dalej, żeby wymodliła wszystko, co wydałem przez ostatnie dziesięć lat. Nie chciała o tym słyszeć. Zszedłem do kwoty za ostatni rok, ale była nieubłagana i stwierdziła, że nie ma przyzwolenia świętych. Ostatecznie natchniona postawiła na swoim i stało się tak, jak mówiła: pośród rozkwitających fortun szczęściarzy do mnie wróciła pojedyncza żałosna moneta, jak koza do woza.

Mąż stanu, którego właśnie poznałem, był innego rodzaju: nigdy by nie pozwolił, by jego szacowne zachowanie doznało uszczerbku, nie zlekceważyłby korzystnego wyroku fortuny w imię jakiejś wyższej prawdy, ani też nie zrezygnował z dobrodziejstw życia doczesnego w pogoni za nieskończonością. Był jednostką, która jadła, piła, brała, co jej się spodobało, pełnymi garściami; gdy nie znalazła tego, czego pragnie, smutniała na moment. Był kimś, komu obcy jest ascetyzm i kto wychodzi z najpoważniejszych chorób bez konieczności stosowania diet. Brał, co chciał, tak jak upolował kielbise na moim talerzu, jak dostrzegł i wyłuskał małże z gęsto zastawionego stołu, operując widelcem, jak jastrząb krążący nad polami. On był stworzony do zajęcia, którym się parał. Nie zawahał się zabrać ostatniego małża z talerza biednego Hayriego Irdala, który z pustym żołądkiem przesiaduje pół życia w jakiejś zapyziałej kawiarni. Jednocześnie biedny Hayri jest cały szczęśliwy, a doktor Ramiz, który znał go od lat, patrzył na niego z pożądaniem i z zazdrością. Spotkać takiego człowieka to wielkie szczęście. W ślad za nim muszą przecież nadejść kolejne radosne chwile. I tak się stało w istocie. Następnego dnia, a właściwie jeszcze tego wieczoru moje życie zmieniło się radykalnie i nabrało nowego znaczenia.

Zaczęło się od zrzucenia ciężaru, o którym już wspominałem. Powoli jąła się zmieniać się cała moja filozofia życiowa. Zaczęło zmieniać się moje spojrzenie na świat, postrzeganie przedmiotów i pojmowanie innych ludzi. Nic nie wydarzyło się niespodziewanie i od razu. To był proces, przez który brnąłem powoli i z niejakim trudem. Ale ostatecznie zmiana się dokonała.

Halit Regulator usłyszał tego dnia historię mojego całego życia. Opowiedziałem mu, kilka razy naciskany, by kontynuować – o Nuri Efendim,

Seyicie Lutfullahu, panu Abdüsselamie, Ferhacie, Aristidi Efendim, panu Naşicie i o skarbie Andronikosa. Wzbiłem się na szczyty moich zdolności oratorskich, czując cały czas na ramieniu ciężar ręki ważnego człowieka i z tej świadomości czerpiąc siłę i natchnienie. Dodałem nawet kilka szczegółów, o których nikt nie wiedział.

– Dwadzieścia siedem namiotów na złotych stelażach, wewnątrz wszystko ze złota i srebra, wysadzone szlachetnymi kamieniami i perłami. Prócz tego masa skrzyń pełnych kosztowności, strojów, ozdób, pierścionków, diademów i talizmanów przeciw złemu oku...

Halit roześmiał się w głos.

– To akurat niemożliwe, Bizantyjczycy nie używali oka proroka. To nasza specjalność...

Mogłem się zastanowić. Jaki jest odpowiednik takiego talizmanu u niewiernych? Oko proroka to faktycznie nasza specjalność...

– No tak, ale oni też nosili coś, co odwracało zły urok i chroniło przed złym spojrzeniem. Słyszałem od Seyita, że w chrześcijańskich krajach mają takie specjalne modlitwy i zaklęcia oraz przedmioty, które stosuje się na uroki. To miałem na myśli.

Halit nie dał wiary opowieściom Seyita. Skupił się bardziej na Nuri Efendim. Słuchał, ale nie okazywał szczególnego zainteresowania recepturom czy przepisom ze starych ksiąg. Najbardziej zaintrygowało go to, że mój mentor był zegarmistrzem. Nie miałem wyboru, więc skupiłem się na tej właśnie części mojej opowieści.

– To niesłychane... Ach, gdybyśmy mieli takiego człowieka pośród nas. Takiego filozofa nam trzeba. Filozofia czasu. Rozumie pan? Czas i filozofia pracy... Pan też jest filozofem, Hayri. I to prawdziwym! – mówił podekscytowany.

Ale ja go nie słuchałem. Wstałem i wykonując zamaszyste gesty, opowiadałem dalej.

– Proszę spojrzeć tam, na stole dygnitarza talerze aż podskakują!

Istotnie pod wpływem silniejszego powiewu talerze zadrgały. Siedzący przy stole, zamiast się przestraszyć czy zerwać do ucieczki, wybuchali radosnym śmiechem, jak gdyby byli opętani przez dzina. Mój zryw zgrał się z falującymi talerzami i rozweselił wszystkich jeszcze bardziej. Teraz wszystkie oczy skierowano na mnie i śmiano się do rozpuku.

Halit próbował mnie uspokoić.

– Niech pan tego nie bierze do siebie. Faik już taki jest. Dokądkolwiek idzie, zawsze urządza sobie jakieś zabawy w tym stylu.

– Nie, to nieprawda! Oszukuje mnie pan. Jestem pijany i właśnie zobaczyłem skarb Andronikosa pod wodą. Ja już muszę do domu...

Naprawdę chciałem już iść. Miałem dosyć tej zabawy i otoczenia, do którego nie pasowałem. Pragnąłem zamknąć się we własnym mieszkaniu, wraz ze wszystkimi zgryzotami, biedą, pośród sprzętów, które dobrze znałem.

– Skoro tak, to wszyscy idziemy. A na pijanego wcale pan nie wygląda. I nie jest pan. A nawet jeśli trochę, to zaraz pan otrzeźwieje. Jakże to tak, kończyć piękny wieczór? Niechże pan siada i opowie mi o tym liście, przesłaniu od jednego mistrza do drugiego. Ale najpierw napijmy się.

Ramiz powtórzył jak echo:

– Napijmy się.

Wychyliłem szklaneczkę, ale czułem narastający niepokój. Starąłem się z całych sił zaspokoić ciekawość Halita.

– Dawne zegary wszystkie były wykonywane ręcznie. Zegarmistrzowie znali się więc także na stopach metali i przede wszystkim byli jubilerami. Dlatego ich dzieła bardzo często były inkrustowane cennym kruszcem i kamieniami, grawerowane i zdobione wymyślnie. Najpiękniejsze zdobienia znajdowały się w środku, tak że oglądać je mogli tylko koledzy po fachu, gdy otworzyli obudowę, chcąc dostać się do mechanizmu. Dlatego Nuri Efendi mówił o nich, że to są listy mistrza do mistrza. W pana zegarku jest to samo: kobieta w hełmie i potwór kładący łapsko na jej ramieniu... Drugą połowę, żonę pańskiego zegarka, widziałem kiedyś u mojego mistrza...

– Mówi pan o Atenie i Herkulesie... – wtrącił Halit i po chwili dodał: – Faktycznie, tylko zegarmistrz mógł to zauważyć.

Nie namyślając się długo, podniósł szklaneczkę:

– Wypijmy. I to za pana zdrowie, Hayri. Ale niechże się pan tak nie krzywi. Bezrobocie i problemy nie powinny odbierać nam chęci do zabawy.

– Chciałbym tak myśleć jak pan...

– Kiedyś będzie pan tak myślał. A tymczasem proszę mi opowiedzieć, czym jeszcze parął się pan w swoim życiu.

Opowiedziałem o domu, żonie, szwagierkach i dzieciach. Doktor Ramiz skomentował kilka faktów, a gdy skończyłem, Halit przyjrzał mi się bardzo uważnie.

– To najbardziej naturalny stan rzeczy na świecie. Nie ma pan pieniędzy, na karku żonę, dzieci i trzy kobiety w domu. Kondycja rodziny też nie do pozazdroszczenia. Wszystko sprowadza się do braku środków.

Gdy to tak ładnie ubrał w okrągłe zdania, rzeczywistość stała się prostsza. Pieniądze, szwagierki, jedzenie, picie. Czekałem tylko, aż powie, że to się da rozwiązać za pomocą nowej ustawy czy zarządzenia.

– Ale jeszcze miałbym oddać córkę Chromy'emu Ismailowi?

– Ależ oczywiście, że nie. Z tego co pan mówił, dziewczyna to jeszcze dziecko, do tego urodziwe. Nie może jej pan oddać.

Znowu poczułem, że zmierzam w ślepy zaułek.

– No to co mam robić?

– Mąż się znajdzie odpowiedniejszy.

– A szwagierki? Mają już swoje lata. Zwłaszcza melomanka... któż ją zechce wziąć?

Halit chwilę pomilczał.

– Z tego co pan mówi, wynika, że to faktycznie może być problem. Ale kto wie. Gdyby zyskała sławę w radiu... Albo jako śpiewaczka w kasynach. Na wszystko można znaleźć sposób. Wystarczy delikatne muśnięcie fortuny, trochę wysiłku i przedsiębiorczości, zmiana sposobu myślenia i wszystko się układa.

– Przyznaję, że w ten sposób nie myślałem. Wydawało mi się, że jedyną rzeczą, która może przynieść zmiany, jest śmiertelna choroba, która zabierze wszystkich domowników, albo może jakiś kataklizm...

– Błąd, błąd... Czego pan chce od siebie i rodziny? Z pana relacji wynika, że wszyscy jesteście ludźmi ambitnymi i pełnymi chęci do życia. Czyli każde z was nosi w sobie potencjał, który należy jedynie wydobyć. Żadne z was nie chce się zgodzić na życie, które wiecie.

– To na pewno! Moja żona widzi się w Hollywood, jej siostra uważa się za wybitną śpiewaczkę, a młodsza...

– Tak jest, dokładnie! Prócz tego każda z osobna i wszystkie naraz są złe na pana, że pan ich nie rozumie.

Skuliłem się przytłoczony. Miałem nadzieję, że przynajmniej w tej kwestii mnie zrozumie. Sześć godzin z nim siedzę i rozmawiam, opowiadam, a ten człowiek, którego tak podziwiałem, jest po prostu obłąkany... Żeby mi to udowodnić, nie musiał już rzucać mi się do gardła czy rozebrać publicznie. Halit mówił dalej, załamując mnie jeszcze bardziej.

– Kobiety są złe, że ich pan nie rozumie. I to jest całkowicie uprawnione. Pan wybaczy dosadność, ale nie ma pan za grosz doświadczenia z ludźmi i życiem w ogóle. Przypomina pan armię, która czuje się przegrana, zanim pójdzie na wojnę. Leży pan tam, gdzie go skopano.

Po takim podsumowaniu nie pozostało mi już nic innego, jak tylko pić. Całe szczęście alkoholu nie brakowało. Mogłem sobie do woli świętować.

– I jeszcze deprymuje pan starszą szwagierkę, negując jej talent muzyczny...

Postawiłem szklankę. Niech się dzieje, co chce, ale w imię rozumu i logiki po raz ostatni podejmę próbę wyjaśnienia czegokolwiek. Potem się słowem nie odezwę!

– Ależ co pan, jaki talent? Jaki muzyczny? Skrzeczy okropnie, głosu nie ma, talentu za grosz i jeszcze niepiśmienna. Może faktycznie nie jest brzydka, chociaż według mnie jest, ale powiedzmy, że to trochę przeczyłem. Ale muzyka w jej wykonaniu. Ona nie ma słuchu. Z pewnością nie jest muzykalna.

Halit wziął papierosa dla siebie i jednego podał mnie. Zapatrzył się w tarczę księżycy, która właśnie zawisała nad morzem. Wytężył słuch, by zrozumieć, o co toczy się spór przy sąsiednim stoliku, wzruszył ramionami i zwrócił się do mnie:

– Piękna z pewnością nie jest, Hayri. Ja już znam pana życie. Pan się zna na urodzie kobiet, ale nie na sztuce, zwłaszcza dzisiejszej. To po pierwsze kwestia tego, co lubi, a czego nie lubi tłum. Nikt nie wie, co mu się podoba. Dodatkowo musimy pamiętać, że jest to tłum żyjący w poczuciu beznadziei. To, co nazywamy przyjemnością, składa się z wielu czynników, takich jak intuicja i łatwość dostępu. Gdy nie możemy osiągnąć satysfakcji pożądanej intuicyjnie, poprzestajemy na tym, co łatwo dostępne. Gdy te dwa elementy się pomiesza, rodzą się rozczarowanie i beznadzieja. Gdy mówimy o muzyce, to po pierwsze zadajemy sobie pytanie, o jaką muzykę chodzi. Gdy się je raz zada, to nie ma już miejsca na przyjemność. Żyjemy w erze radiowej. Słuchamy muzyki, jakby to była rzadkość. Dawne melodie dotyczyły naszych uczuć, romantyzmu, opowiadały o problemach natury materialnej, o mającej nadejść wojnie. Proszę połączyć to z tłumem... Nie, ja jestem pewien, że kobieta, o której mówimy, mogłaby w obecnych czasach w ciągu kilku dni zawojować cały Stambuł. Problem byłby poważny, gdyby miła szwagierka rozkoszowała się w muzyce zachodniej, bo tej faktycznie uczyć się trzeba latami.

Patrzył na mnie jakiś czas. Byłem zupełnie skonfundowany.

– Nikt nie traktuje takich spraw poważnie. Oczywiście nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Czy pan tego nie rozumie?

– Jak to niepoważnie? Wariują.

– To zrozumiałe... Chcą przydać swemu życiu trochę dramatyzmu i egzaltacji. Każdy wypełnia pustki we własnej duszy uczuciami, bo to najprostsze, dodaje kolorytu życiu, ale piosenki śpiewa dla nich samych, nie dla muzyki jako takiej. Biedny Hayri, dziwny z pana człowiek. Pański system wartości pochodzi z dawnych czasów. Pan operuje takimi pojęciami, jak list mistrza do mistrza. Niestety, już minął ten okres klasyczny. Kogo próbuje naśladować szwagierka?

– Niemal wszystkich popularnych pieśniarzy. Ale śpiewa ich jednym głosem, w jednej tonacji, w ten sam sposób...

– To oznacza, że stworzyła swój własny, nowy styl. Niech pan uważa. Oryginalny i nowy styl. Gdy go odkryła, nie szukała niczego więcej. Teraz tylko należało odkryć sposób realizacji. Co woli, klasykę turecką czy ludową? Może ludową z elementami muzyki zachodniej czy też zachodnie kawałki na modłę ludową? Tu, przy tym stole, tego nie rozwiążemy. A jeśli chodzi o wątpliwą barwę głosu – tu Halit skrzywił się wyraźnie i zrobił gest, jakby dotykał przeciętnej jakości materiału – da sobie radę, wykonując wiejskie przyśpiewki w stylu lekko zachodnim... Tak sędzę. Powinna poradzić sobie z tureckimi tangami. I niektórymi innymi piosenkami.

Spojrzał na mnie uważnie po raz kolejny.

– Myślę, że to jest cały problem. Pan ma problem z ogólnie pojętą przedsiębiorczością. I jest pan idealistą. Nie postrzega pan świata realistycznie. Z pana jest stary typ człowieka. Szkoda, wielka szkoda! Gdyby zdecydował się pan nieco trzeźwiej spojrzeć na pewne sprawy, to kilka problemów by się rozwiązało.

Tego było za wiele.

– Ja nie jestem realistą? Gdybym nie był, to czy opowiedziałbym panu wszystkie te historie w taki sposób, w jaki tego właśnie dokonałem? Mówiąc o szwagierce, zdradziłem choć cię nadziei, że faktycznie może być piosenkarką? Czy coś dodałem od siebie? Pomiąłem, zignorowałem jakąś cechę jej charakteru? Myślę, że należę do ludzi, którzy widzą rzeczy dokładnie takimi, jakimi one są. Jestem realistą aż za bardzo, że aż mi z tym źle.

Zaśmiał się. Przy stoliku obok ktoś zaczął nadmiernie gestykulować. Halit wychylił kolejny łyk.

– Zostawmy już ten temat, bo zaraz dołączymy do tych tutaj obok. Wieczór wygląda na raczej udany... To znaczy tak się zapowiadał od razu. Widzi pan, ja już podjąłem decyzję. Będziemy razem pracować. Dlatego musimy się dobrze rozumieć. Być realistą to niekoniecznie znaczy widzieć rzeczy dokładnie takimi, jakimi są. Powiedziałbym raczej, że jest to umiejętność przedstawienia sytuacji w najbardziej korzystnym dla nas świetle. Co pan z tego ma, że dojrzał nagą prawdę? Co z tego, że stworzy pan jakieś prawdy, skoro same w sobie nie mają znaczenia ani realnej wartości? Co panu po niekończącej się liście braków i niespełnionych pragnień? Będzie się pan czuł mniejszy, nieszczęśliwszy. Widzieć czystą prawdę często znaczy cierpieć i stwarzać problemy. Właściwie stąd biorą się sztuczne problemy. Pan jesteś człowiek starej epoki. Czym innym jest realizm człowieka nowoczesnego. Trzeba sobie zadać pytania w stylu: co mogę w tej sytuacji uzyskać dla siebie, co mogę w tej sytuacji zrobić. To są pytania właściwe. Na przykładzie pana szwagierki: oceniając ją, wyszedł pan od pojęcia idei muzyki, muzyki jako takiej w pojęciu idealistycznym. A gdyby pan sobie to darował i spojrzął z prostego punktu widzenia kobiety, to o ile prostsze byłoby całe to zagadnienie. Gdyby Newton spadające mu na głowę jabłko oceniał jako owoc, to być może wyrzuciłby precz jako robaczywe. Ale on uczynił inaczej. Pomyślał, co mu daje fakt, że jabłko spada. W jaki sposób z tego faktu może skorzystać. Niech pan postępuje tak samo. Moja szwagierka nie chce myśleć o niczym innym, tylko o śpiewie. Więc mam w ręku dwie wartości: szwagierkę i muzykę. Na temat pierwszej zdania pan raczej nie zmieni i nic z nią nie robi, więc pozostaje druga. Jaka muzyka odpowiada szwagierce? O tym niech pan raczej pomyśli. Nie będzie pan przecież tkwił w ślepym zaułku przez całą wieczność. Oczywiście, że nie...

W tym momencie wyobraziłem sobie siostrę mojej żony siedzącą na kamieniu w zaułku za naszym domem, w ślepej uliczce Kamburkarga, jak śpiewa i gra na lutni.

– Oczywiście, że nie... po tysiącokroć nie – rzekłem z zapałem.

– Może pan to zmienić?

Aż podskoczyłem.

– Ależ to niemożliwe! W żadnym wypadku niemożliwe!

– Musi pan w takim razie postępować tak, jak ja mówię. Czasami wystarczy czegoś bardzo mocno pragnąć. Życie pędzi przed siebie, panie Hayri. Niech się pan nie zatruwa pojęciami, które zna pan od zawsze. Życie codziennie odkrywa coś nowego. Niech pan tylko posłucha: ja pięć godzin temu okryłem pana, a teraz odkrywam pana szwagierkę.

– Niech panu Allach sprzyja...

W istocie nie miałem do powiedzenia nic więcej, jak dziękuję. Odkryłem moją szwagierkę. Co za szczęście niepojęte. Każe mi myśleć odwrotnie, niż to czynię od urodzenia. Jakoś niezbyt chętnie to przyjąłem. Upieram się. Ile z tego skorzystałem? Moje życie to jeden wielki wstyd. Może jednak spróbować? Co mam do stracenia?

Zebrałem siły na ostatni protest.

– Ach, gdyby jej pan wysłuchał, gdyby widział, jak pot się z niej ulewa jak z beczki, jak wybija rytm paluchami, chwieje się na czerwonych szpilkach i wyje zasłyszaną piosenkę...

Halit spojrział na mnie po przyjacielsku.

– Czyli stuka palcami, fantastycznie. To znaczy, że sama wierzy w swój sukces. Pomyśl, mój drogi: gdyby zamiast wybijać rytm szarpała szal albo miętosiła chusteczkę, to byłaby porażka. Cóż może być lepszego? Śpiewając, ma obydwie ręce wolne. Może nimi pomachać do słuchaczy. Podziękować za brawa... Posiadł pan wielki skarb i nawet tego nie zauważa. Więc zbierzmy, co mamy: brzydka, czyli wedle dzisiejszych standardów sympatyczna. Brak jej talentu, czyli jest... oryginalna. Ma brzydki głos, czyli jest wzruszająca i w pewnych sytuacjach może być użyteczna. Jutro się nią zajmę. Od jutra pana szwagierka będzie gwiazdą na scenie, będą o niej pisać gazety.

Z tego wieczoru zapamiętałem dokładnie tyle i nic więcej. I jeszcze ostatnie zdanie do Halita: „Przyrzeknij, bo jutro zapomnisz...”. Potem nastąpiła pustka. Następną sceną, jaką ujrzałem, to ja siedzący przy stole, a naprzeciwko mnie jakiś partner do gry. Poranek był mglisty, słodki i niewinny. Nadal paliły się uliczne latarnie, których blednące światełka przecinał leki wiatr wpadający przez otwarte okno i odgłosy budzących się do życia silników. Czułem się niesamowicie lekki. Wszystko jedno, czy Halit dotrzyma czy nie dotrzyma, wczoraj danego słowa. Najważniejsze, że otworzył mi oczy na nowy sposób patrzenia na świat.

Halit Regulator dotrzymał słowa. Już w tym samym tygodniu szwagierka miała okazję zaśpiewać na scenie w niewielkim kasynie. Na widowni siedzieliśmy wszyscy: Pakize z drugą siostrą, doktor Ramiz i Halit. To było prawdziwe zwycięstwo. Halit Regulator, jakby chcąc udowodnić mi, że prawdą było wszystko, co obiecał tamtego wieczoru, zadbał, by sala była pełna widzów. Moja szwagierka była szaleńczo oklaskiwana przy każdym niemal bąknięciu. Ja, zawstydzony do granic, próbowałem się zapaść pod ziemię, stopić z krzesłem, gdy po sali przetaczały się okrzyki: „Niech żyje!” pomieszane z obłąkańczym aplauzem. Pakize co chwila pytała: „I jak?”. Halit Regulator nie odezwał się słowem, aż do wyjścia.

– Tak jak przypuszczałem. Pana szwagierka odniesie wielki sukces. Musi pan zacząć wierzyć w życie, Hayri. Pan podchodził do zagadnienia, stosując kryteria muzyki jako takiej, a tu chodzi o coś innego. Widział pan, jak się jej występ spodobał? To było spotkanie żywych ludzi z żywym człowiekiem uprawiającym muzykę. Pana klasyczne i perfekcjonistyczne podejście nigdy nie zyskałoby takiego uznania. Od dziś ma dziewczyna drogę otwartą. Zobacz pan, czego jeszcze dokona.

Na tym nie poprzestał. W tych samych dniach został otwarty Instytut Regulacji Zegarów z siedzibą w niewielkim biurze niedaleko ratusza. Pewnego dnia zjawiłem się w drzwiach Instytutu w nowym garniturze przysłanym mi przez Halita. W progu powitał mnie służący, mądry człowiek w dość zaawansowanym wieku. W gabinecie siedziała szefowa biura, pani Nermin. Przyjęła mnie tak, jakbyśmy się dobrze znali i lubili od czterdziestu lat. Pokazała mi moje biurko, nawet na chwilę nie porzucając robótki. Tego dnia dokładnie poznałem sposób bycia i mówienia pani Nermin. Mówiła bez przerwy, a gdy siedziała sama, była zajęta robótką. Nie przypominała żadnej z kobiet, które poznałem w swoim życiu. Wystarczyło na nią spojrzeć, by od razu zaprzyjaźnić się z nią na lata. Nie miała w zwyczaju kogokolwiek denerwować. Nie miała żadnych tajemnic. Nienawidziła ciszy. Miała trzech mężów i z każdym rozstawała się w wielkiej przyjaźni i zgodzie. Nadal utrzymywała z nimi stosunki towarzyskie.

– Ależ panu ładnie w tym garniturze. Gdy pan Halit mi pana opisywał, od razu wiedziałam, że będzie panu ładnie. Tylko buty trzeba trochę wypastować. I jeszcze niech pan zmieni fryzjera, bo obecny raczej nie zna

się na swoim fachu. Cieszę się, że mam takiego przyjaciela w panu. Bardzo się bałam, gdy wuj poprosił mnie o przyjęcie tej funkcji w Instytucie. Jak się słyszy takie słowa jak departament, to się człowiek zaczyna obawiać. Myślę sobie, że będzie tam pełno nowych, nieznanymi mi ludzi, będzie mi źle, czy coś. Ale jak pana poznałam, no i jak wcześniej słyszałam o panu, to od razu mi lżej. I wiek, i powierzchowność ma pan takie do zaprzyjaźniania. Mój mąż nie będzie zazdrosny. Poza tym inteligentny mężczyzna w dzisiejszych czasach nie jest zazdrosny o żonę. Teraz małżeństwo jest instytucją opartą na przyjaźni. Ale że świadomość naszych mężczyzn jeszcze nie dotarła do tego pułapu... Ja sama mam trochę dosyć. Kiedyś rozwód był prostą sprawą, a teraz nagle się wszystko pokomplikowało. Sędziowie zachowują się jak rozjemcy, próbują pogodzić małżonków i przedłużają proces. Z pierwszym mężem rozwiodłam się, zanim zorientowałam się, co zrobił. Z drugim dwa lata wozłam się po sądach. I jeszcze nałożyli na mnie zakaz wychodzenia za mąż przez okrągły rok. Z trzecim mężem było naprawdę ciężko. Wie pan, my tworzymy teraz sekretariat, ale jak tylko mój kuzyn wszystko do końca urządzi, pan będzie asystentem dyrektora generalnego, a ja szefową biura. Wuj Halit jest twórcą, organizatorem. Ma przygotowany niesamowity projekt. Obydwoje mieszkamy na Şişli, dlatego jedzenie przygotowuję sobie wcześniej. Pan też może sobie przynosić coś na obiad, żeby potem nie szukać po okolicy czegoś na ząb. Moja teściowa bardzo lubi gotować. I żeby się mnie pozbyć z kuchni, będzie nam przysyłać tacę za tacą, danie za daniem, żebym tylko sama się tam nie pokazywała. Tak po prawdzie, to chciałam, żeby to ona przyjęła tę posadę, ale wuj Halit stwierdził, że to nowoczesne przedsiębiorstwo i że bardziej tu pasuje młody personel. Chociaż dzisiaj to trudno rozróżnić, kto stary, kto młody. Sukienki i włosy nosimy trochę krótsze, nawet bere-ty są teraz w modzie... A moja koleżanka ma męża, który interesuje się tylko młodymi dziewczynami. Biedaczka nie wie, co począć. No to jej doradziłam: pożycz fartuszek od licealistki, na głowę włóż kaszkiet... Z początku się opierała, że co to za pomysł, a teraz jej mąż z domu nie wychodzi. Och, jak dobrze, że to z panem teraz będę pracować. Pomyślałam rano, że jeśli pan nie będzie mógł trafić do biura, to ja po pana podjadę automobilem. Potem pomyślałam, że może się to pana żonie nie spodobać, i zrezygnowałam. Wuj mówił, że pan dobrze wróży. Bardzo mnie to ucieszyło. Będzie mi pan wróżyć każdego dnia, dobrze?

I taka to właśnie była pani Nermin. Najciekawsze było to, że rozwodziła się trzy razy, ponieważ to jej się coś nie podobało. Zważywszy na jej gadatliwość, wszyscy trzej biedacy z pewnością także o tym myśleli. Nermin była kobietą, której nie zamykają się usta przez dwanaście godzin na dobę.

Całe nasze biuro składało się z dwóch pokoi. W pierwszym z nich siedzieliśmy ja i Nermin, biurko w biurko. Z naszego pokoju można było przejść do gabinetu Halita Regulatora. Istniała ogromna różnica pomiędzy tymi dwoma, dość zwyczajnie umeblowanymi pokojami w jednym z najnowocześniejszych budynków Stambułu, w którym mieścił się Instytut. Nie pasowało tu nawet słowo postęp. To były dwa odrębne światy.

Spytałem panią Nermin, na czym właściwie polega nasza praca. Z gąszczu informacji na temat żony i wszystkich krewnych pana Halita wyluskałem komunikat, że na razie nie mamy nic do roboty, jak tylko czekać na przyjscie szefa. W ten sposób minął nam pierwszy miesiąc pracy. Pan Halit dzwonił raz na jakiś czas, pytał o nasze zdrowie i ogólne samopoczucie, zlecał kontynuowanie zajęć, uzupełnianie ewentualnych braków w wyposażeniu biura oraz dokupowanie materiałów piśmienniczych. Pod koniec miesiąca dostarczono nam porządne zasłony i maszyny do pisania.

W połowie drugiego miesiąca Halit Regulator pojawił się w biurze. Powtórzyliśmy wszystkie slogany Nuri Efendiego, jakie zapamiętałem: „Żelazo samo z siebie nie podda się regulacji”, „Regulacja czasu to pogoń za sekundą”. Niektóre maksymy Halit mieszał z własnymi przemyśleniami na temat czasu, o nieco bogatszym zakresie znaczeniowym. Na przykład: „Wspólnota czasu jest wspólnotą pracy”, „Prawdziwe człowieczeństwo jest świadomością czasu”, „Droga do prosperity wiedzie szlakiem dobrze rozumianej idei czasu” i temu podobne stwierdzenia.

Przyszedł czas, by wszystkie te maksymy zebrać i opublikować. Drukowaliśmy tysiące egzemplarzy i dystrybuowaliśmy je na terenie całego miasta.

Pod koniec trzeciego miesiąca Halit Regulator obwieścił nam dobrą nowinę: oto okres organizacji Instytutu zakończył się powodzeniem. Po czym zajął się spisywaniem myśli przewodnich. W ten oto sposób Instytut, który początkowo nie miał nic do roboty, zaczął funkcjonować jako odrębny byt, wokół którego było coraz więcej pracy.

Te trzy miesiące były dla mnie absolutnie wyjątkowe i nigdy ich nie zapomnę. Był to okres nieustannej radości, spokoju, a jednocześnie strachu przed utratą szczęścia, które spadło na mnie nieoczekiwanie, oraz wątpli-

wości i poczucia utraty celu sprzed oczu, który i tak nie był dla mnie zbyt jasny. Znowu miałem stałą pracę, otrzymywałem wcale zadowalające wynagrodzenie i uskrzydłony tym szczęściem pędziłem codziennie do pracy, mając wrażenie, że ciągle śnię. Skończyło się bieganie to tu, to tam, picie kawki i nadzieja, że spotkam tego czy owego i coś z tego będę miał. Pozbyłem się przygniatającego bagażu pytań o to, co będę robić jutro. Nie wracałem do domu jako nieudacznik, na ulicy nie spotykałem wierzycieli, nie musiałem wysłuchiwać uwag o mojej niezaradności życiowej. Cały dzień spędzałem w biurze, więc unikałem przypadkowych spotkań z dawnymi znajomymi, którzy na mój widok przechodzili na drugą stronę ulicy. Zacząłem nowe życie. Mogłem się zaliczyć do najlepszych, najszczęśliwszych ludzi na ziemi. Czułem w sobie wielką siłę, góry chciałem przenosić.

Ale tu powstał pewien problem: miałem pracę, ale nic do roboty. Nigdy do tej pory nie byłem w takiej sytuacji. Nie potrafiłem odnaleźć związku między tym, czym się zajmuję, i otaczającą mnie rzeczywistością. Gdy byłem członkiem Klubu Spirytystycznego, mogłem przynajmniej uczciwie powiedzieć, że pełnię pewną funkcję służebną wobec grupy ludzi, których bawi okłamywanie siebie samych i siebie nawzajem. Jakkolwiek komicznie to brzmi, jest przynajmniej konkretem. Teraz tego elementu zabrakło. Tutaj zaistniało coś, co urodziło się z kilku zaledwie słów. Jak bajka. Coś niecoś opowiedziałem panu Halitowi. Halit przyjrzał się zegarom, z których każdy chodził, jak chciał, i zdał sobie sprawę, że sam nie ma się czym zająć. W następnej chwili kilka osób uwierzyło w to, co im powiedział. Zdarzyło się też w owym czasie z powodu braku synchronizacji miejskich zegarów, że pewni ważni ludzie nie mogli być na pogrzebie innego ważnego człowieka. W ciągu dziesięciu dni znaleziono nam piękną, nową siedzibę, ustalono wynagrodzenia, wyposażono biuro i jakby tego było mało, uzupełniono wszystkie braki w materiałach papierniczych. Ale czy z tego miała być praca? Jakie miało być miejsce Instytutu w rzeczywistości? Najgorsze jednak było to, że Halit prawie się nie pojawiał w biurze. Jego obecność dodałaby nam odwagi i przydała powagi. Może byłoby wówczas coś do roboty. Niestety, nie miał w zwyczaju przychodzić. Tylko dzwonił i pytał o zdrowie i nowiny, wydawał jakieś małe polecenia.

Z czasem było co opowiadać. Pani Nermin wciąż rozwodziła się o nowym oddziale, o fantastycznej kadrze. Gdy ja kontemplowałem bezsens przesiadywania w małym pokoiku dziwnego biura, Nermin opowiadała

o wielkich planach wuja Halita, o nowych projektach, departamentach i oddziałach. Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, powiedziałbym, że nasz Instytut powinien trochę zwolnić tempo rozwoju. Powinniśmy jak najbardziej pozostać w cieniu. Co miesiąc odbierać pensję i czekać do następnej. Ale niestety, tak się nie dało. Ostatnimi czasy Halit Regulator posyłał nam projekty pism, listy do różnych instytucji i ludzi, kazał je rozsyłać, wymagał, by biuro było odpowiednio wyposażone i umeblowane. Na koniec postanowił się skupić na moim wyglądzie zewnętrznym, tak jakbym miał wystąpić na scenie. Pewnego dnia, gdy dyktował mi list, którego wysłaniem miała się zająć pani Nermin, zlustrował mnie od stóp do głów. Kazał napisać, że tak szacowna instytucja jak Instytut Regulacji Zegarów wymaga poważnego budżetu, poważnego traktowania, w pełni wykwalifikowanej, licznej kadry, dlatego żąda wyznaczenia daty spotkania z sekretarzem i głównym księgowym.

Najśmieszniejsze, że już trzy dni później otrzymaliśmy odpowiedź, że istnieje tyle to a tyle takich a takich przeszkód natury obiektywnej, jednakże zostaną podjęte pewne działania w celu zaspokojenia naszych potrzeb. Jeszcze dzień nie minął, a zaczęto znosić do naszego biura nowe sprzęty i urządzenia biurowe. Wymieniono wykładzinę na podłodze i postawiono mi na biurku telefon – tak jakby piętnaście kroków do aparatu sprawiało wielki problem. Kolejnego dnia otrzymaliśmy pół tuzina lampek nocnych. Potem wymieniono stoły. Halit Regulator dostał wysokiej klasy biurko amerykańskie, ja nieco skromniejszy mebel, a pani Nermin sekretarzyk tak polakierowany, że można się na nim ślizgać. Halit wiedział dokładnie, kiedy sprzęty zostaną przyniesione. Dzwonił wtedy, kiedy trzeba, i dawał wskazówki, co gdzie ma stać: czarny elegancki zestaw piśmienniczy, lampki i ołówki.

Zacząłem odnosić wrażenie, że gdyby nie jakieś tajemnicze magazyny i biura logistyczne, które nas doposazają, nie mielibyśmy nic do roboty. Nie byłem żadnym zastępcą dyrektora, ale pobierałem pensję godną trzech służących czy niższych rangą urzędników. Umierałem ze strachu, że to w pewnym momencie stracę.

Podczas jednej z rozmów telefonicznych z szefem próbowałem mu to delikatnie wyjaśnić. Wysłuchał mnie do końca, po czym rzekł:

– Drogi panie Hayri. Idąc prosto czy klucząc, zawsze dochodzimy w to samo miejsce. Niech pan będzie realistą – po czym odłożył słuchawkę.

Przypomniały mi się jego słowa z restauracji w Büyükdere. Teraz słyszałem, jak z trudem powstrzymywał śmiech. Po godzinie znowu zadzwonił.

– Nadal boi się pan, że straci swoją małą pensyjkę? Niech pan porzuci te myśli i będzie realistą! – i znowu się rozłączył.

Nie kryłem swoich rozterek przed panią Nermin. Tłumaczyłem jej – gdy tylko dawała mi dojść do głosu – że tak może już zawsze wyglądać nasza praca i dobrze się to nie skończy. Ona jednak święcie ufała wujowi.

– Halit nie może się mylić, on jest sprawnym przedsiębiorcą. Nie angażuje się w interesy, w które z całą mocą nie wierzy. Pan jeszcze nie poznał dobrze mojego wuja.

– To dlaczego tu nie bywa?

– Będzie bywał, tylko wszystko ładnie poustawia. Jutro jedzie do Ankary rozmawiać o naszych sprawach.

Ja zaś pomyślałem: „A jeśli nie wyjaśni, nie porozmawia?”. Oprócz modlitwy niewiele jednak mogłem zrobić.

Moje wątpliwości wyraźnie nadszarpnęły jej pewność siebie i wyznała:

– Ja aż tak nie potrzebuję pieniędzy, ale nie chciałabym wracać do domu, zajmować się domem i zamykać się w nim znowu, z dala od prawdziwego życia, mieszkać z teściową... To dobra kobieta, ale nie można z nią normalnie pogadać. Od razu ucieka. Czy człowiek może tyle milczeć? Odkąd zaczęłam tu pracować, bardzo się zmieniła. Wzięła na siebie wszystkie domowe obowiązki...

Nermin w niczym mnie nie przypominała. Jej gadanina była czymś zupełnie innym niż moje przemyślenia wypowiedziane na głos. Skakała z tematu na temat, jak wróbel z gałęzi na gałąź. Po trzecim wypowiedzianym zdaniu zapominała, o co chodziło jej w pierwszym. Jej życie umykało pomiędzy językiem a wargami niemal wiecznie otwartych ust. Wspominając o stosunkach z teściową, przeskakuje na opowieść o pierwszym mężu, po czym płynnie przechodzi do własnego dzieciństwa spędzonego w dzielnicy Küçük Mustafa Paşa i pyta, czy jest jej do twarzy w nowo kupionym kapeluszu...

A wszystko to okraszone krótszymi bądź dłuższymi dygresjami. Większość opowieści rozpoczynała pytaniem: „A może pan zna...” i tu następowała litania co najmniej dwudziestu nazwisk. Bardzo była zawiedziona, że nie znam tych wszystkich osób, dodawała kolejne szczegóły

z ich życiorysów, bym w ten sposób lepiej je poznał, a gdy dochodziła do opowieści córki czy żony tego czy owego, zaczynała od nowa odwiecznym pytaniem „A może pan zna...”.

Pani Nermin wystarczało raz spotkać obcego człowieka, by opowiedzieć mu ze szczegółami pokaźny wycinek swojego życia. Czy to był elektryk, tragarz, sprzedawca wykładziny, czy jakiś sekretarz, każdy musiał swoje wysłuchać. W końcu nawet Nermin zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze będziemy trwać w tym osobliwym miejscu pracy. Ostatecznie jej swiergotliwy słowotok zaczął oscylować wokół tego jednego tematu. Niepokój zaczął się udzielać nawet naszemu współpracownikowi – służącemu, panu Derviszowi. Od samego początku nie rozplątywał się w zachwytach nad nowym biurem. Niewiele osób odwiedzało lokal, dlatego nie miał wielu okazji do zbierania napiwków. W każdym razie miał spokój, nikt mu nie utrudniał życia. Nie czekał bezustannie przy drzwiach. Siadał sobie przy biurku pani Nermin, wysłuchiwał wszystkich opowieści i na każdy nowo kupiony kapelusz reagował zachwytem. Gdy już zmęczyła go paplanina kobiety, pod pozorem chętki na kawę umykał z pokoju.

Niewątpliwie miał łatwe i przyjemne życie. Po trzydziestu pięciu latach służby w różnych miejscach trafił do takiego biura. Ale i on miał pewne wątpliwości dotyczące sensu istnienia naszego biura. Ja naprawiałem zegarki, Nermin ćwierkała całymi dniami, a on nie robił praktycznie nic. Nikt go nie męczył, nie poniżał, nie wysługiwał się jak popychadłem, a mimo to wszystko wydawało się bezsensowne. Pewnego dnia podszedł do mnie i bardzo zawstydzony powiedział:

– Panie, ja się tak zastanawiam, o co w tym wszystkim chodzi. Mam poważne wątpliwości. Bo może ja umarłem i jestem w niebie...

Do tego momentu nigdy nie przyszło mi do głowy, że może istnieć coś takiego jak raj dla służby – niebo stosowne do pozycji społecznej zajmowanej na ziemi. Ale właściwie dlaczego pojęcie szczęścia nie miałyby być mierzone według standardów naszego życia?

Pod koniec trzeciego miesiąca stagnacja ustąpiła niespodziewanemu ożywieniu i nasza praca zaczęła nabierać znaczącego rozpędu. Pewnego dnia Halit Regulator zjawił się w biurze w towarzystwie przewodniczącego miejscowej władzy lokalnej i jego zastępcy. Pani Nermin kończyła właśnie trzeci sweter dla Regulatora, a ja opowiadałem jej o związku Sey-

ita Lutfullaha z Aselban. Niespodziewana wizytacja poderwała nas oboje na równe nogi. Zanim zdecydowałem, w jaki sposób należy powitać tak wielkiego człowieka, odezwał się sam Halit.

– To mój najlepszy zastępca, pan Hayri. Nieoceniony skarb w naszym przedsięwzięciu. Pan Hayri pracuje w ramach naszego projektu niejako honorowo i wolontarystycznie.

Przewodniczący podał mi rękę i ścisnął ją tak mocno i długo, jakby mówił: „Już jej nie wypuszczę”.

– Pensja, jaką mu płacimy, to doprawdy – wstyd i żenada.

Mój dobroczyńca mówił takim tonem, jakby miał się rozplakać z powodu wyrządzanej mi krzywdy. Co ciekawe, przewodniczący wyglądał na lekko zażenowanego. Spuścił nawet głowę i wpatrywał się we własne buty.

– Inaczej się nie da, panie Halit...

W dziękczynnym geście jeszcze raz uścisnął moją dłoń.

– Na razie nasz Instytut jest jeszcze w fazie organizacji, ale z czasem nabierze pożądanego kształtu i wówczas pan Hayri będzie zastępcą dyrektora generalnego.

To stwierdzenie uratowało przewodniczącego. Oderwał wzrok od obuwia i z radością spojrział mi prosto w oczy. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem człowieka szczęśliwego z powodu zadowolenia na twarzy bliźniego.

– Pani Nermin jest naszą szefową biura. Pierwszorzędna intelektualistka. Ona także bardzo się tu poświęca dla wspólnej sprawy... Dla nas porzuciła ukochany dom rodzinny...

Twarz Nermin nie zmieniła koloru, odkąd szacowni goście weszli do lokalu: była czerwoniutka jak u dziecka, które pierwszy raz założyło strój świąteczny. Na pytania: „Jak się pani czuje, wszystko w porządku?” odpowiadała słodkim uśmiechem, jakby rozgniatą między zębami kostkę cukru.

– Jednym słowem, miłą koleżankę wykradliśmy z domu, czy tak?

Halit postanowił pokazać, jak bardzo mu się to podsumowanie podoba.

– Dokładnie tak, wykradliśmy. I to w jaki sposób...

Przewodniczącemu także przypadły do gustu własne słowa. Dlatego zdecydował się dorzucić coś jeszcze, by uzupełnić błyskotliwą wypowiedź.

– Tak, ale porywając, zwyciężyliśmy w imię życia! Co pan na to, Halit?

Modliłem się, by na tym zakończył się ten wątek rozmowy, i na szczęście tak się stało.

– Jeśli pan pozwoli, przejdziemy się – zaproponował Halit Regulator.

Tylko dokąd mieliby się przejść? Z naszego pokoju do gabinetu Halita? Ale przecież doświadczeni ludzie załatwiają takie sprawy inaczej. Przewodniczący dobrze wiedział, że przejście z jednego do drugiego pokoju może zająć pół godziny. Przyglądał się wnikliwie i kilkakrotnie pustym etażerkom, półkom z segregatorami, szufladom pełnym fiszek, kasetom w czarnych obwolutach, maszynom do pisania niewyjętym jeszcze z pokrowców, lampom przystosowanym do pracy wieczorem, ale obecnie bez żarówek, i nawet zasłonom. Gdy już miał wejść do gabinetu, stanął w drzwiach i jeszcze raz omiół nasz pokój uważnym spojrzeniem. Ależ byłem w błędzie. Nie doceniałem wówczas, jakie głębokie znaczenie i sens mają takie wydłużone przechadzki, podczas których nieważny jest dystans ani przedmiot obserwacji. Ważne, żeście podjęli decyzję o dokonaniu przechadzki. Przewodniczący zatrzymywał się przy jakimś obiekcie, oglądał go dokładnie. Chciał coś powiedzieć, już otworzył usta, ale zrezygnował. Pokiwał się lekko, znacząco dotykał ramienia Halita. Stanął w drzwiach gabinetu, popatrzył i powiedział: „Ale zasłony są naprawdę ładne”.

Wiele uwagi poświęcił także gabinetowi Halita. Długo patrzył przez tiulowe firany na dobrze sobie znaną z dzieciństwa ulicę. Potem oglądał jeszcze raz meble. Nie, nie spodobały mu się.

– Tamte kolegów, to jeszcze. Ale pańskie raczej takie... tanie. W takim centrum...

Halit na to z niewinnym uśmiechem:

– Pozwoli pan, że pierwaj dopełnię powinności finansowych wobec pracowników. A poza tym skoro i tak będziemy przenosić biuro do nowej kwatery... Tu się nie pomieścimy. Wówczas pomyślę o stosownym umeblowaniu.

Przewodniczący kazał to zanotować swemu zastępcy.

W taki oto sposób powstał fundament naszej nowej siedziby. Wychodząc, uwagę gościa przykuł grafik zawieszony chyba wczoraj na ścianie przez samego Halita.

– Czyli tak...

– Dokładnie tak, szanowny panie. Zegary wymagają synchronizacji zwłaszcza na czas seansów kinowych oraz przerwy na posiłek południowy. Jednakże nie jest to ostateczny grafik. Pan Hayri pracuje teraz nad bardziej wysublimowanym schematem, który polegałby na regulacji czasu w stosunku do konkretnych zawodów.

– Czyli wnikliwe studium socjologiczne...

– Czyż nie o to nam chodzi?

Nie miałem zielonego pojęcia o regulacji czasu w stosunku do konkretnych zawodów. Poza tym nie przeszło mi przez myśl, że można prowadzić badania na taki temat. Przy tym wszystkim czułem wielkie zadowolenie, że oto ja zajmuję się takimi badaniami.

Znowu wróciliśmy do naszego pokoju. Przewodniczący jeszcze raz uważnie przyjrzał się pustym klaserom, zeszytom w czarnych okładkach i maszynom do pisania ukrytym w pokrowcach. Zerknął na slogany wiszące na ścianach.

– Regulacja czasu to pogoń za sekundą... Bardzo doniosłe stwierdzenie, panie Hayri – rzekł z namysłem.

– Tak sędzę...

Pan Halit nie miał zamiaru zachowywać się skromnie. Zaczął opowiadać przewodniczącemu o filozofii Nuri Efendiego, o wielu podobnych mądrych maksymach stworzonych przez dawnych zegarmistrzów, których fantastyczne dokonania Halit świetnie zna, o tym także, że jednym z celów naszego Instytutu jest popularyzacja wiedzy na temat wszystkich tych wybitnych osobistości.

– To jest zadanie naszego departamentu publikacji i popularyzacji.

Przewodniczący przeniósł wzrok na zastępcę. Ten z kolei skrupulatnie zanotował sobie konieczność powstania departamentu publikacji i popularyzacji oraz swoją w nim funkcję. Potem rzuciwszy jeszcze raz okiem na nocne lampki stojące na stołach, bardzo poważnym głosem pogratulował Halitowi:

– Czyli wieczorem też się tu będzie pracować. To jest naprawdę ogromne poświęcenie. Bardzo dziękuję i niezwykle mi miło. Serdecznie dziękuję i gratuluję.

Halit Regulator w te pędy wyjaśnił, że wszystkie te lampy i etażerki, zasłony i maszyny, na których zupełnie jeszcze nie wiadomo, co będzie i przez kogo będzie pisane, ja i pani Nermin wreszcie, zebraliśmy się tutaj wyłącznie przez wzgląd na przewodniczącego.

– Ależ tyle zachodu, och... Doprawdy...

Byliśmy darem równym temu, który Yusuf Kamil Paşa złożył Sultan Azizowi, gdy ten raczył być odwiedzić jego skromne progi – Yusuf ofiarował wówczas gościowi złotą tacę pełną biżuterii jego własnej żony.

– Proszę wziąć, dysponować, ze mną włącznie wszystko to jest tylko pańskie...

Przewodniczący zachował się równie grzecznie jak Sultan Aziz. Podobnie jak Aziz, który z całego majątku pani Zeynep wybrał jedynie rzecz dla siebie najcenniejszą, czyli Koran, zaś resztę sprezentował gospodarzowi. Przewodniczący spojrzał życzliwie z miłym uśmiechem, mówiącym „tego właśnie oczekiwałem”.

– Ależ skąd, ależ proszę nie przesadzać. My tylko spełniamy swe powinności. To wszystko pana zasługi i pańskie sukcesy – odrzekł grzecznie, czym zwrócił sukces Halitowi, i patrząc na nas kątem oka, także nam. A my z Nermin byliśmy jak pani Zeynep w zawoju na głowie, czekająca za drzwiami salonu na rozkaz władcy.

Halit nie słuchał, tylko nadal starał się przypisać zasługi, jak również obarczyć odpowiedzialnością za jego pracę miejscowe władze samorządowe. Niestety, druga strona czyniła dokładnie to samo.

– Tak więc, jak rzekłem... Nasza misja i wszystkie wysiłki należą do pana. Ja jedynie przygotowałem i uruchomiłem tyle, ile mogłem, biorąc pod uwagę skromne możliwości – tym samym taca z kosztownościami powróciła do gospodarza.

Czyli tak to miało wyglądać: najpierw rozpoznajemy sukces, potem szukamy jego ojca, ów dziękuje, ale zwraca dar z pokorą, zostawiwszy sobie jedynie niewielki w nim udział. Po tylu zabiegach, przekazaniach, obdarowywaniach i zwrotach któż by się zastanawiał nad istnieniem bądź nieistnieniem rzeczzonego sukcesu? Powstanie naszego Instytutu było sukcesem. Był to fakt niezaprzeczalny, a ja mogłem odetchnąć z ulgą.

Po dopełnieniu rytuałów przekazania i przyjęcia wycieńczony chyba przewodniczący usiadł ciężko na krześle pani Nermin. Halit spoczął naprzeciwko, wysunięto średniej wielkości stolik pomocniczy, a my przystawiliśmy po obu stronach swoje krzesła, usiedli i tym samym zamknęliśmy krąg. Po zajęciu miejsc rozpoczęła się dyskusja nad przyszłą kadrami Instytutu Regulacji Zegarów.

Halit Regulator wyciągnął czarny notatnik i zaglądając do notatek, zaczął referować. Na wskroś nowoczesny Instytut przede wszystkim wymagał odpowiednio wykwalifikowanej kadry.

– Mamy dyrektora i jego zastępcę. Potrzebujemy jeszcze szefa departamentu publikacji, szefa kancelarii i dyrektora biura.

W następnej kolejności został wymieniony konieczny personel specjalistyczny – wykwalifikowana kadra. Byli to pracownicy techniczni działu zajmującego się zegarami i ich rolą w życiu społecznym. Na początek zostaną utworzone wydziały: Wahadła, Dużej Wskazówki i Sprężyny. W następnej kolejności powstaną wydziały: Koordynacji Aspektów Społecznych oraz Statystyki Pracy.

– Każdy z nich będzie zarządzany przez najlepszych fachowców. Statystyką pracy zajmie się osobiście pan Hayri. Ja skupię się na koordynacji aspektów społecznych. Środki na utrzymanie wydziałów będą pochodzić z naszego budżetu. W ten sposób uposażenie dyrektora i jego zastępcy nie przekroczy dopuszczalnego limitu. Oczywiście nie pomieścimy się w tym lokalu. Najrozsądniej byłoby pomyśleć o nowej siedzibie.

– To już żeśmy zanotowali, panie Halit. Ale nie sądzi pan, że tylu pracowników na stanowiskach kierowniczych to odrobinę za dużo? To znaczy w stosunku do liczby pozostałych pracowników. Jak pan ich określił, kadry wykwalifikowanej?

– Oczywiście, słusznie pan zauważył. Wymienieni przeze mnie szefowie wydziałów będą stanowić pewien rodzaj szkieletu, który posłuży do rozbudowy całego systemu.

– To rozumiem. Bardzo trafnie pan dobrał określenie „kadra wykwalifikowana”. Jednakże wydaje mi się nieco bezzasadne zatrudnianie tylu dyrektorów. I czy na pewno konieczny jest do tego jeszcze dyrektor biura?

Na to pytanie Halit gładko udzielił odpowiedzi, wyjaśniając, że brak odpowiedniej liczby osób zajmujących się zarządzaniem określonymi działami niezwykle utrudni, a nawet uniemożliwi utrzymanie odpowiedniego tempa pracy i rozwoju. Upierał się jakiś czas, a na koniec poświęcił dyrektorowi biura. W taki oto sposób został potwierdzony skład niezbędnego personelu.

Przewodniczący z jednej strony zapewniał, że w najmniejszym stopniu nie będzie utrudniał pracy i rozwoju Instytutu, a z drugiej starał się być czujny na najdrobniejszy przejaw marnotrawstwa środków publicznych. W pewnym momencie spytał mnie o zdanie, lecz zanim otworzyłem usta, odezwał się Halit.

– Pan Hayri zawsze jest gotów poświęcić się sprawom publicznym i dla dobra wspólnego.

Już się nauczyłem swojej roli, więc śmiało mogłem dokończyć zdanie:

– Mogę się podjąć tego zadania...

Moja deklaracja spotkała się z natychmiastowym gorącym podziękowaniem ze strony przewodniczącego.

– Przecież gdyby nie pan, ja bym nigdy nie zaangażował się w to przedsięwzięcie... – rzekł Halit.

Tak po trochu, drobnymi krokami, stworzony w ludzkiej wyobraźni stałem się punktem zwrotnym wielkiego i doniosłego procesu. Czyżby to był wynik „dobrego spojrzenia”, „łuta szczęścia”, jak mawiali nasi przodkowie? Och, gdybym miał czas i możliwość przeczytać od początku do końca historię świata...

Uzgodniwszy podstawowe warunki, przewodniczący pozwolił sobie wyrazić ostatnią wątpliwość.

– Gdzie pan znajdzie tylu fachowców?

– Poradzimy sobie, nie ma obaw. Poza tym pan Hayri ma w tej kwestii bardzo ciekawy pomysł. Sami będziemy szkolić nasz personel. Pan Hayri ma tu absolutną rację. Przez nas wyszkoleni ludzie będą lepiej pracować.

Pojałem w lot, ponieważ miałem w biurze sporo czasu, by poćwiczyć sposób myślenia Halita Regulatora.

– Fachowcy z zagranicy...

W tym punkcie Halit okazał się bardzo zasadniczy.

– To jest bardzo ważne przedsięwzięcie. Nie możemy sobie pozwolić na jakiegokolwiek ryzyko. Tu, na miejscu, mamy zasoby, z których będziemy czerpać. Nie potrzebujemy obcokrajowców. Nie rozumieją, popsują, zniszczą.

Przewodniczący był jednocześnie zachwycony i lekko onieśmielony.

– Tak po prawdzie to ja również unikam obcokrajowców. Trudno im coś wytłumaczyć i nie rozumieją nawet najprostszycch rzeczy. Nie mogą przywyknąć do najoczywistszych spraw.

Halit Regulator w ogóle nie słuchał lub sprawiał takie wrażenie.

– Nie potrzebujemy zagranicznych pracowników. To nie jest praca, której idee mogliby pojąć. My będziemy szkolić własny personel, korzystając z własnych zasobów.

Był bardzo zdecydowany, jakby znał środowisko i zasoby, jakby już przeprowadził odpowiednie rozeznanie. A gdyby przewodniczący zapragnął, byśmy na próbę zatrudnili ze dwóch obcokrajowców, to co? Ja zachowałbym większą ostrożność i najpierw rozejrzałbym się wokoło i ocenił własne możliwości, a dopiero potem składał drugiej stronie propozycje.

W przyszłości bardzo się pilnowałem, by tak właśnie postępować. W rozmowach oficjalnych zawsze starałem się sprawiać wrażenie zmęczonego i niewyspanego. Pozwalałem rozmówcy wypowiedzieć wszystkie jego kwestie i dopiero wówczas podejmowałem decyzję. Nieważne jest bowiem, jaka zapada decyzja, lecz kto w jej powzięciu uczestniczy. Nie bez powodu człowiek jest zwany ukoronowaniem dzieła Stworzenia.

– Myślę podobnie jak pan, ale czy na pewno opinia publiczna nam zaufa? Przywykliśmy do sprowadzania sobie fachowców z zagranicy...

– I właśnie dlatego nic podobnego nie uczynimy. Bo niby dlaczego? Wszystkiego się mamy uczyć od Zachodu? Naszym własnym obywatelom będziemy bronić dostępu do pracy? Pan Hayri złożył obietnicę. – Halit wytłumaczył wszystko bardzo klarownie. – Będziemy tak dobrze pracować, że opinia publiczna na całej linii będzie po naszej stronie.

Przewodniczący klasnął w dłonie.

– I tu się nie zgadzamy. Nie jestem w wieku, gdy przyjemność sprawiają rzeczy utrudniające życie.

Halit nie odebrał tego osobiście. Zawsze był hojny i był przecież realistą.

– Gdybyśmy mieli pewność, że faktycznie do czegoś się mogą przydać, być może zrobilibyśmy wyjątek – rzekł, a po chwili znowu usztywnił swoje stanowisko. – Nie, drogi panie, nasz personel będziemy szkolić we własnym zakresie. Czy pod Wiedeń szliśmy w asyście obcokrajowców? Wtedy każdy był obcy. Bo nie mieliśmy zaufania do samych siebie.

Ależ wielkie słowa, monumentalne porównania... Cóż może począć biedny przewodniczący wobec kilkuset tysięcy, uzbrojonej po zęby armii odzianego w stal sułtana Sulejmana, wobec jego armat, kopii i żelaza na piersiach. Jedyne, co można w tej sytuacji zrobić, to zdecydować się na cichy odwrót.

– Tak, faktycznie. Na tym właśnie polega problem.

– Mamy przecież ogromne zasoby, wielu ludzi. Pan Hayri właśnie sporządził listę kandydatów.

Przewodniczący miał jeszcze pewne wątpliwości, choć już nieco innej natury.

– Ale skąd wziąć naraz tylu wykwalifikowanych pracowników? Mam na myśli plotki, jakie mogą się rozejść. Z polecenia, bez niczyjego polecenia... no wie pan.

Halit Regulator zmiótł te wątpliwości jednym zamaszystym ruchem ręki.

– Ten problem już rozwiązaliśmy. Nikt, kto nie ma odpowiednich referencji, nie jest nam przez stosowne osoby polecony, nie może tu pracować. To jest podstawowa zasada i tego się trzymamy. Połowa naszych urzędników będzie z nami spokrewniona lub spowinowacona. Druga połowa będzie z zewnątrz, z polecenia osób naprawdę wysoko postawionych. W ten sposób unikniemy niepotrzebnych plotek. Wszyscy będą pracować dla dobra wspólnego z przyzwoleniem społecznym.

Przewodniczącemu bardzo się to spodobało.

– Że też mi to do głowy nie przyszło. Pan potrafi znaleźć najlepsze rozwiązanie. I najprostsze. Przyjęcie tej zasady uchroni nas przed wieloma trudnościami. Czyli nie będzie pan przeprowadzał egzaminów, konkursów.

– Nie, absolutnie.

– A dyplomy, zaświadczenia?

– Nie, szanowny panie, nic z tego. To są rzeczy konieczne do podjęcia pracy jako zwykły urzędnik administracji publicznej. My tu potrzebujemy fachowców, nie urzędników. Poza tym w proponowanej przeze mnie sytuacji unikniemy konfliktów na tle Kodeksu pracy i wysokości uposażenia poszczególnych pracowników, skoro kwalifikacje stanowisk będą inne.

Spojrzeni na siebie ze zrozumieniem.

Przewodniczący zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć.

– Nie mam żadnych obiekcji, jako że przedstawia mi pan cały system.

Halit Regulator uśmiechnął się skromnie.

– Stworzony dzięki panu...

– I dlatego także my musimy ze swej strony poczynić pewne przygotowania. Poszukać właściwych ludzi...

– Właśnie miałem sam o to prosić. Ale może na początek nie obiecujmy zbyt wiele.

– Słusznie, bardzo słusznie.

Halit spojrział w notatnik, z którym się nie rozstawał. Wtedy postanowiłem skorzystać z okazji i poderwałem się na nogi. Chciałem zobaczyć, jak Halit własnoręcznie zapisuje i opisuje ten cud, który się właśnie stał na naszych oczach. W zeszycie było tylko kilka cyfr.

– Na koniec niezbędna będzie stosowna liczba personelu niższego szczebla, jak stenotypistki, referenci i sekretarze. Stopniowo wedle naszych potrzeb będziemy ich szeregi uzupełniać. W chwili obecnej bardzo jest

nam potrzebny jeszcze jeden sekretarz... – Halit zwrócił się w moją stronę. – Sądzi pan, że panna Zehra wyraziłaby zgodę? Oczywiście za symboliczne na początek wynagrodzenie. Nie jest to osoba obca. Miejsce pracy będzie w jakimś sensie przedłużeniem domu rodzinnego.

Ponownie spojrzął na przewodniczącego

– Panna Zehra jest córką pana Hayriego.

Wobec tego koronnego argumentu przewodniczącemu nie pozostało nic innego do powiedzenia, jak tylko:

– Niech jej Allach błogosławi.

Trzy dni później Zehra podjęła pracę jako bezpośrednia podwładna pani Nermin, która sama na początku przysłała tu z torbą pełną przyborów toaletowych i kłębkami wełny, z których obiecała robić Halitowi swetry w podziękę za jego hojność i wspaniałomyślność. W ciągu kilku pierwszych lat istnienia Instytutu Halit Regulator stał się właścicielem największej na świecie kolekcji swetrów. Każda stenotypistka zrobiła dla niego kilka bądź nawet kilkanaście sztuk. Najpiękniejsze niewątpliwie robiła pani Nermin. Mieniające się kolorami tęczy rozproszonymi w kryształach, zawierające elementy dekoracyjne przywodzące na myśl zegary i ich elementy, były prawdziwymi dziełami sztuki.

Przewodniczący powrócił nagle do starego zagadnienia. Zapytał, czy faktycznie potrzebny nam jest dyrektor biura pełniący funkcję personalnego. Udało się zlikwidować funkcję dyrektora biura i gdybyśmy poszli jeszcze na takie ustępstwo, to resztę pozostawimy w takim kształcie, w jakim została uzgodniona.

– Jestem bardzo wrażliwy na tym punkcie. Z czasem będzie pan mógł wykorzystać do tych celów któregoś pracownika niższego szczebla. I nazwa samego stanowiska jest jakaś nieprzyjemna. Dyrektor personalny. Nie pasuje do tak szacownej instytucji, zwłaszcza w dobie propagowania nowoczesnego języka tureckiego.

Była to chyba ostatnia sporna kwestia i Halit Regulator tę także rozwiązał.

– Jeżeli tak szanowny pan sobie życzy...

Mężczyzna był niezwykle zadowolony z siebie, że dla dobra wspólnego odniósł kolejne zwycięstwo.

– Oczywiście przygotowuje pan stosowne porozumienie – przypomniał na koniec przewodniczący.

Halit uśmiechnął się zyczliwie.

– Proszę się o to nie martwić, od dawna jest gotowe. Od dwóch miesięcy nad nim intensywnie pracujemy. Wczoraj wieczorem przejrzelśmy z panem Hayrim ostateczną wersję. Ja sam dziś rano pozwoliłem sobie poprawić nieco niektóre fragmenty. Niezbyt istotne, bez obaw. W jednym czy dwu punktach. Pozwolę sobie niebawem przesłać panu dokument w dopracowanym kształcie – mówił, patrząc prosto na mnie. – Pozwoli pan jeszcze, że zreferuję fragmenty dotyczące kwestii społecznych. Albo jeszcze lepiej: odczytam je. – Włożył rękę do kieszeni.

Przewodniczący spojrzał nieco zasępiiony i rzekł:

– Proszę uprzejmie.

Trzeba przyznać, że nie był to człowiek urodzony wczoraj, którego zadziwiłoby byle co. Spojrzał nagle na zegarek i zerwał się z krzesła.

– Och, czas coś przekąsić. Zostawmy to może na następny raz. Dziś i tak dużo się napracowaliśmy – rzekł i powiódł wzrokiem po wszystkich.

– Możemy chyba razem coś zjeść, nieprawdaż?

Zaprotestowaliśmy z panią Nermin niemal jednocześnie.

– Oni się świetnie sami zabezpieczyli – rzekł Halit. – Kto wie, co dziś przygotowała pani Nermin. To fantastyczna gospodyni.

To była szczerza prawda. Teściowa Nermin była gotowa na każde poświęcenie, by zapewnić komfort synowej, byle tylko ta jak najdłużej przebywała w biurze i nie zamęczała jej swoim słowotokiem. Codziennie około jedenastej pan Dervisz wstępował do domu Nermin i przynosił tace pełne przeróżnych smakołyków.

Przewodniczący, już będąc w drzwiach, odwrócił się do mnie i poprosił, bym mocno zastanowił się nad kadrą niezbędną do prawidłowego funkcjonowania Instytutu.

– Ograniczenie liczby kadry zarządzającej to bardzo korzystne posunięcie. Może uda nam się poczynić jeszcze jakieś oszczędności – rzekł na koniec.

Halit Regulator odezwał się za mnie.

– On jest jeszcze gorszy ode mnie, szanowny panie. Ja mogę pójść na jakieś ustępstwa, ale nie sądzę, by pan Hayri zdecydował się na coś, co w najmniejszym stopniu zaszkodziłoby prawidłowemu funkcjonowaniu systemu.

Odważyłem się, jak młoda jaskółka wykonująca swój pierwszy w życiu lot, odezwać się w odpowiedzi na jego słowa.

– W takich sprawach najważniejszą rzeczą jest zachować maksymalną efektywność działania...

Och Stwórco jedyny, gdybym wówczas miał lustro przed sobą, gdybym mógł zobaczyć swój wyraz twarzy... Pierwszy raz w całym moim życiu powiedziałem takie mądre i okrągłe zdanie...

Obaj panowie wyszli ramię w ramię. My z Nermin odprowadziliśmy ich na schody. Tam przewodniczący podziękował mnie i pani Nermin po raz ostatni.

Gdy ostatecznie wyszli już z budynku, wróciłem do biurka i dokładnie obmacałem głowę, czy wszystko jest na miejscu. Nabrałem tego zwyczaju od tamtego wielkiego wieczoru na Büyükdere. Ostatnio często miałem wrażenie, że chodzę na głowie i coś mi się stało. Wszystko wokół działa się na opak i wedle logiki, której żadną miarą nie mogłem pojąć.

Nermin chyba nie podzielała moich lęków.

– Przewodniczący to bardzo miły człowiek, prawda? Jak tylko skończę ten, co teraz robię dla wuja Halita, następny sweter wydziergam dla przewodniczącego.

Już chciałem odpowiedzieć coś odpowiedniego, gdy do pokoju wszedł pan Dervisz z pełną tacą w ręku.

Pojąłem już, czym jest miara sukcesu i organizacja zasobów kadrowych. Nie orientowałem się jednak w statystyce, a przede wszystkim w graficznym przedstawianiu wyników badań statystycznych. Halit Regulator uzupełnił moje braki w ciągu zaledwie dwóch, trzech dni. Przyszedł kiedyś wieczorem do biura, powiesił marynarkę na krześle, podwinął mankiety koszuli i siedział długo pochylony nad niedokończoną tabelą. Nawykł do wytężonej pracy i potrafił się jej do ostatka poświęcić. Podszedłem do niego.

– Życzę powodzenia w pracy.

– Czyli tak... – rzekł, nie patrząc nawet na mnie. – Regulacja czasu jest zmienna w stosunku do poszczególnych zawodów. Niech pan spojrzy na przykład tutaj: zawody niskokwalifikowane, robotnicy, urzędnicy najniższego szczebla wymagają niezwykle precyzyjnej regulacji. To samo z nauczycielami, wykładowcami. Natomiast przedsiębiorcy, gospodynie domowe, służba wszelkiego rodzaju, jak również bezrobotni i nieimający się innych zajęć poza pracą zasadniczą...

Nie zrozumiałem, co znaczy określenie „nieimający się innych zajęć poza pracą zasadniczą”.

– Chodzi o ludzi, którzy nie robią nic poza tym, co się im precyzyjnie zleca. Którzy poświęcają swój czas tylko temu i niczemu więcej. Na przykład kobieta, która chce poświęcić się uprawianiu muzyki, wszystkie prace domowe, które jest zobowiązana wykonać, musi zrobić szybko i sprawnie, by mieć czas na inne aktywności. Dla niej czas posiada wielką wartość. To samo dotyczy gospodyń, które pracują gdzieś na etacie. Podobnie rzecz się ma z dzienną służbą. Stosunek do czasu pozostałych grup społecznych radykalnie się zmienia, a czas sam w sobie traci na wartości.

Znowu pochylił się głęboko nad grafikiem.

– Kolory ładnie wyszły, prawda? Pani Nermin tak je skomponowała. Ja zaprojektowałem kształt i układ. Udało się to sporządzić w jeden wieczór. Teraz w każdej tabeli wpisuję zawody przypisane do konkretnego koloru. W każdym razie tak, jak to widzę.

– Ale szanowny panie, czy nie powinno być dokładnie odwrotnie? Najpierw przeprowadzić badania, wyciągnąć wnioski i na tej podstawie stworzyć formę graficzną? O ile wiem, tak to się powinno robić...

Spojrzał na mnie, jakby mnie zobaczył pierwszy raz w życiu.

– To stary typ myślenia – rzekł – i do tego bez sensu. To strata czasu. I nie prowadzi do żadnego rezultatu. W ten sposób będzie lepiej. W ten sposób zmniejsza się ryzyko błędu, bo kontrola do tego nie dopuszcza. Na przykład ta wąska żółta kolumna, ta pomiędzy czerwoną i fioletową, ta najmniejsza. Pani Nermin mogła to widzieć zupełnie inaczej. Ale pomyślała tak. Czyli miała przesłanki, by tak pomyśleć. Spytałem ją rano, jaka myśl przyświecała jej, gdy tworzyła kompozycje kolorystyczne w ten, a nie inny sposób. Odpowiedziała, że po prostu czuła, iż powinno tak być, i innej przyczyny nie zna. To, co pochodzi z przeczucia, zawsze jest prawdziwe. Teraz ja muszę przypisać funkcje do tych kolumn. Męczę się nad tym już od pół godziny. Niech pan mi powie łaskawie, wedle jakiego wzoru miałbym wypisywać nazwy zawodów tak, by tutaj pasowały? Arytmetyka nas oszukuje, drogi panie. Prowadzi do śmiesznych i wybrakowanych wniosków. Zresztą nie wszystko da się policzyć. Jeżeli istnieje pojedynczy, wyodrębniony stan, który można określić mianem człowieczeństwa, to ja uwierzę w statystykę. Człowiek jest istotą skomplikowaną i podlega ciągłym zmianom. Dlaczego więc miałby się przesadnie skupiać na rzeczach, które go męczą w danym momencie? Ja podjąłem decyzję, że ta wąska żółta kolumna będzie zarezerwowana dla mniejszości znajdującej

się w ciężkim stanie, dla jej koncepcji czasu. Tuż obok istnieje pojedyncza czarna linia, która jest przeznaczona dla zmarłych, oni już czasu nie liczą.

– Zgoda, ale czy warto w ogóle się tą kwestią zajmować, wszak to takie oczywiste...

– Sądzę, że warto. I powinno się to oddzielnie opisać. Jeżeli zabraknie tego elementu, to jak możemy kogokolwiek uczyć świadomości upływającego czasu i jego korelacji z ludzkim życiem i przemijaniem? Dziwne to, ale pan zadaje pytania, jakby nadal nie wiedział, czemu miało służyć powołanie do życia naszego Instytutu. Działamy dla dobra wspólnego. Jesteśmy w służbie całego społeczeństwa. Sądzi pan, że ja nie mam ciekawszych zajęć w życiu?

– Nie wiem jak pan, szanowny panie, ale jeśli o mnie chodzi, to ja nie mam kompletnie nic innego do zrobienia. I nigdy nie miałem. Tyle rozumiem, i to aż nadto dobrze.

Halit Regulator, słuchając mnie, dokonał ostatnich poprawek w tabeli. Potem zwrócił się do mnie.

– Niech pan da spokój. Przywyknie pan. Odpowiedź, którą dał pan przewodniczącemu, była wyjątkowo trafna i mądra.

– To pan mówił mądrze i trafnie...

– Ja jestem jego starym znajomym. Razem chodziliśmy do szkoły. Dlatego łączy nas przyjaźń.

– Tylko że...

– Słucham, co tylko że...?

– Trochę mnie zaskoczyły rozważania o naszych osiągnięciach. Przecież niczego do tej pory nie dokonaliśmy...

– Myli się pan, Hayri. Zapoczątkować znaczy odnieść sukces. Niech pan się rozejrzy wokoło: czy nie jest naszym sukcesem sam fakt poświęcenia się bez reszty wielkiej sprawie i rozpoczęcie mozolnej pracy w dwóch małych pokojach na krzyż? – rzekł Halit i spojrzał mi przenikliwie prosto w oczy. – Panie Hayri, dlaczego pan nam nie wierzy?

Zerknąłem przelotnie na moje szpargałki, które zostawiłem na rogu stołu. Najwyraźniej nadszedł czas, by się zbierać. Zauważył to i natychmiast zmienił nieco ton głosu.

– Nie, niech się pan nie śpieszy. Nie chcę się z panem rozstawać. Mamy jeszcze wiele do zrobienia dla tej instytucji. Chcę się tylko dowiedzieć, dlaczego pan nie wierzy?

– Bo wydaje mi się, że nie mamy tu realnej pracy do wykonania.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „realnej”? Nie mamy do zrobienia czegoś, w co każdy wierzy i czego istotę w lot pojmuje? Na przykład praca tragarza: masz towar, masz go przenieść z jednego miejsca w drugie.

– I tyle?

– Ale w pana umyśle, wedle pańskiej logiki wszystkiemu tu można zaprzeczyć. Po pięciu, trzech minutach szybkiego namysłu wszystko może się wydać śmieszne. Wystarczy przyjrzeć się jakiemuś zagadnieniu uważnie z bliska, by zauważyć w nim śmieszność i nielogiczność.

Zamyślił się na chwilę. Potem pochylił nad tabelami. Wstał, by spojrzeć na zapisane kartony z większej perspektywy. Potem odwrócił się do mnie.

– Przyjacielu. Takie zagadnienia pojawiły się na świecie po nastaniu człowieka. To człowiek je odkrył i stworzył. My odkryliśmy to. Czy sądzisz, że skoro wcześniej ktoś już o tym pomyślał, to mniejsza wartość odkrycia? My tutaj wykonujemy pracę. I to bardzo ważną. Pracować znaczy stać się panem czasu, to trzeba wiedzieć. I my tę wiedzę wyciągamy na światło dzienne. Damy światu świadomość czasu. Przydamy otaczającej nas rzeczywistości masę nowych słów i pojęć. Człowiek to przede wszystkim istota pracująca. Praca to czas. Takie właśnie przesłanie będziemy głosić. To nie jest według pana wielkie dokonanie?

Mowa musiała go wyczerpywać, bo nabierał ciężko powietrza, jakby nosił na ramieniu wielki bagaż.

– Podejrzewam, że pańską percepcję ogranicza zegarek. Resztę pan zupełnie zaniedbuje. Zegar to tylko narzędzie. Oczywiście, bardzo ważne narzędzie. Proces zaczyna się od momentu wynalezienia zegara. Największym postępem cywilizacyjnym do tej pory było skonstruowanie narzędzia, które uniezależni człowieka od ciągłego spoglądania w słońce. Mógł nareszcie oderwać się od natury. Zaczął liczyć czas jako byt niezależny. Ale to nie wystarcza. Zegar to czas, i o tym właśnie musimy myśleć.

Chyba najlepiej było powrócić do starego pytania.

– Szanowny panie, pan wie, że ja jestem mało wykształconym człowiekiem. Wszystko, co wiem, to mądrości Nuri Efendiego, lekcje pobierane od doktora Ramiza i to, czego nauczyłem się od pana. Czyli wiem to, co zasłyszałem, i nic ponad to. Skąd miałbym wiedzieć te wszystkie rzeczy, o których teraz pan prawi...

Halit zaśmiał się serdecznie.

– Niech pan tak nie umniejsza swojego potencjału. Sporo już wiem o panu i o tym, jaką wiedzę pan posiada. Jest pan wystarczająco inteligentny. Tylko pan w siebie nie wierzy, to jest pana podstawowa wada. Pan goni za konkretem, rzeczami namacalnymi. Ależ to dziwne, że akurat zegarmistrz tak pożąda dookreślenia i konkretności. Człowiek, który parą się zajęciem ściśle związanym z tak ulotnym bytem, jakim jest czas... Doprawdy zadziwiająco.

Złapał mnie za ramiona i lekko potrząsnął.

– Zmieni się pan, na pewno bardzo pan się zmieni. Instytut Regulacji Zegarów wymaga od pana przede wszystkim wiary – rzekł z zapałem, po czym energicznie usiadł przy biurku. Naraz zerwał się na równe nogi, podniósł do góry krzesło, na którym siedział, i trzymając je za jedną nogę, zaczął przechadzać się po pokoju. Podniósł je wyżej, nogę krzesła oparł na nosie, rozłożył ramiona i tak chodził dookoła pokoju.

W końcu opuścił krzesło i odetchnął głęboko. Do tej pory nie zauważyłem, jak dobrze jest zbudowany. A był zaiste człowiekiem słusznej postury i do tego całkiem gibkim i zwinnym. Pod koszulą zaznaczała się silna rzeźba mięśni.

– Dlaczego pan nie klaskał? – zapytał niespodziewanie. – Bo pana zadziwiłem, prawda? Znam jeszcze z osiemdziesiąt takich sztuczek. Jeśli zechcę, mogę pracować w dowolnym cyrku. Ale wolę nastawiać i synchronizować zegary – mówiąc to, oparł rękę o biurko. – I będę to robić. Z panem.

Usiadł na stole, mnie kazał stanąć bliżej, naprzeciwko.

– Zapomnieliśmy o doktorze Ramizie. Jemu też trzeba znaleźć zajęcie. Czyli on będzie z mojej puli. A kogo by pan widział w naszym Instytucie?

– Nie wiem – odpowiedziałem.

Naprawdę nie wiedziałem, co powiedzieć, ponieważ nie bardzo wiedziałem, o czym do mnie mówi. W ogóle niewiele rozumiałem. Słyszałem tylko w głowie szum wzburzonego morza. Halit nie stracił cierpliwości.

– Już panu wszystko tłumaczę. Połowa kadry Instytutu będzie się rekrutować spośród naszych znajomych i rodziny. Czyż nie tak postanowiliśmy? Połowa od nas, połowa od nich. Nas tu jest dwóch. Dlatego gdy ja wybiorę jedną osobę, to pan zyskuje prawo do wskazania swojego kandydata. Ja chcę zaprosić doktora Ramiza.

Trochę mi ulżyło. Bawiliśmy się w specyficzny rodzaj gry rodzinnej. On zaproponował Ramiza...

– Pan Asaf...

– Dobrze. A czym się będzie zajmował? Swoją drogą, podoba mi się jego imię. Ramiz będzie odpowiedzialny za kategoryzację zawodów i koordynację. Co zatem proponujemy panu Asafowi?

– Może w wydziale jakimś... na przykład w Wydziale Tarcz...

– A da sobie radę?

– No, był kiedyś dentystą...

– A teraz?

– Już nie, odkąd jeden pacjent poważnie ugryzł go w rękę. Poza tym nie był zadowolony z wykonywanego zawodu. Najbardziej lubi spać. Siedział w kawiarni i spał. Gdy zjawiał się jakiś pacjent, to służba donosiła mu o tym, po czym pan Asaf wolno, powolutku się budził i szedł do pracy. Bardzo często zawracał, gdyż znudzony pacjent rezygnował z wizyty. Sądzę, że nie odmówi...

Myślałem, że moja opowieść i propozycja szczerze rozbawi pana Halita, ale on zachował spokój i bardzo poważnie podszedł do zagadnienia.

– To musi być bardzo interesujący człowiek. Coś w nim musi być. Na pewno znajdziemy dla niego odpowiednie zajęcie. Ale nie od razu. Później o nim pomyślimy. Może jest ktoś inny?

– Poeta, pan Ekrem. Bardzo mnie lubi... ja jego też. Ma około trzydziestu lat.

– O to właśnie chodzi. Czym się zajmuje?

– Chyba ostatnio niczym.

– Dobrze. Młody człowiek, niezmanierowany. Zgoda. O panu Asafie porozmawiamy kiedy indziej. Kto dalej?

– Panna Zehra, ale o niej nie wspominam, bo to odpowiednik naszej Nermin...

– To nie jest zasadniczy trzon naszej kadry. Jeśli chodzi o podstawowy skład, to bez walki się nie ugnę. Muszę zadbać o możliwie jak największą liczebność kadry. Duże, rozległe instytucje wzbudzają szacunek. Dlatego chcę tu stworzyć prawdziwą korporację. Tak, żeby na pierwszy rzut oka wiadomo było, jakie znaczenie ma zegar i czas. Każdy zrozumie wówczas, do czego dążymy i czego dokonamy. Dlatego proszę zaproponować ludzi, którzy będą mogli podjąć się pełnienia funkcji zgodnie z naszym celem nadrzędnym.

– Czy nie rozsądniej byłoby rozpocząć działalność przy mniejszej liczebności personelu, a potem dopiero ją zwiększać?

– To niemożliwe.

– Korporacja się powiększy w miarę potrzeb...

– Nie. Pan mi teraz proponuje, żebym ruszył w daleką podróż statkiem, który składa się jedynie z komina i steru. Ale żeby można było wyruszyć w rejs, potrzebne jest coś, co jest statkiem, czyli składa się ze steru, komina, pokładu, mostka kapitańskiego, wszystkich tych mechanizmów i urządzeń. To wszystko tworzy całość. Od kapitana po szczury. Ja pana proszę, by znalazł mi pan na ten statek załogę, pasażerów i szczury; zrozumiał pan? Mało liczebna kadra pracownicza oznacza, że się mało pracuje. Korporacja to żywy organizm: ma głowę, żołądek, kończyny... i wszystko to jest potrzebne. Powiedziałbym nawet, że w miarę rozwoju konieczne są wręcz też elementy zbędne. Zebrałem całą swą odwagę, jaka mi jeszcze pozostała.

– A po co?

– Po to, by ich pozwalniać, gdy będzie trzeba. Wie pan przecież, ile emocji budzą w społeczeństwie wielkie instytucje państwowe i korporacje. Raz na jakiś czas podnoszą się głosy o konieczności cięć, oszczędności, potem ktoś podejmuje radykalne decyzje. Musimy temu zawczasu zapobiec. Czy zrezygnujemy z ludzi niezbędnych? Przecież nie poświęcimy własnych znajomych i krewnych. Wyznamy kilka kozłów ofiarnych. Rozumie to pan? Wiedział pan, że starożytni Żydzi raz do roku symbolicznie obarczali kozła ofiarnego swoimi grzechami i wypędzali go na pustynię. My też będziemy musieli tak kiedyś uczynić i zawczasu czynimy pewne kroki. Za jakieś dwa lata od powstania Instytutu rozpoczną się protesty i krytyka. Wtedy dla uspokojenia nastrojów społecznych będziemy musieli zwolnić dwie, trzy osoby. I wtedy co? Będziemy ciągnąć losy pomiędzy sobą? Taką sytuację także musimy przewidzieć. Musimy mieć kilka kozłów ofiarnych na podorędziu. Osoby, które bez uszczerbku dla funkcjonowania systemu możemy zwolnić. Osoby, które do naszego systemu nie pasują i których odejście nie wywoła w nas wyrzutów sumienia. Dodatkowo będziemy potrzebować ludzi do stacji regulacyjnych...

Wciąż przechadzał się po pokoju, ani na chwilę nie przystanął.

Stacje regulacyjne to miały być niewielkie kioski, w których w drodze do pracy można by nastawić zegarki męskie i damskie. Tutaj za niewielką opłatą synchronizowałyby się czasomierze młodych i starych, dziewcząt, chłopców, mężczyzn i kobiet. Pierwsze takie stacje stanęłyby w bo-

gatszych, eleganckich dzielnicach. Z czasem zaczęłyby się pojawiać także w pozostałych częściach miasta. Pierwsze dwie utworzyliśmy w dzielnicy Galatasaray i Teşvikiye.

Takie przedsięwzięcie bezspornie wymagało zatrudnienia dodatkowego personelu. Ponadto były pewne wymagania odnośnie do predyspozycji osób zatrudnionych na stanowiskach wiążących się z bezpośrednią obsługą klienta. Urzędnicy przyjmujący zlecenia, odpowiadający na zgłoszenia musieli być młodzi, sympatyczni i elokwentni.

Tutaj też miałem coś do powiedzenia, co niekoniecznie było po myśli Halita Regulatora.

– Ale czy na pewno ludzie będą chcieli wstępować do specjalnych kiosków po tak prostą usługę, jak wypolerowanie butów czy golenie? Nowoczesność przejawia się również w ten sposób, że powoli zanikają takie służebne zawody. Ludzie, idąc do pracy, mogą wstąpić do sklepu i po prostu poprosić o nastawienie zegarka.

– Myli się pan. Będą biec do takiego kiosku w podskokach. To będzie takie szczególne miejsce, tacy niepowtarzalni pracownicy i pracownice. Będziemy notować lepsze obroty niż największe targowiska. Niech mi pan wierzy! – odpowiedział bez cienia wątpliwości w głosie.

Mieliśmy cztery miesiące na skompletowanie kadry. Nie panikowałem, wszak cztery miesiące to nie tak mało. A co potem? To już w rękach Allacha. Myślałem sobie, że może za te cztery miesiące Instytutu już nie będzie, więc może warto zastanowić się nad przyszłością.

Los nie dał mi życia takiego, jakie dał normalnym ludziom, dlatego by osiągnąć minimum, które innym przychodziło w sposób zupełnie naturalny, ja musiałem być bardziej przedsiębiorczy, rzutki i asertywny. Pan Halit może nie osiągnąć takiego sukcesu, jak przewiduje, ale i tak nie zrezygnuje, nie odpuści. Czy potrafiłbym go naśladować? Postanowiłem spróbować, dlatego zdobyłem się na odwagę i zgłosiłem nowatorski pomysł:

– Czy personel pomocniczy będzie miał specjalne uniformy?

– Jeszcze o tym nie myślałem.

– Wie pan, że mam pewne wątpliwości, ale wydaje mi się, że uniformy zwiększałyby prawdopodobieństwo sukcesu. U młodych mężczyzn mundur podkreślałby walory fizyczne. U kobiet dodawał nieco powagi, tuszował wiek i nie pozwalał eksponować atrybutów płci. Urzędnik cieszyłby się większym szacunkiem. Co do samego modelu, to nie mam jesz-

cze klarownej propozycji, ale może taki komplet z kaszkietem... Uniform powinien nadawać pracownikom wygląd młodego mężczyzny.

– A po co?

– Żeby przyciągnąć uwagę. Inaczej tłum nie pojmie, o co chodzi.

Halit Regulator pomyślał chwilę, a potem krzyknął niespodziewanie.

– Dobrze, już dobrze! Wygrał pan. Będziemy mieć uniformy. I to wszyscy pracownicy. Poza dyrektorami, rzecz jasna. Dla nich zaprojektujemy jakieś dyskretne znaczki. Takie rozetki czy coś w tym stylu. Wszyscy pracownicy będą mieli specjalne stroje służbowe. W ten sposób cała instytucja zyska szacunek i będziemy bardziej charakterystyczni.

– Dodatkowo wprowadziłbym jeszcze specyficzny i zunifikowany sposób zwracania się naszego personelu do klientów. Teraz na każdym kroku wszyscy są dla siebie braćmi, siostrami, wujami, jakbyśmy wszyscy byli jedną wielką rodziną. Na każdym kroku krewniak.

Przypomniałem sobie, jak niedawno w tramwaju zmrużyłem oczy, a ktoś szturchnął mnie lekko i spytał: „Te, ojciec, śpisz?”. To był bileter.

Radość pana Halita nie miała granic.

– To dobry pomysł. Zgoda. Co jeszcze?

– Wszyscy powinni mówić takim samym, grzecznym i słodkim głosem do wszystkich, wtedy łatwiej będą nawiązywać kontakt. Będą używać określonego zestawu słów, nic od siebie nie dodając. Będą się poruszać jak dobrze działający zegar. Jeżeli powiedzą za wiele, zbyt poważnie jak na swój wiek, wówczas zamilkną.

– Czyli pewien rodzaj automatyzmu. Największa słabość i jednocześnie największe dokonanie naszego wieku! Przygotowany od podstaw grunt pod nastanie nowej ery, wyjście z wieków średnich. Ma pan absolutną rację i jest pan geniuszem! Wpadł pan na absolutnie wspaniały pomysł. Ludzie, którzy mówią i milkną jak bijące zegary. Ludzie-płyty! Rewelacja!

Objął mnie i przytulił.

– Brawo, panie Hayri. Dotarł pan do najgłębszej warstwy psychologii naszych czasów. To trudne. Jak tego wszystkiego dokonamy?

– Znam kogoś, kto byłby w stanie... – rzekłem po krótkim namyśle.

– To kobieta. Poza tym czymś takim powinna się zająć właśnie kobieta. Osoba, która potrafi nadać odpowiedni i pożądany przez siebie kształt wszystkiemu, czego dotknie. Pani Sabriye mogłaby szkolić personel i kontrolować go.

Opowiedziałem o pani Sabriye. Właściwie cały czas myślałem o członkach Klubu Spirytystycznego.

– Jutro osobiście zaproszę ją pisemnie. Jestem przekonany, że wiele wniesie do naszej sprawy. Jest raczej mało lubiana, ale tę pracę wykona perfekcyjnie. I będzie sprawować doskonałą kontrolę.

Chwilę się zastanawiał.

– Według mnie stacje regulacyjne powinny być obsługiwane wyłącznie przez młode kobiety. Żadnych mężczyzn. Takie wyszkolenie, nastawienie, możliwe jest jedynie w wypadku dziewcząt. Dla chłopców znajdziemy inne zajęcie. Co zyskamy, sprowadzając młodych mężczyzn do roli automatów? W dzisiejszych czasach zarówno mężczyźni, jak i kobiety lepiej nawiązują kontakt z młodymi dziewczętami. To zapewne wpływ kina.

Według mnie wśród młodych mężczyzn i kobiet można było znaleźć taki sam odsetek półgłówków i obydwie grupy mogły na równi przechodzić te same etapy szkolenia. Ale już się nie odezwałem, ponieważ przyszła mi do głowy kolejna myśl. Skoro mamy mieć w Instytucie jednolite uniformy i emblematy, to konieczne będzie zatrudnienie jakiegoś doradcy od estetyki. Ciekawym, czy pani Selma do spółki z Nevzat zechciałyby się tego podjąć. Czerwieniąc się trochę, przedstawiłem Halitowi swoje stanowisko. Zgodził się co do samej zasady. Miał wątpliwości odnośnie do samych kandydatur. Wówczas postanowiłem zagrać kartą, którą sam mi wręczył na początku tej rozmowy.

– Pan sam zdecydował, że pani Sabriye obejmie funkcję dyrektora. Ja nie zgłaszałem sprzeciwu. I teraz chciałbym skorzystać z mojego prawa do zgłoszenia kandydatury z przypisaniem do stanowiska. Panią Selmę zgłaszam zatem jako część mojego kontyngentu, jako osobę z kręgu rodzinnego, powiedzmy.

Halit Regulator pomyślał chwilę, potem roześmiał się w głos.

– Skoro tak panu na tym zależy, to zgoda. Ale jak załatwi pan sprawę z jej mężem?

– Jego także weźmiemy. Będzie kozłem ofiarnym.

Przyjrzał mi się uważnie w milczeniu.

– Widzę, że ma pan sporo do załatwienia. I wie pan, jak się mścić. Dobrze, zgadzam się na wszystko. Łącznie z panią Nevzat. Ale proszę pamiętać, że na tym podział kontyngentu pomiędzy nas kończymy definitywnie. Niech nam teraz kogoś polecą z zewnątrz i potem podejmiemy

decyzję co dalej. Niech się pan skontaktuje z obiema paniami. Ja mam sporo do roboty. Wie pan już, o co we wszystkim chodzi. Tylko wstrzymajmy się nieco z zatrudnieniem Cemala i pani Nevzat.

Wstał i zaczął się zbierać do wyjścia. Już w drzwiach odwrócił się i powiedział jakby od niechcenia, jak o mało istotnym szczególe:

– Och, o mały włos bym zapomniał. Przewodniczący zatwierdził już pana zatrudnienie i nieco podwyższył uposażenie. Od przyszłego miesiąca będzie pan zarabiał trzysta lir.

Przez moment rozważałem, czy rzucić mu się na szyję, czy wycałować go. W ostatnim momencie powstrzymałem się, wspomniawszy decyzję, jaką podjąłem jakiś czas temu: będę go naśladował w mowie i zachowaniu. To chyba najrozsądniejsze rozwiązanie.

– Dziękuję – powiedziałem spokojnie i dodałem jeszcze bardzo poważnym głosem: – Ale według mnie najważniejszą sprawą teraz jest sukces i rozwój Instytutu.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, które zdecydował się przerwać Halit.

– Dokładnie to jest naszym celem nadrzędnym – powiedział poważnie.

Dwa lata później zdarzyło mi się osobiście odwiedzić jedną ze stacji regulacyjnych. Przywitała mnie śliczna młoda kobieta przypominająca samolotową stewardesę, miłym głosikiem i setką uśmiechów oplotła mnie i omamiła jak niewidzialną, ale mocną pajęczyną. Nastawiła mój zegarek, nie pozwoliwszy nawet zdjąć go z ręki. Synchronizacji dokonała wedle własnego czasomierza, dzięki czemu udało jej się popsuć prawidłowe ustawienie. Przez cały ten czas trajkotała o zegarach, ludziach i mnóstwie innych spraw, koloryzując i wyolbrzymiając jeszcze bardziej niż ja, a wszystko to ze słodkim uśmiechem na uroczej buzi. Odpowiedziała na wszystkie moje pytania i nawet napomknęła o regulacji czasu kosmicznego. Nie pozwoliła nawet na moment zboczyć z tematu. Gdy wychodziłem, wręczyła mi jeszcze naręczę prospektów na temat działalności Instytutu, które w większości zresztą wyszły spod mojego pióra. Poza tym zachęciła mnie skutecznie do zwiedzenia nowej siedziby Instytutu na Hüriyet Tepesi i jakby tego było mało, udało jej się sprzedać mi trzy roczne abonamenty regulacyjne.

Przed wejściem do kiosku zauważyłem ścianę ogłoszeniową, a na niej, pośród przeróżnej treści plakatów, poster Instytutu z moim własnym wizerunkiem. Zdjęcie zrobiono mi w nowiutkim garniturze szytym wedle

projektu pani Selmy, który przyniosła do pokazania i na próbę. Spytałem młodą dziewczynę ze stacji regulacyjnej, czy mnie skądś nie zna. Na początku stwierdziła, że jest to pytanie osobiste i w obowiązującym ją regulaminie nie ma paragrafu, który kazałby jej na nie odpowiadać. Gdy się upierałem przy swoim pytaniu, rzekła:

– Oczywiście, że pana poznałam. Ale musiałam działać według instrukcji opracowanej przez panią Sabriye. Mamy obowiązek zachować uprzejmość wobec każdego klienta, ale mamy też zachować dystans, który nie pozwoli na wkroczenie na teren osobistych doznań i opinii, mówić tylko o czasie i zegarach, jak również przekazywać klientowi wyczerpujące informacje na temat Instytutu, czasu i zegarów.

Polecając panią Sabriye na to stanowisko, wcale się nie pomyliłem.

– Dobrze, więc ustaliliśmy, że jednak mnie pani rozpoznała. Co teraz powinna pani zrobić?

Spojrzała na zegar ścienny.

– O siódmej kończę pracę. Wówczas chętnie pana wysłucham.

Zehra niedługo pracowała w Instytucie. Wybrała pracę na stacji regulacyjnej. I chyba dzięki temu szybko wyszła za mąż. Naturalnie jej nowego męża od razu uczyniliśmy szefem Wydziału Dużej Wskazówki. Nie chciałem pozostawić zięcia poza korporacją, tak na pastwę losu. Młodsza szwagierka zajęła miejsce po mojej córce. Zapragnęła tego od razu, gdy zwolniła się posada, wiedząc, jak małe szanse na rynku pracy ma młoda kobieta bez czyjegokolwiek polecenia. Ślub Zehry i inne podobne przypadki spowodowały, że przyszedł mi do głowy pomysł, abyśmy powołali w Instytucie mistrza ceremonii na użytek ślubów pracowniczych. Jednak Halit Regulator uznał, że mogłoby to nieco zachwiać powagą instytucji, dlatego nie zdecydował się na takie posunięcie.

Dwa dni po mojej wspomnianej wyżej wizycie w stacji regulacyjnej odwiedziłem panią Sabriye. Była bardzo zadowolona z wizyty. Wspomniała o melancholii, która nawiedzała ją ostatnimi czasy. Była szczęśliwa z powodu wykonywanej pracy i tego, że możemy pracować razem. Poza tym przyjemność sprawił jej mój porządny i dostatni wygląd oraz powaga i estyma, jaką mnie ostatnimi czasy otaczano.

– Klub Spirytystyczny się rozsypał. Miałam już tego dosyć. Po prawdzie, to szukałam sobie takiej właśnie pracy, jak mam. Jestem bardzo panu wdzięczna i gotowa na każde pana skinienie.

Zapewniłem ją, że na razie to nie jest wprawdzie na liście personelu stałego, ale w najbliższej przyszłości, gdy już unormuje się sytuacja z zatrudnieniem w Instytucie, na pewno znajdziemy satysfakcjonujące ją rozwiązanie.

– Niech pani pomyśli o tym, czym pani teraz się zajmuje, jak o odrębnym zawodzie. I to bardzo ważnym. Ma pani grupę pięciu, dziesięciu dziewcząt, które trzeba doskonale przeszkolić, jako że sukces całej korporacji w dużej mierze zależy od ich pierwszego kontaktu z klientem. Właściwie to dzięki nim system funkcjonuje. Dlaczego tak jest? Tego do końca nie wiem. Ale wygląda na to, że mamy do czynienia z najważniejszym elementem. Pierwszy zabieg to uprzejmość wobec klienta i wzbudzenie jego zainteresowania, ale bez narzucania się. Myślę, że z czasem dodamy jeszcze inne rozmaite funkcje naszym stacjom, ale najpierw należy dobrze wyszkolić personel.

Pani Sabriye słuchała mnie uważnie, przygryzając wargi.

– Gdyby nawet pan nie wspomniał, że pracuje razem z Halitem Regulatorem, to i tak bym się zorientowała. Mówi pan o rzeczach, o których tylko on mógł pomyśleć. Wie pan przecież, że dla niego praca musi wiązać się z podróżą. Wyprawa na biegun, przemysł, takie rzeczy go interesują. Mierzi go pospolitość. To, czym się aktualnie zajmuje, musi być dziwne, niemożliwe, wprawiające wszystkich w osłupienie i przejmujące dreszczykiem. To dlatego nie pełnił funkcji publicznych zbyt długo. Ale wszyscy wielcy tego kraju są jego serdecznymi przyjaciółmi. Był przecież jednym z nich. Tyle że nie znalazł wśród nich przygody. Ale przede wszystkim musi głęboko wierzyć w to, co robi. Uważam, że pan nie traktuje tego wszystkiego bardzo poważnie. Natomiast Halit Regulator musiał w to wierzyć od samego początku. To dotyczy także całego Instytutu Regulacji Zegarów. Działa dla dobra wspólnego, robi wiele dobrego dla społeczeństwa, ale to za mało. Nie wystarczy, że Instytut jest wielki, że jest potrzebny. Tak jak mówiłam: powinien zadziwiać, złościć, robić wokół siebie zamieszanie. Może dlatego w pana słowach od razu rozpoznałam pasję Halita. Reasumując, mój drogi przyjacielu, wchodzę w to. Zobaczysz, jakie jeszcze będzie zamieszanie...

Znałem ją i wiedziałem, że nakłonić ją do mówienia można, jedynie nie zadając pytań.

– Sądzisz, że przegapiłabym taką okazję? – zapytała wesoło.

Siedząc tak na herbatce u pani Sabriye, zacząłem rozmyślać o wielkich zmianach, jakie nastąpiły w moim życiu. Pięć lat temu także tu by-

wałem, lecz wówczas odnosiła się do mnie z sympatią, ale i wyższością, serdecznie, ale lekko protekcyjnie, a ja wiedziałem, że to i tak więcej, niż zasługiwałem. W końcu przestałem się czuć godny zapukać do jej drzwi. Teraz nastąpiła w moim życiu zmiana, która spowodowała także zmianę w moim sposobie myślenia. Jak mogłem dokonać tej zmiany i wprowadzić ją do swojego życia? Jak mogłem ten stan podtrzymać i rozwijać? To nie była tylko kwestia posiadania pracy. To było coś więcej. Pani Sabriye jakby czytała w moich myślach, nagle zmieniła temat rozmowy.

– Wie pan, Hayri, bardzo się pan zmienił – rzekła.

– Czyżby?

– Tak, i to bardzo. Proszę się na mnie nie gniewać ani nie obrażać za mą śmiałość. Po prostu czuję, że jest pan beztroski, a nawet szczęśliwy. Dokładnie tak, jest pan teraz szczęśliwy. Wie pan zapewne, że to z powodu Halita Regulatora. On sam jest beztroski i szczęśliwy.

Dokładnie o to chodziło. Halit był człowiekiem beztroskim. I nie chodziło tu o pieniądze czy pewność siebie. On po prostu wszystko, co mu się w życiu przytrafiało, traktował jak zabawę. Po raz kolejny uświadomiłem sobie, że odkąd go poznałem, myślałem jego kategoriami, w ramach, które on określił. Ale ta cecha pozostawała na drugiej, nawet trzeciej pozycji pośród wszystkich, które wymieniła pani Sabriye.

– Wszyscy współpracownicy Halita prędzej czy później nabierają pewności siebie w ramach swojego potencjału. Halit mnie nie lubi, wiem to. Nie lubi, bo go dobrze rozgryzłam. Ale mnie się on bardzo podoba.

Powiedziałem jej, że to był mój pomysł, by zaangażować w działalność Instytutu ją, panią Nevzat, Cemala i Selmę...

Przy ostatnim nazwisku uśmiechnęła się znacząco, a jej spojrzenie zdawało się mówić: „Spodziewałam się tego”.

– Selma się zgodzi. I będzie bardzo wdzięczna za pańskie zaproszenie. Myślę, że ona potrzebuje jakiejś pracy. Podobnie zresztą jak ja. Tyle że ona potrzebuje zajęcia z innych powodów. Z tego co wiem, to jej stosunki z mężem bardzo się ostatnio pogorszyły. Jego interesy źle idą... ma mnóstwo problemów. Natomiast wątpię, czy Nevzat się zdecyduje.

– Dlaczego?

– To już nie ta sama kobieta co kiedyś. Selma też się zresztą bardzo zmieniła. Nevzat jest jeszcze bardziej oderwana od rzeczywistości. Zerwała kontakty ze wszystkimi przyjaciółmi. Żyje, jakby płaciła za jakiś grzech.

Zrobiła się przesadnie religijna, w jakiś taki mroczny sposób. Od rana do nocy czyta Koran i ciągle się modli. Nawet już duchów nie przywołuje...

– A co z Muratem?

– Zniknął. Mówiłam, to już nie ta sama Nevzat – rzekła, by za chwilę radykalnie zmienić temat. – A wie pan, z kim się teraz najbardziej przyjaźnię? Z pana ciotką! Ależ to wspaniała osoba. Rzutka, energiczna, wcale nie widać po niej wieku. Straszna szkoda, że nie utrzymuje pan z nią kontaktów. To jest osoba o tak szerokich horyzontach, kryształowa dusza... Ona także interesuje się mistyką. Nawet pisze wiersze mistyczne. Jutro wybieram się do niej na herbatę.

Zrozumiała, że dalsza opowieść może mi sprawić niejaką przykrość, dlatego zmieniła temat. Obiecała, iż zjawi się, gdy tylko dam jej znać, że jej miejsce pracy jest gotowe.

To, co usłyszałem o pani Selmie, do głębi mnie zasmuciło. Dlatego też zadzwoniłem od razu do domu Cemalów z pierwszego napotkanego sklepu. Jeżeli odebrałby pan Cemal, odłożyłbym słuchawkę. Przez ostatnie pięć lat, z powodu rozlicznych problemów, nie miałem nawet czasu o niej pomyśleć i nie widziałem jej ani razu. Teraz, gdy o niej usłyszałem, wszystkie wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą we wszechogarniającym mnie pożarze. Chociaż gdy ostatnimi czasy znacząco poprawiła się nasza sytuacja ekonomiczna, przeżywaliśmy z Pakize drugi miesiąc miodowy.

Odebrała ona.

– Och, gdzież się pan podziewał? Pytałam Cemala... W ogóle, to jak tak można... Powiedział mi, że pan się zwolnił i poszedł sobie precz. I tyle. Prosiłam, żeby pana odnalazł, a on mi na to, że jak kamień w wodę. Starał się, jak sądzę, ale żadnej wieści od pana... – mówiła, a w jej kryształowym głosie słychać było dziecięcą radość.

Czyli tak się sprawy mają. Powiedział jej, że się zwolniłem. Widać słabo go znałem. Szukał i nie mógł znaleźć, też mi coś!

Opowiedziałem jej więc o Instytucie Regulacji Zegarów i spytałem, czy zechce nam pomóc. Idea Instytutu bardzo jej przypadła do gustu.

– Ale co to miałyby być za praca? Bo to trochę śmiesznie brzmi. Nie jest to aby jakiś żart? Proszę opowiedzieć.

Robiłem, co mogłem, by dokładnie wyjaśnić jej podstawy funkcjonowania całej instytucji. Wyłożyłem, na czym miałyby polegać jej praca. Przyrzekła, że już następnego dnia nas odwiedzi.

Przyszła. Ze względu na Zehrę, która wówczas pracowała jeszcze w biurze, zaprosiłem Selmę do pokoju pana Halita. Na pierwszy rzut oka jasne było, że sporo się w jej życiu i w niej zmieniło przez te pięć lat. Była piękna i szczupła jak dawniej. Panowała nad ruchami ciała, a jej śmiech był jak jakiś taniec ognia. Czuło się jednak, że w środku całego mechanizmu coś się popsuło. Nie było w niej dawnej wewnętrznej radości. Musiała przeżyć coś złego. Sprawiała wrażenie lekko przestraszonej, obawiającej się nieokreślonego zagrożenia. Ja dobrze znam taki lęk, świetnie poznałem tego węża zatruwającego człowieka od środka. Nie miałem pojęcia, co mogło spowodować taki stan jej ducha, dlatego mówiła pośpiesznie i zachowywała się lękliwie.

Na początek chciała uzyskać jak najwięcej informacji na temat samej pracy. Nieco naiwnie odpowiadała, że chyba nie da rady podjąć się czegoś takiego. Wykonała wówczas tak zgrabny ruch ręką, że przez resztę rozmowy nie mogłem się skupić, czekając, aż wykona go po raz kolejny.

– Tonie takie straszne, jak pani sądzi. Po prostu będzie pani doradzać. Żadnej trudności w tym nie ma. A zna się pani na takich sprawach jak mało kto. Ma pani taki wyrobiony gust i w ogóle...

W końcu się zgodziła. Spodziewała się, że praca dostarczy jej rozrywki, bo uwielbiała zajmować się strojami i wystrojem. Ale musiała zapytać Cemala.

– Może się nie zgodzić. Ja za niego nie odpowiem i nie chcę wywoływać konfliktów...

– Jakich konfliktów? Nie sądzę, by pan Cemal chciałby się sprzeciwić jakimukolwiek pani pragnieniu... – powiedziałem prowokacyjnie.

Pokiwiała głową.

– Cemal bardzo się ostatnio zmienił.

Tak pewna siebie, silna kobieta o mały włos by się przy mnie rozpląkała. Poczułem ucisk w piersi.

Dotarło do mnie, że jej słowa opisują właściwie całe jej mizerne życie: smutek, beznadzieję i brak zrozumienia ze strony męża. Żyła, przymykając oczy na prawdziwą jego naturę. Kiedyś zobaczyła w nim wielką dojrzałość i za to pokochała. Ponadto stała się od niego całkowicie zależna. Była na jego rozkazy. Kochała go, bała się go i była o niego zazdrosna. Do tej pory kochałem tę kobietę, wiedząc, kim jest i z kim żyje. Wiedziałem, że była żoną Cemala, i to akceptowałem. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym,

jakie stosunki panują między nimi. Ani ona nie przypominała o istnieniu męża, ani on nie kojarzył mi się wyłącznie z nią. Mógł być jej mężem, mógł być jedynie jakąś chorobą.

Teraz, gdy zorientowałem się, że Selma mogła być zazdrosna o swojego męża, coś we mnie pękło i rozlało się. Do tej pory po prostu nienawidziłem Cemala. Byłem na niego zły o wiele rzeczy. Teraz doszła do tego jeszcze ślepa, zła zazdrość.

– Więc niech pani go zapyta, wierzę, że nie będzie miał nic przeciwko.
– rzekłem, czując, jak ciśnienie krwi w żyłach zaraz rozsadzi mnie od środka.

Najgorsze było to, że po raz pierwszy ujrzałem uwielbianą kobietę jako istotę z krwi i kości, która jak każda inna żona czy kochanka narzeka na życie. Było coś jeszcze dziwniejszego i śmieszniejszego w całej tej sytuacji. Oto ledwie co pozbyłem się starych, poważnych trosk, a już znalazłem sobie nowe. Byłem jak pływak, który wystawia głowę z wody, by ponad falą ujrzyć brzeg. Znalazłem sobie pracę i zacząłem na powrót szukać Selmy. Wróciłem do dawnego uczucia, które mną szarpało. I po co? Przecież powoli zacząłem się stawać sobą.

Gdy omówiliśmy już kwestie zawodowe, Selma zainteresowała się, co porabiałem przez pięć długich lat. Chciała koniecznie wiedzieć, dlaczego zrezygnowałem z pracy u jej męża.

– Podobno Cemal właśnie wtedy zamierzał podnieść wam wszystkim pensje – rzekła.

Popatrzyłem na nią zamyślony. Już chciałem jej wszystko powiedzieć. Ale po co się śpieszyć? Mogłaby przecież w ogóle nie uwierzyć. Lub tylko przyśporzyłbym jej kolejnego zmartwienia. Najlepiej było posunąć się do kłamstwa.

– Byłem daleko od Stambułu... – powiedziałem po krótkim namyśle.

– Ale widziano pana...

– Niemożliwe. Byłem w Izmirze.

– Dlaczego nie mówi mi pan prawdy? – pytając, patrzyła mi prosto w oczy. – Ja wiem, że Cemal kłamał.

Zapadła niezręczna cisza.

– Prawdę powiedziawszy, po prostu coś podejrzewałam. Teraz nabrałam pewności. Pana postawa mnie w tym utwierdza.

Chciałem rozwiązać jej wątpliwości, ale nie słuchała.

– O nie, to nie jest takie proste, jak pan sądzi. To coś znacznie poważniejszego. Nie mam żalu, że ukrywał przede mną fakt i okoliczności

pana zniknięcia, to nieważne. Wiedział, że pana lubię, że tyle panu zawdzięczam, że pracuje pan ciężko dla mnie. Nie chciał mi mówić prawdy, żeby mi nie było żal. Może to i szlachetne, ale na pewno niewybaczalne. Za dużo wkradło się kłamstw. Ale dlaczego pana zwolnił, skoro sam pana chciał do tej pracy?

– Może komuś innemu zależało na moim zwolnieniu...

– To niemożliwe. Wtedy nic by przede mną nie ukrywał. A nawet jeśli, to niby czemu miałby ulec jakimś naciskom? Nie, tu chodzi o coś więcej. – Rzekłszy to, spojrzała mi prosto w oczy. – Kto wie, ile musiał pan wycierpieć.

– To nieważne. Teraz już jest wszystko w porządku. Niech sobie pani mną nie zaprzęta głowy, niech pani w ogóle zapomni o mojej propozycji. Po co go denerwować i stwarzać dodatkowe problemy... Po co ma pani tracić spokój ducha...

Pochyliła się nad torebką i poszukała chusteczki do otarcia łez.

– Ja i tak nie mam spokoju...

Ot, i ludzki los. Nikt nie jest gwiazdą wiecznie: zawsze nadchodzi moment, gdy spada i przygasa, stając się podobny do innych, szarych ludzi.

– Tak czy inaczej cieszę się, że się spotkaliśmy. Jeśli chodzi o pracę... pomyślimy jeszcze. Może to za wcześnie, proszę czekać na mój telefon.

Na schodach przystanęła na moment.

– To naprawdę bardzo dziwne... tyle kłamstw.

Trudno się było z nią nie zgodzić.

3

Miesiąc później nasze biuro odwiedziła osoba daleko wyżej postawiona i niemal wszechwładna w porównaniu z przewodniczącym władz samorządowych. Zdążyliśmy się już przenieść do nowej siedziby. Zajmowaliśmy piękne, przestronne pomieszczenia. Liczebność personelu znacząco wzrosła. Nermin, Zehra, pan Ekrem i ja stanowiliśmy trzon biura. Mieliśmy coraz więcej do roboty. Halit codziennie zjawiał się w biurze i dyktował długie teksty raz Nermin, raz Zehrze, która dość wolno jeszcze pisała na maszynie, ale nikt nie robił jej z tego powodu wymówek. Ekrem powoli oswajał się z ideą pracy w Instytucie.

Halita Regulatora wcale nie zdziwiła niecodzienna wizyta. Chwilę postali, Halit opowiadał o Instytucie, zanim zaprosił do swojego gabinetu. Nowy gość był nieco inny od poprzedniego. Niewiele mówił, tylko uważnie się przyglądał wszystkiemu. Łaskawą akceptację wyrażał za pomocą łagodnego ruchu rzęs. Po uzyskaniu wstępnych wyjaśnień sam zapragnął zwiedzić Instytut. Bardzo mu się podobały maksymy oprawione w ramki zdobiące ściany instytucji. Wspomniał, że warto byłoby je rozpropagować na terenie całego miasta, a może nawet kraju. Halit rzekł tylko: „Myślimy o tym...”.

– To przede wszystkim kwestia funduszy – powiedział burmistrz. – Przy obecnych założeniach budżetowych dokonanie tego jest niemożliwością... Ale jak widzę, pan Halit robi, co może.

Nastąpiło przedziwne odwrócenie ról: Halit zajął moje miejsce, a burmistrz jego. Ja byłem na czwartym planie. Pan Halit jednak nie pozwolił, by o mnie zapomniano. Mój szef umiejętnie zadawał mi pytania i otrzymywał odpowiedzi w takim kształcie, jak oczekiwał.

– Oczywiście, ale nie wszystko jest przecież kwestią pieniędzy. Ludzka wola jest w stanie przewyciężyć trudności materialne – rzekł do burmistrza.

Modliłem się, żeby zechciał kontynuować, żeby zdradził mi tajemnicę, która raz na zawsze rozwiązałaby wszystkie problemy. Niestety, nie zechciał i musieliśmy sami wyciągać wnioski i dotrzeć do ukrytej prawdy.

Burmistrz oczywiście nie zaprotestował. Ten człowiek istotnie wyglądał na kogoś, kto siłą woli może dokonać rzeczy niemożliwych, toteż przedstawił argumenty za tym, że trudno jest znacząco zwiększać finansowanie instytucji, która dopiero co została powołana do życia, a jednocześnie nie da się dobrze wypełniać misji bez właściwego finansowania, i jeśli się czegoś wielkiego faktycznie dokona, dzięki ofiarności i wielkim poświęceniom, to waga tego poświęcenia będzie tym większa. Trudno było nie zgodzić się z samorządowcem w pewnych kwestiach. Pamiętam czasy, gdy byłem bezrobotny i moja egzystencja zależała całkowicie od siły woli. Tyle jej wówczas zużyłem, że nie została ani kruszynka. Dlatego od miesięcy byłem jak bezwładna piłka dowolnie odbijana przez Halita.

Regulator zachowywał się dość obojętnie przez cały czas. Przysiadł sobie na rogu biurka, cichy i nieco zrezygnowany, jakby cierpiał, że musi tracić cenny czas na rozmowy pozbawione większej wartości. Nigdy wcze-

śniej nie widziałem go w takim stanie przygnębienia. Sprawiał wrażenie człowieka, który modli się o koniec nudnego posiedzenia, czeka na poryw ożywczej bryzy zza okna, która odświeży atmosferę. Zdawał się mówić: „Ja sam wiem, kiedy należy się wtrącić; na początek sami dojdźcie do porozumienia. Nie mogę przecież wpływać na pana charakter i do czegoś na siłę przekonać, ja wszystko wytrzymam. Tak czy inaczej dojdziecie do tego, o co mi chodzi”. Nie wiem, czy można w bardziej dyplomatyczny sposób przekazać drugiej stronie, ile przyszło nam znieść i jacy jesteśmy cierpliwi.

Ostatecznie burmistrz podjął decyzję.

– Proszę się nie przejmować pieniędzmi. Załatwimy wszystko, co trzeba. Skoro już się zabraliśmy do tej roboty... Ja w każdym razie staram się być oszczędny i zachować umiar we wszystkich decyzjach, jakie podejmuję – rzekł uprzejmie i podziękował za całokształt w okrągłych i niezwykle zawiłych zdaniach.

Wtedy dopiero Halit wyszedł z roli obserwatora i wstał od biurka.

– Gdy tylko wzmocnimy i zwiększymy nasz potencjał, zamierzamy wydać bardzo poważne dzieło – rzekł.

Myliłem się, nie byłbym w stanie naśladować tego człowieka. Nigdy za nim nie nadążę.

– O, czyli macie już coś przygotowanego? Ależ pan ma tempo!

– Najpierw przeprowadzamy badania zakrojone na szeroką skalę. Mój przyjaciel, pan Hayri, poświęcił swe życie na napisanie tego dzieła. Na nasze szczęście...

Oficjel skorzystał więc z okazji, by mnie bliżej poznać.

– Pan Hayri chyba najlepiej na świecie zna historię naszego zegarmistrzostwa. Poza tym jest prawdziwym mistrzem w tej dziedzinie i filozofii jej przynależnej. Prawdziwym filozofem.

Cała uwaga skupiła się teraz na mnie. Odwołując się do terminologii prawniczej, było to jak przyłapanie na gorącym uczynku. Ach, Boże, gdybym tak mógł teraz uciec... Tylko dlaczego właściwie miałbym się teraz wycofać? Nigdy wcześniej w całym moim życiu nie okazano mi tak wielkiego zainteresowania.

– Jaki tytuł ma pańska książka, szanowny panie Hayri?

To pytanie sprawiło, że poczułem się, jakbym spadał w czarną przepaść i szukał czegośkolwiek, czego mógłbym się chwycić; wówczas Halit Regulator udzielił odpowiedzi za mnie:

– Badania Ahmeda Zamaniego Efendiego. Ahmet Zamani i jego dzieła.

– Ahmeda Zamaniego Efendiego? Nigdy nie słyszałem...

– Żył i tworzył w siedemnastym wieku. Człowiek okresu Mehmeta IV. Okres klasyczny.

– A czego dokonał ten uczonec?

– Był najwybitniejszym zegarmistrzem swych czasów. Ponoć opracował system podziału sekund jeszcze przed George'em Grahamem. Pan Hayri pobierał nauki od człowieka, który kończył szkołę Ahmeda Efendiego, szacownego Nuri Efendiego...

Oderwano wzrok od mojej skromnej osoby i skierowano go, ku mej radości, w inną stronę.

– Skończył pan swą książkę?

Teraz była kolej na mnie. Tym razem musiałem sobie sam poradzić. Halit zostawił mnie w połowie drogi i dalej musiałem iść o własnych siłach. Choć nie do końca wiedziałem, dokąd mnie ta droga zawiedzie.

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie. Są jeszcze pewne kwestie do rozstrzygnięcia. Ale zbliżamy się do końca... Tak jakby jest na ukończeniu...

– Myślę, że do kwietnia przyszłego roku da pan radę – rzekł Halit, po czym zwrócił się do gościa: – W kwietniu właśnie mija sto osiemdziesiąta rocznica śmierci Ahmeda Zamaniego Efendiego – zawahał się na moment, policzył w pamięci – tak, dokładnie sto osiemdziesiąta.

– Czyli możemy urządzić huczne obchody?

Halit Regulator po raz kolejny odrzucił piłeczkę do burmistrza.

– Taka jest intencja pana Halita... ale pan Hayri może być trochę wyczerpany...

– Nie, tej szansy nie można przegapić. Moglibyśmy wówczas zrobić oficjalne otwarcie Instytutu, i to z wielką pompą, prawda, panie Hayri? – uprzejmie zapytał samorządowiec.

Halit po raz kolejny zdecydował się na ingerencję.

– No nie wiem, myślałem o oficjalnym otwarciu w naszej nowej siedzibie... – rzekł Regulator, ale na to absolutnie nie mógł przystać nasz gość.

– Nie, to by było za późno. Zresztą samo otwarcie nowej siedziby można zawsze zorganizować. Im częściej urządza się takie ceremonie, tym lepiej. – rzekł zdecydowanie oficjalnie i zwrócił się do mnie: – A od pana oczekuję jasnej deklaracji, że książka będzie gotowa już w lutym. To doprawdy niedopusz-

czalne, by tak zacna jednostka była kompletnie zapomniana. Zwracam się do pana, panie Hayri, by miał pan na uwadze tę kwestię jako priorytetową. A pan niech mi w odpowiednim czasie przypomni o przygotowywanym dziele.

– Oczywiście, tak jest... Poza tym o tej publikacji wspominaliśmy w naszym harmonogramie projektowym – rzekł Halit Regulator i dodał jeszcze: – Niestety, nie możemy podać ostatecznego tytułu dzieła. Przedstawię go w suplemencie do projektu.

Pierwszy raz w życiu usłyszałem o Ahmedzie Zamanim Efendim. Boże wielki, dlaczego nie pozwalasz mi zarabiać na chleb powszedni po prostu, zwyczajnie, za to czynisz mnie narzędziem czyjegoś kłamstwa! Dokładnie tym byłem: efektem konfabulacji, których kolejne odsłony pojawiały się jak odcinki gazetowych historyjek.

– Dokonał wielkiego odkrycia, a jego pamięć nie przetrwała? – Burmistrz nie chciał odpuścić słynnemu naukowcowi.

Odezwałem się obcym głosem, jakbym mówił nie ja, lecz ktoś, kogo jeszcze nie znam.

– Starożytni pozostawali w cieniu... To znaczy sławę uważali za objaw próżności i zjawisko ze wszech miar szkodliwe... Poza tym umarł dość młodo. Miał jakieś czterdzieści dwa lata chyba...

– Czy znaleźliśmy wówczas podział sekundy?

Przy tym pytaniu zabrakło mi już ostatecznie powietrza w płucach. Zabrakło mi inspiracji. Nauka wie swoje i już, nic dodać, nic ująć. Ale Halit Regulator i na to znalazł odpowiedź.

– Ależ oczywiście – rzekł pewnym głosem i zaczął uważnie przyglądać się odciskowi własnej dłoni, który pozostał na szklanym blacie stołu.

– No rzeczywiście, czemu nie... W sumie tak mało wiemy o dawnych czasach...

– To był bardzo znaczący okres w naszej historii. Ówczesni ludzie przejawiali ogromne zainteresowanie mechaniką, funkcjonowaniem różnych urządzeń. Co drugi człowiek był pochłonięty swoimi małymi i większymi odkryciami w tej materii. Wykonywano nawet próbne loty pomiędzy minaretami niezbyt oddalonych od siebie meczetów.

Burmistrz spojrzał na mnie uważnie.

– Jaki to był człowiek? – zapytał.

Halit począł bawić się guzikami marynarki. To był znak, że ja mam kontynuować. Zebrałem w sobie resztki siły i woli.

– Mentor i przewodnik – rzekłem. Ale kimże mógł być mentor kłamców? – Był wysokim blondynem o ciemnej brodzie i ciemnych głębokich oczach. W młodości miał poważne problemy z wystawianiem się, ale dzięki ciężkiej pracy i samozaparciu zwalczył to i ostatecznie stał się wprawnym mówcą. Tak mówił mój świętej pamięci nauczyciel, Nuri Efendi. Poza tym miał ponoć dziwne przyzwyczajenia. Mimo iż uprawiał różnorakie owoce, nie jadał żadnych poza winogronami. Nie używał cukru ani miodu. Był członkiem zakonu mevlevitów. Był synem bogatego człowieka. Ponadto głosił, że mężczyzna powinien mieć tylko jedną żonę, toteż nie był zbyt popularny w owych czasach...

– Czyli był człowiekiem nowoczesnym. Tak jak my!

– Mniej więcej... Bardzo lubił żółty kolor. Mój mentor Nuri Efendi opowiadał, że nosił się także dość nietypowo, bo szatę miewał żółtą i żółte futro podczas chłódów. Mawiał, że to kolor słońca. Prowadziłem wnikliwe badania, ale niestety nie udało mi się ustalić, dlaczego żywił takie właśnie przekonanie – kontynuowałem gładko, a na twarzy oficjela i jego asysty pojawiały się oznaki skończonego zadowolenia. Ach, te małe szczegóły, zarys i fragment rozmowy. Oto całe życie. Nic dziwnego, że starożytni woleli pisać wierszem.

– Czym konkretnie się zajmował?

Teraz nie mogłem się wycofać. Musiałem brnąć dalej i wymyślać konsekwentnie kolejne niestworzone historie.

– Był muezinem* w małym meczecie w Çengelliköy. Ze względu na jego poglądy dotyczące kwestii wielożeństwa pozbawiono go funkcji. Tak więc zaczął odprawiać nabożeństwa we własnym domu, dla gości, a ezan** wyśpiewywał z okna.

– A nie wspominał mi pan, że za pośrednictwem pewnego weneccjanina Ahmet korespondował z zachodnimi matematykami? – spytał bez troski Halit.

– Tak, ale niestety nie mogę tego dowieść na podstawie dokumentów. Gdyby nie zaginęły kluczowe księgozbiory z biblioteki Nuruosmaniye***...

– Ważny wynalazca... taki człowiek...

* Mężczyzna wzywający wiernych do modlitwy (przyp. tłum.).

** Nawoływanie z minaretu na modlitwę, zawsze po arabsku, zaczyna się od słów „Allah jest wielki” – *Allah u Akbar* (przyp. tłum.).

*** Budynek biblioteki został ukończony za panowania sułtana Osmana III w XVIII wieku, mieści się w dzielnicy Eminönü, u wejścia do Krytego Bazaru (przyp. tłum.).

Halit Regulator poczuł chyba potrzebę zebrania wszystkich informacji i spięcia ich w bardziej realistyczny obraz.

– Wydaje mi się, że z tego co zostało powiedziane, wynika, że musiał to być ktoś z otoczenia samego Katip Çelebiego*, jak sądzę. Inaczej trudno go umiejscowić w czasie i przestrzeni naukowej owych czasów – dodał Halit.

Takie podsumowanie zadowoliło wszystkich. Burmistrz wydawał się całkowicie usatysfakcjonowany i zapragnął zwiedzić pozostałe pomieszczenia. Przechadzka po pokojach przebiegała bardzo podobnie, jak wizytacja przed dwoma miesiącami. Różnica polegała na tym, że mieliśmy teraz ładniejsze biuro, a burmistrz to jednak więcej niż przewodniczący i może dlatego był znacznie wnikliwszy. Prawdziwy pedant. Obchód trwał dwie godziny. Burmistrz zatrzymywał się niemal przed każdym meblem. Wszystko, co dało się łatwo podnieść, podnosił i oglądał od spodu. Otwierał wszystkie puste klasery i zeszyty oraz długo kontemlował grafiki wiszące na ścianie.

Naraz zwrócił się do mnie, jedną ręką próbując ściągnąć pokrowiec z maszyny do pisania.

– A wiadomo jak umarł?

– Niestety, proszę szanownego pana, ale ...

– Ja się domyślam. Pewnie na cukrzycę. Ja mam, to wiem.

Nikt nie zdecydował się zadać kluczowego pytania, skąd to niby wie. Dlaczego miałby ktoś pytać? Dlaczego mielibyśmy podawać w wątpliwość stwierdzenie samego burmistrza? Skoro każdy umiera z jakiejś przyczyny, to sam Ahmet Zamani Efendi najprawdopodobniej także miał powód. Co za różnica, czy były to zgryzoty duszy czy cukrzyca? Najważniejsze, że sam burmistrz zaangażował się w próbę odkrycia prawdy o zmarłym naukowcu, toteż pozostali przyjęli jego hipotezę za pewnik.

– Bardzo trafne spostrzeżenie, zważywszy, że jadał jedynie winogrona – zdecydowałem się jeszcze dorzucić swoje.

Potem spojrział na zegarek: piękny złoty longines i rzekł:

– Zmęczyłem się.

Wszyscy chyba byliśmy wyczerpani. Dlatego kawa przyniesiona do gabinetu przez pana Dervisza wszystkim znacząco poprawiła humor. Burmistrz nawet darował sobie przypomnienie, że miała być mało słodka.

* Zwany też Mustafa bin Abdullah, XVII-wieczny turecki geograf, pisarz i naukowiec. (przyp. tłum.).

Po wypiciu kawy należało, jak poprzednio, przejść do kwestii związanych w wielkością zatrudnienia w Instytucie. Następny etap to wzajemne podziękowania. Złota taca z kosztownościami przechodziła w ręce burmistrza i wracała. W końcu, jak dziecko w beciku, pozostała w ramionach Halita Regulatora.

– Gdybym nie miał absolutnej pewności, że pan widzi słuszność naszych działań, nigdy, przenigdy bym się tej pracy nie podjął. Moja wdzięczność za udzielone wsparcie jest dozgonna i wielka. Doprawdy nie wiem, jak panu burmistrzowi dziękować. Jestem pana uniżonym sługą za to, że daje mi pan szansę podjąć takie wyzwanie – dzięki tym słowom sprawa została przypieczętowana.

Zawsze tak prowadził rozmowę. Mówił wtedy, gdy wymagała tego sytuacja. Zawsze uzyskiwał to, czego chciał, nie prosząc ani razu. Teraz z powodzeniem tłumaczył istotę stworzonej przez siebie instytucji, nie pozostawiając miejsca na dyskusję. Ale pan burmistrz był człowiekiem doświadczonym. Nie powierzyłby nam całej odpowiedzialności za funkcjonowanie wielkiego i wiele znaczącego Instytutu.

– Ta inicjatywa od początku bardzo przypadła mi do gustu. Jest równie moja, jak i pańska – powiedział. – Naczelnik będzie wam zawsze służył pomocą.

Wychodząc, spojrzał jeszcze w moją stronę.

– Czekam na książkę, panie Hayri, rozumie pan, prawda? – mówiąc to, pogładził mnie po policzku. A w progu rzucił jeszcze władcym tonem: – Rozpropagujcie te slogany. Wszędzie i wszystkie, jak najszybciej się da.

Słyszałem, jak na schodach szeptał do asystenta:

– Pan wie, co to ten podział sekundy, prawda?

Gdy przedstawiciel władzy lokalnej już wyszedł, Halit podszedł do mojego biurka.

– No, teraz już pan chyba nie ma wątpliwości.

– Ależ skąd. Instytut powołany. Tylko co my będziemy robić?

– Jeszcze pan nie wie? Będziemy regulować zegary.

– Ale jak tego dokonamy za pomocą tak ogromnej instytucji?

– Znajdzie się rozwiązanie. Każdy zajmie się swoim wycinkiem i określi swoją pracę stosownie do stanowiska. Puszczę tę informację w obieg i poproszę wszystkich naszych przyjaciół, których zatrudniamy, by się do tej metody dostosowali. Wszyscy tego dokonają, nikt nie zaniebda, zobaczy pan.

Już stojąc w drzwiach, rzucił niejako od niechcienia:

– A kiedy pan ukończy książkę? To znaczy ile panu czasu trzeba, chciałem zapytać.

– Jakże ja mam ją napisać? – spytałem. – O nieistniejącym człowieku?

Halit zmarszczył brwi i pierwszy raz w życiu widziałem, że się ze-
złościł.

– Jak to: o nieistniejącym? Przed chwilą sam pan o nim opowiadał burmistrzowi. Żył w czasach Mehmeta IV. Lubił żółty kolor, kolor słońca, był mevlevitą i zajmował się rachunkami Grahama, czyż nie? I zmarł na cukrzycę. O, mój drogi, ja takiego sabotażu sobie nie życzę. Instytut odniesie sukces. Każdy będzie wypełniał swoją misję. To jest pana pierwsze podstawowe zadanie.

– Dobrze, ale to wszystko jest bez większego znaczenia, bo to wszystko wymyśły, bujda!

Podskoczył do mnie i złapał mnie za klapy marynarki.

– Ta książka zostanie napisana. Albo idź pan do swojego gabinetu, pisz pan rezygnację i zwolnij się! Nie chcę się narażać na zdradę ze strony najbliższych przyjaciół w instytucji, która jest najbliższa memu sercu, rozumie się? Najpierw pan opowiadasz, a potem mówisz, że kłamstwo!

– Nigdy nie wspomniałem o tym Ahmedzie...

– Ale o Nuri Efendim. To jest to samo.

Zauważył moją minę, więc dla rozładowania atmosfery roześmiał się niemal beztrzesko.

– Wszystko, co zostało nazwane, istnieje, panie Hayri. Ahmet Zamani Efendi istnieje i istniał. Trochę dlatego, że my zapragnęliśmy jego istnienia. A teraz oczekuje tego także nasz wielki przyjaciel. Niech się pan nie smuci, nie martwi. Niech pan pracuje. A czego pan dokonał w kwestii zatrudnienia nowych pracowników? Dostajemy to, czego chcemy, ale gdzie jest lista?

Byłem już zmęczony.

– Nie znam aż tylu osób...

– To niech pan poszuka.

– Nie mam wielu krewnych.

– Nie ma ludzi bez krewnych.

– Może gdzieś są, ale ja nie utrzymuję kontaktów... Nie wiem, gdzie są teraz. Może dam ogłoszenie do gazety?

Ponownie się uśmiechnął.

– Och, panie Hayri... Ależ pan mnie męczy. Do tej pory nie udało mi się nauczyć pana podstawowych rzeczy. Nie, nie potrzebujemy ogłoszenia. Poczekamy... Zjawią się... I nadszedł już czas, by zaprosić panie Sabriye i Selmę.

Poszedłem do swojego pokoju, gdzie czekała na mnie córka. Chciała, żebym dał jej urlop. W nowych sukienkach wyglądała naprawdę ładnie i na szczęśliwą. W naszym nowym mieszkaniu pięknie urządziła swój pokój. Nawet poprawiły się jej stosunki z Pakize, były jak przyjaciółki. Żona poddała się terapii na tarczycę i skończyły się kłótnie o byle co. Ahmet przytył sześć kilo w trzy miesiące. Powiedziałem córce, że jeśli chce, to oczywiście może zostać jutro w domu. Zamiast mi normalnie podziękować, skłoniła się niemal dworsko. Usiadłem przy biurku, schowałem głowę w dłoniach i zacząłem intensywnie myśleć. Nie mogę się zwolnić, to nie wchodzi w grę. Żeby nie wiem jak głęboko brnął w kolejne kłamstwa, u podstaw tej wielkiej blagi leżała najprawdziwsza, realna prawda: Instytut Regulacji Zegarów uratował mi życie.

Halit Regulator wpuścił do mojego domu słońce i spokój. Gdy o tym myślałem, zadzwonił telefon wewnętrzny. Halit odezwał się głosem, jakby przed chwilą nic się nie wydarzyło, jakbyśmy wcale nie rozmawiali.

– Jutro przyniosę panu książki historyczne, które bardzo pomogą podczas pisania książki o Ahmedzie. Zobacz pan, jakie to łatwe...

– Dziękuję panu.

– Za miesiąc czy dwa publikujemy...

– Tak sądzę. Pan też trochę pomoże, prawda?

– Z zaproszeniem pań proszę się nieco wstrzymać. Muszę teraz wyjść, ale jakby coś się wydarzyło, to niech pan dzwoni do mnie do domu.

– Tak jest, proszę pana.

4

Od samego początku istnienia Instytutu ciągle się coś pojawiało w gazetach. Gdy rozpoczęła się dyskusja na temat uposażenia pracowników Instytutu, artykułów było coraz więcej. Nagle staliśmy się tematem numer jeden. Codziennie na łamach wielu pism opisywano, krytykowano pracę

i cel powołania takiej instytucji. Wyszukiwano informacje z życia prywatnego dyrektorów i ich zastępców. Niektóre gazety opisywały Halita Regulatora jako osobnika bardzo uprzejmego i sympatycznego, w innych zaś zastanawiano się, dlaczego taki ważny, popularny człowiek angażuje się w tak podejrzaną przedsięwzięcie. Wielu pytało, czym się będzie zajmować nowa instytucja. Halit czytał wszystko i nie tracił humoru.

– To oczywiste, że dużo się będzie mówić o tak ważnej instytucji. To jest temat do polemik!

Najbardziej spodobał mu się artykuł, gdzie ktoś określił Instytut mianem kamienia milowego w rozwoju światowej biurokracji.

– Ten, kto to pisał, dokładnie rozumiał, o co chodzi. Mądry człowiek i dobry obserwator współczesności. Nasze czasy można określić na wiele sposobów, ale przede wszystkim żyjemy w erze biurokracji. Od Spinglera po Keyserlinga wszyscy filozofowie wspominają o biurokracji. Ja zaryzykuję nawet stwierdzenie, że nasze czasy to apogeum rozwoju biurokracji i jej złoty okres. Ten, kto to rozumie, jest ważnym człowiekiem. Ja tworzę pewien byt, a on sam nadaje sobie kierunek ruchu, właściwy kształt i obiera funkcje, które będzie pełnił. Czyż może być coś bardziej genialnego?

Gdy dyskusja na łamach przeróżnych gazet i periodyków na temat zasobów kadrowych Instytutu rozgorzała na dobre, Halit Regulator przestał być tematem numer jeden i opinia publiczna zwróciła swe oczy na mnie.

Wziąwszy pod uwagę fakt, że pewne tematy pojawiały się i znikwały, a najczęściej powracało zagadnienie zasadności powołania Instytutu, nie byłoby chyba zbyt odległe od prawdy twierdzenie, że część tego zamieszania była w pewnym stopniu sterowana przez samego Halita. Ja i przedziwne koleje mojego losu były lepszym tematem dla gazet. Od tego momentu skończył się okres spokoju. Codziennie pojawiały się w gazetach moje zdjęcia. Dyskutowano o moim życiu, zastanawiano się, czy aby na pewno jestem odpowiednią osobą do pełnienia tak ważnych funkcji. Wywleczono historie z czasów nauki w meczecie Takribi Ahmet Efendi, opowieści o diamencie Şerbetçibaşy, o ludziach, wśród których spędziłem dzieciństwo i młodość, o latach bezrobocia i nędzy oraz wszystkich dziwnych zajęciach, jakich się imałem. Według niektórych byłem faktycznym bohaterem: całe moje życie spędziłem w cieniu zegarów, kontemplując istotę czasu. Od najmłodszych lat niejako byłem przez los przygotowy-

wany do objęcia tego właśnie stanowiska. Byłem ostatnim uczniem Nuri Efendiego. W sensie duchowym byłem także ostatnim spadkobiercą dobroku Ahmeda Zamaniego Efendiego.

Następnie, zapewne także za sprawą tajnych działań Halita, odrestaurowano grób Nuri Efendiego, co ze zdwojoną siłą spowodowało wypchnięcie mnie na pierwszy plan wszystkich wiadomości, i to we wszystkich periodykach. Przy tej okazji, zgodnie z kategorycznym życzeniem Halita Regulatora, wspomniałem w swym przemówieniu o wspaniałym Ahmedzie Zamanim Efendim i wówczas zawrzało. Moja inteligencja, zmysł obserwacji i odkrywcze metody były gloryfikowane na potęgę.

W następnym tygodniu, jak grom z jasnego nieba, pojawił się artykuł pod tytułem „Czasy terminowania Hayriego Irdala”, gdzie napisano, że od trzeciego roku życia uczył się na zegarmistrza. Ledwie umiejąc mówić, pytałem ponoć ojca, jak działa wielki zegar, który stał u nas w salonie, a który zwał się „Święty”. Wzruszająca historia brzmiała mniej więcej tak: „W tym zubożałym domu, gdzie jedyną pamiątkę po latach świetności szacownego, głęboko religijnego rodu stanowił wspaniały wielki zegar, stary ojciec od rana do nocy tłumaczył małemu chłopcu, na czym polega działanie mechanizmu zegara. Tak oto los małego Hayriego napiętnowany pojęciem czasu został przesądzony, zanim jeszcze chłopiec się urodził. Przeznaczeniem Irdala było objąć właśnie tę, nie inną funkcję”. To był faktycznie dobrze napisany kawałek. Idąc tym tropem, ktoś inny określił mnie mianem „Nieznanego Voltaire’a”, szukając podobieństw pomiędzy moją skromną osobą i filozofem, który zyskał wielkie bogactwo dzięki temu, że parał się zegarmistrzostwem. Jeszcze ktoś rozważał, czy moim ojcem był Nuri Efendi, czy może właśnie Voltair. Stwierdzono także, że wszyscy napotkani przeze mnie wzbogacali moją wiedzę i doświadczenie. „Hayri Irdal od dzieciństwa poświęcał się różnym poglądom, a ciągła wytężona praca któregoś dnia miała przynieść spodziewane owoce. A oto i one”.

Naturalnie osoba doktora Ramiza nie mogła pozostać niezauważona. Swoje referaty rozbudował do rozmiarów poważnej książki, w której poddał wnikliwej analizie moją psychikę. Opowiedział w niej o tym, że w starym zegarze, który był jedyną pozostałością zapomnianego meczetu, widziałem swego ojca. Pisał o prawdach ludowych, znaczeniu snów i historii Seyita Lutfullaha, jednocześnie wychwalając moją zdolność in-

tuicji i przeczuwania. Zrobił ze mnie drugiego Abu Alego Sinana*, nazywając moje życie kontynuacją żywota tego Fausta wschodniej cywilizacji. „Tego, czego dokonał w swoich czasach Awicenna, współcześnie imał się pan Hayri. Dlatego jeśli mój serdeczny przyjaciel Hayri Irdal tak głęboko zaangażował się w działalność Instytutu Regulacji Zegarów, nie może to być nic, co wzbudzałoby cień wątpliwości, czy to moralnych, czy jakichkolwiek innych”.

Najgorsze było to, że Halit Regulator reagował na moje rozzalenie i utyskiwania na te wszystkie bzdury ledwo skrywanym uśmiechem i milczącym rozbawieniem.

– To jest zupełnie normalna sytuacja, że wokół człowieka tak bliskiego założycielom szacownej instytucji robi się hałas. Co ja miałbym uczynić? Stanąc przed tłumem i krzyknąć, że to wszystko nieprawda? Wtedy wszystko by się zawaliło. Niech pan da spokój. To jest jak fala: przyplęnęło i niechybnie odpłynie.

Czasami mówił inaczej.

– Czy to moja wina, że faktycznie czasami przypomina pan i Voltaire’a, i Fausta? Skoro sami znajdują takie porównania, to co ja na to poradzę? Piszą to ludzie, którzy nam dobrze życzą. Nam i naszej sprawie. Nie jest łatwo w pięćdziesiąt lat dogonić wiekową cywilizację. No, może jest w tym wszystkim troszkę przesady, ale to naturalne. Tak jak któregoś z naszych pisarzy porównywano do Balzaca czy Zoli, tak pana będą porównywać z innymi wielkimi poprzednikami. Powiem szczerze, że jestem zadziwiony: zamiast mi dziękować, że dzięki mnie doświadcza pan tyle uwagi, pan się na mnie złości. Ja na pana miejscu w ogóle bym się nie odzywał i zajął się robotą. Niech pan siada, pisze książkę i dba o rozwój naszego Instytutu. To takie proste. Z czasem pan przywyknie. A może już trochę się pan przyzwyczaił? Nie dalej jak tydzień temu strasznie się pan zezłościł z powodu jakiegoś niepochlebnego artykułu na pana temat. A wcale nie było o co kruszyć kopii. Kiedyś było gorzej i pan się martwił, teraz jest lepiej i jest pan zły. Czy może poprzednie artykuły w istocie podobały się panu?

Krytyczne głosy dotykały w pewnym sensie prawdy, bo jak głosił początek pisma: „Wyplął na powierzchnię biedak znany Stambułowi mię-

* Awicenna – perski lekarz i uczonec, żył w X wieku (przyp. tłum.).

dzy innymi jako bohater skandalu z zaginionym diamentem w tle”, a dalej przedstawiano mnie jako oszusta, zaś Halita Regulatora jako nałogowego poszukiwacza przygód, sprawcę pewnych nadużyć finansowych, który ze mnie zrobił sobie marionetkę.

Dzień po wizycie burmistrza miałem otrzymać od Halita, jako nagrodę, ofertę pracy jako niemający nic do roboty kontroler w tartaku za sto lir, a ponadto podobną ofertę miałem otrzymać także w fabryce mydła należącej do Halita. Artykuł dotyczył tylko mnie i ten stek bzdur poruszył mnie do głębi.

– Oczywiście, że się zdenerwowałem! Gdy się mnie obrzuca czymś takim, to jestem zły i już! Sam pan wie, że w całej sprawie z diamentem nie było ani krzty mojej winy.

– Nie, nie... pan się zdenerwował na określenie „marionetka”.

– Nieprawda. Dobrze wiem, że jestem marionetką.

Halit zachował zimną krew.

– Dziwny z pana człowiek – rzekł spokojnie. – Nie wie pan, czym jest przyjaźń ludzi pracy. Od razu widać, że przez całe życie nie doświadczył pan czegoś takiego. Nie przywykł pan do utrzymywania stosunków społecznych i towarzyskich. Tylko ci, którzy nie nawykli do kontaktów z bliźnimi, mogą się tak obruszać na wolność poglądów. Chce pan, żeby nic o nim nie pisano i jednocześnie, by w umiarkowanym stopniu chwailono. Albo, albo. Jeżeli odkryje pan złoty środek, to proszę mnie oświecić, chętnie skorzystam. No, mój drogi, mamy wolność słowa!

Trudno się było z nim nie zgodzić. Przyznaję, że pochlebstwa sprawiały mi przyjemność. Złościła natomiast przesada. Po artykule doktora Ramiza przeprowadzono obszerny wywiad z moją żoną i w całości go opublikowano. Pakize, jakby pragnąc wynagrodzić mi dziesięć lat zaniedbywania, ponizania mnie, za piekło naszego małżeństwa przez bite dwadzieścia minut wychwalała mnie pod niebiosa. Kobieta nie miała najmniejszego pojęcia o zegarach, psychoanalizie i nauce jako takiej. Była kobietą nowoczesną. Kochała kino i postrzegała świat przez pryzmat białego ekranu. W jej oczach stałem się bohaterem filmu.

Moja żona bardzo mnie kochała od zawsze. Właściwie od dzieciństwa. Nieprzychylne dla nas koleje losu sprawiły, że ja musiałem ożenić się z Emine, ona zaś ze swoim pierwszym mężem. Jednakże cały ten czas o sobie myśleliśmy, a nasza pierwsza miłość nigdy nie

zbladła. Dzień przed swoim pierwszym ślubem spotkałem się nawet z Pakize i wytłumaczyłem jej ze ściśniętym sercem całą sytuację. Emine była dobrą kobietą, ale nie do końca mnie rozumiała. Dlatego nie osiągnąłem przy niej szczęścia i nie odnalazłem swego prawdziwego ja. Po jej śmierci Pakize natychmiast rozwiodła się z mężem, odnalazła mnie i w końcu mogliśmy być razem. Jak każdy człowiek nauki i wielki myśliciel w kwestiach męsko-damskich jestem nieśmiały, chętny i z natury roztargniony. To dzięki Pakize rozpocząłem pracę. „Być całkowicie poświęcić się ukochanej idei, porzucił dobrą pracę urzędnika publicznego. Przez ostatnie siedem, osiem lat żyliśmy dzięki oszczędnościom i pozostałościom po niewielkich spadkach. Wszystko dla idei”. Ale Pakize nigdy się nie skarżyła. Wiedziała, że być żoną wielkiego naukowca oznacza wiele poświęceń i wyrzeczeń, na które zawsze była gotowa. Życie osobiste? Oczywiście zawsze byłem trochę nieobecny i zamyślony. Ożywiałem się i okazywałem radość jedynie wówczas, gdy zajmowałem się ukochaną pracą. Dobrze jeździłem konno, pływałem i grałem w tenisa. „Lubił hazard, ale przez wzgląd na mnie porzucił go bez żalu”. Miałem zawsze wyrobiony gust, jeśli chodzi o damskie stroje. Młodsza szwagierka niezmiennie korzystała z moich rad, dobierając swe suknie. I te wschodnie, tradycyjne, i te na modłę zachodnią. Pięknie gram na pianinie i bandzo. Dzięki mnie młodsza szwagierka rozwinęła swe zdolności. „A wie pan, że ona co wieczór gra i śpiewa w kasynie Kryształowa Kaskada? Radzę iść około wpół do jedenastej”. Każdą wolną chwilę spędzam z dziećmi i uwielbiam z nimi rozmawiać. Do śniadania pijam sok owocowy. Mam pewną przywarę, mianowicie szybko i często się zakochuję, ale jak wiadomo, człowiek na moim poziomie może sobie na to pozwolić, a poza tym oni tak wszyscy... i dlatego Pakize nie żywi urazy. Jeśli o nią chodzi, to w młodości zamierzała zostać tancerką. Lecz gdy się wychodzi za takiego człowieka jak Hayri, trzeba być przygotowaną na różne poświęcenia i robi się to z przyjemnością, ze szczerego serca. W tym samym czasie, gdy otwierano Instytut Regulacji Zegarów, dostałem jeszcze dwie fantastyczne propozycje pracy. Jedną z Hollywood, tak, tak, dokładnie... do jakiegoś filmu o tematyce wschodniej. Zaś drugą z wielkiej fabryki zegarków. Gdzieś w Szwajcarii. Nazwy nie poda, bo tak bardzo poświęca się pracom domowym – które kocha jak nikt – że po prostu zapomniała,

co to miała być za fabryka. „Wszystko, za co się bierze, robi jak artysta. Cała nasza rodzina to artyści. A Hayri w młodości pracował w teatrze. Ostatnimi czasy grał w jednym filmie”. To ostatnie po części było prawdą, ponieważ w czasach bezrobocia nająłem się jeden, jedyny raz jako statysta. Co lubię jeść? Głównie gotowane warzywa, grillowane potrawy, takie tam. Zasadniczo lubię jeść, ale ściśle przestrzegam postów. Największą moją wadą jest to, że wcale o sobie nie dbam. Nie byłem nigdy zwolennikiem popularnych rozrywek, toteż rzadko dokądś wychodziliśmy. Czasami do kina. Wywód Pakize kończyły nazwiska znanych gwiazd ekranu.

Jeżeli dowolny sąd, oceniając nas na podstawie tego wywiadu, nie zamknąłby nas obojga na oddziale zamkniętym lub nie wtrącił do więzienia za kłamstwa i zniesławienia, to z pewnością w dwadzieścia minut dałby nam rozwód. Przedziwny człek ze mnie. „Pracuje do rana, śpi najwyżej pół godziny, ale tylko gdy jest dużo pracy. W dni wolne potrafi spać całą dobę”. Szczególnie upodobałem sobie spanie nago na podłodze. Reumatyzm nie pozwala mi dosiadać wierzchowca, dlatego ograniczam się tylko do gimnastyki w domu. Wiele złego doświadczyłem od własnych krewnych. Ale Pakize nie będzie tego roztrząsać. Zwłaszcza o mojej ciotce nie ma zamiaru nawet wspominać. „Choć Hayri już dawno im wszystkim wybaczył”.

Z samego rana Halit odczytał mi cały wywiad na głos. Nie zwracał najmniejszej uwagi na moją złość i niemal przy każdym zdaniu wybuchał śmiechem.

– Wyborne! Fantastyczne! Nie czytałem lepszego wywiadu! Następne, co zrobię, to założę własną gazetę i pańską żonę zatrudnię w zarządzie... Czas na herbatę... tak! Będzie się nazywać „Czas na herbatę”! Nie można przecież zmarnować takiego talentu! Ależ pana świetnie rozszyfrowała! Kropka w kropkę pan!

– Pan raczy żartować! Ośmiesza mnie i upokarza tymi bzdurami! Z której strony mnie rozszyfrowała?

Nagle spowaźniał.

– Ona pana oczyszcza i naprawia, i ociepla wizerunek, sprawia, że czytelnik może pana polubić. Dlaczego wszystko odbiera pan opacznie? Robi to, bo pana kocha. Stworzyła pańskie prawdziwe ja.

– Ależ to wszystko kompletna bzdura i brednie!

– A niech pan sobie tak myśli. Wszyscy i tak oszaleją. Na przykład to zdanie: „Buty sam mi zakłada, to jedna z rzeczy, które lubi najbardziej”.

– Ona nie ma porządnych butów!

– To pana błąd i grzech! Porządny mężczyzna przede wszystkim musi zadbać o wygodę swoich bliskich. Jutro ma pan kupić jej pół tuzina nowych butów. I jeszcze podróże: „Mój mąż nigdy nie podróżował. Tylko w zeszłym roku wysłał mnie na wizytację szwajcarskiej fabryki, która zaproponowała mu posadę. Bardzo mi się podobało... Bardzo chciałabym podróżować, ale co mam począć, męża przecież nie zostawię samego”. Dlaczego nie lubi pan podróżować? Jeśli to prawda, to straszna szkoda. Czyżby choroba morska przeszkadzała? Wszak jeździ pan konno!

– Ta kobieta jest głupia i obłąkana – zerwałem się na równe nogi.

– Kłamie jak najęta. Jak mieliśmy się kochać w dzieciństwie, skoro jest ode mnie szesnaście lat młodsza?

– Przeoczenie. Wszyscy się czasami mylimy. A gdyby od początku do końca powiedziała prawdę, to co by pan zyskał? Co by panu przyszło z tego, że opinia publiczna dowiedziałyby się, że nie lubi pan na przykład chodzić po śniegu?

Teraz i on wstał i złapał mnie za ramiona.

– Zmienia się pan, Hayri, bardzo się pan zmienia. Powinien pan się z tego cieszyć. Nowe życie, nowy człowiek. Już nie ma odwrotu, skoro drugi raz się pan nie narodzi. Gdybym był na pana miejscu, zrobiłbym wszystko, by stać się takim człowiekiem, jakim chciałaby mnie widzieć moja żona. Niech pan potraktuje ten wywiad jak zbiór wskazówek. I niech pan zacznie jedna po drugiej się do nich stosować.

– Czyli mam spać nago na podłodze.

Zastanawiał się chwilę, obejmując dłonią brodę.

– Tutaj wkradł się nam błąd. To znaczy pewna... fantazja. To możemy pominąć.

– Ale na bandzo mam grać i śpiewać amerykańskie piosenki także.

– A czemu nie? Mam jedną płytę, przywiozłem sobie stamtąd, to panu pożyczę. Przyniosę, a pan sobie spróbuje. Całkiem ładna. Głos ma pan odpowiedni i niech pan lepiej od razu zacznie ćwiczyć. Nie ma pan czasem dosyć naszej rodzimej klasyki? Nie tęskni pan za czymś więcej?

Nic nie powiedziałem, tylko podniosłem słuchawkę, ale nie pozwolił mi wykręcić numeru.

– Nie. Nie ma już powrotu. Niech się pan przestanie upierać. Poza tym nieładnie byłoby zasmucać kobietę, która tak dobrze o panu myśli. Niech pan zauważy, jak pana kocha... powinien pan postępować tak, by być godnym tej miłości.

Wtedy do pokoju weszła Zehra z gazetą w dłoni. Rzuciła mi się na szyję.

– Tatusiu kochany, ja zawsze wiedziałam, że z ciebie jest taki właśnie dobry człowiek. A ukrywałeś to przed nami... To przecież cały ty! Niech Bóg błogosławi moją matkę.

Halit spojrział z lekkim uśmiechem na moją córkę.

– Pani myśli dokładnie tak jak ja. Pani matka trafiła w sedno, a poza tym dawno nie czytałem czegoś tak wzruszającego...

Czułem, że za chwilę oszaleję.

Jeszcze tego samego dnia dane mi było zbierać pierwsze owoce cudownego artykułu. Wieczorem siedzieliśmy w gabinecie Halita: doktor Ramiz, pan Asaf i ja. Rozmowa polegała na tym, że szanowny pan Halit Regulator atakował mnie raz po raz za mój upór, a Ramiz – jak zwykle w takich sytuacjach – ułatwiał mu niezakłócony rajd po mnie, jak po prostej, równej drodze. Nie tylko sprawa Ahmeda Zamaniego Efendiego była poruszana. Omawiano także mój podły występ, jakim była niegodna reakcja na piękne słowa własnej żony.

Według Ramiza byłem przykładem człowieka, który umniejsza własne sukcesy i potencjał, nie dostrzega potrzeb otoczenia i z powodu swoich wewnętrznych zahamowań nie wywiązuje się należycie z nałożonych nań powinności.

– Inni cię widzą w określony sposób, ale ty tego nie dostrzegasz. Dałeś się usidlić lękom i zahamowaniom. To nie do pomyślenia!

Dla niego podawanie w wątpliwość istnienia Ahmeda Zamaniego Efendiego i opieranie się przed grą na bandźo i jazdą konną to ten sam mechanizm.

– Twoja żona opisuje cię jako najbardziej nowoczesnego człowieka naszych czasów. A ty nadal wątpisz i wszystkiemu zaprzeczasz!

– Moja żona to wariatka! Uważa mnie za aktora z filmu, który oglądała poprzedniego dnia! Rano wstała z łóżka i zaczęła szukać wyszywanych perłami kapci, które noszono w filmie „Złodziej z Bagdadu”! I ty to doskonale wiesz!

Ramiz sprawiał przez moment wrażenie zaskoczonego. Halit Regulator wcale się tym nie przejął.

– Oczywiście twoja żona jest obłąkana, a ja jestem kłamcą i oszustem, tak? To kim w takim razie jest twoja córka, panna Zehra?

– Sama się oszukuje... Wczoraj wieczorem podeszła do mnie i mówi: „Tato, taka jestem teraz szczęśliwa... jakbym grała w jakiejś operetce czy wode-wilu. Zaczęłam teraz korzystać ze wszystkich dobrodziejstw, jakie daje życie...”.

– Widzisz? Czyli i ona zgadza się z twierdzeniem, że wszyscy macie artystyczne dusze. Dzisiaj rano coś takiego mówiła. Powiedziała: „Tato, to cały ty” – mówił doktor.

Halit był na mnie naprawdę zły i rozmawiał już tylko z Ramizem.

– Daj spokój, niech się napawa tym swoim uporem. Życie idzie do przodu. Kiedyś, jak zostanie z boku głównego nurtu, to pożałuje. Jest na tym świecie coś takiego jak nowoczesność. Niech jej zaprzecza, zostaw go! Nie zmienisz go na siłę. Niech pozostanie głuchy i zadowolony z siebie! My bierzemy z życia pełnymi garściami!

Ramiz na moment złagodniał.

– Mnie jest go żal, bo znam jego możliwości. Nie będę go do niczego zmuszał... W sumie to nie moja sprawa...

– Mnie też jest go żal, ale muszę myśleć o dobrym imieniu całej mojej instytucji!

Pan Asaf przebudził się na moment i wyrzucił ramiona w górę, jakby łapał muchy.

– Ja też o tym myślę! Latem kupimy zamrażarkę i jeszcze wentylator, prawda?

Halit zagryzł wargi, by się nie roześmiać w głos.

– Najtrudniej na świecie jest współpracować z człowiekiem, który nie wierzy w to, co robi.

Byłem załamany.

– Robię wszystko, czego ode mnie oczekujecie. Jakie ma znaczenie to, czy w to wierzę?

– Niech pan więc nic nie robi, tylko nam wierzy. Nic więcej...

– Bo mnie przede wszystkim wiary potrzeba! Wiary w to, co robimy! Jest pan z gruntu zepsuty... człowiek starego typu... Nie da się pracować z kimś, kto nie wierzy w życie. Nawet zaprzecza pan istnieniu Ahmeda Zamaniego Efendiego! – Halit był naprawdę wściekły.

– Dobra, ale tego człowieka nie było! Nie istniał w historii żaden Zamani Efendi! Niech mi pan wskaże jeden, jedyny dowód na jego istnienie, jeden!

– Typowe gadanie w starym stylu – odezwał się Ramiz. – Historia jest na łasce terażniejszości i ma jej służyć. Podam ci setki przykładów kłamstw historycznych i co ci z tego? Gdyby nie istniał, nie znałbyś jego imienia, nie byłoby o nim rozmowy. A cały problem polega na tym, że stawiasz siebie ponad czasem. Typowe zadufanie intelektualisty. Wydaje ci się, że wiesz wszystko! O nie, mój drogi, tak dobrze to nie ma! Człowiek nie może wiedzieć wszystkiego, po prostu nie może!

Nagły hałas zza drzwi spowodował, że zapomniałem, co miałem powiedzieć. Najpierw dał się słyszeć głos pana Dervisza, służącego:

– To niemożliwe, droga pani! Tam się odbywa ważne zebranie!

– Już ja znam się na takich zebraniach... – dał się słyszeć ostry głos.

– Przesuńże się!

Dervisz chciał chyba jeszcze coś powiedzieć.

– Rusz się, mówię, ty ...

Teraz już nie miałem wątpliwości: to był głos mojej ciotki. Poznałem bezbłędnie, i to po dwudziestu czterech latach. Zmroziło mnie i zrozumiałem, że nie ma już dla mnie ratunku.

Drzwi rozwarły się z hukiem i w progu stanęła moja stara ciotka, powiewając parasolką trzymaną w trzęsącej się ze złości dłoni. W drugiej trzymała plik gazet i ogromną torbę. Nosiła gigantyczny kapelusz z czarnego tiulu i wyglądała, jakby na jej głowie przysiadł ogromny orzeł. Wpadła do gabinetu jak burza z piorunami. Wyglądała równie dziwnie i przerażająco jak wtedy, gdy ją przyniesiono w trumnie z cmentarza. Oczy płonęły pod grubą warstwą makijażu. Na szyi, palcach, nadgarstkach nosiła kilogramy biżuterii. Beżowe palto powiewało tak, że zdawała się lecieć, nie kroczyć. Gdybym tylko miał siłę, oszalałbym ze śmiechu. Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi. Tylko spokojny wzrok Halita zdawał się pytać: „A to co, do licha?”.

– Zebranie, tak? No to zobaczmy, co za zebranie! – zaskrzeczała. Nagle poznała mnie pośród zebranych. – Ty łajzo! Ty leniu śmierdzący, ty! Jakby było mało tego, co żeś narozrabiał, to jeszcze szargasz moje imię i przyznajesz, że ja twoja krewna?!

Zdążyłem się uchylić, więc pierwszy cios spadł na ramię pana Asafa, drugi na biurko Halita. Parasolka pękła na pół, tłukąc wielki kryształ.

– Ty pospolity oszuście, ty... Ta wywłoka, twoja durna żona, mi wybacz, tak?

– Ależ ciociu, co ciocia... – odprysk połamanej parasolki uderzył mnie w nos. Poczulem coś ciepłego spływającego na górną wargę. Wytarłem krew ręką.

– A niech ci będzie! Zobaczysz, co ci jeszcze zrobię, ty...

Atak musiał ją zmęczyć, zobaczyła krew i może dlatego zatrzymała się na moment. Zatrzęsa się, jakby miała upaść.

Dopiero wtedy Halit powoli wstał z krzesła i wyszedł zza biurka, jakby chciał przywitać gościa. Wziął ciotkę pod ramię i posadził w wielkim fotelu stojącym naprzeciwko biurka.

– Pani Zarife, jak sądzę. Proszę.

Kobieta była blada jak ściana, ale złość jej nie przeszła. W kącikach jej ust pojawiła się piana.

– Tak, jestem Zarife... ciotka tego kretyna.

– Ja się nazywam Halit Regulator i jestem dyrektorem tej instytucji. To się ciotce nie spodobało.

– Czyli krętacze mają jakiegoś dyrektora, tak?! No to czym się zajmuje ta cała instytucja? – spytała butnie, a spojrzawszy na mnie, dodała: – Co też może robić tutaj ten idiota? – Potem znów w stronę Halita: – Jego ojciec był taki sam mądry. Kręcił się w kółko, nic konkretnego nie robił. Jak go kto nie pokierował, to się w ogóle nie ruszył! A tu jaśnie pan konno jeździ, w tenisa grywa! Ty byś durniu konia od osła nie odróżnił! I przy tej okazji moje imię szargasz po gazetach! Kiedy to twoja mądra żona mi wybaczyła, co? A ty, panie – tu zwróciła się bezpośrednio do Halita – przypominasz istotę ludzką, więc jak, u licha, wpakowałaś się do jednego gara z tym kretynem?

Halit nie tracił fasonu.

– Pozwolę sobie zauważyć, że krytykuje pani instytucję publiczną. Wielka szkoda. My tu pełnimy służbę społeczeństwu.

– Służbę? Jaką służbę? No opowiadaj! Zegarki nastawiacie, tak? I ja mam w to uwierzyć? Ja jestem Zarife, Drąca Całuny! Ja się nie dam nabrać na jakieś kuglarstwa! – zamilkła i przyjrzała się nam groźnie. – Co mnie obchodzą wasze sprawy? Już miałam się za was wziąć, ale zrezygnowałam. Przyszłam, żeby zobaczyć tego niegodziwca, którego durna żona mi

wybaczyła. Nawet nie umie sobie porządnie krwi z nosa wytrzeć, patrzcie! I te wielkie słowa, myślałby kto...

Powoli wyciągnąłem z kieszeni chusteczkę i przetarłem twarz. Gdybym nie musiał wyminąć ciotki, z pewnością uciekłbym w te pędy z gabinetu.

Halit nacisnął dzwonek. Do pokoju wszedł pan Dervisz, jakiego w życiu nie widziałem. Twarz miał jakby zamgloną, podarty kołnierzyk. Stał w kącie pomieszczenia najbardziej oddalonym od fotela ciotki.

– Czego sobie pani życzy? Kawa, herbata?

– Kawa! Niech będzie używka. Dwadzieścia lat temu lekarze mi zabronili, a ja i tak będę pić! Ale jeśli ten brudas ma ją parzyć, to dajcie sobie spokój.

– Aga Dervisz parzy wyborną kawę, będzie pani zadowolona. My też się napijemy, ago – rzekł spokojnie Halit i szybko dodał, gdy „aga” stał już w drzwiach: – ale najpierw przynieś coś do uprzątnięcia tego szkła. To byłby wstyd, gdyby to ktoś zobaczył.

Nie czekając na powrót służącego, sam zaczął zbierać resztki parasolki ze stołu.

– Tak czy inaczej, to jest urząd, droga pani.

Ciotka wyglądała na przygnębioną.

– Wcale bym tu nie przychodziła, ale nie znalazłam go w starym mieszkaniu. Wyprowadzili się państwo. Adresu nawet nie zostawili. Musiałam się tutaj pofatygować.

– Nic nie szkodzi, droga pani, takie rzeczy są normalne w rodzinie.

– Głos Halita był niemal słodki. – Jeśli nie pani do nas, to z pewnością my udalibyśmy się do pani.

– Do mnie? A po co?

– Ależ oczywiście, że do pani. Właśnie o tym rozmawialiśmy. Potrzebne nam jest stowarzyszenie, które będzie propagować korzystne informacje na temat Instytutu Regulacji Zegarów, które będzie ludności objaśniać idee propagowane przez tę instytucję. Dlatego już dawno temu podjęliśmy decyzję, że należy powołać Towarzystwo Miłośników Zegarów. Właśnie dziś rozprawialiśmy o kształcie nowej organizacji. Po to było to zebranie. Wszyscy zgodziliśmy się, że Towarzystwo najlepiej funkcjonowałoby w kręgach kobiet. Na czele, naturalnie, musiałaby stanąć kobieta, i to nie byle jaka. Od rana się nad tym biedziliśmy, gdzie tu znaleźć odpowiednią osobę. W pewnym momencie pan Hayri stwierdził, że najlepiej predesty-

nowaną do pełnienia tej zaszczytnej funkcji osobą jest jego ciotka. Najważniejsza jest bowiem osobowość. To po pierwsze. Czyli osoba zdolna przewodzić armii. Ponadto osoba doświadczona. I lubiana, ceniona w jej bliskim otoczeniu. Pan Hayri był na mnie zły, mówił, że nie zwróci się do pani ze stosowną propozycją, bo go pani wyrzuci. Stało na tym, że ja wystosuję zaproszenie, a tu proszę, sama się pani zjawia! Jeżeli zgadza się pani objąć przewodnictwo, to zapraszam na mój fotel.

Ciotka przez chwilę patrzyła na Halita, potem już tylko na pusty fotel stojący za wielkim biurkiem. Była zmieszana i pełna ochoty, niczym dziewczyna po raz pierwszy poproszona do tańca.

– Nie wiem, czy dałabym radę. W tym wieku...

– Jak to, czy dałaby pani radę, oczywiście, że tak! – uśmiechnął się słodko. – Wystarczy, że widzieliśmy panią w akcji.

Kobieta przyjrzała mi się uważnie.

– To za mało. Niech no tylko twoja żona wpadnie w moje ręce.

– Ależ to nie mógł być błąd pani Pakize – zaśmiał się Halit uroczo. – Pozna ją pani i zrozumie. To nie jest taka kobieta, jak pani sądzi. Reporter dodał coś od siebie i tyle. Albo coś pomieszał. Nie zauważyła pani, że nawet zdjęcia pomylili? Na większości z nich to wcale nie Hayri!

Prawdą jest, że część fotografii wcale nie mnie przedstawiała. Ja na koniu: na tle jakiegoś angielskiego krajobrazu. Ja w bibliotekach: miejsca, w których nigdy nie postąpiła moja stopa. Ja z kolekcją zegarów: takiej mnogości w jednym miejscu nie byłbym w stanie sobie wyobrazić!

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Halit wstał z miejsca i zwrócił się do ciotki:

– Jeśli wyraża pani zgodę, to zapraszam.

Ciotka bez słowa wstała i usiadła na honorowym miejscu przy stole.

– Jeśli pani pozwoli, doktor Ramiz będzie protokołował.

Ramiz natychmiast wyciągnął zza pazuchy notesik, przysunął się do stołu. Ciotka zaczęła od babskiego narzekania.

– Zawsze kończy się tak samo, wszystko spada zawsze na mnie. Wraz z tym to będzie już czwarte towarzystwo, któremu prezesuję. Od samego nastania Ittihat ve Terrakı* tak jest.

* Jedność i Rozwój – 1889-1918, początkowo tajna organizacja założona w XIX w., przekształcona w partię polityczną, aktywna w czasach schyłkowych Imperium Osmańskiego, z niej wywodzili się działacze ruchu młodotureckiego, por. s. 60 (przyp. tłum.).

Halit nie tracił czasu. Teraz trzeba było znaleźć fundatorów i zarząd stowarzyszenia. Zapytał więc ciotkę o opinię.

– Członkami stowarzyszenia będą ja, pan Hayri i doktor Ramiz, ale poza tym powinny być kobiety.

Ciotce się to nie spodobało. Uważała, że asystentami przewodniczącej powinni być dwaj sympatyczni, najlepiej młodzi mężczyźni. Halit zaproponował poetę Ekrema. Następnie skupiliśmy się na członkiniach. Ciotka wymieniła kilka imion, następnie Halit jako swoje propozycje wymienił panie Sabriye i Nevzat. Pierwsza dostała akceptację, druga zdecydowane „nie”.

– Sabriye to miła osóbka. Roztropna i umie się wysławić. A druga, nic na to nie poradzę, gnuśna i ślamazarna – rzekła zdecydowanie, a następnie sama rzuciła kandydaturę pani Selmy.

Po dłuższych obradach udało się skompletować dwanaście nazwisk. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie już na salonach u ciotki i na tym zakończyliśmy zebranie. Już mieliśmy odprowadzać ciotkę do drzwi, gdy do gabinetu weszła Zehra. Wówczas odezwał się Halit.

– Znacie się panie? To córka pani bratanka...

Starsza pani obrzuciła mnie nienawistnym spojrzeniem, a do Zehry odezwała się w dwóch, trzech słodkich słowach. Nie wyglądała na szczęśliwą, że pojawiła się kolejna krewna na horyzoncie. Wychodząc, rzuciła jeszcze przez ramię:

– To z twojej pierwszej żony, zapewne. Z tej, co to cię ponoć nie rozumiała... Nie z tej wywłoki, niech ją...

W ciągu tygodnia powstał statut Towarzystwa Miłośników Zegarów. W ciągu dwóch tygodni zakończono procedurę rejestracyjną.

Po tym wszystkim Halit Regulator przyszedł do mojego pokoju, przynosząc mi dobrą nowinę.

– Dogadaliśmy się z pana ciotką. Przekaze Instytutowi całą działkę na Hüriyet Tepesi. Tam stanie nasza nowa siedziba.

Zaledwie kilka dni później dotarła do mnie wiadomość, że szanowna krewna odstąpi w dogodnych ratach także inną dużą działkę w okolicach Suadiye na rzecz Spółdzielni Mieszkaniowej Instytutu Regulacji Zegarów.

– No i jak, nadal się pan boczy na żonę? – spytał Halit niezwykle z siebie zadowolony. – Na tę mądrą kobietę? Wczoraj się widziałem z pana kuzynką i powiedziała ni mniej, ni więcej, że jeśli pańska szanowna małżonka nie zostanie wybrana do zarządu, to ciocia zrezygnuje.

Pakize faktycznie mi coś o tym wspomniała. Zehra natomiast prawie nie wychodziła z domu starej krewnej.

– Świetnie, wszystko pięknie, ale ja nic z tego nie rozumiem. I na pewno nie rozumiem...

– Nie zrozumie pan i nawet nie próbuje pan zrozumieć... Ale na szczęście nie ma to znaczenia. Niech się pan skupi na książce.

5

Tego dnia, gdy ciotka wpadła jak burza do naszego instytutu, wieczorem Halit przesłał mi przez umyślnego bandžo. Zawiesiłem je na ścianie. Patrzyłem na instrument i uświadamiałem sobie po raz kolejny, jak mało wiem o życiu. Jak mogłem tak zasmucać mojego nieżyjącego już dobroczyńcę? Niektórzy ludzie po prostu przychodzą na świat w blasku prawdy i już. Ja byłem ich dokładnym przeciwieństwem. Nawet moja ciotka była inna. Stara, doświadczona, a po zaledwie dwóch godzinach rozmowy z Halitem, czy też kłótni, przyjęła jego słowa za pewnik i zgodziła się zarządzać instytucją, o której nic nie wiedziała, nie rozumiała systemu, a mimo to otworzyła dla nas swój dom i uczyniła daleko więcej. Ja z kolei, oczekując wszystkiego od Halita, bezustannie go krytykuję, zasmucam i toczę z nim spory.

Gdy otworzyłem drzwi służącemu, który przyniósł mi do domu instrument muzyczny, mało nie oszalałem ze złości. Oliwy do ognia dołały zachwyty Pakize i Zehry, gdy ujrzały przekłete bandžo leżące na kanapie. „Och, zagraj! Prosimy!”. A ja się powstrzymałem i ani słowem nie wspomniałem do tej pory o błyskotliwym wywiadzie, w którym tyle naplotła bzdur. Ale ona nie widziała nic niestosownego w całej sytuacji. Dumna z siebie jak kotka, która za jednym razem powiła siedem kociąt, krążyła wokół mnie w aurze szczęścia. Ostatni cios zadała Zehra.

– A wiesz, tato, kogo dzisiaj widziałam? Jakoś tak prawie przed drzwiami naszej kamienicy przechodził Chromy Ismail. Ale się zdziwił na mój widok! Zbladł. Potem tylko gwizdnął i rzucił się pędem... Ależ z niego straszny brzydala. I pomyśleć, że o mały włos bym za niego wyszła. Niech mnie Allah uchroni, co ja bym poczęła z tym nieszczęśnikiem...

Złość cała opuściła mnie w jednej sekundzie.

– A ty mi jeszcze nie podziękowałeś, wiesz? – odezwała się Pakize.
– Pan Halit powiedział mi, że ja cię nigdy nie zrozumieję. Bo czyż można zrozumieć tak wielkiego człowieka? Nawet się założyliśmy. I ja wygrałam. Żebyś ty słyszał, jak mi z samego rana gratulował przez telefon.

Teraz rozumiałem, jak się rzeczy mają. Także to Halit Regulator przewidział. Sprowokował kobietę do działania i uczynił ze mnie pośmiewisko dla przyjaciół i wrogów jednocześnie. Podziękowałem żonie.

– Wybornie, aczkolwiek nie rozumiem, jak wpadłaś na to, że sypiam nago na podłodze... Nie mogłaś wymyślić czegoś mniej wysublimowanego? Doskonale wiesz, że ja nawet bez swetra nie zasnę.

Kobieta była wyraźnie zawstydzona.

– Bo ja zapomniałam słowa hamak... Pan Halit mówił, że ty w dzieciństwie sypiałeś na hamaku, ale mi uciekło to słowo...

Po wyjaśnieniu tego niewiele znaczącego szczegółu podała mi prezent od Halita.

– No zagraj! No dla nas...

Wziąłem instrument do ręki i brzdąknąłem dwa razy. Chciałem udowodnić, że kompletnie nie wiem, jak się z nim obchodzić, ale wyraz twarzy Pakize kompletnie mnie rozbroił. Wyglądała, jakby wstąpiła w siódme niebo. Jeszcze chwila, a by się rozplakała. Zehra zniknęła. Ahmet siedział w swoim pokoju i odrabiał chyba lekcje. Podczas obiadu nie poruszaliśmy już tego tematu.

Dopiero przed udaniem się na spoczynek spotkałem Zehrę.

– I jak, podoba ci się moje nowe bandżo?

– A mamy inne wyjście? – spytała, patrząc na mnie tymi swoimi wielkimi ładnymi oczami. – Natomiast Ahmet mnie trochę martwi.

W tej chwili nie zawracałem sobie nim głowy.

– Naprawdę widziałaś Ismaila? – spytałem.

– Nie, ale tak wyglądałeś, że się przestraszyłam i pomyślałam, że coś trzeba zrobić. I tylko to mi przyszło do głowy...

Złapała mnie za marynarkę, przysunęła.

– Źle zrobiłam? Bałam się, że zaczniesz się awanturować bez potrzeby. Ja już mam dosyć kłótni. Całe moje dzieciństwo upłynęło na wiecznej szarpaninie i wrzaskach. Ty nawet nie wiesz, co ja przeżywałam. Zaczynam się strasznie bać, gdy ktoś podnosi głos... Boję się widoku ludzkiej

twarzy wykrzywionej złością. Wtedy człowiek przestaje być sobą, robi się taki nieprzystępny. Nie ma chyba na świecie gorszej rzeczy.

– Ty sama czasami się złościsz przecież...

– Teraz już nie. Teraz mi dobrze. Nie mogę wytrzymać w otoczeniu, którego nie lubię. Wszystko we mnie jakby się przewracało do góry nogami.

Zehra stała się ostatnio całkiem gadatliwa. Jak każda młoda dziewczyna starała się tą paplaniną wyrazić siebie. Nie mam pojęcia, ile w jej mowie było prawdy, a ile kłamstwa. Cieszyło mnie, że się otworzyła przede mną.

– Poza tym my nie możemy się kłócić. Ciebie to też dotyczy. Czyż można się złościć na ludzi, którzy mają rację?

– Co ty mówisz, córeczko?

– Czyż nie tak? Czy nie tak właśnie jest z tobą? Nawet gdybym była bez winy, to nie wybaczyłabym sobie mieszania się w sprawy innych.

– I co, dobrze ci z tym?

– Oczywiście! – zaśmiała się całkiem wesoło. – Teraz przynajmniej żyjemy jak ludzie. Każdy ma swoje własne życie. Mnie także to wszystko wydaje się bardzo dziwne i nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to się może skończyć. Patrzę i czekam. I jest jeszcze coś... Wszyscy wokół tak bardzo się zmienili, że...

Miała rację. Zmienili się wszyscy.

– Tylko nie Ahmet. On jak zwykle zamknięty w sobie, milczący. Zrobiliśmy coś po kryjomu przed tobą, ojcze. Ahmet przystąpił do egzaminu państwowego. I zdał.

Teraz zrozumiałem, dlaczego od miesiąca prawie nie wychodzi z pokoju.

– Dlaczegoście mi nie powiedzieli, przecież to nic złego?

– Mieliśmy powiedzieć po wszystkim. Jedynie gdyby mu się nie powiedziało, zatrzymalibyśmy to w tajemnicy.

Zastanowiłem się, czy byliby sobie tak bliscy, gdyby ich matka żyła...

– Nie gniewasz się, prawda?

Zadziwiające było to, że dzieci nadal okazywały mi szacunek i miłość. Nawet Ahmet starał się mnie niczym nie martwić. Tę cechę bez wątpienia odziedziczył po matce. Ta myśl otworzyła starą, dawno zasklepioną ranę. Gdyby żyła moja Emine, nie byłoby teraz tego wszystkiego. Ciągnęlibyśmy zgodnie wóz życia jak dwa pociągowe, przywykłe do chodzenia

ze sobą w parze konie i bylibyśmy szczęśliwi. Ależ byłoby pięknie. Naraz stanęła mi przed oczami jej delikatna, rozświetlona nieopisaną radością twarz w dniu, gdy wyszedłem ze szpitala psychiatrycznego.

Do późnej nocy siedziałem samotnie w salonie, zastanawiając się, co począć dalej ze swoim życiem. Nie chciałem iść do sypialni. Wspomnienie Emine spowodowało, że nie chciałem patrzeć na śpiącą Pakize. Zdawałem sobie także sprawę z tego, że druga żona nie jest przecież niczemu winna.

Powietrze było ciężkie, nabrzmiałe i lada chwila mogło zagrzmieć. Nagle niebo przeszły błyskawica. Zastony w oknach pojawiły się na ułamek sekundy w intensywnym zielonym świetle i zniknęły jak teatralna kurtyna. Po chwili rozpadał się silny deszcz. Pakize zawsze bała się burzy. Z niechęcią wszedłem do pokoju i położyłem obok niej. Zbudziła się, gdy tylko poczuła moją obecność.

– Znowu pracowałeś do późna, prawda? – odezwała się najśłodszym we własnym mniemaniu głosem. – Hayri, ty jesteś dla siebie wprost bezlitosny – wymruczała.

Nawet głos spikerki radiowej czytającej teksty reklam nie byłby tak zimny i obcy. Najpierw pomyślałem, że kpi. Szkoda, że tak nie było w istocie. Niestety, Pakize była śmiertelnie poważna, choć wiedziała, że nie mam nad czym pracować po nocach. Po prostu spełniała się w roli dobrej, troskliwej żony, która martwi się o kondycję zapracowanego męża. Objęła mnie ramieniem i wtedy poczułem, że całe moje ciało skuwa lód. Niczym się nie różniła od nastawionego zegara, od bezdusznego automatu. Odkąd pół roku temu rozpocząłem nową pracę, codziennie poświęcała mi trochę więcej uwagi. Faktycznie wyglądało to tak, jakbym od sześciu miesięcy mieszkał w lodówce. Szczerze zatęskniłem za czasami, gdy nazywała mnie nieudacznikiem, idiotą, leniem i półgłówkiem. Wtedy była przynajmniej sobą.

W pierwszej chwili chciałem się zerwać z łóżka i uciec. Ale wtedy mogłaby się obudzić na dobre i rozpocząć rozmowę. Zdecydowałem, że najlepiej będzie leżeć jak zabity. Powolnymi ruchami zacząłem się przesuwac w stronę ściany, aż w końcu dotarłem do zimnej granicy i mogłem już tylko na wpółleżąc, z otwartymi oczami słuchać deszczu bijącego w szyby. Czekałem nadejścia poranka, zadając sobie pytanie: głupia czy kłamie? Wyszło mi, że i jedno, i drugie. Albo kłamie, bo głupia. Nigdy nie była sobą, tylko kogoś grała. Poruszyła się przez sen, zamruczała...

Boże jedyny, niech chociaż przez sen będzie sobą. Wyprostowałem się trochę, by spojrzeć na jej twarz. Półotwarte jakby w uśmiechu usta, lekki grymas, jakby efekt skurczu, ani cienia człowieczeństwa. Przy tym z zamkniętymi oczami i uchylonymi ustami była tak piękna... Ale dlaczego przez sen wydaje się taka szczęśliwa? Ten grymas to nie zwykły uśmiech, to coś, co wynika z głębi duszy, co ma solidne podstawy. Czyli ona, tak samo jak Zehra, była teraz prawdziwie szczęśliwa. A może śpi snem sprawiedliwego, ponieważ wypełniła swą powinność, zachowała się tak, jak w jej mniemaniu powinna. A może to rodzaj ucieczki przed wszystkim i nami wszystkimi. Przecież na pewno i ona ma swoje tajemnice. I trzeba przyznać, że nadal była piękna, choć nieobecna. Widząc tę jedną, spójną całość, jedność ducha i ciała, poczułem ukłucie zazdrości. O mało jej nie zepsułem, o mało nie zniszczyłem. Ale czemu by to miało służyć? Czy za kilka minut nie będzie znowu tą samą osobą, tą samą lalką z kamienia?

Straciłem humor na tę myśl i znów odsunąłem się do ściany. Nad ranem zdrzemnąłem się chwilę. Krótki sen dobrze przedstawiał mój stan ducha.

Siedziałem na sofie w naszym starym domu. Przyglądałem się z uwagą swojemu odbiciu w lustrze naprzeciwko. Zadawałem sobie pytanie, czy to ja, czy nie ja, nie, to niemożliwe – co chwila tracąc pewność i odzyskując ją. Ale to, co widziałem, nie było moim własnym odbiciem. Co rusz się zmieniało nie do poznania, i to w takim tempie, że nie mogłem się zorientować, kiedy przed oczami pojawia się ja właściwy i czy w ogóle. Nagle usłyszałem głos ciotki: „Chodź, jesteście spóźnieni” – rzekła i pociągnęła mnie za sobą. Szliśmy wąskimi krętymi uliczkami. Co chwila raz mnie, raz jej spadał któryś but i trzeba się było zatrzymywać, a potem biec, nadganiać. „Nareszcie jesteście!” – krzyknęła. I nagle znalazłem się sam, bez niej, pośrodku wielkiego placu przygotowanego jak na jakieś święto. Zewsząd słyhać było dźwięki bębnów i piszczałek. Wsiadłem na piętrową karuzelę. Z każdym obrotem spotykałem jakiegoś starego znajomego, który pozdrawiał mnie radośnie, a ja wesoło machałem do niego. Prędkość zaczęła się zwiększać i w końcu na najwyższym kręgu pędzącym w zawrotnym tempie pozostałem już tylko ja, Halit Regulator, ciotka, Selma i pan Cemal. Obręcz karuzeli oderwała się i poszybowała w górę. Umierając ze strachu, przytuliłem się do szyi starego żółwia Seyita Lutfullaha.

Zorientowałem się, że cały czas na nim siedzę. Przywarłem do jego grzbietu, walcząc o to, by nie spaść, i jednocześnie wzrokiem szukałem ciotki. Ona już zdążyła oderwać się od karuzelowego konia i szybowiała w górę samodzielnie. Usłyszałem głos Pakize:

– Zbudź się! Już dziewiąta, spóźnisz się do pracy!

6

Ciotka siedziała w fotelu i wszystkim zebrany opowiadała o mnie.

– Nie masz pojęcia, moja droga, kto to jest. W żadnym razie nie można mu ufać. Mój zmarły brat dał mu na imię Hayri, a powinien był wybrać coś na kształt „marny”. Przez równe dwadzieścia lat mnie nie szukał, o zdrowie nie pytał. Przez cały ten czas zastanawiałam się, co robi, gdzie bywa. Myślisz, że łatwo mi było? Jedyne męski przedstawiciel rodu. Oczywiście, że go kocham! Bez niego zgasłby ród Takribi Ahmeda Efendiego! Ostatecznie wyczytałam o nim w gazecie. No więc ruszyłam się, żeby samej go odnaleźć. Czy to przystoi zmuszać do takiego wyczynu kobietę w moim wieku?

Odziana w czarną suknię, z japońskim wachlarzem w dłoni i świecąca od nadmiaru biżuterii wylewała żale przed panią Selmą i resztą zebranych kobiet. Ja siedziałem sztywno wyprostowany na kanapie w rogu. Czuję się, jakbym wpadł do wielkiego słoja z dżemem i powoli tonął w słodkich reprimendach.

– Któregoś dnia dotarła do nas wiadomość, że ruszył na wojnę i zginął. Ze świętej pamięci małżonkiem długo płakaliśmy, modliliśmy się, odprawialiśmy święte rytuały w intencji jego odnalezienia. Nie traciliśmy nadziei, bo wszystkie znaki wskazywały, że jeszcze żyje. I tak się stało.

To akurat była prawda. Gdy wróciłem z wojska, jeden stary znajomy opowiadał mi, jak poszedł kiedyś w odwiedziny do ciotki i zastał ją modlącą się żarliwie w intencji mojego odnalezienia i powrotu. Gdy skończyła, znajomy zapewnił ją, że jeśli to ten Hayri, którego i on zna, to bratanek cały i zdrowy powrócił do miasta. I wiecie, co mu odpowiedziała? „Znaczy i to, że zginął, to zwykłe kłamstwo. Ale jaki ojciec, taki syn. I niech się tu u mnie nie waży pokazywać, bo tak go urządzę, że popamięta”.

I teraz ta sama kobieta chwali mnie, wspomina ojca, używając słów „świętej pamięci”. Gdyby teraz ktoś przypomniał jej, że podczas wojny jej

brat zmarł w nędzy z głodu, że z powodu podłości jej drugiego męża trafiłem do więzienia i zakładu zamkniętego, z pewnością byłaby szczerze oburzona i wstrząśnięta.

Gdyby ktoś zapytał, nie pamiętałaby nic z przeszłości. W jej oczach byłem młodzieńcem, który w końcu się opanował, ustatkował, wybrał swoją drogę życiową i nareszcie był grzeczny. Halit Regulator zaś był moim wielkim przyjacielem i właśnie tym człowiekiem, dzięki któremu ten cud się dokonał.

Pierwszy raz poszedłem do domu ciotki w odpowiedzi na zaproszenie. Koktajl miał być jednocześnie oficjalnym otwarciem Towarzystwa Miłośników Zegarów.

– Czegóż człowiek może oczekiwać w dzisiejszych czasach – perorowała ciotka – tego, by najbliżsi krewni przychodzili doń jak goście? Oczywiście drogiemu Hayriemu nie przyszło to do głowy, ale niech Allah błogostawi jego żonie i córce, które zechciały przyjść wcześniej.

Zehra siedziała na sofie w towarzystwie dwóch młodzieńców i szczerbiotała wesoło, stała w salonie i rozprawiała o czymś w grupce z Halitem Regulatorem i panią Sabriye. Starsza szwagierka drobiła jak koń wyścigowy w bloku, nie mogąc się doczekać momentu, gdy uświetni spotkanie towarzyskie, prezentując swój talent miejscowej gwiazdy scen klubowo-kasynowych. Ciotka nie przestawała mówić.

– Szczerze powiem, że wcale się nie spodziewałam takiego obrotu sprawy. Że Hayri, którego znam od dzieciństwa, wyrośnie na tak nowoczesnego człowieka. A oto patrzcie. I jeszcze do tego przyłożył rękę do stworzenia szacownej instytucji. Taki był zawsze cichy i niepozorny. Kiedyś, podczas mojej choroby, przyszedłeś i sam z siebie zreperowałeś stary zegar, pamiętasz? Potem gdzieś wahadło zapodziałeś...

O ile dobrze pamiętam, usłyszałem wtedy: „Albo znajdziesz to przekłute wahadło, albo więcej mi się na oczy nie pokazuj”. Ale nie miałem zamiaru nic teraz wyjaśniać: ciotka była zajęta naprawianiem oraz upiększaniem przeszłości. Pomyślałem: czemu nie? Cóż nam pozostało poza stworzeniem klimatu, w którym niby żyliśmy jako rodzina. Czemu nie, skoro nie wisi nad nami ostry nóż teraźniejszości?

– Chciałabym, żeby moja pasierbica wyrosła na taką rozsądną pannę jak Zehra. Niestety, trafił się jej kłótniwy, złośliwy typ.

Zdawało mi się, że w oczach Selmy zapaliła się na moment iskierka. Tekst ciotki był skierowany zarówno do niej, jak i do mnie. Selma była

w odwrotnej sytuacji niż ja: ostatnimi czasy była bardzo samotna, nie cierpiała pasierbicy i nienawidziła jej męża. Nie mam pojęcia, skąd Halit o tym także wszystko wiedział. I nie wiem, jak to możliwe, że tak ją los doświadczał. Ciotka tymczasem postanowiła dokończyć myśl.

– Jak dobrze, że swego czasu nie ożeniłam z nią Hayriego. Trzeba przyznać, że postąpiłam bardzo wbrew woli świętej pamięci Naşita, jej ojca, ale cóż.

Jak to się mówiło? Wszystko się zmienia i trzeba przyjąć to, co dają, i brać to za dobrą monetę?

– Och, mój synu drogi, jak dobrze, że jesteś... – Ciocia zauważyła poetę Ekrema i momentalnie o nas zapomniała. – To jest kolejne niewydarzone stworzenie. Jest członkiem zarządu, ale nie raczy się pojawiać na koktajlach. Chodź, młody człowieku, przejdziemy się spacerkiem i zobaczymy, co robią goście.

Biedny poeta, łypiąc na Cemala, który porwał w swe łapy panią Nevzat, z ciotką pod rękę oddalił się do drugiej części salonu. Kilka osób poszło ich śladem w nadziei przyłączenia się do bardziej rozrywkowego towarzystwa.

Korzystając z okazji, spytałem Selmę, co sądzi o gospodyni. Zamiast odpowiedzieć szczerze, rzekła tylko:

– Bardzo pana kocha. Przez godzinę mówiła tylko o panu!

Opowiedziałem jej pokrótce historię z moją ciotką. Najpierw wybuchła śmiechem, potem nagle spoważniała.

– Dziwne bywa środowisko wielkich i bogatych – rzekła enigmatycznie.

Spojrzałem na nią zadziwiony. Ale co miałem powiedzieć.

Chwilę później podeszła do nas pani Sabriye. Cały dzień spędziła na Taksimie, gdzie była właśnie zakładana pierwsza stacja regulacyjna.

– Trzy dziewczęta są naprawdę bardzo dobrze wyszkolone – opowiadała. – Rano zrobiliśmy próbę generalną. Wszystko tak, jak planowaliśmy, bardzo dobrze się spisały, ale niestety, nie mają mundurków – rzekła i dodała, że pani Selma może zacząć pracę, gdy tylko uzna za stosowne, a najlepiej od razu. Niestety, chwilę później podszedł Cemal i zabrał żonę.

– Cemal wyraził zgodę? – spytałem panią Sabriye, gdy odeszli.

– Niepotrzebna jest jego zgoda. Rozwiedli się. Na razie trzymają to w tajemnicy, bo Cemal zdefraudował jakieś pieniądze. Firma plajtuje... Ależ awantura wybuchła... Ale gdzie pan był, że nic nie wie?

– Ale pan Cemal wcale nie wygląda, jakby coś było nie tak. Wesoło i spokojnie rozmawia sobie z panią Nevzat...

– On nawet na łożu śmierci zachowa fason – rzekła pani Sabriye.

– Ale nie mówmy o tym... Jak tam ciotka pana, fantastyczna kobieta, czyż nie?

– Tak. Ale ja nic z tego nie rozumiem – odrzekłem szczerze. – Jak to możliwe, że się tak nagle ze mną pojednała? I dlaczego? Te wszystkie bzdury, które naplotła moja żona, były chyba tylko po to, by zwabić do nas ciotkę. Ja nic o tym nie wiedziałem...

– Bo nie zna pan Halita, dlatego pan nie rozumie... Przyszło panu do głowy, że zarzucił sieć, by złapać bogatą fundatorkę. Otóż nie! On po prostu posłużył się panem, żeby odpowiednio zareklamować Instytut. Pojawiła się ciotka, a on niejako ustąpił z pozycji szefa. Pan Halit to beztrocki i sprytny człowiek. Lubi sport, nie profity!

Do Towarzystwa Miłośników Zegarów weszło mnóstwo młodych pięknych kobiet i równie dużo przystojnych młodzieńców. Większość z nich kojarzyłem z Klubu Spirytystycznego, kawiarni lub poznałem za sprawą Halita. Raz zaszczylił nasze progi człowiek z rządu, którego poznałem w restauracji na Büyükdere. Stałem wówczas obok ciotki. Gdy dowiedział się, że jestem jej bratankiem, był jeszcze bardziej zadowolony. Niezwykle interesował się działalnością Instytutu.

– I jak się mają sprawy?

Gdy zamierzałem odpowiedzieć, akurat przechodził kelner z tacą pełną kanapek z kawiozem. Mój rozmówca z najbardziej niefrasobliwym wyrazem twarzy powiedział, by postawiono tacę na stole. Za chwilę przyniesiono whisky. Następnie zjawił się sam Halit.

– Zakładamy dużą spółdzielnię mieszkaniową dla pracowników Instytutu – rzekł zadowolony z siebie.

Jak często bywało w podobnych sytuacjach, dowiadywałem się pewnych rzeczy ostatni. Tym razem okazało się, że mam już pewne przemyślenia na temat spółdzielni, a nawet plan dotyczący założenia Banku Chronologicznego. Świadomie czy nieświadomie, chyba stałem się człowiekiem sukcesu. Niestety, nie do końca rozumiałem, czym jest materia, w której się powoli rozpuszczam. Na razie byłem zmęczony i znudzony przebywaniem w dość przypadkowym tłumie.

Książka pod tytułem *Ahmet Zamani Efendi – życie i dzieła* spotkała się z bardzo entuzjastycznym przyjęciem przez czytelników. Owoc umysłu Halita Regulatora niemal od razu został uznany za jednostkę ze wszech miar wybitną. Niewiele osób zastanawiało się, czy prawdą jest, że słynny Ahmet istotnie żył i czy wyprzedził Grahama o dwieście lat. Na wyraźne polecenie Halita umieściłem w swojej książce obszerny opis metody badawczej stosowanej przez Ahmeda, nie pozostawiając cienia wątpliwości, że było to jego odkrycie. Od pierwszej do ostatniej strony, a zwłaszcza pisząc ostatnie wersy, trząłem się ze strachu, że książka się nie spodoba, że wyda się cała ta mistyfikacja. Lęk powodował bezsenność. Halita bardzo bawiło moje rozdrażnienie i przy każdej nadarzającej się okazji zapewniał mnie o swojej niczym niezmałconej wierze w sukces.

– Zobacz pan, drogi Hayri, to będzie wielki sukces – mawiał. – Książka bardzo się spodoba wszystkim. Pan myśli, że istnieje coś takiego jak kłamstwo. Otóż nie ma czegoś takiego. To, czym się pan zajmuje, to nie może być kłamstwo i już. Ahmet Zamani Efendi jest uosobieniem prawdy. Wie pan, kiedy byłoby to kłamstwem? Gdyby w siedemnastym wieku faktycznie żył, a to, co o nim napisaliśmy, było prawdą. Dlaczego? Bo żył w oderwaniu od swej epoki. Nie akceptowałby jej i przerósł jednocześnie. A to jest oczywiście niemożliwe. W poruszanej przez nas kwestii nie istnieje pojęcie prawdy, ani fałszu. Wielki Ahmet jest potrzebą naszego wieku. A spełnia ją pod koniec wieku siedemnastego, i tyle. Jest prawdą samą w sobie. Wczoraj wieczorem słuchaliśmy wywodów pana ciotki: umiejscowiła Ahmeda w czasach Mehmeda Fatiha Zdobywcy. Czy ktoś protestował? Nie. Wręcz przeciwnie, wszyscy zaakceptowali taką wersję wydarzeń. A dlaczego? Bo obydwie wersje pochodziły ze znaczących ust: pana i ciotki. Jeżeli pan coś stwierdza, to sprawa jest załatwiona i nie podlega dyskusji. Nie ma nic bardziej naturalnego niż dwie wybitne osobowości przeprowadzające słuchaczy przez mroki historii. Gdyby ciocia powiedziała coś takiego dwadzieścia lat temu, zostałaby wyśmiana. Bo ani pan nie był w owym czasie tym, kim teraz, ani pani Zarife dzisiejszą panią przewodniczącą. Mówiłoby się wówczas: „Czyż jest coś zabawniejszego niż te dwie istoty, których narodziny i egzystencja są pozbawione jakiegokolwiek

znaczenia, a które wywodzą swoich przodków od samego Zdobywcy?”. Mówiliby, że dziad, co ma łapcie dziurawe, żąda okutej trumny. Ale tak nikt nie powie, zważywszy na waszą pozycję i aparycję. Jest coś jeszcze: pańska ciotka radykalnie zmieniła stosunek do pana, a nawet do pana ojca. Niech pan wspomni, jak wczoraj wieczorem ciepło się o nim wypowiadała. Kłamała? Nie. Przeniosła dzisiejsze uczucie do przeszłości, ot co. Bardzo dobrze, że umieściła Ahmeda w wyprawie na Wiedeń. Tak ważnej osobistości nie mogło zabraknąć w istotnym dla historii momencie. Bardzo mi się podoba to pańskie odkrycie. Czym Goethe dla rewolucji francuskiej, tym jest nasz bohater dla wielkiej bitwy w dziejach Imperium. Wielcy ludzie niezmiennie wiązani są z wielkimi wydarzeniami. Fakt, że szacowny Ahmet nie dokonał niczego wielkiego podczas działań wojennych, podnosi tylko wiarygodność opowieści. Nikt nie jest aż tak wszechstronny, by być i wybitnym naukowcem, i sławnym wojownikiem. Zostawmy wielkie czyny bitewne innym. Gdyby nasz bohater zdobył jakąś twierdzę, z pewnością fakt ten nie uszedłby uwagi historyków. Dobrze, że przejrzał pan jego *Traktat o istocie związków małżeńskich*, to istne błogosławieństwo losu. Gdyby nie pan, wiedza na temat poglądów Ahmeda w tej materii zostałaby zupełnie zapomniana. A jak teraz wszyscy będą żałować, że zaginęły także jego wiekopomne dzieła na temat zegarmistrzostwa i rozważania na temat czasu. Dobrze, że wspomniał pan o zaginionych księgozbiorach biblioteki Nuruosmaniye. Wielkie wrażenie wywarł na czytelnikach fakt, że czyta pan płynnie po osmańsku. Mój drogi, reasumując: stworzył pan wielkie dzieło!

Innym razem przedstawiał mi nieco inną wersję:

– Ważne jest, by energicznie zacząć i utrzymać tempo aż do końca. Swym dziełem nadał pan duże przyspieszenie naszej sprawie, niejako ukorzeniając ją w zamierzchłej przeszłości. Przedstawił pan Ahmeda jako rewolucjonistę. Nikt nie powinien żyć przeszłością. Czy historia jest tylko po to, by ją oceniać i analizować? Nie należy się bohaterowi z przeszłości trochę sympatii i uwagi? Zobacz pan, wszystkim się to spodoba, ta książka odniesie wielki sukces.

Wielka szkoda, że kilku pseudonaukowców spróbowało popsuć atmosferę uniesienia i sympatii dla dzieła i jego twórcy. Bezwstydnie donosili, że nie istniał nigdy w historii Ahmet Zamani, a moja książka to stek bzdur i hańba.

Gdybym wydając książkę, znajdował się w tym stanie ducha, co gdy siadałem do pisania, dziękowałbym Najwyższemu za te słowa krytyki: Wielki Boże, dzięki ci, żeś zachował kilkoro ludzi przy zdrowych zmysłach! Widzą kłamstwo i mówią o nim głośno: czyż może być większe szczęście? Niestety, trochę się zmieniłem... przez sześć miesięcy pracy nad dziełem, pod ścisłą kontrolą Halita Regulatora, wchłonąłem jego nauki, przesiąknąłem nimi do tego stopnia, że teraz trudno mi było znieść słowa krytyki. Musiałem zachować szacunek do samego siebie jako autora. Pokochałem mojego bohatera i serce mi pękało, gdy ktoś głośno wątpił w jego autentyczność. Ostatecznie, używając słów Halita, sam zacząłem udowadniać swym życiem, że relatywizm to nic innego jak realizm w czystej postaci.

W tym miejscu warto wspomnieć dwa wydarzenia. Po pierwsze, zgłosił się do mnie człowiek z Çengelköyü, który twierdził, że jest w piątym pokoleniu potomkiem Ahmeda i dlatego prosi mnie o poświadczenie tego w sądzie, jako świadek w sprawie o przywrócenie nazwiska rodzowego. Niestety, nie było żadnych dokumentów potwierdzających taki stan rzeczy. Powód miał jedynie własnoręcznie sporządzone odpisy. Zostałem zmuszony odrzucić te dowody rzeczowe, jako niedające się zweryfikować. W prasie zyskałem sławę fachowca i obiektywnego badacza, a sprzedaż książki znacząco wzrosła. Halit był bardzo zadowolony z takiego obrotu sprawy. Jedynie Zehra trochę się zasmuciła, że ów biedak może faktycznie jest potomkiem Zamaniego, choć trudno to udowodnić...

– To jest absolutnie niemożliwe, bo ten typ nigdy nie istniał, rozumiesz?! – uciszyłem córkę rozdrażniony.

Drugie, ciekawsze wydarzenie dotyczyło działalności Klubu Spirytystycznego. Kilku starych znajomych zadzwoniło do mnie z wieścią, że podjęto próby wywołania ducha Ahmeda, że odniesiono nawet pewne sukcesy i udało się z wielkim naukowcem porozmawiać. Zamani miał pewne zastrzeżenia do niektórych faktów umieszczonych przeze mnie w książce. Otóż wcale się nie jękał oraz pozwolił sobie doprecyzować pewne swoje twierdzenia. Niemniej docenił zainteresowanie jego osobą, a przede wszystkim czas i energię poświęconą przeze mnie dla upamiętnienia jego dokonań. Prasa podchwyciła gorący temat i dyskusja rozgorzała na nowo. Dobitnie odnotowano fakt, że duch szacownego naukowca docenia moją pracę.

Najbardziej zagorzała krytyka i podawanie w wątpliwość autentyczności Ahmeda spotkały mnie ze strony Cemala. Były mąż pani Selmy zawsze był do mnie wrogo nastawiony, więc nie powinienem się dziwić. Teraz dotarło do niego, że moje stosunki z jego byłą żoną z towarzyskich przerodziły się w bardziej osobiste, dlatego jego złość przybrała na sile. Nie przepuścił okazji, by dopiec mnie i całemu Instytutowi. Sam był urodzonym kłamcą, dlatego nigdy wprost nie zaprzeczył istnieniu Ahmeda, lecz wymyślił, że zastąpi go kimś innym. Według Cemala Ahmeda nigdy nie było, ale w tym samym okresie żył niejaki Fenni Efendi, miłośnik kwiatów, urządzeń mechanicznych i przyjaciel dworu ówczesnego władcy. I to on właśnie zajmował się czasem i zegarami. Jego dzieła zaś podstępnie przypisaliśmy Ahmedowi. A zrobiliśmy to tylko po to, by za sprawą podejrzenie odpowiedniego nazwiska, mianowicie Zamani, zareklamować naszą instytucję. Najśmieszniejsze było to, że Cemal najwyraźniej od deski do deski przeczytał moją książkę i zarzucił mi, że argumenty przeciw poligamii wymyśliłem sam, ponieważ w oryginale – dziele Fenni Efendiego – nie było o tym mowy.

Nie mogłem oczekiwać lepszego obrotu sprawy. Krytykując nas zaciekle, Cemal założył a priori prawdziwość podstaw, na których powstała moja książka. Nie była ważna już kwestia „istniał czy nie istniał”. Zaciekły wróg Instytutu i mój z pewnego wycinka kłamstwa uczynił sobie ring, w którego rogu stanął, wymierzał kolejne ciosy. Intensywność ataku spowodowała, że zaczęto poważnie dyskutować nad istnieniem Ahmeda Zamaniego Efendiego. Nawet ciągnące się bez końca konferencje prasowe zwoływane przez Halita Regulatora nie były w stanie usunąć tych wątpliwości. Sława książki zatrzęsała się w posadach. Gdy ukazał się słynny artykuł, byliśmy z Selmą. Razem. Do garsoniery, gdzie się zwykliśmy spotykać, przyszła z gazetą w ręce.

– Patrz, jak cię kęsa ten podły wąż – rzekła, podtykając mi pod nos stronę, na której moje zdjęcie widnieje obok obmierzłego wizerunku Cemala. Mało nie oszalałem.

Nie zaniedbał niczego, by mnie poniżyć: „Swego czasu pracował u mnie jako urzędnik najniższego szczebla, lecz z powodu notorycznych zaniedbań i kłamstw musiałem tego szarlatana i blagiera zwolnić...”. Stek poniżających określeń zakończył stwierdzeniem: „Jedyną osobą odpowiedzialną za przeinaczanie imienia prawdziwego uczonego, za dopisywanie

faktów do jego życiorysu, za wprowadzanie czytelników w błąd i wydanie zgody na napisanie choćby zdania przez tego nieudacznika i blagiera, o którym wspomniałem powyżej, jest nie kto inny, jak sam szanowny pan Halit Regulator!”.

W tej chwili pomyślałem, że wszystko się wali. Jednocześnie zdałem sobie sprawę z tego, że w moim życiu zaszło niewiarygodnie dużo zmian, i to w większości zmian nieodwracalnych. Zdjął mnie paraliżujący strach. Pieniądze, które otworzyły wiele drzwi i dróg, stanowisko, sława, wszystko to, co niczym cudowny magik pojawiło się w moim życiu, teraz miało zniknąć. Najgorszy był błysk strachu w oczach Selmy, odkąd zaczęliśmy się spotykać.

Po tym nerwowym okresie, a właściwie po tym momencie strachu, którego doznałem, wziąłem sprawy Instytutu mocno w swoje ręce i nie chciałem nigdy, ale to przenigdy wypuścić. Nie chodziło o szacunek czy sukces przedsięwzięcia, ale zwykłe być albo nie być dla mnie jako jednostki. Mówiłem sobie, że wątpliwości i pełne wahania myśli były luksusem i ozdobnikiem, na który mogłem sobie pozwolić, ale przede wszystkim powinienem być świadomy, jak wielki to luksus. Mogłem się na powrót stać człowiekiem bezużytecznym i na marginesie głównego nurtu życia. Mogłem skończyć na ulicy. Wrócić do dawnego, mizernego życia, do którego zdążyłem wprawdzie przywyknąć, lecz teraz powrót byłby niezwykle bolesny. Samotność, nędza i poniżenie... a naprzeciwko mnie półnaga piękna kobieta, która w chwili rozpaczy wydaje mi się niedoścignionym marzeniem. Za jednym zamachem mogło zniknąć to piękne, puste mieszkanie z oknami wychodzącymi na morze, gdzie w mgliste ciepłe dni czekałem na nią. Nasza słodka tajemnica i mnóstwo rzeczy, których miałem jeszcze dokonać w życiu zawodowym, miały przepaść z kretesem. Zwiędnąć jak kwiaty polne, które Selma własnoręcznie zrywa i wkłada do wazonów w naszej garsonierze.

Nagle zadzwonił telefon. Byłem w takim stanie ducha, że dźwięk aparatu zabrzmiał mi w uszach jak trąby Sądu Ostatecznego. I tak właśnie było. Dzwonek przywiódł do naszego gniazdka twardą rzeczywistość. Na zewnątrz byli wrogowie, którzy teraz atakowali. Głos Halita nieco mnie ostudził.

– Czytałeś?

– Właśnie to robię... Koniec z nami. Co zrobimy?

– Świat się wali i tyle. Baw się dobrze – zakpił. Po chwili dodał poważniej: – Nie przejmuj się tym za bardzo. Ale od tej pory musimy wszystkiego lepiej pilnować. Natychmiast napiszesz ripostę. Ja znajdę jego czuły punkt i tam uderzę. Opinia publiczna zje go żywcem. Ale w chwili obecnej musimy koniecznie zrobić coś niecodziennego, co zadziwi wszystkich. Rozumiesz? Coś nowego, niespodziewanego. Takiego, że i wróg, i przyjaciel otworzy usta ze zdziwienia. Taka instytucja jak nasza pod wpływem byle krytyki nie może się załamać. Wbij to sobie do głowy i z tą myślą działaj. I nie zapomnij: uwierz w swoje szczęście!

– Gadanie! Mówię, że przecież wszystko skończone. Uderzyli w pana, używając mnie jako narzędzia ataku. Nie mamy już nic do roboty. Zbieramy manatki i koniec!

Na te słowa roześmiał się na całe gardło.

– Nikt nie tonie! Hayri, mój drogi, tak ja, jak i ty, zostaniemy na swoich fotelach, bez obaw! Wrogowie, którzy porywają się na takie osobistości jak my, nie mają lekko i nikt im łatwo nie odpuści.

Jego opanowanie i wiara we własne możliwości nie po raz pierwszy doprowadzały mnie do szaleństwa. Tym razem zwątpiłem w jego zdolność dostrzegania oczywistych faktów: czy zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji? Po chwili ciszy odezwał się już bardzo poważnie.

– Oczywiście, że to poważny cios. Nie przypuszczałem, że do czegoś takiego dojdzie. Cemal doskonale wie, jak walczyć z kłamstwem. Narzędziem w walce z błądą jest jeszcze większa błądą. Próbować używać prawdy jako tarczy byłoby czystą naiwnością. On w nas bije naszą własną amunicją. Ale i tak się nie przejmuj. Ja wierzę w swoje szczęście. Widzimy się wieczorem.

Regulator zasadniczo trafnie ocenił sytuację. Pomylił się tylko co do jednego: nie mogłem w najmniejszym stopniu liczyć na swoje szczęście, gdy w grę wchodził Cemal. Póki los przez przypadek nie zetknął mnie z Halitem, siedziałem bezradnie w kącie, przyjmując kolejne ciosy od Cemala. Teraz, gdy zacząłem swobodniej oddychać, znów się pojawił w moim życiu. Człowiek to dziwna istota. Myślałem o tym wszystkim, mając u boku piękną kobietę, niegdyś należącą do znienawidzonego wroga, przylegającą ciepłym ciałem do mojego. Czułem, jak namiętnie kąsa mnie w ucho, oczekując pieszczot i uwagi. Choć nie ja byłem powodem ich rozstania, to teraz miałem ponieść za nie karę. Było jednak jeszcze coś, co wcale mi się nie podobało.

Gdy Halit się rozłączył, telefon ponownie zadzwonił. Tym razem był to sam Cemal. Mówił spokojnie, beznamiętnie, zimno, jakby swym głosem chciał na nowo zamrozić biegun, jak za dawnych czasów.

– Panie Hayri, jeśli znajdzie pan chwilkę, to zechce pan łaskawie rzucić okiem na dzisiejszą prasę. Znajdzie pan tam artykuł, który sprawi panu przyjemność.

– Och, niepotrzebnie pan o tym wspomina, bo miły przyjaciel przyniósł mi poranną gazetkę – rzekłem i natychmiast odłożyłem słuchawkę.

Pomimo rozvodu nadal był zazdrosny o Selmę. Dowiedział się o naszym miejscu schadzek. Śledził nas. Byliśmy jego problemem.

I teraz stał się całym moim światem. Selma uniosła brew, kontemplując.

– Nic z tego nie rozumiem. Nic a nic. Może wiesz, może nie, jak bardzo mnie nie cierpiał. Jak poniżał i nie szanował. Nazywał sztucznym kwiatem. Nie pozwalał wychodzić z domu bez sztucznego kwiatka w klapie płaszcza czy bluzki. Mówił do mnie: „Wsadź sobie kwiatek i noś, jak ja ciebie noszę”. Zachwycony był, gdy ktoś te moje kwiatki pochwalił, że ładne. Patrzył złośliwie spode łba i śmiał się...

Kochałem Selmę, ale to nie było wszystko. To była moja zemsta na podłej przeszłości. Kobieta dręczyciela była teraz w moich ramionach. Mój były pan i władca był o mnie zazdrosny, co dodawało smaku miłości i potęgowało poczucie spokoju i spełnienia. Musiałem bronić mojego własnego ja zawierającego się w tej kobiecie.

Na artykuł pana Cemala, Halit i ja opublikowaliśmy swoje stanowiska. Ja przedstawiłem się jako niesłusznie atakowany, niewinny i czysty. Każdego mógł kiedyś doświadczyć zły los. Mnie także. Tak oto wszystkie ataki są przykrym i niesprawiedliwym kaprysem losu. Nie ustosunkowałem się do zarzutów o krętactwo i kłamstwa. Byłem z gruntu dobry i niewinny, nie dałem się zdemoralizować i dlatego bezsilny drapieżca wyrzucił mnie z pracy. Kolejny artykuł pozostał w tym samym tonie, ale tym razem znalazłem okazję, by ujawnić niektóre brzydkie sprawki byłego szefa. Halit Regulator zwołał konferencję prasową i uderzył znacznie mocniej. Towarzystwo Miłośników Zegarów w swoim oświadczeniu otwarcie strzelało żywym ogniem. To Cemala nie zatrzymało, nadal pluł jadem. Potrzeba było czegoś więcej. Czegoś, co przyćmi nerwową dyskusję, a nas i cały Instytut wyprowadzi przez inne drzwi i oczyści ze wszyst-

kiego. Nie przypominam sobie, bym się kiedyś tak nagłowił. Nic nie mogłem wymyślić. Ani ja, ani nawet Halit nie umieliśmy wynaleźć nic, co spowodowałoby, że opinia publiczna znowu spojrzy na nas przychylnym okiem. Dreptaliśmy w miejscu. Żaden z naszych pomysłów nie posuwał nas nawet o jeden krok do przodu.

Cemal zaczął intensywnie śledzić mnie i Selmę. Gdziekolwiek się spotkaliśmy, od razu dzwonił telefon. Pakize była zalewana masą anonimowych donosów.

Pewnego wieczoru, gdy siedziałem w domu, obserwując Halita i Pakize grających w tryktraka, spłynęło na mnie olśnienie. Przypomniałem sobie wymyślony przeze mnie i opisany w pierwszych rozdziałach książki system kar pieniężnych.

– Siedzę, myślę i myślę... i chyba wymyśliłem – rzekłem i przypomniałem mu mój stary pomysł. Halit porzucił grę i zerwał się na równe nogi.

– Opowiedz, jak to miało być?

Jeszcze nie skończyłem, gdy radośnie rzucił się mojej żonie na szyję.

– Jesteśmy uratowani! Zwycięstwo! Hayri, zwyciężyliśmy! – krzyczał podniecony.

Trzy dni później mieliśmy gotowy cały precyzyjny system kar pieniężnych, wraz ze wszystkimi szczegółami dotyczącymi loterii, odpisów, terminów. Halit nazwał moje odkrycie systemem hollywoodzkim. Kilka tygodni później wszyscy zapomnieli o biednym Ahmedzie Zamanim Efendim. Instytut Regulacji Zegarów zyskał sławę i szacunek, jakich nie doświadczył od pierwszych dni funkcjonowania. Do wsi i osiedli założonych przy pomocy członków Towarzystwa Przyjaciół Zegarów dotarły Ekipy Regulacji Zegarów. Powiększyła się znacząco liczba stacji regulacyjnych. Miasto było nasze. Dziesiątki młodych ładnych dziewcząt i chłopców w zgrabnych mundurkach zaprojektowanych przez Selmę i z rozetkami w kołnierzykach rozbiegły się po okolicy, dodając uroku i radości całemu otoczeniu.

Wróciliśmy na właściwe tory. Staliśmy się silni, a może nawet silniejsi niż do tej pory. Moja szczerość i prostolinijność wzbudzała kolejne zachwyty. Stałem się uwielbianym przez opinię publiczną wynalazcą. Nie było środowiska, które nie przyjęłoby mnie z otwartymi ramionami. Szczerze powiem, że korzystałem pełnymi garściami z dobrodziejstw sławy. Mój za duży płaszcz, przekrzywiony kapelusz, parasolka, okulary, nieodłączny

tespih* w rękę i lekko niechlujny, poczciwy wygląd przysparzały mi kolejnych sympatyków i dostarczały większej chwały instytucji, którą reprezentowałem. Tłum rozstępował się przede mną, proszono o rozstrzygnięcie sporów. Kochano mnie za to, że staram się żyć, nie przeszkadzając zbyt bliznim.

Ale nadal istniało uosobienie mojego pecha: Cemal. Pojawił się raz i byłem pewien, że zrobi to ponownie. Halit bardzo się denerwował, gdy dzieliłem się swoimi obawami.

– Mówi pan tak, bo nie wierzy w siebie i to, czego dokonał! – krzyczał czasami. – Gdy ktoś się angażuje krótkowzrocznie, myśląc o zysku, to potem się sam obwinia.

– Ale to są dwie różne sprawy! – próbowałem się bronić.

– Nie! Gdyby nie ten robak zwątpienia, który toczy pana od środka, to żaden Cemal by pana nie przestraszył swoim gadaniem. Pana lęki wyhodował pan sobie sam. Jest pan cynikiem. Pracuje pan tylko dla pieniędzy i mając na względzie jedynie własne, partykularne dobro! Czyż nie tak było na samym początku, gdy zakładaliśmy Instytut? Nie obawiał się pan zmniejszenia wysokości pensji? Nie krytykował pan każdej mojej decyzji i nie wątpił we wszystko, co robię?

Mój drogi, świętej pamięci dobroczyńca, gdy już pierwsze zagrożenie minęło, zaczął mówić po staremu. Miał w głowie tylko wielkie ideały. Trzeba także przyznać, że miał trochę racji. Instytut od początku był dla niego wyzwaniem i zabawą. Halit nie umiał i nie mógł myśleć inaczej.

Dla mnie jego przedsięwzięcie było czymś zupełnie innym. Cemal był zgryzotą z przeszłości. Był częścią mego życia. Żył we mnie jak uśpio-
na choroba czekająca na sprzyjające okoliczności, aby się tylko ujawnić.

8

Tak właśnie było. Jeszcze jeden raz w życiu natknąłem się na Cemala w najmniej spodziewanym czasie i miejscu. Tym razem także Instytut nie upadł, ja nie straciłem pieniędzy ani stanowiska. Ale przez wiele miesięcy pozostaliśmy z Selmą pod wpływem tego wydarzenia.

* 33 koraliki nanizane na nitkę, podobne do różańca, używane do modlitwy m.in. polegającej na wymienianiu kolejnych imion Allacha (przyp. tłum.).

W jednej z porannych gazet przeczytałem, że Cemal wraz z panią Nevzat zostali zamordowani przez byłego męża niejakej Zeynep, pana Tayfura. Morderca po dokonaniu tego czynu sam targnął się na swoje życie. W pozostawionym przez siebie liście pan Tayfur wyjaśniał całą historię, za którą przez lata podążała pani Sabriye. Pani Sabriye miała rację. Biedna pani Zeynep wcale nie popełniła samobójstwa, lecz zginęła z rąk zakochanej do szaleństwa w jej mężu pani Nevzat. Policja zapoznała się z pamiętnikiem, który pani Nevzat pisała przez lata. Dla mnie morał z tego potrójnego morderstwa był inny niż dla opinii publicznej. Oto na wskroś niesympatyczny, podły, wredny człowiek bez charakteru, który krążył wśród ludzi jak skorpion z podniesionym jadowitym ogonem, gdziekolwiek się pojawiał zyskiwał tabuny nowych zagorzałych wrogów, i oto ten człowiek ginie jako bohater melodramatu. Dziwne, ale przede wszystkim niewiarygodnie śmieszne. Być może los specjalnie przygotował taki koniec człowiekowi, który chełpił się władzą, jaką ma nad losem swoim i innych. Nie do pojęcia: Cemal kochający i – nawet jeśli nie zdawał sobie z tego sprawy – z miłości zamordowany. Założę się, że gdyby tylko mógł być obserwatorem, nie uczestnikiem tej masakry, roześmiałyby się w głos pierwszy. Gdyby mu ktoś za życia przedstawił podobną wizję, wydałby brzydko wargi i powiedział, że to absolutnie niemożliwe. On nawykł do trzymania ludzi za niewidzialny uchwyt, do zabawy ich małymi tajemnicami, do przemykania pomiędzy nimi i atakowania skorpionowym ogonem. I tak chciał, żeby wyglądało jego życie. Taka forma śmierci tak zmieniła jego wizerunek, że był on w stanie oszukać tych, którzy nie znali go dość dobrze. Pierwszy lepszy czytelnik, dla którego ofiara mordu była tylko nazwiskiem w gazecie, miał prawo sądzić, że życie Cemala było takie jak jego śmierć. Można było dodać, że był człowiekiem szczerym, szczodrym i lubianym. Morderstwo to niewątpliwie rzecz okropna. Ale jeśli już Cemal miał zginąć z ręki bliźniego, to dlatego, że był tym, kim był, i za to, jaki był – za krótki nos, wąskie czoło, nieprzyjemny głos, błyszczącą twarz i wrogie ptasie spojrzenie. Ale tak się nie stało. Wplątał się w historię rodem z romansu i stał się powodem śmierci zamkniętej w sobie, pięknej i nieumiejącej wyjawić swych uczuć kobiety. I to było bez sensu.

Nie taki los powinien spotkać człowieka, który jako pięciolatek, będąc z matką z wizytą, wyjmował kolorowe rybki z akwarium, wyłupiał im oczy, wrzucał z powrotem i śmiejąc się w głos, patrzył, jak cierpią. Całe

późniejsze jego życie upływało mniej więcej na tym samym. Napotykanym ludziom robił mniej więcej to co owym rybkom. Nikomu nie wydfubał oka, ale bawił się każdym dostępnym mózgiem. Piękna Selma odżyła dopiero po tym, gdy się od niego uwolniła. Pan Nail, doświadczony, kulturalny adwokat, tego dnia gdy zszedł Cemal, wyleczył się z męczącej go astmy. Nigdy nie wspomniał o swoich przejściach ze zniechęconym przez wszystkich typem. Niewiele mogłem wyciągnąć z Selmy, nawet rzeczy, które jej bezpośrednio dotyczyły. Nawet pani Sabriye, która była przecież specjalistką od zbierania różnych informacji, niewiele o nich wiedziała. Gdy oddawaliśmy ostatnią usługę Cemalowi, siedziałem w samochodzie z Nailem i miałem wrażenie, że jest jakiś odmieniony. Był niczym nowo narodzony człowiek. W pewnym momencie rzucił „wstyd mi przed samym sobą”.

Człowiek, który wtargnął w życie kobiety i stał się przyczyną jej śmierci, w oczach setek tysięcy osób, które go nie znały, był jedynie bohaterem historii miłosnej. Tak jak niszczył Selmę przez całe życie, tak też wtargnął w życie pani Nevzat i doprowadził do jej śmierci.

Pana Tayfura widziałem może dwa razy w życiu. Zrobił na mnie wrażenie człowieka opanowanego, nieco wyrachowanego i działającego wedle własnego, ściśle opracowanego planu. Niewykluczone, że za tą maską kryły się rozliczne słabości. Mógł popełnić każdą zbrodnię, o ile wcześniej dobrze ją zaplanował. Nie był jednak typem zdolnym do morderstwa, a dokładniej niemal poćwiartowania drugiego człowieka. Doprowadził ciało Cemala do stanu trudnego do identyfikacji. Większość zadanych nożem ran znajdowała się na twarzy ofiary. Według mnie to było bardzo wymowne. Dokonał krwawego czynu, a następnie znalazł w sobie spokój, by napisać list opisujący klarownie i ze wszystkimi szczegółami całą historię i całe zajście, nie pominął nawet wyglądu twarzy. Cemal wchodził w życie ludzi z butami i na siłę. Tak samo wdarł się w życie pani Nevzat. Szukał swojej śmierci, a najśmieszniejsze było to, że znalazł ją w życiu właśnie tej doprowadzającej go do szaleństwa swym oporem ukochanej kobiety.

Wszyscy dobrze wiedzieli, że nasz przyjaciel Ekrem był po uszy zakochany w cichej, zamkniętej w sobie Nevzat. W całym tym zajściu nie miała ona najmniejszego udziału i w niczym nie zawiniła. Kobieta w całym swoim życiu zaznała tylko jednego mężczyzny – własnego męża. Po jego śmierci całkowicie zamknęła się na doczesne potrzeby ciała. Żyła szantażowana i zastraszana przez Tayfura, który w imię miłości do niej

i chęci jej poślubienia zabił swą żonę. I jakby tego było mało, Cemal, który dowiedział się o tym, zaczął ją nachodzić. Nevzat całe życie spędziła targana ludzkimi żądzami i podłością. Otaczały ją zazdrość, miłość, upór, egoizm bliźnich, przeróżne manie i pożądania, jednym słowem wszystkie najgorsze uczucia, jakie mogą się zrodzić w ludzkim sercu. Piękna kobieta w krótkim czasie zamieniła się w cień człowieka. Pojawiało się wielu ludzi, którzy nie próbując jej zrozumieć ani nie dając jej nic z siebie, chcieli choć raz zaistnieć w jej życiu.

Od dzieciństwa była nękana zazdrością starszej, brzydszej siostry. Dzięki majątności ojca udało jej się dość dobrze wyjść za mąż i na moment złapać oddech. Ale niedoświadczona dziewczyna nie miała pojęcia, kim jest jej mąż, pan Salim. Hipochondryk, tchórz i malkontent bez charakteru sprawił, że Nevzat uwierzyła w jego wielką miłość. Sama po zaledwie dwóch tygodniach małżeństwa zorientowała się, że nie jest w stanie darzyć uczuciem tego złośliwego mężczyzny o dość nieprzyjemnej osobowości, który w istocie wcale jej nie kochał. To, co nazywał miłością, było jedynie żądzą posiadania. Lubił pozyskiwać, posiadać. Mógł pokochać, ale tylko ze strachu przed utratą. Nevzat, zorientowawszy się w sytuacji, zaproponowała rozwód. Usłyszała tylko: „Nie ma takiej możliwości. Co powiedzą krewni i znajomi? Chcesz mnie poniżyć przed wszystkimi? A poza tym ja nie mogę bez ciebie żyć”. Ciągnęło się to trzy długie lata. Ojciec Nevzat zmarł w tym czasie na zawał. Dwa dni przed śmiercią zamienił z kimś dwa zdania świadczące o tym, że martwi się zgryzotą ukochanej córeczki, w związku z czym jej kłopoty małżeńskie uznano za bezpośrednią przyczynę choroby serca i zgonu. Biedna Nevzat dostała się w krzyżowy ogień: co powiedzą jej krewni, krewni męża, sąsiedzi, cała okolica? Pod koniec ich męczącego pożycia Salim poszedł do wojska i zginął w wypadku, który sam spowodował. Pech chciał, że ten podły tchórz, człowiek znudzony małżeństwem, ale przerażony, że utraci to, co ma, nierozumiejący, czym jest miłość i kobieta, w noc przed tragiczną śmiercią napisał długi łzawy list, w którym zapewniał ją o swym dozgonnym oddaniu i nawet groził samobójstwem. Świadkowie twierdzili zgodnie, że wypadek był absolutnym przypadkiem i nie było w nim niczyjego celowego działania. Koń, którego dostał w przydziale, był najspokojniejszym zwierzęciem w całym batalionie. Gdyby nawet jeździec spadł, wierzchowiec zostałby na miejscu i bez problemu pozwoliłby się prowadzić. Gdyby jeździec został gwałtownie

wysadzony z siodła, koń nie ruszyłby się na krok. Robiono eksperymenty i sadzano nań zupełnie obcego jeźdźca, ale zwierzak nie zmienił zwyczajów w najmniejszym stopniu. Podejrzewano, że koń przejął od swego jeźdźca rzadko spotykany brak doświadczenia i paralizujące go przez całe życie niespożyte pokłady strachu.

Wszyscy znali prawdę i okoliczności, niemniej wiele osób uwierzyło, że Salim napisał list pożegnalny i popełnił samobójstwo. Przede wszystkim uwierzyli krewni Salima. Potwierdzeniem miały być listy, jakie sami dostawali od kuzyna, i może dlatego ich zarzuty pod adresem młodej wdowy zawierały dodatkową treść, a sytuacja została odpowiednio wykorzystana. Przede wszystkim matka zmarłego – kobieta, która nie znosiła swojego rozmazanego, tchórzliwego i złośliwego synalka – natychmiast wprowadziła się do mieszkania synowej. Kondycja psychiczna Nevzat pogorszyła się zauważalnie. Do tego pani Zeynep zorientowała się, że jej mąż jest śmiertelnie zakochany we wdowie. Pan Tayfur ubzdurał sobie, że po śmierci Zeynep ożeni się z Nevzat, dlatego zrobił coś wyjątkowo idiotycznego i własnoręcznie zabił żonę. Tym sposobem wliczając zawał ojca, biedna kobieta miała już na sumieniu trzy trupy. Zamknęła się w sobie jeszcze bardziej i znosiła w milczeniu coś, co normalnym ludziom wydawało się brzemieniem nie do udźwignięcia. Nie kiwnęła palcem, a ludzie wokół umierali, mordowali i obarczali ją całą odpowiedzialnością. Gdyby miała w sobie odrobinę siły, odrobinę woli walki, zrzuciłaby brzemień i poszła do przodu. Trudno było wszystkim wokół pojąć, dlaczego pomagała ukrywać przed policją śmierć Zeynep.

Gdy dowiedziałem się o tym wszystkim, wspomniałem słowa córki. Kiedyś próbując zrozumieć całe zło, które dotyka naszej rodziny, stwierdziła: „Jesteśmy ludźmi naznaczonymi grzechem”. Myślę, że to zdanie jest kluczem do zrozumienia całej tej historii. Pani Nevzat sama obwiniała się nawet za to, czego nie popełniła. Możliwe, że to był wpływ wychowania, może zazdrości siostry, którą odczuwała przez całe swoje dzieciństwo. Według pani Sabriye ten stan ducha miał swój początek w dzieciństwie, gdy siostra pani Nevzat na niby próbowała się zabić. Prawdopodobnie była po prostu bardzo nieodporna. Sama siebie zaczęła obwiniać od momentu śmierci męża. Wtedy też zaczęła się interesować spirytyzmem. Murat był wynalazkiem teściowej, która robiła co w jej mocy, by izolować synową od otoczenia. To ona odbierała telefony. Jej charakterystyczny, twardy głos przy-

kuł moją uwagę za pierwszym razem, gdy go usłyszałem. Dziwne dźwięki i hałasy musiały być wytworem wyobraźni słuchaczy. W ciągu mojego życia spotkałem wiele osób, które karmiły się kłamstwem bez względu na to, czy ich ono dotyczyło, czy też nie. Dlatego nie zaskoczyły mnie wyjaśnienia pani Sabriye. Pani Sabriye, która bardzo lubiła Zeynep, uwierzyła, że faktycznie istnieje jakiś poważny związek między panią Nevzat i Tayfurem, i rozpoczęła śledztwo dotyczące i tak już zgnębionej i podwójnie szantażowanej dziewczyny. Oczywiście wzmogło to jedynie ciśnienie otaczające panią Nevzat z każdej strony. Kolejny atak nastąpił ze strony Cemala.

Trzeba przyznać, że ani Tayfur, ani Sabriye, ani też Cemal za życia teściowej niezbyt często odwiedzali młodą wdowę. Seanse spirytystyczne, które odbywały się w jej mieszkaniu, były zdominowane przez Murata. Po śmierci starej kobiety przeszkody zniknęły.

Według Sabriye afekt, jakim Cemal darzył piękną wdowę, miał podłoże finansowe. Doprowadził do bankructwa firmę i został z niej wyrzucony, ratował się spadkiem, jaki Selma odziedziczyła po ojcu. Chciał się z nią ożenić jedynie dla pieniędzy. Była to jego jedyna nadzieja i właśnie dlatego tak bardzo napierał na biedną Nevzat. Selma nie negowała prawdziwości tego wątku sprawy, ale uważała, że jej mąż lubił trudne wyzwania i z natury był podrywaczem, dlatego zamknięta w sobie i niedostępna Nevzat była dla niego wymarzonym celem. Ponadto, według Selmy, wcześniej Cemal miał jakieś związki z panią Zeynep.

Jeśli chodzi o pana Tayfura, to nigdy nie rozumiał młodej wdowy. Sądził, że sama pozwoliła Cemalowi na podstępne zdobycie jej względów. W swym liście przedśmiertnym dał wyraz swej miłości do niej, ale także zazdrości, nienawiści i wściekłości.

Nevzat, otoczona czterema negatywnymi emocjami, tak silnymi, że nawet jednej z nich normalny człowiek nie mógłby znieść.

9

Spodziewałem się, że nadmierna liczba pracowników i wiążące się z tym obciążenia finansowe mogą źle wpłynąć na kondycję Instytutu, dlatego skłaniałem się raczej ku zredukowaniu tej liczby do niezbędnego minimum. Niestety, nie dało się tego dokonać ze względu na liczbę naszych oraz pro-

ponowanych nam kandydatur. Codziennie otrzymywaliśmy kilka aplikacji. Telefony Halita i moje wprost się urywały. Pierwsze ruchy polegające na zatrudnianiu krewnych i znajomych powodowały wielkie zamieszanie, ale były niczym w porównaniu z tym, co nastąpiło w kolejnych miesiącach. Po pierwsze nagle okazało się, że mamy całe zastępy ludzi blisko z nami spokrewnionych. Pojawili się nagle przyjaciele z dzielnicy, ze szkół. Tabelka w zeszycie kandydatur, którą miałem wypełnić własnymi propozycjami, nadszpedziewanie szybko się zapełniła. Ludzie, którzy zachowywali bezpieczną odległość, by nie niepokoić mnie w najtrudniejszych dla mnie chwilach w przeszłości, teraz rywalizowali między sobą, prześcigając się w przedstawianiu dowodów na dozgonną przyjaźń, głębokie oddanie, niewątpliwe pokrewieństwo. Odwoływali się do najwyższych uczuć.

Spytałem Halita, co o tym sądzi i jak według niego powinienem postąpić.

– Mój szanowny kochany Hayri Irdalu, są na to tylko dwa sposoby: albo zdasz się na przypadek, albo przyjmiesz jakieś wytyczne, podzielisz chętnych na kategorie i jedną z nich sobie wybierzesz – powiedział rzeczowo. – Ja jestem w podobnej sytuacji i dlatego teraz powinniśmy podjąć jakąś decyzję. Jeżeli zdamy się na przypadek, to musimy przeprowadzić losowanie. Nie jestem pewien, czy to byłoby korzystne. Gdyby o tym usłyszano na zewnątrz, podniosłyby się głosy krytyki.

– Więc stwórzmy kategorie – rzuciłem.

– Dobrze, ale jakie.

– Gdyby tak wybrać doświadczonych w pracy... Na przykład tych, którzy pracowali w pokrewnych zawodach.

– Absolutnie. Pan chyba nie zna znaczenia słowa doświadczony. To ni mniej, ni więcej tyle, co być wypalonym, zatrzymać się na pewnym etapie rozwoju i zastygnąć w dotychczasowym działaniu. Z tego typu ludzi nigdy nie będziemy mieć pożytku.

Czyli nie było wyjścia i wybraliśmy niedoświadczonych.

– Czyli bierzemy zupełnie zielonych? – zapytałem.

Halit Regulator zawahał się na moment. Utkwił wzrok w jednym z nowych grafików wiszących na ścianie. Podeszedł, wziął mnie pod ramię i zaprowadził pod ścianę, bym mógł się lepiej przyjrzeć.

– Ten wykres przedstawia miłość do zegarków wśród dzieci. Ale niektóre elementy wydają się niewłaściwe. Ta granatowa kolumna powinna oznaczać raczej dzieci ludzi wykształconych. Ja tutaj wydzieliłem zega-

ry dane w prezencie. Ale przeniesiemy je do kolumny żółtej, tej wąskiej, i będzie dobrze. Może pan to dla mnie poprawić?

Zrobiłem, jak kazał. Nie wiem tylko, jakie to miało znaczenie. Zgłosiłem wątpliwość.

– Zawsze dobrze jest wiedzieć.

– Jak pan pozna, kto faktycznie nie ma żadnego doświadczenia w podobnej pracy? – spytałem, mając nadzieję na powrót do głównego tematu rozmowy.

– Powiedzmy, że będą to ci, którzy nigdy nie pracowali.

– Bezrobotni są jeszcze bardziej doświadczeni... są twardsi. Nie nadają się.

– No to jak będzie? – zapytałem.

– W takim razie jest tylko jedno rozwiązanie – kolejność zgłoszeń. Oczywiście wyłączając tych, na których zależy panu bardziej niż na pozostałych. Żeby nie zdawać się całkowicie na przypadek, proponuję wybierać co drugie zgłoszenie. Rozumie pan? Wybiera pan pierwsze nazwisko z listy w swoim zeszycie, pomija następne, wybiera trzecie, pomija czwarte... I tutaj możemy zastosować pewne odstępstwa: na przykład nie tylko czwarte, ale i piąte nazwisko pan może opuścić. Kto tam jest u pana pierwszy?

– Asaf, pan go zna. Dostaje stałą pensję, ale kompletnie nic nie robi. Halit zmarszczył czoło.

– Asaf to leń. Nie lubię takich typów. W tak nowoczesnej instytucji, jaką jest Instytut, gdzie ceni się wolność jednostki, nie przypisuje pracownikowi obowiązków „od – do”, lecz liczy się na jego kreatywność, inteligencję i niczym nie krępuje inwencji, tacy ludzie jak Asaf są szkodliwi i niebezpieczni. Przychodzi do pracy codziennie i regularnie, prawda?

– Zawsze przed wszystkimi – rzekłem i była to absolutna prawda: pan Asaf pierwszy przychodził i ostatni wychodził.

– Czym się zajmuje?

– Obecnie niczym... To znaczy siedzi i czyta gazety. Po prawdzie to pan mu kazał!

– A czyta?

– Nie, ale Nermin to robi za niego.

– Niech zostanie.

– No tak, ale jak nam się wyczerpie budżet, to z czego będziemy płacić pensje?

Halit pomyślał chwilę.

– Proszę naszemu przyjacielowi znaleźć jakieś inne zajęcie wedle jego predyspozycji. Takie zajęcie, które będzie korzystne dla naszej instytucji i gdzie nie musi pracować.

– To nie dziwne?

– Nie, a raczej... nie wiem – rzekł po krótkim namyśle. – Ale w wielkim przedsiębiorstwie najprawdopodobniej muszą być takie stanowiska. Dodamy je do puli biur pomocniczych. Zresztą sądząc po zdolnościach naszego przyjaciela, najlepiej mu wychodzi nicnierobienie.

– A jak nazwiemy to stanowisko?

– A musimy je nazywać? Och, te formalności. Nie pozostawiają pola manewru ludziom, którzy faktycznie chcą czegoś dokonać. Jak tu pracować w sztywnych okowach formalności? – Zaczął chodzić po pokoju.

– Naprawdę potrzebna jest nazwa stanowiska?

– Tak sądzę.

Halit był wyraźnie zaszępiiony.

– Mój drogi, kochany Hayri. Jeśli kiedykolwiek zechcę opuścić tę instytucję, z którą czuję się zżyty sercem i duszą, to wiem, że to przez te przeklęte formalności. I nie chodzi mi tylko o ten przypadek teraz. To już załatwione. Ja pytam, po co my mamy marnować cenny czas na takie bezsensowne sprawy? Doprawdy szkoda, by Instytut Regulacji Zegarów, powiedzmy I-Er-Zet, zajmował się takimi rzeczami. – Zadzwoił na pana Dervisza.

– Proszę zawołać pana Ekrema, niech wstąpi na górę na partyjkę ping-ponga. Pan też wpadnie, prawda?

Halit Regulator uwielbiał ping-ponga i urządził sobie na górnym piętrze pokój gier ze specjalnym stołem. Byłem tam z nim wiele razy i by się nie zanudzić, kazałem wstawić stolik do pasjansa. Powiedziałem „Tak jest”, ale wzięwszy mnie pod ramię, sam prawie pchając, wyprowadził z pokoju.

– Tak, tracimy dużo czasu. To wszystko musi być bardziej ekonomiczne. Powinienem przygotować odpowiedni grafik. Niech pan nie zapomni, że na dziś jesteśmy zaproszeni do pana cioci. Będzie u niej ten dygnitarz.

– Tak, oczywiście, ale co z tą nazwą stanowiska?

– Ach oczywiście, zapomniałem. Biuro Uzupelnień. Będziemy tam zrzucać sprawy, których rozwiązanie powinno się jakoś opóźnić. Myślę, że starczy dwóch referentów. Proszę nie zatrudniać tam więcej ludzi.

– Jeden by starczył.

– Nie, nie, niech będzie dwóch. Jeden to będzie jakiś młody kandydat od pana ciotki, a drugi to miła młoda dziewczyna, którą sam wybiorę. Lub jeśli pan woli, to młodzieńca od ciotki przeniesiemy do jakiegoś innego biura, a do uzupełnień pójdzie kobieta. Dwie kobiety lepiej pracują... To znaczy swobodniej się czują.

Podjąwszy powyższą decyzję, poszliśmy spędzić nieco czasu na grze w ping-ponga do oddzielnego pokoju mieszczącego się na najwyższym piętrze Instytutu, którego głównym i jedynym celem była ekonomia czasu.

10

Lubiłem przyglądać się, jak Halit z Ekremem grają. Obydwaj byli pięknie zbudowani i gibcy, choć istniała między nimi poważna różnica wieku, to byli niemal równie zwinni i precyzyjni. Ponieważ byłem całkowicie pozbawiony odczuwania przyjemności z oddawania się tego typu rozrywkom i nawet jeśli trochę im zazdrościłem, to nie mogłbym nie docenić zgrania ruchów, harmonijności podań, podejść i oddaleń, które mnie zadziwiały, i w dziwny sposób sprawiały mi specyficzną przyjemność, rozkosz. Ekrema lubiłem od dawna. Był takim samym typem człowieka jak ja: nie umiał żyć, nie czując oparcia w drugim człowieku. Od siedmiu lat nie zmienił swojego stosunku do mnie. W najtrudniejszych nawet momentach był uprzejmy i przyjacielski. Nigdy nie skrytykował mnie za brak wykształcenia i ogłady. Na moje dziwne stany i zachowania reagował lekkim uśmiechem. Byłem szczęśliwy, że mogłem zaproponować mu pracę w Instytucie. Nie przeszkadzał mi fakt, że Halit darzy go wielką sympatią. Ekrem był tak daleki od naszych wewnętrznych rozrachunków i porachunków, że nikt nie był w stanie na niego wpłynąć. Tego dnia gra szła Ekremowi jak po grudzie. Jakby nie był sobą. I chyba nie był. Ruchy miał zbyt nerwowe, brakowało mu koncentracji, reagował zbyt wolno. Z każdym kolejnym uderzeniem raketki jego ręka zdawała się coraz mniej sprzężona z ciałem, a umysł pochłonięty jakimiś absorbującymi myślami. Bez wątpienia kontemlował tragiczną śmierć Nevzat. Któż mógł wiedzieć, o czym teraz myślał. Czuł ból wiecznej rozłąki z ukochaną, smutek z powodu śmierci niewinnego człowieka i wewnętrzne rozbicie, jak my wszyscy. Czuł się załamany.

Wydawało mu się, że kobieta, którą darzy głębokim uczuciem, jest zamkniętą w sobie, samowystarczalną emocjonalnie i niewykazującą zainteresowania światem zewnętrznym osobą. Tymczasem teraz jawiła się w zupełnie innym świetle. Teraz dopiero zrozumiał znaczenie uśmiechu, który nigdy nie znikał z jej twarzy. To był grymas człowieka, który wyciąga ręce do partnera na trapezie i wie, że milimetrowa pomyłka spowoduje upadek w przepaść i niechybną śmierć. Jej uśmiech nie był ozdobnikiem, lecz niewiarygodnym aktem odwagi. Był zasłoną przykrywającą jedno wielkie nieporozumienie, które ciągnęło się za kobietą przez całe jej życie. Biedny poeta dopiero teraz zrozumiał, że był zakochany w żywej, czującej istocie, a nie w cieniu idealnych kobiet, o których czytał w książkach. Być może dlatego odczuwał żal i skruchę, że nie pojął na czas znaczenia tego uśmiechu: tego cichego wołania o pomoc.

Kiedyś, gdy siedzieliśmy w restauracji Şehzadebaşı, długo rozwodził się nad estetycznym pięknem ukochanej, którego przykład odkrył w jakiejś mroźnej krew w żyłach historii angielskiego autora, którego nazwiska niestety nie pamiętam. Poeta użył wówczas określenia Czysta Poetycka Piękność. Według doktora Ramiza ten typ kobiet nie ma nic wspólnego ani z poezją, ani z czystością czy też nieczystością. Według niego na podstawie doświadczeń na polu psychoanalizy ten typ najczęściej popełniał samobójstwa, a z jego osobistych zawodowych obserwacji wynikało także, że często cierpiał na anemię. Ekrem nie słuchał tych teorii zbyt uważnie i zdawał się nie traktować poważnie diagnozy. Szybko stwierdził, że jestem najlepszym, jeśli nie jedynym, słuchaczem, dlatego niestrudzenie tłumaczył mi, na czym polega owa estetyka według filozofii myślicieli i poetów, w sposób tak skomplikowany, że niewiele pojmowałem, a w głowie mieszały mi się ich nazwiska. Domyślcie się więc, w jakim stopniu rozumiałem wypowiedzi Ekrema. Wiedziałem już od pierwszego dnia, gdy zobaczyłem panią Nevzat, że jest ona kobietą, którą nasz poeta będzie miłował do końca swoich dni. Po pewnym okresie naszego życia jesteśmy przygotowani na wszystko, tak że żyjemy, jakbyśmy w sobie dźwigali własne przeznaczenie. Ekrem dzięki przeczytaniu ogromnej liczby książek wypełniających bibliotekę był przygotowany na miłość do pani Nevzat. Lecz z takim przygotowaniem forma tej miłości nie odpowiadała tej w rzeczywistym życiu. Poeta Ekrem tam, gdzie wydawało mu się, że znalazł idealny typ wysnionej estetyki, napotkał krwawe potrójne morderstwo.

Tajemniczy uśmiech pani Nevzat który, jak pragnął tego Ekrem, nie był dziełem ducha błyszczącego z oddali niczym gwiazda przed naszymi oczami i niczego nie rozwiązywał. Krył się za nim ból człowieka z krwi i kości, którego życie jest naznaczone cierpieniem i brakiem nadziei na jakąkolwiek zmianę. Ekrem dopiero po śmierci kobiety zdał sobie z tego sprawę.

Owego wieczoru w domu mojej ciotki miałem okazję porozmawiać z panią Nevzat. Udało jej się na chwilę uwolnić od Cemala. A raczej moja ciotka go dopadła. Wówczas Nevzat skorzystała z okazji i oddaliła się do innego pomieszczenia, stała przy oknie i patrzyła w dal. Chyba na moment zrzuciła słodką maskę. Twarz miała stężoną i poważną i odniosłem wrażenie, że duchem jest cała daleko. Była piękna, urodą broni gotowej do wystrzału. Podeszedłem do niej i jako starszy pan, znajomy od dawien dawna, odważyłem się do niej odezwać.

– Czemu się pani tutaj tak nudzi samotnie? Niech pani spojrzy na Ekrema, biedak od lat szuka okazji, by zamienić z panią choć słowo. Proszę biedakowi choć jakiś komplement powiedzieć.

Nagle twarz jej zmiękła, straciła wcześniejszą twardość, ale jeszcze nie przybrała zwyczajowego wyrazu. Niejako pozostała w połowie drogi.

– Pan Ekrem... – powiedziała cicho. – Gdyby był choć trochę odważniejszy, wie pan, ile problemów zostałoby rozwiązanych za jednym zamachem?

I wtedy właśnie zadałem najgłupsze pytanie w całym moim życiu.

– Czy mam mu to powiedzieć?

– Niech się pan nie waży! Nigdy! – Twarz stężała jej na nowo. – Co to da? Takie rzeczy dzieją się same z siebie. Proszę dobrze zrozumieć. Może to mój błąd. Tak strasznie brzydzę się takimi sprawami, że... – i złapała mnie mocno za ramię. – Niech się pan mną nie zajmuje. Niech chociaż pan zostawi mnie w spokoju. Kiedyś zgadaliście się z Sabriye. Nienawidziłam pana wtedy. Chcieliście wejść w moje życie z butami. Że niby w trosce o moje dobro... A potem pan zniknął...

Przymknęła powieki i odchyliła głowę, jakby szukając poduszki, oparcia.

– Ale to pani do mnie dzwoniła... w domu...

– Tak, ale tylko po to, żeby się dowiedzieć, co panu powiedziała Sabriye. I jeśli to możliwe, targowałabym się. Ale było, minęło. I znowu pan się zjawia. Wszyscy zjawiają się naraz! Wie pan, co to może znaczyć, widzieć tylu ludzi wokół siebie? – popatrzyła na mnie uważnie. – Niech

mnie pan zostawi w spokoju i o mnie nie rozmawia, dobrze? – upierała się bardzo stanowczo.

Wolnymi, spokojnymi krokami oddaliła się w stronę grupki, której przewodził Halit Regulator. Ta wieczorna rozmowa zaległa mi na duszy wielkim ciężarem. Zdałem sobie sprawę z tego, jak bardzo skłonny byłem się poniżyć, by choć raz w życiu z marginesu życia wrócić na salony, gdzie przebywali normalni ludzie, by doczekać się normalnego traktowania z ich strony. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że dążąc do tego, mogę krzywdzić innych. Patrzyłem na siebie moimi własnymi oczami. Teraz spojrziałem oczami osoby, którą lubiłem, ceniłem i chciałem dla niej zrobić coś dobrego.

Pięć dni po tej rozmowie po raz kolejny spotkałem panią Nevzat w domu niejkiej pani Seher. Poszedłem tam razem z ciotką. W progu usłyszałem głos pani Nevzat dobiegający z salonu; momentalnie chciałem się wycofać. Niestety, już nie mogłem. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie bite dwie godziny. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Wyszliśmy razem, ponieważ ciotka uparła się, by ją odprowadzić do domu. Na krótką chwilę zostaliśmy sami.

– Sprawiałam panu przykrość tamtego wieczoru, niech mi pan wybaczy – wyszeptwała.

– Nie jestem zły na panią, ale na siebie samego – odpowiedziałem.

Potem za każdym razem gdy widziałem Ekrema, przypominały mi się jej słowa i było mi go strasznie żal. Wydawał mi się półmężczyzną. Teraz patrzyłem, jak gra w ping-ponga. Nagle, jakby zebrał się w sobie i zaczął pewniej uderzać, energiczniej się ruszać. Nie dawał okazji Halitowi. Potem znowu oklapł, zwolnił. Całe jego życie tak wyglądało. Wzruszyłem tylko ramionami.

Ktoś dotknął mojego ramienia. Pani Sabriye. Spiałem wszystkie mięśnie. Od kilku dni tak właśnie reagowałem. Żeby nie spotykać tej kobiety, zmieniałem drogę, kluczyłem po ulicach. A to ja ją ściągnąłem wszystkim na głowę. W lot pojęła, że nie da się ze mną porozmawiać, więc czym prędzej się oddaliła. Obeszła stół do ping-ponga i usiadła przy niedużym stoliku po drugiej stronie. Rozłożyła karty do gry i zajęła się sobą. Miała zacięte usta, usztywniony kręgosłup i pożółkłą twarz.

Halit jeszcze przez chwilę próbował rozruszać Ekrema. Po chwili stracił nadzieję i odłożył raketkę. Ekrem wytarł spoconą twarz, a mnie sta-

nał przed oczami obraz makabrycznie pociętej gęby Cemala. Schowałem wspomnienie na dnie torby mojej pamięci. Jak długo jeszcze to potrwa? Zeszliśmy na dół, zaglądając do pokoju, w którym siedział pan Asaf. Wdzieliśmy, jak szef Biura Uzuppełnień próbował obłapiać około pięćdziesięcioletnią służącą, biedną panią Gülsüm. Był to tak niespodziewany i komiczny widok, że o mało wszyscy nie wybuchliśmy gromkim śmiechem. Halit pociągnął mnie za rękaw i na paluszkach oddaliliśmy się stamtąd.

– Jak pan sądzi, może zaczniemy od drugiego miejsca na liście?

– Tak, wykazałem się zdolnościami nie lada przy wyborze pracowników. Ekrem miazga. Sabriye podły babsztyl. Asaf idiota... Cieszę się, że chociaż doktora Ramiza pan zna... – rzekłem, gdy Halit zaczął zakładać płaszcz przed wyjściem.

– Biuro Uzuppełnień będzie działać jak należy. Tylko niech pan te młode dziewczyny, o których rozmawialiśmy, da do pracy z kimś innym. Może niech wszystkie stenotypistki siedzą w jednym pokoju. I niech się pan tak nie przejmuje. W stanie, w jakim był wówczas, nie miał pan szans wybrać lepszych. Oczekiwał pan wdzięczności, a oni wszyscy pana zawiedli i porzucili.

– Sabriye także?

– O nie, ona chciała pana wykorzystać. To dość oczywiste, ale może się myłę...

Po drodze Halit zwierzył mi się ze swych zgryzot przeżywanych podczas gry z poetą Ekremem.

– Ja postanowiłem uciec od miłości. Nigdy nie kochałem. Może to jest pewien brak, ale przynajmniej mam spokój. Minusem każdej miłości jest to, że trzeba płacić za przyjemność, którą ona początkowo daje. A płacić trzeba zawsze, w ten czy inny sposób... Zawsze ingeruje pan w życie innej osoby więcej niż trzeba i chyba nie ma nic bardziej strasznego...

Poczułem, że właśnie ja także zacząłem płacić. Selma była w coraz gorszym nastroju. Nie potrafiła zapomnieć ani Cemala, ani Nevzat. Co noc zrywała się z łóżka i nie mogła spać.

Ale któż mógłby zapomnieć o zmarłych. Cemala nie było mi żal. Gdyby, jak na szalce wagi, nie było śmierci i zbrodni, to nawet byłbym zadowolony, że udało mi się przed nim uratować. Ale czułem jakiś nieokreślony niepokój, nie mogłem przyjąć tego zdarzenia jako zwykłego przypadku. Poza tym cały czas miałem przed oczami szukającą wygodnej poduszki

odchyloną głowę Nevzat. Tuż przed drzwiami domu mojej ciotki Halit złapał mnie za ramię.

– Moglibyśmy znaleźć jakieś zajęcie dla muzyka. Nazywał się chyba pan Macit, o ile dobrze pamiętam. Ten, który chciał być szefem orkiestry... O tak, stuosobowy salon. Wszystkie dziewczęta przy maszynach do pisania. Przed nimi za katedrą dyrygent z batutą w ręce. Dziewczyny pracują w rytmie, który im nada... wszystkie naraz wystukują A i B... fantastyczna wizja. Kochaniutki, to będzie coś. Przed chwilą żałował pan, że w ogóle poznał Asafa. A jeden jego przypadkowy, uspokajający gest poddał nam taki genialny pomysł! O tak, prócz naszych osobistych asystentów wszyscy pracownicy w jednej dużej sali. Nowoczesny świat, nowoczesny system pracy...

Weszliśmy do środka. Korytarz i salon były pełne gości. Tym razem tłum był inny niż ten, do którego przywykłem. Prócz znajomych znalazło się miejsce dla wielu obcokrajowców: ze wschodu, z zachodu, północy i południa. Pierwsze pół godziny upłynęło na przedstawianiu mnie przybyłym: raz pod rękę z Halitem, raz z ciotką. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się, kim jestem. W końcu udało mi się wycofać w jakiś spokojny kącik. Wtedy dopiero zauważyłem, że wszystkie ściany obwieszane są wykresami i sloganami propagowanymi przez Instytut. O godzinie ósmej przygaszono światła i rozpoczęła się projekcja filmu krótkometrażowego. Przedstawiano zdjęcia z otwarcia pierwszej stacji regulacyjnej. Mnóstwo ważnych postaci, wstęgi i kokardy, między nimi ja, Hayri Irdal, wyciągam kartkę z przemową, obok mnie śliczna, uśmiechnięta dziewczyna. Boże drogi, jaka ona była ładna... czemu wtedy nie zwróciłem na nią uwagi? Kolejny dokument dotyczył otwarcia samego Instytutu. Tutaj Halit pozostawił mnie lekko w cieniu. Kogóż tam nie było! A Halit samą swoją obecnością przyćmiewał wszystko i wszystkich. Chwilę później, gdy zapalono światła w salonie, ludzie, którym mnie przedstawiono, biegali pomiędzy mną i Halitem jak czółenka po krosnach, od jednego do drugiego. Jak zwykle mój dobroczyńca zorganizował wszystko wcześniej, o niczym mi nie mówiąc. Większość gości wiedziała o mnie wszystko, zanim się pojawiłem. Nazwiska i historie związane z Seyitem Lutfullahem, Nuri Efendim, zegarem „Świętym” i przeklętym diamentem Şerbetçibaşı spadały na mą głowę jak konfetti. Każdy kolejny kieliszek poprawiał nastrój otaczających mnie i Halita gości.

Tego wieczoru za dużo gadałem. Opowiadałem o wszystkim i każdemu. Wszystko jedno, do kogo się zwróciłem, zjawiał się niepostrzeżenie tłumacz, stawał za mną i mruzczał coś w obcym języku. Halit Regulator pomyślał o wszystkim. Podpisałem setki zdjęć przedstawiających zegar ścienny. Zagadka niebawem się wyjaśniła. Ciotka w salonie obok przedstawiała wszystkim wielki rokokowy zegar zdobiony ze wszystkich stron, w późniejszych wiekach okraszony pismem arabskim rytym w kości słoniowej. Dziwne było to, że widzowie zachowywali się, jakby dobrze go znali i tym bardziej podziwiali cenny przedmiot. Setki oczu nieuzbrojonych, w binoklach i monoklach chłonęło widok zegara i przechodziło dalej. Wyglądało to jak dworska prezentacja lub oficjalne powitanie. Był to wyjątkowy zegar niemieckiej roboty, z czasów największego zainteresowania urządzeniami mechanicznymi, dostojny i bogato zdobiony, do samego nastawienia, nakręcenia wymagający ręki nie lada rzemieślnika; prawdziwy unikat. Zainteresowanie zegarem było ogromne, goście tłumnie go oblegli, tak że mnie samemu udało się jedynie rzucić na niego okiem. Ciotka stała, opierając się jedną ręką na lasce, drugą gładząc stary zegar udający „Świętego” i przedstawiając go wszystkim, zwłaszcza nowo przybyłym, jako starą pamiątkę rodzinną, która teraz będzie gościć u niej na salonach. Ciotka była, cała w koronkach, czerni, okryta powłóczystym szalem, ale i na wpół wydekoltowana, ufarbowana i umalowana, obwieszona brylantami, niecodzienna i wstrząsająca.

W pewnym momencie, widocznie kwadrans do pełnej godziny, zegar zaczął bić. Dźwięk był znacznie ładniejszy od tego, jaki wydawał prawdziwy „Święty”. Ale tak ogłuszający, że nie dało się go słuchać z bliska. Naraz otworzyły się małe drzwiczki nad cyferblatem i wyskoczyła z nich figurka chudego derwisza, wypisz wymaluj taka, jak z grafik pana Hamdiego, krzyknęła mechanicznym głosem „Witajcie” i znikła.

– Szejk Ahmet Zamani - wyjaśniła ciocia.

Wówczas wybuchły nieopisana radość i podniecenie, oklaski i zachwyty.

Najciekawsze, że nawet ci, co bywali u mnie w domu i widzieli prawdziwego „Świętego”, jak na przykład doktor Ramiz, piali z zachwyty na równi z innymi. Ale w końcu nie wytrzymał. Podszedł do mnie, gdy byłem przez chwilę sam.

– „Święty” wydaje mi się dziś jakby odmieniony... Jak to określić... taki bardziej zdobny.

Stuknąłem się z nim szklaneczką whisky, którą trzymałem w ręku.

– Dokładnie. Wszystkich nas, tak jak jego, odmieniły pieniądze, sława, wygody i coraz większy apetyt.

– Ale ten jej to chyba za bardzo się zmienił. Dawniej był prosty i piękny. Nie może pan na nią jakoś wpłynąć?

– Nie mam szans. Nie mogę nic zrobić. W ogóle mnie nie słucha.

– Coś trzeba zrobić. Nawet jeśli nie wszystko nam się uda, to musimy chociaż zdjąć z niego ten medal.

– To ty spróbuj, jak chcesz. Powiedziała, że ma to od sułtana Aziza. Widzisz zresztą, jak ona wygląda. Czy to jest strój odpowiedni dla kobiety w jej wieku? W naszej rodzinie to normalne. Na starość stajemy się niesforni. A ona jest pełnoprawnym członkiem tej rodziny. Powiedzieć ci coś w zaufaniu? Boję się sam o siebie i zastanawiam, co mogę nawycyzniać, gdy i mnie dotknie przygnębienie i dopadnie chandra.

– Nic ci nie grozi, póki ja tu jestem! – zawołał mój drogi przyjaciel ochoczo. – Ja cię leczyłem.

Nie miałem czasu nawet podziękować mojemu przyjacielowi. Goście ciotki mnie oblegli. Jedna starsza pani, podobnie jak gospodyni obwieszona paciorkami, łańcuszkami, kamieniami, zapytała mnie, czy nasza rodzina pochodzi od szejka Ahmeda czy też od „Świętego”. Kazałem tłumaczowi przekazać, że tak naprawdę naszym protoplastą jest, rzecz jasna, „Święty”. Ktoś inny zapytał, czemu „Święty” tak rzadko się udziela, mało bywa i właściwie zjawia się jedynie na koktajlach u szanownej ciotki. Odparłem, że to za sprawą zaleceń lekarza, który odradził mu częste wycieczki. Zainteresowano się, kim jest ów doktor.

– Taki leciwy typ musi mieć niejednego doktora. Ale jeden z ważniejszych, to nasz doktor Ramiz – tu wskazałem mojego drogiego przyjaciela.

Byłem pewien, że dalszym obrotem sprawy będzie zachwycony. Gdy tłum zaczął przesuwac się w stronę Ramiza, ja udałem się w stronę korytarza.

Dziwne było to wszystko: każdy z nas był kukielką w ręku Halita. Prowadził nas tam, dokąd chciał, i zostawiał w danym punkcie, gdy chciał. A my zachowywaliśmy się, jakbyśmy odgrywali swoje wyuczone wcześniej role. Zdając sobie z tego sprawę, przeżywałem mieszaninę złości, buntu i uwielbienia.

W kącie holu na miękkiej sofie siedziała Zehra, rozpostarłszy długą falbaniastą suknię, w którą była dziś odziana. Delikatnie kołysała trzy-

manym w ręku kieliszkiem, rozmawiała z tłoczącymi się wokół niej młodzieńcami w nieznanym mi językach, a może w jakimś jednym, którym mówili wszyscy naraz i który wszyscy świetnie rozumieli. Tego wieczoru prawnuczka słynnego Ahmeda była naprawdę piękna i przez wszystkich podziwiana. Przyjrzałem się oszczędnym ruchom dłoni, zadartej brodzie, była naprawdę szczęśliwa. Ależ ona przypominała matkę! Któryś z młodzieńców podsunął jej talerz z poczęstunkiem. Skorzystała bez oporów i zaczęła jeść, trzymając talerz na kolanach. Naprawdę cieszyłem się, że w ciągu roku czy dwóch zupełnie zapomniała stare czasy i postawę matki w owych dniach. Całymi latami jedliśmy suchy chleb, trzymając go nad kolanami.

W tym czasie podeszła do mnie Pakize. Była pięknie odziana. Nie mam pojęcia, kiedy i jak zdobyła tę suknię. Wydało mi się, że skądś znam ten materiał. Z wielką swobodą trzymała szal i torebkę i śmiała się szczerze i przyjemnie, że... sam siebie spytałem: „Którą to aktorką jest tego wieczoru?”. Cała rozpromieniona wzięła mnie pod rękę.

– Hayri, ależ ja jestem szczęśliwa – rzekła radośnie. – Gdy cię brałam, wiedziałam, że tak właśnie będzie.

– Myślałem, że to ja ciebie brałem, czy może się zwyczajnie zmieniły?

– Zawsze, jak mnie widzisz, to gadasz jak człowiek minionej epoki... Ale niech ci będzie. Jestem taka szczęśliwa. Zwłaszcza gdy zobaczyłam dziś „Świętego”. Bardzo, naprawdę bardzo go lubię, wiesz? Na święta zawsze ucałuję jego dłoń...

– Czyli podoba ci się to wszystko?

– Ależ jakby mogło się nie podobać? Tego właśnie od ciebie oczekiwałam. Tylko ty zwlekałeś.

Za naszymi plecami pojawił się mężczyzna około pięćdziesiątki, z twarzą buldoga i z dwoma kieliszkami trunku w rękach. Czekał na moment, by przyłgnąć do Pakize natychmiast, gdy tylko się oddalę.

– Co to za typ? – spytałem. – Nie mogłaś znaleźć czegoś lepszego?

– To twój wielbiciel. Ciągłe tylko o tobie gada. Jakiś dziennikarz – rzekła. – Doprawdy uroczy wieczór... – zwróciła uwagę, że przyglądam się uważnie materiałowi, z którego uszyta była jej wieczorowa toaleta. – Poznajesz? Nie mogliśmy sprzedać, bo nie było kupców. To jest narzutka twojego ojca. Dałam do renowacji... strasznie dużo mole zjadły i dlatego dużo kosztowało...

Czyli złote wstawki na zielonym materiale zakrywały dziury po molach.

Życzyłem zdrowia i zostawiłem ją w rękach buldoga. Jest szansa, że całej jej nie zje – pomyślałem. Usłyszałem gdzieś z bliska krótkie „Hello”. Zatrzymałem się. Moja młodsza szwagierka. Odziana była w krwistoczerwoną suknię, która wyjątkowo do niej nie pasowała. Była otoczona rzeszą mężczyzn. W uszach miała kolczyki wielkie jak podkowy. Pozałowałem starych podków gubionych w grząskim błocie, gdy byłem w wojsku. Gdybym je wówczas wszystkie zebrał, na dzisiejszej modzie nieźle bym zarobił. Szwagierka zostawiła w tyle wszystkich adoratorów i rzuciła się na mnie.

– Jesteś największym przystojniakiem wieczoru, kochany szwagrze.

Ostatnimi czasy tak właśnie dziwnie się zachowywała. Po terapii doktora Ramiza powinien być jakiś skutek. Ramiz postanowił poddać ją terapii.

Odepchnąłem ją delikatnie.

– Idź, zabaw się. A na przyszłość, proszę, zmień perfumy.

Niczym się nie przejmując, podsunęła mi pod sam nos małą chusteczkę nasączoną zapachem i podała nazwę, której w życiu nie będę w stanie zapamiętać. Zwijiała się ze śmiechu.

Starsza szwagierka miała się niebawem zjawić. O jedenastej kończyła występy. Miała nam zaprezentować swój repertuar, który zapewnił jej sławę. Udało mi się dotrzeć do w miarę pustego pokoju za salonem. Wokół stołu siedziały Sabriye, Seher, Nermin i kilku mężczyzn. Naśladując gesty, których nauczyli się od Ramiza, niczym bractwo bektaszyckie stukali się szklaneczkami z raki, pozdrawiając się co chwila. Naciskali, bym się do nich przyłączył. Wymówiłem się tym, że nie przepadam za anyżowym trunkiem, że piję tylko whisky, i to z polecenia samego „Świętego”. Jeden z młodych, mniej więcej w wieku mojego Ahmeda, wstał chwiejnie, wyjął z tylnej kieszeni marynarki płaską butelkę i mi ją podał. Pomyślałem o moim biednym, naiwnym synu. Dla uspokojenia własnego sumienia każę mu teraz siedzieć w ciasnej sali szkolnej przy mdłym świetle elektrycznym. Żeby tylko mógł żyć, nie godząc się na kompromisy. Ale czy to jest w ogóle możliwe? Oddałem butelkę młodzieńcowi. Śmierdziała karbolem. Ramiz, wrywając się z objęć jakiejś starej kokietki, która już prawie leżała w jego objęciach, próbował mnie zatrzymać, bełkocząc: „A ty dokąd?”. Służba uwijała się, donosząc kolejne poczęstunki, tym razem wnieśli potrawkę z mięsa i ryżu oraz drewniane łyżeczki. Zewsząd zjawiali się goście z małymi talerzykami. Przemiły Francuz mniej więcej w moim

wieku, najwyraźniej sądząc, że wszystko zrozumie, zaczął coś do mnie mówić. Zrozumiałem tylko „atak na ryż”. Patrzyłem z podziwem na biedaka, który chyba niewiele rozumie z tego, co się dzieje wokół. Zrozumiał moje spojrzenie opacznie, pociągnął za sobą, wskazując dogodnie miejsce do pobrania porcji szampana. „Może łyk dobrze mi robi” – powiedziałem i ramię w ramię podeszliśmy do trunku. Na pewno po którymś z kolei zaczęę upodabniać się do reszty towarzystwa. To było oczywiste, że musiałem się do nich upodobnić! Gdybym się nie upodobnił, życie byłoby bardzo trudne. Szampan nieco mnie ostudził. „A gdzie Selma?” Rozejrzałem się w jej poszukiwaniu. Ach, jak by było miło, gdyby tu była ze mną. Niestety, nie przyszła. Moja kochanka chorowała od śmierci Cemala. Mignął mi Ekrem. Stał spięty i zapatrzony gdzieś w dal. Potem zorientowałem się, że wpatrywał się w kanapę stojącą pod fotografią świętej pamięci Neşita. Zrozumiałem, że wspomina swoją ostatnią rozmowę z Nevzat, tu, na tej kanapie. Ależ to było śmieszne i głupie. Nie spodobało mi się.

Ruszyłem w stronę korytarza. Wszedłem w pierwsze drzwi po prawej. Był to dawny gabinet Neşita. Nigdy wcześniej nie byłem w pokoju tego człowieka, którego nigdy nie lubiłem i nigdy nie polubiłem. Oprowadzając mnie po domu, ciotka mawiała, że jest tu bardzo wygodny fotel. Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem za biurkiem. Pomieszczenie było urządzone z gustem. Na ścianie było mnóstwo obrazów, a dokładnie naprzeciwko biurka wisiała kolekcja broni – jakby gospodarz zwykł był polować na grubego zwierza – oraz wszelkiego typu noże myśliwskie. Pośrodku tych ozdób znajdował się stary wypchany orzeł z rozpostartymi skrzydłami, który zdobił witrynę apteki Aristidi Efendiego. Całymi latami chłonał opary z alembików i filozofię właściciela. Teraz wpatrywał się we mnie mądrymi, niemal ludzkimi oczami, a rozłożone wyliniałe skrzydła wyglądały tak, jakby miał zamiar wzlecieć.

– Jak wiele niewinnych kłamstewek napletliśmy swojego czasu? – mruknąłem sam do siebie.

Gdy się zbudziłem, wstawał świt. Zabawa trwała w najlepsze. Gdy otworzyłem oczy, ujrzałem przed sobą Halita.

– I jak? Niesamowicie, prawda? Szukam pana od dłuższego czasu. Czy człowiek ucieka z takiego przyjęcia? – mówił swobodnie i spokojnie. – Pańska ciotka była wspaniała. Zatem zawsze jest wspaniała... Pan też całkiem nieźle wypadł, trzeba przyznać. Ale teraz niech pan wstanie,

muszę panu kogoś przedstawić. Gość przyjechał z bardzo daleka, by pana poznać. Van Humbert to naukowiec światowego formatu.

– To jeszcze nie koniec? Czy to się w ogóle nigdy nie skończy? – spytałem zrezygnowany.

– Ależ drogi przyjacielu, to dopiero początek. Jesteśmy jak nowo narodzone dziecko!

– Dobrze, ale po co ta cała gra? Niech mi pan to wytłumaczy. Wszystko idzie jak z płatka. Po co jeszcze ta cała maskarada?

Halit usiadł na stole Naşita.

– Wszystko faktycznie jest w porządku... ale jesteśmy sami. Jesteśmy sami wobec świata. Nie lubię samotności. Rozumie pan? Taka wspaniała, poważna instytucja powinna mieć swoje odpowiedniki na całym świecie! Tego właśnie pragnę i myślę, że pan także tego pragnie.

11

Rozmowę przerwał nam doktor Ramiz, który z impetem wpadł do gabinetu w objęciach bardzo puszystej damy, ważącej bez mała sto trzydzieści kilo i łudząco podobnej do świętej pamięci żony doktora. Jego biedna połowica poświęciła swój majątek, by obiecujący doktor mógł praktykować i rozwijać swe teorie naukowe, zaś urodę złożyła w ofierze udanego pożycia małżeńskiego. Ramiz, ujrawszy nas, ruchem kinowego amanta przywarł do brzucha partnerki, unosząc nieco szczękę nad jej prawym ramieniem, by móc nią ruszać, prowadząc z nami konwersację. Ale Halit nie dopuścił go do głosu, wskazując spiącą na kanapie kompletnie pijaną kobietę.

– Wejdz, doktorze, wejdz, ale nie hałasujcie za bardzo, bo to biedactwo nie najlepiej się chyba czuje. – Wskazał ręką fotel, na którym siedziałem. – Fotel jest bardzo wygodny. My wychodzimy. Bawcie się dobrze.

Powiedział to z uśmiechem, którym wprowadził mnie w podziw. Gdy człowiek osiągnie już pewien poziom cynizmu, staje się niezwykle tolerancyjny wobec bliźnich. Cynizm jest cechą immanentną istoty ludzkiej. Człowiek, który się w nim bez reszty rozplynie, jest w stanie zrobić wszystko. Nie ma takiej rzeczy, do której nie mógłby się posunąć. Jeśli nie zagnieździ mu się w umyśle kropla obawy przed samotnością.

Halit wziął mnie pod ramię i wyprowadził do holu.

– Doktor wie, jak się zabawić. Nie jest taki jak pan. Pan, zanim coś robi, zastanawia się, co pójdzie nie tak i czego trzeba się obawiać. A potem chodzi naburmuszony, jakby mu kto podwiązał pokrzywę pod nosem.

– Patrząc na pana, można pomyśleć, że niewiele pan wypił – postanowiłem uciąć jego przemowę.

– Tylko kilka kieliszków. Tej nocy musiałem panować nad sobą... Ale teraz się napiję. Mogę się napić. Jest jeszcze sampan! Pana ciotka jest wprost niezrównana. Nie przejmuje się wcale wydatkami. Pewnie się to panu nie spodoba, ale skoro już nie jest pan w wielkiej potrzebie, mogę panu powiedzieć. Mam wrażenie, że pańska ciotka postanowiła nie żegnać się z tym padołem, póki nie wyda ostatniego grosika.

W salach i holu nadal wirowały tańczące pary. Puder, lawenda, gołe ramiona i spocone pachy mieszały się i unosiły kolejno w powietrzu. Młodsza szwagierka zauważyła mnie i porzuciwszy partnera o posturze dorodnego konia, zaczęła się przeciskać w moją stronę. Tańczący ogier okazał się sprawniejszy.

Pokój, w którym stał „Święty”, był nieco spokojniejszy. Goście zbiegli się do stolika, przy którym rozdawano szampana. Halit pociągnął mnie za ramię w stronę mojej żony i ciotki rozmawiających z Van Humbertem. Sympatyczny naukowiec pił tylko wodę sodową z sokiem. Pakize i ciocia były bardziej praktyczne i miały w rękach pełne kieliszki szampana. Spojrzawszy na kuzynkę, odruchowo zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno wystarczy jej majątku do końca życia. Wzruszyłem ramionami. Teraz mam pieniądze i faktycznie wszystko mi jedno. Jest jeszcze stara służąca, z którą doprawdy ciężko wytrzymać. Ale może nie jest aż taka zła. Może damy radę. Ktoś, kto ma taką ciotkę, zniesie wszystko i każdego... Miłość do życia jest jak żyzne pole, na którym co chwila coś wyrasta.

Van Humbert był niskim, grubiutkim mężczyzną w wieku około sześćdziesięciu pięciu lat, z dużą brodą, która zdawała się sztuczna przy niemal dziecięcej twarzy właściciela. Halit przedstawił mnie gościowi, który zwrócił się do mnie:

– Jak minęła konferencja? Ja bardzo chciałem uczestniczyć, ale szanowna pani i ten pan nie chcieli mnie wypuścić.

Żona, widząc moje zaskoczenie, postanowiła szybko zareagować.

– Ależ wybornie mówi po turecku, prawda, mój drogi? – zwróciła się do mnie.

– Dziś wieczorem nastąpiło lekkie zamieszanie. Bardzo mi przykro... ale cóż można poradzić. Bratanek już dawno temu obiecał nam przemówienie na tym spotkaniu rodzinnym – wtrąciła się ciotka, zanim zdążył coś powiedzieć.

Uwaga: byłem na konferencji. Nie zdrzemnąłem się w gabinecie Neşita. Nie rozmawiałem z wyliniałym orłem. Najpierw konferencja, potem spotkanie rodzinne. Wszystko się zgadza, po jedenastej nie urządza się odczytów publicznych. Moje życie było znacznie prostsze, niżby się można spodziewać. Nie miałem prawa się skarżyć. Prowadzono mnie tam, dokąd trzeba, lekkim szturchnięciem w udo, wskazaniem kierunku końcówką bata. Teraz może ktoś z szanownych zebranych raczyłby mi podpowiedzieć, o czym tak rozprawiałem na konferencji. Mógłbym, rzecz jasna, sam coś wymyślić, ale to dość ryzykowne. Lepiej się wstrzymać. Uśmiechałem się więc uroczym przez cały czas, jak Van Humbert potrząsał moją dłoń, a właściwie miażdżył palce jak w imadle. „Jak mi je poprzestawiasz, to cię tak urządzę...” – pomyślałem.

– Hayri, kochanie, bardzo klaskano? Tak mi przykro, że nie mogłam przyjść... Ale nie mogłam przecież zostawić naszego gościa. Takie nam wspaniałe rzeczy opowiadał!

Potem, zwróciwszy się do gościa, rzekła:

– Gdy jestem u jego boku, mąż czuje się dużo swobodniej podczas wykładu.

Strzelając wokół uśmiechami, czekała na pochwały. Gość postanowił popisać się znajomością języka.

– Naturalnie, jak człowiek ma takie słodkie natchnienie u boku...
– Bardzo był z siebie zadowolony, jakby słowo „natchnienie” było tym, którego ostatnio się nauczył, a teraz miał okazję poprawnie użyć w zdaniu. Oczywiście natychmiast skorzystał z okazji, by zmiażdżyć mi palce. Pomyślałem, że jak się jeszcze kiedyś spotkamy, to zrobię wszystko, by mu przetrącić jego. Pakize emanowała dumą, jaką czuje piesek, gdy poda swojej pani chusteczkę upuszczoną na posadzkę.

– Mam nadzieję, że nie pomieszałam notatek?

To miało być chyba ostrzeżenie w stylu „weź się w garść”. Miałem odegrać swoją rolę. Z wielkim wysiłkiem uwolniłem rękę z kleszczy Van Humberta i natychmiast objąłem dłoń butelką wina, by rozprostować umęczone palce.

– Ależ nie, cukiereczku, nic nie pomieszałaś. Po prawdzie to zapomniałem ich zabrać z domu i mówiłem z pamięci.

Halit wybuchnął śmiechem. Potem zaczęliśmy śmiać się wszyscy. Van Humbert, patrząc na „moje słodkie natchnienie”, rzekł:

– Tak jest nawet lepiej. Mnie się też tak przydarzyło kilka razy. Wtedy człowiekowi łatwiej się mówi...

Pakize w tym wyjaśnieniu odnalazła całkowite ukojenie i uśmiechnęła się uroczo do mnie i do gościa.

– A jak twój szympans, kochanie? To znaczy chciałem powiedzieć: buldog? – Halitowi zdecydowanie nie spodobała się moja inicjatywa i znacząco uniósł brwi. Natychmiast przywołałem się do porządku i zwróciłem do gościa: – Jak panu minęła podróż?

– Oczywiście, bardzo oczywiście... bilet, który pan przysłał był, na luksusowy wagon.

Czyli to tak. Pewnie przyjechał tu na własnoręcznie przeze mnie podpisane zaproszenie. Skoro tak, to może mi podrzucą temat mojego odczytu? Nie, to już wymyślę sam. Wszak mówiłem z pamięci. Coś zmyślę. Powiem, że zmieniałem w trakcie.

Tym razem Halit się odezwał z pytaniem, jak szanowny gość znajduje Sztambuł. Otrzymaliśmy masę uprzejmych odpowiedzi. Oddane mu do użytku auto było niezwykle wygodne. Pokój kąpielowy w hotelu uroczy. Przewodnik pozostający do jego stałej dyspozycji, niestety nie znał holenderskiego, ale za to świetnie mówił po niemiecku. Zwiedził niemal wszystko: i Kryty Bazar i Bedesten, i Bakırcılar... Niewiele czasu poświęcił bazarowi i czym prędzej przeszedł do Ahmeda Zamaniego. Przeczytał moją książkę od deski do deski i teraz postanowił zasypać mnie gradem pytań. Bardzo się różnił od moich rodaków. Kontemplował każde słowo. Krytyka Cemala przy tym, co robił Van Humbert, to było naprawdę nic. Wyciągnął z kieszeni dużą kartkę papieru. Była to lista pytań do mnie. Nie przeszkadzały mu ani okoliczności, ani późna godzina. Dlaczego Halit mnie nie uprzedził? Dlaczego aranżuje podobne sytuacje, a potem zostawia mnie w pół drogi?

Dwa pierwsze pytania poszły łatwo. Przy kolejnych musiałem się bardzo nagimnastykować. Miałem nadzieję, że za dziesięć minut będę już kompletnie pijany, ale jak znieść te dziesięć minut?

Z pomocą nadszedł Halit. Podał gościowi napełniony szampanem kieliszek.

– Żołądek już doszedł do siebie, jak sądzę?

Van Humbert spojrział na listę pytań w jednej ręce i kieliszek w drugiej. Widać było, że przeżywa wewnętrzną walkę. Ma zostać bohaterem czy człowiekiem? Zwycięstwo odniosła doczesność. Pakize uraczyła go jednym ze swych najbardziej urokliwych uśmiechów i zapytała wprost, czy lubi tańczyć. W połowie drugiego sama zaprosiła go do tańca. Uszczęśliwiony obcokrajowiec dał się porwać. Halit chwycił moją ciotkę w talii i powirował z nią na parkiet. Zdążyła mi rzucić naręczę jakichś swoich okryć i akcesoriów i podążyła za partnerem. Halit, ratując mnie, jednocześnie skutecznie uniemożliwił mi powiedzenie mu, jak bardzo jestem na niego wściekły.

Dokończyłem zawartość kieliszka na raz. Z szalami, etolami i wachlarzem ciotki przeszedłem do pokoju, gdzie starsza siostra Pakize śpiewała pełnym głosem. Boże, ależ ona jest pewna siebie. Jaka zadowolona. Z każdym kolejnym jej wrzaskiem publiczność się raduje. Gdy mnie ujrzała, zawyła jeszcze głośniejsze, a powszechna radość wzmożła się co najmniej dwukrotnie. W jasnogrnatowej sukni nadal była tłusta i brzydka, ale wyglądała dość sympatycznie, jak miłe słoniątko na cieniutkich szpileczkach. Miała poważne problemy z chodzeniem z powodu niezwykle wysokich obcasów i sztywnego gorsetu. Strzelając palcami, dokończyła pieśń i nie czekając na umilknięcie aplauzu, zaczęła śpiewać kawałek, którego bezskutecznie próbowałem ją nauczyć od dwóch lat. Melodia została potraktowana jak kupon szlachetnego indyjskiego materiału w rękach niedoświadczzonego krawca. Na naszych oczach piękna materia została podarta i zdeptana. Widownia oklaskała pieśniarkę z takim samym zapalem jak poprzednio. Korzystając z okazji, przekazałem rzeczy ciotki na ręce Ekrema i sam przyłączyłem się do aplauzu. Po chwili artystka zbeczęściła kolejny utwór, tym razem jedną z piękniejszych kompozycji Dede Efendiego. Nawet gdyby przemaszerowała po nim cała armia, nie mógłby być bardziej zdeptany. Oklaski były równie gorące jak poprzednio. Następny utwór miał być melancholijny, a do złudzenia przypominał wycie stada zgłodniałych wilków. Po nim znana piosenka, której często słuchałem samotnie, będąc w wojsku: „Czarcie Góry”, piękna rzecz. W naszych ustach była jak rozmowa zagubionych żołnierzy z gwiazdami na spokojnym nocnym niebie. Śpiewające ją męskie głosy były jak kamień mocne i jak powietrze czyste. A teraz... wszyscy płakali ze wzruszenia. To mu-

siała być jakaś zbiorowa halucynacja. Podniecona ewidentnym sukcesem zaczęła tańczyć, porywając kolejne pary tak, że w końcu wszyscy wirowali w rytm jej śpiewu. Talent szwagierki został należycie nagrodzony i nie miał sobie równych. Tańczący ludzie otaczali nas ze wszystkich stron, wybijali rytm palcami, przytupywali. Patrzyłem na to wszystko zadziwiony, z otwartymi ustami, jak podczas pierwszej rozmowy Halita z burmistrzem. Van Humbert kompletnie o mnie zapomniał i dał się wciągnąć w tę zbiorową radość, rozpływał się w niej i wtapiał w nią. Młoda dziewczyna nie do końca rozumiała, o co chodzi w zabawie, więc zaprezentowała taniec brzucha, co nikomu nie przeszkadzało w najmniejszym stopniu, ponieważ było wesoło, a o to wszystkim chodziło. Mężczyzna w średnim wieku – jej mąż lub kochanek – nie chcąc zostawić partnerki samej, postanowił dotrzymać jej kroku i rzucił się do przodu.

Wycofałem się powoli z tego tłumu i zacząłem wraz z żoną poszukiwać naszych drogich gości. W salonie jazzowym czekał na mnie zupełnie inny widok. Tutaj także rekordy biła nasza rodzina. Młodsza szwagierka tańczyła swinga z jakimś Amerykaninem. Tańczyła to nawet za dużo powiedziane. Zdjąwszy buty na obcasach i rajstopy, podskakiwała na śliskim parkiecie, z którego usunięto dywany. Do tego jedną ręką unosiła i tak przykrótką suknię, skakała, płaśała, zrywała się do biegu i przystawała w miejscu, kuciała i rzucała się całym ciałem w górę, by znowu przysiąść niemal na podłodze.

Ależ ja byłem zaniedbany społecznie! I do tego wcale nie znałem potencjału rodziny mojej żony. Uwięzione w ich wnętrzu moce musiały zostać uwolnione, inaczej nastąpiłaby eksplozja! Jeśli zaś chodzi o moją żonę, to chyba byłem ślepy. Jej wariactwa i idiotyzmy były jedynie reakcją obronną na trudy życia. Przecież każdy tak ma. Wokół młodszej szwagierki płaśała najlepsza w mieście grupa jazzowa. Perkusista nie nadążał wybijać rytmu. Jej starsza siostra w drugim salonie poderwała do tańców połowę ludu tego miasta. Moja żona zaś okazała się prawdziwą lwicą salonową i mistrzynią konwersacji. Z wielką wprawą podejmowała gości, którego pierwszy raz widziała na oczy i pewnie nigdy więcej nie zobaczy.

Kątem oka zauważyłem ciotkę machającą na mnie. Podeszedłem posłusznie.

– Widziałeś, mój skarbie, swoje szwagierki? Na to, to ja mogę powiedzieć ludzie! A twoja żona... To dopiero!

– Tak, to prawda, cioteczko. Więc dobrze się ożeniłem, według ciebie?

– A idź, ty prostaku! Powiedziałbyś raczej: ale miałem szczęście! Gdyby to zależało od ciebie, to nie wiadomo, z kim tam byś się ożenił...

– No tak. A co myślisz o mojej córce?

– Jeśli Allah pozwoli i nie przejem całego majątku, to z pewnością jej właśnie zostawię resztę. Rozumiesz?

Halit podszedł do nas, rozglądając się.

– Szukam Ramiza, a on sobie śpi jak niemowlę.

– Sam? – wyrwało mi się.

– Nie, oczywiście w towarzystwie bratniej duszy. Wszystko idzie sprawnie... Chodźmy się napić!

Wróciliśmy do bufetu, ale tym razem nikogo tam nie było. Z trudem zgarnęliśmy przechodzącego bokiem kelnera. Otworzył dla nas butelkę. Ciotka zamówiła kanapki z kawiozem akonto przyszłego spadku mojej córki. Żadne pieniądze nie oparłyby się jej wydatkom. „Jeszcze do nas przyjdzie... Ostatnie tchnienie wyda w moich ramionach” – pomyślałem.

– Myśli pan, że ta cała biżuteria jest prawdziwa? – spytałem Halita.

– Nie, z pewnością nie. Ale to, co trzyma w banku, na pewno. Ogromny majątek... Nie martw się, tak łatwo go nie roztrwoni – rzekł uspokajająco, po czym zmienił temat.

– Świetnie pan sobie poradził, doprawdy.

Wtedy mnie trafił szlag.

– Dlaczegoś mnie pan nie uprzedził? Ciągle mam być stawiany wobec faktów dokonanych?

– Mój drogi przyjacielu, mój biedny przyjacielu... Właściwie, to ja jestem biedny. Dokładnie tak jest, to ja się mam prawo nad sobą uzalać. Jakoś nie potrafię panu wytłumaczyć moich dobrych intencji. Mógłby mnie pan choć trochę zrozumieć. Nikt panu nie każe grać. Nikt panu roli nie narzuca. Tu nie ma żadnych faktów dokonanych. Jest tylko człowiek pełen entuzjazmu i wiary w pana. Oczywiście, że pragnę, by wdrażał pan swoim życiem i postępowaniem bliską mi filozofię. Gdybym dał znać wcześniej, ograniczyłbym pańską wolność. I wtedy wyglądałoby to faktycznie na zmuszanie pana do odgrywania jakiejś roli. Tak jak nie wie pan, kogo spotka na ulicy po wyjściu z domu, tak i teraz nie miał pan pojęcia, na kogo trafi. Wszyscyśmy tu przyszli, zobaczyli, co jest, i przeżywali tak samo, na równi. Tu nie ma mowy o stawianiu kogokolwiek przed faktem dokonany.

– Mogłem popełnić jakiś błąd i wszystko poszłoby nie tak.

Na to Halit wybuchnął śmiechem.

– Nic złego by się nie stało. Nie ma czegoś takiego jak błąd, drogi panie. Niech pan to w końcu pojmie. Powiedzmy, że zrobił pan ten tak zwany błąd. Wszystko da się przejść, wyszlibyśmy z tego obronną ręką. Błąd to narzędzie do oceny idiotów. Nie nas. Jesteśmy ponad każde potknięcie czy niedociągnięcie, od momentu gdy zdamy sobie sprawę z jego zaistnienia. Nie, mój drogi panie Hayri. Nie ma żadnego błędu, nie było i nie będzie. Najważniejsze to dobrze się przygotować. I wierzyć w ludzi. Ja znam pana potencjał bardzo dobrze. W pewnym sensie odkryłem pana.

Ciekawe, co miał wówczas na myśli.

Napełnił obydwie kieliszki i jednym haustem wychylił zawartość jednego.

– Zajmowanie się człowiekiem to ciężka i czasochłonna praca. Najważniejsze to przygotować wszystko zawczasu. Resztę człowiek sam aranżuje i przeżyje według własnego uznania. Trzeba mu tylko dać pole do popisu. Ja nie lubię teatru. Jestem człowiekiem, który korzysta z własnych wewnętrznych zasobów.

– Dziś wieczorem nie mówił pan absolutnie nikomu, co się będzie działo?

– Oczywiście niektórym udzieliłem małych wskazówek. Ale pan wtedy spał. Gość się pojawił, pana nie było, więc rzekłem, że jest pan na konferencji. A potem reszta potoczyła się jakoś sama. Jeżeli jest w tym systemie jakaś trudność, to polegająca tylko na wyborze odpowiedniego człowieka. I tu ma pan rację: zawsze bezbłędnie dobieram ekipę.

– Jeden błąd pan popełnił – rzekłem. – Co do mnie się pan bardzo pomylił, bo ja nie wierzę w tę maskaradę. Dobrze pan to wie. I bardzo mi źle...

– Tak, akurat. Na każdym kroku odnosi pan same sukcesy. Tam, gdzie kto inny zachowywałby się jak automat, pan jest żywym, świadomym człowiekiem.

Wówczas nadeszła Pakize, sama.

– A gdzie gość? – spytałem.

– Zehra go przejęła. Uczy go tańczyć. Napiję się czegoś, a potem pójdziemy razem popatrzeć.

Wzięliśmy kieliszki w dłonie i było to niezwykle realne i namacalne, żadna gra. Po prostu piliśmy. Tańczono tradycyjny taniec turecki do muzy-

ki jazzowej. Teraz moja córka zajęła miejsce, gdzie niedawno podrygiwała szwagierka, i próbowała nauczyć obcokrajowca najdziwniejszej odmiany tańca zeybek, jaką w życiu widziałem. Wzrok wszystkich był skupiony tylko na nich. Van Humbert nieporadnie machał ramionami, opadał, przykucał i z wielkim trudem się podnosił.

– W tym momencie nawet ja spasuję – wyszeptał mi prosto do ucha Halit.

Byłem głową najdziwniejszej rodziny na świecie. To właśnie powiedziałem żonie, która rozpuście dotknęła mnie nadgarstkiem.

– Ale podoba się to panu, prawda? – dodał Halit. – Duma ojca rośnie, gdy widzi takie cuda. Spodziewał się pan, że coś takiego kiedykolwiek ujrzy?

– Nigdy w życiu, w najśmielszych oczekiwaniach. A Zehra... – rzekłem, patrząc kątem oka na czerwonego jak burak Van Humberta, wykonującego przedziwne figury swoim masywnym ciałem.

– Ma pan prawo być zadziwiony, to faktycznie niesamowite.

– Ale gdyby choć trochę wiedziały, co robią. Na przykład gdyby moja córka umiała tańczyć zeybek albo szwagierka miała choć trochę poczucia rytmu i nie narażała swoim wyciem kryształowych abażurów na roztrzaskanie.

– A ten znówu swoje... – Halit ziewnął dystyngowanie. – Zawsze to samo. Jest pan, drogi przyjacielu, wiecznie tak niezadowolony, jakby nie chciał być zdrowy. W tym interesie wiedza jest na drugim planie. Trzeba przede wszystkim działać! – Potem zamyślił się i kontynuował, jakby sam do siebie. – Wiedza nas spowalnia. Nie ma ani końca, ani celu. Najważniejsze to działać i tworzyć. Ach, gdyby wiedzieli, gdyby wiedzieli... Przeszliby być twórczy. Wiedza przeszkadza w byciu twórczym. Pana córka stworzyła dzisiejszy wieczór, nie kto inny. A jak? Dzięki swej mocy twórczej, sile i potencjałowi. Tworzyć to żyć. My jesteśmy ludźmi, którzy żyją i wybierają życie właśnie. I niech się pan dąsa, ile panu się żywnie podoba.

– Ja się nie dąsam, tylko mówię, co myślę...

– To niech pan te myśli zachowa dla siebie. I niech pan się rozejrzy, niech pan dostrzeże ten niesamowity widok przed nami.

Trzeba przyznać, że widok był dość niesamowity. Van Humbert stwierdził, że zna już taniec na tyle, że niepotrzebna mu pomoc mojej córki. Kucał i wstawał wedle własnego wyczucia rytmu. Salon klaskał.

– Patrz, przyjacielu, jak sobie fantastycznie radzi! To dopiero wysiłek, to dopiero siła! To czysta radość życia! Jak to się ma do wszystkiego,

co pan wcześniej powiedział? – Halit zbliżył się i wyszeptał mi jeszcze do ucha: – Takim właśnie chciałbym widzieć i pana, drogi kolego.

Rzuciłem w obronie naszego gościa:

– Litości! Chce mnie pan odesłać do szpitala dla obłąkanych?

– Dziwny jest ten pański dom wariatów – roześmiał się Halit. – Każdego tam można odesłać. A mnie pierwszego. Ale niech pan pamięta, że będzie miał pan w tym swój udział!

Źle mnie zrozumiał. Taki miły wieczór miał się zakończyć fiaskiem, a drogi odwrotu nie było.

– Doskonale pan pamięta, w jakich okolicznościach się poznaliśmy.

– Ależ oczywiście, że pamiętam. Nic pan przecież nie ukrywał. Ma pan taki zwyczaj, że niczego pan nie ukrywa. W momencie gdy zdał pan sobie sprawę z tego, że jest dobrze i dostatnio, pana stary świat, z którego się pan uwolnił, zaczyna się w panu odzywać. Poświęcenie, według pana, jest zbyt wielkie.

– Nieprawda. Ja tylko tęsknię za moim starym życiem...

– To niech pan wraca! Niech pan dogoni tęsknotę i wraca do dawnego życia – powiedział, a po chwili dodał zmienionym głosem: – Tylko, że to niemożliwe. Zrobił pan sobie rachunek. Pamiętam, jak kiedyś wieczorem powiedział pan: „Pogodziłem się z ciotką, interesy się układają. W ciągu kilku lat zupełnie wyjdę na prostą. Dlaczego teraz, w tym momencie, wszystko miałoby się skończyć?”. Nie mówił pan tak, nie pomyślał? Potem pan zrezygnował, bo się przestraszył przyszłości.

Umiał ze mnie czytać jak z otwartej książki. Położył mi rękę na ramieniu i poprowadził do salonu. Postronni z pewnością byli przekonani, że prowadzimy sympatyczną rozmowę.

– Powiem panu prawdę o nim samym. Nie ma już odwrotu. Bo nie potrafiłby pan z niczego tutaj zrezygnować. Pomimo wszystkich oporów i wątpliwości ma pan piękną żonę i kochankę, za którą szaleje. Jest pan gotowy do najwyższych poświęceń dla dobra i wygody córki i syna, tego jestem pewien. Przypadło panu do gustu pozostawanie w centrum uwagi i sława, jaka przyszła wraz z pana dokonaniem. Jak ośmiornica sięga pan w najdalsze części świata. Jakże mógłby pan z tego zrezygnować?

– Nie powiedziałem, że chcę do tego wracać. Mówię tylko, że oczekiwałbym trochę więcej umiaru, sensu...

Zaśmiał się w głos.

– Sensu, sensu... – pokiwał głową na boki. – Pan sensu szuka! No aż takim idiotą pan nie jest. Jeśli pan sądzi, że sens i logia to narzędzia, które działają same z siebie, to co innego. Nie, pan, szanowny przyjacielu, szuka czegoś innego.

– Ja szukam prawdy. Choćby odrobinki...

– Prawda jest albo cała, albo jej nie ma. Te trwałe wartości, o których pan wspomina, to wikt i opierunek dla tych, co godzą się na życie. Nie dla kogoś jak pan, kto chce osiągnąć, dostać wszystko tu i teraz. Osobowość ludzka przede wszystkim powinna zyskać samowystarczalność.

Jeden kopniak uwolnił mnie od świata wewnętrznego.

– Aż tyle raczej nikt by nie oczekiwał – rzekłem niepewnie.

– Tu się nie ma co targować, jest albo, albo. Przy tym stole jeden wygrywa, a drugi siedzi, bez końca przegrywając, ale grać będą obaj. Wygrana może być kwestią przypadku. Przegrana jest za to pewna i bolesna. Wchodząc do gry, tracisz. I nie możesz się targować. Już nasi przodkowie zauważyli niepowtarzalność ludzkiej natury, powtarzając: „Jak wiadomym jest powszechnie, natura człowiecza...” i tak dalej.

Halit, skończywszy, nachylił się nad stołem, napełnił obydwie kieliszki. Z odległego kąta przyglądała się nam ustrojona ponad miarę podróbka „Świętego”.

– W tej grze za każdy rachunek i za każde zobowiązanie trzeba płacić. Każdy oczekuje podobnego poświęcenia. Od najlepszego do najgorszego jest tylko jeden krok. Godzi się pan na to czy rezygnuje?

Zastanowiłem się chwilę.

– Nie, nie chcę rezygnować, przecież pan wie. Dlaczego pan tak mówi?

Halit po raz kolejny napełnił kieliszki. Spojrzał ciepło i z sympatią w szkło, na „Świętego”, potem na mnie.

– Nie wiem, może jestem pijany. Może rozliczam się sam ze sobą. Najlepiej przewyciężyć tę kwestię.

– Nie, to nie siebie pan rozlicza! Chce mnie pan złamać jeszcze bardziej. I jeszcze obrzuca kamieniami. Ale dlaczego?

– Powiem panu dlaczego: sam przeszedłem tę drogę. Bardzo pana lubię i jednocześnie jestem pana wrogiem. Bardzo mi pan przypomina mnie samego. Nie, nie przesadzajmy. Nigdy nie byłem taki jak pan. Nie, nie dziwiłem się i nie byłem onieśmielony. Ale ma pan taką jedną cechę charakteru...

Wybuchnął perlistym śmiechem.

– Śmiał się pan kiedy ze szczerego serca, pełną piersią? Nigdy pan nie miał takiego czystego sumienia i spojrzenia na świat jak ja. Bo ja jestem ponad te pana troski i wątpliwości.

Nagle objął mnie przyjaźnie.

– Pan mi dał radość życia! Uświadomił mi pan, jaką niesamowitą wartość posiada. Pana zagubienie, lęk czający się w niepewnym spojrzeniu, pana zrezygnowanie i bierność, gdy przesiadywał pan w kawiarni Şehzadebaşı, nieporadność i uwielbienie, z jakim patrzył pan na moźnych tego świata. Wszystko to pozwoliło mi zrozumieć i jeszcze raz poczuć. Gdybym owego wieczora wcisnął panu w dłoń pięć lir, nie posiadałby się pan ze szczęścia, prawda? Uświadomiwszy to sobie, zrozumiałem, czym jest radość. I że jest pan dla mnie jak lustro...

Aż poczerwieniałem ze złości.

– I trzeba było tak zrobić! Dać mi wówczas piąta! – z trudem uwolniłem się z jego objęć.

– O, i to jest właśnie czysty absurd, te pańskie brednie – rzekł spokojnie.

Uśmieł się i podniósł kieliszek.

– Niech więc tak będzie. Nie mam zamiaru zmieniać pana tak całym. Wówczas jeden z nas byłby bezużyteczny. Trzeba tylko małego retuszu tu i tam... Byleby się pan za bardzo nie mieszał w życie bliźnich.

Zamarłem w bezruchu zdjęty nagłym strachem.

– Pan w nic nie wierzy, prawda? – spytałem.

Opróżnił zawartość kieliszka. Wyciągnął z bocznej kieszeni chusteczkę i wytarł nią spocone czoło.

– Wystarczy. Idą nasi przyjaciele. Niech żyje Instytut Regulacji Zegarów, niech żyje Towarzystwo Miłośników Zegarów!

Van Humbert z ciotką pod ramię dołączył do nas wraz z całą moją rodziną. Naukowiec był w siódmym niebie, był jak zwycięzca w wielkiej bitwie. Gratulował mi córki i żony, zapraszał wszystkich do Holandii. Obiecał nauczyć mnie jazdy na rowerze.

– Wszyscy siedzimy na jednej karuzeli... – rzekłem filozoficznie.

Halit spojrzał na mnie z reprimendą. Było oczywiste, że dzisiejszego wieczoru złamaliśmy sobie nawzajem serca.

Van Humbert został jeszcze miesiąc w Stambule. Przygoda, jaką z nim przeżyliśmy, wymagałaby oddzielnego tomu, toteż pozwolę ją sobie

przemilczeć. Wystarczy zaznaczyć, że wyjeżdżał mną oczarowany. Przez wszystkie kolejne lata życia we wszystkich niemal artykułach wspominał swój pobyt w Stambule. Nie zapomniał ani zeybeka, którego uczyła go tańczyć moja córka, ani prezentów, którymi zasypał go Halit, ani kebabu z jogurtem, którym raczyłem go w restauracjach dzielnicy Çamlıca po naszym powrocie z wycieczki do grobu Ahmeda Zamaniego.

Bardzo byłem zadziwiony, gdy po latach człowiek ten, kiedyś zachwycony mną pod każdym względem, występował publicznie, ostro mnie krytykując. Ale jak to mawiano: człowiek przegrany nie ma przyjaciół. Mądrość ta znana była na długo przed tym, jak pojawiliśmy się na świecie i ja, i Van Humbert. Dlatego nigdy nie żywiłem do niego urazy. Jedyna myśl, na jaką sobie pozwoliłem: lepiej, żeby się to nie wydarzyło. Trzeba także przyznać, że holenderski naukowiec sam miał z naszego powodu wiele nieprzyjemności. Głównie przez publikację na temat naszych tureckich tradycyjnych gier i zabaw, do której to książki materiały czerpał głównie z przekazów ustnych autorstwa mojej starszej szwagierki i żony. Pisał wiele, bardzo krytycznie, ale poruszając temat naszych prywatnych relacji, niezmiennie zachowywał przyjazny, ciepły ton. W jednym z ostatnich swoich dzieł umieścił takie oto zdanie: „Hayri Irdal, jego rodzina i najbliższe otoczenie to ludzie, którzy potrafią każdego człowieka wyzwolić z krępującej go skorupy. Cokolwiek uważam, muszę przyznać, że nigdy nie zapomnę uroczych chwil spędzonych w ich towarzystwie. Jeśli kiedykolwiek pojawią się w Holandii, to tak jak obiecałem, nauczę ich jazdy rowerem, choć wiem, że woleliby raczej karuzelę w lunaparku”.

Część czwarta
Każdy rozdział musi się
kiedyś skończyć

Sprawdziły się przepowiednie Halita. Kilka miesięcy po koktajlu u mojej ciotki agencje prasowe informowały, że w sześciu miastach Ameryki Północnej powstały Towarzystwa Miłośników Zegarów. Wkrótce nawiązały one kontakt ze swoimi odpowiednikami ze Stambułu, prosiły o pomoc i instrukcje. Podobnie działo się na Bliskim i Dalekim Wschodzie oraz w niektórych krajach europejskich. I dalej, w ciągu dwu i pół roku za granicą powstało ponad trzydzieści Towarzystw oraz trzy Instytuty. Ciekawe było to, jak w krajach, które nie zgodziły się na założenie Instytutu, szeroko decyzję tę uzasadniano. Wszyscy mówili, że stopień zinstytucjonalizowania państwa jest wystarczający, toteż nie potrzeba kolejnego podmiotu.

W ten sposób zarówno ci, którzy nam sprzyjali, i ci, którzy byli nam przeciwni, zjednoczyli się w dyskusji nad naszym rozwojem. Po każdym telegramie z kolejnej agencji prasowej Halit Regulator nie omieszkał zorganizować konferencji, by raz jeszcze podkreślić rangę Instytutu. Czasami był jednak zajęty i wtedy ta część jego działalności spadała na mnie. Moja ciotka natomiast całkowicie odcięła się od tego typu poczynąń. Brała udział we wszystkich Międzynarodowych Kongresach Miłośników Zegarów. Kiedy nadchodził czas, jej walizki pojawiały się najpierw w sypialni, by później przewędrować do holu i stanąć tam w pogotowiu. W jej wozach zwykła towarzyszyć jej moja córka lub jej mąż. Jej twarz znali wszyscy stambulscy celnicy. Mieli roczne paszporty, które nieustannie przedłużali. Tuż obok klejnotów rodowych pozostawianych jej przez rodzinę Süpürgeciler Kahyasy pojawiło się siedem czy osiem orderów państwowych. My też nie próżnowaliśmy. Za pieniądze ze zwiększonych opłat karnych postawiliśmy na Hürriyet Tepesi nowy obiekt, zaś przy wsparciu Banku Chronologicznego i międzynarodowego Zegarowego Funduszu Powierniczego powstało osiedle dla naszych pracowników. Nazwaliśmy je Osiedlem Zegarowym.

Jak już wcześniej starałem się to wytłumaczyć, po opracowaniu systemu kar największym moim wkładem w dzieło Instytutu i czymś, co zaprzęta-

ło mnie najbardziej, był sam budynek. Były to jednocześnie dwa elementy naszej działalności, które wywierały największy wpływ na opinię publiczną, ale sam gmach był najistotniejszy. Niebawem miałem się stać honorowym członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Architektów. Zaczęliśmy od zorganizowania konkursu, tak jak to się zazwyczaj robi. Wśród specyfikacji, które sam osobiście pisałem, zawarliśmy sugestię Halita Regulatora: „w oryginalnym stylu i kształcie, który odpowiadać będzie nowoczesnemu charakterowi i nazwie instytucji”. Dokładnie rzecz biorąc, nie widząc żadnej konieczności umieszczenia tego zapisu, przy którym upierał się Halit Regulator, trochę ze złości na niego i trochę dla żartu, zmieniłem końcowe zdanie, dodając jeszcze coś od siebie „w kształcie, który odpowiadać będzie nazwie instytucji od środka i z zewnątrz...”.

Tymczasem ten mój dodatek „od środka i z zewnątrz” spowodował, że praca nad projektem pochłonęła mnie na długie miesiące.

Specyfikacja została opublikowana w prasie i została odebrana jako zupełnie oczywista. Wszyscy czytamy pobieżnie, ale wiele zapamiętujemy i takie słowa, jak „nowoczesny charakter”, „odpowiedniość” czy wreszcie „od środka i z zewnątrz”, przez ich częste używanie uległy uprzedmiotowieniu, jak inne rzeczy powycierane i zniszczone. Dlatego projekty, które do nas dotarły, nie były niczym więcej ponad zwykłe szkice z jakimiś banalnymi nowinkami technicznymi. Nikt nie przypuszczał, że Halit Regulator do końca będzie upierał się przy swoich słowach i nie pozwoli nikomu zinterpretować ich na własny sposób. W końcu odrzucił wszystkie projekty co do jednego – ale oparł się na moim „od środka i z zewnątrz”, czyli na pomysłe, który powstał w mojej głowie tylko w wyniku uporu i nieudanego żartu.

– Jakie elementy tego z zewnątrz przypominają zegar? – Takie było jego pierwsze pytanie do kandydata. A zaraz za nim następne: – W jaki sposób wyrazicie ideę zegarów, czasu i jego regulacji we wnętrzu budynku?

Architekci na te pytania nie potrafili oczywiście dać odpowiedzi i odchodzili z niczym. Nigdy nie napisano tyle przeciwko nam, nawet wtedy, gdy nasze stowarzyszenie miało być rozwiązane. Wszyscy odprawieni z kwitkiem ciskali swe projekty na ziemię i lecieli do gazet. Wtłaczane w kolumny historyjki zaczęły ścigać jedna drugą. My nie staliśmy z założonymi rękami, ale odpowiadaliśmy na te wszystkie kalumnie. Halit Regulator miał zwyczaj oświadczać na konferencjach prasowych, które or-

ganizowaliśmy nieustannie: „Nowoczesny człowiek nie strzepi języka bez powodu. Nie możemy zgodzić się na wieloznaczność. Nasze warunki mają być spełnione słowo w słowo, w najdrobniejszych szczegółach”. W drugim konkursie kandydaci trochę się już do idei czasu zbliżyli. Ale wciąż kurczowo trzymali się koncepcji sześcianu. Większość projektów opierała się więc na bogactwie ornamentów w kształcie zegarów ściennych i stołowych na surowej bryle o wielkiej liczbie pięter. Niektóre szły trochę dalej i zakładały umieszczenie wielkiego cyferblatu czy raczej całego zegara na wysokości drugiego lub trzeciego piętra. Wewnątrz okręgu miały znajdować się okna. To również nie znalazło uznania Halita Regulatora. Raz mówił:

– To można zrobić z każdym budynkiem. Co w tym nowoczesnego? Gdzie tu nowoczesność i gdzie tu czas?

Innym razem:

– Dobrze, ale jeśli będę musiał przenieść ornament zegara do jakiejś renowacji, okna będą sprawiały wrażenie, że to zwykły piętrowy budynek mieszkalny. Gdzie wtedy będzie idea czasu?

Odpowiedzi, jakie padały, nie korespondowały oczywiście z pytaniami. Budynek nigdy nie będzie całkiem zegarem czy czasem. Każdy zegar ma jednak swój dach i ściany. I to upodabnia go do budynku mieszkalnego. Halit Regulator miał zawsze tę samą odpowiedź, a było nią wskazanie zdania widniejącego na samej górze specyfikacji, które trzymał wydrukowane wielkimi literami pod szkłem na swoim biurku, a także umieścił na ścianie naprzeciwko swojego fotela, i które zawierało słowa „od środka i z zewnątrz”.

Jeden z uczestników konkursu poszedł dalej niż inni i zaproponował pozbawienie drugiego i trzeciego piętra światła, co zamierzał osiągnąć poprzez zastąpienie okien ścianą, która lepiej miałaby przypominać tarczę zegara. Dodatkowo budynek ustawił na czterech słupach. Halit Regulator odrzucił jednak koncepcję tak samo jak wszystkie inne.

– No na pewno! Okno to okno. Okno to nie brak okna... Zdejmiemy ozdoby i zostanie szyba z kolorową różą w gotyckim kościele. Nie tego szukamy! My chcemy przenieść ideę czasu do budynku. Te dwie rzeczy muszą się ze sobą połączyć. Tu nie będzie żadnego szycia i klejenia. Chcemy, żeby gmach wyrażał nasze marzenia i plany.

Muszę przyznać, że te akurat słowa Halita Regulatora skutecznie zapłodniły mój umysł. Myślałem sobie, że jeśli idea czasu zostanie przenie-

siona do budynku, to budynek straci swą „budynekowość”. Uśmiechałem się z politowaniem na myśl o moim biednym przyjacielu. Następnego ranka przyszła mi do głowy kolejna myśl: „Tracący swą budynekowość, czyli według swoich standardów, budynek niespełniający się jako przedstawiciel gatunku, może oddać ideę zegara! Podzieliłem się pomysłem z pierwszym architektem, którego spotkałem tego dnia. Niestety, nie byłem dość dobrze przygotowany. W żaden sposób nie mogłem odpowiednio tego wyrazić. Z tej rozmowy w mej głowie pozostała tylko jedna myśl - bryła. „Jeśli masywną, jednolitą bryłę uda mi się upodobnić do zegara, to będzie właśnie to” - pomyślałem sobie. To był wieczór, kiedy gościł u nas ten sam Ahmet, który prowadził niemy protest przeciwko istnieniu Instytutu Regulacji Zegarów i który bywał u nas wyłącznie od święta. Dyskutowaliśmy o tym, co ostatnio obmyślałem. On także popierał pogląd architekta, że każda budowa najpierw jest bryłą. Następnego dnia rozebrałem zegar na najdrobniejsze części i złożyłem z powrotem. Nie, nie ma szans. Nie tędy droga. Może w wewnętrznym uporządkowaniu coś z tego da się wykorzystać. Wówczas pozostawałem jedynie z cyferblatem. Halit Regulator nie chciał tarczy zegara na całej fasadzie. Szukałem więc dalej.

Często z Halitem Regulatorem dyskutowaliśmy, próbowałem uwolnić nas wszystkich i jego samego od tego nabrzmiałego problemu, tłumacząc, że w zasadzie każdy budynek może spełniać narzuconą mu rolę. On jednak pozostawał nieugięty.

– Instytut Regulacji Zegarów do tej pory robił wszystko zgodnie z założeniami – powiedział.

– Prawda jest taka, że ani zegary miejskie, ani te należące do ludzi nie działają prawidłowo. Ludzie przyzwyczaili się jednak, żeby na nie spoglądać i jakoś odmierzać czas, nawet na wsi. Jeśli nie udało nam się tam wprowadzić przywiązania do czasu, to przynajmniej pokazaliśmy ludziom, czym ono jest. Dzisiaj ponad milion wiejskich dzieci nosi na ręku zegarki zabawki, które im rozdaliśmy. Oznacza to, że kiedy dorosną, staną się posiadaczami prawdziwych zegarków, oczywiście dzięki naszemu Bankowi Chronologicznemu i możliwościom, jakie za jego pomocą pokazaliśmy wszystkim młodym ludziom, którzy do nas przyszli. Nawet jeśli nie wyciągną z tego faktu żadnych korzyści, to będą przynajmniej mieli coś, co w trudnej sytuacji finansowej będą mogli zastawić albo sprzedać. Wypuściliśmy serię dla kobiet w kształcie bransoletek. Były nawet wy-

sadzane drogimi kamieniami. W szczególności na rynkach światowych uznanie znalazł nasz pomysł z wyposażeniem w zegarki podwiązek. To też się panu nie podobało. A jednak w tej chwili po ulicach Stambułu chodzą tysiące kobiet z takimi podwiązkami na nogach. Kiedy zerkają na zegarek, wykonują uroczy gest, przyzna pan. Ale udało się pójść jeszcze dalej. Na Międzynarodowym Kongresie Miłośników Zegarów przeszła nawet moja sugestia, by niektóre herby państwowe zamienić na zegary. Akcja propagandowa już się zaczyna. Wiemy z pana wykładu, że sułtan Mahmut II zaczął rozdawać złote zegarki swoim faworytom i tym, których chciał szczególnie uhonorować, co stało się praktyką znaną na całym niemal świecie. Piszą o tym w książkach. W obliczu tych sukcesów nie ma chyba sensu wycofywanie się. Nie udało nam się co prawda od razu stworzyć sieci przedsiębiorstw produkcyjnych, ale dzięki nam poczyniono pewne kroki na drodze ku wprowadzeniu ułatwień w imporcie zegarów. Najlepsze sztuki w kraju pochodzą od nas. Jakim prawem i w jaki sposób tak dobrze prosperująca instytucja miałaby coś sobie zarzucać i z czegoś rezygnować? A ja – dlaczego miałbym wątpić w swój sukces? Dlaczego miałbym przedstawiać się jako osoba przegrana i omylna? Przecież ja się nie mylę! Ja tylko zrobiłem specyfikację. Jak ktoś umie, to niech buduje!

– Wszystko pięknie, mój panie, wszystko pięknie! Ale widzi pan, że nie umięją. Ciężko jest sprostać...

– Ale warunki spełnić trzeba!

Wcale nie miałem zamiaru go słuchać i mówiłem dalej:

– Wychodzi na to, że nie ma w tym żadnej winy szanownego pana! To całe „od środka i z zewnątrz”, które umieściłem w specyfikacji. Zrobiłem to, bo byłem zły. Nie chodzi tu przecież o pańską porażkę.

Czułem, jak krew napływa mi do twarzy. Czekałem jednak spokojnie na odpowiedź z głową zwieszoną na piersi. Halit Regulator uśmiechnął się nieznacznie, a raczej uśmiechał się jego głos.

– Wiem o tym – powiedział. – Wszystko wiem. I dziękuję, że sam mi pan to powiedział. Jest jeszcze coś, za co muszę podziękować. Za chybione pomysły i przyływ złości, dzięki którym używamy teraz nowego terminu w architekturze. To właśnie dzięki niemu staniemy się twórcami budynku prawdziwie oryginalnego. Ja jestem człowiekiem czynu, nie słowa. Dobrze, że pan to napisał i zamieścił. Musimy iść dalej. Nie zapominajmy, że w kwietniu przyszłego roku międzynarodowy kongres będzie u nas. Chcę,

żeby odbył się w nowym budynku. Wszyscy ci, którzy wzięli od nas pomysły, teraz nas przegonili! Przynajmniej oryginalnością budynku okażemy się godni naszego starszeństwa. Nawiasem mówiąc, data urodzin Ahmeda Zamaniego Efendiego została uznana za Międzynarodowy Dzień Czasu Zegara. Wszystkie kongresy miały się odbywać właśnie w tym dniu.

– No pięknie – powiedziałem – ale jak go zbudujemy? Jak wkomponujemy zegar w budynek? W nowy budynek...

Schował głowę w rękach.

– Nie wiem – westchnął. – Tego to ja nie wiem. To robota architektów. Niech oni się martwią. Tak w ogóle to pana robota. Pan postawiłeś ten warunek, to teraz myśl pan. – Zerwał się na równe nogi. Zajrzał mi głęboko w oczy i poważnym głosem powiedział ostatnie słowo: – Ten budynek postawisz ty, panie Hayri, zrozumiano? Od pana wymagam, i to niezwykle kategorycznie. Ma pan u mnie osobisty dług do spłacenia!

Stało się tak, jak powiedział. Tylko ja jeden wiem, jakim kosztem. Uczepiłem się pierwszego pomysłu, jaki przyszedł mi do głowy – zegarka kieszonkowego. Czy nie jest tak, że wszystkie tarapaty, w jakie w naszym życiu wpadamy, są wynikiem naszego przywiązania do pierwszego pomysłu, od którego nie umiemy się uwolnić? Pomimo faktu, że życie spędziłem wśród zegarów najróżniejszych rodzajów, cały czas myślałem o zegarku kieszonkowym i dlatego tajemnicy naszego budynku poszukiwałem właśnie w nim. Chciałem go widzieć na fasadzie naszej siedziby. Na początku jawił mi się budynek okrągły jak sam zegar. Wokół stało dwanaście pawilonów symbolizujących dwanaście godzin. Pośrodku znajdował się przestronny hol. Lecz ślęcząc nad kartką papieru, dostrzegłem niewykonalność tej pracy. Podniosłem zegarek, przyglądałem się, jak dynda na łańcuszku, i myślałem. Oczyma wyobraźni ujrzałem cztery kolumny wyrastające z kwadratowej podstawy, pomiędzy nimi do góry pięły się schody, a na ich szczycie tkwił obszerny, pękaty budynek, który przypominał okrągły zegarek kieszonkowy. Tarczę zegara stanowiły ściana frontowa i tylna, boczne wyposażone były w długie rzędy okien. Po obydwu stronach ścian głównych było po dwanaście wielkich znaków symbolizujących godziny, a pośrodku fasady widniały wielkie drzwi, do których prowadziły schody spomiędzy wsporników.

Z tego pomysłu musiałem się jednak wycofać. Za bardzo się podobał Pakize, a jej gust stał się dla mnie wyznacznikiem. Zachowywałem dystans

wobec wszystkiego, co się jej podobało albo do czego czuła słabość. Równocześnie główny pomysł wyszedł znowu od Pakize. Kiedy opowiedziałem jej o pierwszym projekcie, odpowiedziała z uśmiechem szczęścia na ustach:

– Wiedziałam... wczoraj wieczorem zabiłam barana dla „Świętego”. Jego duch ci pomógł.

Najpierw bardzo się zdziwiłem.

– Jaki „Święty”? – wykrztusiłem. – Skąd ci to przyszło do głowy?

– Oj, no „Świętego”. Nasz błogosławiony zegar. Ten sam, który znajduje się teraz w domu twojej ciotki. To on nam pomógł.

Pierwsza fala wściekłości szybko minęła. Przytuliłem żonę. Nagle dotarło do mnie, że budynek wcale nie musi być okrągłym zegarem, że na świecie były też inne ich rodzaje i że tak jak wiele innych przyzwoitych budynków i nasz może być sześcianem.

– Moja żono ukochana – powiedziałem. – Jesteś współautorką wszystkich moich sukcesów. Jestem twoim dłużnikiem. To dzięki tobie „Święty” zechciał nam dopomóc! Bardzo ci dziękuję.

Łatwo było stworzyć zegar na bazie sześcianu. Poza dwunastoma nacięciami na czterech wspornikach właściwie nie trzeba było nic robić. Hol, który zaprojektowałem na początku, stracił cały swój rozmach i rozmiar. Tarcza zegara ze wskazówkami na godzinie dwunastej miała teraz znajdować się na pierwszym okrągłym budynku. Po każdej jego stronie cztery małe bloki, które prowadziły na tylną ścianę, na wysokość godziny szóstej. Budynek miał być trzypiętrowy. Umieszczenie podwieszanych schodów pomiędzy blokami nie było trudnym zadaniem. Pośrodku aula ze szklanym sufitem. Na każdym bloku widniały takie same jak na zegarach cyfry rzymskie, od jeden do dwanaście, każda wewnątrz wielkiego okręgu. Tylko na miejscu dwunastki, która wypadła na froncie, nie umieściłem żadnego znaku i uczyniłem ten fragment szerszym. Skojarzenie z zegarem miało być oczywiste, dlatego na drzwiach również umieściłem cyferblat. Umieszczenie tarczy zegara na drzwiach na wysokości sześciu metrów było naprawdę męczące. Nie udało mi się dobrze rozplanować cyfr na sześciennej bryle. Musiałem poszukać lepszego rozwiązania. Pojechałem aż do Bursy. Schodziłem wszystkie meczety w Stambule. Obejrzałem setkę bez mała drzwi i frontonów. Inspiracji nie znalazłem. Wszystko było ładne, starannie wykonane, prostokątne i w ogóle wspaniałe, ale nie było tym, czego szukałem. Pewnego dnia mój wzrok spoczął na zasłonie u wej-

ścia do jednego z małych stambulskich meczetów: składała się z dwóch połówek odciągniętych na boki i spiętych u dołu, by ułatwić swobodne wejście. Wyobraziłem sobie, że odsłonięta przestrzeń tworzy obszar pomiędzy wielką i małą wskazówką zegara. Teraz pozostawało tylko pytanie, które cyfry umieścić i jaką ustawić godzinę. Po ustaleniu, że drzwi zastąpię rozsuniętą na dwie strony kotarą, reszta była prosta.

Było lato. Ahmet planował spędzić wakacje jak zawsze w szkole, ale wysłuchał moich uporczywych prośb i zgodził się zostać w mieście i służyć mi pomocą. Widział, że mam poważny problem, a poza tym lubił tego typu pracę. Nie rozumiał moich pomysłów, nad którymi ślęczałem godzinami, więcej nawet, nie widział w nich żadnego sensu, ale też nie chciał zostawić mnie samego. Tymczasem ja przeżywałem pełnię szczęścia pierwszy raz, odkąd odeszła Emine. Wyglądało na to, że mój syn nie tylko mi przebaczył, ale nawet pomagał. Przyglądałem mu się z boku i rozpływałem się ze szczęścia, gdy widziałem, jak roztrząsa każdą z możliwości i interesuje się sprawami zbyt poważnymi jak na swój wiek i robi to jedynie po to, by pokonać trudności. To, co nazywa się pracą, jest prawdziwą cnotą. Bo praca człowieka oczyszcza i czyni go piękniejszym. Dzięki niej można być sobą i umiejętnie komunikować się z otoczeniem. Równocześnie praca potrafi przejąć nad człowiekiem władzę. Nieważne nawet, czy jest sensowna i czy ma jakiegokolwiek znaczenie; człowiek, który bierze odpowiedzialność za pracę, staje się jej częścią, praca mieszka w domu człowieka i nigdy z niego nie wychodzi, człowiek staje się jej zakładnikiem. Tu właśnie leży wielka tajemnica ludzkiego przeznaczenia i całej historii człowieka.

Już podczas pierwszej dyskusji doszliśmy do wniosku, że duża wskazówka nie powinna pozostawać w tej samej pozycji. Było to bardzo łatwe i równocześnie naturalne ustawienie.

Trzymając w rękach zegarki, szukaliśmy najlepszego rozwiązania, kątów i najlepszego układu dużej i małej wskazówki, które tworzyć miały niejako obramowanie opadającej ku ziemi zasłony. Kąt opadania wskazówek powinien sprawić, żeby ludzie się przez chwilę zastanowili, żeby nawet przechodnie, widząc coś tak naturalnego i innego zarazem, musieli przystanąć, zawrócić i raz jeszcze obejrzeć wielkie cyfry z brązu wciśnięte w biały marmur. Przechodzień miał przystanąć i zastanowić się. W końcu doszliśmy do wniosku, że wskazówki pokazywać będą czwartą czterdzieści dwa. Wyszło nam, że wrota miały mieć wysokość sześciu metrów, a dwie

części zasłony były połączone na samej górze, by rozejść się na boki dopiero na wysokości półtora metra poniżej belki stropowej; na dole przytrzymywane przez dwa głązy, różne od siebie na tyle, by sprawiać wrażenie dysproporcji. Tym sposobem prawa strona wolnej przestrzeni byłaby nieco większa od lewej, ale obydwie odrobinę wyższe od człowieka w tym miejscu, w którym blisko było do środka, czyli do linii prostej opadającej od belki stropowej. Na dolnych kamieniach, ograniczających zasłony, opierały się proste pręty małej i dużej wskazówki, zrobione z metalu, może nawet z brązu lub mieszanki metalu i brązu. W miejscu, gdzie obydwie zasłony się spotykały, była podstawa dla dużego wahadła, zrobionego z tego samego materiału co wskazówki; wahadło świetnie oddawało ideę regulacji czasu, wykonując obszerne ruchy w prawo i w lewo, ale skierowane było nie jak wszystkie inne w dół, ale ku górze. W cieniu markizy nad wejściem był zielony porfir, biały marmur i brąz, co wszystko razem tworzyło ciekawą kolorystykę. Tak przynajmniej widział to Ahmet.

Zanim jednak doszliśmy do porozumienia w tej kwestii, była już dwunasta.

– Poznajesz tę cyfrę? – spytałem.

– Jak to? – spytał Ahmet.

– To godzina twoich narodzin...

Nagle się zaczerwienił i uśmiechnął nieśmiało. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Potem zmarszczył brwi i popatrzył na mnie. Zrozumiałem, że chciał coś powiedzieć, ale nie chciał, bym poczuł się urażony tymi słowami. W końcu nie wytrzymał.

– Ojcie. Nie doszukuj się we mnie słabości. My, mówię o nas wszystkich, nie doszliśmy jeszcze do poziomu, by w imię naszych idei i poglądów rezygnować z siebie nawzajem. Ponadto w obecnej sytuacji czuję się o wiele swobodniej.

Skrepowany tym, co usłyszałem, nagle dostrzegłem braki w opracowanym projekcie. Nadal nie wiedziałem, co począć z holem wielkim na 720 metrów kwadratowych. Tej nocy myślałem o tym do rana. W końcu wpadłem na pomysł, by rozdzielić pomieszczenie na pół balustradą. Taką samą jak ta przy meczecie Kahvecibaşı. Tą, którą miałem teraz w ogrodzie. W ten sposób można było ograniczyć zbyt wielką powierzchnię holu. To jednak nie wystarczyło. Potrzebowaliśmy jeszcze czegoś, by zagospodarować przestrzeń. Pomysł przyszedł z kilku zdjęć, które widziałem w pe-

riodykach dla architektów, które Ahmet przyniósł ze szkoły i dostał od znajomych. Zdecydowałem, że w miejscu balustrady staną cztery wielkie kolumny, na kształt typowych dla parowców kominów. Wymagało to całkowitej zmiany koncepcji. Szklany sufit nie wymagał żadnych wsporników. Poradziłem sobie z tym w dość prosty sposób. Skoro chcieliśmy wsporników, trzeba było tylko przypisać im jakąś funkcję – potrzebne było piętro. Doskonale wręcz oddawałoby ono ducha Instytutu Regulacji Zegarów. Otóż instytut został zorganizowany, by dać nam pracę, a piętro w holu powstało po to, by nadać sens istnieniu wsporników. Zdecydowałem, że kolumn będzie nie cztery sztuki, lecz cztery pary i będzie można pomiędzy nimi przechodzić. Wchodząc od prawej, aby przejść do lewej, na początku mijając będziemy kolumny poranka, potem południa, wieczoru, by wyjść między kolumnami nocy. Zwiedzający mógłby też wejść z lewej strony, wówczas wchodziłby między kolumnami nocy, by następnie przejść przez wieczór, południe, wyjść porankiem i przez drzwi z zasłonami.

Myśl została ostatecznie wypolerowana podczas porannej dyskusji z Ahmedem. Przypomniał mi o minaretach z trzema balkonikami. Ogólnie wiadomo, że muezini mogą wchodzić po schodach w takich wieżach na swoje stanowiska, nie widząc siebie nawzajem. Nasze kolumny miały być inne. Przez ażurowe miedziane ścianki i drewniane kratki wszyscy byli widoczni i sami dobrze widzieli, co dzieje się na drugich schodach. Poza tym uznałem, że lepiej będzie ustawić kolumny diagonalnie, żeby nie wyrastały z jednego miejsca jak liście koniczyny, co rozbije monotonię holu. Potrzebne były oczywiście pomosty łączące kolumny, aby schodzący i wchodzący mogli się mijać nad ziemią.

Wszystko było w porządku. Prawie wszystko, bo nie dawał mi spokoju jeszcze salon na piętrze. Ani kolumny, ani zasłony nie rozwiązywały problemu, podnosiły go tylko o poziom wyżej. Przyszła mi tu z pomocą moja przeszłość, a dokładniej czasy mojej bezczynności, kiedy przesadywałem w kawiarniach i przeglądałem gazety: zamiast salonu najlepiej będzie zrobić ogród z przeszklonym sufitem, jak w luksusowych wieżowcach. Zastanawiałem się, czy wystarczy światła z długich okien o grubych szybach, idących po bokach i pomiędzy kolumnami. Mieliśmy już dużo ogrodów, ale te w wieżowcach były na trzydziestym, trzydziestym piątym piętrze. Zaproponowany przeze mnie układ miał zapewnić pracownikom zajmującym dolne piętro bezpośredni dostęp światła słonecznego. Zade-

cydowałem również, że ogród w kształcie zegara będzie albo przed wejściem głównym, albo naprzeciwko pawilonu numer sześć, gdzie będzie stało popiersie Ahmeda Zamaniego. W ten sposób nasz hol jednoczył w sobie stary i nowoczesny styl architektoniczny, był najbardziej spektakularnym elementem całego projektu.

Zdecydowałem, że tylko cztery pawilony będą mieć więcej niż jedno piętro. Główny pawilon wskazywał dwunastą, można było przez niego dostać się do środka dużym wejściem, po bokach miał budynki wskazujące pierwszą i jedenastą i obydwie były dwupiętrowe. Po przeciwnej stronie był pawilon wskazujący szóstą i on w zamysśle miał być trzypiętrowy. Pierwsze piętro nie było w ogóle podzielone na mniejsze pomieszczenia, a oświetlenie zapewniały wielkie dwuskrzydłowe okna. Na górze zaprojektowałem dwa okrągłe salony, ich okręgi zachodziły na siebie i tworzyły część wspólną. Następną kondygnacja podzielona była już na pokoje, jak we wszystkich innych pawilonach. Zamiast puścić schody przez obydwie piętra z parteru, postanowiłem drugie piętro połączyć nimi z numerem piątym, a trzecie z siódmym. Tym sposobem pawilon numer sześć połączony został szklanymi tunelami, jednym dłuższym, drugim krótszym, z budynkami stojącymi po bokach. Parter łączył się z holem.

Kilka nowinek budowlanych było próbą ożywienia pamięci po szlachetnym doktorze Mussaku i oddania tego, co najdroższy przyjaciel, doktor Ramiz, mówił o umyśle i świadomości podczas naszych seansów terapeutycznych. Moje pomysły spotkały się z szerokim uznaniem i zostałem honorowym członkiem Międzynarodowego Stowarzyszenia Architektów. Otrzymałem medale od kilku organizacji i dwa odznaczenia chyba zagraniczne. Pierwsze piętro pawilonu numer sześć stało się miejscem naszych spotkań. Do mniej znaczących zebrań przeznaczone były salony na wyższym piętrze. Pomieszczenia na najwyższym piętrze były najgorzej połączone z innymi, dlatego przypadły pani Sabriye. Nie było innego sposobu na ucieczkę przed jej żądzą posiadania informacji na każdy temat. Pomieszczenia na drugim piętrze połączone były w taki sposób, by przypominały koła zębate w zegarze. Jeden z okrągłych salonów pawilonu czwartego zaprojektowałem z kolei tak, by przypominał sekundnik i kreseczki sekund na tarczy zegara.

W ten oto sposób spełniłem swój własny nonsensowny postulat „od środka i z zewnątrz”, który powstał dzięki szlachetnemu Halitowi Regu-

latorowi, a w specyfikacji umieszczony został wyłącznie po to, by postawić go w dziwnej sytuacji.

Jedyną korzyścią, jaką osiągnąłem z tej pracy, była możliwość przebywania w towarzystwie własnego syna. Stęskniłem się za nim bardzo. Przykro mi było na myśl, że praca się skończy. Takie było nasze przeznaczenie. Mój syn kochał mnie, ale nie mógł się pogodzić z moim życiem i pracą. Ostatni wieczór spędziliśmy pochyleni nad makietką doktora Mus-saka, złożoną z setek pudełek od zapalek. Dokonaliśmy ostatnich zmian i poprawek. Ahmet miał bardzo dużo uwag do sposobu zaprojektowania schodów, klatek, kolumn i całego budynku, naśmiewał się ze mnie. A ja przyglądałem się z uwagą jego twarzy dojrzewającego mężczyzny z lekko sypiącym się wąsem, o czarnych jak oliwki oczach i wąskich ustach. Myślałem o tym małym człowieczku, który był częścią mnie, pochodził ze mnie, który zdusił własne uczucia i pragnienia, nigdy się nie otworzył przede mną, a okazał mi teraz tyle przyjaźni i oddania. Nie miałem mu za złe, że nie jest do mnie podobny i neguje wszystko, co robię. Nie było we mnie krzty złości. Dobrze wiedziałem, że jedynym ratunkiem dla niego jest właśnie ten brak podobieństwa do mnie, i pogodziłem się z tym faktem. Nawet byłem zadowolony. Zastanawiałem się jedynie, skąd czerpał siłę wewnętrzną, by się wyzwolić, usamodzielnic psychicznie. Jakie myśli przewinęły się przez umysł ostatniego z rodu Takribi Ahmeda Efendiego. Zadziwiające było to, że po drodze żadna z owych myśli w najmniejszym stopniu nie była nacechowana złością czy zawiścią. A przecież można by się spodziewać złych emocji burzy uniesień. Mój biedny syn musiał w skrytości ducha mężnie znosić wszystko, co niesie ze sobą moja działalność, sława, pieniądze i ich wpływ na życie całej rodziny. Musiał walczyć z własnymi namiętnościami i pokonał samego siebie.

Nagle przed oczami stanął mi obraz z czasów zaraz po śmierci Emine. Siedział wtedy pod drzwiami wtulony w ramiona siostry, obydwójce wyczekiwali powrotu rodzica zapłakani. Poczułem, jak łzy napływają mi do oczu. Gdybym miał odrobinę siły i honoru, odezwałbym się, wyrzucił wszystko z siebie i błagał o przebaczenie. Ale Ahmet był poważny, skupiony na pracy, daleki od sporów, był dopiero w ostatniej klasie liceum i nie mam szans, by podjąć ten temat.

– Jak ci się układa z siostrą? – spytałem.

W jego oczach pojawił się błysk.

– Bardzo kocham Zehrę – rzekł mocnym głosem i położył rękę na piersi.

– Ten sweter sama dla mnie zrobiła.

Ponownie zapadła cisza. Pomyślałem, że oto syn stoi tuż koło mnie, a myślami, jak zwykle, jest bardzo daleko. Gdy skończy się wspólna praca, znowu otworzy się między nami przepaść. Nadal będę dla niego człowiekiem, którego odwiedza się w chorobie i czasami przyjmuje zapowiadane wizyty.

To była okrutna myśl. Z każdej strony ślepa uliczka. Wszechogarniająca bezsilność. By pozostać sobą, mój syn musi o mnie zapomnieć. Ja mogę być sobą tylko dzięki niemu i przy nim. Możliwe, że chłopak nigdy tego nie zrozumie. Wie, że moje przeznaczenie się już wypełniło, i ma rację. A ja trzęsę się na myśl o tym, co go jeszcze czeka w przyszłości.

A przepaść pozostanie zawsze. Czasami wyciągniemy do siebie dłonie, ale potem rozejdziemy się, każdy do swojego świata: ja złamany, on pełen nadziei. Może to tylko myśli wieczorne. Z rana zabiorę swoje pudełko od zapalek, zaniosę je do biura i będę zupełnie innym człowiekiem. Być może już następnego dnia wybuchnie wokół mnie burza oklasków. Halit Regulator będzie musiał mnie hojnie wynagrodzić za to, co zrobiłem dla jego przyjemności. To wszystko? Nie. Jutro jest wieczór z Selmą. U jej boku zapominam o wszystkim. Może nawet prześpię się z młodą dziewczyną, którą Sabriye specjalnie po to umieściła u nas w biurze. Tylko po to, by zrobić Selmie i Pakize na złość. To też będzie poszukiwanie zapomnienia, tyle że nieco innego rodzaju i od czego innego. Wczoraj wieczorem miałem dość znaczącą rozmowę z panią Seher. W lot zrozumiałem, że tej kobiety nie wolno mi więcej zaniedbywać. Po szyję we własnym bagnie będę bez końca szukał zapomnienia. I nic mi nie da tyle spokoju i szczęścia, co ta godzina, te trzy miesiące wakacji spędzone w towarzystwie Ahmeda.

Wszystko, co mi się teraz przytrafiało, było bezpośrednią konsekwencją jednego, jedyne go zdarzenia z przeszłości. Gdyby nie śmierć Emine, wszystko byłoby inaczej. Mój syn jakby rozumiał, o czym właśnie myślałem, bo wstał powolutku.

– Nie bój się. Teraz będę cię częściej odwiedzał. Jestem już wystarczająco silny – rzekł i pierwszy raz w życiu szczerze mnie ucałował. Przywykł akceptować mnie takim, jakim byłem. Długo patrzyłem za nim, gdy odchodził. Pomyślałem o dziewczynie, którą kocha, a może dopiero jutro

się zakocha. Myślałem o jego przeznaczeniu. Każde dziecko w końcu się oddała od rodziców. Mój syn oddalił się ode mnie dwa razy.

Tamtego wieczoru wierciłem się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Myślałem o naszym starym mieszkaniu, o oknie, na którym w obtłuczonej doniczce rosła pelargonia. Przepęłniała mnie nieopisana radość, że rano przy śniadaniu znowu spotkam syna.

2

Mój projekt – a właściwie zgrabne, lecz dość amatorskie szkice mojego syna – oraz makietkę z pudełek po zapalniczkach Halit Regulator przyjął bardzo ciepło i z entuzjazmem. Jego radość wzrastała z każdym kolejnym wyjaśnieniem. Gdy skończyłem, wstał, poważnie popatrzył mi w oczy, uścisnął dłoń i pogratulował.

– Niech pan jeszcze zaczeka – przerwałem. – Jeszcze niegotowe. Jeszcze sporo trzeba poprawić. Dziesięć, dwanaście salonów, około czterdziestu pojedynczych pokoi, gdzie to wciśniemy?

Nawet nie słuchał.

– Niech pan nie próbuje pomniejszać wartości swego dzieła! Wykonał pan niesamowitą robotę! Najważniejsze pan załatwił. Ten hol pośrodku męczył mnie od dwóch miesięcy. Pańskie rozwiązanie jest najlepsze!

– Ale ja jeszcze nawet o tym nie wspomniałem...

– Niechże pan w końcu zrozumie, że nie trzeba, byśmy tłumaczyli sobie wszystko. Musi się pan przyzwyczaić, że rozumiemy się bez słów. Obaj jesteśmy chorzy na punkcie zegarów – odpowiedział. – Problem polega na tym, że zamiast myśleć o zegarach jako takich, mamy w głowie obraz „Świętego”. Pan mnie w tym przegonił. Jeśli chodzi o salony i pokoje, to niech się pan tymi szczegółami nie zamartwia. Tak jak wielu mamy krewnych, wiele mamy także osób poleconych z innych źródeł. Chcę powiedzieć, że tak samo, jak poszczególne jednostki same przypisują sobie funkcje, bazując na własnej intuicji, tak samo pokoje robocze same niejako odnajdą się w naszej rzeczywistości. Gabinet pani Sabriye umieścił pan bezbłędnie. To będzie cudowne, widzieć naszą drogą przyjaciółkę zajmującą miejsce na samym szczycie budowli, jakby orzeł w gnieździe, ponad wszystkimi. Teraz przede wszystkim musimy przekazać opinii publicznej pańskie dokonanie.

Zaczął przestawiać pudełka, zmieniać ustawienia. Było mi wszystko jedno, więc nie protestowałem. Zwłaszcza że wiele osób zobaczy zdjęcia upamiętniające stan wyjściowy. Nie muszę chyba dodawać, że zarówno projekt, jak i makietka były równie gorąco oklaskiwane, jak krytkowane. Mnie zaś okrzyknięto amatorem, oszustem i szarlatanem. Na szczęście zdążyłem przywyknąć do tego. Halitowi bardzo przypadło do gustu rozwiązanie polegające na umieszczeniu oddzielnych schodów do każdego piętra w pawilonie numer sześć. Któryś z moich przyjaciół napisał w gazecie, że to „(...) konstrukcja tak nowoczesna, aż trudno zrozumieć, o co chodzi. Niech żyje novum! (...)”. Kto inny pisał, że mieliśmy możliwość opracowania takiego nowatorskiego projektu dzięki temu, że oderwaliśmy się od klasyki architektonicznej i utartych kanonów budownictwa. Był i taki, który stwierdził, że dziwaczne schody, oddzielne dla każdego piętra, tworzące dwa małe mosty – kompletnie nieprzemyślane, ponieważ wygląda na to, że przestrzenie pomiędzy poszczególnymi pawilonami są zostawione jakby wyłącznie po to, by te mostki pobudować – są wyrazem dziejowej syntaksy, jakiej doświadcza obecnie język turecki, a jak widać na przykładzie projektu, także sztuka planowania przestrzennego. Ciekawe, co zrobią przeciwnicy zdań przestawnych wobec dokonania Hayriego Irdala? Był jeszcze inny krytyk, który osiągnął szczyt błyskotliwości: oto stworzony przeze mnie budynek stał się nie tylko uosobieniem szyku przestawnego w zdaniu, lecz stanowi przykład architektury abstrakcyjnej. Rynek oszalał na punkcie nowoczesnego materiału do produkcji makiet i mającego szerokie zastosowanie w procesie projektowania: zauważalnie wzrósł popyt na pudełka zapalek. Stały się one narzędziem wręcz nieodzownym, każdy chciał się nim posługiwać. Dyskusja publiczna nabierała tempa i kolorów. Kolejne zaciekle polemiki wywołała informacja, że zamierzam pomalować każdy pawilon na inny kolor.

Prawdziwi architekci jakoś nie chcieli się dać przekonać do proponowanych przeze mnie metod. Mieliśmy poważny problem ze znalezieniem fachowców, którzy sporządziliby odpowiednie obliczenia i konstrukcję z żelbetu.

Wspominałem już wcześniej, jak wiele zawdzięczałem doktorowi Mussakowi. Po raz kolejny zaznaczę, jak bardzo było mi żal, że nie było go już wśród nas. Myślę, że byłby ze mnie dumny. Przede wszystkim dlatego, że udało mi się zemścić na całym świecie za to, że onegdaj tak

surowo ukarał go za jedno niedopatrzenie. Oklaski, jakimi mnie nagradzano, były pokutą, którą odprowadzali bliźni za krzywdy, jakich doświadczył za ich sprawą doktor Mussak. Byłbym skłonny podzielić się z nim honorarium, jakie przypadało z tytułu stworzenia niepowtarzalnego budynku, a które otrzymałem z Banku Chronologicznego i budżetu samego Instytutu.

Ciekawe, że gdy miała się rozpocząć budowa osiedli zegarowych, żaden z poprzednio gorąco mnie oklaskujących przyjaciół nie chciał podjąć się wykonania tego zadania. Przychodzili na teren budowy i podziwiali, przychodzili do biura i przepychali się w drzwiach do mojego gabinetu, by osobiście wyrazić swój zachwyt. Jednak gdy przyszło do budowy domów, wszyscy byli przeciwni. Najbardziej sprawiedliwi i wyrozumiali mówili:

– To wyjątkowe domy. To jednak domy mieszkalne, po nas odziedziczą je nasze dzieci i wnuki. Tu nie ma co się silić na oryginalność. Wystarczy, by były wytrzymałe, tanie i bezpieczne!

Niektórzy posuwali się dalej i krzyczeli:

– Nie będziemy robić żadnych doświadczeń za nasze z trudem zarobione pieniądze. My chcemy mieć domy, a nie nowatorskie dzieła.

Nawet doktor Ramiz, którego tyle lat znałem i który jak sądziłem, rozumiał mnie bardzo dobrze, był tego samego zdania.

– O nie, mój kochany, tak to nie będzie! Spójrz tylko, schody masz odwrotnie, no jakże to tak! – pokrzykiwał oburzony.

Z całych sił próbowałem mu wytłumaczyć, że przecież to są pomysły zaczerpnięte od niego samego: środkowe piętra pozbawione dostępu, zewnętrzne schody i inne metafory wcielane przeze mnie kolejno w życie. Za każdym razem powtarzał:

– Nie mieszaj, kolego, nie mieszaj. Czym innym jest dom, czym innym świadomość, a czym innym nauka!

Jedynie pan Asaf nie wtrącał się do ogólnych dysput. Słuchał sobie uważnie z packą na muchy w dłoni – był koniec lata i nasz przyjaciel się z nią nie rozstawał. Wysłuchawszy uważnie wszystkich stron, rzekł do mnie:

– Przyjacielu, daj sobie spokój. Mam dom po ojcu, to ci go dam, żebyś sobie wyremontował wedle własnego gustu. Może tam się trochę spełnisz.

Moja żona podzielała zdanie wszystkich wymienionych. Ze trzydziści pięć razy była sfotografowana obok makiety, ale gdy usłyszała, że to ja

mam projektować dom, w którym naprawdę zamieszkamy, dostała szalu ze złości. Pierwszy raz widziałem, by moja żona, córka i zięć byli tego samego zdania.

– Niech nas Allah broni! W tych domach w ogóle da się mieszkać?
– krzyczała Pakize.

Zehra zaprzęła do boju cały swój czar i urok, by odwieść zakochanego w niej ojca od szalonego pomysłu.

Prawdę mówiąc, wcale bym się nie upierał, by samemu projektować Osiedle Zegarowe. Zawsze najbardziej interesowały mnie zawłości ludzkiej duszy. Wszyscy są tacy jak ja czy może trochę inni? Robiłem wszystko, by tę zagadkę rozwikłać. Ludzie lekką ręką trwoniący publiczne pieniądze, chwalcący pod niebiosa moje dzieła, gdy mieli położyć na szali własne korzyści i środki, stanowczo zaprotestowali. Nie słuchali już nawet Halita Regulatora.

– Aż tak to nie można bawić się ludźmi, mój drogi – powtarzali w kółko. Nagle wszyscy wokół stali się sobą i każdy z osobna w tej przemianie był identyczny. Halita niezwykle martwił ten stan rzeczy i odbierał mu radość życia. Coraz częściej przychodził do mnie się wyżalać.

– Jak to możliwe, żeby ludzie pracujący w najbardziej nowoczesnym na świecie przedsiębiorstwie nie mogli zrozumieć podstawowych rzeczy. Ludzie, którzy na co dzień obcują z nowością, innowacją i nowoczesnością. A skoro tak, to czego szukają w Instytucie? Po co oklaskiwali nową siedzibę? Dlaczego nam tak gorąco gratulowali? To znaczy tylko jedno, a mianowicie, że kłamali...

Próbowałem się wczuć w jego stan ducha i nieco go uspokoić.

– Myślę, że wcale nie kłamali – mówiłem. – W obydwu sprawach byli szczerzy. Podoba im się nowoczesność, póki nie dotyczy ich bezpośrednio. Pod tym warunkiem nadal ją kochają i będą oklaskiwać. Ale w życiu prywatnym bardziej cenią pewność i bezpieczeństwo.

– Coś podobnego! To niedorzeczność! Jakże człowiek może postrzeżać jedną rzecz w dwojaki sposób? Dwie logiki nie zmieszczą się w jednym umyśle! – Halit Regulator był naprawdę załamany.

– Ależ oczywiście, że tak. Jeśli zmienia się kierunek korzyści i zysków, zmienia się też i logika.

– Nie pojmuję tego. Cała moja idea legła w gruzach. To całe przedsięwzięcie już nie należy do mnie...

Po skroniach spływały mu krople potu. Nigdy wcześniej nie widziałem go w takim stanie. Wygłaszał przemówienia przed znacznie liczniejszym i bardziej wymagającym audytorium. A teraz miał problem z garstką ludzi, których przecież sam wykształcił i ukierunkował. Rozglądał się wokół nieprzytomnym wzrokiem, jakby cały czas pogrążony we śnie.

– Oglądał pan kiedyś walkę bokserską? Najpierw nie możemy znieść widoku. Potem nie wiadomo kiedy zaczynamy się ekscytować i kibicować jednej ze stron. Chwilę potem wrzeszczymy, złościmy się, zatracamy. Krzyczymy: dawaj, dawaj, mocniej! A gdy jest inaczej, jest nam bardzo przykro. Ale kto z nas chciałby się znaleźć na miejscu któregoś z walczących? Nikt, prawda? I teraz mamy podobną sytuację. Oglądali naszą walkę z bezpiecznej odległości. Klaskali. I byli w tym szczerzy. Ale pan teraz zaprasza ich na ring, więc momentalnie zmieniają zapatrywania. W grę wchodzi interes jednostki i poczucie bezpieczeństwa.

– Czyli ci ludzie mi nie ufają i we mnie nie wierzą! Niepotrzebnie ich zebraliśmy, zaangażowaliśmy, niepotrzebnie poświęciliśmy im tyle czasu i energii.

– Nie, oni w pana wierzą! Pod warunkiem, że nie przekroczy pan granicy ich osobistego interesu. Nie rozumiem tylko, dlaczego miałoby nam zależeć, by w to wszystko wierzyli.

– A praca? Praca!

W ten oto sposób z pozoru niewiele znacząca kwestia budowy osiedla mieszkaniowego całkowicie rozbiła Halita Regulatora. Czwarta sesja była ciosem ostatecznym. Halit posunął się nawet do gróźb. Był niepomiernie wzburzony. Strona przeciwna, naturalnie w większej masie, czuła się bardzo silna. Nie słuchała, nie przyjmowała argumentów. Osiedle Zegarowe miało wyglądać normalnie i taka była wola większości.

Mój szef opuścił salę zebrań przed końcem posiedzenia. Pierwszy raz stałem sam, jako jedyny przedstawiciel instytucji, i miałem reprezentować jej oficjalne stanowisko. Poddałem się woli większości i opuściłem posiedzenie.

Po zamknięciu spotkania poszedłem do gabinetu Halita i zastałem go tam zupełnie odmienionego, jakiego nigdy wcześniej nie widziałem. Siedział w fotelu, gdzie dawno temu posadził moją ciotkę, nogi oparł o blat biurka i myślał.

– Zostałem oszukany – rzekł na mój widok. – Kiedy? Kiedy mnie oszukano, w którym momencie? Niech tylko się dowiem... tyle mi wystarczy.

– Nie wiem – odrzekłem szczerze. – Niech pan już o tym nie myśli. To w sumie mają być ich domy. Niech zrobią, jak chcą. Niech im się dobrze mieszka i do widzenia...

Spojrzał mi w twarz z uporem.

– Dlaczego nadal mnie pan nie rozumie – rzekł z wyrzutem. – Ja zostałem oszukany!

– Może to przez mój architektoniczny geniusz – zaśmiałem się, by rozładować atmosferę. – Sam pan musi przyznać, że się na tym nie znam, bo niby skąd miałbym czerpać wiedzę?

– I co z tego? – wzruszył ramionami.

– Może trochę za daleko się posunęliśmy w manipulacji otoczeniem. Nie widzi pan tego?

Ponownie spojrzał na mnie.

– Nie – rzekł poważnie. – Nikt się nie bawił w manipulację. Oszukali nas. Za bardzo im ufaliśmy.

Zerwał się z fotela i zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie.

– To już nie jest mój instytut. Sprowadzili mnie do roli jednego z nich – rzucił na koniec i wyszedł, nie zabierając nawet kapelusza.

To było pierwsze poważne załamanie. Halit rozdmuchał niewiele znaczące zajście do rozmiarów tragedii. Ale poprzestał na tym. Podczas pierwszego Międzynarodowego Kongresu Instytutów Regulacji Zegarów ujrzeliśmy starego, silnego Halita Regulatora. Wyniosły, ale uprzejmy, ujmujący, ale władczy, oczarował wszystkich uczestników. Podczas ceremonii zamknięcia Kongresu przemawiał całe dwie godziny. Gdy skończył, szaleńczo go oklaskiwano.

Tylko w bliskich, prywatnych kontaktach dało się wyczuć, że nie jest to już ten sam Halit. Bez wątpienia jego nastrój miał znaczący wpływ na funkcjonowanie Instytutu. Gdyby nie zabrakło jego dawnego entuzjazmu, sprawy potoczyłyby się inaczej.

Gdyby w dniu oficjalnego zamknięcia Instytutu był w biurze, także byłoby inaczej. Ale go nie było. Od miesięcy nie przychodził. Gdy w progu Instytutu pojawiała się zagraniczna delegacja, tylko ja reprezentowałem zarząd. Mimo sporego doświadczenia i uroku osobistego nie udało mi się przekonać jej przedstawicieli do siebie i do Instytutu w szczególności. Nawet mniej wątpiełem w podstawy jego istnienia, prawie zupełnie uwierzyłem w solidność podstaw, na których Halit stworzył swoje dzieło.

Dzięki zabiegom i zaraźliwemu entuzjazmowi Regulatora byłem w końcu przekonany, że robimy coś istotnego, jesteśmy jaskółką innowacji i urzeczywistnieniem postępu. Opinia publiczna w nas wierzyła – nawet w budynku Instytutu, oklaskiwała nas i podziwiała, toteż nie żywiłem już dawnych wątpliwości. Na początek oprowadziłem całą delegację po Instytucie. Objaśniałem, czym dokładnie zajmuje się każdy dział. Niestety, goście w niczym nie przypominali swoich poprzedników. Nie zachwyciły ich ani rozwiązania architektoniczne przywodzące na myśl zegary, ani sala stenotypistek, gdzie pod dyktando dyrygenta siedemdziesiąt dziewcząt równo wybijało kolejne literki, ani nawet ultranowoczesne schody. Przeszliśmy przez wszystkie biura beznamiętnie. Gdy wróciliśmy do mojego gabinetu, przewodniczący delegacji, zamiast przyjąć proponowany mu napitek, podszedł do biurka i bezceremonialnie podniósł słuchawkę, wykręcił 0135 i zapytał zegarynkę, która godzina. Otrzymaawszy odpowiedź, spojrzął na zegar wiszący na ścianie, potem na mnie.

– Skoro mamy takie proste rozwiązanie jak zegarynka, to po co ten cały Instytut?

Było to pytanie, które od samego początku niemal bezustannie zadawałem Halitowi. Za każdym razem udzielał obszernych odpowiedzi, tłumaczył, perorował i choć nie do końca mnie przekonywał, udawało mu się mnie uciszyć. Niestety, ja nie byłem Halitem. Nie miałem jego elokwencji i charyzmy, nie miałem także na tyle siły, by spróbować przekonać do swoich racji pewnego siebie człowieka, który zadał mi właśnie kluczowe pytanie. Próbowałem coś mówić, lecz nawet nie słuchał. Za każdym razem, gdy niepewnie kończyłem zdanie, pytał:

– Po co ten cały Instytut?

Przywołując wszystkie mądrości, jakie zasłyszałem od Halita, tłumaczyłem przewodniczącemu, że przecież podobne instytuty są na całym świecie, że oto mamy świetnie dobraną kadrę, według jasno ustalonego klucza... Wysłuchał, po czym rzekł: „Żegnam” i wraz z całą delegacją opuścił biuro.

Doskonale wiedziałem, jaki skutek przyniesie ta niezapowiedziana wizyta. Zadzwoiłem do szefa, ale nie zastałem go w domu. Zacząłem szukać, wypytywać, nie znalazłem. Trzy dni później otrzymaliśmy wiadomość, że stosowne władze zarządziły zamknięcie Instytutu. Nie byłem zaskoczony. Od dawna zastanawiałem się, kiedy nastąpi ten nieuchron-

ny moment. Amerykańska wizytacja sprawiła, że nawet trochę ochłonałem. Instytut już odegrał swą rolę. Szkoda tylko, że tak głęboko wniknął w moje życie. Byłem związany z gabinetem własnego projektu, z pokojem wypoczynkowym, obrazami na ścianie. Przepadałem wprost za ogródkiem, który w wolnych chwilach własnoręcznie uprawiałem. Nie będę widział, jak rosną drzewa, które sadziłem...

Zadzwoiłem jeszcze raz do Halita. Domownicy mieli nadzieję, że przyjdzie za pół godziny. Siedziałem przy biurku i dumałem. Może faktycznie pewnego dnia Instytut zacząłby funkcjonować z sensem. Halit mawiał, że Instytut sam sobie kiedyś stworzy własne funkcje i zacznie żyć własnym życiem. Żałowałem, że nigdy tego momentu na własne oczy nie ujrzę. Poza tym były jeszcze blisko trzy setki pracowników, którzy niebawem stracą pracę. Martwiłem się ich losem, przyszłością, gdzie znajdą pracę. Absurdalna czy nie, była to jednak stała praca i pensja. Ja będę siedział i pisał wspomnienia, a oni?

Pół godziny później udało mi się dodzwonić do Halita. Streściłem przebieg wizytacji i ostatnie zarządzenie władz.

– I co, bardzo pan załamany? – zaczął sobie ze mnie żartować.

– A panu nie jest przykro? A pan nie jest smutny?

– Nie. Mówiłem przecież, że nie czuję się już związany z Instytutem. Oszukali mnie i zdradzili.

– Gdyby pan tu był, może udałoby się zapobiec zamknięciu...

– Ale mnie nie było – wszedł mi w słowo. – Czy moja nieobecność nie świadczy o tym, że stare więzi zostały bezpowrotnie zerwane?

– Dobrze, ale tu nie tylko o nas chodzi! Mamy tu wielu przyjaciół zależnych od istnienia Instytutu, jesteśmy za nich odpowiedzialni... Prawie trzysta osób...

Przez chwilę się zastanawiał.

– Tak, to prawda, są jeszcze ludzie...

– Możemy się spotkać wieczorem?

– Nie sądzę – rzekł krótko i odłożył słuchawkę.

Odpowiedź w najmniejszym stopniu mnie nie zadowoliła. Stara złość zawrzała we mnie. Miałem nadzieję, że wpadnie do mnie wieczorem. Ale go nie było. Postanowiłem następnego dnia bez zaproszenia odwiedzić go w domu. Powiedzieli, że rano wyjechał. Cały tydzień zajęty byłem porządkowaniem biura.

Pod koniec tygodnia odbyło się jeszcze ustalone wcześniej spotkanie. W obliczu ostatnich wydarzeń chciałem zrezygnować z zaproszenia, lecz moja żona w żaden sposób nie dała się przekonać. Ostatni koktajl w Willi Zegarowej nie zaczął się dobrze. Od momentu zamieszkania w jednej dzielnicy osób, z których połowa była spokrewniona, a ci, co nie byli, stali się rodziną, przebywanie ze sobą przez cały czas we dnie i w nocy wystarczyło, by po zaledwie sześciu miesiącach stali się swoimi własnymi wrogami. Zaproszenia przyjmowano z ochotą, jako że koktajle i obiady, jak również spontaniczne odwiedziny, były nieocenioną okazją do obgadywania nieobecnych, wyszukiwania wad i wytykania słabości w najbardziej małostkowy sposób. Starano się przy tym zachować pozory elegancji i opamowania – co powodowało jeszcze większe kumulowanie złości i zawiści – a za plecami bliźnich plotkowano na potęgę.

Od samego początku czułem wielką niechęć do tych przyjęć, starałem się ich unikać i jak najrzadziej zgadzać się na zapraszanie gości do własnego domu. Ale od trzech lat regularnie świętowaliśmy urodziny mojej córki Halide, tak więc pewnych rzeczy nie dało się unikać. Pakize nie chciała słyszeć o zarzuceniu tego zwyczaju.

Moja żona, w przeciwieństwie do mnie, nic sobie nie robiła z otaczającej ją wrogości i podejrzliwości. Przechadzała się spokojnie po dywanie ludzkiej małostkowości, nie doznając uszczerbku i nie tracąc rezonu. Która kobieta potrafiłaby trzymać emocje na wodzy, powstrzymać się od odwetu i ukryć ewentualne zmieszanie za sztucznym, przyklejonym uśmiechem? Tyle że kobiety w tych kwestiach są znacznie odważniejsze i bardziej odporne na ciosy. Z tych właśnie względów nie dało się odwieść jej od pomysłu wydania przyjęcia, które do tego osobiście przygotowywała. Postanowiła po raz ostatni dobić zaproszonych gości naszą majątnością, własną urodą i promieniującą wdziękiem młodością.

Nie brała pod uwagę, że obecna sytuacja może nieco sielankę zmącić. Chciała brylować na salonach i prowadzić niezobowiązujące słodkie pogawędki. Niestety, stało się inaczej. Goście przyszli wściekli i podminowani. Gdy tylko przekraczali próg, mogłem wyczuć, z czym przyjdzie nam się zmierzyć. Tylko czekać, jak nastąpi wybuch długo tłumionej złości, zawiści i frustracji. Rzecz jasna nie tylko my, gospodarze, staliśmy się obiektami ataków. Każdy był wrogiem każdego. Mężowie byli wściekli na żony, kobiety na mężczyzn, narzeczeni na siebie nawzajem. Wyciągano wszystkie sła-

bości i śmieszności. Wiedzano, ile kto zarabia. Jeden drugiemu zarzucał, że ów przyczynił się do zamknięcia Instytutu. Każdy w oczach sąsiada był przestępcą, a największymi, rzecz jasna, ja i Halit, jako że byliśmy najlepiej poinformowani i ponosiliśmy największą odpowiedzialność za funkcjonowanie Instytutu. Złość i frustracja narastały z każdym wypitym kieliszkiem. Ludzie, których wyciągnęliśmy z nędzy, którym otworzyliśmy oczy i daliśmy perspektywę, teraz wylewali na nas kubły wściekłych zarzutów i oskarżeń.

Pierwsze ciosy spadły na Pakize. Zapomnijmy o komplementach na powitanie: widząc ją, zapominali nawet pozdrowić. Osoby, które do tej pory zachwycaly się nią, zwłaszcza młode żony nowo przyjętych urzędników, teraz wypominały jej wiek. Nawet dawne przyjaciółki publicznie zauważały, że farbuje włosy.

Kolejny temat to wystrój wnętrza, rozmiary apartamentu i pytania, skąd mamy na to pieniądze. Przechodząc koło większej grupki gości, usłyszałem słowo „lis” i wiem, że odnosiło się ono do mnie.

Jak już wcześniej wspomniałem, nie tylko my byliśmy celem ataków. Wraz z likwidacją Instytutu przyjaźnie przysły jak bańka mydlana. Zapanaowały chłód i wrogość. Dwuskrzydłowe drzwi do jadalni od pół godziny były otwarte, ale nie zdobyłem się na to, by zaprosić gości do środka. Pakize, do niedawna odważnie stawiająca czoło adwersarzom na tym społecznym ringu, teraz próbowała się ukryć za plecami młodszej siostry. Tylko ciotce nic nie psuło humoru. Z właściwą sobie energią i zdecydowaniem rzucała tu i tam ostre jak brzytwa riposty.

Nagle pojawił się Halit Regulator w kapeluszu i z torbą podróżną w ręce. Nie zwracając uwagi na zebranych, podszedł do mnie. Rozmowy i pomruki ucichły, ale po to tylko, by po chwili wybuchnąć ze zdwojoną siłą. Wcale się tym nie przejął. Uścisnął mą dłoń.

– Pan wybacz, szanowny kolego. Dopiero teraz mogłem wrócić. Skorygowałem decyzję. Dokładniej rzecz ujmując, doprowadziłem do jej zawieszenia. Niemniej powołano na stałe komisję likwidacyjną. Znajomi w niej zasiadają.

Powiedziawszy te słowa, ucałował dłoń mojej żony i bezceremonialnie wszedł do jadalni.

Tłum wokół nas zafalował. Powróciła przyjaźń, nawet większa niż dotychczas. Będąca w separacji para, która dzisiaj zajmowała dwa odległe kąty salonu, teraz godziła się pośród łez i pocałunków. Przywracano ze-

rwane zaręczyny. Skłócone towarzystwa znowu siadały razem przy jednym stole. Siedliśmy wszyscy do stołu w nastrojach iście świątecznych. Jestem pewien, że zebrani wokół ludzkie byli równie zapamiętali w złości, jak szczerzy w przyjaźni. Nachyliłem się do siedzącego obok mnie Halita i spytałem szeptem:

– A co z urzędnikami niższej rangi?

– To dla nich dokonałem tego, czego dokonałem – twarz mu spochmurniała. – Ale nie da się nic zrobić dla pracowników punktów regulacji. Niech pan coś wymyśli.

– A pan? Nie może pan dla nich czegoś zrobić?

– Ja, mój drogi, zrozumiałem, że zostałem oszukany... już, co trzeba...
– rzekł, patrząc mi prosto w oczy i zaczął jeść z apetytem.

Spotkaliśmy się grubo po północy w moim gabinecie, gdy goście się już rozeszli. Panowało między nami dziwne napięcie. Pomyślałem, że nie był mi aż tak obcy nawet w dniu, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w kawiarni Şehzadebaşı. Zagraliśmy w tryktraka. Po skończonej partyjce rzekł „Z Bogiem” i wyszedł. Widziałem go potem jeszcze tylko raz, w łóżku, wyniesionego z ciężkiego wypadku samochodowego.